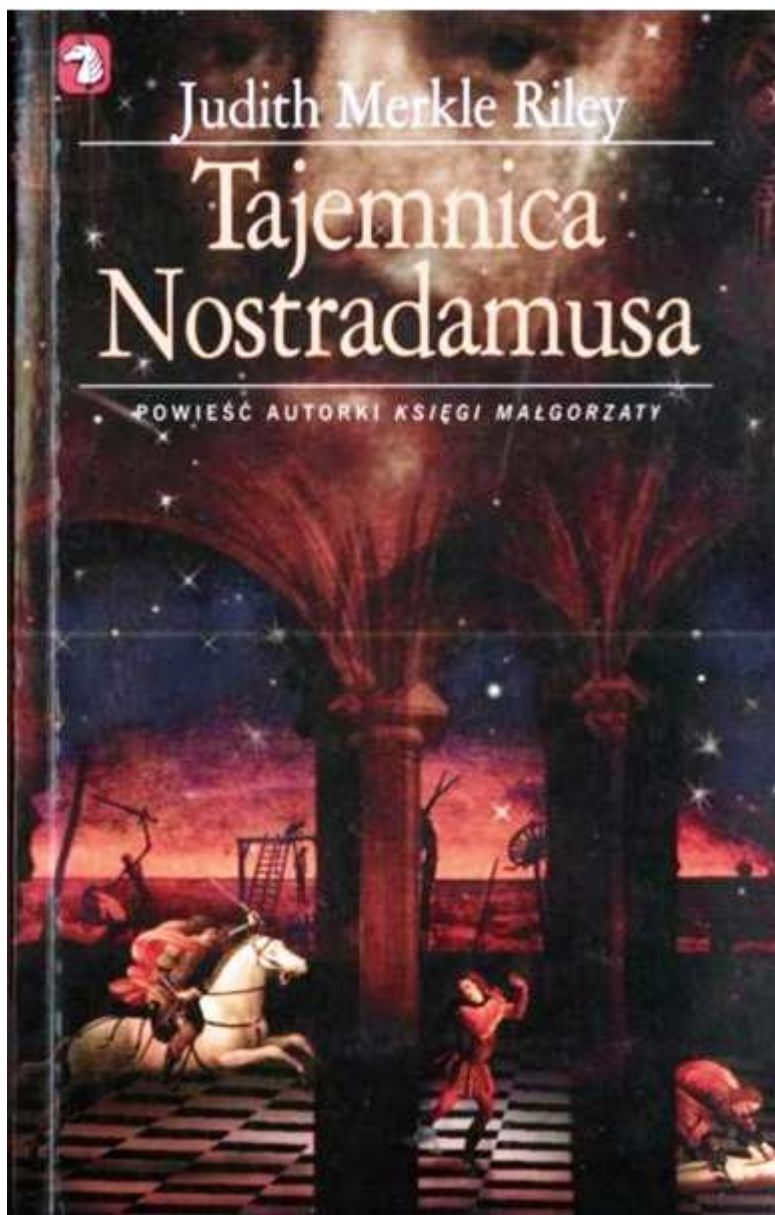




Judith Merkle Riley

Tajemnica Nostradamusa

POWIEŚĆ AUTORKI KSIĘGI MAŁGORZATY





BELETRYSTYKA



Judith Merkle Riley
Tajemnica
Nostradamusa



Przeniknięty duchem epoki barwny fresk obyczajowy
z galerią ciekawych postaci.

Francja, rok 1556. Na dworze Henryka II
niepodzielnie panuje wpływową metresa władcy,
Diana de Poitiers. Odsuwana od męża królowa Katarzyna
Medycejska, rozgniewana ciągłymi
upokorzeniami, ucieka się do czarnej magii,
by pozbyć się rywalki. Ponieważ jednak kolejne
próby zawodzą, wzywa w końcu na pomoc
nadwornego astrologa, Nostradamusa, którego
potomni obdarzą mianem „wizjonera tysiąclecia”...

»Książnica«
kieszonkowa



Cena det. 14,80 zł

ISBN 85-7152-501-0



9 788571 525014 >

www.ksiaznica.com.pl

JUDITH MERKLE

R I L E Y

TAJEMNICA
NOSTRADAMUSA

Przełożyła z angielskiego Maria Grabska-Ryńska

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału

The Master of all Desires

Opracowanie graficzne i kolaż na okładce

© Mariuu Banachotoicz

Copyright © Judith Merkle Riley, 1999

For the Polish edition

© by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2001

ISBN 83-7132-559-2

Pamięci moich rodziców

*„Kto trzyma, zgadnij?” – „Śmierć”, rzekłam.
I władczo
zadźwięczała odpowiedź: „Nie śmierć, ale miłość”.*
Elisabeth Barrett Browning
(przeł. L. Marjańska)

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze jestem wdzięczna za udostępnienie mi wspaniałych księgozbiorów, zwłaszcza zasobów systemu bibliotecznego Uniwersytetu Kalifornijskiego, a także Huntington Library i Honnold Library w Claremont Colleges. Specjalne podziękowania składam pracownikom Wypożyczalni Międzybibliotecznej w Honnold Library, którym udało się zdobyć między innymi rzadsze i mniej znane dzieła Nostradamusa. Prawdziwym błogosławieństwem było też dla mnie wsparcie, jakiego mi udzielili przyjaciele i rodzina: Deborah, Susan, mój mąż Parkes, mój syn Marlowe i córka Elisabeth, której zawdzięczam wiele cennych rad. Głęboko doceniam pracę redaktorek Pam Dorman i Susan Hans O'Connor. Mojej agentce, Jean Naggar, składam wyrazy podziwu i wdzięczności za jej zdumiewającą zdolność niesienia pociechy i zachowania spokoju w obliczu moich pisarskich wzlotów i upadków.

POSTACIE HISTORYCZNE W POWIEŚCI

Dynastia Walezjuszy w roku 1556

Henryk II, król Francji. Drugi syn króla Franciszka I, został delfinem po nie wyjaśnionym zgonie starszego brata, a królem – po śmierci ojca w 1547 r.

Katarzyna Medycejska, królowa Francji. Stryjeczna wnuczka dwóch papieży z rodu Medyceuszy. Ich dzieci:

Franciszek, delfin, ur. w 1543 r. Następca tronu.

Elżbieta, ur. w 1545 r.

Klaudia, ur. w 1547 r.

Ludwik, ur. w 1548 r., zm. w 1550 r.

Karol Maksymilian, ur. w 1550 r.

Henryk, ur. w 1551 r. (Na chrzcie otrzymał imiona Edward Aleksander). Późniejszy król Polski.

Małgorzata (Margot), ur. w 1553 r.

Herkules, ur. w 1354 r. Przyjął imię Franciszek.

Wiktoria i Joanna, bliźnięta ur. w 1556. Zmarły w niemowlęctwie.

Dynastia Burbonów to roku 1556

Antoni de Bourbon, król Nawarry.

Karol de Bourbon, kardynał, jego brat.

Ludwik, książę Conde, najmłodszy brat króla Nawarry.

Joanna d'Albret, królowa Nawarry, córka siostry króla Franciszka I, Małgorzaty. Przywódczyni reformy protestanckiej.

Henryk Nawarski, syn Antoniego de Bourbon i Joanny d'Albret, ur. w 1553 r.

Dwór króla Francji

Diana de Poitiers diuszesa Valentinois, kochanka Henryka II, sprzymierzona z Gwizjuszami.

Maria, królowa Szkocji, zaręczona z delfinem Franciszkiem i wychowywana wraz z królewskimi dziećmi od szóstego roku życia. Jej matką była Maria de Guise, starsza siostra duka de Guise i kardynała Karola Lotaryńskiego.

Franciszek, duکہ de Guise (zwany „Naznaczonym”). Głowa potężnego rodu Gwizjuszów i wuj Marii, królowej Szkocji.

Karol Lotaryński de Guise, kardynał. Jego młodszy brat i współspiskowiec.

Annę de Montmorency, wielki konetabl Francji i głowa potężnego rodu Montmorencyów współzawodniczącego z Gwizjuszami.

Henryk de Montmorency, hrabia Damville, młodszy syn konetabla, późniejszy marszałek Francji.

Gaspard de Coligny, dowódca wojsk lądowych, później admirał Francji. Siostrzeniec Montmorency'ego.

Astrolodzy królowej

Michał de Nostre-Dame, znany jako Nostradamus. Autor słynnych „Centurii” i innych prorocत्व oraz prac poświęconych medycynie.

Kosma Ruggieri, głowa licznego rodu Ruggierich, tradycyjnie pełniących obowiązki astrologów na dworach Medyceuszów.

Wawrzyniec Ruggieri, jego brat.

Gabriel Simeoni, astrolog królewski.

Łukasz Guaric, znany jako Guaricus. Słynny astrolog i matematyk, przepowiadał przyszłość wielu papieżom.

Inni monarchowie

Filip II, król Hiszpanii i głowa Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Edward VI Angielski (1537–1553), jedyny syn Henryka VIII. Popierał reformę protestancką.

Maria I, królowa Anglii, córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej. Żona Filipa II, który przez to małżeństwo stał się królem Anglii. Katoliczka.

Elżbieta I, córka Henryka VIII i Anny Boleyn. W r. 1558 została królową Anglii. Protestantka.

PROLOG

— To tutaj — szepnęła po włosku królowa Francji, wskazując ledwie widoczną szparę w podłodze.

Migotliwe światło jedynej świecy mąciło cienie na ścianach. Nawet w nocy powietrze było parne i ciężkie od odoru. Kamienne korytarze i od dawna wygasłe kominki śmierdziały moczem, stęchlizną i pleśnią. Dwór zbyt długo pozostawał w Saint-Germain; pałac zaczął już cuchnąć. Za miesiąc lub dwa król nakaze przenosiny do innego, czystszeo zamku — gdzieś, gdzie nie wytrzebił jeszcze parkowej zwierzyny; gdzie przez najbliższe tygodnie węż nie będzie mu podsuwał myśli o zmianie miejsca pobytu.

— Kazałam cieśli zrobić w stropie dwie dziury — dodała szeptem królowa. — Jej sypialnia jest wprost pod nami. Dziś dowiemy się, za pomocą jakich czarów kradnie mi miłość męża.

— Jest dwadzieścia lat starsza niż on i ty, pani. Gdybyś znalazła inną, młodszą i piękniejszą, lecz ślepo ci posłuszną, zniweczyłabyś jej urok, a wtedy... — szepnęła w odpowiedzi włoska dama dworu. Obcy język unosił się w powietrzu jak dym, klębił wokół rzeźbionego w głowy satyrów kominka i zapadał w kątach niczym szmer cudzoziemskiego spisku w prastarej twierdzy królów Francji.

— Myślisz, że nie próbowałam? Raz-dwa i znów był z nią; prowadzi się z tą starą ladacznicą publicznie, a mnie trzyma w ukryciu, jak gdybym to ja była nałożnicą. Chcę raz na zawsze odebrać jej władzę nad nim. Chcę się jej pozbyć.

— Pani, jesteś królową...

— Toteż nikt nie może dojrzeć mojej ręki w tym, co się jej przydarzy — ucięła zimno Katarzyna Medycejska. — Dziś król ją kocha, obwiniliby mnie o jej krzywdę i zemścił się na mnie. Ale gdy przestanie ją kochać...

— Musisz poznać zaklęcie, które go więzi — szepnęła dworka.
— Właśnie. I zniszczyć je silniejszą magią. — W głębi wypukłych, nakrytych ciężkimi powiekami oczu Katarzyny zaiskrzyła się długo skrywana uraza. Królowa dotknęła palcami talizmanu moczonego w magicznej kąpieli z ludzkiej krwi, który miała zawieszony na szyi. — Gdzie znalazła tak potężnego czarnoksiężnika? Tylko magowie z rodu Ruggierich mają podobną moc, a ci należą do mnie. Jeśli Kosma mnie zdradził...

— Z pewnością nie, wasza wysokość. W królestwie są też inni zaklinacze. Kosma Ruggieri przybył z nami z Florencji. Jego ojciec służył twojemu ojcu. Zresztą czemu ta kobieta miałaby się zwracać do twego sługi? Zaraz by ci o tym doniósł.

— Może tak, a może nie. Nie wolno lekceważyć przebiegłości Ruggierich. Są zdradliwi jak węże, znam ich dobrze. Sama znajdę czarodziejski przedmiot i każę Kosmie go usunąć, po czym oboje będziemy udawać, że wcześniej nie miał pojęcia o jego istnieniu. Czas już najwyższy. Dostatecznie długo żyłam w cieniu tej starej wiedźmy. Przez nią moje szczęście obraca się w proch.

— Najjaśniejsza pani, to na pewno pierścień — wyszeptwała Lukrecja Cavalcanti d'Elbene. — Cały dwór szepcze, że pierścień подарowany przez Dianę miłościwemu panu kąpany był we krwi nie chrzczonego niemowlęcia. Ten pierścień go więzi. Dziś sama się przekonasz, że tak właśnie jest. — Dama dworu nachyliła się ze świecą, podczas gdy Katarzyna Medycejska uklękła szukając uchwytu luźnej deski podłogowej.

— Zgaś świecę — szepnęła. — Nie chcę, żeby zobaczyli nad sobą światło.

W mroku, rozjaśnionym jedynie poświatą gwiazd, obie kobiety położyły się na podłodze, aby zająrzeć do rzęsiście oświetlonej sypialni znajdującej się piętro niżej.

Diana de Poitiers leżała na wznak na łożu zarzuconym ciężkimi draperiami. Ramiona miała podłożone pod głowę, a siwiejące włosy rozsypane niczym wachlarz wśród zdobionych bogatym haftem jedwabnych poduszek. Jej blade, nagie ciało zaskakująco kontrastowało z ciemnozieloną aksamitną kołdrą, ciemne oczy lśniły w blasku świec, a umalowane wąskie usta uśmiechały się zwycięsko, gdy czarnowłosa, dwadzieścia lat od niej młodszy król w podnieceniu zrzucił z siebie *robe de chambre* — jakby wiedziała, że tej nocy są świadkowie jej triumfu.

Ściągnięta, poznaczona cienkimi zmarszczkami twarz Diany i zapadnięte podkrążone oczy nie zaskoczyły patrzących z góry kobiet. Ale widząc jej ciało królowa i dworka westchnęły ze zdumienia. Było białe, smukłe, giętkie, niczym ciało dziewczęcia, na które ktoś nasadził głowę starej kobiety. Żelazna dyscyplina pozwoliła metresie zachować nędną imitację kształtów młódki, gdy tymczasem nawet stalowe fiszbiny i sztywne, wysadzone klejnotami szaty nie były w stanie zamaskować tuszy ciała królowej, rozlanego od corocznych ciąż.

Ty potworze, pomyślała Katarzyna Medycejska. Diabeł ci w tym pomoże. Gdy się ciebie pozbędę, też uczynię się piękną. Będę brała masaże i piła wywary. Zasiądę u boku króla na każdej wielkiej gali, kawalerowie na turniejach będą nosić moje barwy. Dziś król skrywa mnie w cieniu niczym wstydlivy sekret. Mój widok go zawstydza. Ale jutro będzie mnie miłował.

W połączonym łożu dwa muskularne ciała — jedno przyprószone czarnym owłosieniem, drugie bielsze od mleka — splatały się w egzotycznych, wyuzdanych pozach. W ciemności z ust królowej wyrwało się pełne zdumienia westchnienie. Po chwili kochankowie zmienili pozycję i faworyta dosiadła Henryka II. Jego twarz zniekształcił spazm rozkoszy. Katarzyna nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że mogą istnieć tak osobliwe uściski, tak długo trwające pieszczoty. Dlaczego o tym nie wiedziała? Dlaczego król jej tego nie nauczył? Czyżby nie była warta ani szacunku, ani namiętności?

Król i jego kochanka przetoczyli się na brzeg łoża; zaciekły, szybki rytm porwał ich tak, że mimowolnie zsunęli się w kaskadzie prześcieradeł na zimne, twarde płyty posadzki. Z ust króla wydarł się krzyk rozkoszy. Jego echo wciąż brzmiało w komnacie na dole, kiedy Katarzyna umieściła deskę z powrotem w podłodze. Niewidoczne w mroku łzy wściekłości spłynęły po jej pulchnej twarzy.

— W ciągu tych wszystkich lat, odkąd wziął mnie za żonę — szepnęła — ani razu nie dotknął mnie w ten sposób. Urodziłam mu dziesięcioro dzieci, a on nigdy mnie nie pocałował. Przychodzi bez świecy i wychodzi też po ciemku... Kimże jestem, że traktuje mnie jak krowę, a nie jak kobietę?

— Ale, wasza wysokość, to ty jesteś prawdziwą królową, a ona tylko królewską dziewczką.

Niska, tęga, wylupiastooka kobieta o twarzy pozbawionej podbródka nieznacznie otarła oczy, korzystając z osłony mroku.

— Tak, jestem królową — powiedziała. — Ja jestem królową, a ona nie. — Wstała z kłęczek i otrzepała zmięte, zakurzone spódnice.

— Czy on nie widzi, że ta baba jest stara, stara jak świat? Ja miałam czternaście lat, gdy mnie pojął. Mój wuj papież wysłał mnie do Francji w złoconej galerze. Wioślarze mieli srebrne łańcuchy. A kim ona jest? Nikim. Nic nie znaczącą staruchą. Na pewno zaślepie ją magiczny pierścień. Pierścień, który mu dała. Choćby nie wiem co, zedrę go z jego dłoni!

A potem każe Kosmie, żeby przygotował dla mnie napój miłosny, pomyślała. Coś mocnego... coś, co da mi więcej niż zimny, niechętny uścisk.

— Trzeba tylko zaczekać na właściwy moment— powiedziała pani d'Elbène.

— Bardziej niż ktokolwiek inny nauczyłam się czekać — odparła królowa odgarniając z czoła przyprawione loki. — Czekam na wiele rzeczy. Mimo to...

— Tak, wasza wysokość?

— Kiedy byłam młoda, nazywali mnie piękną. Dlaczego król, mój małżonek, nigdy nie kochał mnie tak namiętnie?

ROZDZIAŁ I

Paryż, A.D. 1556

Wczoraj wcześniej rano wyjechałem z Orleanu. Gospoda „Pod Trzema Królami”. Przekleństwo na nich! Na szyldzie powinni raczej widnieć trzej rabusie. Łóżka odrażające. Śniadanie trzy sous. Niejadalne. Omal nie dostałem skrętu kiszek. Samo miasto stanowczo przecenione. Ludzie niemili, ceny wysokie i pełno heretyków. Biskup zażyczył sobie horoskopu. Policzyłem mu podwójną stawkę.

Do Paryża wjechałem bramą Świętego Jakuba. W pobliżu rue de la Bûcherie drogę zastąpiła nam ciżba studentów wydziału medycznego. Zażądawszy, by mnie przepuścili, spotkałem się z oburządzącą arogancją. Kpili z mej sukni, świadczącej, że nie jestem doktorem ich uczelni. Nazwali mnie zamorskim szarlatanem, wulgarnym propozycjom bezpłatnego upuszczenia krwi towarzyszył grad pocisków z końskiego nawozu. Paryż zawsze burzy się widząc lepszych od siebie, a na mnie poznali szatę medyka z naszej wszechnicy w Montpellier. Nędzne robaki, wyrzucone z wydziału teologii. Wiedzą tylko, jak puszczać krew i dawać na przeczyszczenie. Ośmielają się lekceważyć wielkiego Paracelsusa! U nas na Południu wychowanek tej nędznej paryskiej uczelni przenigdy nie uzyskałby zgody na wykonywanie szlachetnej lekarskiej profesji.

Muszę kazać Leonowi oddać szatę do czyszczenia.

Paryż, gospoda „Pod Świętym Michałem”. To mój święty patron, a więc dobry omen. Pościel czysta. Obiad pięć sous. Ragôut znośne, wino zasługuje raczej na miano octu.

Znaleźć nowe wydanie Scaligera. Może Renault będzie je miał. Z pewnością jest przereklamowane. Morel twierdzi, że wszyscy mówią tylko o nowym proroctwie Simeoniego, który przepowiada koniec świata w roku 1957. Simeoni to osioł. Nie potrafiłby przewidzieć końca bieżącego miesiąca. Jeśli nie wymyśli czegoś

ciekawszego, prorokuję mu utratę łask królewskich nie dalej jak za pół roku. Wysłać Leona do Luwru, żeby zapowiedział na dworze moje przybycie.

W gospodzie chcę zaliczki. Przebakują o zagranicznych medykach, którzy ulatniają się pod osłoną nocy. Zapytać Morela, czy nie pożyczylby mi pięćdziesięciu talarów.

Wczoraj po drodze dziwny znak. W słońcu wygrzewał się na głazie dwugłowy wąż. Doprawdy, wciąż prześladują mnie dwugłowe stworzenia. Dwugłowy koziół w Aurons, dwugłowe dziecko w Sens. Zbliża się czas krwawej schizmy. Później tego samego dnia na drodze z Orleanu młoda prowincjuszka w żałobie jadąca w przeciwnym kierunku w towarzystwie okropnego psa. Głupia, uparta i w pretensjach. Wyczulem wszakże dziwną aurę. Nęka mnie przeczuć, że na pewien krótki czas w Moniach tej dziewczyny spoczną losy Francji. Co za koszmarna myśl. Mam złe sny. Muszę zapytać o nie Anaela.

Zaginione dzienniki Nostradamusa

Przeł. i wyd. A. J. Peters,

Sedona, AZ: Cernunnos Press 1974.

(Tom 3, wpis 209: 15 sierpnia 1556)

— Kiepska z ciebie poetka — odezwał się cudzoziemiec w szacie uczonego doktora i graniastej czapce, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół. Miał onieśmielające spojrzenie i długą siwą brodę z gatunku tych, w których zawsze jest pełno okruchów.

Nie zaszczyciłam go odpowiedzią. Nie było dla mnie zupełnie jasne, jak dowiedział się o moich skromnych próbach poetyckich, lecz przynigdy nie wdałabym się w rozmowę z podobnym gburem, do tego w miejscu publicznym.

— Brzdąkasz na lutni, piszesz banalne kawałki dla panienek i nudne rozprawy o naturze — ciągnął. — Wszędzie chcesz wtrącić swoje trzy grosze i bardzo lubisz mieszać się do cudzych spraw.

— Nie zostaliśmy sobie przedstawieni — odparłam najostrzejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć, stawiając obok siebie na szorstkiej desce kubek podłego cydru.

W koronach drzew, ocieniających wystawione na dwór ławy, ćwierkały ptaki. Za plecami miałam przydrożną gospodę — chłopską chatę krytą strzechą, niewiele różniącą się od stogu siana. Tylko zatknięta nad drzwiami miotła świadczyła, że podróżny może się tu

pokrzepić. Było lato roku pańskiego 1556, dwudziestego drugiego roku mego życia — czas, gdy resztki świeżości nieodwołalnie ustępują miejsca zasuszonemu, chudemu staropanieństwu. Mój pacholek poił właśnie kłacz i był za daleko, by posłyszeć wołanie. Gargantua ziajął mi u stóp, wywiesiwszy długi różowy ozór. Wątpię, by wyrósł na porządnego gończego psa, skoro nie chce mu się nawet warczeć. Jak mam się pozbyć tego obłąkanego starucha?

— Prezentacje nie są konieczne — rzekł cudzoziemiec, zerkając na mnie spod siwych krzaczastych brwi. — Ja już cię znam. Przyszedłem ci powiedzieć, żebyś zawróciła do domu i pozostała z rodziną, jak przystoi porządnej niewieście. Zarówno tobie, jak królestwu Francji wyjdzie to tylko na dobre.

— Bynajmniej nie mam takiego zamiaru — odparłam. — Poza tym to niemożliwe. Muszę dotrzeć do Orleanu, nim o zachodzie słońca zamkną bramy.

— Nie zdołasz odwrócić tego, co już zrobiłaś, ale możesz uniknąć tego, co nastąpi. Jedź do domu, powiadam.

Zimny dreszcz przeszył me ciało na wylot. A może to nie szaleniec, tylko donosiciel? Czyżby w jakiś sposób odkrył powód mojej pospiesznej ucieczki z ojcowskiego domu? Wstałam raptownie, chcąc się oddalić. Zbyt raptownie — przewróciłam kubek i wylałam resztkę cydru na rąbek żałobnej sukni. Pospiesznie schyliłam się, żeby strzepnąć krople wina z ciemnej wełny, i podniosłam oblepiony piachem kubek. Wydawało mi się, że słyszę chichot starca.

To właśnie robią donosiciele, zanim pójdą do sędziego, pomyślałam. Śmieją się ze swych ofiar. A przecież to naprawdę nie moja wina, że zastrzeżiłam Teobalda Villasse'a. Co prawda doskonale znałam jego twarz, zważywszy, że od lat mieszkał w sąsiedztwie, ponadto byliśmy ze sobą zaręczeni, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że było ciemno, a on miał na twarzy maskę. Ponadto mój zapal literacki (jak również szycie) sprawił, że ostatnio stałam się nieco krótkowzroczna. No i trudno byłoby się spodziewać, że w tej sytuacji postąpię inaczej.

Muszę przyznać: zakłuło mnie poczucie winy, kiedy dym się rozwił i ujrzałam, że twarz za oknem zniknęła. Villasse musiał się roztrząskać, spadając z drabiny na oświetlony księżycem dziedziniec, a ja z natury mam bardzo miękkie serce. Ilekroć ujrzę piskłę, które wypadło z gniazda, delikatnie wkładam je z powrotem. Toteż wdziałam żałobę na znak, że jest mi przykro. Zresztą to nie ja wystrzeliłam z ojcowskiego muszkietu, tylko Los. A wyroków Losu nie da się odwrócić.

— Nie da się odmienić wyroków losu — powiedziałam.
— Moja panno, po to tłukę się po gościńcach jadąc z daleka, by odmienić przeznaczenie. Dla dobra tego królestwa powiadam ci: wróc do domu.

— Dla mego własnego dobra muszę jechać dalej. Zmieniaj przeznaczenie w jakiś inny sposób.

Oblicze cudzoziemca przybrało szkarłatny odcień.

— Ty zarozumiała stara panno, czy wiesz, że królowie płacą trzosami pełnymi złota za jedno słowo mojej rady? — prychnął wściekle.

Cóż, noszę nazwisko Artaudów z La Roque; zniewagi nie mogą mnie dosięgnąć. Spojrzałam na niego wyniośle (takie spojrzenia doskonale mi wychodzą, ponieważ jestem wysoka) i rzuciłam z pogardą:

— A więc idź precz i doradzaj królom. Ja zrobię to, co zamierzam.

Stary pyszałek odwrócił się tak przygnębiony, że zrobiło mi się go żal. Sądząc po akcencie, pochodził z południa Francji. Wszyscy południowcy są chełpliwi. Najwyraźniej sędziwy doktor połknął za dużo medykamentów własnego wyrobu. Królowie, też coś!

— Zaczekaj — rzekł, więc przystanąłam. Zmierzył mnie z góry na dół taksującym wzrokiem. — Chociaż... tak, to mogłoby się udać. Tylko zastosuj się do mojej rady: strzeż się Królowej Mieczы.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, czlecze.

— O, wiesz bardzo dobrze — powiedział, rozglądając się za sługą, który wyprowadzał z zagrody jego wierzchowca. — Stare panny zawsze czytają tarota.

Kiedy sługa podszedł bliżej, spostrzegłam, że nie prowadzi doktorskiego muła, lecz królewskie konie pocztowe. Ten dziwny gadatliwy starsuszek istotnie zatem podróżował w sprawach Korony i chyba rzeczywiście był kimś ważnym. Może byłam dla niego zbyt niegrzeczna? Czy znał moją straszliwą tajemnicę?

Jak gdyby w odpowiedzi na nie wyrażone na głos myśli dziwny doktor obrócił się i spojrzał na mnie, wkładając stopę w strzemień.

— Żaloba, też coś! — prychnął. — Powinnaś się wstydzić. Serce zamarło mi w piersi.

Przyodziana w brudny fartuch i czepek szynkarka mijala mnie właśnie niosąc kilka kubków odrażającego napitku domowej roboty.

— Dobra kobieto — odezwałam się (zaiste, dyplomacja czyni nas kłamcami!) — powiedz, czy znasz imię tego starszego jegomościa z długą brodą i w szacie medyka?

— Tego? A jakże, znam. Przyjechał z Prowansji na wezwanie królowej. To zdaje się nie byle kto. Nazywa się Michał de Nostre-Dame, a zwań go też Nostradamusem. Powiadam panience, widywałam tu już ludzi o wiele ważniejszych od tego tam.

Nostradamus. Obiekt rozmów w każdym modnym salonie od czasu ukazania się tomiku jego wierszowanych przepowiedni. A zatem nie donosiciel, lecz prorok patrzący w przyszłość, wezwany przez samą królową. Dreszcz przeniknął mnie na sam dźwięk jego imienia. Oto Los i ja spotkaliśmy się na orleańskiej drodze.

Tylko o co mu chodziło z tym dobrem królestwa?

ROZDZIAŁ II

Był świt — lepki świt, który nie przynosi wytchnienia od upału i zapowiada duszne, niezdolne popołudnie. Diana de Poitiers wynurzyła się z zimnej kąpieli; dwie służebne czekały z ręcznikami przy balii, żeby wytrzeć ją do sucha. Zamek już się obudził: w kuchniach szczękały garnki, w stajniach czesano i siodłano konie dla Diany i króla. Tu i tam przecierał oczy zapóźniony hulaka, po czym wstawał, przeciągał się, sikał do kominka i wołał o wino. W jednej sypialni ubierała się królowa; diuszesa de Nevers podawała jej koszulę. W drugiej król z dziwnie zadowoloną miną na zwykle posępnej twarzy stał, wydając rozkazy dworzanom, podczas gdy lokaj zapinał mu buty. Rozważał w duchu przeprowadzkę do Fontainebleau, gdzie powietrze było czystsze, zanim zjedzie na zimę do Luwru. A może nie do Luwru, tylko do Anet — jednego z podobnych klejnotom zameczków, które podarował kochance. Diana napomykała, że planuje pyszne rozrywki dla całego dworu w okresie Bożego Narodzenia.

Wszedł dworzanin z wiadomością. Cóż to znów za zawracanie głowy? Ambasadorowie Republiki Weneckiej już przybyli? Tak rychło? Niech czekają do jutra, wtedy ich przyjmie. Dziś Rada musi omówić kolejne zuchwalstwo króla Hiszpanii. Cesarstwo urosło zbyt wielkie. Nie, jeśli hugenoci nie wyrzekną się swej herezji, należy ich stracić dla dobra kraju. Nie ma usprawiedliwienia dla łamania prawa.

Diana de Poitiers, wdowa po wielkim seneszalu Normandii i diuszesa Valentinois, powiernica klejnotów koronnych, pani licznych skonfiskowanych innym włości i zwolenniczka nepotyzmu i korupcji, rankiem udzielała audiencji. Kilku poetów żądało królewskich apanaży w zamian za dzieła sławiące jej urodę i mądrość; rzeźbiarz otrzymał zamówienie na płaskorzeźbę, na której wyidealizowana naga sylwetka

duszesy de Valentinois, spleciona z jeleniem, wyobrażać miała boginię łowów. W rzeczywistości Diana nie lubiła polowań, ale to miało nikłe znaczenie. Kiedy cały świat wysławia moją wiecznotrwałą piękność, powiedziała sobie, król nie ośmieli się sądzić inaczej. Moi artyści zmienili tego nudnego, ponurego młodzieńca w legendarnego kochanka. Jakież mężczyzna z własnej woli wyrzeknie się takiej sławy? A skoro on sam nie widzi siebie takim, jaki jest, i mnie nie zobaczy taką, jaka jestem. Lodowaty uśmiezek przemknął po wąskiej, mocno umalowanej twarzy Diany de Poitiers.

Po artystach weszło kilku dalekich krewnych, prosząc o urzędy i beneficja. Nie odeszli rozczarowani, choć w całej tej czeredzie nie było nikogo, kto znałby się na rzeczy. Następnie przystąpił do niej rachmistrz z raportem dotyczącym zabranych heretykom posiadłości, do których król w chwili czułości przyznał jej wyłączne prawa. Tak mało? Herezja z pewnością pełni się i w większych domach. Trzeba zatrudnić więcej informatorów i okazywać mniej pobłażania znanym rodom. Karnawał w Anet będzie bardzo kosztowny... Diana uniosła się z krzesła, gdy jedna z jej zaufanych dam dworu wprowadziła zgiętego pokornie cieślę. Wysłuchawszy, co ma do powiedzenia, duszesa z zadowoleniem zmrużyła oczy.

— Dwie dziury w stropie mojej sypialnej komnaty, powiadasz? Zamaskowane deską podłogową? Bardzo dobrze, że przyszedłeś mi o tym donieść. Nie odejdziesz bez hojnej nagrody. Daj mi znać o wszelkich innych robotach, jakie zleci ci królowa.

Kiedy cieśla wyszedł tyłem, kłaniając się nisko i wychwalając Boga i piękną łaskawą księżnę, Diana uśmiechnęła się nieznacznie. Znacomiecie, pomyślała. Tej żalostnej córce włoskiego kupczyka należy się przypomnienie, kto tu rządzi. I że dla niej nie ma już żadnej nadziei.

W tej dzielnicy miasta domy były o wiele wyższe; miały po cztery lub pięć pięter i tłoczyły się razem z braku wolnej przestrzeni. Izbry były niskie i ciasne, dolne kondygnacje nigdy nie widziały słońca. Na sznurach przerzuconych w poprzek wąskich kanałów suszyło się pranie, zgniły odór wody mieszał się z zapachami tanich potraw: czosnku, kapusty i cebuli. Kiedy ostatnie promienie słońca złocili jeszcze fasady bogatych willi przy Canale Grande, tu, w żydowskiej dzielnicy Wenecji, szybko i nieubłagane zapadał zmrok. W izbie na najwyższym piętrze jednej z sędziwych kamienic młody człowiek o rzadkich tłustych włosach przeszukiwał gorączkowo zawartość półek dużej otwartej szafy na rzeźbionych nogach. Za jego plecami cicho

otwarły się drzwi i do izby bezszelestnie wszedł stary człowiek. Miał długą siwą brodę, jarmukę na głowie i sięgającą kostek szatę. Jego twarz znaczyły głębokie zmarszczki i stare blizny.

— Nareszcie jesteś — rzekł. — Oczekiwałem cię.

Młody człowiek obrócił się gwałtownie, wyciągając nóż.

— Możesz go schować. — Starzec zaniósł się kaszlem. Chustkę, którą przycisnął do ust, splamiła krew. — To, czego szukasz, jest w skrzyni pod oknem.

Młodzieniec cofnął się w kierunku okna nie spuszczać wzroku z gospodarza w obawie, że to jakiś podstęp.

— Gwiazdy powiedziały mi, że zjawisz się dziś wieczór — rzekł starzec i w kącikach jego ust zaigrał ironiczny uśmiech.

Gwiazdy, pomyślał młodzieniec. To na pewno podstęp, czarodziejska sztuczka. Ze wzmogoną czujnością rozejrzał się po izbie. Stały w niej różne dziwne przedmioty: astrolabium, sfera armilarna, przyrządy z mosiądzu i kości, których przeznaczenia nie potrafił sobie wyobrazić. Można by dostać za nie parę groszy w lombardzie. Powinien stuknąć Żyda i zabrać cały ten kram.

— Nie próbuj — rzekł starzec. — Każdy kupiec w tym mieście rozpozna mój znak.

Młody człowiek wzdrygnął się. Ten przeklęty staruch umie czytać w myślach! Bóg jeden wie, jaką pułapkę mu szykuje.

— To nie pułapka. — Stary człowiek znów zakaszał. — Proszę, weź to, po co przyszedłeś. Powiedz mi tylko, jak się tu dostałeś.

— Z dachu przez okno. Powinieneś zamykać okiennice, dziadku. — Złodziej przysunął się do skrzyni i nie wypuszczając noża wolną ręką podniósł ciężkie wieko.

— To posrebrzana szkatuła rzeźbiona w różne znaki. Ta z postacią w rydwanie na środku wieka — rzekł starzec.

Młodzieniec wyjął szkatułę ze skrzyni i spojrzał na nią zdumiony.

— Weź ją — powtórzył starzec. — Ulży mi znacznie, gdy jej tu nie będzie. — Osunął się na ławę i zgiął w pół w ataku kaszlu, przyciskając płótno do ust.

— To... to bardzo cenna rzecz. Dlaczego chcesz się jej pozbyć?

Szkatuła, choć wyjątkowo pięknej roboty, robiła niesamowite wrażenie. Czy przez umieszczony na wieku dziwaczny wizerunek węzowego bóstwa o koguciej głowie w rydwanie pomiędzy słońcem i księżycem? A może przez nieczytelne litery wyryte poniżej? Lub przez ciężki zamek zrobiony z jakiejś nieznannej stali lśniącej niczym tolekańska klinga?

— Wierz mi, to brzemień znużyło mnie już, wyczerpało do cna. Zawarta w tej szkatule pokusa doprowadziła mnie na samo dno i wie, że umieram. Zabierz ją, a przynajmniej przez resztkę życia będę wolny. Żal, próżne usiłowanie pokuty i piekło na tym świecie, nim pochłonie mnie piekło na tamtym... to wszystko, co mi zostało. Ale ostrzegam: jeśli cenisz swą duszę, nie zagłądaj do środka!

— Skąd mam wiedzieć, że nie chcesz mnie okpić, dając mi pustą skrzynkę?

— Lepiej byłoby dla mnie i dla ciebie, gdyby była pusta. Niestety, nie jest. Zawiera... spełnienie wszelkich życzeń i najokropniejszą ze wszystkich tajemnicę: sekret wiecznego życia. To ostateczny dar, który ci zaofiaruje, kiedy już zmieni twoje życie w koszmar. W nie kończące się cierpienie. Przynajmniej tego daru się wyrzekłem...

Młodzieniec poczuł dziwny trupi zapach, który zdawał się otaczać siedzącego starca, i otrząsnął się z obrzydzeniem. Kiedy gospodarz znów się wykaszlał, podniósł głowę i rzekł:

— Ponieważ pozostawiłeś mi czas, abym przygotował się do nadchodzącego kresu mego żywota, odwdzięczę ci się tą oto przestrożą: nigdy, jeśli cenisz sobie nadzieję na zbawienie, nie otwieraj szkatuły, która mieści Pana Wszelkich Życzeń.

Na twarzy starego malowała się osobliwa mieszanka goryczy, rezygnacji i złośliwej satysfakcji, wiedział bowiem, że żadna siła na ziemi nie powstrzyma młodego człowieka: prędzej czy później zajrzy do skrzynki. Pokusa szybko zwyciężyła wahanie. Zżerany ciekawością złodziej odłożył nóż i otworzył szkatułę. Rozległ się ryk grzmotu i w izbie zalśnił ostry blask podobny błyskawicy.

— Boże, co za okropieństwo! Będzie mi się jawić w koszmarnych snach! — Przerażony młodzian pospiesznie zatrasnął wieko.

— Jaka szkoda! Cóż, ostrzegąłem cię. Teraz należy do ciebie i nie zdołasz się go pozbyć. Dopóki z tobą nie skończy, będzie do ciebie wracał nawet wtedy, gdy wrzucisz go w najgłębszą toń oceanu. Będzie cię wabił ku sobie jak kochanka, spełni wszystkie twoje pragnienia i zarazem obrabuje cię ze wszystkiego, co warto mieć. Śmierć i potępienie idą jego śladem. Widzisz? Już myślisz, że człowiek, dla którego go skradłeś, nie jest wart, by go posiadać. Kto ci za niego zapłacił? Jakaż to osoba zasługuje na taki skarb?

— Mistrz Simeoni — szepnął złodziej.

— Simeoni? Ten trzeciorzędny szarlatan, który nie potrafi przewidzieć pełni księżyca! Co za ironia! Simeoni chce mieć Pana Wszelkich Życzeń! — Starzec odrzucił głowę i wybuchnął

śmiechem, który wkrótce przeszedł w rżenie. Na dźwięk tego śmiechu w oczach młodzieńca odmalowała się zgroza.

— Mistrz Simeoni powiedział, że ta skrzynka przyniesie mu bogactwo. Dlaczego miałbym się zadowolić paroma groszami, gdy mogę mieć wszystko?

— Bogactwo, rzeczesz? A zatem nie Simeoni go zapragnął. Chce wkupić się w łaski kogoś znaczniejszego.

— Dlaczegoż by nie miał go pragnąć? Dlaczego ty go nie pragniesz?

— Ach, chłopcze, ja też byłem kiedyś młody i głupi. Ale zapamiętaj, co ci teraz powiem: pani Mądrość słono każe sobie płacić. O, tak... Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

— Kogo? — spytał sarkastycznie złodziej, wpychając szkatułę do tobołka, który zarzucił na plecy. — Mądrość?

— Nie. Tę, która pożąda owej przeklętej skrzynki.

Ale młody człowiek złapał już wiszącą za oknem linę i nie dosłyszał ostatnich słów.

Złodziej wspinał się na wysoki szczyt budynku, zwinął linę i przewiązał się nią w pasie, po czym zwinnie ruszył przeskakując z dachu na dach, aż dotarł do mansardowego okna umieszczonego na poziomie kominów. Przeszedł przez labirynt zatłoczonych izb, po czym pokonał dolne trzy piętra chwiejnymi zewnętrznymi schodami, które kończyły się tuż nad chlupiącą wodą kanału. Tam, w ciemności, czekała nań gondola z zaciągniętymi firankami.

— Masz? — szepnął głos zza firanki.

— Tak — odparł cicho złodziej.

— Dobrze, wsiadaj.

Gondola bezgłośnie wypłynęła na szerszy kanał. Równie bezgłośnie ostrze sztyletu wbiło się w pierś złodzieja, a chwilę później ciało obciążone jego własną liną i obciążone kamieniami bez najmniejszego plusku pograżyło się w ciemnej wodzie.

Nazajutrz kędzierzawy brodaty mężczyzna z kolczykiem w uchu wpadł na pokład galery płynącej do Marsylii. W jego bagażu znajdowała się szkatuła zdobiona srebrem i kością słoniową, na czas podróży zaszyta w grube woskowane płótno i opatrzona napisem: DLA MITRZA KOSMY RUGGIERIEGO W DOMU WAWRZYŃCA RUGGIERIEGO POD CZERWONYM KOGUTEM PRZY RUE DE LA TISSERANDERIE W PARYŻU.

ROZDZIAŁ III

To na pewno dlatego, że podróżuję na jucznym koniku, a nie na wierzchowcu szlacheckiej krwi, i nie mam lokaja w liberii, pomyślałam. Wziął mnie za córkę jakiegoś hreczkosieja, która pracuje przy żniwach z poddanymi i poluje na króliki uzbrojona w łuk i strzały. Dlatego tak nieuprzejmie wyrażał się o moich utworach. Nie ma pojęcia o Wyższej Umysłowości. To zaś dowodzi, że nie wie też nic o innych niepokojących sprawach. Cały ten Nostradamus okazał się w sumie wścibskim, źle wychowanym szarlatanem.

Ostatecznie gdyby wiedział tak wiele, musiałby też być świadom, że ród mojego ojca może się poszczycić szesnastoma herbami. Powinien był okazać mi szacunek należny osobie, której rodowód sięga czasów sprzed wypraw krzyżowych. Poza tym kształciłam się przez dwa lata w klasztorze Świętego Ducha, gdzie studiowałam język włoski, muzykę, haft, sztukę pięknego pisania i eleganckiej konwersacji. Przywykłam obcować z ludźmi pełnymi oglady, a nie okropnymi, pozbawionymi manier znachorami, którym wydaje się, że wiedzą wszystko. Wniosłe dysputy wykształciły we mnie wyższe, czyli duchowe „Ja”, którego ten gbur nie był w stanie dostrzec ani docenić. Na szczęście wyższe „Ja” zwróciło mój umysł ku szczytnym ideom i stłumiło podszepty niższego, czyli przyziemnego – inaczej bowiem mogłabym się zachować... o wiele mniej grzecznie.

Znałam na pamięć każdy zakręt drogi, kiedyś bowiem każdego lata przenosiliśmy się na wieś, po żniwach zaś wracaliśmy znów do miasta. Tamte czasy jednak minęły, a stary dom dziadka przy rue de Bourgogne za sprawą niezaradności mojego ojca dawno już przeszedł nieodwołalnie w obce ręce.

Dom mego dzieciństwa... Powinna opiewać wierszem jego ukochane, pokryte dzikim winem ściany. Kiedy wszakże zbliżyłam się ku widocznym w dali murom i wieżom miasta, w myślach pojawił się obraz innego domu — nowej, wytwornej, murowanej z białego kamienia rezydencji, schowanej dyskretnie za ogrodowym murem tuż przy placu katedralnym. Był to dom Pauliny Tournet, mojej ciotki. A w nim... przypominałam sobie komnatę o ścianach pokrytych arrasami i wpadające do niej złote promienie słońca, które łamią się snopem iskier na srebrnym półmisku w kształcie muszli. Półmisek — mam to żywo w pamięci — jest pełen małych anyżowych ciasteczek.

— Śmiało, częstuj się — mówi ciotka z mych wspomnień.

Wygląda jak dobra wróżka. Spod kwadratowego lnianego czepca spływają jej pukle ciemnych włosów ujęte w lśniąca siatkę z zielonego jedwabiu. Wysoka półkryza otacza jej twarz, a dzienną suknię okrywa luźny brokatowy sak bez rękawów. Ciotka jest piękna: wszystko na niej błyszczący, szeleści, pachnie suszonymi płatkami róży i esencją konwaliową. Zafascynowana wpatruję się w obfite fałdy jej szkarłatnej satynowej spodniej szaty — lśni inną barwą na wierzchu, a inną w załamaniach. To na pewno czary: suknia jest zaczarowana. Sięgam do półmiska i matka karcą mnie spojrzeniem. Znów jest brzemienna; ma na sobie spłowiała ciemnoszarą suknię z rękawami wytartymi na łokciach. Mam sześć lat i jestem najstarsza z rodzeństwa. Służąca piastuje moją siostrę Laurettę, pulchne niemowlę o różowych policzkach i złotych loczkach. Matka trzyma za rękę czteroletniego Hannibala. Hannibal chodzi jeszcze w sukienkach, ma długie, wijące się płowe włosy i buzię wypchaną ciastkami. Wygląda jak wiewiórka.

— Nie powinnaś jej rozpieszczać — mówi matka.

— Nie wygląda jak inne — stwierdza ciotka.

— Z dnia na dzień jest do nich coraz mniej podobna — odpowiada matka znużonym głosem. — Patrz na nią: sama nauczyła się czytać. Zamiast bawić się jak inne dzieci, włóczy się samotnie i mówi, że szuka elfów. Co ja mam robić, Paulino?

Rozmowy dorosłych są dziwne. Dorosli w ogóle są tacy powolni, rozważni i nudni. Nie chcą być dorosła.

— Czy on coś podejrzewa?

— Jeszcze nie...

Ciotka Paulina pochyla się do przodu. Jej krzesło ma nogi rzeźbione na kształt lwich łap. Mam ochotę obejrzeć je od spodu, żeby się upewnić, czy wygląda jak brzuch lwa, ale zasłania mi suknią ciotki Pauliny.

— Daj mi ją. — Oczy ciotki pałają. — Pozwól, niech się nią zajmę. Jaki mam pożytek z tych wszystkich pieniędzy? Moje życie jest jałowe. Daj mi cząstkę swojego bogactwa w zamian za cząstkę mego.

— Ale mój mąż... Herkules mówi, że...

— Znam swojego brata. Uważa, że dziewczęta to tylko zbyt ciężki ciężar. Masz syna i drugą, ładniejszą dziewczynkę. On jej wcale nie chce, a pan Tournet hojnie by mu wynagrodził...

W domu rozszalała się burza. Jedna z wielu. Chowam się pod stołem.

— Powiadam ci, nie dam Paulinie tej satysfakcji! — Spomad mojej kryjówki dobiega odgłos uderzeń i łkanie. Pokrywa garnka wiszącego w kominie podskakuje i brzęczy, lecz nikt nie zwraca na nią uwagi. Ze stołu ścieka krew rozrąbanego na pół kurczaka; kapie mi tuż przed nosem. Widzę dwa ciężkie buty; omal nie przydeptują mi rąbka sukienki. — A ty wyłaż, odmieńcze! Wyłaż stamtąd, powiadam! Z dnia na dzień jesteś coraz mniej normalna. Wariatka! Mówię ci, zostaniesz wariatką i zamkną cię na zawsze! Ja sam cię zamknę! Wsadzę cię do skrzyni i nie wypuszczę, dopóki nie zaczniesz się normalnie zachowywać! — Wielka dłoń sięga pod stół. Wycofuję się na czworakach.

— Co moja siostra jej dała? Zawsze jej coś daje za moimi plecami!

— Wielka dłoń łapie mnie i wyciąga spod stołu. Nogi majtają mi w powietrzu. — Przysięgam, że wytrąsnę to z ciebie...

Głowa mi podskakuje, mam wrażenie, że za chwilę ojciec skręci mi kark. Otrzymana w podarunku chusteczka haftowana w moje inicjały, w którą ciotka Paulina zawięła słodycze, wypada z ukrycia w rękawie. Ciężki but depcze ją, wgniata w brudną słomę rozłożoną na płytach kuchennej posadzki.

— Ojczy! — krzyczę, lecz krzyk zdaje się dochodzić z bardzo daleka.

— Nie pozwolę, żeby ta kobieta cię psuła! Wolę widzieć cię martwą!

— Herkulesie, nie pejczem! Ona jest małutka!

— Nigdy... więcej... się... z nią... nie... zobaczysz. Zabraniam!

Razy sypią się na mnie w takt tych strasznych słów. Co jest ze mną nie tak? Dlaczego rodzony ojciec mnie nie kocha?

— Ja już będę grzeczną! — powtarzam z płaczem.

Dziś jestem dorosła, lecz nadal niegruczna, myślę jadąc na człapiącej sennie klaczce i wspominając tamtą scenę. Albowiem właśnie jadę do ciotki Pauliny. Opowiem jej... wszystko.

Był taki czas w klasztorze — wkrótce po tym, jak odkryłam moją wyrafinowaną duchową naturę — gdy planowałam poświęcić całe życie Bogu. Niestety, każda idylla ma swój koniec. Kolejne niepowodzenie finansowe ojca stało się przyczyną brutalnego wyrwania mnie ze świętego ustronia i zawarcia przez rodzica umowy małżeńskiej z pewnym szlachcicem z sąsiedztwa, Teobaldem Villasse'em, panem na La Tourette. Villasse oświadczył się o mnie po raz pierwszy, kiedy miałam lat szesnaście, ale nasza sytuacja była wówczas lepsza i ojciec odrzucił go ze względu na niedostateczne koligacje. W gruncie rzeczy ten człowiek w ogóle nie miał żadnego rodowodu, a tylko duży majątek zgromadzony dzięki nabyciu monopolu solnego i różnym nie do końca określonym przysługom oddanym faworytowi króla, marszałkowi Saint-André. Krótko mówiąc, jego tytuł nie był poparty uświęconą tradycją, a wulgarnie kupiony wraz z posiadłością ziemską w czasie, gdy już byłam na świecie.

Zważcie, że sama przynigdy nie wybrałabym go na męża. Miał prawie pięćdziesiąt lat i mnóstwo zmarszczek, a w jego rzędzących włosach i rudawej brodzie pojawiły się już siwe pasemka. Te jego zimne zielone oczy... Może później opiszę ich wyraz — w każdym razie dla mnie był to wzrok człowieka o wątpliwej paranteli, który patrzy na świat szlachetnych myśli i uczynków tak, jakby podglądał go przez dziurkę od klucza. Jego oczy uciekały na boki, błyskała w nich skrywana mściwość i złe intencje. Doprawdy, życie oblubienicy Chrystusowej, mimo wszelkich ograniczeń, wydawało mi się o wiele bardziej kuszące niż związek z takim człowiekiem. Niestety, zdanie panny nie jest brane pod uwagę. Panna musi poślubić tego, kogo wybierze jej ojciec. Sądzę, że nie bez znaczenia była tu winnica pozostawiona mi w spadku przez dziadka ze strony matki. Przylegała ona do południowej granicy ziem Villasse'a, na których w ogóle nie uprawiano winorośli. Zdaje się, że mowa też była o różnych długach mających ulec umorzeniu i nowych pożyczkach udzielonych ojcu z chwilą, gdy winnica i moja osoba — nierozłączne, ku szczeremu strapieniu Villasse'a — przejdą na jego własność. Oczywiście nawet nie udaję, że znam się na finansach. To sprawy niegodne wzniesłego umysłu i damie nie wypada się nimi zajmować.

Jednakże przyziemny i wulgarny pieniądz sam zmusza nas, byśmy o nim myśleli (jak pijak, gdy wtargnie na elegancki bal, na który nie został zaproszony). Na przykład wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy po opuszczeniu ukochanego klasztoru słudzy wysłani po mnie

przez ojca zamiast w stronę odległych wież Orleanu skierowali się ku naszej wiejskiej posiadłości w La Roque-aux-Bois.

— Dlaczego o tej porze roku nie jedziemy do miasta? — spytałam i dowiedziałam się, że nasz elegancki i wygodny miejski dom został wraz z częścią mebli wynajęty wzbogaconemu kupcykowi handlującemu rękawiczkami z włoskiej skóry! Wytworny *hôtel* mego dziadka! Galerie, w których rozlegało się echo dziecięcych zabaw mojej matki, te same komnaty, które słuchały i mego niemowłęcego szczebiotu, dziś wypełniał cudzoziemski szwargot, brzęk monet i swary przekupniów! Czemu nie przeznaczyli go na lombard albo burdel? Trudno byłoby upaść jeszcze niżej.

Ale wzniosły umysł w nowych okolicznościach zawsze znajdzie nowe perspektywy rozwoju, nawet jeśli okoliczności te zmuszą go do całorocznego pobytu w posiadłości lepiej nadającej się do wypoczynku w ciepłych miesiącach letnich. Skompletuję zielnik i będę rysować tamtejsze rośliny, powiedziałam sobie. Może powinnam też stworzyć cykl poematów związanych z porami roku. Miał w odosobnieniu żałować rozlicznych towarzyskich zobowiązań, mogłabym podjąć wątek mego najambitniejszego, choć jeszcze nie ukończonego dzieła pod tytułem: „Dialog Cnót, w którym wyższość Prawdziwej Wstrzemięźliwości, Pokornego Oddania i wszelkiej Doskonałości Wiary Chrystusowej wyłuszczone jest piórem szlachetnie urodzonej damy”. W tej mojej najśmielszej jak dotąd wyprawie w wyższe rejony ducha pogańscy bogowie rozprawiają z chrześcijańskimi świętymi i zostają, rzecz jasna, pokonani w dyspucie. Głos mego przyziemnego, czyli niższego „Ja” włożyłam w usta Wulkan — pracowitego, choć szpetnego i niezbyt poważanego bóstwa. Naturalnie nie planowałam opatrywać rękopisu swym imieniem, albowiem dama z dobrego rodu przelewając myśli na papier winna pozostać anonimowa, jak zwykle nas pouczać siostra Celesta. Nie planowałam też czegoś tak niestosownego jak wydanie tego dziełka drukiem. Marzyłam raczej o poklasku wybranych czytelników, o szmerze podziwu w eleganckich salonach... Tak, to zadowoliliby mnie w zupełności.

Wkrótce — ach, o wiele za szybko! — przejeżdżaliśmy już przez szeroką bramę pod masywną wieżą z gołębnikiem, wieńczącą nasz stary wiejski dom. Zsiadając z konia przed rezydencją, w której miałam teraz spędzać zimy i lata, pomyślałam, że dziedzic niezmierznie by zyskał, gdyby przepędzić kury i pokryć zakurzone klepisko brukiem sięgającym od bramy aż do drzwi budynku mieszkalnego usytuowanego po przeciwnej stronie. Wszedłszy do wielkiej sali (której również pomogłoby

zastąpienie setek par jelenich rogów kilkoma gobelinami w dobrym guście), znalazłam się oko w oko z ojcem, naszym sąsiadem Villasse'em i umową ślubną, która leżała na stole pod oknem, czekając na mój podpis. Matka, siostry i słudzy stłoczyli się w rogu sali. Wszyscy milczeli z takimi minami, jak gdyby uczestniczyli w pogrzebie.

Villasse wydał mi się nieco tęższy, niż zapamiętałam, jego oblicze nieco bardziej pobrużdżone, a zimne zielone oczy bardziej wyrachowane. Muszę przyznać, iż na moment wzdrygnęłam się ze strachu: majątek Villasse'a leżał na uboczu i wiadomo było, że próżno w nim szukać wszelkich drobnych luksusów niezbędnych damie o subtelnej i wrażliwej naturze. Ponadto krążyły pewne pogłoski o okolicznościach śmierci jego pierwszej żony (słyszałam je od mojej kuzynki w drugiej linii, Mateliny, która swoje niedostatki duchowe pokrywa światowym upodobaniem do plotek i tańców). Nie, Villasse, choć nabył dziedziczny tytuł pana na La Tourette i przez to wchodził w matrymonialne rachuby, nie mógł się poszczycić długim szeregiem budzących szacunek przodków, a co gorsza — nie wydawał się człowiekiem, którego można by pokochać.

— No, na co czekasz? Podpisz. Tu masz pióro — rzekł ojciec szorstkim tonem nawykłego do rozkazywania oficera. Ale my, delikatne niewiasty, nie służymy w wojsku, nie jesteśmy więc zobowiązane ustępować przed zwykłym grubiaństwem.

— Nie ma tu ani słowa o dacie ślubu — powiedziałam.

— Odbędzie się niezwłocznie. Zapowiedzi już wyszły — odparł ojciec.

— Och, to niemożliwe! Nie będę miała czasu dopilnować urządzenia mojej komnaty w La Tourette... Cóż dopiero mówić o wszystkich drobnych a koniecznych rzeczach, których potrzebuje dama z dobrego rodu.

Oczy Villasse'a zwięzły się nieco, lecz spytał dwornie:

— A ile czasu będzie na to potrzebne, panno Sybillo?

— Nie tak mało. Mam nadzieję, że wpisiecie to w umowie. Sama z przykrością odwlekam szczęsną chwilę, ale trzeba myśleć także o przyszłym szczęściu. Najważniejsze jest właściwe przygotowanie.

— Ach, tak... przygotowanie... Jak długie?

— Najpierw muszę zamówić wyprawę i suknię ślubną. Potem bieliznę stołową i pościel. Muszę też przejrzeć pańską bibliotekę i posłać po dzieła niosące religijną pociechę płci niewieściej. Co najmniej sześć miesięcy, wliczając czas potrzebny na zakup książek.

— Nabożne książki? — Zmarszczki Villasse'a zmieniły ułożenie, świadcząc o targających nim silnych emocjach.

Zerknęłam na matkę. Stała sztywno, blada i cicha. Miałam wrażenie, że oczy jej dziwnie błyszczą.

— Mówiłem ci, że jest wykształcona — wtrącił ojciec.

— To błąd. Dobrze, że go nie powtórzyłeś wychowując pozostałe córki.

— To był kaprys mojej siostry. Sybilla wydawała się lepiej usposobiona do życia w zakonie.

W ten sposób ojciec zwykle dawał do zrozumienia, że jego zdaniem jestem zbyt brzydka, aby znaleźć męża. Kiedy zaś najstarsza córka nie wychodzi za mąż, blokuje drogę młodszym, które czekają na swoją kolej. Ciotka Paulina ofiarowała się opłacić moją edukację i ojciec skwapliwie uchwycił się tej szansy, aby się mnie pozbyć. Czulałam, jak rumieniec oblewa me dziewicze lico. To, iż Opatrzność uznała, że nadmiar zalet ducha zrekompensuje mi pewien niedostatek fizycznych wdzięków, nie oznaczało jeszcze, że mam wysłuchiwać tego rodzaju komentarzy w najważniejszym dniu mojego życia.

To prawda: niektóre dziewczęta w klasztorze naśmiewały się z mego wzrostu i chudości, większość z nich miała jednak brzydką cerę i niezgrabną figurę. Uznałam, że powoduje nimi zazdrość o moją gładką, czystą skórę i duże ciemne oczy, o moje gęste, wijące się czarne włosy, a zwłaszcza o mój melodyjny głos, który nie miał sobie równego w całym chórze. Poza tym, jak widać, wystarczająco nadawałam się na trzecią żonę Teobalda Villasse'a, któremu — jak już wspomniałam — brakowało nie tylko młodości i urody, lecz także cnót charakteru.

— Odmawiasz podpisania? — w głosie ojca zabrzmiała groźba.

Moja siostra Lauretta głośno wciągnęła powietrze. Nie widziałam jej; stała dalej od stołu w cieniu wielkiego rzeźbionego kredensu.

Uwięzienie w jakiejś klitce o chlebie i wodzie oraz chłosta co wieczór — nie tak wyobrażam sobie uroki życia. Dlatego staram się żyć w zgodzie z ojcem.

— Skądże znowu! Ze wszech miar pragnę ojca zadowolić i przyspieszyć radosny dzień zaślubin. Wiem jednak, że pan Villasse chciałby mnie godnie powitać w swoim domu, jak przystoi szlachetnemu rycerzowi. Podobnie i ja chcę przynieść zaszczyt jego domowi i osobie.

Ojciec przewrócił oczyma, jak gdyby chciał spytać: „A cóż to, u licha, ma znaczyć?” Uśmiechnęłam się skromnie.

Villasse, widząc ten uśmiech, spojrzał na mnie łaskawie i rzekł:

— Notariusz zaraz naniesie poprawkę z zastrzeżeniem, że może panna przyspieszyć dzień naszego ślubu wedle własnej woli.

— Ustępujesz jej, Teobaldzie? Uparte panny powinny zakosztować bata, ot, co, a nie znam bardziej upartej i płochszej niż Sybilla. Żle zaczynasz, słowo daję.

— Moja żona będzie otoczona szacunkiem. Panno Sybillo, gdy nadejdą owe religijne dzieła, mogłabyś czytać mi je w wolnych chwilach, aby pouczyć mnie w materii ducha.

Ojciec wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Villasse uśmiechnął się jeszcze szerzej. Notariusz nagryzmolił dodatkową klauzulę i w końcu podpisałam.

— Uczcijmy nasz związek kielichem wina — rzekł mój narzeczony.

Matka skinęła głową i uśmiechnęła się blade.

Umoczyłam usta w pucharze. Gdy wznoszono toasty, moje wyższe „Ja” zaczęło snuć skromne nadzieje. Być może jednak zdołam go ucywilizować. Oczekiwanie sprawi, że będzie mnie wyżej cenili. Potem co wieczór głośnie czytanie wzniosłych dzieł, regularne uczestnictwo we mszy świętej... Taka nauka może zdziałać cuda i nieraz już zmiękczała męskie dusze, zapewniło mnie wyższe „Ja”. A poza tym — szepnęło niższe — jeśli zwłoka będzie dostatecznie długa, może zdarzy się coś, co pozwoli mi się z tego wyplątać.

W ciągu pół roku wiele spraw może nam stanąć na przeszkodzie, pomyślałam, kładąc książkę do tarota, zatytułowaną „Giardino di Pensieri”, na wielkim łożu, które dzieliłam z siostrami. Szkoda, że nie mam na krosnach całunu, który mogłabym pruć nocą jak Penelopa. Westchnęłam cicho, rozkładając karty. Maj już prawie upłynął, ale mam jeszcze przed sobą czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik... To szmat czasu, nieomal wieczność. Mój zielnik był coraz bogatszy, zaczęłam też szkicować kości skrzydeł różnych ptaków, pragnąc zgłębić tajemnicę lotu.

— O, to jesteś ty, Lauretto. Czwórka denarów oznacza pieniądze po pewnym okresie oczekiwania. Pamiętam dobrze, nie muszę nawet zaglądać do książki.

Spod łóżka rozległo się mlaskanie przerywane błogimi pomrukami: Gargantua, mój szczeniak o gigantycznym cielsku i maleńkim mózdzku, ogryzał wołową kość. Ten pies nie nadawał się ani do polowania, ani jako strażnik. Urodził się strasznie duży i od tego czasu tylko jadł i rósł. Nie wiadomo było, kiedy wreszcie przestanie.

Okazywał mi jednak ogromne przywiązanie, toteż matka nie pozwoliła ojcu się go pozbyć.

— Och, jak wspaniale jest być wykształconą! — westchnęła Franciszka, która tego lata skończyła dziesięć lat.

— Czy to zakonnice nauczyły cię czytać z kart? — spytała Izabela, która miała lat dwanaście i nie lubiła rachunków.

— Nie, zakonnice nie wierzą w karciane wróżby. Tarot jest w klasztorze surowo wzbroniony. Ale przecież siostry nie o wszystkim muszą wiedzieć, prawda? Zawsze da się przemycić za furtę słodycze, kocięta czy karty. — Przewertowałam parę stron książeczki. — Dominika dała mi swoją talię, kiedy wyrzekła się świata, a tę książkę dostałam w zeszłym roku od kuzynki Mateliny, nim wyszła za mąż.

— Widziałam ją dwa dni przed wyjazdem z miasta — wtrąciła osiemnastoletnia Lauretta, najpiękniejszą dziewczęcę w rodzinie. — Jechała na mszę do katedry na wspaniałym białym koniu. Poprzedził ją pacholek w jedwabnej liberii. Przywitała się ze mną. Podobno teraz, po zameściu, jest bardzo bogata.

— Damy nie rozmawiają o pieniądzach — zgañiłam ją. — To przejaw złego smaku.

— Słowo daję, siostro, nie masz za grosz rozumu — prychnęła Lauretta. — Bez pieniędzy nie możesz zrobić nic, nawet siedzieć i marzyć przez cały dzień, jak to masz w zwyczaju. Co do mnie, chcę być majątna i do diabła z dobrym smakiem. No, wróż dalej. Powiedz mi, że będę bogatą panią wielkiego domu, wydającą co roku najmniej dwa... nie, trzy bale, i że będę mieć mnóstwo sukien, klejnotów i własne konie pod wierzch.

Westchnęłam. Nie tylko fizycznie różnię się od swoich sióstr; mam również całkiem odmienne niż one pragnienia.

Trudno wprost opisać cierpienia cywilizowanej duszy, przez pomyłkę bądź kaprys dowcipnego Pana Boga umieszczonej w zupełnie nieodpowiednim miejscu. Przecież Wszchemogący lepiej by uczynił wybierając dla mnie przyjaźniejsze i bardziej dystygowane otoczenie. Chętnie oddałabym pozycję najstarszej córki wraz z winnicą, by — przypuśćmy — zostać jedynaczką księcia-filozofa lub dobrze urodzonego doktora teologii, a nie niepożądaną latoroślą w nazbyt licznej rodzinie królewskiego wasala. Krewnych ze strony ojca było tak wielu, że rodowa dziedzina została podzielona na małeńkie splachetki. Bieda jest przekleństwem starych i płodnych rodów. Z całej rodziny tylko ciotka Paulina była zamożna, a to dzięki temu, że wychodząc za mąż poświęciła pozycję i urodzenie dla majątku. Ojciec biadał, że siostra dlań umarła, lecz jej podarunki i

pożyczki „z za grobu” traktowane były o wiele mniej pogardliwie niż osoba ciotki.

To moja matka była dziedziczką La Roque; prócz niej wniosła ojcu kilka innych wiosek, winnicę ze źródłem oraz zrujnowanym donżonem, a także dom dziadka w Orleanie. Jednakże całe jej wiano (z wyjątkiem La Roque-aux-Bois) przypadło skutkiem ekstrawagancji ojca, wymagań pozycji, konieczności wykupienia dla mojego brata Hannibala przydziału do modnej kompanii pana de Damville.

Wyłącznie dzięki przezorności dziadka ostała się winnica — zapisana mi, nim jeszcze opuściłam łono matki. Przed śmiercią dziadek obwarował ten niewielki zapis taką liczbą prawnych klauzul, że nie dało się go oddzielić od mej osoby. Ów dziwny dar w sumie nie przyniósł mi szczęścia, lecz związek z noszącym kupiony tytuł gburem, który chciał rozszerzyć granice swoich włości.

Nieznajome głosy i odgłos końskich kopyt na dziedzińcu przerwały mi rozważanie pokrętnych meandrów Losu. Filozoficzna zaduma nie ma szans wśród barbarzyńców.

— Patrzcie, kto jest na dziedzińcu!

— Hannibal! Wrócił i przyprowadził gości!

— Spójrz na ich konie, Sybillo! Wspaniałe! No chodź i popatrz! Stłoczone w oknie na piętrze, podziwiałymy wspaniały widok.

Sześciu zbrojnych piechurów eskortowało ogromnego dereszowatego rumaka, prowadzonego przez dwóch pacholków za posrebrzaną uzdę. Koń miał przycięte na styl wojskowy uszy i ogoloną grzywę, w kłębie zaś był co najmniej o trzy dłonie wyższy od całej reszty wierzchowców w orszaku. Za nim podążał masztalierz i koniuszy, a przed nim jechało dwóch oficerów: nasz brat Hannibal w krótkim haftowanym kaftanie, berecie z piórem i wysokich butach, a obok niego nie znany nam jeździec, jeszcze lepiej odziany i na lepszym niż Hannibal koniu.

— Hannibal! Hannibal! — darły się Franciszka i mała Renée.

Brat zerknął w górę i pomachał do nas. Nieznajomy też podniósł głowę. Był bardzo przystojny: miał orle oczy, ciemne wąsy i władczą postawę. Siedział na koniu z arogancką swobodą, jakby świat w całości należał do niego.

— Och, kto to taki? — westchnęła Izabela.

— Daję słowo, już jestem prawie zakochana! — pisnęła Lauretta. Ja, będąc zaręczona, nie pozwoliłam sobie na żadne płochę myśli.

— Kiedy więc pan de Damville dowiedział się, że Waleczny jest na sprzedaż, kazał nam go nabyć w imieniu swego ojca. — Hannibal

odciął kolejny kawałek gołębia zapiekanego w cieście. — Ach, co za rozkosz! Nie ma to jak domowa kuchnia.

— Hannibalu, dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że wszystkie twoje siostry to piękności? — zapytał nieznajomy, zerkając znacząco na Laurettę, która splonęła rumieńcem.

— Panie d'Estouville, zechcesz zostać u nas kilka dni, a przekonasz się, iż mamy tu wspaniałe tereny łowieckie — rzekł ojciec, królujący pośród opróżnionych półmisków.

— Zostań trochę dłużej, Hannibalu — wtrąciła matka. — Tak rzadko cię widzujemy.

— Hannibalu, nigdy nie odmawiaj prośbie matki! — Nieznajomy uśmiechnął się wpierw do matki, później do ojca. — Ładną sztukę broni widzę tam, na ścianie. Włoska, nieprawdaż?

— Zdobyłem ją na hiszpańskim żołnierzu w bitwie pod Landriano.

— To podobno były wspaniałe czasy. Ma ten nowoczesny zamek? To wielkie udogodnienie. Ojciec opowiadał mi, że dawniej arkebuźnicy ustawiali broń na stojakach, odpalali lont i zamiast celować do wroga, pędzili na tyły ze strachu, że strzelba eksploduje.

— Ten nowy mechanizm jest dobry, lecz zawodny. Nie można pozostawić go przez miesiąc bez czyszczenia, zwłaszcza w czasie słoty. Z kolei powierzenie tego zadania służbie byłoby ryzykowne.

Broń, polowania, bezduszne rozrywki barbarzyńskich umysłów, myślałam. Nie rozmawiali jeszcze tylko o psach i sokołach.

— Nie widziałem nigdy tak wielkiego mastifa jak ten pies — usłyszałam po chwili. — Szczułeś go już na niedźwiedzia, panie?

— Gargantwę na niedźwiedzia? To największy leń, jakiego Pan Bóg stworzył. Tylko je i rośnie, nic poza tym. Zapewniam cię, młodzieńcze, czmychnąłby przed zającem, cóż dopiero mówić o niedźwiedziu. Dawno bym go utopił, ale ilekroć o tym wspomnę, moje córki podnoszą straszny krzyk.

— Zbrodnią byłoby unieszczęśliwić choć na jedną chwilę tak urocze damy. — Nieznajomy obdarzył nas uwodzicielskim uśmiechem.

— Powinniśmy ruszać bez zwłoki — wtrącił Hannibal.

— Mam nową wędrowną sokolicę, którą chcę wypróbować na kaczki. Lubisz polować z sokołem, panie d'Estouville?

— Doprawdy, kusisz mnie, panie. Ostatecznie nie możemy zmęczyć nowego ogiera zbyt forsownym marszem. Jeden dzień... Proszę mi powiedzieć, jakiej przynęty używacie w tej części kraju?

— Dla sokoła? Skrzydeł samca krzyżówki i niczego poza tym.
— Bardzo mądrze. Mają odpowiednią wagę... Hannibalu, twój ojciec skłonił mnie, żeby pozostać tu jeszcze jeden dzień. Kaczki i to cudowne wino... Skąd je bierzecie?

— Mam winnicę na południe od Orleanu, niedaleko Blois. Doskonala gleba.

— To się czuje.

— I słońce. Aura w tym roku jest idealna dla winorośli. Ale powiedzże, panie d'Estouville, jakiego ptaka wolałbyś szkolić: uległego z kiepskim upierzeniem czy dobrze upierzonego, lecz krnąbrnego?

— Wielu ludzi dałoby się zwieść upierzeniu, lecz ja wybrałbym bardziej oswojone zwierzę. Większa szansa, że wróci.

— Miałem kiedyś sokoła, który po prostu ignorował komendy. Nie był też cudem urody, mówiąc szczerze. Sprzedałem go sąsiadowi, który upodobał sobie tego ptaka i wyobrażał sobie, że zdoła go urobić. Za pierwszym razem sokół wrócił, za drugim wzbił się w niebo i tyle go widzieli. Owym sąsiadem był dziedzic z La Tourette. Może słyszałeś o nim?

— La Tourette? To włość w tym księstwie? Jak brzmi rodowe nazwisko tego pana?

— Villasse.

— Ach, Villasse. Rozumiem... — głos d'Estouville'a wprost ociekał pogardą.

Tymczasem moja niezmordowana wyobraźnia zajęta była wizją małej sokoliczki krążącej wysoko nad Villasse'em, który najpierw przyzywa ptaka rękawicą, a potem wrzeszczy i tupie widząc, że nic już nie powstrzyma sokoła w beztróskim locie ku wolności. W ogóle nie docierało do mnie, o czym mówią. W końcu posłyszałam pytanie Hannibala:

— Pojedziesz z nami, Sybillo, prawda?

— Co? A, tak — odparłam bezmyślnie.

— To wspaniale, że damy się do nas przyłączyć — rzekł piękny Filip d'Estouville, błyskając ku mnie swoim czarującym uśmiechem.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Kiedy doręczono matce list od Villasse'a, byliśmy na polowaniu. Przypuszczam, że otrzymawszy go, przyłożyła rękę do serca i nieco zbladła. My tymczasem galopem wjeżdżaliśmy w trzciny na brzegu jeziora, płosząc kaczki. Niezgrabnie zrywały się do lotu, podczas gdy

sokoły zataczały już kręgi w powietrzu, czekając na swe ofiary. Srebrzyste krople wody pryskały na wszystkie strony, a Lauretta śmiała się tak głośno, że aż poróżowiła. Hannibal wskazał ręką na przeczyste lazuruwe niebo.

— Patrzcie, już go ma!

Ojcowska sokolica zanurkowała nagle, chwytając samca krzyżówki w szpony, i z impetem zwała się w wodę wraz z szamoczącą się, skrzeczącą kaczką.

— Mówiłem, że jest nieustraszona. — Ojciec wjechał w wodę, żeby wyłowić sokolicę wczepioną we wciąż jeszcze żywego kaczora. Jednym pchnięciem palca rozdarł skórę na piersi krzyżówki i wyciągnął bijące konwulsyjnie serce, po czym nakarmił nim sokoła.

Słońce błyszczało na liściach drzew po przeciwnej stronie stawu. Kaczki chowały się tam w trzinach, gdzie sokoły nie ważyły się ich ścigać. Niczym we śnie patrzyłam, jak Hannibal gna za swoim ptakiem, który przygniótł ofiarę do ziemi. Łopotały skrzydła, wokół sypało się pierze, bo kaczka broniła się ze wszystkich sił.

— Przepiękny ptaszek — rzekł nasz gość, podjeżdżając bliżej i patrząc na mnie z ukosa, porozumiewawczo. Miałam dziwne wrażenie, że wcale nie mówi o sokołach. Spuściłam oczy, czując, iż oblewa mnie gorący rumieniec. Wewnątrz drżałam jak liść.

— Mój brat jest doskonałym sokolnikiem — bąknęłam.

— Ja też — odparł d'Estouville tonem, który nadawał jego słowom podwójne znaczenie. Jeszcze raz spojrzął na mnie, po czym dał koniowi ostrogę i wyrwał się do przodu, aby pogratulować Hannibalowi.

Gardziłam sobą. Myślałam: Och, Sybillo, jak mogłaś! Bóg obdarzył cię subtelną inteligencją, jak więc mogłaś tak żałośnie wypaść? Dlaczego nie powiedziałaś czegoś dowcipnego, lekkiego i czarującego, co zatrzymałoby go jeszcze na chwilę przy twoim boku? Na papierze twe słowa płyną jak pienisty potok, w życiu jesteś nudna niczym kółek w płocie.

— To był wspański dzień, przyjacielu — powiedział młody oficer do Hannibala, gdy mijając pola nastroszone zielonymi źdźbłami kielkującej pszenicy, kołyszące się na wietrze topole i chłopskie chaty okolone małymi warzywniakami kierowaliśmy się z powrotem ku wysokim dachom domu. Wiatr uniósł odpowiedź mego brata. Ale gdy kopyta naszych koni zagrzecotały w bramie wjazdowej, posłyszałam jeszcze, jak d'Estouville mówi:

— Szczęściarz z ciebie, Hannibalu! Być hołubionym przez tyle urodziwych sióstr...

Słowom tym towarzyszył cudowny porozumiewawczy uśmiech. Oszałamiało mnie spojrzenie bursztynowych oczu Filipa d'Estouville. Jaki piękny i dzielny, i — Boże, odpuść mi — jaki młody i pełen życia wydawał się w porównaniu z Teobaldem Villasse'em! Dzieliły nas jednak pozycja i fortuna, oczekiwania rodziny, status i ranga. Gdybym się tylko ośmieliła...

D'Estouville dźgnął wierzchowca ostrogą i jechał teraz obok Lauretty. Śmiała się; widocznie opowiadał jej jakiś dowcip. Widziałam, jak zerka na zgrabne kostki Lauretty widoczne spod przemyślnie ułożonej spódnicy, na jej filigranowe stopki spoczywające obok siebie niczym para klejnotów na malowanej desce przytroczonej po lewej stronie damskiego siodła. Włożyła dziś swe najlepsze zielone pończochy. Jakim cudem zdołała je tak ciasno naciągnąć? Spojrzałam w dół na własne długie i chude stopy. Zdraczkynie, pomyślałam. Nikt nie zechciałby oglądać moich nóg w pończochach, choćbym nie wiem jak wysoko podkasała kieckę. Może nie zasługuję na kogoś lepszego niż Villasse.

Wyobraźcie sobie, w jak żalosnym stanie zsiadłam z konia, choć na niebie rozlewała się cudowna czerwona luna zachodzącego słońca. Na dodatek matka powitała nas w drzwiach, dzierżąc w dłoni nader niepożądany list, który przypomniiał mi o czekającym mnie losie. Villasse pisał, że udało mu się nabyć od lyońskiego drukarza pełny zestaw dzieł o treści religijnej z ręcznie iluminowanymi inicjałami. Zamówił też nowe zasłony do małżeńskiego łóża. Skoro więc nic mi już nie brakuje do osobistego i duchowego szczęścia, nie ma też potrzeby dłużej odkładać radosnego dnia zaślubin.

— Załączył spis książek. Sporo ich — powiedziała matka, wręczając mi list.

Dobry Boże, było tam praktycznie wszystko: pobożne kazania, dzieła Ojców Kościoła, mszał, godzinki. Myślałam, że ich skompletowanie zajmie mu więcej czasu. Musiał zaraz po przyjeździe wysłać kancelistę do Lyonu.

— Ale... ale ja jeszcze nie skończyłam haftować wyprawy — wyjąkałam.

Za szybko, o wiele za szybko!

Tego wieczoru po kolacji graliśmy w tryktraka, a potem śpiewaliśmy kanony przy stole. Serce miałam ciężkie jak kamień i mój głos także zmatowiał. Byłam tak przygnębiona, że nawet nie zaproponowałam odczytania pierwszych stron mego „Dialogu”, choć zostały tak entuzjastycznie przyjęte na ostatnim artystycznym

wieczorku u kuzynki Mateliny. Na domiar złego musiałam patrzeć, jak d'Estouville prawi komplementy Lauretcie, która śpiewając zwijała na palcu złociste loczki i zerkąła na niego spod rzęs. Chłoneła każde wypowiedziane przez niego słowo — o życiu na dworze, o polityce, o nepotyzmie w kompanii pana de Damville; zafascynowana wysłuchiwała szczegółowych relacji z jego osławionych dwunastu pojedynków, w których nie oszczędził żadnego przeciwnika.

— Mam straszny kłopot, kiedy jestem na dworze — perorował piękny oficer. — Wiele dam czuje do mnie pociąg. Ich mężowie są zazdrośni, cóż począć... Ale po każdej honorowej sprawie damy lgną do mnie jeszcze tłumniej i ostrze mojego rapiera wciąż od nowa pławi się we krwi...

— To doprawdy udręka — wtrąciła Lauretta.

D'Estouville utkwił w niej gorący wzrok, by sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa.

O rozpaczy, gdybym miała cię przedstawić w symbolicznym wierszu, byłabyś spowita w ciemny żałobny strój, lecz przede wszystkim miałabyś za duże stopy.

Nazajutrz nowy ogier pana de Damville, lśniący i wypoczęty, opuścił La Roque w otoczeniu stajennych, masztalerzy i zbrojnej eskorty. Stałyśmy przed bramą machając rękami, a potem pobiegłyśmy na wieżę, skąd widać było jeszcze znikający w dali orszak, a w nim jaskrawy płaszcz Hannibala i wytworną sylwetkę jego przyjaciela. Po chwili obaj rozplynęli się w tumanach kurzu na drodze.

— Sybillo, weź karty i powróz mi o Filipie! — westchnęła Lauretta, kiedy straciłyśmy ich z oczu.

— Ma odziedziczyć znaczne włości w Pikardii i Normandii i nie jest dla ciebie — odparłam, nie siląc się na delikatność. — Niepotrzebne mi karty, żeby ci to przypomnieć.

— Ale ja wiem, że mu się podobam — nadała się moja siostra. — Nie bądź zazdrosna. Przecież ty już masz męża.

— Zwracam tylko twoją uwagę na fakty. Mężczyzna o jego pozycji nie bierze sobie żony bez posagu.

— Myślisz, że możesz się wywyższać tylko dlatego, że dziadek zapisał ci winnicę? Zrobiłby to samo dla mnie, gdyby nie umarł, zanim się urodziłam. A kiedy ciotka Paulina pożegna się z tym światem i ojciec odziedziczy jej majątek, starczy na sowite wiano dla nas wszystkich. Filip mówi, że mam piękne oczy. Uroda też się liczy, wiesz?

— A zatem czekasz na śmierć cioci? Skąd wiesz, że nie zostawi wszystkiego księżom?

— Och, jesteś okropna! — niknęła Lauretta i ze złością wybiegła z komnaty. — Mam lepsze rzeczy do roboty niż... — Jej głos ucichł w dole krętych schodów.

Mnie, niestety, nie czeka już nic lepszego, pomyślałam gorzko. Oparłam głowę o parapet i rozplakałam się.

Niewiele później, chyba zaledwie tydzień, o ile sobie dobrze przypominam, właśnie kiedy usiłowałam wziąć w garść swoje biedne nerwy i napisać do Villasse'a wyjaśniając mu, że wyprawa nie jest jeszcze gotowa, a zamówione w Orleanie tkaniny utknęły gdzieś po drodze, zdarzyło się coś dziwnego. Siedziałam w wielkiej sali przy biurku ojca (właściwie było to biurko dziadka, intarsjowane sześciorami gatunkami drewna i zbyt cenne, aby pozostawić je rękawicznikowi), kiedy w bramie dziedzińca pojawił się człowiek w liberii.

— Ależ, Sybillo — powiedziała Izabela, zaglądając mi przez ramię — przecież nie zamawiałaś materii w Orleanie. Pójdziesz do ślubu w przerobionej sukni naszej matki.

Matka, siedząca przy ramie do haftu, udawała, że nie słyszy, lecz z dezaprobatą zacisnęła usta.

— To prawie to samo. Przerabianie sukni trwa długo, o wiele dłużej, niżby trwało sprowadzenie tkanin. Trudniej przecież szyje się z kawałków niż z nowej materii. Poza tym nie chciałabyś chyba, żeby mój narzeczony pomyślał sobie, iż nie cenimy go nawet na tyle, by z tej okazji sprawić mi nową suknię?

Właśnie podziwiałam efekt popartej żelazną logiką argumentacji na dwunastoletnim umyśle poduszczanym bezbożnym i zaiste godnym Pandory wścibstwem, kiedy wbiegła Franciszka.

— Sybillo, Sybillo! Ciocia przysłała przez swojego lokaja prezent ślubny dla ciebie! Chodź, zobacz, jaki ma śliczny jedwabny kaftan w jej kolorach!

Matka podniosła głowę, robiąc ruch, jakby chciała wstać z krzesła.

— Zobaczmy wszyscy, co za podarunek wymyśliła tym razem ta stara wariatka — sarknął ojciec dowiedziawszy się, że lokaj odda przesyłkę wyłącznie mnie do rąk własnych.

— Mam też list od pani Tournet — rzekł lokaj, zręcznie unikając wyciągniętej dłoni ojca.

Matka podeszła bliżej, by rzucić okiem na list.

— Czytaj na głos — rzekł ojciec. — Miejmy nadzieję, że przysłała ci pieniądze, a nie jakieś idiotyczne poezje.

— „Moja droga córko chrzestna” — przeczytałam. — „Karty powiedziały mi, że wkrótce opuścisz dom rodziców. W zeszłym tygodniu idąc na mszę widziałam Villasse'a nie opodal waszego starego domu. Dowiedziałam się od jego sługi, że ów pan już niebawem ma cię poślubić. Jakież to podobne do mojego brata: nawet nie dał mi znać...”

— Też coś! — prychnął ojciec. — Mam ją informować o wszystkich moich sprawach?

— Ależ mógł przecież ojciec zaprosić...

— Powiedziałem ci już, że nie chcę jej więcej widzieć, i to samo dotyczy was wszystkich! Nie ważcie się mieć z nią do czynienia! Ta kobieta najchętniej wciągnęłaby was za sobą do rynsztoka! Siostra? Moja siostra umarła!

— Ależ, ojciec — wtrąciła Izabela — ciocia wcale nie mieszka w rynsztoku. Ma ogromny dom, i to w najlepszej dzielnicy.

— Chętnie bym zobaczyła, jak w środku wygląda — dodała Lauretta.

— Zakazuję wam przekraczać próg tego domu! I wymawiać publicznie nazwisko Tournet!

Czytałam dalej:

— „Choć od wielu lat nie wolno mi było cię widywać, wiem od Hannibala, że wyrosłaś na przystojną pannę, czego się zresztą spodziewałam.”

— Dlaczego Hannibal może ją odwiedzać, skoro to moja chrzestna matka? — zaciekawiałam się, unosząc wzrok znad listu.

Twarz ojca była twarda jak gład.

— Hannibal jest mężczyzną — uciał. — Czytaj dalej.

— Ciocia kupiła mu tego gniadego ogiera, sam mi mówił — piśnęła Franciszka.

— Cii! — syknęła matka, kładąc jej dłoń na ustach.

Podjęłam czytanie:

— „Chcę, abyś mój dar miała zawsze przy sobie, albowiem wesprze cię on w małżeńskim życiu. Czytaj w samotności. Nieraz znajdziesz tam pociechę. Cokolwiek się zdarzy, masz moje błogosławieństwo. Zawsze ci życzliwa ciocia.”

Odwinęłam natłuszczony jedwab z podanej mi przez lokaja paczki. Wewnątrz była książka oprawna w zwykłą cielęcą skórę, dziwnie ciężka, zważywszy jej mały format. Otworzyłam na chybił trafił i ujrzałam piękną rycinę przedstawiającą Pana Naszego w otoczeniu zbrojnych mężczyzn. Całował Go niesympatyczny typ, którego złośliwa mina nasuwała niepokojące skojarzenia z moim narzeczonym. Pod

spodem czerwonymi literami napisane było: „Passio domini nostri Iesu xpi secundum Johannem.” Godzinki — prezent zaiste odpowiedni i w dobrym guście, choć może nie tak hojny, jak oczekiwałam.

— Modlitewnik! Do jakiejż jeszcze hipokryzji zdolna jest ta baba! — wrzasnął ojciec.

Nagle zdałam sobie sprawę, że spodziewał się pieniędzy lub ślubnych klejnotów, które mógłby zagarnąć i przeznaczyć na jakiś sobie tylko wiadomy praktyczny cel. Owszem, książka była piękna, lecz prosta oprawa, na której widniało kilka brunatnych plam, umniejszała jej wartość. Pozostawała kwestia wagi. Obróciłam tomik w dłoniach, przyglądając mu się uważnie. Czytać w samotności. Być może oznacza to coś więcej niż hołd mej uduchowionej naturze. Kiedy zostanę sama, zajrzę za grzbiet. Ciocia Paulina bez wątpienia zna ojca jeszcze lepiej ode mnie i być może ukryła w książce drobną sumkę na mój prywatny użytek. Po zastanowieniu wydało mi się, że godzinki, nawet wydane dwubarwnym drukiem, lecz bez ręcznych malowideł, są nieco za skromne jak na prezent ślubny. Tak, z pewnością ów tomik kryje więcej, niż widzi oko.

Rozmyślenia przerwały mi okrzyki i bieganina. Matka, która podeszła obejrzeć prezent, ni stąd, ni zowąd zemdląła.

ROZDZIAŁ IV

Był czas wieczerzy; szlachcic zawiódł Bernage'a do wspaniałej sali, pięknymi makatami obitej. A gdy podano na stół mięsiwa, ujrzał Bernage, jak zza makat wyszła białogłowa, że trudno o piękniejszą [...] jeno lica miała bladziuchne i postać smutną. Pojadłszy niewiele, poprosiła pić, a domowy pacholek przyniósł jej do picia napój w osobliwym naczyniu, bowiem była to trupia głowa z dziurami na oczy srebrem zatkanymi...

[Pan domu wyjaśnił panu de Bernage, że dama jest jego żoną, czaszka zaś należała do kochanka, którego przyłapał z nią w łóżnicy i zabił; odtąd kazał jej pić z jego czaszki, by do końca życia pamiętała o popełnionym grzechu.]

— Tak tedy, panie moje, jeśli by wszystkie białogłowy, którym się przygodziła podobna rzecz, pijały z takich naczyń, lękam się, iż niejedną pozłocistą czaszę wypadłoby na trupią głowę zamienić. [...]

— Mnie — rzekła Parlamente — ta kara zdaje się bardzo mądrą, bowiem jak obraza była gorsza od śmierci, tak i kara gorsza od śmierci.

Na co Ennasuite:

— Innegom ja mniemania, bo wołałabym, póki życia, w alkie-rzu kości wszystkich moich zalotników oglądać, niżli za nich położyć głowę; nie masz kary, z której by się nie dało wykupić, a zaś od śmierci nie ma wykupienia.

Małgorzata z Nawarry
Heptameron, 1512
(przeł. A. Tatarkiewicz)

Kiedy matka zemdląła, zrobiło się straszne zamieszanie: przyniesiono wodę, skrapiano jej twarz, wachlowano i pokrzykiwano; minęła więc dłuższa chwila, nim znalazłam się bez świadków z nową książką. Krótkie oględziny ujawniły, że zawiera ona dziesięć złotych florenów, świeżo wybitych i nie oberżniętych, owiniętych w haftowaną chusteczkę i wepchniętych za grzbiet, tak jak się spodziewałam. Na wszelki wypadek zaszyłam je od razu w spodniej sukni. Nawet dama może czasem potrzebować gotówki — rzecz jasna w razie nagłej potrzeby, a nie dla awanturnicznych i niegodnych płci niewieściej przedsięwzięć.

Matka wyjaśniła swe omdlenie duchotą. Położyła się do łóża, gdzie przez wiele dni jadła tylko polewkę i kaszłała krwią.

Po kilku tygodniach ojciec znużył się jej chorobą i wyruszył do Orleanu na najlepszym wierzchowcu. Towarzyszył mu zaufany sługa (który dosiadł drugiego najlepszego konia). Podobno chciał odebrać czynsz od rękawicznika (czy też handlarza rękawiczek; nie wiem). Nie wiem też, czy rzeczywiście chodziło mu o czynsz, wiem natomiast jedno: szanujący się szlachcic nie powinien się osobiście zajmować tak niskimi sprawami. Do tego ów wyjazd najpewniej pociągnie za sobą nieroztropne wydatki, o których dla spokoju ducha wolałam nie myśleć.

Mały modlitewnik z poplamioną okładką napawał mnie dziwną melancholią. Nosiałam go przy sobie i często przystawałam w jakimś uroczym zakątku — nie po to, by podziwiać krzew dzikiej róży lub trzepot ptasich skrzydeł, lecz po to, by nań spojrzeć. Zastanawiałam się, do kogo ongiś należał i skąd się wzięły plamy. Ciekawiło mnie też, jak naprawdę wygląda w środku dziwny dom, w którym przechowywano tę książeczkę. Smętna zaduma przyprowadziła mnie o senne koszmary; kilkakrotnie budziłam się w nocy przerażona, nie wiedząc, co się stało. Zdawało mi się, że słyszę krzyki i szczęk broni. A potem pewnej nocy obudziłam się — a może tylko śniłam, że się budzę — i ujrzałam mężczyznę, właściwie jeszcze prawie chłopca (był młodszy ode mnie; miał może siedemnaście lub osiemnaście lat), który stał przy łóżku i patrzył na mnie. Miał na sobie staromodny kaftan i studencką togę, a jego gęste kędzierzawe ciemne włosy wymykały się spod płaskiego beretu. Najbardziej przestraszyły mnie jego oczy, takie były przepastne i smutne. Patrząc w nie pomyślałam o śmierci. Usiadłam tak gwałtownie, że przebudziłam Izabelę, która wymruczała sennie: „Przestań się bez przerwy wiercić, Sybillo, znów ściągnęłaś ze mnie kołdrę”. Ale postać — lub zjawą — już znikła.

Nazajutrz rano na niebie zaczęły się piętrzyć chmury, a potem rozpętała się burza, która nie pozwoliła mi wyjść na spacer, przez co byłam jeszcze bardziej nerwowa i spięta. W końcu jednak się roz pogodziło i wtedy ujrzałyśmy, jak zza zakrętu pokrytej kałużami drogi wyłania się samotny jeździec. Był to nasz rządca, Wincenty.

Matka wstała tego dnia z pościeli, żeby dopilnować skórowania i patroszenia zajęcy na wieczorny posiłek. Na sukni miała wielki fartuch, zbryzgany tu i ówdzie krwią.

— A gdzie mój mąż? — spytała niespokojnie.

Ubłocony od stóp do głów po długiej jeździe rządca rozwiesił opończę przy ogniu. Zapach mokrej wełny zmieszał się z kuchennymi oparami. W ciszy, która zapadła, brzęk pokrywek podskakujących na wrzących garnkach brzmiał jak głos całej baterii werbli. W końcu Wincenty odetchnął głęboko i rzekł:

— Pan został pojmany przez sędziego i wtrącony do lochu.

— Za co, na miły Bóg?

— Jako winny hugenockiej herezji.

— Herezji? — wtrąciłam się. — To śmieszne! Skąd im to przyszło do głowy?

— Ten rękawicznik, który wynajmuje dom, Dumoulin, jest hugenotem, to pewne. Przez to podejrzenie padło i na jaśnie pana. Mówiłem mu, ostrzegąłem go, ale sami wiecie, pani, jaki jest uparty, gdy chodzi o pieniądze.

— Ale to na pewno...

— Sąsiedzi widzieli ludzi, którzy przychodzili tam co tydzień o tej samej porze i wychodzili późną nocą. Ktoś, nikt nie wie kto, złożył donos na tego oślizłego węża, jakim okazał się Dumoulin, i pewnej nocy straż zaczęła się i nakryły wszystkich. Z pewnością było to jedno z ich diabelskich zgromadzeń, jakie ci heretycy nazywają „nabożeństwem”. Urządzili tam orgię i czcili Szatana, a Dumoulin im przewodził! Podobno tańcowali nago wokół kielicha z ludzką krwią, czyniąc sobie urągowisko z Wieczerzy Pańskiej. Każda szafa była pełna heretyckich pism z Genewy i słyszałem też, że znaleziono kufer wypchany po brzegi szkieletami niemowląt, które składali w ofierze. Opowiadali mi o tym wszystkim „Pod Głową Maura”, gdzie czekałem na pana, ale pan jak to pan, o niczym nie chciał słyszeć, a kiedy poszedł po czynsz, pojmali i jego. Ja miałem szczęście: udało mi się czmychnąć, kiedy zobaczyłem ludzi sędziego.

— Orgie i ofiary z dzieci w domu mego ojca! Co za hańba! — Matka raptownie opadła na stół i znów zaczęła kaszleć.

— Ale dlaczego go uwięzili? — wtrąciłam. — Nasz ród jest znany. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy dobrymi katolikami. Ojciec został oszukany.

— Ten stary diabeł, Dumoulin, zeznał na torturach, że pan de La Roque wiedział o ich herezji, kiedy wynajmował im dom, więc sędzia myśli, że jest jednym z nich.

— Mogłeś przecież iść do nich i powiedzieć im prawdę.

— Poszedłbym i sto razy, wielmożna pani, gdybym mógł cokolwiek wskórać. Ale kiedy opowiedziałem o wszystkim chłopcom „Pod Głową Maura”, ci wyjaśnili mi, że nawet gdyby pan był heretykiem, ja i tak nie byłbym tego świadom, bo wyznawcy Lutra z diabelską pomocą ukrywają się też pośród możliwych i nawet własna żona nic o takim nie wie. Trzeba dopiero wydrzeć z niego prawdę. Rękawicznika i innych po niedzieli mają spalić na stosie. Całe miasto się tam wybiera.

Spojrzenie Wincentego uciekało na boki, co zrodziło we mnie pewne podejrzenia. Oczywiście człowiek cieszący się takim zaufaniem, taką pozycją w domu swego pana, powinien bohatercko pozostać przy nim i bronić go przed oszczerstwami zdradzieckiego kupca! Jednakże pewne cechy charakteru Wincentego — zwłaszcza nadmierną troskę o własną skórę i zawartość własnej kiesy — muszę, niestety, przypisać okolicznościom jego przyścia na świat. Jest on mianowicie bastardenem spółdzionym przez ojca z chłopką, a nie prawdziwym członkiem rodziny. Ojciec świata nie widział poza matką Wincentego, dopóki żyła, i ta słabość kazała mu pokładać w jej synu większe zaufanie, niż ja osobiście uznałabym za stosowne.

— A jeśli Herkules wiedział, że ten człowiek to heretyk? — szepnęła matka. — Jeżeli wiedział? Boże, w takim razie jesteśmy zrujnowani. Wszystko, co jeszcze posiadamy, przepadnie. Będziemy żebrac o kawałek chleba. Dzięki Bogu, że mój ojciec nie dożył tego dnia! Ach, moje dzieci, moje biedne dzieci!

— Mamo, wszyscy w mieście nas znają. Kiedy ojciec wyjaśni, że co roku jeździ na mszę i aniby mu w głowie nie powstało kumanie się z heretykami, na pewno go uwolnią.

— Boję się, że to nie jest takie proste, panienko Sybillo — rzekł Wincenty. — Oni nie zechcą ryzykować, że wypuszczą heretyka. Poza tym, tak sobie myślę, że pan mógł wiedzieć. Nie żeby był jednym z nich, co to, to nie. Po prostu wynajął dom heretykom, żeby wziąć większy czynsz. Rozumie panna, sam nie wiedział, do czego to doprowadzi...

Zrobiło mi się ciężko na sercu. Takie postępowanie nie byłoby czymś nowym u twojego ojca, podszeptęło złośliwie moje niższe „Ja”. Nonsens, odparło wyższej pomyśl, że mógł również zostać wywiedziony w pole, będąc osobą, dla której złożoność duchowych wymiarów życia jest i na zawsze pozostanie zamkniętą księgą.

Tak, pomyślałam, to wszystko tłumaczy. Kamień spadł mi z serca, które nagle wezbrało nadzieją, albowiem moje wyższe, poetyczne „Ja” podsunęło mu wzniosłą, natchnioną wizję.

— Matko — odezwałam się stanowczo — słyszałam już o takich przypadkach. Opowiadano mi o pewnej szlachetnie urodzonej kobiecie, która zanosła do biskupa petycję w obronie swego syna.

— Petycję? Któż z nas potrafiłby napisać coś takiego? Nie zdążymy na czas wezwać notariusza i dostarczyć pisma, zanim... Boże, nie zechcą chyba torturować herbowego szlachcica? Chociaż z drugiej strony, chodzi o herezję... Kto wie, co oni tam robią. O Boże, Boże, gdybyż Hannibal był tu z nami!

Złe nowiny rozniosły się natychmiast. W kuchni stłoczyły się moje siostry i część domowych służ, wytrzeszczając przerażone oczy.

— Mamo — odezwała się Franciszka, ciągnąc matkę za spódnicę, żeby zwrócić jej uwagę. — Mamo, Sybilla jest bardzo mądra.

— Och, w głowie mi się mąci. Nie wiem, co robić. Muszę posłać po Hannibala, niech tu prędko przyjedzie...

Złote floreny zaszyte w halce zdawały się coraz cięższe; czułam prawie, jak parzą moją skórę. Możesz zrobić wszystko, szeptały. Możesz nająć adwokata, który zbada prawo i udowodni, że twój ojciec jest całkowicie niewinny spiskowania z heretykami. Możesz jechać do miasta, spotkać się z biskupem. Nie odmówi ci posłuchania — ostatecznie czyż sam nie ochrzcił cię dawno temu, kiedy jeszcze był zwykłym księdzem? Oczyma duszy widziałam siebie odzianą w tragiczną czerń, z delikatnie zamglonymi łzami oczyma pod jedwabnym woalem, jak wręczam biskupowi petycję napisaną tak wytwornie i przejmująco, że rozplacze się ze wzruszenia — i podziwu dla autorki. O, potężne i wszechwładne Słowo, czegoż nie dokonasz, kierowane natchnioną duszą!

— Sybillo, musisz napisać petycję i uratować ojca — orzekła Izabela. — Hannibal jest za daleko. Tylko ty możesz to zrobić.

Słyszając to, moje wyższe „Ja” odsunęło od siebie wszelkie wątpliwości. Zmyła je potężna fala uniesienia. Gdybym to ja ocaliła ojca, nigdy już nie natrząsałby się z rozmiaru moich stóp albo patykowatych

kształtów. Uwolniony z lochu, z cienia stosu, obejmowałyby me stopy (choć tak wielkie) łkając z wdzięczności. Myśl była tak piękna, że natrętny głosik mego przyziemnego „Ja” utonął w fali radosnego oczekiwania.

— Wiem, jak to się robi — oznajmiłam. — Czytałam o tym w książce. Trzeba wziąć petycję i rzucić się z płaczem do stóp biskupa, a wtedy on spełni prośbę.

— Czy to była książka o biskupach? — spytała Lauretta, którą ciasny umysł i gruboskórna natura skłaniają do nieufności wobec jednostek ożywianych wyższymi uczuciami.

— Niezupełnie. Raczej o petycjach.

— I o herezji? — Małe niebieskie oczka Lauretty do złudzenia przypominały tanie emaliowane paciorki.

— Nie, o zdradzie, ale to prawie to samo. Książka opowiada o tym, jak diuszesa Valentinois ocaliła życie swemu staremu ojcu oskarżonemu o zdradę, rzucając się do stóp króla Franciszka.

— Sybillo! To okropna, skandaliczna historia! — Matka nagle ocknęła się i spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczyma, łapiąc się za serce. — Gdzie znalazłaś podobne bezeceństwa?

— Matelina miała taką książkę. Bardzo poważnie dyskutowaliśmy na ten temat z dziewczętami.

— W klasztorze? — zgorszyła się matka.

— Chodziło nam o zasadę moralną. Chcę powiedzieć, że nie omawiałyśmy bezpośrednio treści książki, choć wszystkie ją czytałyśmy. Matelina powiedziała, że to nie szkodzi, bo ważne jest, by wiedzieć, czy lepiej jest okazać nieposłuszeństwo w słusznej sprawie, czy być posłuszną i patrzeć, jak zło triumfuje.

— Więc ta okropna Matelina pożyczala wam w sekrecie to plugastwo! Ciekawam, co jeszcze ci pokazywała? Ta dziewucha to wilk w owczej skórce!

— Ale skąd mama tyle wie o tej książce? — powiedziałam, tknięta nagłą myślą.

— Ja też kiedyś byłam młoda — odparła lodowatym tonem. — I drogo za to zapłaciłam. Miałam nadzieję, że ty unikniesz moich błędów.

— Kto inny, jeśli nie ja, pójdzie błagać za ojcem?

— O świcie wyślę Wincentego z listem do Hannibala. Musi użyć swych wpływów u Montmorencyh. Niech jedzie i sam wstawi się u konetabla za ojcem.

— A jeśli nie dotrze na czas?

— Och, Hannibalu, Hannibalu, dlaczego wyjechałeś tak wczesnie! — Matka załamała ręce i zgięła się w kolejnym ataku kaszlu. Krew pociekła jej między palcami.

Ale ta drobna niewiasta była wykuta ze stali. Z półprzymkniętymi oczyma, oparta na poduszkach w wielkim fotelu ojca, wydawała rozkazy: posłaniec na najlepszym z naszych pozostałych koni miał odnaleźć Hannibala w Compiègne, Hannibal zaś miał wyjednać u swego dowódcy, hrabiego de Damville, oraz jego ojca, wielkiego konetabla Montmorency'ego, wstawiennictwo za niewinnie oskarżonym przez wzgląd na jego dawną służbę Koronie.

— Teraz, moje córki — powiedziała, gdy niosłyśmy ją na wpół omdlałą do sypialni — pozostaje nam tylko się modlić.

Była prawie północ. Trapiąca tysiącem zmartwień siedziałam w nocnej koszuli przy tym samym stole, przy którym jednym pociągnięciem pióra rzekłam się wolności wraz z dziadkową winnicą, i pisałam. Pisałam w sekrecie. Wszyscy domownicy już spali. Przede mną prawie wypalona świeca rzucała słaby poblask na ocean zmiętych kartek. Odłożyłam pióro, przyglądając się ostatniej i jak dotąd najlepszej próbie. Dlaczego szlachetne, poetyczne słowa robiły tak głupie, niestosowne wrażenie? Czy to tylko ciemność i letni upał sprawiały, że pot ociekał mi z czoła i rosił wewnątrz dłoni? Może powinnam przybrać bardziej surowy, klasyczny styl, wykreślić część przymiotników... Wzięłam pióro i krytycznie spojrzałam na arkusz. „Przychył łaskawego ucha żalosemu łkaniu biednych bezradnych sierot, o wielki, mądry, łaskawy chrześcijański panie.” Zdecydowanym ruchem skreśliłam słowo „sierot” i wpisałam: „wiernych i posłusznych cór Kościoła”. „Sieroty” mogłyby implikować, że ojciec mimo wszystko jest winny. Nowa wersja jednak też nie wyglądała dobrze. Zmieniłam kartkę i sięgnęłam po następną. Gdzieś, nie wiadomo gdzie, pomyślałam, musi istnieć muza pism urzędowych — wysuszona jak śliwka, odziana w ohydny suknię ozdobioną pieczęciami z wosku. Siedzi na tronie z akt i ksiąg rejestrowych i teraz się ze mnie śmieje. Och, dlaczego tak chełpiłam się mocą swego płomiennego pióra?

W zalegającym pod sufitem mroku ściany jeżyły się rogami upolowanych jeleni. One też były z siebie dumne — szepnęło moje niższe „Ja” — a teraz ich chlubne wieńce zdobią dom nieprzyjaciela. Nad kominkiem słaba poświata wyłuskała z cienia błysk grawerowanej stali — długą lufę muszkietu zdobytego przez ojca na wojnie, wiszącą poniżej puszkę na proch strzelniczy i ozdobną korbkę do

naciągania sprężyny. Przyszło mi na myśl, że ta broń nie jest niczym innym jak porożem zdjętym z zabitego Hiszpana. Cała komnata wypełniona była pamiątkami upadłej dumy. Ponad muszkietem, niewidoczny w ciemności, wisiał ponury i skrzywiony portret ojca matki, wypinającego sztywno pierś obleczoną dworską szatą z czasów starego króla Franciszka. Wyobrażałam sobie, że oczy dziadka spoglądają na mnie z dezaprobatą.

W tejże właśnie chwili przez zamknięte okiennice wielkiej sali posłyszałam stłumiony odgłos na dziedzińcu. Brzmiał trochę jak stąpanie koni, którym owinięto kopyta. Niemożliwe, pomyślałam. Dom, budynki gospodarskie, pomieszczenia służby, stajnie i spichlerz tworzą zamknięty, niedostępny czworobok wokół dziedzińca. Otaczają go na dodatek stojące wody starej fosy, obsadzonej wokół topolami. Wejść można tylko przez bramę albo furtę obok domu odźwiernego, gdzie mieszka Wincenty. A Wincenty codziennie tuż przed nocą rygluje bramę i furtę mocnymi sztabami, po czym wypuszcza na dziedziniec psy. Nikogo tam nie ma. Nawet biedny Gargantua, najgłupszy pies na świecie, który zwykle sypia pod naszym łóżem, został w tę ciemną letnią noc zesłany na zewnątrz (za to, że pod nosem kucharza zwędził z kuchni świeżo oskubanego kapłona). Kto mógłby ująć jego bystrym oczom i hałaśliwym powitaniem? To tylko nerwy, pomyślałam.

Cichutko wstałam i podeszłam do okna. Przyłożyłam ucho do zamkniętej okiennicy. Teraz byłam już pewna. Za oknem, niemal tuż obok siebie posłyszałam ciche kroki i stłumiony stukot czegoś, co przystawiono do ściany. Dlaczego psy nie szczekają? Usłyszałam wypowiedane szeptem rozkazy. Nie mogło być wątpliwości. Na dziedzińcu byli obcy ludzie, którzy chcieli zakraść się po drabinie do mieszczącej się na piętrze panieńskiej sypialni.

Choć szczycę się delikatnością uczuć, w moich żyłach płynie gorąca rycerska krew. Nie od parady jestem córką bohatera spod Pawii, który własną pierś bronił króla Franciszka. Złodzieje zakradali się do mej alkowy! Należało podjąć natychmiastowe i zdecydowane kroki. W uniesieniu moje poetyczne i wyższe „Ja” odrzuciło na bok zblakłą muzę pism urzędowych, a me płonące natchnione serce zabiło mocniej, jakby na głos trąbki wzywającej do boju. Jak grom olśniła mnie myśl o ojcowym muszkiecie (który miał tylko tę jedną wadę, że nigdy z niego nie strzelałam). Ostatecznie jednak — zaśpiewał butnie mój bohaterski duch — dziesiątki razy widziałam, jak to się robi. Nic prostszego! Kobiety śmiało mogłyby się zabawiać strzelaniem z muszkietów,

gdyby nie to, iż takie zajęcie ujmuje im przyrodzonego słabej płci wdzięku. Cóż jednak miałam do stracenia ja, pozbawiona tego daru przez zapominalskie bóstwo, które obdarzyło mnie jedynie olbrzymimi stopami?

Czując się nagle odważna niczym lew (a raczej lwica), zdjęłam ze ściany stary muszkiet. Zataczając się pod jego ciężarem, postawiłam go na sztorc, nasypałam prochu do lufy i wepchnęłam przybitkę długim prętem, który był podczepiony do broni. Następnie nasypałam jeszcze odrobinę prochu na wierzch panewki, tak jak zawsze robił ojciec. Zdjęłam z haka korbę i bezgłośnie jak żmija pomknęłam na piętro, taszcząc na grzbiecie moje jadowite żądło.

Muskiet szczęknął, kiedy oparłam go na niskiej komodzie, kierując lufę w stronę niewidocznego w mroku okna. Przyczaiłam się za komodą niczym drapieżna pantera, która ukryta na drzewie szykuje się do skoku na nieświadomych zagrożenia tubylców.

— Znowu ściągnęłaś ze mnie koldrę — wymamrotała przez sen Lauretta, macając wokół ręką. — Sybillo, gdzie jesteś? — powiedziała przytomniej, gdy jej dłoń trafiła na puste miejsce.

— Cicho, na miłość boską! — szepnęłam wściekle, szukając po omacku miejsca, w które wkłada się korbę, by nastawić zamek.

— Co ty robisz? — W ciemności posłyszałam, że Lauretta siada na łóżku.

— To — odparłam, nakręcając z terkotem mechanizm. — Nie ruszaj się z miejsca.

Potem wszystko zdarzyło się równocześnie.

Ktoś wsunął cienki długi nóż w szparę pomiędzy okiennicami i podważył rygiel. Blask księżycy wtargnął do komnaty. Zobaczyłam w nim zamaskowanego mężczyznę, który gramolił się przez parapet niemal dokładnie na wprost lufy mojej potężnej broni. Lauretta wrzasnęła i wyskoczyła z łóżka, budząc pozostałe siostry. W tejże chwili pociągnęłam za spust. Usłyszałam syk prochu, z panewki sypnął się snop iskier, a potem rozległ się potężny huk. Poniewczasie przypomniałam sobie opowieści o strzelcach rozerwanych na strzępy przez własną broń. Uderzając plecami w podłogę byłam pewna, że obudzę się już na tamtym świecie.

Jeśli wrzask Lauretty nie obudził domowników, z pewnością uczynił to wybuch. Pokój wypełnił się odorem prochu. Kiedy wbiegłam doń ludzie, uświadomiłam sobie, że nadal znajduję się na tym padole, toteż wstałam. Twarz w oknie zniknęła. Mściwie podbiegłam do okna i zepchnęłam drabinę na kulące się w dole sylwetki. Albowiem na

ułamek sekundy wcześniej, nim nacisnęłam spust, rozpoznałam wytłuszczony kołnierz skórzanego myśliwskiego kaftana i wąskie, złośliwe usta pod maską. Nocnym gościem był Teobald Villasse.

— Złodzieje! Na dół, łapcie ich! — krzyczano. Patrzyłam z okna, jak słudzy wybiegają na oświetlony księżycową poświatą dziedziniec. Ale napastnicy zabrali już ciało, przrzucili je przez koński grzbiet i wyrzaskując groźby odjechali galopem, niknąc w mroku za otwartą bramą. Patrzyłam na błędzące tu i tam pochodnie pacholków, którzy przeszukiwali dziedziniec. Jedno za drugim światła pochylały się nad rozciągniętymi na ziemi ciałami otrutych mastifów.

— Nero nie żyje — usłyszałam w dole. — Toż to zbrodnia! Nie było i nie będzie drugiego takiego psa.

— O, nie! Bella też jest martwa!

— Patrzcie — rozległ się inny głos. — Ten się jeszcze rusza.

— To ten żarłok Gargantua, najmniej wart z całej psiarni. Tak się objadł trutką, że wszystko wyrzygał.

— Gdzie jest Wincenty? — spytała matka.

Pomogliśmy jej zejść na dół. Usiadła wyprostowana w krześle ojca, otulając ramiona tureckim szalem i poprawiając nocny czepek na jasnych siwiejących włosach. W neglizju nie wyglądała zdrowo, lecz jej delikatne rysy wyostrzyły się w świetle świec i jakby nabrały mocy — ani przez chwilę nie ulegało wątpliwości, kto tu rządzi. Autorytet emanował z jej wyprostowanych pleców, z rozbłysłych nagle oczu.

— Zdaje się, że uciekł z nimi, pani — odparł lokaj.

— Zdrajca. Mój ojciec nie trzymałby w domu takiego oszusta. Otruł psy, żeby nie podniosły alarmu, a potem otworzył bramę. To jasne jak słońce.

— Ma... mamó — zająknęłam się. — Ja wiem, kto to był. Ten człowiek w masce. Jestem pewna, że widziałam Teobalda Villasse'a.

— Nie dziwi mnie to — odparła najspokojniej w świecie. — Musisz jednak wyjechać, i to jeszcze przed świtem, zanim przyjedzie sędzia... jeśli ośmielą się złożyć doniesienie.

— Ale dlaczego? Dlaczego to zrobił?

— Dlaczego? Jeśli twój ojciec zostanie uznany winnym, cała nasza majątność przejdzie w ręce Kościoła, a Villasse straci winnicę. Gdyby zdołał cię porwać i poślubić jeszcze przed ogłoszeniem wyroku, zachowałby do niej prawo. Nie jestem zaskoczona, że poważył się na taki czyn. Jak wiesz, ma powiązania na dworze. Mógł się wywieźć, jak stoi sprawa twego ojca. Jego pośpiech to zły znak. Oznacza, że

jakaś można osoba pożąda naszych włości i zamierza doprowadzić do skazania ojca, żeby je zagarnąć.

— Strzeliłam do niego, mamó. Zabiłam go.

— Niewielka strata — odparła. — Nigdy go nie lubiłam. Ale oczywiście nie masz dowodu, że to był on.

— Jestem pewna...

— Nonsens. Po prostu sobie to wyobraziłaś. Umysł miałaś zmacony. Tyle trosk może przyprawić dziewczę o omamy. To byli rabusie, a władze powinny ich schwytać i powiesić. Wyobraźcie sobie, żeby wdzierać się do sypialni młodych, niewinnych dziewic! Pewnie dowiedzieli się, że pana nie ma w domu, i chcieli skraść nasze srebra. Czy wszyscy mnie słyszą? Tak macie mówić, jeśli ktokolwiek będzie wypytywał. — Władczy wzrok matki przesunął się po służbie i rodzinie zgromadzonej w sali. — Choć wątpię, by ktokolwiek się tu pojawił — dodała z chłodną i niewzruszoną miną.

— Mamó... — bąknęłam. — Mama zachowuje się tak... tak pewnie.

— Nie pierwszy raz mam do czynienia z przelewem krwi — odparła bez wahania tonem, który wykluczał jakiegokolwiek dalsze indagacje. — Czasami historia się powtarza. Ale krąg nigdy nie zamyka się w tym samym miejscu, prawda? — Rozejrzała się wokół jakby w transie. Popatrzyła na biurko, na wciąż otwarte wyjściowe drzwi, za którymi w mroku rozjaśnionym tylko bladym światłem gwiazd widać było pacholka odciągającego za łapy zdechłe psy. — Widzę, że gwiazdy zaczynają już pierzchać przed brzaskiem, córko. Ubieraj się i jedź.

— Ale dokąd? Co ze sobą pocznę?

— Dokąd? Do ciotki Pauliny, rzecz jasna.

— Ojciec nigdy mi nie wybaczy...

— Ojciec może nie mieć już okazji, by cokolwiek komukolwiek wybaczyć, jeśli szczęście nie dopisze mu bardziej, niż skłonna jestem przypuszczać. Widzę, że pisałaś list. Świeca wypaliła się do cna. Zniszczyłaś też mnóstwo papieru. To wielkie marnotrawstwo. Wiesz, że musimy oszczędzać.

— Tak, mamó.

— Jak sądzę, powzięłaś zamysł, aby napisać do biskupa, nie pytając mnie o zdanie. Mam rację?

— Tak, mamó.

— Zatem weź list ze sobą. Wyjaśni on światu, dlaczego wyjechałaś tak nagle. Może nawet przynieść jakiś pożytek. Paulina będzie wiedziała, co robić. Przez wiele lat odmawiano mi radości przebywania

z nią, ale nadal ufam jej bez zastrzeżeń. A teraz zaprowadź mnie z powrotem do łóżka. Zmęczyłam się.

W ciągu godziny wdziałam żałobną suknię i opuściłam dom mojego ojca na jucznym koniku prowadzonym za uzdę przez pachółka. Minąwszy most i topole nad fosą obróciłam się, by ostatnim spojrzeniem pożegnać dom i rodzinę. Zobaczyłam pędzącego wielkimi susami psa, wielkiego jak cielę. Ozór miał wywieszony, a na jego wielkiej, brzydkiej, łaciatej mordzie malowało się bezgraniczne oddanie i radosna gotowość do nowej eskapady. Był to oczywiście Gargantua.

ROZDZIAŁ V

16 marca A.D. 1554

Moja żona straci swój najlepszy szal na dwa dni przed świętym Michałem. Ukradnie go nowa dziewczka przyjęta do służby w miesiąc po ucieczce Marii z blacharzem — tym samym, który wciąż zachodzi do naszej kuchni z garnkami i patelniami. Muszę przypomnieć Annie, żeby nie najmowała dziewczki bez przedniego zęba. Mówiłem jej, że nie trzeba lutować balii w pralni, ale czy kobiety słuchają dobrych rad?

*

Wzeszły wtorek dokończyłem horoskop mego syna Cezara. Zważywszy, że chłopiec ma już prawie rok, prawdę mówi przyśłowiu, że „szewc bez butów chodzi”! Malec zapowiada się obiecująco. Będzie wielkim historykiem, czytającym w przeszłości, jak ja czytam w przyszłości. Może będzie mu łatwiej... choć nie, władcy i możni tego świata chcą tak przeszłość, jak i przyszłość przykroić do swych pragnień i kaprysów. Mój Boże! Tylko świętym nie zależy na pochlebstwach, a święci nie płacą ani historykom, ani wróżbitom. Planuję zadedykować Cezarowi moje wielkie dzieło, „Centurie” — jeśli Opatrzność pozwoli mi je ukończyć.

*

Zamówiłem krem dla pani de Peyrès. Powiedziałem temu nędznemu aptekarzynie, że jeśli się nie pośpieszy, znajdzie sobie innego zielarza. Syn pani de Peyrès dochodzi już do siebie po przeziębieniu. Pomogło mu smarowanie głowy balsamem z olejku lili, kopru i migdałów oraz lewatywa wedle mojego tajemnego przepisu. Przesłałem pani de Peyrès gotowy wywar do lewatywy, by

wypędzić z ciała chłopca szkodliwe humory. Ha! A ten nędzny konował z paryskiej uczelni kazał puszczać krew z żyły wątrobowej! Gdyby przeczytał moją książkę, zamiast trzymać się rzekomych mądrości swych nauczycieli, wiedziałby, że to remedium pomaga tylko na zapalenie opłucnej, którego głupiec nie potrafił odróżnić od zimowego kataru. Zawiódłszy, czmychnął z podkulonym ogonem do swej psiarni nad Sekwaną. Powiadam, należałoby puszczać im krew i karmić ich własnymi lekami, aż będą wołać do niebios o miłosierdzie i gorzko żałować swoich grzechów.

*

Za dwa lata czeka mnie długa, nieprzyjemna podróż na północ z rozkazu królowej. Człowiek w moim wieku ma prawo się zirytować, kiedy posyłają po niego jak po jakąś szwaczkę. Widzę w tej podróży niewiele grosza, za to wiele niewygód. Muszę jeszcze raz poradzić się Anaela.

Sekretny dziennik Nostradamusa

Tom II, wpis 126

Nostradamus bynajmniej nie planował znaleźć się na drodze z Orleanu do Paryża tegoż suchego, słonecznego sierpniowego dnia, gdy w przydrożnej gospodzie spotkał samotną pannę w czerni. Prawdę mówiąc, zamierzał ten i inne dni spędzać w swym wygodnym domu w Salon-de-Provence, otoczony liczną kochającą rodziną. Nie ruszając się z miejsca zarabiał krocie wysyłając pocztą horoskop; ponadto wydał z zyskiem kilka almanachów rolniczych i rozmaite poradniki medyczne. Nie lubił podróżować — zwłaszcza że na starość nękał go artretyzm. Dostatecznie męczyły go wizyty u bogatych klientów w okolicach Salon oraz stanowisko w radzie wydziału medycznego uniwersytetu w Montpellier. Kiedyś było inaczej; zrozpaczony po stracie pierwszej żony i dzieci, zarzucił praktykę i przewędrował wzdłuż i wszerz Europę i Azję w poszukiwaniu Tajemnicy Życia. Czerpał wiedzę od magów, filozofów, mistyków. Znalazł... hm; to, co znalazł, kazało mu wrócić do swej słonecznej ojczyzny, poślubić dobrą, zamożną kobietę i osiąść w przytulnym domu stopniowo wypełniającym się potomstwem.

Jednakowoż właśnie owe dawne wędrówki sprawiły, że Przenaczenie wysłało go w tę drogę. Wiedział o tym od dwóch lat — od chwili gdy ujrzał tę scenę w zdobnej cynowej misie osadzonej na trójnogu w jego tajemnej pracowni.

— A niechże to! — rzekł z rozdrażnieniem, ujrawszy siebie na koniu rozglądającego się za przyzwoitym zajazdem.

Anael, duch przeszłych i przyszłych dziejów, zajrzał mu przez ramię i zachichotał:

— Dobrze ci tak za to, że niepokoisz mnie o tej barbarzyńskiej porze.

Była północ w marcu roku pańskiego 1554, na dwa lata przed tą długą i nużącą podróżą. Zawierucha targała okiennicami, wydając przeciągłe, niesamowite gwizdy. Belki domu zdawały się jęczeć.

— Prosiłem cię o wizję Końca Czasów, a ty pokazujesz mi to — rzekł prorok z wyrzutem. Na zewnątrz ciężkie deszczowe chmury ocierały się o bladą twarz księżycy. Idealna noc na wzywanie duchów. No, może nieco za chłodna.

— Nic na to nie poradzę — rzekł Anael. — Wszystko mam przemieszane. To ludzie sortują zdarzenia w schludne kupki, czyniąc to już po fakcie. Może dla was ma to jakiś sens, dla mnie ani trochę. Możecie sobie porządkować historię, jeśli chcecie. Ja będę ją utrzymywał na swój własny sposób.

Deszcz zabębnił w dach nad ich głowami. Wiatr siekł nim w okiennice pracowni na poddaszu. Było chłodno i wilgotno, toteż mistrz wiedzy tajemnej pod śnieżnobiłą togą jasnowidza miał podbitą futrem domową szatę. Stroju dopełniały futrzane pantofle i czworograniasty, obsyty jedwabiem i usztywniony końskim włosiem uniwersytecki biret. (Włożył go, by dodać sobie powagi. Duchy nie powinny się zaudać.)

Nostradamus wyjął niewielki zielony kajet, który trzymał pod kluczem i notował w nim proroctwa dotyczące siebie i własnej rodziny. Zapisał: „Długa nieprzyjemna podróż na północ”.

— ...na rozkaz królewski — poddał Anael, pukając granatowym, przejrzystym jak dym palcem w miejsce, nad którym zawisło pióro proroka.

— Rozkaz królewski? Może zyskam na tym nieco grosza. — Nostradamus wyraźnie się rozchmurzył.

— Nie licz na to — uciął Anael.

— Zły i krnąbrny duchu — zaintonował prorok, pryskając zaczerpniętą z misy wodą w kierunku Anaela — nagnij się do mojej woli.

Zaklinam cię czterema słowami, które Bóg wypowiedział do swego sługi Mojżesza: Josata, Ablati, Agła, Caila...

— Cóż, skoro wolisz to robić w ten sposób... — prychnął duch. Wyprostował się sięgając głową powały i złożył ręce na piersi.

Jak na zjawisko nadprzyrodzone, Anael był bardzo przystojnym duchem. Z jakiegoś powodu, znanego jedynie dowcipnemu Bogu, był nie tylko strażnikiem przeszłych i przyszłych dziejów, lecz także planety Wenus, wszystkich jej epicykli i oddziaływań tego kapryśnego ciała niebieskiego na ludzkie losy. Miał powierzchowność młodego, zupełnie nagiego mężczyzny o długich, rozwichrzonych włosach. Był całkiem przezroczysty, a w jego ciele o barwie nocnego nieba migotały jasne iskierki, które zaczynały wirować, gdy był poruszony lub zły (tak jak teraz). Olbrzymie kruczoczarne skrzydła, połyskujące tu i ówdzie błękitnawymi i purpurowymi refleksami, okrywały go niczym płaszcz. Jego oczy — dziwne, żółtawe i nieco przerażające — zdawały się przenikać czas od początku do końca. Anael był też obdarzony czarującym kpiarskim uśmiechem oraz dość perwersyjnym poczuciem humoru, czego niejednokrotnie dowiodły nam zarówno wypadki dziejowe, jak miłosne.

— Objaw mi, o duchu, wizję Końca Czasu — rzekł Nostradamus odkładając zielony kajet i biorąc inny, większy, oprawny w brązową skórę. Były w nim zapisane prorocze wizje zesłane mu przez Anaela: wojny, zgony, podboje. Miało to być jego największe dzieło, almanach nad almanachy, który pozwoli monarchii francuskiej bezpiecznie doczekać drugiego przyjścia Chrystusa i światowego triumfu wiary katolickiej. Aby je zakończyć i oddać do druku, potrzebował tylko wzniosłej wizji Końca Czasów. Kiedy po raz pierwszy wyjaśnił to duchowi, Anael zaśmiał się złośliwie. Potem zamieszał wodę w misie i pokazał mu niskiego, tłustego, bladego mężczyznę, któremu ostrze jakiejś dziwnej maszyny obcięło głowę na oczach grubiańskiego tłumu. Owej nocy w brodzie Michała de Nostre-Dame przybyło kilka siwych włosów. Nie uszło to uwagi jego żony, która nazajutrz delikatnie zaproponowała, aby przestał późną nocą wzywać duchy z piekła rodem.

— Nonsens, moja droga. Dzięki temu jemy chleb z masłem. Poza tym chcę się przekonać, co z tego wszystkiego wyniknie — odpowiedział.

Westchnęła. Taki wspaniały mężczyzna — mądry, pełen godności i przystojny, taki dobry ojciec... Cóż, matka zawsze mawiała, że nawet najlepszy mąż ma jakąś wadę. Lepsza już ta cała magia, niż gdyby miał

kochankę, pomyślała. Wieczorem przyrządziła jego ulubioną potrawę i powiedziała mu, że pragnie tylko jego szczęścia.

Anael dobrze mi się przysłużył wskazując, którą kobietę powinienem wziąć za żonę, pomyślał stary doktor, pogrążony we wspomnieniach. Ciekawe, jaką odpowiedź duch da mu tym razem.

Górna część ciała Anaela była niewidoczna. Słychać było łomoty i trzaski, jakby grzebał w wielkiej i bardzo zagraconej szafie.

— Gdzieś się zawieruszyło — dobiegł głos znikąd. — A może chcesz zobaczyć kogoś z Antychrystów?

— Jak to: „kogoś”? — spytał Nostradamus czując, jak ciarki przebiegają mu po grzbiecie.

— O, a to też mogłoby ci się spodobać...

Stary człowiek nagle poczuł się zmęczony.

— Dawaj, co masz. Jest późno, a jutro mam być na chrzcinach syna pana de Granville. Jego brat zamówił u mnie horoskop malca i muszę go jeszcze przepisać.

Duch pojawił się wreszcie w całości. Stał ze złożonymi na pierśsiach rękami, nieprzeniknioną twarzą i nieodgadnionym wyrazem żółtych, płonących oczu. Nostradamus zamącił różdżką wodę w mosiężnej misie i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Z wolna, w miarę, jak tafla się wygładzała, pojawiały się w niej kształty i kolory.

Zatłoczona sala pełna mężczyzn i kobiet w bogatych, nieznanym strojach. Jest i papież w całym swym majestacie. Wkłada dziwną koronę — nie taką jak królewska, lecz podobną do złotych laurowych wieńców starożytnych cesarzy rzymskich — na głowę niskiego mężczyzny o inteligentnej, zaciętej twarzy i przenikliwych oczach. Nagle mężczyzna unosi ręce, wyjmując wieniec z drżących dłoni papieża i sam się koronuje.

— Uzurpator — szepcze Nostradamus. — Zdeptał godność papieża. Co jeszcze zrobił?

Cichy jak westchnienie głos sący słowo za słowem do ucha proroka. Z ostrożnością nabytą po przelotnym zetknięciu się z Inkwizycją, Nostradamus zapisuje imię, mieszając sylaby. Niech ten, kto zechce, odszyfruje imię, kiedy nadejdzie czas. Pau, Nay, Loron: Napoleon.

— Czy jedyna prawdziwa wiara zwycięży przed końcem czasów? — pyta.

— Jak zwykle błędnie formułujesz pytania.

— Ilu będzie Antychrystów?

— Wedle waszego rozumienia, trzech.

— Pokażesz mi ich?

— Nieważne, sami się pojawiają. Są tu gdzieś... Wiesz, naprawdę jestem bardzo dbały. Dotąd jeszcze nic nie zgubiłem. Po prostu zrobił się tu mały bałagan. Nie chcesz zobaczyć innego obrazu, który dla ciebie znalazłem?

Wizja znika z wody. W izbie słychać tylko skrzypienie gęsiego pióra na stronicy brązowej księgi; poza tym panuje cisza. Starzec odkłada pióro i przysłania ręką czoło, żeby ulżyć zmęczonym oczom. Świece w stojącym na stole siedmioramiennym lichtarzu rozjarzają się nagle; stary człowiek wzdryga się, unosi powieki. Lekki dreszcz przebiega całe jego ciało. Dotyka wody różdżką i widzi, że dłoń mu drży. Pod zmarszczkami na tafli zaczyna formować się obraz. Nostradamus uświadamia sobie, iż zna te stroje, te twarze. Wizja jest bliska w czasie. Wyraźnie słychać wszystko i... tak, mówią po francusku. O duchu, czyż nie mogłeś mi oszczędzić tych dźwięków?

Płonąca stodoła otoczona przez żołnierzy na koniach. Przez otwarte wrota uciekają mężczyźni, kobiety i dzieci w prostych ciemnych szatach. Jeźdźcy uderzają na nich, miażdżąc ich podkowami. Wołania, łoskot kopyt, okropny brzęk stali, okrzyki zgrozy. Ciała dzieci skrwawione i pozbawione członków, kobiety stratowane na śmierć wraz z niemowlętami. Książki upuszczone przez konających, wdeptane w krwawe błoto. Ze stodoły została już tylko kupa dymiących desek. Dwóch mężczyzn na koniach podjeżdża bliżej, by obejrzeć pobojuwisko. To przywódcy. Nostradamus zna ich twarze. Dwaj bracia o pociągłych, ostro rzeźbionych rysach i twardych oczach. Bracia Gwizjusze. Starszy ma na policzku dużą, wklęsłą bliznę w miejscu, gdzie kość została wgnięta włócznią. To Franciszek, diuk de Guise, zwany Le Balafre, Naznaczony. Młodszy zrzucił dziś duchowną szatę, by przywdziać półpancerz. To kardynał Karol Lotaryński, Wielki Inkwizytor Francji.

— *Oto zniszczyliśmy kolejne gniazdo szatańskich heretyków — mówi Naznaczony.*

Prócz obrazu i dźwięku wizja ma też zapach. To cena bliskości w czasie. Nostradamus czuje koński pot, krew i ciało diuka, który nie myśli od dłuższego czasu.

— *Podaj mi tę księgę czcicieli diabła — mówi kardynał Karol Lotaryński do pieszego żołnierza, wskazując niewielki, lecz gruby tom leżący w kałuży krwi. Książka jest otwarta, jej kartki smętnie szeleszczą na wietrze. Kardynał przegląda ją i zdziwiony unosi brwi. — Coś takiego! To Biblia — mówi.*

— *Falszywa biblia demonów — wtrąca Naznaczony.*

— *Nie. — W głosie kardynała słyhać zaciekawienie. — Jest dokładnie taka sama jak nasza. To Słowo Chrystusa.*

— *Bzdura! — ryczy Naznaczony. — Chrystus umarł na krzyżu ponad tysiąc lat temu! Nie może pisać ksiąg! A zatem to fałszerstwo! Heretyckie kłamstwa!*

— *Cóż z ciebie za prostak! — Kardynał obraca się ze złością do starszego brata.*

Nostradamus wzdycha, jego oddech przypadkiem marszczy taflę wody.

Teraz wizja się zmienia, a na jej widok stary człowiek wciąga głęboko powietrze, jakby miał zaszlochać.

Dym bije w niebo ponad murami miasta. Ich zarys zdaje się znajomy. Trochę bliżej... tak, to Orlean, książęce miasto, pełne wszelakich skarbów. Nad dachami widać sylwetkę wielkiej katedry. Katedra płonie, fundament wysokiej dzwonnicy został podminowany. Uzbrojeni mężczyźni w prostych, ciemnych strojach kłębią się wokół jak mrówki; złodzieje pierzchają z wnętrza kościoła, nim sięgną ich płomienie.

— *Zburzyć te wieżę Szatana!*

— *Zemsta! Zetrzemy z powierzchni ziemi czcicieli bożków. Dziś runie ich bezbożna katedra, a jutro wielki Antychryst z Rzymu!*

Rozlega się przeciągły, jęklivy trzask, łamią się belki, prochy podłożone pod fundament wybuchają. Olbrzymia stara iglica wali się. Zgromadzony wokół katedry tłum wiwatuje.

— *Wojna domowa — mówi drżącym głosem Nostradamus. — Krwawa wojna religijna. I to niedługo. Anaelu, zawsze przynosisz mi więcej pytań niż odpowiedzi. Kto zwycięży w tej wojnie? Czy prawdziwa wiara?*

— *Hm... Właśnie ta część musiała chyba zostać pod stertą południowoamerykańskich prezydentów — mruczy Anael znikając od pasa w górę.*

— *Ty złośliwy diable-kusicielu!*

— *Wypraszam sobie. Jestem aniołem.*

— *Upadłym.*

— *Tylko trochę. Poza tym to był twój pomysł, by mnie wezwać. Ja się nie prosiłem. Chciałeś poznać tajemnice wieków, no to je masz. Wam, ludziom, nie sposób dogodzić. — Anael ziewa i rozprostowuje kruczoczarne skrzydła. Iskierki w jego ciele przestają wirować i stopniowo układają się w spiralny wzór. — Znikam. Jestem zmęczony i nie mam już ochoty odpowiadać na żadne pytania.*

— Jeszcze tylko jedno — mówi pospiesznie Nostradamus. — Co to jest południowoarmorykański precedens?

Ale duch już zniknął.

W zamku Fontainebleau wciąż jeszcze panował rozgardiasz przewodniczki. Ciężkie wozy wyładowane meblami utknęły na rozmiękłych od deszczu drogach i dopiero przed chwilą wjechały na dziedziniec, gdzie rozpakowywano je wśród pośpiechu i zamieszania. Służebne biegały w tę i nazad z naręczami płócien, grupki pacholków taszczyły ciężkie skrzynie, słudzy rozwijali ostatnie dywany i wieszali arrasy w sali audiencyjnej króla. Dwór składał się z licznych odrębnych gospodarstw — króla, królowej, stałych dam i kawalerów dworu, dowódców armii, wielkich panów, którzy bawili przy królu, jeśli nie siedzieli w swoich włościach, królewskich dzieci, jeśli nie wysłano ich do Blois z obawy przed zarazą. Nawet karły królowej miały własnych nauczycieli, praczki, służbę i zwierzęta domowe. Przez cały ten chaos kroczyła nie patrząc w lewo ani w prawo Katarzyna Medycejska, a za nią — tylko dwie damy dworu.

Towarzyszyły jej dziś najbardziej zaufane powiernice, Włoszki ze sprzymierzonych florentyńskich rodów, wydane za mąż za francuskich szlachciców. Trzy damy weszły na szerokie schody, potem na inne, węższe, następnie przedostały się przez labirynt skromniejszych pomieszczeń, aż w końcu stanęły pod niskimi drzwiami. Królowa zastukała w nie mocno, a gdy drzwi się otwarły, gestem nakazała towarzyszkom pozostać na zewnątrz. Sama weszła do ciemnej, zakurzonej komnaty, której sprzęty po części leżały jeszcze w kufrach. Stół był pusty; w kącie stał zimny alchemiczny palnik. W głębi, wśród beczek i skrzyń pełnych dziwnych naczyń, krzątała się postać odziana w czarną skórę, podobna do jadowitego kraba.

— Odeślij chłopca, Kosmo. Chcę z tobą pomówić sam na sam — rzuciła ostro królowa, patrząc na obdartego wyrostka, który otworzył jej drzwi.

Chłopak nie czekał na polecenie swego pana; zniknął natychmiast. Kosma Ruggieri, czarnoksiężnik z dziada pradziada na usługach Medyceuszy, skłonił się przed swą protektorką.

— Najpiękniejsza, najłaskawsza królowo...

— Dość, Kosmo. Chcę, byś użył swej mocy i odkrył, jaką magią posługuje się diuszesa Valentinois, by zachować miłość króla.

— Nareszcie przyszedł do mnie, biednego wiernego Kosmy, zamiast dawać posłuch szarlatanom, którzy obsiedli cię jak pijawki.

— Mag przeszedł na włoski w nadziei, że ojczysta mowa królowej zmiękczy jej serce.

— Czyżbym nie była tu wcześniej? Czego mi nie obiecywałeś! Obsypywałam cię złotem, dawałam posady twoim krewnym i godziłam się na intrygi, których wstydziłaby się nawet żmija!

— Kosma ciężko pracował, by uczynić cię królową, by dać ci potomków...

— Wciąż gniewasz się o to, co król zapłacił doktorowi Fernelowi? Nic na to nie mogłam poradzić.

— Gdyby król przekonał się o mych umiejętnościach...

— Król nie wierzy w twoją moc, zdradziecka kanalio. Powinno ci wystarczyć, że ja w nią wierzę. I wierzę, że diuszesa ma magiczny pierścień. Co więcej, tylko ty mogłeś go dla niej zrobić.

— Moja królowo, znając twe pragnienia, robiłem go dla ciebie...

— Kłamco! Od początku był przeznaczony dla niej. Twój ojciec nie przeżyłby następnego dnia, gdyby w ten sposób potraktował mego ojca.

— Mój ojciec był darzony dużo większym szacunkiem, zapraszano go na dwór przy wielkich uroczystościach. A ja żyję odtrącony, ukryty w tej norze i tak ubogi, choć mam tylu krewnych w potrzebie...

— Przysięgam, że tym razem każę cię stracić. Żywcem rozszarpać na strzępy, a potem zgarnąć je na stos i spalić ku przestrodze innych zdradzieckich wróżbitów.

— Och, wasza wysokość, to szkoda! Jak wiesz, w gwiazdach zapisane jest, że przeżyjesz mnie tylko o trzy dni.

— Ty podły, przebiegły łgarzu...

— Rzuć wyzwanie przeznaczeniu, pani. Rzecz jasna boleję w obliczu własnej śmierci, jednakże o wiele większym uszczerbkiem dla Francji będzie zgon takiej królowej.

— Odeślę cię do Włoch.

— Niestety, z dala od twego królewskiego majestatu otruję się z żalu.

— Jesteś diabłem wcielonym, wiesz o tym?

— Tylko Florentyńczykiem, pani, nie innym niż ty.

— Pośród wszystkich pamiątek, które przywozłam z domu, jesteś tą, której najchętniej bym się pozbyła.

— O królowo, tylko przelotna gorycz może ci tak mówić do swego najwierniejszego sługi. Serce mi krwawi z powodu twego smutku. Jakże żałuję, że dałem się wziąć na lep przebiegłych i uwodzicielskich kłamstw diuszesy! Ale by dowieść mego przywiązania do ciebie, dam ci

pewną radę: dokładnie za trzy tygodnie gwiazda króla znajdzie się pod wpływem Saturna i odezwie się dawna choroba stawów, a z nią gorączka, która zwali go z nóg. Skorzystaj z zamieszania w komnacie chorego i gdy diuszesa Valentinois odejdzie od jego łoża, każ zdjęć mu pierścień.

— Jeśli odzyskam ten pierścień, wrócisz do łask.

— Tylko do łask? A prezent z okazji chrztu mojego najmłodszego bratanka? Uroczystość także będzie bardzo kosztowna...

Ale królowa Francji już z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Kałuże lśniły na bruku, a srebrzyste krople wciąż jeszcze wisiały na gałęziach drzew, gdy Michał de Nostre-Dame, jasnowidz z Salon-de-Provence, wyszedł naprzeciw miejskim dygnitarzom formującym się w pochód, który miał wyruszyć na chrzciny syna pana de Granville. Był rześki marcowy dzień — taki, jakie często zdobią południe Francji, gdy wiatr rozproszy chmury, a przedwiosenne słońce przysiadła na błękitnym niebie udając chłodny maj. Ale Nostradamus nie cieszył się ładnym porankiem; zbyt długo zasiedział się ubiegłej nocy. Głowa go bolała od dymu palonych ziół, a na duchu ciążyła mu posępna wiedza zdobyta podczas seansu. W tłoku na ulicy dostrzegł grupę mieszczan i kilku chłopów z Châteauneuf, trzymających w koszu jakieś monstrum.

— Mistrzu Nostre-Dame, mistrzu Nostre-Dame! — rozległo się w tłumie.

O Boże, jeszcze jeden, pomyślał. Każda maskara w promieniu stu mil znajduje drogę do mych drzwi. Podszedł bliżej, opierając się na trzciniowej lasce ze srebrną główką. Nocny chłód nie przysłużył się jego podagrze. Tyle jest tajemnic, pomyślał, a czy kiedykolwiek miałem dość rozumu, by odkryć tajemnicę leczenia podagry? Może Anael ma rację: powinienem z tym skończyć.

Spojrzenie jego ciemnych inteligentnych oczu omiotło tłum. Wokół każdej postaci widział taneczny, migotliwy ruch powietrza, podobny falom upału unoszącym się nad pszenicznym polem w gorące lato. Każda aura dawała mu przecucie losu: tu przypadkowa śmierć, tam szczęście i dostatnia starość, jeszcze gdzie indziej śmiertelna choroba trawiąca już ciało, choć jeszcze niewidoczna. Był to kolejny dar, który rozwinął w sobie podczas długiej tułaczki i teraz tego żałował. W zwykłej rozmowie musiał zachowywać się tak, jakby aury nie było, jakby nie zdradzała mu wszystkich sekretów rozmówcy. W przeciwnym wypadku groziło mu podbite oko lub złamany nos albo co gorsza tortury — takie,

jakie okaleczyły jego nauczyciela, wielkiego Łukasza Guarica, który nieroztropnie powiedział prawdę tyranowi Bolonii.

To ciężące nade mną przekleństwo, myślał. Byłem młody, głupi, wiedziony namiętnym pragnieniem, by widzieć przyszłość. Czulem, że postępuję źle, ale któż oparłby się wysłannikowi samego Kusiciela? Sprawiedliwy los nazaczył mi pokutę w tej samej chwili, w której ta diabelska nadprzyrodzona głowa obdarzyła mnie upragnioną mocą: teraz widzę, lecz nie mogę mówić. Gorzkie milczenie jest moją karą. Kasandra przynajmniej mogła wygłaszać swe proroctwa, choć nikt jej nie wierzył. Mnie wierzą, lecz jeśli nie chcę, by moje poćwiartowane zwłoki zawisły na murach miasta, usta muszę mieć zamknięte. Boże ironii, wyruszyłem na poszukiwanie tajemnicy wieczności, a Ty zasadziłeś mnie do pisania almanachów rolniczych, by dobrzy kmiotkowie wiedzieli, co i kiedy siać.

— Hm — rzekł, z namaszczeniem gładząc brodę — co my tu mamy? Ach, widzę: dwugłowe koźle.

Tuż za klującymi się różkami jedna z głów miała dodatkową parę uszu, małych i zdeformowanych. Beknęła na niego.

— Hm... — powtórzył. — Obawiam się, że to zły omen.

— Mistrzu, powiedz, co to oznacza!

Tłum otaczał go zwartym kręgiem. Nostradamus po namyśle wybrał najbezpieczniejszą z kilku ryzykownych odpowiedzi.

— To oznacza — rzekł wolno — że królestwo Francji zostanie podzielone na dwoje, lecz jego ciało i dusza są w istocie jednym i słuszność zwycięży.

Zniekształcony łeb znów zabeczkał. Łeb o dwojgu normalnych uszach zdawał się drzemać.

— Ha! Ten brzydki to hugenot! — krzyknął któryś z gapiów.

— Prawowierna głowa śpi. Zbudź się! Zbudź się, święci są w niebezpieczeństwie! — wrzasnął inny.

Nostradamus potrząsnął głową. Jakże chętnie ci głupcy rzuciliby się na oślep w nie kończący się labirynt krzywd i krwi! Podobnie jak każda pojedyncza osoba, tłum również miał aurę. Była pełna migających czarnych plam. Śmierć i szaleństwo. Ale kiedy? Do katastrofy prowadził Francję łańcuch mordów, krętaćw i zdrad. Gdyby dziś wydał „Centurie”, czy jego proroctwa kazałyby choć jednej osobie zmienić postępowanie, powstrzymać się przed krokiem wiodącym ku zniszczeniu? Czasem budził się w nocy, wyczuwając aurę Francji. I krew tężała mu w żyłach ze zgrozy.

ROZDZIAŁ VI

Menander z Koryntu, zwany też Menandrem Magiem, 230 p.n.e. —? Niewiele wiadomo o historycznym Menandrze; podobno założył dysydencką sektę poświęconą kultowi Apollina, obejmującemu m.in. rytualne orgie i praktyki magiczne. Legendarny Menander średniowiecznych alchemików jest tworem późniejszym i nie ma nic wspólnego z prawdziwym magiem. Rzekomo sprzedał duszę diabłu w zamian za tajemnicę wiecznego życia. Kiedy władca ciemności odkrył, że został wywieziony w pole — wywiązawszy się bowiem z umowy, sam zamknął sobie dostęp do duszy chytrego maga — wywarł na nim straszną zemstę. Jak mówi legenda, „diabeł tak przepoił serce króla Persji zawiścią i strachem, że ów, bojąc się, by mag nie przystał na służbę do innego, odciął mu głowę”. Głowa ta jednak zachowała nieśmiertelność. Zemsta Lucyfera polegała na tym, że zmusił Menandra do spełniania życzeń każdej osoby, która znajdzie się w posiadaniu szkatuły z jego głową. Sama skazując się na wieczne potępienie, osoba taka oddawała duszę diabłu.

Poszukiwania głowy Pana Wszelkich Życzeń to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic rytu okultystycznego w późnym średniowieczu i wczesnym okresie renesansu. Miały ją rzekomo posiadać różne znane osoby, m.in. cesarzowa Teodora, Michał VIII Paleolog i Katarzyna Medycejska.

Encyclopaedia Supernaturalis

Tom 6 (L—N), s. 216.

Przykro mi, pani, król nie chce cię widzieć — lokaj u drzwi komnaty złożonego chorobą króla był nieugięty. Diuszesa Valentinois,

odziana w czarną aksamitną suknię z białą kryzką, trzymała flaszkę kordiału przyrządzonego własnymi rękoma. Jeśli nie liczyć zaciśnięcia ust, nic nie zdradzało furii kipiącej w jej smukłym ciele.

— To jakaś pomyłka — powiedziała. — Jeszcze dziś rano król prosił o ten kordiał.

Przez uchylone drzwi widziała króla opartego na poduszkach. Oczy miał zamknięte, mamrotał coś w gorączce. Otaczało go kilku medyków w długich szatach i cyrulik, który właśnie otwierał żyłę na przegubie Henryka. Prawie czarne krople kapaly z wolna do misy. Medycy kolejno nachylali się, oglądali je i kiwali głowami jakby na znak zgody.

— Nie wolno ci wejść do tej komnaty, pani. To rozkaz jego wysokości.

Król miał nakrycie długimi, szczupłymi palcami. Tknięta nagłym przeczuciem Diana uważnie przyjrzała się jego dłoni. Gdzie jest pierścień? Ten przeklęty włoski magik zdradził mnie, pomyślała. Wymyśli teraz jakąś historyjkę i będzie pełzał u mych stóp. Słowo daję, wkrótce zdarzy mu się przykry wypadek, jeśli tylko data jego zgonu nie wiąże się z moim...

Jeden z medyków wręczył jakiś mały przedmiot słudze, który skłonił się i opuścił komnatę.

— Chodź no tu, chłopcze — zatrzymała go Diana. — Co tam masz?

— Pierścień, który król posyła królowej jako znak swojej łaski.

— Mogę go zobaczyć?

Sługa świadom, iż król srodze mści się na wszystkich, którzy rozniewali diuszese, i pewien jego rychłego powrotu do zdrowia, pospiesznie wręczył jej pierścień.

— Rzeczywiście jest piękny — mruknęła z podziwem.

Chłopak nagle przeraził się, że księżna zabierze mu klejnot. Co wtedy pocznie? Diana jednak oddała mu pierścień.

— Musiała zająć pomyłka — oświadczyła. — Ten pierścień ja mu dałam i król przysiągł, że nigdy go nie zdejmie. Na pewno chodziło o pierścień z rubinem, który ma na drugiej ręce. Włóżcie mu ten z powrotem, a zdejmijcie tamten.

Królewska faworyta patrzyła z zadowoleniem, jak lokaj konferuje z medykami, medycy naradzają się między sobą, a następnie lokaj wkłada królowi pierścień na lewą rękę, zdejmując zaś inny z prawej. Król powiedział coś, wciąż nie otwierając oczu. Jeden z medyków nachylił się nad nim.

— O co chodzi? — spytał inny medyk.

— Czy diuszesa Valentinois przyniosła obiecany kordial? Król prosi o niego. Powiada, że tylko jej obecność przywróci mu zdrowie.

— Dlaczego więc diuszesa zwleka? Poślijcie po nią pazia.

— Nie trzeba — rzekł lokaj, ściskając pierścień z rubinem. — Jest za drzwiami. Zaraz ją poproszę.

W zimnych oczach diuszesy malował się triumf, gdy wbiegła z szelestem halek, uklękła przy łożu i mruczając pieszczołliwe słowa zaczęła głaskać dłoń ozdobioną dziwacznym złotym pierścionkiem.

Katarzyna nerwowo przemierzała w tę i z powrotem długą galerię wiodącą z apartamentów królewskich na owalny dziedziniec zamku w Fontainebleau. Deszcz grzechotał o wysokie okna, choć burza cichła już w oddali. Krok w krok za królową truchtało kilka salonowych piesków i dwa karły w mauretańskich strojach, usiłujące rozerwać ją kiepskimi dowcipami. Od wielu dni skarżyła się na ból głowy i duchotę w komnatach zamkniętych z powodu słoty, ale kto choć raz zajrzał jej w oczy, czuł, że trawi ją skrywana wściekłość. Diana de Poitiers wciąż dzierżyła berło i nic nie wskazywało na to, by sytuacja miała ulec zmianie. Chcąc uczcić wyzdrowienie króla, diuszesa zaprosiła cały dwór do swego zabytkowego zameczku Anet na huczne obchody świąt Bożego Narodzenia, choć do zimy było jeszcze daleko — tak pewna swej niezachwianej władzy była królewska faworyta. Astrolog Kosma Ruggieri, podstępny zdrajca, wyjechał do Lyonu „w ważnych sprawach” i dosłownie zapadł się pod ziemię, choć królowa wysłała sześciu swoich gwardzistów, by go odnaleźli i sprowadzili z powrotem.

Nagle pieski rozjazgotały się, karły zaprzestały sztuczek, a na wargach królowej pojawił się mściwy uśmiezek: na końcu korytarza stali dwaj gwardziści, a pomiędzy nimi znajoma, podobna do żuka postać w czarnym, nieco sfatygowanym skórzanym odzieniu. Kosma rzucił się naprzód i przycisnął twarz do jej buta, zalewając się łzami i wykrzykując melodramatyczne zapewnienia o swej wierności i pokorze. Florentynka z trudem opanowała chęć, by go kopnąć.

Od kilku tygodni z coraz większym trudem grała rolę dobrej, uległej żony, podczas gdy Diana upokarzała ją na każdym kroku. Katarzyna chciała podarować mężowi jednej ze swych dam dworu niewielki mająteczek; Diana wymogła go dla siebie. Królowa Szkocji, ta niewdzięczna czternastoletnia pannica, zachorowała, a gdy Katarzyna pospieszyła do niej z zestawem niezawodnych domowych środków, nie wpuszczono jej do komnaty, bo była tam już Diana w towarzystwie dwóch słynnych medyków i chirurga, który puścił dziewczynce krew

— i to nie raz, a dwa razy. Ułożywszy listę przedmiotów niezbędnych dla właściwej edukacji delfina, królowa dowiedziała się, że Diana wydała już panu d'Humières instrukcje, aby delfin mniej czasu poświęcał nauce, a więcej ćwiczeniom fizycznym, które go wzmocnią.

Poeci sławili Dianę, a królową tymczasem trapiły setki zmartwień niczym rój dokuczliwych much. Po Paryżu krążyły pamflety, w których jej synów zwano degeneratami. Jakim prawem? Następca tronu miał rzekomo za poradą czarownika zostać spłodzony w czasie, gdy królowa miała miesięczną dolegliwość, i dlatego był chorowity. Co za brednie! Pamflecistów powinno się wyłapać i stracić! Jej dzieciom nic nie brakuje! Jedyne problemy z Franciszkiem polegały na tym, że jego narzeczona, królowa Szkocji, była odeń o rok starsza i o wiele wyższa. Zepsuta, zarozumiała dziewczyna! Na jej tle delfin niknął. A sporadyczne przeziębienia są normalne w jego wieku. Wyrośnie, da mu się lepszemu krawca, podszlifuje łacinę i będzie z niego król pełną gębą. Poza tym na dwór zjechała właśnie trupa włoskich aktorów z jej ulubioną komedią dell'arte...

A ten przekłety magik przypomina jej o wszystkim, co poszło źle.

— Setne, tysięczne przeprosiny, moja wielka, moja litościwa królowo — skamlał, płaszcząc się u jej stóp.

— Odsuń się. Plamisz mi trzewik. Wiesz, że pierścień z powrotem tkwi na palcu króla? Zasługujesz na stryczek.

Karły i psy przezornie usunęły się z komnaty.

— Ukochana królowo, nie odwracaj ode mnie swego słonecznego wejrzenia!

Deszcz zelżał; cienki promień słońca legł na parkietowej podłodze i rozciągniętej u nóg Katarzyny postaci.

— Powiedz, jak twój pokorny Kosma może cię przebłagać? Przy jakim wielkim dziele mógłbym ci oddać moje skromne usługi?

— Usiłował teraz całować rąbek jej sukni; wyszarpnęła mu go z rąk.

— Poprosiłam diuka de Nemours, żeby oblał jej twarz kwasem. Oszpecony bezoki potwór nie zachwyci króla, choćby nosił tuzin pierścieni. Chcę, żebyś odczytał w gwiazdach odpowiedni dzień.

— To niedobry pomysł, wasza szlachetna wysokość. Nie muszę patrzeć w gwiazdy, by ci to powiedzieć. Nawet jeśli diuk natychmiast ucieknie, jego powiązań z tobą nie da się zachować w tajemnicy.

— Ale wiadomo, że jego ród od lat jest zwaśniony z jej krewnymi Gwizjuszami.

— Wiadomo również, że diuk jest twoim przyjacielem, pani. Uwierz mi, w tym pałacu ściany mają uszy. Czasami mają też judaszowe otwory.

— Kosmo... — przerwała groźnie królowa.

— Wybacz, o najjaśniejsza. Nigdy nawet przez chwilę nie ośmieliłbym się twierdzić... Pamiętaj jednak: jeśli król dowie się, że maczałaś w tym palce, z miłości do niej wyrze na tobie pomstę. Nie byłby pierwszym królem Francji, który zamknął żonę w odosobnieniu do końca jej dni. Mógłby nawet spowodować twoją śmierć. A tego bym nie chciał, miłościwa pani, bo byłby to również mój koniec. Jak więc widzisz, chcę tylko twego dobra, bo twoje dobro i moje są tym samym.

— Cóż za haniebna dola: być z tobą związana w ten ohydny sposób, gadzie.

— Doprawdy, szkoda, ale nic na to nie poradzimy. Gwiazdy to sprawiły. Przeklęty niech będzie dzień, w którym zrobiłem tamten pierścień!

— Istotnie przeklęty! Nie próbuj mnie zwieść powodzią fałszywych łez. Zrobiłeś to po to, żebym ci więcej płaciła.

— Ja miałbym tak postąpić? Masz mnie za chciwca, pani? Po prostu najstarszej wnuczce mego kuzyna potrzebne jest wiano, moja siostra niedomaga i musi jechać do wód, a z kolei mój biedny chrześniak... Jak sama widzisz, jestem ojcem dla tak wielu! Obowiązki mnie przytłaczają.

— Powiadam ci tu i teraz, Kosmo: chcę, aby mój mąż uwolnił się spod władzy tej kobiety. Chcę mieć jego miłość i szacunek. Chcę godności, która mi się należy jako królowej Francji. Nigdy więcej nie chcę słyszeć z ust tej kobiety słów: „córka włoskiego kupcyka”. Zrób coś, Kosmo, inaczej zamknę cię w ciemnicy i będę tam trzymać, aż zapragniesz umrzeć, lecz nie będziesz miał środków, by pozbawić się życia.

— Moja królowo, dlaczego masz do mnie tak mało zaufania? Wahalem się, czy ci o tym mówić, ale teraz... cóż, muszę zdradzić ci ważką i straszną tajemnicę.

Królowa z zainteresowaniem uniosła głowę i przekrzywiła ją w zadumie. Kosma mógłby przysiąc, że widzi jej język wysuwający się z kącika ust. Uff, odetchnął w duchu, ocalił skórę. Dobrze, iż odkryłem plan Simeoniego zmierzający do wysadzenia mnie z siodła. Ten głupiec nie potrafi przewidzieć soboty, a gdyby zdołał osiągnąć Pana Wszelkich Życzeń... Na Asmodeusza! Lepiej o tym nie myśleć.

Mam szczęście, że mój człowiek przechwycił szkatułę, nim dotarła do jego rąk.

— Tak — rzekł głośno. — Nabyłem pewien diaboliczny przedmiot o potężnej sile, zdolny spełnić wszystkie ludzkie życzenia prócz jednego.

— Jakiegoż to? Dlaczego nie wszystkie?

— Tym jednym jest odkupienie, którego Szatan nie jest w mocy udzielić.

— Ach, istotnie, pojmuję. Oddałabym duszę za to, by pozbyć się tej kobiety. Cóż więc masz w zanadru?

— Hmm... Ścisłej mówiąc, wkrótce będę miał. Czy wasza wysokość studiując pisma okultystyczne natknęła się na wzmiankę o Panu Wszelkich Życzeń?

— Pan Wszelkich Życzeń? Być może. Mów dalej, płazie.

Nie słyszała o nim, pomyślał Ruggieri. Teraz ją olśnie.

— Z pewnością przypominasz sobie, pani, legendę o Menandrze Magu?

— Tym, który ponoć odkrył tajemnicę wiecznego życia?

— Tak powiadają. Miałby dziś około dwóch tysięcy lat.

— Wieczne życie... — zadumała się królowa. — A zatem piekło wtedy nie zagraża, prawda? Człowiek jest wolny od Bożego sądu i może robić wszystko... wszystko, co tylko zechce.

— Legenda mówi jednak, że Menander zdobył moce piekielne sprzedając duszę diabłu.

— A diabeł nie mógł mu jej odebrać, bo Menander stał się nieśmiertelny. Tak, przypominam sobie tę historię. Ale co to ma wspólnego z twoim najnowszym odkryciem?

— Wielka i łaskawa pani! Wspaniała i można królowo! Legenda na tym się nie kończy. Król Persji powziął urazę do Menandra i kazał ściąć mu głowę. Mój ojciec znał kiedyś pewnego astrologa, który chciał mu sprzedać kość z palca Menandra...

— I do tego zmierzają te wszystkie brednie? Nie igraj ze mną, Kosmo. Surowo karzę ludzi, którzy robią sobie igraszkę z moich zmartwień.

— Moja królowo, zaufaj swemu biednemu staremu słudze, swemu pokornemu, łkającemu słudze...

— Do rzeczy, Kosmo. Co masz i ile za to chcesz?

— Moja królowo, głowa Menandra została odcięta od ciała, ale żyje nadal. W ten sposób Szatan zemścił się na magu za to, że został wystrychnięty na dudka. Nabyłem dla ciebie właśnie tę żyjącą

głowę, której moc magiczna i tajemna mądrość nie doznały najmniejszego uszczerbku.

— Aby mi służyła?

— Aby spełniała każde twoje życzenie. Szatańska moc Menandra nie zna ograniczeń, a kłątwa Lucyfera każe mu służyć każdemu, kto go posiadzie.

— Skoro przez cały czas o tym wiesz, dlaczego wcześniej jej dla mnie nie zdobyłeś?

— Najlaskawsza pani, nieśmiertelna głowa Menandra Maga może spełnić każde twoje życzenie, ale wedle wszelkich danych nie przynosi szczęścia.

— I tak nie jestem szczęśliwa, Kosmo. Nie dbam o klątwy, piekło i Szatana. Chcę mieć tę głowę.

Kiedy za cofającym się, zgiętym w pokłonie czarnoksiężnikiem zamknęły się drzwi, Katarzynie przyszła do głowy pewna myśl: jeśli ten nędzny robak wejdzie w posiadanie magicznej głowy, najpierw spełni własne życzenia. Potem będę go musiała błagać, by spełnił moje, a za każde każe sobie słono płacić. Nieśmiertelnej głowy nie ma jeszcze w Paryżu, inaczej chętnieby się, że już ją ma. Pewnie idzie pocztą. Każę go śledzić i przechwycić paczkę, zanim dotrze do niego. Jeśli jest tak skuteczna, jak powiada Ruggieri, zażyczę sobie, by uwolniła mnie od tego zdradzieckiego gada — ale dopiero po tym, jak rozprawię się z diuszesa.

ROZDZIAŁ VII

Strzeż się domu Gwizjuszy! Zedrą twym dzieciom kaftany, a twym biednym poddanym — koszule.

Król Franciszek I na łożu śmierci
do swego syna i następcy, Henryka II

— Czas, moi panowie, abyśmy przyłączyli się do dam.

Król Francji Henryk II, wysoki i poważny, poprowadził dworzan do komnat królowej. Był to mąż dworny, lecz wiecznie posepny. Dzieciństwo, które spędził jako zakładnik w hiszpańskim więzieniu, na zawsze pozbawiło go radości życia. Wokół niego rozgrywały się farsy, dowcipy i intrygi snute przez rozbawionych dworaków, lecz on nigdy ich nie zauważał. Żart — czy to subtelny, czy prostacki — po prostu doń nie docierał. Muzyka, pieśni, toasty przepływały mu mimo uszu. Zabawiał się polowaniem, wojną i swą podstarzałą kochanką, która mgliście przypominała mu dawno zmarłą matkę. Harmonogram każdego dnia układał starannie, jak zegar nakręcany poczuciem obowiązku. Nikt nigdy nie widział, żeby król się śmiał.

Po jego lewicy, nieco z tyłu, kroczył główny królewski doradca, konetabl Anne de Montmorency, Wielki Mistrz i marszałek Francji, który bądź osobiście, bądź przez członków swej rodziny skupiał w rękach władzę nad armią, flotą oraz czterema wielkimi prowincjami — Prowansją, Langwedocją, Pikardią i Ile-de-France. Przysadzisty siwo-
włosy konetabl szedł pewnie jak ktoś, kto zna Henryka od kolebki, kto był doradcą i przyjacielem wielkiego króla Franciszka i kogo żadna ludzka podłość nie jest w stanie zaskoczyć.

Po prawej ręce króla szedł rywal starego konetabla, diuk de Guise, głowa drugiego największego rodu królestwa. Wysoki, o twardym spojrzeniu, elegancki i wyniosły, znany był pod przydomkiem „Naznaczony” z uwagi na zeszcpeony policzek. Nielabnącą łaskę królewską zapewniał mu alians z Dianą de Poitiers, kochanką króla, a także szykujące się powinowactwo z delfinem, zaręczonym z siostrzenicą Gwizjusza, Marią, która w niemowlęctwie odziedziczyła tron Szkocji. Za Naznaczonym kroczył jego młodszy brat — Karol kardynał Lotaryński, odziany w szkarłatne szaty, z kardynalskim pektorałem. Bracia Gwizjusze chcieli sfinalizować wielkie przedsięwzięcie, jakim miało być zjednoczenie królestw Francji, Szkocji i Anglii pod ich władzą, a następnie wypalenie z tych krain protestanckiej herezji za pomocą ognia, miecza i stryczka.

Karty były już rozdane: Maria, młodzianka królowa Szkocji, po matce — najstarszej siostrze diuka i kardynała — odziedziczyła krew Gwizjuszy. Jednakże po ojcu, królu Szkotów, była w prostej linii potomkinią Henryka VII Angielskiego. To zaś czyniło ją ostatnią prawowitą katolicką dziedziczką tronu Anglii, ponieważ zarówno Edward, chorowity syn Henryka VIII, jak i Maria, bezdzietna córka pierwszej, katolickiej żony Henryka, już nie żyli. Królowna Elżbieta, córka Henryka i Anny Boleyn, ulubienica angielskich protestantów, przez katolików uważana była za bękartę, albowiem rozwód Henryka VIII i jego ożenek z panną Boleyn nie miał mocy w Kościele katolickim. Dla Francuzów zatem legalną dziedziczką była Maria, zrodzona, by przywrócić Anglię na łono Kościoła. Jej wujowie, Gwizjusze, roztaczali przed królem jej pretensje do korony Albionu i perspektywę, iż jego najstarszy syn dzięki małżeństwu z Marią zostanie pewnego dnia władcą trzech królestw.

Zaślubiny królowej Szkocji z delfinem miały ostatecznie utwierdzić potęgę Gwizjuszy we Francji. Z tego to powodu przebiegły stary konetabl Montmorency czynił wszystko co w jego mocy, by oddalić lub zniweczyć te małżeńskie plany, mając też na względzie dobro własnego rodu.

Gwizjusze byli inteligentni i cierpliwi; nie zależało im na doraźnych zyskach. Wywieźli małą Marię ze Szkocji, kiedy miała sześć lat, i dopilnowali, by wychowywała się wraz z delfinem, czerpiąc u Diany de Poitiers lekcje wdzięku, którym miała oczarować króla i jego chorowitego, niezbyt rozzarniętego syna. Dziewczynka wyrosła na istotę próżną i frywolną; nauczyła się też w każdej poważnej sprawie szukać rady u swych drogich wujów — diuka i kardynała. Marionetki były już

przygotowane do spektaklu. Pewnego dnia Gwizjusze obejmą władzę. Poprzez Marię, piękną tytułarną królową, będą rządzić Francją, Szkocją i Anglią.

Za tymi dwiema zwalczającymi się wzajemnie podporami tronu tłoczyli się dworzanie, głowy najwyższych rodów i dowódcy armii, posiadacze wielkich ziem, odziani w jedwabie i wyszywane złotem aksamity, w opiętych pończochach z lśniącymi podwiązkami, w krótkich pantalonach tak samo bufiastych i zdobnych jak watowane kaftany. Niewydarzony rozkapryszony delfin także postępował za ojcem. Był odeń dużo niższy, miał wylupiaście oczy, perkaty nos i cofnięty podbródek odziedziczony po matce. Jego twarz szpeciły rozległe jaskrawoczerwone znamiona, usta zaś miał wiecznie otwarte z powodu polipów w nosie. Nie sposób było się w nim doszukać choć krzty tej godności, jaka cechowała króla, któremu posępny długonosy profil nadawał wyraz wielkiej powagi i majestatu. Dzieci jednak dane są rodzicom na dobre i złe; król, będący dziś u szczytu swej potęgi, chciał, by jego syn został kiedyś jeszcze większym władcą niż on.

— Istny ogród rozkoszy! — westchnął król Nawarry, pierwszy z książąt krwi, gdy dworzanie weszli do sali przyjąć królowej. Na galerii grali muzykanci, tu i tam na małych stolikach rozstawiono gry i przekąski. Królowa siedziała na niskim wyściełanym krześle. Drugie — nieco wyższe i bogato zdobione — stało puste obok. Posadzka z kolorowych płyt wyłożona była cennymi dywanami i miękkimi jedwabnymi poduszkami, na których damy dworu przysiadły u stóp Katarzyny, rozkładając wokół siebie barwne fałdziste spódnice. Po złożeniu formalnych ukłonów królowej panowie przyłączyli się do grupek pań, aby grać w karty, snuć opowieści, słuchać najświeższych plotek i piosenek. Żaden z własnej woli nie opuściłby tych wieczorków: można tam było flirtować, umawiać się na schadzki, wymienić starą kochankę na inną, nową. Nieszkodliwe rozrywki, myśleli panowie patrząc na damy skupione wokół królowej i diuszesy. Te słodkie pustogłowe istoty, tak rozkosznie powolne męskim żądom...

Damy dworu były jednak związane mocnym węzłem lojalności albo z Katarzyną, albo z Dianą. Ich panie ubierały je, opłacały i rządziły ich życiem niczym dowódcy dwóch wrogich armii. Przydzielały kochanków, nadzorowały romanse i żądały ścisłych sprawozdań z tego, o czym była mowa w łóżku. Te damskie rządy sprawowane były w perfumowanych rękawiczkach i panowie nigdy nie dostrzegali, iż znajdują się w rękach dwóch rywalizujących ze sobą wywiadów, działających wedle sprawdzonych zasad taktyki wojskowej.

Król w otoczeniu pół tuzina dworzan podszedł do królowej i rozpoczął z nią uprzejmą rozmowę.

— Mój panie — Katarzyna starała się znaleźć temat łączący ich rozbieżne zainteresowania — czy czytałeś proroctwa mistrza Nostradamusa? Wiele jest tam mowy o przyszłości królestwa.

— W polityce nie kieruję się radami wróżbitów — uciął król. — To było dobre dla pogańskich cesarzy i doprowadziło Rzym do upadku. Na szczęście władam chrześcijańskim krajem.

— Mimo to... Mam tu ów zbiór. Racz, panie, spojrzeć na ten osobliwy ustęp. — Szybko podsunęła mu otwartą książkę.

Franciszek powoli odczytał wskazany czterowiersz:

*Le lion jeune le vieux surmontera
En champ bellique par singulier duel:
Dans cage d'or les yeux lui crèvera:
Deux classes une, puis mourir, mort cruelle.*

Z tyłu w gronie dworzan dał się słyszeć szmer. „Młody lew pokona starego w pojedynku...” Lwem był bez wątplenia król. Zbiory przepowiedni były ostatnio bardzo modne, a ten stał się już głośny. Na ulicach mówiono, że prorokuje śmierć Henryka II. Ale czyż przepowiedanie śmierci króla nie było zdradą stanu?

— To nic nie znaczy — rzekł król. — Jeśli ktoś chce być prorokiem, powinien mówić jasno. Spójrz na te wiersze. Łacina wymieszana z językiem francuskim i gwara, zagadki i anagramy. Ten człowiek celowo zaciemnia tekst, aby później, po fackie, twierdzić, że to właśnie chciał powiedzieć. I kto mu zaprzeczy? Nikt nie zdoła zrozumieć ani słowa z tego, co tu powypisywał.

— Mój Kosma twierdzi, że jest tu przepowiedziane zagrożenie, którego musisz uniknąć.

— Twój Kosma? — prychnął wzgardliwie Henryk. — Ten upiorny magik, którego przywiozłaś z Włoch?

— Ród Ruggierich służy Medyceuszom od wielu pokoleń — odparła królowa.

— Odkąd ci zajęli się handlem i lichwą — szepnęła Diana de Poitiers do swojej małej protegowanej, królowej Szkocji. Dziewczynka zachichotała.

Katarzyna słyszała docinek, ale nie dała tego po sobie poznać, jeśli nie liczyć ukradkowego spojrzenia w stronę źródła głosu.

— No i jakże interpretuje on ten czterowiersz? Bo ja przyznam, że niewiele pojmuję — wtrącił stary konetabl, sojusznik Katarzyny przeciw Gwizjuszom, starając się rozładować sytuację.

— Powiada, że królowi grozi śmierć w pojedynku. Mój panie, to proroctwo tak mnie przeraziło, że wysłałam gońca do słynnego Guaricusa w Rzymie, aby ten sprawdził twój horoskop.

Król westchnął. Horoskopy, karty, wróżbici i tym podobne głupie zabobony stanowiły pasję jego małżonki. A także koszmarnie włoskie komedie, z których śmiali się wszyscy oprócz niego. Czy ta kobieta nie miała żadnych normalnych zainteresowań?

— No dobrze — rzekł kwaśno. — Sprawdził go?

— Przysłał mi ten list, panie, który pan de l'Aubespine przełożył z łaciny na francuski. Guaricus pisze, by król unikał w szczególności wszelkich starć jeden na jednego w obrębie zamkniętej przestrzeni, zwłaszcza w czterdziestym pierwszym roku życia, albowiem w tym właśnie okresie grozi mu ciężka rana głowy, mogąca spowodować ślepotę lub śmierć.

Królowa wręczyła mężowi przekład listu z Włoch. Pospępane spojrzenie monarchy spoczęło przez chwilę na niepokojącym ustępie. Milczał dość długo, a kiedy się odezwał, nie zwrócił się do królowej, lecz nachylił się do starego konetabla:

— Widzisz, przyjacielu, jak wszyscy wróżą mi rychły zgon?

Słowa te wypowiedziane zostały sardonicznym tonem, lecz Montmorency wyczuł kryjącą się w nich rozpacz. Wrodzony smutek i pesymizm króla nie potrzebowały dodatkowej pożywki.

— Panie, chcesz wierzyć chełpliwym szarlatanom? Spal ten list!

— Stary druhu, zdarza się, że ci ludzie mówią prawdę — rzekł znużonym głosem król, który nigdy się nie śmiał. Wzruszył ramionami i dodał: — Taka czy inna śmierć, co za różnica? Z czyjejkolwiek jednak ręki zginę, wolałbym, aby był to człek mężny i honorowy i abym zszedł z tego świata w blasku chwały.

Przekłeta Diana de Poitiers!, myślała królowa. Zatrula mu umysł romantycznymi bredniami ze starych ballad. Król powinien być bardziej praktyczny. Celem dobrej przepowiedni jest uniknięcie niebezpieczeństwa. Gdyby mój kuzyn Hipolit słuchał swego wróżbity, nie zostałby otruty przez mego kuzyna Aleksandra. Na wielkim dworze wrogów ma się wszędzie. Mój mąż wstąpił na tron, ponieważ jego brat, który nie trzymał astrologa, zginął od trucizny. Dla dobra swych poddanych król powinien walczyć z Przeznaczeniem zatrudniając wielu magów — tak jak ja.

Świadoma nastawionych wokół uszu, powiedziała głośno:

— Panie, jesteś władcą potężnego królestwa. Przez wzgląd na twój lud i młodość twego syna, że nie wspomnę o sobie i pozostałych dzieciach, które tak bardzo cię kochają, błagam cię, abys się nie narażał w czterdziestym pierwszym roku życia. To nie tak długo. Potem ostrzeżenie Guarica straci moc.

Król spojrzął na nią jak na wcielenie głupoty i odparł:

— Guaricus tylko kracze. A ten drugi, Nostradamus, czy podaje datę? Wróżbici będą wymyślać jedną przepowiednię po drugiej, by zapewnić sobie stały dopływ złota z twojej kiesy, a mnie odrzec z rycerskiej sławy.

— Nostradamus, panie, nie jest zwykłym wróżbitą. Ta książka świadczy o nim jako o wielkim proroku, który widzi dalej niż inni. Pozwól, bym posłała po niego; niech wyjaśni napisane tu słowa i odczyta przyszłość królewskiego domu. Wtedy będziesz mógł spać spokojnie.

Jaka ona natrętna, pomyślał król. Brzydka, głupia intrygantka. Choć może lepiej, żeby miała zajęcie. Diana radzi, bym jej nie przeszkadzał, będziemy wtedy mieć więcej czasu dla siebie.

Henryk z roztargnieniem skinął głową na znak zgody.

Nazajutrz z pałacu wyruszyli gońcy z listami do gubernatora i wielkiego seneszała Prowansji. W poczcie znajdował się też rozkaz królewski, aby doktor Michał de Nostre-Dame przybył na dwór tak szybko, jak to tylko możliwe. Był czerwiec roku pańskiego 1556. Od dnia, w którym Nostradamus zanotował w swoim zielonym kaciecie nieprzyjemną rozmowę z duchem dziejów, upłynęło ponad dwa lata.

— Wiedziałem — rzekł Nostradamus, gdy sługa seneszała zsiadł z konia u drzwi jego domu. Ociecił oczy od słońca, które tu, w Prowansji, latem tak paliło, że bruk zdawał się skwierczeć z gorąca.

Był lipiec 1556 roku, prawie rok po tym, jak oddał wydawcy z Lyonu rękopis „Centurii”. Później wypadki potoczyły się jak lawina, jedno po drugich, zgodnie z przewidywaniami. A teraz dworski goniec pukał do jego drzwi.

— Rozkaz królewski, czy tak? — powitał zakurzonego jeźdźca w wysokich skórzanych butach. Goniec spojrzął na niego z przestraszeniem. — Do Paryża, też coś! Z moja podagrą? Tam i z powrotem będę się tłukł ponad miesiąc, nawet rozstawnymi końmi!

Nie zaprosił posłańca, by ten schronił się w cieniu, lecz wściekły tkwił w progu łamiąc pieczęcie.

— Nie szkodzi — mruknął. — Sakwy mam już spakowane. Dawno wiedziałem, że dostanę ten list.

Posłaniec zbladł.

— Musisz, panie, wyruszyć najszybciej, jak to możliwe — bąknął.

— Jaki byłby ze mnie prorok, gdybym nie przewidział, że będę zmuszony na miesiąc zamknąć interes? Znalazłem już medyka, który mnie zastąpi. Powiedz seneszalowi, że jutro ruszam do Saint-Esprit. A tak przy okazji: oczywiście przesłał mi pieniądze na podróż?

Zmieszany goniec sięgnął za pazuchę i wy dobył niewielką sakiewkę.

— Dobrze — rzekł Nostradamus. — Nigdy nie staraj się wywieść w pole kogoś, kto jest obdarzony nadprzyrodzoną mocą. Hmm... Lekka ta sakiewka. Nie starczy nawet do połowy drogi. Czego się spodziewają? Że pojedę na własny koszt?

Zrzedząc wszedł do ciemnej sieni, stukając laską o kamienną posadzkę. Przejęty zabobonnym strachem goniec oddalił się pospiesznie.

Nostradamus wybrał trasę, którą poruszała się królewska poczta i w trosce o bezpieczeństwo starał się — ilekroć było to możliwe — podróżować w towarzystwie kupców lub orszaku jakiegoś szlachcica. Droga minęła mu nadspodziewanie szybko i już w połowie sierpnia dotarł z Orleanu do Paryża. Przez cały czas wszakże psioczył pod nosem, że bez Leona poruszałby się jeszcze szybciej i że to wszystko wina żony, która nadmiernie się o niego lęka. Ostatecznie czyż w młodości nie zwiedził samotnie całego znanego świata? I doprawdy czy mężczyzna musi ciągnąć ze sobą lokaja jak jakiś paniczyk, który zmienia odzież trzy razy w ciągu dnia — a to wszystko dlatego, że żona się martwi?

— Przynajmniej napisze mi, jak się miewasz — powiedziała doń przed wyjazdem. — Ty nigdy nie masz czasu, żeby o tym pomyśleć.

— N a p i s z e ? Ten człowiek nie umie nawet trzymać pióra!

— Ale świetnie potrafi wynająć skrybę. Zanim do nas przystał, przez dwadzieścia lat służył mojemu ojcu. Jest absolutnie wierny i bardzo zaradny, a ty potrzebujesz opieki.

Ostatecznie więc Leon pojechał z nim, a ponieważ istotnie okazał się zaradny, nie było tak źle. Z drugiej strony, jeśli zważyć koszt żywienia dodatkowej gęby... Przecież sam dotarł kiedyś do serca Arabii, umknął z łap wielkiego sułtana w Konstantynopolu, studiował tajemnice kabały wśród magów Ziemi Świętej i nigdy nie ciągnął ze sobą pacholka ani niańki...

Właśnie z goryczą rozważał tę kwestię pod wyjątkowo obskurną oberżą, która istniała chyba tylko dzięki dogodnemu położeniu, kiedy spostrzegł coś dziwnego. A raczej: kogoś dziwnego. Młodą kobietę wyraźnie odstającą od otoczenia. Towarzyszył jej największy i najbrzydszy pies gończy, jakiego Nostradamus kiedykolwiek widział, który płaśał wokół niej na szczudłowatych nogach, obwąchując dosłownie wszystko. Dziewczyna wabiła go imieniem Gargantui. Słyszając to, stary doktor podniósł wzrok. Oczytana. Hm... Stanowczo zbyt dobrze urodzona, by poruszać się bez przywoitki. Tylko jeden lokaj, jeśli w ogóle można nazwać lokajem małego wieśniaka bez liberii. Ubrana w nicowaną przykrótką żalobną suknię, lecz bynajmniej nie pogrążona w żalu. Jedynym, co nękało tę młodą damę, było zażenowanie, że wcale nie czuje wyrzutów sumienia z powodu szokującego postępku, jakiego niedawno się dopuściła. Poza tym była bardzo zaaferowana czekającym ją jakimś niezwykłym zadaniem. Wyróżniało ją coś jeszcze: aura większości ludzi otulała ich ciasno niczym cienki płaszcz, była zauważalna, lecz nie rzucała się w oczy. Raz jeden Nostradamus zobaczył pasterza, którego potężna aura promieniowała niemal na dwadzieścia stóp. Skłonił się przed nim i pozdrowił w nim przyszłego papieża. Lecz aura tej pannicy — jakie to osobliwe! — zachowywała się jak dotknięta czkawką. Wirowała wokół niej, tu i ówdzie wybuchała na zewnątrz i znów przygasiała. Coś się działo. Ta młoda dama ulegała przeobrażeniu. Z czego i w co?

Zaciekawiony, przyjrzał jej się dokładniej. Delikatny, lecz orli profil, oliwkowa skóra i gęste, kręte czarne włosy świadczyły o południowej krwi, ale była wyższa niż kobiety z południa. Miała iście królewską posturę, lecz o nieba! Szpiczaste łokcie, chude kostki i te wielkie stopy! Zaiste różniła się od reszty. Można było ją nazwać przystojną, nawet piękną, ale nie ładną. Zwrócił się do niej. Mówiła z miejscowym akcentem, lecz patrzyła nań długo ciemnymi, taksującymi oczyma, podobnymi do jego oczu. Tak, było w niej coś z Południa.

Wielkodusznie przepowiedział jej przyszłość— za darmo! Obraziła się i odwróciła plecami. W cieniu przywiązany był jej koń, mały kasztanowaty *roussin*, objuczony nad miarę ozdobnym, malowanym damskim siodłem. Nostradamus podrapał się w skroń; miał uczucie, że spaceruje po niej komar. Ale to nie był komar, lecz ukryte przeczucie, że ta pretensjonalna, irytująca pannica jest częścią problemu, nad którym właśnie dumał. Coś wiązało ją z losem Francji. W ciągu najbliższej doby wydarzy się coś, co okaże się decydujące również dla dalszych losów tej młodej osoby.

ROZDZIAŁ VIII

— Śmierć heretykom! Śmierć heretykom!

Rozjuszony tłum tłoczył się pod masywnym sklepieniem bramy miejskiej Orleanu i wylewał na zewnątrz. Nawet najbardziej nieczuła dusza musiałaby zadrzeć słysząc ten posepny zaśpiew. Przebiegły mnie ciarki, serce zaciążyło jak kamień. Droga prowadzona mężczyznę w samej koszuli; chude kolana krwawiły mu po upadku. Na plecach niósł wiązkę drewna. Heretyk prowadzony na stos. Nie znałam go z widzenia. Może był to właśnie rękawicznik Dumoulin? A gdzie teraz jest ojciec? Pacholek, który prowadził mego konia, cofnął się ustępując przed napierającą cizbą. Mnie jednak tym bardziej zaczęło się spieszyć, by wejść do miasta.

— Trudno będzie panience przecisnąć się przez bramę teraz, kiedy wszyscy pchają się na zewnątrz — powiedział męski głos.

Zerknęłam w dół i zobaczyłam tęgiego prostaka, który przedzierał się przez tłum w moim kierunku. Wyglądał jak muszkietier w drodze do swej kompanii: na szyi miał ładunki prochowe nanizane na sznurek, na plecach węzełek, przy boku krótki miecz, a na głowie sfatygowaną czapkę z resztkami pióra. Czegoś mi tu brakowało...

— Gdzie masz muszkiet? — spytałam.

— Ach, jaśnie panienko, w tym cała rzecz: zostawiłem go dla bezpieczeństwa w lombardzie przy rue Sainte-Anne, a bez niego nie mogę wrócić do kompanii. Jeśli panna się zgodzi, bym przytroczył do jej siodła mój węzełek, pomogę pacholкови utorować drogę.

Wciąż jeszcze wstrząśnięta świeżo oglądaną sceną, w milczeniu skinęłam głową. Gargantua łakomie obwąchał zawiniątko, ale dla tego psa nawet stare buty stanowią cenny przysmak.

— Z drogi, z drogi, ta oto panna spieszy do łoża śmierci swojej starej babki! — zakrzyknął żołnierz. Okrzyki te w połączeniu z jego budzącą respekt posturą oczyściły nam drogę aż do bramy miasta.

— Gillier, ty stary przemytniku soli, stój! — krzyknął strażnik, a dwaj inni rzucili się i schwytali mego przewodnika, nim zdołał wyciągnąć miecz.

— Czego ode mnie chcecie? — spytał. — Trzeba wam wiedzieć, że nawróciłem się na dobrą drogę i właśnie służę tej oto damie.

Ludzie patrzyli na nas i mimo chłodnej, wyniosłej miny poczułam strach. Najchętniej uciekłabym stamtąd, zanim ktoś rozpozna we mnie córkę człowieka, który wynajął swój dom heretykowi.

— Jadę w odwiedziny do mojej chorej ciotki, pani Tournet, która mieszka w pobliżu placu katedralnego — rzuciłam tonem wyjaśnienia.

Strażnicy przeszukiwali żołnierza. W pierwszej chwili chciałam oddać im węzełek, ale już w następnej przypomniałam sobie o monopolu solnym wykupionym przez Villasse'a i poczułam niesmak. Nie miałam zamiaru oddawać mu przysługi, nawet pośmiertnej. Po co wręczać im dowód przestępstwa?, szepnęło moje niskie „Ja”. Zostaniesz w to wmieszana i wyniknie stąd nie wiadomo jak długa zwłoka, a powinnaś się spieszyć. Słusznie, przytaknęło moje wzniósłe „Ja”; chociaż raz się zgadzamy. Jeśli w paczce jest sól, pobieranie cła jest grzechem, ponieważ Pan Bóg stworzył wielką obfitość soli dla użytku wszystkich ludzi. Ten obrzydliwy Villasse najchętniej kazałby nam płacić za powietrze, którym oddychamy, gdyby tylko mógł. Sam zasłużył na swój nędzny koniec, najwyraźniej bowiem taki właśnie los przeznaczył mu Bóg za jego chciwość. Ja byłam tylko narzędziem Opatrzności, a zatem trudno mnie za cokolwiek winić.

Rozmyślenia owe mącił mi niepokój, że ziemskie władze, zajęte w tej chwili egzekucją rękawicznika, mogłyby nie w pełni docenić moje zasługi w roli narzędzia Wyższej Sprawiedliwości. Żołnierz — czy też przemytnik soli — rzucił mi spłoszone spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Nie oddawaj im tej paczki”. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że zainteresowanie się strażników tajemniczą paczką, która przypadkiem znalazła się w moim posiadaniu, mogłoby doprowadzić do ujawnienia niefortunnego wypadku Villasse'a. Mój lotny umysł zareagował w мгনিениu oka.

— Ciotka kazała mi przybyć bez zwłoki — oznajmiłam głośno i wyniośle. — Mam do niej list od mojej matki.

Strażnicy mrużąc oczy długo wpatrywali się w adres. Jasne było, że nie umieją czytać.

— No dobrze, proszę przejść— rzekł w końcu ich dowódca. — Ale wasz sługa pójdzie z nami do sędziego.

Wkrótce go wypuszczają, pomyślałam. Nie mają żadnych dowodów, bo ja już właściwie jestem wolna jak ptak. Po raz kolejny wyższy umysł zatriumfował nad ciemnotą prostaczków. Przejeżdżając przez bramę za swym pacholikiem dostrzegłam kątem oka, że dziwny ciemnowłosy mężczyzna z kolczykiem w uchu zmierza w naszym kierunku. Gdyby nie wrodzona mi skromność, pomyślałabym, że chce biec za mną.

— Ty nie, człeczko — rzekł do niego strażnik. — Wyglądasz jak cudzoziemiec. Jeśli nie potrafisz dowieść, jaką sprawę masz w mieście, pozostaniesz za murami. Miasto nie jest miejscem dla obcych i bezpańskich włóczęgów.

Święta prawda, pomyślałam. Nigdy dość ostrożności, jeśli nie chce się wpuścić pomiędzy dobrych ludzi wszelkiej maści złoczyńców.

Jak uczą nas moralitety, złoczyńcy staczają się coraz niżej po drabinie społecznej aż do ostatecznego spotkania z Najwyższym Sędzią, który wtrąca ich do otchłani. Pochylając się z konia, by sięgnąć do brązowej kołatki u bramy domu ciotki Pauliny, doszłam do wniosku, że być może jestem większą przestępczynią, niż mi się dotąd wydawało. Dom był zaniedbany, a brama nie nowa, jak ją zapamiętałam, lecz odrapana i zardzewiała. Wyszczerbiony górą mur porastało dzikie wino. Być może schronienie w tym nędznym domostwie stanowiło dla mnie pierwszy krok w dół, ku otchłani.

Zastukałam jeszcze raz, głośniejsze. Bez skutku. A jeśli ciotka Paulina zmarła nagle albo wyprowadziła się, a nas nikt o tym nie powiadomił? Nie strzyżona śliwa z ukrytego za murem ogrodu sypała nadgniętymi owocami na koronę muru, a ich słodkawy zapach mieszał się z odorem nieczystości bijącym z ulicy. Za życia pana Tourneta otwierały się przed nim nawet drzwi dobrych domów, choć nam nigdy nie wolno było przestąpić tego progu.

— Jego pieniądze są brudne — mawiał ojciec. — Paulina sprzedała honor naszej rodziny człowiekowi znikąd.

Czasem słyszałam, jak starsze kobiety rozmawiały z matką:

— Oczywiście nie możemy jej przyjmować, sama rozumiesz. Ten człowiek nie ma żadnej dystynkcji. Cóż takiego opętało rodziców twojego męża, że zezwolili na ów mezalians?

Matka milczała, a czasami mówiła:

— Pani Tournet należy do rodziny niezależnie od tego, kogo poślubiła.

Na tym zwykle rozmowa się kończyła. Kiedyś, w chwili słabości, matka powiedziała do mnie:

— A jak, twoim zdaniem, dziadek zdołałby ocalić majątek, gdyby nie pożyczki Jana Tourneta? Król nie wstydził się mieć z nim do czynienia, kiedy mąż Pauliny budował mu flotę, ale dla naszych krewnych nie był dość dobry. Nie zniżyli się zwłaszcza do tego, aby kiedykolwiek zwrócić mu pieniądze.

Przez mgnienie oka ujrzałam drugie, nie znane mi oblicze matki — osoby, dla której sprawiedliwość liczy się wyżej od urodzenia i pozycji. Jakie jeszcze piastowała sekretne myśli, tak dalece sprzeczne z poglądami ojca? Oglądałam jej duszę przez uchylone okno, które jednak zaraz zatrzasnęło się ponownie — tak samo nagle, jak nagle się otwarło. Matka oddaliła się z niewzruszoną miną, niczym żywy obraz szlacheckich cnót i dobrego wychowania. Niedługo potem pan Tournet zmarł, a wraz z nim skończyły się jego pożyczki i nasz dostatek.

Ponownie załomotałam w bramę, tym razem jeszcze głośnieją. W zakratowanym okienku ukazała się twarz, zapytano mnie o imię, po czym twarz zniknęła. Po nieznośnie długim oczekiwaniu brama rozchyliła się z okropnym zgrzytem. Stałam na dziedzińcu, patrząc na nie pomalowane, obrośnięte pnączem ściany rezydencji, która sprawiała wrażenie wymarłej. W tym czasie ponury sługa bez słowa odprowadził do stajni mego pacholka i konia. Twarz zza okienka, jak się okazało, należała do starego lokaja o drewnianej nodze. Zlustrował mnie od stóp po głowę i bez słowa ruszył przez wybrukowany kocimi łbami dziedzińiec do drzwi wejściowych, które ktoś otworzył przed nami od środka. Za nimi ginęło w półmroku wnętrze wielkiej sieni.

— Wejdz, wejdz, moja droga chrzestna córko — odezwał się głos z głębi mrocznej, luksusowo urządzonej komnaty. — Karty uprzedziły mnie, że dziś przybędziesz.

Ten niesamowity dom i głos płynący z ciemności onieśmieliły mnie. Na stole intarsjowanym kilkoma rodzajami cennego drewna stało parę świec, roztaczając wokół słabą, chybotliwą poświatę. Ciemne, ciężkie rzeźbione meble — krzesła, ławy i skrzynie — zdawały się czaić pod ścianami i w kątach. Tu i ówdzie światło wyławiało z mroku satynowe poduszki i jedwabne materie rozwieszane na ścianach. Olbrzymi wzorzysty dywan na środku pokoju połyskiwał barwą skrzepłej krwi, bliżej ścian zaś rozpląwał się w bezkształtnej ciemności. Wprowadzono mnie do tej komnaty przez szereg innych — pustych, ciemnych, śmierdzących myszami i pleśnią.

— Widzę, że masz ze sobą psa. Señorowi Alonzowi się to nie spodoba.

— Najmocniej przepraszam, pani. Uciekł z domu i pobiegł za mną, a teraz nie chce mnie odstąpić nawet na krok.

— „Pani”? Sybillo, córeczko chrzestna, mów do mnie „ciociu”. Ostatecznie jestem twoją rodzoną ciotką. Podejdźże bliżej. Nie widziałam cię od czasu, gdy miałaś sześć lat, i chcę zobaczyć, na jaką piękną i dorosłą pannę wyrosłaś.

Ciotka Paulina siedziała przy stole, układając karty — arkana, figury, blotki; w użyciu była cała talia tarota. Nie znałam tego układu. Ciotka odkryła jeszcze szóstkę denarów i odłożyła resztę talii na bok.

— Przywiozłam list od matki — bąknęłam.

Nos miała taki jak ojciec, wszystkim innym się od niego różniła. Z wiekiem utyla i nie zmieściłaby się już na zwykłym krześle. Jej lśniące włosy miały nasyconą czarną barwę, jaką można osiągnąć tylko za pomocą farby. Inteligentne przenikliwe oczy o barwie bursztynu otaczała siateczka drobnych linii świadczących o niełatwych życiowych doświadczeniach. Ciotka malowała usta, róż zdobił też jej policzki. Nad górną wargą miała niewielki wąsik, lecz za to skórę miękką, białą i zważywszy jej wiek, wprost niezrozumiale gładką. Jej twarz, postać, sposób gestykulacji — wszystko to świadczyło, że pamięć mnie nie zwiódła: rzeczywiście musiała być kiedyś bardzo piękna. O krzesło oparta była laska z dziwaczną srebrną główką w kształcie głowy małpy. Gargantua, który poczuł się w obowiązku obwąchać cały pokój, oczywiście ją stracił. Podałam cioci list i podniosłam laskę.

— Dziękuję ci, kochana. Wiesz, mam artretyzm. Czasami trudno mi się poruszać. Widzę, że pieczęcie na liście są złamane. Czytałaś go, Sybillo, ty ciekawskie stworzenie?

— Chyba pół świata go czytało, ciociu. Straż nie chciała mnie wpuścić do miasta samej o tak późnej porze, więc musiałam pokazać list mamy.

— Jakież to musiało być dla ciebie nieprzyjemne! Być wziętą za kobietę lekkich obyczajów! Mam nadzieję, że nie zachowywali się grubiańsko?

Ten dziwny dom i moja jeszcze dziwniejsza ciotka tchnęły jakąś magią, która odzierała mnie z poloru nadanego mi przez wyższe „Ja” i zmieniała w całkiem inną istotę, nagą i nieokrzesaną, pragnącą wyrzucić z siebie wszystkie starannie dotąd skrywane tajemnice.

— Jestem czymś gorszym niż kobieta lekkich obyczajów, ciociu. Jestem morderczynią, choć to nie moja wina. Zupełnie nie moja wina, bo to była pomyłka, po prostu nieporozumienie. A jeśli ojca nie uwolnią z więzienia, zostanę na dodatek żebraczką. Czy teraz ciocia wyrzuci mnie za drzwi?

Spojrzała na mnie tymi bursztynowymi oczyma, których źrenice w półmroku wyglądały jak głębokie czarne studnie.

— Morderczynią? — spytała z całkowitym spokojem. — Twoja matka jest w liście więcej niż dyskretna. Kogo zamordowałaś?

— Mojego narzeczonego, Teobalda Villasse'a. Ale to stało się przypadkiem — dodałam pospiesznie.

Z ust starszej pani wydobyła się seria ni to prychnięć, ni to chichotów. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, rzekła:

— Siadaj, moja droga. Chcę o wszystkim usłyszeć. Nie bój się, zachowam dla siebie twój sekret. A potem zjemy lekką kolację. — Potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem. — Arnoldzie — powiedziała, gdy zjawił się lokaj — połóż na stole trzecie nakrycie. Moja bratanica pozostanie u nas przez jakiś czas.

Nie zdążyłam nawet dobrnąć do momentu, w którym Teobald nagle i nieoczekiwanie nabył stos nabożnych ksiąg, kiedy z dalszym ciągiem opowieści trzeba było się przenieść do jadalni.

— Na Boga, dziewczyno — powiedziała ciotka, spałaszowawszy znaczną część każdego z tuzina sytych dań, które jedno po drugim pojawiały się na stole — prawie nic nie jesz! Nie dziwota, że jesteś taka chuda.

— Niby jestem głodna, ale równocześnie nie mogę nic przełknąć. Tak bardzo martwię się o ojca, aż brzuch mnie boli.

Na wzmiankę o ojcu ciotka skrzywiła się lekko, po czym nałożyła sobie pierś kaczki przyrządzonej z kandyzowaną skórką pomarańczową i dodatkiem dziwnej przyprawy, której zapach ostro kręcił w nozdrzach. Przyglądałam się dziwacznie nakrytemu stołowi. Siedzieliśmy przy nim tylko we dwie, ale było jeszcze jedno nakrycie — mały pucharek i miseczka. Stało przy nim wąskie, wysokie miękko wyściełane krzesło.

— O niego się dziś nie martw — prychnęła ciotka. — Na razie ważniejsze jest, abyś się najadła i wypoczęła po tych strasznych przeżyciach. Villasse, he, he, he! — Otarła usta serwetką i nałożyła sobie wołowego ragout z wielkiego srebrnego półmiska. — Jaka szkoda, że señor Alonzo nie chciał dziś sięść z nami do stołu. Wiesz? Są jego ulubione gruszki w cukrze. Będzie żałował, niewdzięcznik. Niestety, obawiam się, moja droga, że jest o ciebie

zazdrosny. Z roku na rok robi się coraz bardziej rozkapryszony.

A zatem wysokie krzeselko nie należało do dziecka, jak wcześniej przypuszczałam, lecz do señora Alonza. Zapewne był to karzeł. Wszystkie bogate damy mają karłów i trefnisiow, którzy umilają im czas pomiędzy grą w karty, plotkami i polowaniem. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, aby ciocia Paulina lubiła polować.

— Kto...? — zaczęłam.

— Musisz opowiedzieć mi dokładnie, jak spowodowałaś zgon lubego Villasse'a. Chcę nacieszyć się każdym słowem.

Ciocia była dziwną słuchaczką. Kiedy spodziewałam się przygany, wybuchala tym swoim dziwnym, niezwykłym śmiechem. Gdy spodziewałam się zgrozy, okazywała rzeczowe zatroskanie, gdy zainteresowania — spotykałam się z krytyką. Czasem zmieniała temat i mówiła o czymś zupełnie innym, choć przez cały czas skupiona była na tym, co jej opowiadałam. Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego jak ona. Wydawała się kompletnie nieświadoma zasad przyzwoitości. Podczas rozmowy pożerała zdumiewające ilości rozmaitego jada. Zaczynałam się jej bać.

— Zbierasz kamienie? — zapytała, kiedy skończyłam opowieść o niesławnej śmierci pana Villasse'a. — Jakże? O, to ciekawe. Ale nie masz bezoaru? Przypuszczam, że są za drogie do dziewczęcej kolekcji. Ja mam kilka. Widzę, że sporo wiesz o historii naturalnej. Rysujesz szkielety? Chciałabym któregoś dnia obejrzeć twoje szkice. Villasse zasłużył sobie na to, co go spotkało. Bądź spokojna, jeśli twój ojciec wyjdzie z lochu, rodzina Villasse'a nie waży się pisnąć słówka. Powiedz, czy interesują cię gwiazdy? Ja osobiście wolę noc od dnia. Gwiazdy prowadzą wędrowców; słońce tylko źle wpływa na cerę. Rozsuń zasłony, Sybillo. Jest już całkiem ciemno, chciałabym zobaczyć wschód księżyca.

— Zapewne przekupił rządęcę... — powiedziałam z rozpędu.

— To się zdarza. I to całkiem często. Tu, w mieście, również trafiają się porwania, mimo że straż chodzi po ulicach. Villasse zawsze był porywczy. To zła cecha, nie sądzisz? Patrz, jaki piękny księżyc! Pomóż mi wstać; chcę wychylić się z okna i zamienić z nimi parę słów. Z kim? Z gwiazdami, rzecz jasna. Patrz tam: widzisz Gwiazdę Polarną? To moja przewodniczka. Bezpieczna przystań, jak mawiał mój nieboszczyk mąż. Niech inne się poruszają; ta jedna trwa na swoim miejscu. Nigdy o tobie nie zapomniałam, Sybillo, choć wszyscy tego chcieli. Niektóre rzeczy są dobre, inne złe. Gwiazda Polarna zawsze jest dobra. Historia Villasse'a zdążyła już

mnie znudzić, moja droga. Zostanie pochowany wśród innych tajemnic ukrytych już dawno w piwnicach tego miasta. Jakież to znaczące, że właśnie zabójstwo sprowadziło cię do mnie. Kiedyś może to zrozumiesz.

Nagle drgnęłam, przypomniawszy sobie o czymś. Ciocia to spostrzegła.

— O co chodzi, skarbie? Czy powiedziałam coś, co cię zgorszyło? Obawiam się, że z wiekiem przywykłam gorszyć ludzi.

— Nie, nie, ciociu. Mam coś na sumieniu. Przywiozłam ze sobą worek soli, który nie należy do mnie, i nie wiem, jak mam odnaleźć jego właściciela, który był mi bardzo pomocny. Nie będę w porządku, jeśli wyrzucę tę paczkę.

— Pozwól, że zawołam Arnolda — powiedziała ciocia, wysłuchawszy uważnie kolejnej opowieści. — Cała ta historia brzmi dość podejrzanie. Moim zdaniem ten podstępny drab posłużył się tobą, aby przemycić do miasta swój worek bez kontroli. Dobrze, że cię nie aresztowano. Doprawdy jesteś gąską, moja droga. Żeby tak ufać obcym! — Potrząsnęła dzwonkiem. Jednonogi lokaj pojawił się z nową butelką wina i napenił nam kielichy. — Arnoldzie, przynieś mi sakwę, która była wśród bagaży mojej chrestnej córki. Chcę zobaczyć, co w niej jest. Zdziwię się, jeśli istotnie okaże się, że to sól.

Kazała mi powtórzyć całą historię. Arnold słuchał w skupieniu.

— Moim zdaniem on może wrócić po tę paczkę — dodała ciocia.

— Ja też jestem tego zdania, łaskawa pani. Ostrzegę domowników. — rzekł lokaj, kuśtykając w stronę drzwi.

Kiedy wrócił z workiem i otworzył go na stole, światło świecy błysnęło na metalowym okuciu. Wszyscy troje jak jedno jęknęliśmy głucho. Wewnątrz była ciężka skórzana sakwa zapieczętowana herbem królowej Francji.

— Sybillo, kochanie, jest gorzej, niż myślałam. Twój nieznajomy obrabował królewskiego posłańca.

— Królewski posłaniec prędzej by zginął, niż oddał przesyłkę — zauważył Arnold. — Obawiam się, że w całej tej sprawie jest trup.

— Też o tym pomyślałam — przyznała ciocia, ocierając serwetką sos z wąsika. — Pytanie brzmi: czy powinniśmy zakopać paczkę, czy też rano posłać ją do sędziego twierdząc, że została znaleziona na drodze. Na szczęście pieczęcie są nie naruszone. Chyba możemy zaryzykować z sędzią. Wieść się rozniesie i rabuś będzie wiedział, że nie ma już tu czego szukać. Arnoldzie...

- Dopilnuję tego, łaskawa pani.
- Świetnie. Na razie włóż sakwę z powrotem do szafy. Jutro się jej pozbędziemy. I przynieś nam jeszcze trochę tego słodkiego wina. Znakomicie mi się po nim śpi.

Kilka godzin później, rozmarzona ciotczynym winem, udałam się w ślad za milczącym jednonogim lokajem do mojej komnaty. Skradzioną przesyłką i zabójstwem, które miałam na sumieniu, zaczęły mi ciążyć, budząc lęk, potęgowany jeszcze atmosferą tego zatęchłego, niesamowitego domu. Światło niesionej przez Arnolda świecy wylaśniało z mroku wijących się korytarzy i mijanych komnat dziwne egzotyczne przedmioty mającące między obrazami świętych a posągami nimf. Malowane skórzane tarcze, włócznie i maczugi barbarzyńców, długie tuby pełne ostrych strzał. Ze ścian szczyrzyły się do mnie ohydne maski. Gdy weszliśmy do przeznaczonej dla mnie komnaty, ja — kobieta, która bez zmrużenia oka wystrzeliła z muszkietu — zadygotałam. W tejże chwili Gargantua warknął i z ujadaniem rzucił się naprzód. Nagle coś włochatego i śmierdzącego z upiornym wrzaskiem skoczyło mi na plecy i szponami wczepiło się w moją głowę. Też wrzasnęłam, usiłując wyplątać to paskudztwo z włosów. Zniknęło w ciemności; posłyszałam odgłos wspinania się. Pies oparł się dwiema łapami na łożu szczekając tak jak wówczas, gdy uda mu się zapędzić kota na drzewo. Spod sufitu dobiegł dziwny skrzek. Ciężki, zapadnięty w środku baldachim chwiał się, jak gdyby coś na nim siedziało.

- Co to za okropieństwo? — krzyknęłam, drżąc na całym ciełe.
- A, tu jesteś, señor Alonzo, ty mały zazdrośniku — odezwał się nareszcie lokaj. — Pani stęskniła się za tobą. No chodź, zejdź na dół.

Odstawił świecę, zacmokał i sięgnął do kieszeni po coś, co wyglądało jak kawałek ciasta. Rozległ się pospieszny szelest. Z baldachimem wprost na ramię lokaja zeskoczyło długoogoniaste stworzenie pokryte gęstą brązową sierścią i ubrane w wyszywany aksamitny ku-braczek. Wpychając ciasto do paszczyki spojrzało na mnie czarnymi paciorkowatymi oczyma. Miało melancholijny pyszczek brzydkiego sędziwego staruszka.

— Małpa — sapnęłam, z wolna dochodząc do siebie. — Skąd tu się wzięła małpa?

— To nie jest zwykła małpa. To señor Alonzo, mój bosman — rzekł lokaj. — Kiedyś żeglowaliśmy razem po morzach. — Usłyszawszy to, przycupnięta na jego ramieniu małpka wykrzywiła się, szczerząc drobne ostre zęby. — A teraz służymy wiernie naszej pani, prawda, Alonzo?

Gargantua węszył nerwowo, rozkopując zaścielający podłogę stos odzieży.

— Moje rzeczy! Wszystko powywracane!

Rzuciłam się je zbierać. To była katastrofa. Drzwi szafy stały otworem, a moje halki i suknie, dokładnie przemieszane ze zmiętymi stronami rękopisu i polane pachnidłem z otwartej butelki, leżały na podłodze. Małpa widać skakała po nich w furii.

— Przykro mi, panienko. Señor Alonzo musiał wyczuć na pani rzeczach zapach psa. Poza tym jest na panienkę zły, bo przedtem miał swoją panią tylko dla siebie. Zaraz tu posprzątam. O, jaki piękny ma panienka kuferek! Co za dziwny ornament! — Arnold podniósł z podłogi srebrną szkatułę i postawił ją na wysokiej komodzie. Małpa zaskrzeczała, przenosząc się jednym susem na olbrzymią, bogato rzeźbioną szafę.

— To nie moje. Nigdy przedtem go nie widziałam... Och, nie!

Pocztowa sakwa leżała pusta na podłodze. Małpison w orgii zniszczenia połamał pieczęcie i pozrywał sprzączki.

— Ten kuferek... — wyjąkałam — był w królewskiej poczcie.

— Hm, cóż — rzekł lokaj — to znaczy, że możemy porzucić myśl o rozmowie z sędzią. Zadawałby zbyt wiele pytań, na które nie umiałaby panienka odpowiedzieć. Poradzę się pani Tournet, ale widzi mi się, że najlepiej byłoby porzucić jutro sakwę na gościńcu za murami i niech los weźmie sprawę w swoje ręce. Ewentualnie utopić ją w jakiejś studni.

Serce podeszło mi do gardła na myśl o własnej naiwności. Wplątałam ciotkę w niebezpieczną awanturę. Im prędzej pozbędę się tej przesyłki, tym lepiej.

Tej nocy nie mogłam spać. Co rusz budziły mnie koszmarne sny. Znów widziałam rozjuszony tłum, tylko że tym razem to ojciec w koszuli dźwigał wiązkę drewna. Kiedy jednak spojrzałam na szafot, szykowała się tam jakaś inna egzekucja. Komuś miano ściąć głowę. „A! — powiedział przechodzień. — To kobieta, która zabiła narzeczonego. Straszny grzech! Ohyda!” Pniak ociekał krwią... a w tle cichy, przebiegły głos mówił: „Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Tylko otwórz, wypowiedz słowa wypisane nad zamkiem, a twoje największe marzenia się ziszczą”. Kto mógł to mówić? Budziłam się i wpatrywałam w ciemność, lecz nie słyszałam nic prócz oddechu Gargantui. Po jakimś czasie znowu zbudził mnie ten sam głos, a potem jeszcze raz i znowu. Wtedy zdałam sobie sprawę, że oprócz mnie i psa w komnacie jest ktoś jeszcze. Oddychał bardzo cicho, ciszej niż szmer wiatru.

To ta okropna małpa, pomyślałam, wkradła się do pokoju. Nie, przecież drzwi były zamknięte. Ze szczytu komody dobiegł ledwie dosłyszalny dźwięk, jakby szept. A więc to jednak małpa. Boi się zejść, bo przy łóżku leży Gargantua. Naciągnęłam kołdrę na głowę (jak gdyby kołdra mogła powstrzymać to straszne zwierzę) i obróciłam się na drugi bok, usiłując zasnąć.

W końcu, gdy do komnaty wdarł się srebrny brzask, przeniknąwszy różową zasłonę świtu (niezłe, Sybillo, przyda się w następnym wierszu!), ściągnęłam kołdrę z głowy i na własne oczy przekonałam się, że małpy nie ma w sypialni. Pióro i papier, pomyślałam. Muszę zapisać to o różowej zasłonie świtu, nim zapomnę. Poezja — kiedyś mój powód do dumy — teraz będzie mi pociechą... Boso, w nocnej koszuli, zaczęłam szperać po nie znanej mi komnacie. Wtedy posłyszałam ten sam głos, szepczący jeszcze bardziej nagłać niż przedtem:

— Ty próżna niewiasto, nie jesteś nic a nic ciekawa? Otwórz szkatułę, a znajdziesz w niej tajemnicę, która uczyni cię największą poetką na świecie.

Odruchowo odparłam:

— Też mi zaszczyt! Kobiet, które szczerze poświęciły się Muzom, jest bardzo niewiele. Bycie „największą poetką” to jak tytuł cesarza antypodów.

Na dźwięk mego głosu Gargantua przebudził się i uniósł łeb.

— A zatem poetą. Pisarzem nad pisarze, czczonym jak bóstwo, cytowanym przez kochanków na całym świecie... — szeptał pospiesznie głos. Ponad wszelką wątpliwość dobiegał z komody.

Zesztywniałam. W tym kuferku było coś... coś ohydneho. Szeptało mi o moich najskrytszych marzeniach. Ciarki przebiegły mi po skórze. Czulałam się upokorzona, słysząc własne sekrety wypowiedane tym śliskim, wulgarnym głosem. Postanowiłam za żadne skarby nie otwierać szkatuły. Im prędzej znajdzie się na dnie jakiejś studni, tym lepiej.

— Twoje marzenia na dnie studni? Mogłabyś uczynić coś takiego? Gargantua warknęła, jak gdyby też to słyszała.

Kiedy sytuacja urąga logice, najlepiej stawić jej czoło właśnie za pomocą logiki. Zamiast więc uciec z krzykiem, zwróciłam się do komody, mówiąc:

— Posłuchałam tego nieznajomego i tylko narobiłam sobie kłopotów. Tym bardziej nie mam zamiaru słuchać ciebie. Kimkolwiek jesteś, duchem czy demonem, mam już dość kusicieli. Dzisiaj wrócisz do piekieł. Postanowiłam sprowadzić egzorcystę.

Z kufierka dobiegł upiorny jęk. Musiał to być demon, skoro wzmianka o wodzie święconej tak go wystraszyła. Prawie zrobiło mi się go żal.

— No właśnie — odezwał się kuferek. — O ja nieszczęsny, uwięziony w tym pudle! Zobaczysz, że jestem dobry, miły, czuły, śliczny i kochany...

— Kłamca — ucięłam. Boże, jakież to było chytre! Wychwytywało każdą moją myśl, starając się zrobić z niej użytek. Podobno w ten sposób działa Szatan.

— Wcale nie jestem chytry. Jestem biednym, małym, skrzywdzonym nieszczęśnikiem, który czeka tylko, aby czysta dziewica uwolniła go i pocałunkiem zmieniła na powrót w przystojnego księcia...

Czyżby miał mnie za głupią sentymentalną gęś, która uważa się za księżniczkę z bajki? Wpadłam w furję.

— Dość tego! — wrzasnęłam, zdjęłam kufer z komody i z rozmachem wrzuciłam go do sakwy. Gdy przyklękłam, by ją zasznurować, usłyszałam jeszcze:

— Nie ciekawi cię nawet, kim jestem, że królowa Francji tak rozpaczliwie mnie pragnie? — Potem zapadła cisza.

Może impet uderzenia je zabił, pomyślałam. Ucichło na amen. Ciekawe, co to jest. Jeśli zdechło, nie zdoła mnie skrzywdzić. I w ogóle nie może być aż tak groźne, skoro miała je otrzymać królowa. To pewnie elf albo chochlik w zapieczętowanej butli. Co mi szkodzi zerknąć? Zwłaszcza teraz, gdy jest martwy albo nieprzytomny. Prędko zamknę kuferek z powrotem i będzie tak, jakbym w ogóle do niego nie zaglądała.

Tym razem demon z kufra nie odpowiedział na moje myśli. Panowała głucha cisza. Niesamowita cisza. Na pewno co najmniej zemdłał. Wyjęłam zdobną posrebrzaną szkatułę z sakwy. Nie było z niej słyhać nic, nawet oddechu. Muszę się przekonać, czy rzeczywiście go nie zabiłam. Tylko zajrzę, nic więcej.

Gdy uniosłam skrzynkę, Gargantua zaskomlał i schował się pod łóżko.

Na szkatule było mnóstwo wygrawerowanych napisów, których niestety nie umiałam odczytać, nigdy w życiu bowiem nie widziałam podobnych liter. Dziwaczne zdobienia budziły we mnie grozę. Była tam jakaś postać o węzowych kształtach i głowie koguta, siedząca w rydwanie. Nad zamkiem tkwiła tabliczka z nonsensownymi słowami napisanymi łacińskim alfabetem. Potrząsnęłam szkatułą. Nic w niej nie grzechotało. Powąchałam ją. Nie pachniała niczym nadzwyczajnym.

Postawiłam ją na niskiej skrzyni i odsunęłam rygielek, chcąc ostrożnie zajrzeć do środka.

Rozległ się ogłuszający ryk, a różowawe światło brzasku pociemniało, jak gdyby nagle zapadła noc. Wieko kuferka otworzyło się uniesione podmuchem, który targnął moją nocną koszulą i rozrzucił pościel po całym pokoju. Kiedy znów zrobiło się jasno, zobaczyłam w kuferku coś niewyobrażalnie starego i emanującego z siebie czyste zło. Była to zmumifikowana głowa pokryta brunatną, łuszczącą się, suchą jak pergamin skórą, umieszczona na zbutwiałej poduszce ze szkarłatnego jedwabiu.

— O Boże! — wykrzyknęłam, żegnając się znakiem krzyża.

— Już za późno — posłyszałam ten sam natrętny głos. Suche, łuszczące się wargi ledwie się poruszały. — Zajrzałaś. Teraz jestem twój.

Jedna zapadnięta wysuszona powieka uniosła się i lypnęło spod niej żywe lśniące oko. Mrugnęło do mnie. Pergaminowe wargi rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. Z przeraźliwym krzykiem zatrasnąłam wieko.

Potem zrobiło się straszne zamieszanie. Gargantua ujądał, zbiegła się służba, a na koniec sapiąc wtargnęła do pokoju ciocia w szlafroku i rurkowanym czepku, opierając się ciężko na lasce.

— Co tu się wyprawia? Czy twój pies złapał szczura? Doprawdy, Sybillo, nie jesteś chyba aż tak płocha!

— Ciociu, ciociu, w tej skrzynce jest straszna wyschnięta ludzka głowa!

— Hm... — mruknęła ciotka. — W takim razie nie możemy jej wrzucić do studni, bo zepsuje wodę. Pomyślmy... Ludzka głowa w poczcie kurierskiej. Możliwe, że to głowa kogoś znacznego, zabrana po egzekucji...

— Pewnie jej teraz szukają — wtrącił Arnold. — Ten rabuś i inni. Takie rzeczy mają wartość nie tylko sentymentalną.

— Zakopimy ją więc w piwnicy, a skrzynkę utopimy w studni — oznajmiła ciocia. Z kuferka dobył się stłumiony okrzyk.

— Ciociu, to... to żyje. To... mówi, wygaduje takie straszne rzeczy... — wyjąkałam, oblewając się potem na samą myśl o żywym szyderczym oku.

Głowa w kufrze wydała tak złowróżbny dźwięk, że nawet Arnold się przeżegnał.

— Cicho, ty tam! Myśle! — Ciocia kilkakrotnie gruchnęła laską w kuferek. Istotnie, była tak zamyślona, że nawet nie zauważyła

wgnieć, jakie pozostawił w rzeźbionym wieku okuty koniec laski.

— Nie niszc mi kuferka — ozwało się z wewnątrz.

Patrzyłam przerażona, jak wgłębienia powoli się wygładzają. Po chwili kuferki wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem. Ciocia najwyraźniej niczego nie zauważyła.

— Gadająca skrzynka — powiedziała. — Takie rzeczy bywają sporo warte. Pewnie wysłano ją na dwór jako osobliwość. Nie dziwota, że ktoś ją ukradł. Powiedz mi, ty tam, umiesz tylko paplać czy jeszcze się do czegoś nadajesz?

Odpowiedziała jej cisza. Miałam wyraźne uczucie, że to coś w szkatule śmiertelnie się obraziło.

— Obudź się, do ciebie mówię! — zawołała ciocia, ponownie łomocząc w skrzynkę.

Wewnątrz rozległ się niski, złowróżbny pomruk. Po chwili stłumiony głos odezwał się ze złością:

— W ciągu siedemnastu stuleci nie spotkałem potworniejszego babska! Powiadaj ci, kobieto, jesteś zakałą swojej płci.

— Mam nadzieję — odrzekła beztrudnie ciocia. — Nauczyłam się paru rzeczy od czasu, gdy dla pieniędzy wyszłam za pana Tournet. Jedną z nich jest zasada, by nigdy nie ustępować źle wychowanym zjawiskom nadprzyrodzonym. Powiedz no, masz jakieś zalety? Jeśli nie, do piwnicy z tobą. Głęboko. I nawet nie myśl o tym, żeby przekląć dom. Już i tak jest pełen duchów oraz różnych przeklętych przedmiotów. Przywlokły się tu za moim mężem, kiedy wracał po pracy. Dla ciebie więc raczej nie ma miejsca.

— Wypowiedz na głos słowa napisane nad zamkiem i spójrz mi w twarz, a spełnię najgorętsze pragnienie twojego serca — dobiegło z kuferka. Tym razem jednak głos brzmiał nieco osowiale.

— Teraz gadasz głupstwa. Większość ludzi byłaby przerażona, gdyby otrzymała to, co pochopnie uznała za swoje pragnienie.

— No właśnie! — ucieszył się głos. — Dlaczego poza tobą dotąd nie spotkałem nikogo, kto by wiedział o tym, z a n i m uległ pokusie i oddał się w moją moc?

— To bardzo proste — odparła ciocia. — Ponad wszystko na świecie pragnęłam być bogata. No i dostałam pana Tourneta, który dosłownie siał wokół siebie złotem. Problem nie leży w tym, czego pragniesz, lecz w balaście, który dostajesz na dokładkę.

— Znakomicie rozegrane. Prawie jak moje dzieło — rzekł chępliwie głos.

Ciocia milczała przez chwilę.

— Ależ z ciebie złośliwiec — stwierdziła. — Sybillo, pora pozbyć się tej kreatury. Pól świata będzie się za nim rozbijać, ale ja nie zamierzam trzymać go w swoim domu. Naprawdę nie ma tu już miejsca na jeszcze jedną osobliwość.

— Za późno — doleciało z kufierka. — Ta młoda kobieta, której się wydaje, że jest poetką, spojrzała mi w twarz. Ponieważ zaś mój poprzedni właściciel został zamordowany, oznacza to, iż należę do niej, póki nie wyzionie ducha albo nie skaże się na wieczne potępienie ciągłym wyrażaniem życzeń. Będę ją wabił jak kochanek, a ilekroć mnie ujrzy, będzie do siebie czuła coraz większą odrazę. Potem wypowie życzenie, tylko jedno, malutkie. Ale przyniesie jej ono tyle kłopotów, że wkrótce zechce wypowiedzieć następne. O, ja daję ludziom dokładnie to, czego chcą. Potem wciąż na nowo naprawiają swe życzenia i grzęzną coraz głębiej...

— O, nie! Mojej chrestnej córki nie będziesz tak nękał! Arnoldzie, zabierz to stąd i wrzuć do rzeki. Sakwę spalimy. Sybillo, przestań pociągać nosem i ubierz się. Masz dziś sprawy do załatwienia, aczkolwiek twój ojciec niczym nie zasłużył na tyle oddania. Mój Kochający braciszek, ha! Od lat nie odezwał się do mnie ani słowem... chyba że chciał pieniędzy.

Arnold wziął kuferek pod pachę.

— Nie, nie do rzeki! — rozległo się ze środka. — Pomyśl, jak wiele wycierpiałem. Zwłaszcza tobie, który żyjesz bez nogi, łatwo chyba zrozumieć kogoś, kto musi żyć bez ciała! Spełnię twoje najgorętsze pragnienie! Czy nie chciałbyś znów mieć kształtnej mocnej nogi?

— Ty stary oszuście, najpierw spraw sobie nowe ciało...

Reszta konwersacji umknęła mi, kiedy wyszli z pokoju. Spojrzałam na cicię, unosząc brwi w niewypowiedzianym pytaniu.

— Nie bój się. Arnold nie da się skusić. Dobrze zna oblicze zła. Albowiem nie ludź się, moje dziecko, w tej szkatule jest zło, zło w najczystszej postaci.

— Przemawiał tak żałośnie... Wiem, że jest strasznie brzydki...

— Sybillo, nie daj się podejść. Ci, którzy czynią zło, zawsze udają pokrzywdzonych. Mają mnóstwo wymówek dla swoich postępów. Winny jest cały świat, tylko nie oni. Pokaż mi sprawiedliwego, który twierdzi, że tylko odbiera swoje, a ja pokażę ci prawdziwego łajdaka. Jestem pewna, że i Neron znalazłby usprawiedliwienie dla swoich zbrodni, gdybyśmy go zapytali.

Nawet gdybym była w lepszej formie, przyswojenie sobie takiej myśli sprawiłoby mi nieco trudu, a to zdecydowanie nie był mój najlepszy dzień. Jednakże mimo iż czułam się zupełnie wyczerpana nerwowo, zapytałam grzecznie:

— Skąd ciocia tyle wie o takich sprawach?

Podziwiałam zimną krew i odwagę, z jaką stawiała czoło tym wstrząsającym, anormalnym zjawiskom. Nie do wiary: ciocia w szlafroku okłada laską diabelski artefakt, i to jeszcze przed śniadaniem!

— O zbrodni? — odparła. — Może kiedyś ci opowiem, na czym zbił majątek pan Tournet...

ROZDZIAŁ IX

— Zazdroszczę ci tego domu, braciszku — Kosma Ruggieri szerokim gestem objął ciasną paradną izbę swego brata Wawrzyńca — i spokojnego życia. Nie masz pojęcia, jaka trudna i wymagająca jest służba tylko jednej, i to równie potężnej pani. Zaiste szczęściarz z ciebie: masz własną pracownię i pełną swobodę, i nie musisz spełniać wciąż nowych zachcianek królowej.

Siedzieli na piętrze domu przy rue de la Tisseranderie. Kosma opierał stopy na jedynym podnóżku, a jego czarny płaszcz wisiał w rzędzie innych okryć na kołku wbitym w ścianę. Obok widniało kilka astrologicznych wykresów, a nad nimi wymalowana czerwoną barwą pieczęć Asmodeusza, piekielnego patrona rodu Ruggierich. Ostatecznie czarnoksiężstwo i przepowiadanie przyszłości były w tej rodzinie zawodem przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

Bratowa Kosmy, miła drobna kobieta w domowej sukni, białym czepcu i fartuchu, zakrzętnęła się, by napełnić winem opróżniony puchar. Z sąsiedniej izby dobiegały głosy dzieci recytujących lekcje przed najmłodszym z braci Ruggierich, który wziął na siebie obowiązki ich preceptora do czasu, gdy dochody z malarstwa pozwolą mu założyć własną rodzinę.

— Jesteś najstarszy, ty więc odziedziczyłeś rodzinną protektorkę. Tobie przypadł w udziale i zaszczyt, i kłopot. Beatrycze, masz jeszcze trochę tych ciasteczek dla mojego utytułowanego brata? Ach, jakież ona miała piękny układ gwiazd! Ojciec zawsze mawiał, że *duchessina* pewnego dnia zostanie królową Francji. Dzięki niej i dzięki tobie, Kosmo, wszystkim nam zresztą nieźle się powodzi. Nie przejmuj się, to tylko nerwy. Powinieneś się ożenić, dobrze ci to zrobi. Moja żona ma kuzynkę w kraju. Podobno dziewczyna jest tak

urodziwa, że gdy idzie przez plac, zegar na wieży kościelnej staje, by się jej przyjrzeć...

— Nie mogę, bracie. Szczęście rodzinne odarłoby mnie z tajemnicy. Podobnie byłoby, gdybym przywdział jakikolwiek inny kolor oprócz czerni. Wymagania profesji... cóż, ojciec mnie uprzedzał. Miłościwa pani prawie co dzień wrzeszczy na mnie jak harpia. Już całkiem zapomniała, że to ja uczyniłem ją królową! Jakie miała szanse będąc żoną młodszego syna? Powiadam ci, moje życie zawiśnie na włosku, jeśli tym razem jej nie zadowolę...

— Znowu? A gdzie wdzięczność? Była bezpłodna i król chciał ją oddalić, a dzięki tobie i zaklęciu, jakie znamy od ojca, urodziła dziesięcioro dzieci!

— Ten nadęty zarozumiały doktor Fernel przypisuje sobie całą zasługę. Podobnie zresztą chirurg, który operował króla, oraz ta intrygantka Gondi, która kupowała dla niej jakieś szarłatańskie uroki, a także stary konetabl Montmorency, który zgromadził kolekcję zamorskich leków w czasie swych podróży... nie mówiąc o mnóstwie innych osób pragnących zaskarbić sobie łaski królowej. Trudno oczekiwać od laików, by pojęli dobre, zdrowe zasady czarnej magii.

— To przekleństwo naszej profesji. Ojciec miał słuszość. Każdy amator wyobraża sobie, że sam może rzucić zaklęcie, a my musimy straszyć ich kłębamii dymu i czarnymi szatami, by wiedzieli, gdzie ich miejsce. Salonowe sztuczki! Może Roger miał rację, że zajął się malarstwem. Magia to wymagający zawód.

— Mało powiedziane! Pyszne te ciasteczka. Twoja żona jest świetną kucharką. — Kosma strzepnął okruszki z czarnego kaftana. — Królowa nie spocznie, póki nie pozbędzie się diuszesy Valentinois z łoża swego męża. Zaczęła na własną rękę bawić się rzucaniem uroków i oczywiście tylko pogorszyła sprawę...

— Zawsze tak jest.

— ...a potem oznajmiła, że pośle po starego Michała de Nostradamę, by zajął moje miejsce.

— Ten człowiek ma nie po kolei w głowie. Ponadto jest kiepskim poetą. Jego „Centurie” to tanie przechwałki...

— Prócz tego Simeoni chciał wysadzić mnie z siodła.

— Simeoni? To przecież kretyn!

— Ale dowiedział się, że jakiś wenecki astrolog odnalazł legendarnego Pana Wszelkich Życzeń. Uznawszy, iż dzięki niemu prześcignie mnie w królewskich łaskach, posłał po niego swego człowieka.

Wawrzyniec Ruggieri raptownie siadł na wyściełanym taborecie i palnął się dłonią w czoło.

— Pana Wszelkich... Masz na myśli tę koszmarną nieśmiertelną głowę Menandra Maga? Czy nie miał jej Guaricus?

— Nie, to tylko plotka. Guaricus jest za mądry, by się jej tykać. Należała do niejakiego Józefa Magistra. Kazałem więc Giovanniemu, żeby skradł ją wysłannikowi Simeoniego...

— Ten piekielny pomiot... Nawet nasz ojciec nie tknąłby go za żadne skarby świata. Kosmo, popełniasz błąd.

— Musiałem coś zrobić, królowa coraz bardziej się niecierpliwiła. Powiedziałem jej, że mam dla niej głowę Menandra. Później jedna z jej dam przysłała do mnie po lubczyk i zdradziła mi w najgłębszej tajemnicy, że królowa wysłała dwóch ludzi, by ją przechwycili...

— Kłątwa już działa. Za tą głową ciągnie się łańcuch nieszczęść.

— ...a teraz chce jej także diuszesa Valentinois po to, żeby królowa nie zdobyła władzy, którą daje nieśmiertelna głowa. Znając ją, nie wierzę, by również nie wysłała po nią własnych zbirów.

— Babska wojna! Nie ma nic gorszego. Beatrycze, kochana, otwórz tę butelkę, którą chowaliśmy pod łóżkiem. Zostaniesz na wieczery, prawda, Kosmo?

Zaczerwieniony już od wina Kosma w milczeniu skinął głową i otarł czoło z potu czarną jedwabną chusteczką, którą wyjął z rękawa.

— Dobrze pomyślane — rzekł z podziwem jego brat, patrząc na ten kosztowny drobiazg.

— Podarunek od królowej. Och, bracie, bracie, im wyżej człek się wzniesie, tym straszliwszy będzie jego upadek. W tej chwili oddałbym wszystko za małą, spokojną pracownię, taką jak twoja. Układałbym horoskopy dla piesków bogatych dam, sprzedawałbym eliksiry zakochanym młodzieńcom, od czasu do czasu wywoływał demony dla jakiegoś satanisty amatora... Nie grozi ci łamanie kołem ani *poire d'angoisse*. Och, Asmodeuszu! Za co ja tak cierpię?

Wkrótce jednak do izby wniknął rozkoszny aromat czosnku i rozmarynu, ciepłego chleba i pieczonego jagnięcia, a zapraszające szcękanie mis i noży rozkładanych na stole wyrwało głównego maga królowej Francji z melancholijnej zadumy. Kiedy wstali, by przejść do sąsiedniej izby, młodszy brat objął starszego ramieniem.

— Żona... potrzebna ci żona. I małe, przytulne mieszkanko, o którym nikt nie będzie wiedział. Ta stara wiedźma z dołu długo już nie pożyje, a moja Beatrycze cieszyłaby się z towarzystwa...

Ale Kosma Ruggieri pogrążony był we własnych myślach.

— Napuścić Menandra Maga na rodzinę królewską... To straszne ryzyko! Zważ jednak, że pomysł nie był mój. W pewnym sensie dobrze jej tak: nie powinna mieszać się do spraw, których nie rozumie. Jak zachować władzę nad tą starą mumią, żeby Katarzyna nie wykorzystowała jej przeciwko mnie?... Może umieszczę ją w zapieczętowanej niszy, chronionej siedmioma świętymi znakami, i będę urządził seanse podczas nowiu. Muszę skłonić królową, by otworzyła skrynkę. Za nic nie chciałbym pierwszy spojrzeć mu w twarz. Każdy, kto dotąd miał go w posiadaniu, zginął przedwczesną i paskudną śmiercią.

— Bardzo mądrze napisane — stwierdziła ciocia, zmrużonymi oczyma wodząc po mej petycji. — Słowa są długie... długie słowa świadczą o inteligencji. Komu jak komu, ale tobie jej nie brakuje! I co za oddanie! Mój brat nie zasłużył sobie na taką córkę. Gdzie są twoje siostry? Nie odpowiadaj, i tak z góry wiedziałam, że to będziesz ty. Brawurowa odwaga, namiętna lojalność... — urwała i pokiwała głową do swoich myśli. — Ten charakter... masz go we krwi. Czulałam, że tak będzie.

Odłożyła szkło powiększające i zaciągnęła storę, bezlitośnie dławiąc wąziutki promień słońca, który oświetlał biurko.

— Słońce — wyjaśniła, widząc moją zdziwioną minę. — Nie ma nic gorszego dla cery. Patrz na mnie: ani jednej zmarszczki. A ty już jesteś opalona na brąz. Za często przebywałaś na słońcu, odkąd przeniosłaś się na wieś. Wkrótce pojawią się zmarszczki, potem bruzdy i fałdy, aż w końcu będziesz wyglądać nie lepiej niż ta wysuszona głowa w kufrze, którego właśnie udało nam się pozbyć. Och, nie rób takiej przerażonej miny. Jeszcze nie jest za późno. Po prostu musisz zacząć dbać o urodę, i to konsekwentnie. Dziś wieczorem, kiedy wrócisz z pałacu biskupa, położysz się na godzinę z balsamem na twarzy. Sama go wymyśliłam i sama przyrządzam z ogórków i śmietany. — Potrząsnęła dzwoneczkiem.

Speszona, spoglądałam na swoją suknię. W tym bogatym wnętrzu wyglądała prowincjonalnie, wręcz żałośnie. Prócz tego była nieco za krótka i w ogóle nie miała trenu.

— Źle wyglądam? Czy moja suknia...

— Chyba nie myślałaś poważnie, by ją włożyć? Uczciwa bieda nie robi wrażenia na ważnych osobach. To złudzenie nędzarzy. Czarny jedwab... mam coś takiego z czasów, gdy byłam szczuplejsza. Kazałam wczoraj Amalii przydłużyć spódnicę. — Taksującym spojrzeniem zmierzyła moje przerośnięte kończyny. — Te stopki, moja droga,

muszą pozostać tajemnicą. — W zadumie przekrzywiła głowę. — Włosy masz lśniące, choć ich barwa jest nieco gminna... Lekki, zwiewny woal i wzruszysz biskupa, nim się jeszcze odezwiesz. A, właśnie, zrób coś dla mnie. Włóż ten pierścion. Przyniesie ci szczęście. — Pogrzebała w biurku i wyjęła z niego staroświecki pierścionek z czerwonego złota. Miał postać girlandy, w którą wplecione były litery „P” i „M”. Wijące się wokół niej kwiatowe pędy zroszone były maleńkimi brylantami. Był to damski pierścion, w sam raz na szczupły mały palec.

— Och, jest za piękny, nie mogłabym...

— Tylko na dziś, moja droga — powiedziała ciocia, wkładając mi go na palec. Na mojej chudej, opalanej dłoni wyglądał stanowczo zbyt wielokopańsko. — To pamiątka. Ale dziś, jak już mówiłam, przyniesie ci szczęście. O, jesteś, Arnoldzie. Każ Grzegorzowi włożyć na Florę damskie siodło. I czaprak z aksamitnym obszyciem, haftowany złotem. Ten, którego używałam w niedziele, kiedy jeszcze mogłam jeździć konno. Zapamiętaj, Sybillo: dama nigdy nie dotyka stopą ziemi, nawet po to, by przejść przez plac do katedry. A tylko kmiot wybrałby się w drogę na tym jucznym zwierzaku, który cię tu przywiózł. Nawet twój ojciec nie pokazałby się na nim w mieście. Doprawdy, trafiłaś do mnie w samą porę. Można cię jeszcze tego i owego nauczyć.

Musiłam zaiste wyglądać tajemniczo — zawoalowana dama na pysznej siwej klaczy prowadzonej za uzdę przez dwóch pacholków w liberii. Spoceni przechodnie, praczka z wielkim koszem, dwóch pogrążonych w rozmowie skrybów, próżnujące dzieci, nawet żebracy schronieni w cieniście przedsiionku katedry — wszyscy podnosili na mnie wzrok. Po chwili opuszczali go z powrotem, jak gdyby w tym upale nawet patrzeć kosztowało ich zbyt wiele wysiłku. Raz po raz powtarzałam w myśli przygotowaną mowę i wydawała mi się coraz głupsza. Kuliłam się ze wstydu. Wypociny wiejskiej ignorantki! Gdyby chociaż była napisana po łacinie, ułożona przez zręcznego notariusza...

Na dziedzińcu biskupiego pałacu jeden z lokajów ciocci przytrzymał konia, drugi zaś pomógł mi zsiąść. I znów przechodzący słudzy ogłędali się za mną, zwalnając kroku, jakiś ksiądz skrzywił się z dezaprobatą, a dwaj poważni, stateczni mężczyźni w szatach z ciężkiego jedwabiu i złotych łańcuchach, opuszczający właśnie pałac przez podwójne wierzaje, przystanęli u szczytu schodów, żeby mi się przyjrzeć. Sądząc po stroju, byli to bogaci kupcy, nie ludzie dobrze urodzeni. Kilka kroków za nimi (jak gdyby im towarzyszył, ale wcale nie chciał

być z nimi widziany) włókł się wysoki młodzieniec o oliwkowej cerze, orlim profilu i lśniących, bystrych oczach. Ich nieco pogardliwe spojrzenie przesunęło się po suplikantach, którzy już zaczęli się gromadzić na dziedzińcu. Szaty leżały na nim tak, jakby został zmuszony do ich wdziania pod groźbą utraty życia i jakby z czystej przekory same z siebie sprzysięgły się, by zeń opaść. Spod kaftana zwisał mu luźny trok, wierzchnią suknię miał przekrzywioną, a zwiotczała kryza leżała mu smętnie na szyi jak zmęczony upałem pies. Miało się wrażenie, iż przywiał go tu porywisty wicher. Musiał być krewnym któregoś ze starszych panów. Żaden kancelista nie utrzymałby się na posadzie ubierając się w ten sposób.

Był wysoki i niezgrabny, lecz zarazem bardzo przystojny i nagle zdałam sobie sprawę, że nie chciałabym, aby na mnie również patrzył z pogardą (choć ja oczywiście gardziłam nim jako osobą niższego stanu). Zadarłam podbródek, by minąć go wyniosłe, kątem oka jednak udało mi się dostrzec, że jego czarne brwi uniosły się, a spojrzenie ciemnych oczu przybrało nowy wyraz. Zauważywszy mnie, rozbłysło i podążyło za mną, udając przy tym, że wcale tak nie jest. Aha, pomyślałam. Wygrałam pojedynek na spojrzenia, niewątpliwie dzięki kosztownej jedwabnej sukni. Takie rzeczy robią wrażenie na ludziach jego pokroju. Teraz muszę prędko iść dalej, nim wykuta na pamięć oracja wywietrzeje mi z głowy.

Lecz jeden ze starszych mężczyzn nagle zwrócił się do mnie. Też coś! Ja miałabym znać takiego... O Boże, jasne, że tak! przystrzygł inaczej brodę, no i oczywiście posiwiął... Był to mąż mojej kuzynki, tej plotkary Mateliny — wulgarny bogaty bankier, pan Bonneuil.

— Coś takiego, toż to kuzynka Mateliny, Sybilla! — wykrzyknął, podchodząc bliżej wraz ze swym towarzyszem. — Sybillo, odkąd widziałem cię ostatni raz, zrobiła się z ciebie bardzo elegancka panna. Pozwól, że ci przedstawię mojego drogiego przyjaciela, pana Montverta z domu Fabris i Montvert, a to jest jego syn...

Prawie go nie słuchałam, przerażona, że zapomnę mą kunsztowną przemowę. Poza tym nigdy nie słyszałam o żadnym Montvercie, kimkolwiek lub czymkolwiek był. Pewnie nabył jakąś posiadłość wraz z tytułem albo jest właścicielem banku jak ci wszyscy natrętni Włosi.

— Panna Sybilla jest uznaną w naszym mieście poetką, a jej „Dialog Cnót” został entuzjastycznie przyjęty na przedostatnim wieczorku literackim, jaki moja żona urządziła w dzień świętego Michała...

No i koniec! Już zapomniałam, co miałam powiedzieć, a wszystko przez to, że wytworna jedwabna suknia przyciągnęła uwagę tego źle wychowanego nuworysza. Nagle zdałam sobie sprawę, że obaj nieznajomi patrzą mi na nogi. Boże, moje buty! Jaki kontrast z pożyczoną suknią... i takie wielkie! Spódnica okazała się jednak nie dość długa. Czułam, że pod woalem oblewa mnie krwisty rumieniec. Starszy pan mówił chyba o muzach. Wybąkałam coś w odpowiedzi, nawet nie wiem co; słyszałam tylko głośnie bicie mego upokorzonego serca.

— Z żalem dowiedziałem się o kłopotach twego ojca — ciągnął bezlitośnie mąż Mateliny. — Obawiam się, że jeśli go stracą, zamkną się przed wami wszystkie drzwi, nawet nasze. Herezja... Sama wiesz, w dzisiejszych czasach nie można ryzykować. Dobrze uczyniłaś, kierując się do biskupa. Słyszę, co mówią inni bankierzy. Plotka głosi, że pan D'Apchon, ta kreatura marszałka de Saint-André, od dawna już ma na oku dom twojego dziadka. Podobno pożyczył znaczną sumę nie tylko na jego odnowienie i urządzenie, lecz także na łapówkę dla sędziego. W normalnych warunkach zeznanie człowieka z gminu wydobyte na torturach nie wystarczyłoby, żeby oskarżyć szlachcica.

— Hannibal jedzie tu z listem od konetabla Montmorency'ego — wyjąkałam — ale boję się, że przybędzie za późno.

— Słuchaj, droga kuzynko: musisz podkreślić związki twojej rodziny z konetabłem. Jego pozycja na dworze jest wyższa niż Saint-Andrégo i D'Apchon także nie zechce mu się narażać. Pamiętaj, że w tej sprawie wcale nie chodzi o winę czy niewinność.

Wypowiedziawszy jeszcze parę uprzejmych zdań, panowie pożegnali się i odeszli, pozostawiając mnie w przekonaniu, iż tym wtętem przypieczętowali moją ostateczną zgubę. Mowa, tak wzruszająca i wytwornie ujęta w słowa, do reszty wywietrzała mi z głowy, a na jej miejscu rozpanoszył się strach.

Moje przerażenie zdwoiło się, gdy ujrzałam twarde ławki w długim przedsionku komnaty audiencyjnej biskupa. Obsiadł je rój bladych, znużonych suplikantów wyglądających mniej więcej tak samo jak ja, choć niewątpliwie znacznie gorzej odzianych. Mogę tu czekać nawet kilka dni, pomyślałam. Pewnie biskup w ogóle mnie nie zauważy. Jednakże lokaj ciotki Pauliny podprowadził mnie do wartownika przy zamkniętych wewnętrznych drzwiach i gestem nakazał mi zdjąć prawą rękawiczkę.

— Przyjrzyj się bacznie pierścieniowi tej damy — rzekł do strażnika — i powiedz swemu panu, że bratanica madame Tournet prosi go o posłuchanie.

Zabrzmiało to bardzo godnie i zostaliśmy wpuszczeni wprost do sali audiencyjnej, do której spiesznie wchodzili i wychodzili księża i sekretarze, najwyraźniej zajęci ważnymi sprawami.

Sama komnata przewyższała bogactwem najpiękniejsze pokoje i najcenniejsze meble w dostatnim, choć zaniedbanym domu mojej ciotki. Na każdej ścianie wisiały drogocenne arrasy, a pomiędzy złocnymi lukami podpierającymi strop wymalowane były sceny przedstawiające Chrystusa tronującego w niebiosach, w otoczeniu aniołów i świętych. Znać było w nich rękę zręcznego artysty. Jednakże pod owym niebiańskim sklepieniem dobiegała właśnie końca całkiem ziemską rozmowa, tycząca, jak się zdaje, kościelnego majątku i dochodów z jakiejś posiadłości, do której prawa były kwestią sporną. Jakież to dziwne: zawsze myślałam, że biskupi spędzają cały czas na modlitwach, a tymczasem nawet tu, w cieniu Bożej świątyni, mówiło się głównie o pieniądzach, kręcili się bankierzy i różni inni ludzie z liczydłami w oczach. Zaraz jednak wartownik podprowadził mnie i przedstawił jego ekscelencji. Pozwolono mi ukłęknąć i ucałować jego pierścień.

Twarz biskupa — gładka, syta i światowa — świadczyła, iż był niegdyś przystojnym mężczyzną. Ożywił się na mój widok, a gdy zerknął na pierścionek ciotki Pauliny, w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Zrozumiałam, że tajemniczy przedmiot spełnił swoje zadanie.

— No, no — rzekł, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół — to trzecia przysługa na przestrzeni ćwierć wieku. Pokaż mi tę petycję, córko.

Przebiegłszy oczyma moje dzieło, uśmiechnął się ironicznie.

— Domyślam się, że sama ją napisałaś. Cóż za interesująca linia obrony!

Trzymany dotąd w ryzach strach znów zaczęła dławić mnie w gardle. Co mu powiedzieć?

— Jesteś tą córką, którą pani Tournet trzymała do chrztu?

Skinęłam głową, ufna, że czynię to z godnością, lecz nadal nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Niechże piekło pochłonie tych głupców na dziedzińcu!

— To był twój pomysł? — spytał biskup.

Między jednym a drugim pytaniem mijały wieki. Czulałam, że powinnam jednak się odezwać.

— To... to straszne! — wybuchnęłam. — To jakiś okropny spisek, żeby zagarnąć dom mojego dziadka! Ojciec nigdy by nawet nie zajrzał do książki pana Kalwina, a cóż dopiero nabył ją na własność. On... on

właściwie w ogóle nic nie czyta... mówi, że teologia jest dobra dla księży... A Hannibal jest za daleko i nie dotrze na czas, chociaż matka posłała po niego, bo konetabl jest teraz tak daleko na północy...

— Twój brat zna pana de Montmorency, konetabla Francji? — spytał biskup z nutą szacunku w głosie.

— Tak, zna go osobiście. Jest oficerem w kompanii lekkiej jazdy hrabiego de Damville, który całkowicie na nim polega. Sam konetabl powiedział, że mój brat bardzo dobrze się zapowiada. Prawie w ogóle nie bywa w domu... — Moja mowa! Co się stało z moją mową?

— ...Dopraszam się waszej dobroci, ekscelencjo, i szlachetnej łaski, abyście w swej przenikliwości dojrzeli niewinność mego ojca i wstawili się za nim przez wzgląd na Boską sprawiedliwość...

— Myślę, że ani D'Apchon, ani Saint-André nie podejrzewali, że twoja rodzina ma takie koneksje — dziwny szyderczy uśmiezek przebiegł wyniosłą twarz biskupa.

Przeżazona słuchałam słów, które toczyły mi się z ust. Chyba mi rozum odjęło, żeby powtarzać takie niskie plotki!

— Ten dom jest w posiadaniu naszej rodziny, odkąd zbudował go Gaston de La Roque za panowania króla Karola VII. D'Apchon to podły intrygant i nawet jego protektor, pan de Saint-André, odprawi go, jeśli ten obrazi konetabla, który osobiście bardzo się zmartwi, jeśli taki dzielny żołnierz jak mój brat będzie musiał odejść ze służby pod znakami jego syna z powodu fałszywej intrygi, uknutej, by pozbawić majątku naszego ojca... — Rozplakałam się ze złości. Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie wysławiam się gładko i wytwornie, tak jak sobie ułożyłam?

I cóż to za dźwięk? Biskup przysłonił dłonią usta, a ten dźwięk... Wszystko przepadło, pomyślałam. Biskup — byłam tego pewna — parsknął śmiechem.

— No cóż — rzekł cicho do siebie. — Zdaje się, że to Paulina znowu oddała mi przysługę. — Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Kto by pomyślał, że z całej rodziny właśnie ty przyjdiesz do mnie? Wydajesz się oddana swemu ojcu.

— Mój... mój ojciec jest wielkim człowiekiem. I niewinnym — wyjąkałam.

— Zobaczę, co będę mógł zrobić — rzekł biskup. — Dowody są bardzo obciążające.

— To fałsz, to wszystko fałsz! — chlipnęłam, ocierając łzy namiastką welonu, aby przynajmniej wyjść z odrobiną godności.

*

— No i? — spytała ciocia, gdy oddałam jej pierścień. — Widziałaś się z biskupem?

— Tak, ale byłam za bardzo zdenerwowana, żeby powiedzieć wszystko jak należy. Nic mi się nie udało, ciociu. Całkiem oglupiałam, zapomniałam języka w gębie i teraz wszystko stracone. I co my teraz zrobimy? Z czego będziemy żyć?

Siedziałyśmy w wielkiej, ciemnej paradnej komnacie. Ciocia ulokowała się wygodnie w wyściełanym poduszkami krześle. Aksamitne story nie wpuszczały do wewnątrz stojącego w zenicie słońca. Spoza bramy w murze dolatywały przytłumione okrzyki przekupniów. Powietrze i normalne życie wydawały się tu bardzo odległe. Miałam uczucie, że się duszę. Nie udało mi się ocalić ojca... Na stole przed ciocią leżała książka: „O rozpoznawaniu duchów”. Tkwiła w niej do połowy wytłaczana skórzana zakładka.

— Szkoda — powiedziała ciocia. — Myślałam, że pamięć lepiej mu dopisze. Cóż, starość nikogo nie oszczędza — westchnęła i wzruszyła ramionami. — Ty możesz zamieszkać tutaj. Twoja matka także. Zanim wyszła za Herkulesa, była moją najlepszą przyjaciółką, wiedziałaś o tym? Cieszyłabym się, mając ją przy sobie. Ale twoje siostry... Obawiam się, że nie wytrzymają w tym domu. Są za delikatne, zbyt wrażliwe.

Poczułam przypływ irytacji. To ja jestem wrażliwa i znacznie delikatniejsza niż one. Wrażliwość lotnego umysłu jest o wiele subtelniejsza niż częste omdlenia i tym podobne kobiece kaprysy.

— Co ciocia chce przez to powiedzieć? — spytałam.

— Widzisz tam? — Ciocia podniosła opartą o stół łaskę i wskazała nią kotarę. Wydymał ją lekki wietrzyk, a w prawym górnym rogu pod sufitem unosił się lekki opar, jakby półprzejrzysta mgielka.

— Widzę — odparłam. — Zasłona się porusza. Okno jest otwarte?

— To właśnie mam na myśli. Nawet Hannibal zadrzał na całym ciele, kiedy zobaczył, jak zasłona się chwieje, choć bardzo potrzebował pieniędzy na zakup tego konia, którego sobie upatrył. A twoje siostry!... Z pewnością nie zagrzałyby tu długo miejsca. Gdy tymczasem ty pytasz, czy okno jest otwarte. Nie, moje dziecko. Okno jest zamknięte. To doña Vargas y Rodriguez. Pozwoliłam jej zostać, bo lubię jej towarzystwo. Ma doskonałe maniery i potrafi bardzo zajmująco rozmawiać, choć jej francuszczyzna pozostawia wiele do życzenia. — Ciocia podniosła wzrok i zwróciła się do ruchomej kotary: — W porządku, Dolores, to moja krewna. Możesz wyjść. Sybillo, pozwól, że was sobie przedstawię. Doña Dolores jest zbyt dobrze

wychowana, aby ujawniać się bez formalnej zapowiedzi.

Ciocia przedstawiła mnie kotarze, a następnie kotarę mnie. Było to nader osobliwe.

Gdy jednak przyjrzałam się miejscu, do którego się zwracała, zobaczyłam mglistą sylwetkę młodej, smukłej kobiety w ciężkiej hiszpańskiej sukni. Włosy osłaniało jej wysokie, wysadzone perłami nakrycie głowy. Ciemne brwi miała ruchliwe i wyraziste, oczy i usta niczym ukryte w lesie jeziora. A szyję... szyję poderżniętą od ucha do ucha. Czarny cień widmowej krwi znaczył przód jej sukni aż do obrąbka. Mimo woli zadrżałam. Zjawą — bo nią najwyraźniej była — wydała się zmieszana moją reakcją i z przepraszającym uśmiechem owinęła cienkim szalem zmasakrowaną szyję.

— Widzisz? To prawdziwa dama. Jest moją ulubienicą. Niewiele z nich cechuje taka delikatność uczuć.

Usta widmowej damy poruszyły się, jakby coś mówiła.

— Słyszysz ją? — spytała ciocia. — Nie? Nie szkodzi, z czasem się tego nauczysz. Trzeba mieć nieco wprawy. Dolores opowiada ci swoją historię. Zawsze musi to zrobić, nim siądziemy sobie na babskie pogaduszki. Dostałam od niej kilka wyśmienitych przepisów...

— Jaka to historia? — Zjawą doszła chyba do kulminacyjnego momentu narracji, odrzuciła bowiem szal, ukazując rany, które pozabawiły ją życia.

— Była świeżo po ślubie i płynęła galeonem do męża do Nowej Hiszpanii. Kapitan Tournet napadł na ich okręt, zamordował ją i zagarnął jej ślubne klejnoty i wiano. Przedtem jednak, obawiam się, na różne sposoby znieważył jej osobę... ale o tym nie wypada mi mówić młodej niewinnej pannie.

— Kapitan Tournet... cioci mąż?

— Moja droga, zważywszy moc obelg, jakimi, w co nie wątpię, obficie raczyła mnie twoja rodzina, czy nigdy nie słyszałaś, w jaki sposób pan Tournet zbił fortunę?

— Tylko tyle, że nie przyjmowano go w towarzystwie.

— Hal Cała Helena! Dosadniejsze słowo nigdy nie przeszło jej przez usta. No i jest jednak moją wierną przyjaciółką. Twoja matka lubuje się w eufemizmach, Sybillo. Mój małżonek był, mówiąc wprost, piratem. Albo gdyby ktoś chciał wyrazić się oględniej, licencjonowanym korsarzem na usługach Korony. Oślawiony kapitan Jan Tournet, który dla jego królewskiej wysokości skrzyknął niejedną korsarską flotę pod La Rochelle. Gdyby miał dobre nazwisko, wzbogaciwszy się,

cieszyłby się szacunkiem. Właściwie nie wyróżniał się spośród wielu, którzy zdobyli majątek przemocą i zbrodnią. — Ciocia wzruszyła ramionami i rozpostarła pulchne białe ręce. — Ale cienie zabitych ścigały go aż na ląd, z jednego miejsca w drugie... Mieliliśmy kiedyś dwa wielkie domy nad brzegiem oceanu, posiadłość na północy i tę małą tutaj, na ziemi moich przodków. Pan Tournet kupił ją, żeby sprawić mi przyjemność. Wszystkie były pełne duchów. Który szanujący się człowiek złoży wizytę w domu zamieszkanym przez nie? Jak się domyślasz, pan Tournet nigdy nie cheplił się swymi czynami, ale duchy siedzą w ścianach i szepczą...

Och, pomyślałam, to wyjaśnia dziwne szeleszczące dźwięki, które czasem dobiegały ze ścian. Myślałam, że to myszy. Duchy aż tak mi nie przeszkadzały. Ale wieść, że pan Tournet był człowiekiem z gminu... Zawsze miałam ojca za straszego snoba i zarozumialca.

— Ciociu, jak to się stało...

— Że za niego wyszłam? Pieniądze, moja droga. Pan Tournet miał pieniądze. A jak myślisz? Ten łajdak, mój brat, najgłośniejsz przysięgał mi dozgonną wdzięczność, jeśli tylko podpiszę umowę małżeńską.

Poznawszy to nowe oblicze mego ojca musiałam chyba mieć zdumioną minę, bo ciocia uśmiechnęła się cynicznie.

— Ten dom, ten majątek zbudowane są w całości na ludzkiej krwi. O, nie gorsz się, to nic takiego. Jak ci się wydaje: skąd pochodzi bogactwo na tym świecie? Z pracy? Nie. Z rabunku. Nowy Świat nappełnił skarbiec króla Hiszpanii, a pośrednio i nasz, dzięki korsarskiej licencji wydanej przez naszego króla mojemu mężowi. Zszedłszy na ląd, pan Tournet próbował zostać człowiekiem szacownym. Wiesz, jak to jest: zwykle wystarczy wżenić się w dobrą rodzinę, kupić jakąś upadłą, zadłużoną posiadłość, wybudować wielki dom i dawać jałmużnę biedakom. W jego przypadku to nie wystarczyło. W jego domach straszły zbyt wiele duchów. Gdy po śmierci męża sprzedałam tamte posiadłości, większość duchów sprowadziła się tutaj. Wciąż trzymają się klejnotów, złota, tych doczesnych rzeczy, które okupiły własną śmiercią. Widzisz tamte lichtarze?

Ciocia wskazała parę ciężkich złotych świeczników stojących na podłodze. Tuż za nimi majaczył szereg mężczyzn o obcych, pośepnych twarzach, przyodzianych w opończe z piór.

— Złoto musi pochodzić z jakiegoś zamorskiego pogańskiego bożka — powiedziała ciocia. — Nie my je zrabowaliśmy, lecz Hiszpanie. Należałoby przypuszczać, że będą straszyć w toledańskidi i madyckich kościołach, które zdołają dziś ich przetopione skarby. Ale nie,

one tłoczą się u mnie razem z całą resztą. Może jestem po prostu zbyt gościnna — westchnęła. — Doprawdy nie wiem, dlaczego straszą właśnie tutaj, skoro tylu innych ludzi na to zasługuje. A, niech tam. Dotrzymują mi towarzystwa. Jeśli nie zachowują się zbyt głośno, nie każę ich egzorcyzmować. To bardzo kosztowne i przewraca do góry nogami cały dom. Ale twoja rodzina... hm, oni nie są tacy odważni jak ty. A ja z kolei naprawdę nie jestem aż tak bogata, by umieścić ich w jakimś innym domu. I każdej z twoich sióstr sprawić wiano i wyprawę ślubną... Nie, to niemożliwe. Herkulesa też nie byłoby na to stać i nie rozumiem, dlaczego właśnie ja miałabym go wyręczać. Zwłaszcza że za życia mego męża bez mrugnięcia brał od niego splamione krwią pieniądze, a do mnie, swojej siostry, nie odzywał się nawet słowem. To, co go spotkało, to kara boska, nawet jeśli zarzuty są kłamliwe.

Duch skwapliwie przytaknął ruchem głowy, lecz ja czułam się ogłuszona. Znikąd pomocy: ani od biskupa, ani od cioci Pauliny. Cóż zdziała Hannibal? Zanim tu dotrze, będzie już za późno. Egzekucje mają się odbyć tuż po zakończeniu śledztwa. Tyle to nawet ja wiedziałam. Czy uda się opóźnić przesłuchania? Czy zdążę zawieźć inną, poprawioną petycję do kardynała w Paryżu? Jakim sposobem zdołam uzyskać u niego audiencję?

— Wyglądasz blade, moja droga. To ta okropna suknia. Przy twojej cerze powinnaś się ubierać w jaśniejsze barwy. Poza tym musisz coś zjeść. Posiłki zawsze poprawiają nastrój. Jak widzisz — ciocia wskazała swoje bujne kształty — dosyć często musiałam go sobie poprawiać.

Wstała i głośno sapiąc ruszyła w górę po schodach, dając mi znak, bym poszła za nią. Jej komnata pełna była najróżniejszych mebli. Stało tam wielkie łóżko z rzeźbionymi amorkami podtrzymującymi baldachim, krzesła, skrzynie, srebrne i złote świeczniki, a także półmiski, wazy i dzbanki z cienkiej porcelany zdobione złotem i kolorową emalią, często w postaci greckich bogów i bogiń; ponadto kilka szaf pękających od nadmiaru strojnych jedwabnych i aksamitnych sukien we wszelkich rozmiarach i fasonach.

— Kiedyś je nosiłam — westchnęła ciocia. — Nie uwierzysz, ale gdy byłam młoda, miałam równie smukłą talię jak ty teraz. Choć oczywiście byłam niższa. Zobaczmy... Suknia codzienna... tak, ten niebieski jest ładny. A ta mogłaby być od święta. Co do butów... tu już nic nie poradzę. Twoje stopy nie dodają ci wdzięku, moja droga, są o wiele za duże. Będzie trzeba jakoś je zamaskować. Dłuższe

spódnice, ale gładkie, bez falban. Zdobienia pójdą wyżej, żeby odwrócić wzrok...

Wiem, że mówiła to w dobrej intencji, lecz gdy tak mrużąc grzebała w szafach, czułam, jak zmieniam się w kościstego łosia o wielkich, człapiących kopytach, które trzeba ukryć ogromnym nakładem pracy. Osobiście wolałam się uważać za delikatne, wrażliwe i poetyczne dziecię natury. Cała ta sytuacja denerwowała mnie bardziej niż jakieś tam duchy. To jest do chwili, kiedy zauważyłam, co się dzieje na komodzie.

— Ciociu, spójrz na komodę — powiedziałam, gdy wyjęła głowę z czeluści przysadzistej, zielono-złotej szafy. Na blacie komody, wykładanym kością słoniową i lazurytem, lśniło coś przejrzystego.

Ciocia zmrużyła oczy i sięgnęła po laskę.

— To znowu ty? Kazałam ci iść precz! I to natychmiast, kanalio, inaczej każę cię z powrotem wrzucić do rzeki!

— Ostrzegam cię, wściekła krowo, nie waz się dziurawić mojego kuferka, bo pożałujesz. — Lśniący przedmiot zmateriałizował się już całkowicie, ociekając nieco na rogach rzeczonym mulem. Bił od niego odór gnijącego mięsa. Była to oczywiście posrebrzana szkatuła z makabryczną głową. — Moja miła, głupiutka Sybillo, powiedziałem ci przecież, że nigdy cię nie opuszczę.

W teje chwili mimo ogarniającej mnie grozy uczułam wielką pokusę. Pokusa ta rosła we mnie niczym ślepa żądza, rosła jak żywa istota. Chciałam otworzyć skrzynkę i wypowiedzieć życzenie. Życzenie, żeby... żeby mieć mniejsze stopy.

— Czujesz, co? — dobiegło ze szkatuły. — Wiesz, czego byś chciała? Podnieś wieko i wypowiedz słowo, a spełnię najgorętsze marzenie twego serca.

— Nie słuchaj go — wtrąciła się ciocia. — Zaprowadzi cię wprost do piekła. Umiem poznać zło, gdy je widzę.

— Stara wrona! — powiedziała głowa. — Ty będziesz następna.

Kosma Ruggieri siedział w swojej pracowni na wieży w nowym czarnym skórzanym kaftanie i obszytych czarną skórą bufiastych spodniach, który to strój upodobał go do monsturalnego żuka. Przed nim klęczał Giovanni, człowiek z kołczykiem w uchu — ten sam, który skradł w Wenecji Pana Wszelkich Życzeń słudze Simeoniego.

— Wasza czarnoksięska wielmożność, to nie moja wina! Agenta Simeoniego okradłem śpiewająco. Zważ, panie, szmat drogi, jaki przebyłem, wszystkie moje trudy....

- Dlaczego więc nie dostałem skrzynki?
- Bo w Marsylii zostałem obrabowany przez dwóch zbirów, którzy pobili mnie i zostawili na drodze, bym szedł.
- Szybko wyzdrowiałeś — zauważył kąśliwie mag.
- Wyzdrowiałem cudem i dzięki wstawiennictwu świętych. Od dziewczki w gospodzie dowiedziałem się, że ci dwaj byli wysłannikami królowej Francji...
- Cicho! Dość o tym! — przerwał astrolog, wściekły, że został wprowadzony w pole przez własną chlebobawczynię.
- Podążyłem za nimi, przyczepiłem się do nich jak pijawka i śledziłem ich przez całą drogę do Lyonu, gdzie jakiś chytry opryszek w stroju żołnierza uspił ich zatrutym winem w karczmie, po czym oddalił się w wielkim pośpiechu wraz z paczką.
- To wszystko czeze wymówki. — Ruggieri niecierpliwie zabębnił palcami w skórzaną połę kaftana. — Wiesz, dla kogo pracowałeś?
- Poznałem go, panie. To znany rzezimieszek, wykonywał już zlecenia diuszesy Valentinois. Tuż przed bramami Orleanu spostrzegł mnie za sobą i oddał przesyłkę damie, która wwiozła ją do miasta. I dobrze, bo łajdak został zatrzymany przez strażników za jakieś inne grzeszki. Gdyby paczka dostała się w ręce straży, długo byśmy jej nie zobaczyli...
- Mówisz, że miał pomocnicę? Diuszesa mnie zaskakuje. Odkryłeś, kim jest owa tajemnicza dama?
- To była wysoka, ciemnowłosa, rzucająca się w oczy panna. Wypytałem strażników. Pokazywała im list do swojej ciotki, wdowy Tournet, która mieszka w Orleanie. Stara ma wielkie bogactwa i chyba nie po kolei w głowie, ale jej dom jest zamykany na klucz i dobrze strzeżony. Rzadko z niego wychodzi. Nie udało mi się tam włamać.
- Będziemy więc musieli rozegrać to inaczej. Jak się nazywa ta ciemnowłosa panna?
- Sybilla de La Roque.
- Z tego wielkiego rodu?
- Nie, jej ojciec ma tak zwaną „posiadłość” w lasach przy drodze z Paryża do Orleanu. Wioska nazywa się La Roque-aux-Bois.
- Hmm... — mruknął Ruggieri — Mam pewien plan...
- Dzięki za wyrozumiałość, mistrzu. Poślij mnie, gdziekolwiek zechcesz. Jestem twoimi rękoma, twoimi oczyma.
- I mym sztyletem — dodał Ruggieri, uśmiechając się łaskawie do schyłonego pokornie sługi.

*

— Wyłaż z łóżka, Kosma! Fernel mówi, że udajesz. Gorączka, też coś! Nie masz na czole ani kropli potu!

Medyceuszka wtargnęła do sypialni swego astrologa na poddaszu Luwru. Izba ta znajdowała się niżej niż długie, wąskie pomieszczenia, w których śludzy sypiali po trzech na jednej pryczy, ale była też o wiele mniejsza i mniej dogodnie położona niż pokoje wyższej służby dworskiej. Królowa stała nad łóżkiem maga niczym anioł zemsty, w jej wylupiastych żabich oczach płonęła furia. Prędkie, gniewne włoskie słowa dudniły niczym grad wśród nagich kamiennych ścian. Drugimi drzwiami przechodniej izby wszedł młody terminator, a zarazem krewny Ruggieriego. Postawił na stole miskę przyniesionej owsianki i czmychnął co sił w nogach.

— Chowasz się tu mimo rozkazu, byś się przede mną stawił. Ukradłeś magiczną głowę i sprzedałeś ją diuszecie Valentinois. Widziałam to we śnie. A moje sny zawsze mówią prawdę, zawsze, rozumiesz?! Pokazują mi, gdzie czai się zdrada!

W drzwiach za królową stała inna kobieta z rękami założonymi na piersi, zaciśniętymi surowo ustami i wyrazem dezaprobaty w ciemnych oczach. Była to pani Gondi, wydana za bankiera Perona, dama dworu królowej i jej pomocnica w rytuałach czarnej magii.

— Najjaśniejsza pani, wybacz, jestem za słaby, aby wstać i godnie cię powitać. Winienem ci dozgonną wdzięczność za to, że przysłałaś mi własnego medyka, lecz uzdrowienie mnie nie leży w jego mocy.

— Fernel mówi, że twój mocz jest zdrowy jak końskie siki. Jak śmiesz mnie szantażować udając śmiertelną niemoc!

— To więcej niż dolegliwość ciała, najjaśniejsza pani. To choroba duszy. Najmniejsze zdenerwowanie może wysłać mnie na tamten świat.

Królowa uspokoiła się nagle, na jej brzydkiej okrągłej twarzy pojawił się leciuteńki uśmiech.

— Bez obaw — wycedziła. — J a się o ciebie zatroszczę. Ale Kosmo, przyjacielu, słyszałam, że twój brat oprócz układania horoskopów zajmuje się po kryjomu czarną magią. Doprawdy nie chciałabym, żeby dowiedzieli się o tym dobrzy doktorzy z Sorbony.

Kosma wciągnął głęboko powietrze i na moment przymknął oczy.

— No właśnie — powiedziała królowa. — Nareszcie się rozumie my. A zatem gdzie jest magiczna głowa, którą mi obiecałeś?

Ruggieri odrzucił prześcieradła i niezgrabnie usiadł w łożu. Królowa spostrzegła, że nawet nocną koszulę ma czarną. Zdawało się to świadczyć o jego oddaniu magii. Ze wszystkich wróżbitów, których

utrzymywała, tylko Kosma Ruggieri wyglądał jak prawdziwy czar-noksiężnik — od stóp po głowę.

— Dioszesa Valentinois jej nie ma, choć starała się mi ją wy-drzeć... — Ruggieri urwał, grając na zwłokę, gdy tymczasem w myśli rozważał różne możliwości. — Wysłała po nią pewną czarownicę, która odurzyła mego wysłannika. Ta kobieta... przypuszczalnie wysłanniczka obcego mocarstwa... zatrzymała głowę do własnego użytku.

— Łziesz, Kosmo. Sam ją masz. Ktoś otruł moich ludzi w Lyo-nie i nie widziano tam przy nich żadnej kobiety. Sprawa nosi zaś wszelkie znamiona twojej roboty.

Królowa usiadła na stołku przy łożu i niecierpliwie zabębniła palcami w kolano. Miała na sobie wdzięczną suknię z ciemnozielo-nego jedwabiu wyszywanego perłami i bufiaste nakładane rękawy, z których rozcięć wyzierała podszewka w łososiowym kolorze. Sztyw-na, przejrzysta lniana kryza u szyi drżała lekko ujawniając skrywa-ną wściekłość Katarzyny.

— Największa, najdostojniejsza pani, mówię świętą prawdę. Głowę ma ta kobieta.

— A jakże się nazywa ta domniemana czarownica?

— Panna Sybilla de La Roque.

— No, no... — Królowa zamyśliła się. — La Roque... Taka nie-ciekawa rodzina. Kto by przypuszczał, że wychowają adeptkę... Spodziewałam się osoby gorszej proveniencji. Ale to zmienia wszystko. Umieszczę ją na dworze. Wykazała się przebiegłością, zagarniając głowę dla własnej korzyści. Tak, plan jest prosty...

Królowa zaczęła naradzać się szeptem z panią Gondi. Dama dworu była blada z zawiści. Sama dopiero co zyskała łaski królowej ofiarowując jej rzadkiego egzotycznego pieska. O ileż więcej zyska ta kobieta, jeśli da królowej nieśmiertelną głowę Menandra Maga!

— Obiecuję jej stanowisko przy dworze — rozmyślała na głos Katarzyna. — Napomknę, że mogłabym dobrze wydać ją za mąż... Krewni nie dadzą jej wyboru. Nie, ona musi pozostać przy życiu. W razie jej śmierci głowę mógłby przejąć kto inny, jakiś mę-ż-czy-z-n-a, niekoniecznie tak uległy... — Królowa znacząco spojrziała na Ruggieriego. — Lecz panna musi wiedzieć, że wystarczy jedno moje słowo, a zniknie na zawsze. O wiele szczęśliwsza będzie jako moja domownica. Umieszczę ją w jakimś zamku i nikt nie musi o tym wiedzieć... Jakież to proste!

Kosmą Ruggierim targnęła wściekła zazdrość. Znał królową. W końcu, po wszystkich jego trudach i zabiegach, otrzyma magiczną

głowę od jakiejś baby i chętnie przychyli jej ucha (o ile ta okaże się dostatecznie sprytna), a on pójdzie w odstawkę. Medyceuszka szanowała w ludziach dbałość o własne dobro. Cecha ta czyniła ich bardziej przewidywalnymi.

Niech wszyscy diabli porwą tę przekłętą pannicę, pomyślał Ruggieri. Jak zdołam wydrzeć jej głowę, nie narażając się na to, że jednym życzeniem zetrze mnie z powierzchni ziemi?

ROZDZIAŁ X

— Widzisz, Sybillo? Teraz, kiedy przydłużyłyśmy suknie plisą ściętą z szerokości, w ogóle ich nie widać. Obróć się, proszę. Tak, buty praktycznie zniknęły...

Od tygodnia szwaczki mozoliły się nad przeróbką garderoby wybranej dla mnie przez ciocię Pauline z jej zasobnych szaf. Kolory wydały mi się nieco zbyt jaskrawe, a fasony... cóż, nawet nie udaję, że znam się na modzie — dotąd poświęcałam się tylko wyższym duchowym celom — jednakże nie przypominały szat noszonych przez zwykłych ludzi. Po przeróbkach stały się jeszcze bardziej oryginalne. Uszyto je wszakże z cennych, wspaniałych jedwabi i aksamitów, a faktura i błysk materii same z siebie emanowały zmysłowym pięknem. Nigdy nie marzyłam, że będę nosić takie rzeczy. Przyszło mi nawet do głowy, że być może ów elegantszy, strojny styl dobroczynnie wpłynie na moją twórczość — zwłaszcza epicką. Może by tak napisać poemat o piratach? Codziennie po południu leżałam przez godzinę z twarzą pokrytą mazią z roztartych owoców i warzyw oraz różnych lepkich ingrediencji, które miały wybielić i wygładzić moją skórę. Stóp jednak nie dało się zmniejszyć. Pozostało zamówić gładkie ciemne buty, aby nie zwracały na siebie uwagi, jak to ujęła ciocia.

— Twierdzisz, że nie widać tych czółen? — odezwał się z komody Menander Nieśmiertelny.

— Jeśli nie przestaniesz prawić mi złośliwości, zamknę wieko — zagroziłam.

Od wielu dni kuferek pętał się za mną po domu. Materializował się w sypialni, by wytykać mi braki w higienie; w pokoju gościnnym, by mi docinać, kiedy grałam w karty z ciocią w ogrodzie, by zakłócić mi komunie z Naturą. Zamknięta w nim głowa wydawała irytujące

dźwięki, chcąc zmusić mnie, bym otworzyła wieko i pozwoliła jej oglądać świat.

Dziś również mi towarzyszył, wyschnięty i szkaradny, łypiąc lśniącoymi łajdackimi oczyma spod obwisłych powiek i bez przerwy wtrącając swoje trzy grosze. Zdumiewające, do czego człowiek potrafi się przyzwyczać, jeśli codziennie ma z tym do czynienia.

— Złośliwość leży w mojej naturze — powiedział. — Masz szczęście, że nie przywiódłem cię do obłądzenia. Pozbawiłem zmysłów wielu mych posiadaczy. Zmieniłem ich w wyjątych, bełkoczących wariatów. Wiesz, co dzieje się z człowiekiem, który w ogóle nie sypia?

— Tłucze w pewien kuferek, który ma pod ręką, żeby inni też nie mogli zmrużyć oka — ucięła zimno ciocia Paulina. — Sybillo, przypomnij tę z błękitnego jedwabiu. Doskonale podkreśla twoją karnację. Chcę też zobaczyć, jak wygląda ten pas aksamitu doszyty między spódnicą a stanikiem.

— Dlaczego nie zażyczyłaś sobie, żeby sukienka zrobiła się dłuższa? — naburmuszyła się głowa w kufunku.

— Miałabym dobrowolnie pozbawić się rozrywki? Doprawdy, na niczym się nie znasz. Przerabianie sukien jest nawet zabawniejsze niż przemeblowywanie komnat — odparła ciocia.

Tymczasem rozebrałam się do koszuli. Nie muszę nadmieniać, że w sytuacji, gdy ta śmieszna głowa towarzyszyła mi niemal bez przerwy, musiałam obywać się bez pokojówki.

— Co za chudzielec — rzekł Menander. — Przestań już wydziwiać i raz wreszcie przyjmij do wiadomości, że jesteś brzydka.

Nasrożona, ruszyłam w stronę komody, żeby zamknąć kuferek. Ale chytra głowa ubiegła mnie, zmieniając temat.

— Nie rozumiem — stwierdziła, zerkając oblesnie na mój gorset — dlaczego ściskasz się tym rusztowaniem, a potem wdziewasz najbardziej bufiaste suknie, jakie w życiu widziałem. Oglądałem już guzy rakowe o powabniejszych kształtach niż te watowane rękawy, jakie dziś nosicie. Kiedy byłem młody, kobiety prezentowały się o wiele piękniej w luźno udrapowanych szatkach, które odsłaniały ich urocze piersiątko.

— Zupełnie nie znasz się na modzie — wtrąciła ciocia, zarzucając mi na głowę cudny błękitny welon. — Kiedy ostatnio przyglądałaś się paniom?

— Jakieś tysiąc lat temu. Wtedy też było lepiej.

— Starzy ludzie zawsze tak mówią — zauważyła ciocia, pomagając mi zapiąć guziki.

— Jesteś na świecie od ponad tysiąca lat i nie zwróciłeś uwagi na damskie stroje? — zdziwiłam się.

— To nie moja wina — sarknęła głowa. — Większość czasu spędziłem w towarzystwie magów. Wciąż te same powłóczyste obrzędowe szaty, skrzydła nietoperza, różdżki i wykresy nieba. I praca. Byłem bardzo zapracowany. Obmyślanie sposobów, by sprowadzić na ludzi zasłużone potępienie za pomocą ich własnych życzeń, wcale nie jest łatwe. Wymaga to lotnego, żywego umysłu.

— Bzdura — prychnęła ciocia. — Ludzie robią to sami, z tobą czy bez ciebie.

— To potworna obraza — oznajmiła głowa. — Nie zapomnę ci tego. Nie spodziewaj się ode mnie litości.

Ciocia parsknęła śmiechem.

— Jakbym kiedykolwiek się jej spodziewała! Sybillo, kochanie, spójrz w lustro. Przyznaj, że jesteś całkiem odmieniona.

Mój strój, uszyty z bogatej hiszpańskiej szaty, składał się z rozciętej niebiesko-srebrnej brokatowej sukni, spod której wyzierała spódnica z jasnoblękitnego jedwabiu. Do stanika z bufiastymi główkami przysznurowane były rozcinane rękawy z tego samego jedwabiu co spódnica, przydłużone falbanką tak, by zakrywały moje długie ramiona i kościste nadgarstki. Usztywniony fiszbinami kołnierz kończył się niewielką, ciasno rurkowaną kryzą, która sięgała mi niemal do uszu. Był to strój nad stroje, wytworniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek oglądałam.

— Twoja głowa wygląda jak jabłko na talerzu — skomentował Menander.

— Tak ma być? — upewniłam się.

— To najnowszy fason, wymyślony przez samą diuszese Valeninois. Mój krawiec opowiadał mi o tym w zeszłym miesiącu. Nie daj się zastraszyć tej starej mumii.

— Widziałem cielece łby podawane dokładnie w ten sam sposób — stwierdziła nieśmiertelna głowa.

Ciocia chwyciła laskę i jednym płynnym ruchem machnęła nią w powietrzu, zatraskując wieko.

— Tego już za wiele — oznajmiła, puszczając mimo uszu stłumione okrzyki oburzenia dobiegające z kufra. — Skoro jesteś tak elegancko ubrana, Sybillo, weź karty i chodźmy do paradnej komnaty. Dostałam wiadomość od... hm, starego przyjaciela i oczekuję dziś gościa, nie jestem tylko pewna godziny. Ma przyjść w piątek. Dziś mamy piątek, nieprawdaż? Julian mówił, że w piątek go wypuszczą.

Julian? Dobry Boże, czyżby знаła biskupa osobiście? Kto... kto miał przyjść? Zadrzałam z emocji. Ciocia z trudem dźwignęła się z krzesła i ociężale ruszyła ku drzwiom, przy każdym kroku podpierając się laską.

— Tak, dziś jest piątek, ciociu. Kto nas odwiedzi?

— To niespodzianka, moje dziecko. A teraz powiedz mi, dlaczego zawsze usuwasz Wielkie Arkana i wykładasz tylko denary, kiedy czytasz z kart?

Kierując się ku położonej od frontu komnacie, w której ciocia przyjmowała gości, szłyśmy przez amfiladę niewielkich, bogato urządzonych pomieszczeń, zastępujących korytarz. Co pewien czas ciocia przystawała i laską ścigała jakąś szczególnie rozbudowaną pajęczynę. Taki wielki, luksusowy dom... Jaka szkoda, że prawie nikt w nim nie mieszka!

— Tak doradza „Giardino di pensieri” — odparłam. — To tylko zabawa, ciociu. Kuzynka Matelina nauczyła mnie wróżyć i dała mi tę książkę.

— Ech, ta Matelina! Na niczym się nie zna! Musisz używać wszystkich czterech kolorów, moja droga, i wszystkich figur. To Wielkie Arkana wyjawia ci ukrytą wiedzę. Pokażę ci, jak to się robi. Karty jeszcze nigdy mnie nie okłamały. Powiedziały, że przyjedziesz, i przyjechałaś. Teraz mówią mi, że wybiorę się w podróż. W moim wieku! Nie mam najmniejszej ochoty na wojaże. Chciałabym więc, żebyś mi powróżyła. Zawsze przyda się opinia drugiej osoby.

— Nie lubię Wielkich Arkan, ciociu. Dziwnie się czuję, kiedy na nie patrzę.

Spod dywanu wypełzł karaluch. Ciocia zmiażdżyła go okutym końcem laski. W tym pokoju — pewnie przez przypadek — zasłony były rozsunięte, ale nie sprawiało to większej różnicy, okna bowiem zaciemniało dzikie wino, przepuszczające tylko szczyłek dziennego światła.

— Dziwnie? Nie bój się ich. Sądzę, moja droga, że możesz mieć wrodzony talent do czytania z kart. Nie pozwól się ponieść nerwom. Ostatecznie nigdy nie przeszkadzał ci ten osobliwy, odziany w pióra jegomość w mojej sypialni. Dlaczegoż by miały cię przerażać figury wymalowane na kartonie?

Większą część popołudnia spędziłyśmy na miłej pogawędce i wrózeniu z kart. Naburmuszona głowa pozostała w kredensie i przez dłuższy czas dała nam święty spokój.

— Teraz wylóż je ponownie, Sybillo, drugą w poprzek na pierwszej... Widzisz, tym razem pojawiła się Papiężyca. To moja ulubiona karta.

— Co tam macie? Jakąś nową zabawkę? — Szkatuła Menandra zaczęła się materializować na cedrowym stoliku. W jego głosie pobrzmiwała ta szczególna podstępna nutka, każąca przypuszczać, że Menander spodziewa się jakiegoś wydarzenia i dlatego pojawił się na widowni. — W moich czasach — sarknął — do wróżenia potrzebna była tylko barania wątroba. Otwórzcie kuferek.

Nie starczyło nam czasu nawet na odpowiedź. Nie czekając, aż zostanie zapowiedziany, ktoś otworzył drzwi komnaty z takim impetem, że odbiły się od ściany. Dał się słyszeć odgłos szamotaniny, gdy przybysz odepchnął ciocinego lokaja.

— Potasuj karty, Sybillo — powiedziała ciocia nie podnosząc wzroku. W ciszy pustego, nawiedzanego tylko przez duchy domu rozległ się grzmiący głos:

— A więc tu jesteś, stara sknero! A ty co tu robisz, Sybillo, wystrojona w jedwabie jak kochanka bogacza? Zaraz zedrę z ciebie te szmaty! Wiedziałem, że cię tu znajdę. Zabroniłem ci przekraczać próg tego domu. Natychmiast wdziejaj własne kiecki! Zabieram cię do La Roque!

Jak łatwo się domyślić, był to mój ojciec.

Muszę tu zaznaczyć, że niezupełnie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Stworzona przez mój złąkniony wdzięczności umysł wizja tchnęła miłością i wzruszeniem; myślałam nawet, że cudem ocalony ojciec uroni kilka łez, obejmie mnie, pochwali mą odwagę i nieustępliwość oraz zbawienny efekt mojej petycji; powie, iż dotychczas mnie nie doceniał, ale teraz wiele pojął w błysku objawienia, jakie miewa się w śmiertelnym zagrożeniu... Tak to miało mniej więcej wyglądać, Los wszakże, który zepsuł mi mowę do biskupa i tak boleśnie mnie upokorzył, wypłatał mi jeszcze jednego figla chcąc zadać ostateczny cios mojej i tak już mocno nadwerżonej dumie.

— No, no, Herkulesie! Niewdzięczny jak zawsze. Nawet się nie przywitałeś. A ja kazałam przygotować drobny poczęstunek, czekając na twoje przybycie. — Wciąż nie podnosząc wzroku, ciocia odkryła dwie kolejne karty.

— Paulino, sama wiesz, kim jesteś. Zabroniłem Sybilli bywać w twoim domu. Tymczasem zastaję ją tu przy kartach, ubraną w cudze kiecki i wyprawiającą Bóg wie jeszcze jakie bezeceństwa.

Ojciec wyglądał okropnie, był brudny i rozczochrany. Ciocia zmierzyla go zimnym wzrokiem.

— Wiesz, Herkulesie, przypominam sobie taką chwilę w domu naszego ojca, kiedy klęczałeś przede mną i błagałeś, abym dla dobra rodziny oddała rękę kapitanowi Tournetowi. Przysięgłeś na swój honor, że nigdy się ode mnie nie odwrócisz. Honor, też coś! W ogóle nie wiesz, co oznacza to słowo.

— Chyba nie oczekiwałaś... No bo kto chciałby się ożenić z moimi córkami, gdyby się rozniosło, że są spokrewnione... A moja reputacja! — sapnął ojciec i zatrzymał się w połowie tureckiego dywanu, żeby złapać mnie za ucho.

— Z córkami spalonego na stosie heretyka? Sybilla, najlepsze z twoich dzieci, sama wybrała się w drogę, aby przedłożyć biskupowi petycję, którą własnoręcznie napisała, zapewniając żarliwie o twej niewinności.

— Nonsens. Nie pleć głupstw. Nie ugiąłem się, byłem twardy jak kamień, nawet kiedy pokazali mi narzędzia tortur. Zrobiłem na nich tak potężne wrażenie, że sam biskup przyszedł mnie przesłuchać. A potem pozwolili mi wyprzeć się herezji. Wyprzeć się! Herezji! Mnie! Wiesz, co przeżyłem, zmuszony podpisać ten ohydny dokument? I jaka mnie spotyka wdzięczność? Mnie, który ustąpiłem im tylko po to, by ocalić rodzinę, ocalić moje córki przed ruiną? — Ojciec niemal wypluł te słowa.

— To Sybilla zasługuje na twoją wdzięczność — stwierdziła zimno ciocia. — Nie każdemu dana jest możliwość, by wyparł się herezji. Zwłaszcza jeśli jego ziemia wpadła w oko królewskiej faworycie.

Ojciec spojrział na mnie i oczy mu się zwęziły.

— Sybilla nie zasłużyła na nic! Powinna mi jeszcze podziękować za to, że wychowałem ją na przyzwoitą kobietę.

— Ładnie wygląda w niebieskim, nie sądzisz? — zagadnęła nagle ciocia Paulina. — Ten kolor podkreśla jej śliczną oliwkową cerę. I perły nad czołem... Sybilla ma bardzo wyraziste i inteligentne oczy, na pewno sam to zauważyłeś.

Nie wiem, dlaczego wypowiedziane przez nią słowa ostatecznie wyprowadziły ojca z równowagi. W jego oczach zapłonęła wściekłość. Uniósł rękę, żeby zdzielić mnie w kark. Odskoczyłam pospiesznie, omal nie przewracając stołu. Równocześnie laska ciocia śmignęła szybciej niż język węża i huknęła ojca dokładnie w łokieć. Zawył i złapał się za rękę. Słudzy rzucili się, by wyprowadzić go z komnaty.

— Wciąż jesteś gwałtowny, bracie — zauważyła ciocia. — Usiądź tam, na krześle. Skoro, jak twierdzisz, sam się wyzwoliłeś, skąd wiedziałam, że mam dziś przygotować dla ciebie miejsce przy moim stole? Arnoldzie, nalej panu de La Roque tego znakomitego wina, które zachowałam specjalnie dla niego. Chcę ci złożyć propozycję handlową, Herkulesie, i sądzę, że powinieneś mnie wysłuchać.

— Znając ciebie, wino jest pewnie zatrute — sarknęła ojciec. — Psujesz Sybillę i nabijasz jej głupstwami tę próżną głowę. Powinna się uczyć pokory. Pokora i ciężka praca, a nie jedwabne kiecki, tego właśnie jej trzeba.

— A cóż ci przeszkadza, że chcę ją widzieć powabną? Ostatecznie robię to za swoje pieniądze. Wyłącz nie za swoje pieniądze, Herkulesie.

Patrząc, jak stroją do siebie groźne miny, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że w istocie jestem świadkiem dwóch rozmów — jednej wyrażanej słowami i drugiej, obywatycznej się bez słów, a dotyczącej dawno pogrzebanych tajemnic, do których nie mogłam znaleźć klucza.

— W przeciwieństwie do mojego zmarłego męża nie czuję potrzeby wkupywania się w twoje łaski ani próżnej nadziei, że zyskam tym szacunek — wycedziła ciotka.

— Jakież to do ciebie podobne, Paulino, że w ten sposób tłumaczysz własne skąpstwo i to, że odwróciłaś się od rodziny.

— To nie ja się was wyrzekłam, Herkulesie.

— Jeśli masz coś do powiedzenia, mów. Nie mam ochoty marnować tu dłużej czasu.

— Dobrze więc, powiem krótko: towarzystwo Sybilli sprawia mi przyjemność. Jest inteligentna i ma dość ogłady, by prowadzić rozmowę na sto i jeden ciekawych tematów. Nie przeszkadza jej, że mój dom jest pełen...

— Czegóż to? Szczurów? Sybilli w to graj. Pewnie chce badać ich szkielety albo krzyżować je, aby sprawdzić, czy uda jej się wyhodować cały miot jednej barwy. Fuj! Zawsze wiedziałem, że jesteś kiepską gospodynią, Paulino. Czy może chodzi o robactwo?

— Coś w tym rodzaju. Nieistotne — ucięła ciocia. — Wracajmy do rzeczy.

Za krzesłem ojca pojawiła się doña Dolores, z zaciekawieniem przysłuchująca się rozmowie. Dlaczego nawet się nie obejrzał? Przypuszczam, że pewne osoby po prostu nie wyczuwają obecności duchów. Być może pan Tournet też jej nie czuł. To chyba zaleta, gdy się jest żołnierzem.

Ciocia nachyliła się w stronę ojca i położyła na stole upierścienioną pięść.

— Herkulesie — powiedziała z naciskiem — chcę, żebyś mi oddał Sybillę.

— Nigdy — odparł ojciec. — Mówiliśmy już o tym.

— Owszem, ale wtedy na twojej ziemi nie ciążyło aż tyle długów.

— Sybillo, znów rozpuszczałaś plotki. Czy nigdy nie nauczysz się trzymać gęby na kłódkę?

Szeroko otworzyłam oczy. To było niesprawiedliwe. Nie pisałam przecież ani słówka.

— Jaki masz powód, żeby się sprzeciwiać? Chyba tylko ten, aby zrobić mi na złość — ciągnęła ciocia Paulina. — Jak wiesz, Pan Bóg nie dał mi dzieci. Chcę mieć córkę, a ty jesteś za skąpy, żeby przynajmniej dobrze wydać ją za mąż.

— Ciekawe, ile proponujesz tym razem.

Co miał na myśli mówiąc: „tym razem”? Czy targowali się o mnie jak o wieprzka na jarmarku, czy też ojciec naprawdę mnie kochał i odmawiał, czując się dotknięty na honorze propozycją, by oddać mnie w zamian za pieniądze? I czy moja dobra, przemila chrzestna matka była w rzeczywistości zimnokrwistą handlarką przekonaną, że wszystko można kupić? Byłam przerażona. Nie chodziło tylko o delikatność uczuć; zaczynałam wątpić w swą zdolność oceny ludzkich charakterów. Tych dwoje zmieniało się na mych oczach w potwory.

Targowali się zawzięcie. Twarz ojca poczerwieniała od wina, oblicze cioci było nalane i blade; w półmroku lśniły jej oczy o zognomnionych źrenicach.

— Dawiałaś więcej, kiedy miała sześć lat.

— Byłam wtedy młodsza. Od wielu lat mogła rozpraszać me smutki. Patrzyłabym, jak dorasta.

— I zepsułabyś ją do szpiku kości, to masz na myśli? Musiała nauczyć się, gdzie jej miejsce.

— Trzymałeś ją przy sobie tylko dlatego, że wiedziałeś, iż mi na niej zależy.

— Paulino, ty nie zasługujesz na potomstwo. Czy kiedykolwiek o tym pomyślałaś?

— A ty nie zasługujesz nawet na jeden złamany grosz. Po mojej śmierci wszystko przejdzie na własność Kościoła.

— Albo Sybilli jako twojej spadkobierczyni, jeśli ci ją oddam. Dlaczego miałbym ją wywyższyć ponad brata i siostry?

— Powiedziałam: spłacę twoje długi, jeśli oddasz mi Sybillę. W przeciwnym wypadku nie zobaczysz ani grosza. Ani ty, ani nikt z twojej rodziny. Koniec, kropka! Kościół będzie bogatszy, a wy pójdziecie z torbami. Zanim odmówisz, zastanów się dobrze nad moją hojną ofertą i nad tym, jak mało na nią zasługujesz, zimna, pozbawiona serca namiastko brata.

— To ty jesteś potworem, Paulino. Wychowałem dziewczynę przyzwoicie. Nie miała się na co uskarżać. Naraiłem jej nawet dobrego kandydata na męża, a to więcej, niżli jej się należy.

— Oddanie jej w niewolę idiotcie nazywasz dobrym małżeństwem? Ja nazwę to potwornym, zimnym okrucieństwem. A gdyby dziadek nie zapisał jej winnicy? Villasse! Też mi kandydat! Ciekawa jestem, jaką podłość z nim uknułeś! Ano, właśnie! Byłabym zapomniała! Przykro mi, braciszku, musisz ją tu zostawić, z zapłatą czy bez. Obejdiesz się smakiem, biedaku!

— O czym do licha mówisz, szalona kobieto?

— Villasse nie żyje. Jest martwy jak głaz, i to z powodu Sybilli. Uciekła przed skandalem. Nie możesz przyjąć jej z powrotem do domu, nie narażając własnej diabła wartej reputacji!

— Doprowadziła go do samobójstwa? Tego się po nim nie spodziewałem. Boże, co za wstyd!

— Więcej, braciszku, więcej, i na twoim miejscu nie wspominałabym o tym. Chyba nie chcesz, żeby rozeszły się plotki?

— Obiecał mi pożyczkę! Jak ja spłacę długi?

— Wiedziałam, że to trafi ci do serca. Uznaj mnie za zastępczynię Villasse'a i podpisz, proszę, ten dokument. Nie ufam ci, podobnie jak mądre koźle nie powinno ufać staremu wilkowi. Kazałam spisać umowę. Niniejszym zrzekasz się na moją rzecz prawnej opieki nad Sybillą. Nie chcę, żebyś upomniał się o swe ojcowskie prawa, kiedy przyjedzie do was w odwiedzin, i zamknął ją w klasztorze.

— To stary dokument.

— Mam go od dawna. Dziś jest tak samo dobry jak w dniu, w którym go napisano. Widzisz tę linijkę? „Wiążąca na wiek wieków.” Nie jestem głupia, bracie.

— Więc zabieraj ją i niech cię wszyscy diabli! Rad jestem, że się jej pozbędę. Od dziecka sprawiała tylko kłopoty, a teraz jest już za stara, żeby wydać ją za mąż. Możesz się nią cieszyć do woli.

— Ależ, ojczy... — Łzy napłynęły mi do oczu.

— Owszem, bracie, już się cieszę. Nie płacz, Sybillo, to dla twojego dobra...

Uciekłam z komnaty. Wbiegłszy do sypialni, zdjęłam wspaniałą suknię, wysoką lnianą kryzę i piękny diadem z pereł i rzuciłam się z płaczem na łóżko.

— Zawsze możesz wyrazić życzenie, żeby naprawdę cię kochali — rozległ się obłudny głos z kuferka.

ROZDZIAŁ XI

21 sierpnia A.D. 1556

Dziś wieczerałem u pana de Biragues. W kurczętach tkwiły resztki piór, a sos przyprowadził mnie o niestrawność. Jakim cudem ci możni znoszą własną kuchnię? Każę Leonowi kupić trochę senesu u tego szarlatana z rue Saint-Jacques. Będzie jak znalazł przed następną wizytą u jakiegoś arystokraty o żelaznym żołądku.

Miałem sen, bez wątpienia spowodowany sosem. (Przynajmniej mam nadzieję, że winny był sos.) Znajdowałem się w mrocznej pracowni czarnoksiężnika. Było grubo po północy; patrzyłem z tyłu na kobietę spowitą we wdowią czerń, klękającą przed stołem udekorowanym niczym ołtarz, na którym paliły się czarne świece. Przed nią stał kufel. Kiedy go otwarła, świece zgasły jak zdmuchnięte huraganowym wichrem. Nim jednak zapadła kompletna ciemność, klęknęłam, że przez mgnienie oka ujrzałem coś, czego miałem nadzieję nigdy już nie oglądać na ziemi. Gdy się obudziłem, w uszach wciąż jeszcze brzmiał mi ohydny śmiech i głos, który mówił: „Michale de Nostre-Dame, w końcu przybyłem do Francji, aby się z tobą zmierzyć. Powstrzymaj mnie, jeśli zdołasz.” Wypilem czarkę jęczmiennego kleiku, który stał przy łóżku, a potem modliłem się aż do rana. Mam nadzieję, że ten sen nie był wieszczym. Gotów jestem bowiem przysiąc, że widziałem w nim głowę Menandra Nieśmiertelnego, niszczyciela królestw, rabusia dusz, diabelską bramę Piekła — tak jak widziałem ją po raz pierwszy w skarbcu potężnego Sulejmana Wspaniałego. Boże, bądź miłościvi Przez moje grzechy ten straszliwy przedmiot do dziś nęka mnie strachem i trwożnym pożądaniem.

Sekretny dziennik Nostradamusa

Tom VI, wpis 439

Wciąż palając gniewem po niefortunnym spotkaniu z kolegami po fachu, w wyniku którego mocno ucierpiała jego szata, Nostradamus nie oddalił się jeszcze zbyt od Sekwany, gdy podniósłszy głowę ujrzał szyld zwisający z pięterka murowanej gospody, na szyldzie zaś — swego niebiańskiego imiennika. Widok archaniola Michała w szkarłatnej szacie, który rozwinąwszy skrzydła triumfalnie gromił mieczem ognistym stado demonów przypominających nieco akademików z rue Saint-Jacques, dodał mu otuchy.

— To bardzo dobry znak, Leonie. Zatrzymamy się tutaj — rzekł.

Kiedy ich konie wprowadzono na dziedziniec gospody, Leon wysłał gońca do Saint-Germain z wieścią, że wielki prorok Nostradamus przybył do Paryża.

Niestety, wieść została podsłuchana i nim jeszcze Nostradamus zdołał się rozgościć, wszystkie okoliczne dziewczki służebne, stajenni, dwaj kucharze, rymarz i płatnerz obiegli jego izbę domagając się hałaśliwie, by wywróżył im przyszłość. Im bardziej mistrz starał się pozbyć rosnącego tłumu, tym więcej ludzi tłoczyło się w gospodzie, łomotało do jego drzwi, krzyczało do okna, stało w korytarzu. W końcu się poddał: był to niewątpliwie znak, że czekając na odpowiedź królowej ma odnowić fundusze nadszarpnięte w podróży. Trzeciego wieczoru po przyjeździe ledwie zdołał odprawić hodowcę koni, świecarza i trzy starsze damy z lokajem, kiedy dwóch oficerów lekkiej jazdy w wysokich butach i ostrogach wdarło się do jego izby. Jeden z nich rzucił na stół garść srebrnych monet.

Nostradamus przymrużył oczy. Ambitne, aroganckie i chciwe szczeniaki, pomyślał. Poza tym wieczera mi stygnie. Już miał zażądać, by zabrali pieniądze i poszli precz, gdy naraz przed oczyma stanął mu obraz wysokiej, kościstej dziewczyny na gniadym podjezdku, zadzierającej nosa i z ręcznie maskującej strach, kierującej się ku wieżom Orleanu.

— Czy któryś z was ma coś wspólnego z wysoką, chudą panną, która pisze poezje i ma wyjątkowo wielkiego cętkowanego psa imieniem Gargantua? — spytał.

— To moja siostra! — wykrzyknął okrągłolicy, płowowłosy młodzian. — Ale skąd to wiecie, mistrzu? — Młodzieniec urwał, zamyślił się na chwilę i cofnął, wytrzeszczając oczy z przestachu.

— Mam dla ciebie ostrzeżenie: opanuj chciwość. Fortuna, która została przeznaczona twojej siostrze, nigdy nie była i nie będzie twoja. W razie jej śmierci pieniądze dostanie Kościół, radzę ci więc raczej zabiegać o względy siostry, niż...

— Jej względy? Ależ ona skradła mi dziedzictwo!

Nostradamus wzruszył ramionami.

— Tak jak się rzeczy mają, nie wzbogaci się dzięki niej rodzina, lecz jej przyszyły mąż. A teraz wynoście się obaj. Moja wieczerza stygnie, a wy nie byliście umówieni.

— Jak śmiesz się tak do mnie zwracać! Kiedy Filip d'Estouville zaszczyca swą obecnością plebejusza, ten nie będzie go odprowadzał jak sługę! — oburzył się drugi oficer, ten o szczupłej twarzy i ciemnych wąsach, sięgając do boku po rapier.

— Niech no tylko włos spadnie mi z głowy, a odpowiesz za to przed królem Francji — rzekł Nostradamus, nie podnosząc głosu. — Poza tym lepiej dla ciebie będzie, jeśli odejdziesz stąd nie usłyszawszy, co mam ci do powiedzenia. Los nie pozwoli ci odziedziczyć majątku twego wuja. I zostaniesz pokonany w trzynastym pojedynku.

Ciemnowłosy oficer zbladł, dłoń oparta na rękojeści rapiera opadła.

— Nie wierz mu, Filipie — wtrącił jasnowłosy.

— Nie wierzę. Mimo to, Hannibalu, wołę zginać mężnie od miecza niż zmurszeć ze starości. — Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

— Te go nie powiedziałem — rzucił za nimi prorok.

Ale tylko Hannibal go usłyszał.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Nostradamus wstał i założył rygiel, żeby powstrzymać dalszy napływ klientów. Dość na dzisiaj, pomyślał. Nie jestem w Paryżu dla kuracji i potrzebna mi gotówka, przynajmniej dopóki nie zobaczę się z królową, ale co za dużo, to niezdrowo.

— Gdzież ta wieczerza? — sarknął, wyciągając kasetkę, by umieścić w niej ostatni zarobek. Zobaczył wszakże, iż Leon podgrzewa posiłek nad świecą. Westchnął z ukontentowaniem i nalał sobie puchar zaiste wyśmienitego czerwonego wina, poddając się miłemu dreszczowi oczekiwania. Była to jedna z największych tajemnic, jakie odkrył w trakcie swych licznych podróży i wciąż jeszcze zgłębiał: umiejętność radowania się chwilą, która właśnie trwa. Zwłaszcza gdy jest to chwila wieczerzy, pomyślał wesoło stary prorok.

— To niesprawiedliwe, to po prostu podle! — Lauretta rzuciła się z płaczem na łóżko, dławiąc się z wściekłości i żalu.

Jej młodsze siostry stały wokół wielkiego, zapadniętego łoża, w osłupieniu patrząc na tę wulkaniczną erupcję uczuć. Łkania Lauretty rozlegały się echem w komnatach na piętrze, ściągając zaciekawione

służebne, a w końcu i matkę, która przybiegła prosto z kuchni z podwinętymi rękawami, w wielkim białym fartuchu na codziennej wełnianej sukni.

— Lauretto, Lauretto!

— Odejdź! Nic nie rozumiesz! Nie jesteś w stanie zrozumieć!

— Rozumiem więcej, niż ci się wydaje — odparła matka.

— Ona jest brzydka! Zarozumiiała! I dostanie wszystko!

Pani de La Roque zauważyła zmiętą kartę na posadzce i schyliła się, żeby ją podnieść. Rozprostowując papier, powiedziała:

— List Hannibala był skierowany do całej rodziny, Lauretto. Nie miałaś prawa zabierać go i niszczyć w ten sposób. Wiesz, że przechowuję wszystkie jego listy.

— Powinnaś go była spalić! — wrzasnęła Lauretta, unosząc się z poduszki.

— Nie ma w nim nic prócz pozdrowień i opisu jego sukcesów. Te listy pewnego dnia staną się rodzinnym skarbem. Jakim prawem chcesz odbierać radość mnie i naszym potomkom?

— Chcesz powiedzieć: potomkom Sybilli i Filipa?! To do m n i e powinien się zalecać i m n i e adorować! To j a powinnam zostać panią d'Estouville! Czy nie czytałaś tej części, w której Hannibal pisze: „Pan d'Estouville ostatnio z wielką przyjemnością konwersuje z Sybillą. Byłby to szczęśny związek dla naszej rodziny...”

— Lauretto, drogie dziewczę! Spojrzenie czy rozmowa nie prowadzi jeszcze do małżeństwa. Alians rodzin w tej sferze opiera się nie tylko na rodowodzie panny, lecz i na tym, co wnosi małżonkowi we wianie. Ciotka Paulina z pewnością dała do zrozumienia, że będzie hojna...

— Ona jest także moją ciotką! Sybilla ma już winnicę! To j a powinnam była dostać wiano! Ciotka dałaby pieniądze mnie, gdyby Sybilla nie poszła do niej jak żebraczka! Dlaczego m n i e do niej nie wysłałaś? Z a s ł u g u j ę na to, żeby być bogata!

— Lauretto, dziecko kochane, wiesz przecież...

— Wiem, że Sybilla miała męża i postrzeliła go, a wszystko dlatego, że chciała Filipa dla siebie, ot co! A przecież to ja mu się bardziej podobam! Jestem o wiele ładniejsza od Sybilli! To mnie ciotka powinna była adoptować! Teraz Sybilla stroi się w jedwabie, a Filip siedzi u jej stóp i słucha tych koszmarnych wierszy... — Lauretta podparła się na łokciu i usiadła z zaczerwioną, pałającą twarzą.

— W liście nie ma o tym mowy, Lauretto...

— Co z tego! Sama wiesz, że tak jest... choćby w tej chwili!

Pani de La Roque siadła na łożu obok swej rozwścieczonej latorośli i pogłaskała ją po plecach.

— Posłuchaj mnie, córeczko. W małżeństwie liczą się fakty. Nie masz wiana. Tylko dzięki łasce Bożej twój ojciec wywinął się od stosu i nie trafiłyśmy wszystkie do przytułku. Jeśli twoja siostra korzystnie wyjdzie za mąż i zyska szacunek świata, wraz z nią zyska go również twój brat, a poprzez niego wzrosną i twoje szanse na zamążpójście, które zapewni ci pewien komfort... — Twarz pani de La Roque była blada i ściągnięta jak nagrobna płyta na skrywanym bólu.

— Jakiś ohydny starzec, jakiś biedak, nędzny ochłap!... To mi się dostanie! Dlaczego nie powiesz tego wprost?

— Kochanie, w tej chwili nie masz szans nawet na to. Chcesz żyć z łaski w cudzym domu?

— W domu Sybilli, tak? Nigdy! Nie będę niańczyła jej dzieci patrząc, jak Filip bierze ją pod brodę i mówi do niej „kochanie”, a ona uśmiecha się tym swoim chytrym lisim uśmiechem!

— Och, Lauretto, moja śliczna, moja prześliczna dziewczynko, gdybyś tylko wiedziała, jak się o ciebie modłę...

— Modły? A cóż mi po nich? Sybilla ma jedwabne suknie i ogromne wiano, a ja modlitwy? Gdyby Pan Bóg był sprawiedliwy, Sybilla zawisłaby na szubienicy, a ja a zostałabym panią d'Estouville.

— Sza! Nigdy nie mów takich rzeczy! Lauretto, moja miła, moja najdroższa, posłuchaj mojej rady: nie pozwól, by rządziły tobą emocje. Jeśli chcesz zawrzeć małżeństwo godne twojej krwi, musisz prowadzić się żelazną ręką, tak jak i ja się nauczyłam. Chodźcie, dziewczynki, przyda mi się pomoc, a waszej siostrze potrzebna jest chwila spokoju.

Matka wstała, chcąc wrócić do pracy. Gdy jednak opuszczała komnatę wraz z młodszymi córkami, Lauretta uniosła ściągniętą, rozgoryczoną twarz i szepnęła za nią:

— Skoro tak dobrze się prowadziłaś, dlaczego nie dostał ci się lepszy mąż niż nasz ojciec?

Stary konetabl Montmorency osobiście przybył, by eskortować Nostradamusa do obecnej rezydencji królewskiej w Saint-Germain-en-Laye. Jego pojawienie się w otoczeniu zbrojnej, odzianej w półpancerze świty na wspaniałych rumakach wywołało w gospodzie niemałe poruszenie. W orszaku konetabla Nostradamus dostrzegł dwóch młodych ludzi, którzy przyszli do niego po wróżbę. To, że królowa wysłała po niego właśnie konetabla, było rzeczą naturalną: w czasie długiej bezpłodności zbierała dla niej recepty, leki i uroki z

każdej swej podróży za granice królestwa. Ilekroć król ruszał na wojnę, królowa i konetabl prowadzili ożywioną korespondencję, albowiem Henryk nigdy nie mówił żonie wszystkiego — zwierzał się wyłącznie swojej miłośnicy. Królowa nazywała Montmorency'ego swym „dostawcą plotek”, podpisywała listy „vostre bonne commère et amye” i od niego dowiadywała się, co robi jej mąż. Konetabl traktował ją jak przyjaciółkę. Był tak stary — widmo z czasów Franciszka I — ona zaś o tyle młodsza, wyżej postawiona i tak strasznie brzydka, że nikt nigdy nie posądziłby ich o romans. Politycznie mało kto stawiał na Katarzynę, zwłaszcza dopóki nie urodziła dzieci; ludzie żądni awansu tłoczyli się wokół królewskiej kochanki, nie żony.

Ale był jeszcze jeden powód, dla którego Anne de Montmorency, konetabl Francji, chciał towarzyszyć Nostradamusowi w drodze z Paryża do pałacu położonego kilka mil za miastem, na wzgórzu wznoszącym się nad Sekwaną. Pragnął mianowicie zbadać myśli proroka i w sekrecie prosić go o radę — nie tyczącą przyszłości Francji, lecz jego przyszłości u tronu.

We własnych oczach Montmorency był potęgą stojącą za tronem. Liczył w myśli rywali. Po pierwsze, bracia Gwizjusze i ich mała siostrzenica, królowa Szkocji. Czas działał na ich korzyść: kiedy Maria poślubi delfina, to oni będą pociągać za wszystkie sznurki. Następnie książęta krwi, bracia Burbonowie, najwięksi naturalni rywale Gwizjuszy. Ci, jeśli kiedykolwiek dojdą do władzy, pozbędą się zarówno Gwizjuszy, jak i Montmorency'ego.

Jak zrównoważyć te dwa wrogie rody i samemu utrzymać się w siodle? Żadna z frakcji nie była godnym zaufania sojusznikiem. Obie odrażające, choć każda na swój sposób. Gwizjusze — inteligentni i wyrachowani, fanatyczni katolicy; trzej Burbonowie — nieudolni, zmienni i bezużyteczni. Niech to wszyscy diabli!

Najpierw muszę zniweczyć małżeńskie plany Gwizjuszy, myślał stary konetabl wjeżdżając do Paryża. Odwlec datę ślubu pod tysiącem pretekstów, a następnie znaleźć dla delfina narzeczoną o lepszych koligacjach, której Gwizjusze nie będą w stanie przebić. Pomyślmy... kto mi w tym pomoże? Muszę znaleźć sprzymierzeńców. Najlepiej wśród Burbonów, ci na pewno stracą, jeśli Gwizjusze przejmą władzę. Być może Antoni, król Nawarry, da się przekonać. Chociaż ten myśli tylko o tym, jak odzyskać ziemie zagarnięte przez Hiszpanów. Można by wykorzystać hiszpańską Nawarrę jako wabik... gdybyż tylko Antoni nie był takim głupcem! Jedynym prawdziwym mężczyzną w rodzinie jest jego żona. W umyśle konetabla pojawił się na chwilę obraz

sztywnej, rzeczowej protestantki. Joanna d'Albret, córka mądrej siostry starego króla Franciszka. O, gdyby z n i ą udało mi się zawrzeć alians...

Każę temu wieszczkowi wyjawić mi, co z tego wyniknie, zadecydował w myśli. Znając przyszłość, stosownie ułożę swoje plany...

Siedząc na siwym ogierze niczym posąg z brązu, stary żołnierz z nieprzeniknioną miną patrzył wprost przed siebie, nie dając po sobie poznać, jak targa nim pragnienie. Przechodnie, którzy go widzieli, byli pewni, że myśli o szykującej się bitwie.

— Mistrzu de Nostre-Dame — rzekł wielki konetabl, pochylając się nieco z wyżyn swego rumaka, by zostać usłyszonym przez starego proroka, który człapał obok na drobnej klaczy — twoje „Centurie” wywarły duże wrażenie na królowej. Powiedz, dlaczego piszesz je tak trudnym językiem? Ludzie spierają się o ich znaczenie.

— Chcesz powiedzieć, jaśnie panie, że uważają, iż niezrozumiałymi słowami pokrywam ignorancję i płytkie sofizmaty? Niechże dalej tak myślą. Zesłane mi wizje nie są przeznaczone do wiadomości prostaczków. Głupcy robią zły użytek ze wszystkiego, także ze znajomości jutra.

Gdy minęli most nad fosą za murami miasta i znaleźli się na gościńcu, konetabl odparł:

— Ależ oczywiście, oczywiście. Ja sam wierzę w twój dar, mistrzu, wierzę głęboko. Tylko dlaczego podajesz swe prorocтва w takim nieładzie? Sprawiają mi wiele trudu. Gdybym mógł chociaż ustalić datę...

Stadko piszczących kurcząt rozpierzchno się sprzed końskich kopyt. W dali wiatraki wolno obracały się w ciepłym wietrze.

Nostradamus poprawił się w siodle, żeby znaleźć wygodniejszą pozycję dla swego bolącego kręgosłupa, i odparł z nutką irytacji, nie starając się czegokolwiek wyjaśnić:

— Tak dyktuje mi Duch. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Ani z jego koszmarnym bałaganiarstwem, dodał w myśli. Los pokarał mnie duchem, który ma taki nieporządek w szafie. Widząc, że konetabl wzdryga się zabobonnie, dodał prędko:

— Gwiazdy kształtują przeznaczenie, lecz nie mają nad nim absolutnej władzy. Gdybym wykladał swe wizje prostym językiem, podając dokładne daty, nikt nie starałby się niczego zmienić i ludzkość przygniotłoby żelazne brzemień straszniejsze jeszcze od władzy Antychrysta. Wolą Bożą jest, aby ci, którym dano zdolność pojmowania,

sami dokonywali wyboru, co pozwoli im umknąć z trybów historii i w ten sposób unaocznic Bożą łaskę.

To powinno ci zamknąć usta, pomyślał Nostradamus, który w całej tej rozmowie wyczuł wstęp do żądania bezpłatnej wróżby.

— Pojmowanie, ach, tak, rozumiem — mruknął stary konetabl i zamilkł, chcąc zaliczać się do wybranych, a nie do głupców, którym trzeba wszystko tłumaczyć, albowiem niezdolni są kierować własnym losem.

Zadowolony prorok jechał dalej w milczeniu. Tego, że od lat wymykał się inkwizycji, nie zawdzięczał wyłącznie szczęściu. Zawsze czuł satysfakcję, gdy któryś z filozoficznych argumentów, jakie zawsze miał na podorędziu, wywierał dokładnie zamierzony efekt. Konetabl powtórzy na dworze jego słowa, co znacznie ułatwi prorokowi życie.

Nim dotarli na dziedziniec zamku w Saint-Germain-en-Laye, doktor dziękował Bogu za zbrojną gwardię konetabla. Otaczał ich gęsty, hałaśliwy tłum rosnący w miarę, jak zbliżali się do komnat królowej.

— Nostradamus, Nostradamus! — krzyczano, potrącając go. Ledwie mógł się utrzymać na wykrzywionych artretyzmem nogach. — Ten jasnowidz! Prorok jest tutaj! Sama królowa go wezwała!

Kobiety usiłowały go dotknąć, nieznajomi ciągnęły go za ubranie. Z tłumu sypały się rozpaczliwe pytania o utraconych kochanków i zaginionych synów; dowcipnisie stukali w jego łaskę i pytali o przyszłość swych metres i psów myśliwskich. Żołnierze, paziowie, słudzy i szlachetnie urodzeni pieczeniarze tłoczyli się razem wypełniając szczerlnie korytarz, żeby choć rzucić na niego okiem.

— Wszyscy precz! — krzyknął konetabl. — Przejście dla astrologa królowej!

Na tyłach tłumu ciemnowłosy brodaty Włoch odziany od stóp po głowę w czarną skórę mruczał pod nosem z nachmurzoną miną. Dlaczego wszyscy robią tyle hałasu wokół tego jegomościa jedynie dlatego, że wydał drukiem swoje przepowiednie? Jakież to niskie, szukać poklasku u gminu. Moje przemyślenia są zbyt wyrafinowane, aby powierzać je wulgarnym pamfletom. Zrozumienie mych mądrości wymaga głębszego, wnikliwszego wejrzenia. Myślałby kto, że ta podła Medyceuszka doceni mą długą służbę, moją inteligencję... Nostradamus aż się ślini, by zyskać poklask bezmyślnej masy! Patrzcie na tych głupców, którzy wychodzą ze skóry, żeby przyciągnąć jego uwagę! W tym człowieku nie ma ani krzty s u b s t a n c j i ; to oszust, lecz

tylko ja go przejrzałem. A zatem moją powinnością wobec rodzaju ludzkiego...

Nostradamus wyczuł w tłumie czyjąś aurę zionącą czystą nienawiścią, ale gdy podniósł głowę, by zlokalizować źródło, aura znikła. Kosma Ruggieri udał się do domu, by rzucić na starego doktora śmiertelny czar.

Aura królowej była obłudna i śliska. Michał de Nostre-Dame widział wiele jej podobnych, bywając często między książętami tej ziemi. Tym, co różniło Katarzynę od innych, nie był przesłodzony uśmiech, którym maskowała wyrachowanie, ani też snobistyczne maniery, którymi usiłowała wzmocnić swą pozycję na dworze — dworze pragnącym w kobiecie podziwiać tylko urodę. Z jej wyjątkowo mocnej aury biła Wola, czysta Wola podsycana jasnym płomieniem gniewu, starannie skrywanym za zasłoną pozorów.

— Widzę długie życie — rzekł Nostradamus zbadawszy linie dłoni królowej, piegowate ramiona i proporcje nieładnej, wylupiastookiej twarzy. Byli sami; świta została odesłana do przyległej komnaty.

— A mój mąż i władca, król... — Katarzyna zawahała się, bojąc się zadać wprost najważniejsze, krytyczne pytanie. — Chodzi o jego życie... Czy przepowiednia o dwóch lwach odnosi się do niego?

Nostradamus odparł ostrożnie i taktownie:

— Twój królewski małżonek, pani, dożyje sześćdziesiątego dziewiątego roku i będzie znany jako największy władca od czasów cesarzy. Jest tylko jedno zastrzeżenie: nigdy nie wolno mu się potykać z człowiekiem, który ma lwa w herbie.

— Ale król nie jest taki jak inni. Nie można go wyzwąć na pojedynek...

Nostradamus objął szybkim spojrzeniem kabalistyczne pierścienie królowej, łańcuszek ukrytego pod szatą amuletu i dziesiątki innych oznak świadczących, że Katarzyna uważa się za adeptkę czarnej magii.

— Gdy użyjesz swych mocy, pani — rzekł — poznasz, że czas nadszedł. Wtedy ty i tylko ty możesz go odwieść od walki i w ten sposób ocalić królestwo.

Wypukłe oczy rozszerzyły się; okrągła, pozbawiona podbródka głowa skinęła poważnie na znak zgody.

— Czy... czy on mnie kiedyś pokocha?

— Przyjdzie czas, że cię doceni — odparł prorok. — Czy więcej, tego nie potrafię orzec.

— To się nigdy nie stanie, dopóki jest w mocy tej starej ladacznicy! — wybuchnęła z goryczą. — Jakże marzę o tym, żeby się jej pozbyć! Daj mi coś, co odbierze jej władzę nad nim! Powiedz, jak mam się od niej uwolnić!

— Wasza wysokość, paranie się czarnoksięstwem kosztowałyby mnie utratę zdolności jasnowidzenia — odparł stary doktor, który nigdy nie wahał się parać magią dla własnych celów, ale zarzucił ją, gdy się przekonał, że jest nieprzyjemna, męcząca i zawodna. — Gwarantuję ci jednak, że przyjdzie chwila, gdy ta osoba nie będzie ci już przeszkadzać.

Dość bezpieczna prognoza, zważywszy różnicę wieku, pomyślał. Królowa wszakże milcząco założyła, iż w ten zawołowany sposób chce dać jej do zrozumienia — jak czarownik czarownicy — że dzięki swej mocy wkrótce dopnie celu. Ucieszyła się. Pogawędziwszy chwilę na temat wynalezionej przez Nostradamusa maści, która zachowa gładkość i świeżość jej cery sprawiając, że z biegiem czasu prześcignie urodą wszystkie rywalki na dworze (albowiem — jak zapewnił ją stary prorok — ładna cera i dobry charakter o wiele silniej opierają się upływowi lat niż powierzchowny wdzięk), poprosiła go, by pojechał do Blois, gdzie przebywały dzieci, i ułożył dla nich horoskopy.

— Chciałabym, aby każde zasiadło na tronie — powiedziała.

— Ma się rozumieć, najjaśniejsza pani — przytaknął Nostradamus.

Po wyjściu z jej komnat otrzymał zaproszenie do jednej z najbardziej luksusowych rezydencji w Paryżu, Hôtel de Sens, domu Karola de Bourbon, kardynała i arcybiskupa Sens. Ten wspaniały budynek, część zespołu starych królewskich pałaców znanych jako Hôtel de Saint-Pol, był świetnie położony: naprzeciw Tournelles i niedaleko Bastylli. Wspaniałe miejsce na dyskretną tymczasową praktykę, pomyślał stary doktor, choć może trochę za bardzo oddalone od kramów z księgami na lewym brzegu Sekwany.

Brakuje mi jeszcze tylko zaproszenia od Gwizjuszy, pomyślał z ukontentowaniem. Nic tak nie nabija kiesy jak zwalczające się frakcje. Dał znak eskortie, by się zatrzymała. Z tarasu roztaczał się piękny widok na lśniący łuk Sekwany, wijącej się aż po horyzont pomiędzy szmaragdowymi brzegami. Nostradamus zacerpnął głęboko powietrza, przysłuchując się świergotowi ptaków, pianiu koguta, łopotowi targanych przez wiatr proporców na zamkowym murze ponad jego głową. Jego umysł wypełniła radosna myśl o domu.

Ale przyjemną wizję drobnych zakupów do pracowni, naprawy ogrodowego muru i nowej świątecznej sukni dla żony zmaciło mu rwanie w stopie. Niech to diabli, pomyślał, kolejny atak podagry przykuje mnie do łóża co najmniej na kilka dni. Rwanie nasiliło się i przeszło w ostry ból. Nim dotarł z Saint-Germain do Paryża, trzeba go było wnieść po schodach do pałacu arcybiskupa. Stawy piekły go tak, jak gdyby ktoś przebijał je ostrymi szpilami. Nawet gdy Leon przyniósł mu z apteki opium, ból nie pozwolił prorokowi zasnąć.

ROZDZIAŁ XII

— Nikt nie mógłby być bardziej zaskoczony niż ja, gdy otrzymałem twój list, pani. Skoro jednak przekazał mi go twój ojciec, zakładam, że wyraził również zgodę na to spotkanie.

Chmura przesłoniła słońce. W jej zimnym cieniu Lauretta zadrżała i ciaśniej otuliła się szalem. Stała z Villasse'em w sadybie nie opodal dworu, w zasięgu chłodnego ojcowskiego wzroku, który z okna na piętrze śledził tę potajemną schadzkę.

— Mój ojciec i ja jesteśmy jednej myśli — powiedziała. — Sybilla okryła nas niesławą, zachowując się jak ładacznica i publicznie szargając nasze dobre imię.

Spod jej nóg unosił się zapach zgniłych jabłek, wspomnienie minionych zbiorów. Do sadu wpędzono świnię; ich chrząkanie, któremu wtórowało odległe pianie koguta, mąciło jesienną ciszę.

— Mnie zraniła bardziej niż tylko niesławą — rzekł Teobald Villasse. Wybuch prochu trwale naznaczył jego twarz czarnym cieniem; skórzana przepaska kryła oślepie prawe oko.

— Boleję nad waszymi ranami, sąsiedzie. — Lauretta podniosła błękitne oczy, nadając im współczujący wyraz. Prosta suknia z niebieskiej wełnianej tkaniny podkreślała ich kolor, o czym dziewczyna doskonale wiedziała. Gęste złote włosy zaplotła w koronę i przygotowując się do tego ważnego spotkania wyszczypała policzki, żeby były różowe. „Okaż mu zainteresowanie — mówił ojciec — a być może jeszcze wyjdiesz za mąż. Mężczyzna chętniej sypnie groszem dla ładnej panny. Widziałem, jak na ciebie patrzy.”

Mój ojciec jest głupcem, pomyślała Lauretta. Ale ja nie. Wykorzystam tę szansę, żeby zdobyć to, czego pragnę.

— Twoja siostra to diabeł wcielony — rzekł Villasse. — Żyję tylko dzięki temu, że ta idiotka nie załadowała kuli.

Miał na sobie grube buty do polowania, stary kaftan z jeleniej skóry i kapelusz o szerokim rondzie nasadzony głęboko na długie, strączkowate, siwiejące włosy. Tuż za nim stała przywiązana do drzewa wielka gniada klacz, parując po długim biegu.

— Gardzę nią — powiedziała Lauretta. — Nie jest już moją siostrą. Ukradła mi wiano, które dostałabym od ciotki.

— Podobnie jak spadek, którego po śmierci siostry spodziewał się twój ojciec. Nie miała przecież własnych dzieci. Postąpił jak głupiec pozwalając jej adoptować Sybillę...

— Przypuśćmy jednak — przerwała mu Lauretta — że na skutek jakiegoś przykrego wypadku Sybilla nie będzie mogła wyjść za mąż. Wówczas ciotka na pewno okaże mi swoją hojność. W końcu ja też jestem jej bratanicą.

— Wypadek? Masz na myśli śmierć?

— O, nie, to byłoby... grzeszne, ale sprawiedliwa zemsta, oko za oko, nie jest przecież grzechem, prawda?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Widzisz, panie, dziś ugania się za nią wielu mężczyzn, Sybilla zaś opływa w dostatki, żerując na krzywdzie, jaką tobie wyrządziła. Wyrównanie rachunków wcale nie jest zbrodnią, a dla mnie i dla was byłoby lepiej...

— Tak? — Villasse w napięciu pochylił się do przodu.

— Gdyby była szpetna, może nawet ślepa... Ostatecznie omal cię nie oślepiła, prawda? Wówczas żaden kawaler nie zechciałby jej za żonę. Nie mogłaby się nawet pokazać na ulicy. Nikt już by o nią nie dbał. Ciotka z pewnością umieściłaby ją w klasztorze. Sybilla i tak zawsze chciała być zakonnica... a wtedy ja zostałabym towarzyszką ciotki.

— Jak tego dokonać?

— Witriolem. Słyszałam o nim. Nie da się go zmyć, przepala ciało aż do kości. Dosłownie parę kropel, rozumiesz, panie, byle celnie. Resztę życia będzie musiała spędzić w ukryciu. No i nie zdoła rozpoznać winnego. Wiele znanych kobiet jest obiektem zazdrości. To normalne. A zatem dosłownie każdy mógłby mieć powód, by to zrobić.

— Mam się tym zająć?

— Ja nie mogę się stąd ruszyć. Poza tym nie wiem, gdzie można kupić witriol. Ale ty, panie, swobodnie poruszasz się po całym

kraju. Oblej jej twarz witriolem, a oboje wywrzemy słuszną i sprawiedliwą zemstę. A potem dostanę to, co do mnie należy.

— Cóż za błyskotliwy plan — rzekł Villasse cicho, jakby do siebie.
— Tylko kobieta mogła coś takiego wymyślić.

Spojrzał na Laurettę. Takie urocze i niewinne dziewczę — o wiele ładniejsza niż jej brzydka, chuda, jędzowata siostra. Zupełnie jakby nie były z jednej krwi. Tu miał przed sobą prawdziwą piękność.

— Pokochałabym człowieka, który w moim imieniu wymierzy sprawiedliwość — szepnęła, patrząc na niego spod rzęs.

— Odebrałabyś ojcu dziedzictwo? — spytał z pobłażliwym rozbawieniem.

— Już mu je odebrano. Ciotka Paulina powiedziała, że jeśli nie zostawi swej fortuny Sybilli, dostanie ją jakiś klasztor. Ale kiedy Sybilli już nie będzie, ciotka poczuje się samotna...

— Genialne — rzekł z podziwem Villasse.

— Stare kobiety słabują na umyśle, to rzecz znana. Po paru tygodniach nie będzie jej robić różnicy, kto czyta jej na głos i gra z nią w karty. A tak będzie o wiele, wiele lepiej... dla nas obojga — dodała pospiesznie Lauretta.

Nieco później, patrząc, jak Villasse znika w dali, posłyszała za sobą szelest opadłych liści.

— I co, Lauretto, rozmawiałas z nim o moich długach?

— Oczywiście, ojczu — odparła, odwracając się. — Zrobiłam dokładnie to, co mi nakazałeś.

— Jestem pewien, że twoja śliczna buzia podbiła jego serce.

— Ja też mam tę nadzieję.

Szkoda, że jesteś takim głupcem, ojczu, pomyślała. Ale nie pozwolę, by twoja głupota zniszczyła moje szanse.

Ach, Lauretto, ileż pożytku mam z tej twojej urodziwej, bezmózgiej główki, myślał równocześnie jej ojciec, prowadząc ją w stronę domu. Villasse ci się nie oprze, zwłaszcza gdy sobie uświadomi, iż może osiągnąć zemstę, winnicę i ciebie za jednym zamachem. O, ja na pewno nie zapłacę za Sybillą, co to, to nie. Sam jednak nie mogę pozbawić jej życia. Kiedy Villasse się z tym upora, winnica przejdzie na Laurettę, a on zyska znacznie ładniejszą żonę. Ta źmija Sybilla posunęła się za daleko, stając pomiędzy mną a moją siostrą. Nie miała prawa zagarniać majątku, który mnie się należał. Słowo daję, zawsze wiedziałem, że ta dziewczucha źle skończy. A kiedy już usunie się ją z drogi, bez trudu odzyskam dziedzictwo, którego Paulina mi odmawia...

Daleko od La Roque-aux-Bois, w Paryżu przy rue de Bailleul, stał duży murowany dom o stromym dachu krytym łupkiem, najeżonym tuzinem małych wieżyczek i tuzinem kominów. Nisza nad szerokimi drzwiami wejściowymi mieściła ładną włoską rzeźbę Madonny z dzieciątkiem. Figura malowana była żywymi kolorami, a jej koronę i gwiazdy zdobiące skraj płaszcza pokrywało prawdziwe złoto. W domu tym mieszkał włoski bankier Montvert, doradca królów, książąt i wszystkich, którzy potrzebowali grosza na wyprawę wojenną, na nową posiadłość, na modną kochankę. Począwszy od lśniących okien a skończywszy na dobrze zaopatrzonej piwnicy, dom ten tchnął aurą świeżo zarobionej fortuny i pewnym przebiegłym samozadowoleniem. Świadczył też o niezbyt dawnym osiedleniu się we Francji. Wszystko to razem wzięte było źródłem nieskończonego wstydu dla jedynego syna bankiera Montverta. Młodzieniec ów bez wahania oddałby ostatnią cegłę ojcowskiej rezydencji, gdyby tylko mógł się urodzić jako zbiedniały francuski arystokrata ze starożytnego rodu, utrzymujący się wyłącznie dzięki prędkiej klindze i lotnemu dowcipowi. W tejże samej chwili, w której Lauretta rozmawiała z Villasse'em w sadzie, Mikołaj Montvert sprzeczał się zażarcie ze swym wyjątkowo twardogłowym ojcem.

— ...Skoro już wyrzekłeś się nazwiska Monteverdi, mogłeś przynajmniej zmienić je na de Montvert...

— To byłoby oszustwo.

— Podobnie jak „Montvert”!

— Nie zmieniaj tematu, Mikołaju. Powiedziałem, że nie pojedziesz ze mną do Orleanu, i słowa nie zmienię. Jesteś tu potrzebny matce...

— Wcale nie! Ja naprawdę muszę jechać...

— Po co? Nawet nie starałeś się przypodobać panu Bonneuil ani innym ważnym osobistościom, z którymi cię poznałem. Skąd ta nagła chęć... ach, tak! Oczywiście! Z oczu ci patrzy...

— Moje oczy patrzą tak samo jak zwykle.

— Nieprawda, mój drogi. Znów się zakochałeś. Chcesz się spotkać z tą kościstą kuzynką pani Bonneuil? Wystawałbyś pod jej oknem grając na mandoli, a potem ja musiałbym wyłożyć sporo grosza, by się jej pozbyć. Mam rację, widzę to w twoich oczach. Sybilla Artaud! Trzymaj się od niej z dala. Cała ta rodzina, ci szlachetnie urodzeni, wiecznie zadłużeni utracjusze...

— Ona jest inna, ojciec, wiem o tym.

— Po jednym przypadkowym spotkaniu? Nie wiesz nawet, którą nogą wstałeś z łóżka, baranie! Jeśli kiedykolwiek staniesz się odpowiedzialnym mężczyzną i jeśli zdobędziesz sobie godną pozycję, twoja matka i ja poprosimy krewnych, aby znaleźli ci na żonę dobrą włoską dziewczynę, czystą pannę z bogatej bankierskiej rodziny. Do tego czasu radzę ci unikać kobiet złej sławy. Nie zapłacę nawet jednego sou...

— Ona nie... jak śmiesz! Ona pochodzi ze szlacheckiego rodu!

— A tymczasem ja słyszałem od Gondiego, że królowa zaprosiła ją na dwór. Sam wiesz, co to oznacza i jak rozwiążcie życie prowadzą ci ludzie. Pewnie królowa sama wybierze jej kochanka mając na względzie jakiś polityczny manewr... Trzymaj się od nich z daleka, Mikołaju. To dla ciebie za wysokie progi, a przy tym nie jesteś aż tak zdeprawowany. Zjedzą cię na surowo.

— Nie będę...

— Powiadam ci: jeśli się dowiem, że zalecasz się do tej kobiety, każę zamknąć cię w Bastylii jako wyrodnego syna, który zszedł na złą drogę...

Niestety, zgorzony i rozwścieczony Scypion Montvert sięgnął po ten właśnie argument, który otoczył nieznaną pannę aurą pożądania, magicznym blaskiem zakazanego owocu. Figlarne spojrzenie Mikołaja Montverta, tak łatwo biegnące za każdą wytworną młodą damą, zostało w ten sposób przykute do tej, która stała się jego Gwiazdą Polarną — Sybilli Artaud de La Roque. Wysoka, odziana w czerń smukła arystokratka, której oczy kryły niewypowiedziany dramat; kobieta inteligentna i wykształcona, o starym nazwisku, a co najlepsze — odpowiednio uboga. Tylko on, Mikołaj, mistrz rapiera i człek nieustraszonego ducha, może uchronić ją przed złem pieniącym się na królewskim dworze. Przygnała ją tam bez wątpienia okrutna życiowa konieczność, lecz odtąd już Sybilla była wszystkim, czego pragnęła na tej ziemi.

— ...co więcej, spodziewam się, że do mojego powrotu nauczysz się obliczać procent składany. — Głos ojca wciąż jeszcze rozbrzmiewał na piętrze, gdy Mikołaj chyłkiem wymknął się do stajni.

Bóg nie stworzył mnie na buchaltera, myślał. Mym przeznaczeniem jest ocalić tę smutną piękność od intryg podłych, zwyrodniałych dworaków. Potem zaś staniemy się jednym ciałem i duszą...

Dokładnie pamiętam, że to był wtorek: we wtorek przybył do nas posłaniec królewski z listem opatrzonym licznymi pieczęciami. Ciocia

jak w ukropie krzątała się po domu, oczekując wizyty swego kuzyna w trzeciej linii, opata Dufoura. Czcigodny opat odwiedzał nas regularnie w każdy wtorek po południu, opychał się słodyczami i grał z nami w warcaby, a także relacjonował najnowsze odkrycia nauk zwykłych i tajemnych. Był to człowieczek niewielkiej postury i wielkiej mądrości, zapraszany na wiele kulturalnych wieczorków, podczas których czytywał na głos wyjątki z pisanego przez siebie monumentalnego dzieła: „O życiu żółwi — z dodatkiem szczegółowego opisu dróg wodnych Ile-de-France, poczynionym przez Autora”.

— Pięć rodzajów konfitur, trzy kołaczki, a na dodatek jeszcze wiśnie w cukrze! Ciociu, prześcignęłaś dziś samą siebie!

— Opat uwielbia moje wiśnie w cukrze prawie tak samo jak warcaby. Nie zapomnij ustawić szachownicy na tamtym małym stoliku. Arnoldzie, słyszę mego kuzyna. Wprowadź go, wprowadź! Muszę mu powiedzieć, że strzyka mnie o, tu, i na dokładkę czuję dziwny ból w wątrobie. Niechże poradzi, które wody miałyby na to kojący wpływ...

Raz w roku opat eskortował moją ciocię, swoją matkę staruszkę oraz jeszcze jedną sędziwą damę do wód w Plombières, w Enghien-les-Bains, w Évian albo gdzie indziej, gdzie lokalne źródła gwarantowały wyleczenie reumatyzmu, podagry/bladości, anemii, suchot, palpacji, puchliny wodnej, paraliżu, rozstroju nerwowego, nadmiaru humorów i tysiąca innych domniemanych schorzeń, a także znacznej części rzeczywistych dolegliwości. Zapał do omawiania symptomów rzadkich i egzotycznych chorób (najchętniej z pozoru nieszkodliwych, lecz prowadzących do śmierci w męczarniach) czynił opata cenionym gościem i powiernikiem. Kuzyn Dufour lubił również dywagować na temat cudownych uzdrowień, ślepego trafu oraz Bogu tylko wiadomych celów. Wiele nauczyłam się w owe wtorki, a ponieważ były to sprawy dla mnie nowe i nie mające nic wspólnego z łowami, byłam temu nawet rada.

Osobą, którą Arnold wprowadził do komnaty, nie był jednak opat. Zamiast niego ujrzałyśmy pokrytego kurzem osobnika w barwach królowej, który wręczył list i czekał na odpowiedź.

— Czytaj na głos! — zakrzyknęła ciocia. — Jestem tak podniecona, że nie widzę liter. Nie, oddaj! Patrz tu, ależ to cudowne, zdumiewające: „...by stawiała się przed Królową...” O tu, czarno na białym! „...i odczytała wyjątki ze swych poetyckich dzieł...” O moje serce! — Usiadła z rozmachem, łapiąc się jedną ręką za serce, podczas gdy drugą wachlowała się trzymanym kurczowo listem. — Tak,

tak, powiedz królowej, że jesteśmy zaszczycone i na pewno się stawimy...

— Królowa kazała mi powiadomić szlachetne panie, iż posiada zbiór rzadkich starożytnych szkatulek. Słyszała, że macie panie kuferek wart, by stać się częścią jej kolekcji. Podarunek ten nagrodzi wielką łaską. Rozważa mianowicie stworzenie nowego stanowiska przy dworze. Byłoby to stanowisko poetki, czysto ceremonialne, same panie rozumieją...

— Kuferek? Nic nie sprawi nam większej radości — oznajmiła rozpromieniona ciocia, przyciskając list do wydatnej piersi.

Kiedy posłaniec odszedł, opadłam na krzesło i wyjąkałam:

— Moje... moje utwory... Skąd królowa mogła o nich wiedzieć?

— A skąd wiedziała o kufrze? Królowe mają swoje sposoby. Jakież to zaszczyt, jakie wyniesienie! Będiesz czytać swe wiersze przed najjaśniejszą panią! Każemy sporządzić piękną, ręcznie pisaną kopię... Ha! Całe to obskurne miasteczko będzie się przed nami człołgać, gdy rozniesie się wieść, że jedziemy na dwór! Nie byłam dla nich dość dobra, co? Poczciwy opat będzie zachwycony, mogąc towarzyszyć nam do Saint-Germain! Sybillo, ta paskudna mumia przyniosła ci szczęście i nawet nie musiałaś wypowiadać życzeń! To dowodzi, że Dobro zawsze w końcu zwycięża! Arnoldzie, to pewnie mój kuzyn. Wprowadź go szybko, mam takie dobre nowiny!

Ale następnym gościem również nie był opat. Mocno umalowany uśmiech i błyszczące niebieskie oczka, przed którymi nic nie dało się ukryć...

— Kuzynka Matelina! — wykrzyknęłam zdumiona. Skąd nagle powzięła myśl, by złożyć wizytę w domu, do którego od lat nie weszłyby żadna szanująca się orleańska dama? — Co cię tu sprowadza?

Kuzynka Matelina stawiała sobie za punkt honoru, aby ubierać się wedle najnowszej mody. Miała na sobie krynolinę, dzięki której spódnica rozkładała się dużo szerzej niż u innych dam; wąska kryza wieńcząca wysoki jedwabny kołnierz uszyta była z prawdziwej koronki, u ściśniętej zaś gorsetem talii wisiała prześliczna haftowana sakiewka oraz wachlarz z rzeźbionej kości słoniowej i malowanego jedwabiu.

— Och, moja droga, moja droga Sybillo i droga pani Tournet, przysłam złożyć zaległą grzecznościową wizytę. Byłam taka zajęta, taka pochłonięta obowiązkami wobec mego męża... Ale cóż, nareszcie przyjechałaś do miasta i znów będziemy mogły rozmawiać o twojej przepięknej poezji...

— Ale... moje listy...
— Pisałaś do mnie listy? — zdumiała się Matelina unosząc brwi.
— To okropne! W ogóle ich nie otrzymałam. Jaka szkoda, sprawiłyby mi ogromną radość! Zawsze przecież byliśmy tak bliskimi, tak nierozłącznymi przyjaciółkami...

Nie czekając na zaproszenie zaczęła zjadać wiśnie w cukrze, zręcznie chwytając je drobnymi, białymi paluszkami, celnymi jak dziób jastrzębia.

— Ależ proszę, niechże się pani częstuje, pani Bonneuil— w głosie cioci brzmiał sarkazm.

— Są pyszne. Mam nadzieję, że otrzymała droga pani mój liścik z podziękowaniem za prezent ślubny. Już od dawna wybierałam się do pani w odwiedzin... — Spojrzenie Mateliny wróciło do mnie.

— Sybillo, wyglądasz znakomicie! Mój Boże, zaproszenie na dwór! I pomyśleć, że sama królowa będzie słuchać tych samych wersów, które rozległy się po raz pierwszy na moim skromnym prowincjonalnym wieczorku artystycznym! Mój drogi małżonek był pod wrażeniem, gdy się o tym dowiedział. Popatrz, popatrz, rzekł, zaproszono ją przez wzgląd na jej wiersze! Tak, tak, odparłam, poezja dodaje skrzydeł!

— Rzeczywiście, to zdumiewające, czego może dokonać literacki talent— wtrąciła ciocia tym samym ironicznym tonem. — I jak szybko rozchodzi się wieść o wartościowych dziełach!

— Bankierzy, droga pani, wiedzą o wszystkim. Taką mają pracę: muszą znać najświeższe nowiny z dworu. Ten człowiek, który przed chwilą stąd wychodził, był królewskim posłańcem, czyż nie? Oficjalne pisma idą tak długo...

— Istotnie, poczta działa wolniej niż inne formy przesyłania wiadomości — prychnęła ciocia.

Kuzynka Matelina żartobliwie pogroziła mi palcem.

— A ja wiem coś jeszcze — powiedziała. — Wiem, że podbiłaś już parę męskich serc. Nasz drogi przyjaciel pan Montvert, który jest bardzo bogaty, choć jego rodzina dopiero niedawno osiadła we Francji... Poczynił tu pewne inwestycje, rozumiesz, ten człowiek jest naprawdę strasznie mądry... Otóż pan Montvert nie dalej jak wczoraj był u nas na kolacji i dopytywał się o ciebie. Udawał obojętność, ale ja po prostu wiem, że jest tobą zainteresowany! Jego żona ponoć niedomaga i w każdej chwili może przenieść się do wieczności. Jak wiesz, moja droga, w wyższych kręgach o takich sprawach myśli się zawczasu. Pan Montvert ma przepiękny dom w Paryżu i znaczne

wpływy. To on pierwszy posłyszał o twoim powodzeniu, droga Sybillo. Nie potrafię nawet opisać swojej radości, kiedy usłyszałam od niego tę nowinę. Zadawał na twój temat wiele pytań, powiedziałam mu więc: moja kochana kuzynka ma absolutnie nieskazitelny rodowód. Byliśmy razem u Świętego Ducha i choć musiała po dwóch latach opuścić klasztor, sam pan widzi, że nabrała tam wiele oglady...

W tym momencie ciocia Paulina, znajdująca się poza zasięgiem wzroku Mateliny, wydała złowieszczy pomruk.

— Pytał, czy nie miałaś powołania do życia w zakonie — trajkotała dalej Matelina. — Powiedziałam, że oczywiście twoja rodzina zaaranżowała zaręczyny z Teobaldem Villasse'em, bardzo bogatym właścicielem ziemskim. Zdziwił się, że będąc zaręczoną udajesz się na dwór. Ja na to: pan Villasse nie będzie miał obiekcji, bo jest tak bardzo chory, że w ogóle nie opuszcza komnaty, choć nie wiem, co mu dolega; słyszałam tylko, że przez własną nieuwagę postrzelił się na polowaniu i próbuje utrzymać to w tajemnicy...

Obie z ciocią zamarłyśmy.

— A więc Teobald wciąż... eee... hm... miewa się lepiej, mam nadzieję? — wyjąkałam.

— Chyba tak, choć przypuszczam, że omal nie umarł ze wstydu. Pan Montvert powiedział tylko: „To dla niej dogodna sytuacja”. Bardzo powściągliwie, jak to on, ale jestem pewna, że wkrótce złożymy wam wizytę. Podobno jest niezmiernie hojny, wspiera przytułki i ubogich i takie tam, same wiecie, a ten jego syn utracjusz... Ileż on władował w niego pieniędzy! Wciąż studiuje, to tu, to tam, i nie ma temu końca! Mój mąż powiada, że Mikołaj Montvert to urodzony nicpoń. Ojciec jest dla niego zbyt wyrozumiały. To naprawdę święty człowiek! Mój mąż mówi, że gdyby jego syn zachowywał się w ten sposób, kazałby go zamknąć w Bastylii. Jak więc widzisz, pan Montvert obdarzony został przez naturę wielkodusznym, dobrotliwym usposobieniem. To idealny kandydat dla panny, która... hm... Zresztą musisz przyznać, że choć pan Montvert ma już swoje lata, jest o wiele bardziej dystyngowany od Villasse'a. Poza tym na dworze damy i tak mają adoratorów. Chcę powiedzieć, że być może poznasz tam kogoś wyższej rangi, ale na razie... to znaczy, nie byłoby trudno pozbyć się Montverta, gdybyś trafiła lepiej...

— Droga Matelino — głos cioci Pauliny ociekał miodem — na pewno zechcesz zostać nieco dłużej i poznać mego kuzyna, opata Dufoura, który będzie tu dzisiaj, bo chcę mu przekazać datek dla jego leprozorium?

— Jego... eee... czego?
— Na pewno słyszałaś o szpitalu pod wezwaniem świętego Łazarza? Opat to prawdziwy święty. Sama się przekonasz, że rozmowa z nim jest bardzo budująca. Wiesz, że sam obmywa rany trędowatych?

— To... to... to wspaniałe, takie... szlachetne, takie... wielkoduszne... Mam nadzieję, że uda mi się z nim spotkać następnym razem. Od dawna już nie miałam przyjemności rozmawiać z prawdziwie świętą osobą. Ludzie dziś są tacy płytki! Och, Sybillo, muszę cię ucałować, tak bardzo się za tobą stęskniłam! — Kuzynka Matelina, nie usiadłszy nawet na chwilę, przycisnęła mnie do obleczonego aksamitem łona, cmoknęła i pierzchła, pozostawiając za sobą obłok pachnidła o aromacie bzu.

— Zjadła wszystkie wiśnie — zauważyła ciocia, nie ruszając się od stołu.

— Och, ciociu, a więc on jednak żyje! Co ja mam zrobić? Z dwójga złego wolałam już być morderczynią! — załkałam.

— Co masz zrobić? Zagrać z opatem w warcaby. Jesteś w tym lepsza ode mnie. Ja będę zaglądać ci przez ramię i czynić złośliwe uwagi. Wolę to nawet niż samą grę, bo w ten sposób nie grozi mi przegrana. A potem opat doradzi nam jakiegoś dobrego prawnika. Zdaje się, że właśnie słyszę jego kroki za drzwiami.

Wyjaśnijmy jedno: opatowi Dufourowi nawet przez myśl by nie przeszło mycie trędowatych, albowiem tego rodzaju zbożne czyny zakłóciłyby mu studia nad cyklem życiowym rzadkich ciekawych roślin, jak również poszukiwania przejawów woli Bożej w *lusum naturae*, lekturę dzieł Ojców Kościoła o istocie życia pozagrobowego, a przede wszystkim pracę nad poświęconą życiu żółwi potężną monografią, która miała zadziwić świat uczonych naturalistów. Zresztą gdyby nawet zajął się trędem, to wyłącznie w teorii, dotkniętych nim nieszczęśników uważając za obiekty wulgarne i niegodne jego uwagi. Ten szczupłutki, mały człowieczek, garbaty i anemiczny, czarował damy swą błyskotliwą wymową oraz całkowitą obojętnością dla wszelkich spraw praktycznych, które zwykł pozostawiać płci niewieściej. Jedynie w kwestiach dotyczących bezpośrednio jego osobistej wygody wykazywał się szczegółową wiedzą praktyczną. Dzięki temu gdy w końcu wyruszyliśmy w ową wielką i brzemionną w skutki podróż, okazało się, że opat zna idealne miejsca na nocleg — w tym klasztor, gdzie kucharz był jego osobistym przyjacielem, oraz świetną gospodę w Paryżu na lewym brzegu Sekwany, dosłownie tuż obok kilku kramów z księgami, które lubił odwiedzać.

Opat był cudownym towarzyszem podróży. Nie przeszkadzało mu powolne tempo ozdobnej kolebki zawieszanej na pasach między dwoma wielkimi siwkami, Florą i Kapitanem. Co jakiś czas wołał, byśmy odsunęły firanki i rzykując zabójczy dotyk słońca obejrzały ten czy ów ciekawy widok. Jeśli promienie Złego Dysku nachylały się w pożądanym kierunku, ciocia unosiła firankę po cienistej stronie i wtedy opat bawił nas zajmującymi opowieściami o słynnych rozbójnikach ujętych właśnie na tym pagórku, czy o, w tamtym widocznym w dali lesie, albo o włochatych potworach, które — jak się później okazało — należały do ludzkiej rasy, a schwytano je o, tam, za tymi domkami u stóp wzgórza...

— Teofilu, dlaczego się zatrzymujemy? Czy jesteśmy już w gospodzie?

Przed wjazdem w obręb murów Paryża przez bramę Świętego Jakuba zrobiliśmy krótki postój, by odetchnąć świeżym powietrzem. Teraz trzęsiliśmy się w ciemnej, pełnej kurzu kolebce, a zewsząd dobiegały naszych uszu fascynujące odgłosy obcego miasta: krzyki ulicznych przekupniów, nawoływania kobiet z wyższych pięter domów, piski bawiących się dzieci. Odczułam wielką ulgę, gdy ciocia rozsunęła zasłony, żeby zawołać opata, który jechał obok na długonogim gniadym mule.

— Gospoda jest o wiele dalej, droga kuzynko — odparł, nachylając się z siodła do okna kolebki. — Obawiam się, że studenckie rozruchy zablokowały nam drogę. Młodzież w tej dzielnicy nigdy nie siedzi cicho.

— Jesteśmy już w Paryżu? Otwórzcie kuferek, chcę zobaczyć miasto — dobiegł stłumiony głos spod wyścielających ławkę poduszek.

— Wykluczone — odparła stanowczo ciocia, opuszczając firankę i zaglądając pod swój rozłożysty zadek. — Już i tak mamy dość kłopotów włączając cię ze sobą. Nie muszę na dodatek pokazywać ci widoków.

— Pożalujesz tego — sarknęła głowa w kufrze. — Przywykłem, by traktowano mnie z większym szacunkiem.

— Będziemy musieli jechać inną drogą — dobiegł zza firanek głos opata. — Wyrывая kamienie z bruku... o, jeden właśnie leci! Zdecydowanie trzeba znaleźć inną drogę. Kuzynko, każ zawrócić! Niech twoi ludzie cofną konie w tę uliczkę.

Ciocia Paulina huknęła w kuferek pod siedzeniem jedną białą upierścienioną dłońią, drugą zaś uniosła firankę i zawołała:

— Arnoldzie, Piotrze, kaźcie zawrócić konie zgodnie z poleceniami mojego kuzyna i dopilnujcie, żeby kochany señor Alonzo nie wystraszył się tego piekielnego harmideru.

Pośród wrzasków małej wiezionej w wyścielanej jedwabiem podróżnej klatce, ujadania Gargantui, klekotu podków, brzęku uprząży i pokrzykiwań zbrojnych pachołków cioci, którzy nawracali konie, dobiegające z kuferka utyskiwania nie zwróciły niczyjej uwagi. Chwała Bogu! Jak dotąd udawało nam się zachować nasz sekret w tajemnicy nawet przed poczciwym opatem. Gdy tylko oddamy kufer, pomyślałam, moje życie znów będzie należało do mnie.

W cienie uliczce rozchyliłyśmy firanki, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

— Patrz, ciociu, kram z księgami! Tam, po drugiej stronie, „U Króla Dawida”.

Minęła nas grupka studentów, którzy nieśli słomianą kukłę przyodziałą w profesorską szatę. Niechybnie była to podobizna nie lubianego wykładowcy, mająca *in absentia* tegoż stać się celem grubańskich obelg i pocisków.

— Jutro pokażę wam lepszy kram, „Pod Czterema Żywiołami” — wtrącił opat. — Mają tam więcej ciekawostek.

— Co za brak gustu! — prychnęła z pogardą ciocia Paulina, przyglądając się studentom. — Wyglądają jak obdartusy. Tu t a j z pewnością nie będziemy robić zakupów. Opuść firankę, Sybillo. Widzę, że droga opróżniła się na tyle, byśmy mogli jechać dalej.

Gdy jednak kolebka oddaliła się od centrum zamieszek, nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby znów wyjrzeć na ulicę.

— Oczywiście — mówiła tymczasem ciocia — trzeba ci sprawić jeszcze parę rzeczy...

— Ależ, *ma tante*, przecież mam już tyle sukien...

— Nie sprzeciwiaj mi się, Sybillo. Czuję, jak ogarnia mnie gorączka zakupów. O, na przykład tamten sklepik złotnika wcale nie wygląda tak źle, choć znajduje się w nieeleganckiej dzielnicy... Czekaj, podnieś trochę wyżej tę zasłonę, patrz tam, widzisz? Chyba oszaleję!

— Ależ, ciociu, sama ciocia mówiła...

— Nieważne, co mówiłam! Patrz tam! Rękawicznik! To nie sukien nam trzeba, tylko butów! Rękawiczek!

— Mam przecież rękawiczki, niedawno sama mi ciocia kupiła...

— Nonsens. Słyszę, jak moje pieniądze wyrrywają się na świat Boży. Wołają do mnie, żebym je wydała. Chciałabys odmówić biednej staruszce jedynej przyjemności? O, moje biedne serce, zaraz

dostanę palpacji! Nie powstrzymuj mnie teraz, jeśli nie chcesz mnie zabić!

Powiadam wam: to było tak, jakby ktoś wypuścił tygrysa z klatki.

— Wachlarz! — krzyknęła ciocia, dojrawszy jadącą wierzchem damę z wachlarzem zawieszonym u nadgarstka. — Widziałas wachlarz tej okropnej Mateliny? Ty musisz mieć o wiele ładniejszy! Ach! Patrz! W tamtym kramie mają cudne haftowane pantofle! Muszę mieć takie. Teofilu, kuzynie, stać, stać, zatrzymaj wszystkich! Baptysto, biegnij i natychmiast sprowadź tu szewca! Niech przy niesie te jedwabne pantofelki wyszywane w różyczki, które widzę na półce nad warsztatem! — Ciocia obróciła się do mnie. Jej oczy płonęły szaleństwem. — Sybillo, naucz się nigdy nie tracić okazji, kiedy robisz zakupy. Jeśli wypuścisz coś z rąk, możesz już nigdy tego nie zobaczyć. Wtedy będziesz śniła o tym po nocach. Najlepiej jest kupować od razu.

Byłam nieco zakłopotana i szczerze jej współczułam. Pomyślcie sami: jeśli niewiasta, której pasją są zakupy, spędziła tak wiele czasu zamknięta w czterech ścianach, to naturalne, że dostanie lekkiego bzika znalazłszy się w największym mieście królestwa. Od chwili gdy otrzymałyśmy zaproszenie, ciocia wprost skakała z radości planując wyprawę, pakując i rozpakowując biżuterię, welony, czepce i głośno dając upust swej ucieście, że ojciec, wyzbywszy się praw do mnie, nie będzie miał udziału w moim wyniesieniu. Wysłała do niego nawet urągliwy list, w którym pisała, że choć on się jej wstydzi, jest wystarczająco szacowna dla rodziny królewskiej.

Szewc wyszedł na ulicę niosąc upragnione obuwie i skłonił się przed ciotką. Wychyliła się z kolebki, wzięła jeden pantofel i wciągnęła go na zartretyzowaną stopę, po czym oznajmiła, że leży jak ulał.

— Biorę je. Dobry człowieku, czy masz podobne, tylko bardzo duże? — spytała.

Poczułam, że znów się czerwienię.

— Możemy zrobić je na miarę — rzekł usłużnie szewc. — Niechże łaskawa pani wejdzie obejrzeć nasze najnowsze wyroby, może znajdzie się coś odpowiedniego.

— Kuzynko — próbował interweniować opat — jesteśmy już spóźnieni. Gospoda jest tuż za rogiem... Może później...

— Teofilu, mój drogi, najdroższy kuzynie, bądź aniołem! Jedź naprzód do gospody i załatw wszystko. Baptysto, ty zostań tutaj. Mam zamiar spędzić chwilę w warsztacie tego poczciwego szewca i zamówić parę drobiazgow.

Ignorując tłumek gapiów, który zebrał się wokół, z pomocą dwóch pacholków wygramoliła się z kolebki i niczym statek pod pełnymi żaglami wpłynęła do warsztatu. Ruszyłam za nią. Procesję zamykał lokaj i radośnie merdający ogonem Gargantua. W tłumie rozległy się szepty:

— Patrzcie na tego psa!
— To jeszcze szczeniak.
— O tym właśnie mówię. Już jest wzrostu dorosłego wilczarza. Jaki będzie, kiedy dorośnie?

— Obejrzyj mu łapy. Po łapach zawsze poznać.
— Są prawie takie duże jak nogi tej pannicy. Ciekawe, jaka o n a będzie wielka?

— Mów ciszej, Grzegorzu. Usłyszała cię.

O Boże, pomyślałam, gdybym tylko była satyryczką o ciętym języku, a nie słodką i delikatną poetyczną duszą! Jak bezlitośnie chlałaby ich bicz mej wymowy! Tymczasem jednak marzyłam tylko o tym, by ziemia się rozstała i mnie pochłonęła — nogami naprzód. Co gorsza, wewnętrzny głos szeptał mi, że powinnam się przyzwyczajać, bo życie także w przyszłości nie będzie mi szczeniakiem podobnych upokorzeń. Słowem — jak mawiała matka, kiedy ojciec upił się w towarzystwie — „dama musi umieć znosić takie rzeczy z godnością”.

Matczyne *dictum* przyszło mi na myśl jeszcze raz w gospodzie, gdzie biedny Baptysta, objuczony pakunkami, wpadł prosto na podobnie obładowanego lokaja z prowincji. Kiedy zbierali rozsypane rzeczy, okazało się, że poprzedni lokator nie usunął jeszcze wszystkich swych manatków; lokaj prznosił je właśnie do Hôtel de Sens.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam — powtarzał lokaj.
— Mój pan zachorował i miałem mnóstwo bieganiny.

— Zachorował, he? — Ciocia zagroziła mu drogę swym potężnym ciałem i dla wzmocnienia efektu dźgnęła go laską. — Czy to zaraźliwe? Noga moja nie postanie w izbie, w której była zaraza. Gdzie mój kuzyn? Jak mógł do tego dopuścić! Jeśli nie prowadzę go za rękę, nie potrafi dopilnować najprostszych rzeczy! I dawać mi tu gospodarza! Najchętniej wsadziliby człowieka do izby, z której dopiero co wyniesiono zwłoki! Łajdacy bez czci i wiary! Mów mi tu zaraz, na co zapadł twój pan?

Lokaj wyprostował się z godnością i odparł:

— Mój pan, w i e l k i Nostradamus, nie jest zakaźnie chory!

— Ciekawe, skąd może o tym wiedzieć? — odparowała kąśliwie cioteczka.

Wciągnęłam głowę w ramiona, modląc się, by nikt obcy nie podsłuchał tej rozmowy.

— Wielmożna pani, mój pan jest największym znawcą chorób zakaźnych na całym świecie. Jeśli o n mówi, że to nie zaraza, to nie jest zaraza i już! A teraz wielmożna pani raczy mnie przepuścić.

Od początku miałam wrażenie, że rozpoznaję lokaja. Teraz byłam już pewna: to on pilnował koni wścibskiego medyka, którego spotkałam na drodze do Orleanu.

— Ciociu — szepnęłam — to naprawdę jest sługa mistrza Nostradamusa, tego wielkiego jasnowidza.

— Może sobie być nawet archaniołem Gabrielem. Chcę znać objawy, zanim przestąpię próg tego pokoju.

— To nawrót dawnej dolegliwości mego pana, podagry. Skarży się na bóle w stawach, jakby go kto przypiekał rozpalonym żelazem. Wielmożna pani, ja naprawdę muszę iść...

— Rozpalone żelazo, powiadasz? — Ciocia nie miała najmniejszego zamiaru opuścić laski wpartej w pierś nieszczęsnego sługi. — Podagra tak nie boli. To musi być coś innego.

— Przysięgam, że to podagra.

— Nic podobnego. To mi wygląda na urok. Ale uroki nie są raźliwe. Możesz iść, chłopcze, lecz jeśli twój pan chce, żeby mu uśmierzyć ból, niech po mnie przyśle. W kwestii uroków mogę się uważać za znawczynię. Spędzimy tu najbliższe dwa dni, a potem przenosimy się do Saint-Germain. Mamy posłuchanie u królowej.

— Ciociu — wtrąciłam półgłosem — Nostradamus wie o wszystkim, on widzi przyszłość.

A ona proponuje mu odczynienie uroku, jakby był kmiotkiem nie mającym pojęcia o rzeczach nadprzyrodzonych! Myślałam, że spałę się ze wstydu.

— Wiem, kim jest Nostradamus, Sybillo — ucięła — i wiem, że jest mężczyzną. Mężczyźni nie mają pojęcia o urokach. — To powiedziawszy opuściła laskę i wspierając się na niej weszła z podejrzliwą miną do izby, obwąchując ściany i przeglądając pościel. — Prześcieradła nie były zmieniane — oznajmiła. — Sybillo, biegnij za tym lokajem i powiedz mu, żeby po drodze... A, wróciłeś? Zmieniłeś zdanie co do uroku?

— Muszę zajrzeć do szafy, bo chyba mój pan zostawił w niej... O mój Boże...

Kiedy otworzył szerzej ciężkie drzwi szafy, wszyscy ujrzeliśmy to samo co on. Na wewnętrznej półce materializował się właśnie przekłety kuferek.

— Cholerne plotkary — rozległo się ze środka — nie macie nic innego do roboty, jak tylko przez cały dzień włóczyć się po kramach? Najpierw zanudziłyście mnie prawie na śmierć, a potem zostawiły w kolebce... i to gdzie? W stajni! Z całą mocą stwierdzam, że spodziewam się od was więcej szacunku!

Słyszac dobiegający ze szkatuły głos, obcy lokaj zemdlął.

— Baptysto, przynieś wody — zakomenderowała ciocia. — Zdaje się, że wpadłyśmy w tarapaty. Ciekawe, jak zdołamy kupić milczenie tego sługi. W każdym razie nie możemy go stąd wypuścić bez słowa wyjaśnienia. Ta nieznośna mumia robi nam wstyd w towarzystwie. Doprawdy, Sybillo, co cię podkusiło, żeby otworzyć tę skrzynkę?

— Gadająca skrzynka, powiadasz, Leonie? Jak wyglądała? Otepiąły od opium Nostradamus leżał w jednej z gościnnych

komnat kardynała Karola de Bourbon. Odrzucona na bok kołdra ukazywała jego nagie, opuchnięte nogi podparte zwiniętą narzutą. Stopy z wolna przybierały siny odcień.

— Posrebrzana, bogato zdobiona, a nad zamkiem miała wyryte coś jakby napis, którego nie umiałem odczytać.

— Jeśli to jest to, o czym myślę, Leonie, odczytywanie go byłoby... bardzo nierozsądne.

Prorok mówił powoli i starannie, jak gdyby obawiał się, że wyda z siebie tylko niezrozumiały bełkot. Dla jego sługi wszakże było jasne, że nawet w odurzeniu umysł mistrza jest bystrzejszy niż umysły zwykłych śmiertelników.

— Słowo daję — podjął Leon — wiem, kim jest ta młodsza. To panna, którą spotkaliśmy na drodze pod Orleanem, tylko wystrojona tak, że trudno ją poznać, w aksamitną suknię z jedwabną podszewką. Wydawała się zawstydzona.

— Może ma po temu powód, jeśli była na tyle głupia, aby otworzyć kuferek. Teraz będzie ją prześladował, póki jej nie zabije. Wiedziałem, że jest w niej coś... au!... coś znaczącego. Nie mówiłem ci? Ona trzyma w ręku klucz. Udało jej się wplątać w sam środek jednego z historycznych węzłów Anaela. Dłaczegóż ten nieznośny anioł nie utrzymuje lepszego porządku w swojej szafie? Wtedy znałbym alternatywy. Ów przekłety kufer to brama wprost do piekła. Zdolny jest wciągnąć do otchłani cały kraj. Nic dziwnego, że wciąż miewam te przerażające

wizje. Jakim sposobem mam... och!... ocalić Francję? Ciekawe, gdzie go znalazła... uch, co za ból! Zupełnie niepodobny do podagry. Stopy pieką mnie żywym ogniem, a równocześnie sinieją jak odmrożone. Ooch! teraz serce. Jakby coś miażdżyło mi pierś. Zabierz tę koldrę, przygniata mnie. Nigdy... nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Być może ta stara harpia ma rację. W tej chwili gotów jestem spróbować wszystkiego. Poślij po nią natychmiast, Leonie. Nowe suknie, posłuchanie u królowej... zdaje się, że już zaczęły ścielić sobie życzeniami drogę ku czeluści. Jeśli ta upiorna skrzynka nie straciła swej mocy, wkrótce przejdzie na własność kogoś innego, a świat nie usłyszy więcej o tych dwóch niewiastach. O Boże, co za ból! Gdzie jest opium?

Leon poprawił koldrę i unosząc głowę swego pana znad poduszki, wlał mu łyżką do ust dozę nalewki opiumowej — już ostatnią w butelce. Potem spiesznie udał się do gospody „Pod Świętym Michałem”.

W drugim końcu miasta dwaj bracia Ruggieri siedzieli za zaryglowanymi drzwiami niewielkiej pracowni Wawrzyńca. Na stole leżała woskowa figurka przewiązana w pasie strzępem tkaniny. W kończynach figurki tkwiły długie szpile. Obok stała miska z wodą i płonąca świeca.

— To działa, Wawrzyńcu. Królowa sama mi się skarżyła, że Nostradamus udaje podagrę, aby wykręcić się od wyjazdu do Blois. Podejrzewa, iż stary chce zostać w Paryżu i przyjmować tu klientów... Teraz do wody z nim; poczuje się tak, jakby tonął. A królowa będzie pewna, że symuluje.

— Wykończ go, Kosmo. Im dłużej pozostanie w Paryżu, tym mniej będę miał klientów.

— Nie. Najpierw trzeba go skompromitować. Mam już dość ciągłego: „Nostradamus to, Nostradamus tamto”, jak gdyby był wyrocznią stulecia. Tak mi odpłaciła za moją wierną służbę! Biegnie do każdego nowego szarlatana, o jakim tylko posłyszysz, szukając gwarancji powodzenia! Nie, braciszku, mam zamiar postępować powoli. Przetrimamy go w łóżku i co dzień zgotujemy mu nowe katusze. A potem wsadzimy głowę w płomień i jego mózg stopniowo się roztopi. Kiedy z nim skończę, nikt nawet nie ośmieli się marzyć o zajęciu mojego miejsca.

— Hm — mruknęła ciocia, oglądając posiniałą stopę. — To z całą pewnością nie podagra. To urok. Otacza go wokół, czuję to wyraźnie.

Mistrzu, nie zginęło wam nic osobistego? Włos? Obrzynek paznokcia?

Ale stary prorok był nieprzytomny, dławił się i rzeził, jakby trzymano go pod wodą.

— Sami widzicie, wielmożna pani, jak z nim jest. Pospieszcie się, jeśliście w stanie mu pomóc — rzekł przerażony sługa.

— Baptysto, podaj mi proszek na uroki. Zabieram go w każdą podróż. Sybillo, uderzaj w ten bębenek, który ci dałam.

Baptysta sięgnął do drewnianej skrzynki z mnóstwem zakorkowanych fiolek i podał ciotce naczynko do połowy napelnione jadowicie wyglądającym, zielonobrunatnym proszkiem. Ciotka wzięła w dwa palce szczyptę proszku i rozpyliła ją w powietrzu, jakby soliła olbrzymi gar zupy.

— Uciszcie ten piekielny hałas — odezwał się wielki prorok pry-chając i ocierając twarz, jak gdyby była mokra.

— Ha! — powiedziała ciocia. — Mój proszek jest niezawodny!

— Mam dalej bębnić? — spytałam, bo ręce zaczynały mi już puchnąć. Bębenek był mały, niewiele większy od kielicha i wykonany z ciemnego metalu, złoczonego w barbarzyńskie desenie. Mocno naciągniętą na nim skórę znaczyły złowróżbne brązowe plamy. Palce miałam obolałe od uderzania o krawędź. Hałas był tak drażniący, że nawet wierny Gargantua, który dotąd leżał u mych stóp, zerwał się z żalonym wyciem i czmychnął pod łóżko. Zaczęłam bić nieco delikatniej.

— Głośniej, Sybillo, nie ustawaj. Teraz zajmę się szpilkami.

— Leonie, to twoja wina. Skąd, u licha, wzięła się tu ta okropna jejmość? Czy człowiek nie może ani chwili odpocząć? Mój Boże, ależ mnie głowa boli! Jakby palił ją żywy ogień! Wyrzućcie stąd tę wiedźmę!

— Nie rozumiem tego, Wawrzyńcu. Spójrz, trzymam głowę tuż nad płomieniem, a воск się nie topi.

— Patrz na szpilki! — zawołał młodszy Ruggieri.

Wpychając głowę woskowej lalki głębiej w ogień, Kosma spostrzegł, że szpilki wetknięte w prawą nogę figurki zaczynają się ruszać — najpierw powoli, potem coraz zwawiej. Wreszcie jedna z brzękiem upadła na stół.

— Wetknij ją z powrotem, bracie.

— Nie mogę! Wosk stwardniał jak żelazo!

— Ja to zrobię. — Kosma Ruggieri brutalnie powiódł świecą wzdłuż całej figurki. Zamiast jednak zmiękczyć wosk, płomień objął

tkaninę i buchnął wysoko. Z okrzykiem bólu czarownik upuścił rozgrzaną do czerwoności figurkę na stół. Płomień nagle buchnął jeszcze wyżej, sięgając niemal jego szorstkiej czarnej brody i krzaczystych brwi. Kosma odskoczył.

— Zaslony, bracie, zaslony! Zduś ogień, nim się rozprzestrzenił — Wawrzyniec pospiesznie wylał dzbanek wody na płonąca figurkę, która zamajaczyła jeszcze w kłębach pary, po czym znikła.

— Ten przekłety starzec...

— Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Znalazł antidotum na śmiertelny urok! Wiele bym dał, żeby dowiedzieć się, jak to zrobił.

— Wątpię, czy po ostatnich doświadczeniach zechce ci to zdradzić — rzekł Kosma z westchnieniem. — A więc w ten sposób się go nie pozbedziemy. Muszę wymyślić coś innego.

— Na pewno coś wymyślisz, bracie. Jeszcze nikt nie zdołał przechytryć Ruggierich.

— Byłbym przysiągł, że to podagra. — Nostradamus siedział na łóżku, rozcierając zaróżowioną kostkę. Stopy miał kościste i jak spostrzegłam, niebyt schludnie obcięte paznokcie.

— Na podagrę nic nie umiem poradzić — odparła ciocia, która nie czekając na zaproszenie rozsiała się w nogach łóżka. — Gdybym umiała, sama nie kuśtykałabym o lasce. Ale z urokami radzę sobie świetnie.

— Czy mogę spytać, kto nauczył was, pani, tej... niezwyklej metody? — Prorok z pewną obawą spozierał na wielkie, okryte jedwabnym brokatem i nie skrzepowane gorsetem cielsko cioteczki, na jej nienaturalnie bladą twarz ozdobioną czarnym wąsikiem i zwieńczoną obfitym pękiem ufarbowanych na czarno loków oraz dziwacznym, przesadnie zdobnym czepcem zaprojektowanym osobiście przez ciocię Pauline.

— Pewien afrykański czarownik. Sybillo, czy pamiętasz tego czarnego staruszka w naszymniku z zębów krokodyla? Bębenek należał do niego. Działa za każdym razem. — Ciocia uśmiechnęła się promiennie do wielkiego jasnowidza. — Proszek też przyrządziłam wedle jego recepty. Wieki całe zajęło mi zgromadzenie potrzebnych składników. Pewną roślinę, której za nic nie mogłam zdobyć, zastąpiłam lulkiem czarnym zbieranym o nowiu...

— Podróżowałyście panie po Afryce? — W głosie proroka dał się słyszeć respekt. — Ja byłem tylko w Egipcie. Studiowałem tajemnice mumii, misteria Ozyrysa i sekret Wiecznego Życia. Ale poza tym...

Na obliczu cioteczki odmalowała się zazdrość.

— Zawsze pragnęłam podróżować — westchnęła. — Ale pan Tournet orzekł, że napodróżował się dość za nas oboje. Nigdy nawet na krok nie ruszyłam się z domu. No, owszem, do wód. Byłam aż w Balaruc i Montpellier, ale to nim jeszcze wyszłam za męża...

— A ten czarownik?

— Sam do mnie przyszedł. Za sprawą bębenka, rozumiesz, panie. Mój mąż ścigał pewien statek niewolniczy i tamci pozbyli się balastu wyrzucając wszystkich w łańcuchach za burtę. Bębenek był w kajucie kapitana, widać zatrzymał go sobie na pamiątkę. Wygodny drobiazg, prawda? Nie zajmuje dużo miejsca.

— Zatem, jak rozumiem, recepturę podał wam, pani...

— Duch, oczywiście. Mój dom jest ich pełen, a to przez proceder, którym zajmował się mój zmarły mąż. Jacyż ci mężczyźni są niewrażliwi! Małżonek nigdy nawet ich nie zauważył.

— Ależ, ciotuniu, jakim sposobem Afrykańczyk mógł rozmawiać z ciocią po francusku?

— Nie znał francuskiego, tylko parę słów po portugalsku. Ja też trochę znam ten język, więc jakoś udało nam się dogadać. Zaczął od wywracania mebli, ale gdy postanowiłam wezwać egzorcystę, sam ogłosił rozejm. Zaproponowałam, że będę się co tydzień modlić za te biedne duszyczki, których ciała leżą na dnie oceanu, i od tej pory byliśmy już w jak najlepszych stosunkach.

— Modlicie się, pani, za pogan? — wykrzyknął zdumiony sługa Nostradamusa, który słuchał pilnie, nastawiwszy uszu.

— Tak, i co z tego? — odpaliła ciotunia.

W oczach proroka dostrzegłam błysk zainteresowania i jakby zrozumienie. Ciotunia zdawała się go fascynować jak wieloryb, wulkan albo inne potężne zjawisko naturalne. Prawie czułam jego wzrok badający nas delikatnie niczym czułki owada — najpierw ją, potem mnie. Uznał nas widocznie za ciekawy fenomen. Rumieniłam się ze zmieszania, żałując, że nie mogę zapaść się pod ziemię albo umknąć przez uchylone drzwi.

— Łaskawa pani — rzekł dwornie i z powagą stary doktor — czy mogę się w jakiś sposób odwdziżyć za tę, hm, szczególną przysługę?

Ciotunia zafrasowała się, podniosła laskę opartą o łoże i wskazała nią na mnie. Podwoiłam wysiłki, by zapaść się pod ziemię.

— Ta tu panna jest moją chrzestną córką. Wiedziałam, że to niebiosa nam cię zesłały, mistrzu. Sam wielki Nostradamus! Jak się

zapewne domyślasz, usłyszawszy o rzuconym na ciebie uroku natychmiast skorzystałam z okazji.

— Istotnie, domyślam się — rzekł wyniośle prorok chowając nogi pod kołdrę i kiwając na sługę, aby podał mu szatę.

— Odkąd opuściłam mój dom pełen duchów, czuję się po prostu tak, jakby wyrosły mi skrzydła! Okazje trafiają się na każdym rogu i korzystam z nich! Życie! Splendor! Co krok, gdzie tylko spojrzę! Na przykład pantofle haftowane w różyczki. Kupiłam dwie pary. A potem, rzecz jasna, ty, mistrzu.

— Tylko trochę mniej godny podziwu niż buty. Czuję się zaszczycony, pani.

— Drobiazg — cioteczka machnęła ręką, jakby odganiała muchę. Zapraǳnęłam paść trupem. — Otóż moją Sybillę prześladuje wszędzie ohydna zmumifikowana głowa w wulgarnym posrebrzonym kufierku. O, widzisz, mistrzu? Już jest, właśnie się pojawia tam na skrzyni przy łóżku.

Nostradamus spłoszony zerknął w tamtą stronę i wyraźnie zadrżał.

— Skoro znasz tajemnice wszech czasów — ciągnęła ciocia — pomyślałam, że może wiesz, jak się tego pozbyć. Co noc budzi ją swoim bełkotem i chce spełniać nasze najskrytsze marzenia. Próbowałam wrzucić ją do rzeki, ale zawsze wraca.

— Łaskawa pani, widziałem kiedyś tę głowę. Była w posiadaniu mego starego przyjaciela, którego obecnie nie ma już pośród żywych. To kwintesencja zła. Rozumiem, że ta młoda dama otworzyła skrzynkę i spojrzała mu w twarz?

— Tak właśnie było.

— Widocznie w owym czasie nie miał właściciela. Przyczepia się jak pijawka do pierwszej osoby, która podniesie wieko. Istotnie, może spełniać życzenia, ale każde pociąga za sobą następne, którego skutki będą jeszcze gorsze. Przerażona ofiara wikła się w sieć złych uczynków, wyraża życzenia i wciąż je naprawia, nie śpi po nocach chora z żalu i pragnie już tylko śmierci. A tymczasem głowa nie przestaje kusić, póki za sprawą wyrażonych życzeń i wyrządzonych nimi krzywd nie doprowadzi swego posiadacza do grobu i wiecznego potępienia.

— Jest gorzej, niż myślałam — mruknęła ciotunia. Ze skrzynki dobył się złośliwy, świszczący dźwięk. — Ty tam, cicho bądź! Zasięgam właśnie rady najmądrzejszego człowieka na świecie. Okaż trochę szacunku! — Kilkakrotnie mocno zdzieliła skrzynkę laską.

— Mówiłem ci, żebyś tego nie robiła — odezwał się głos ze skrzynki.

— Nie robiłbym tego na waszym miejscu — rzekł cicho Nostradamus. W oczach malował mu się podziw zmieszany z osłupieniem.

— Hejże, to przecież Michał de Nostre-Dame, ten francuski szczeniak, któremu się zdaje, że wszystko wie najlepiej! Bardziej zrozumiała jest już chyba tylko ten głupiec Salinger. Czy wciąż z uwielbieniem czepiasz się jego szat? Pewnie od czasu gdyśmy się poznali, broda zdążyła ci posiwieć. Starzejesz się, co? Nie chciałbyś zyskać paru dodatkowych lat na swoje studia? Pomyśl, ile dobra mógłbyś sprawić! Michał de Nostre-Dame, zbawca Francji... nie, zbawca ludzkości! To możliwe, Michale. Ale jak wiesz, na wszystko potrzeba czasu. Mogę ci zaofiarować sekret wiecznego życia. Jest autentyczny. Egipski.

— Salinger i ja rozstaliśmy się, Menandrze. I ani mi w głowie życzyć sobie jeszcze czegokolwiek od ciebie. Skosztowałem goryczy z puchara, który nam podsuwasz. Słyszałem też, co zrobiłeś z Józefem.

— Gorycz? Dałem ci tylko to, czego sobie zażyczyłeś. Widocznie nie przemyślałeś dokładnie swoich słów. I na dodatek zniżyłeś się do oszustwa. Pomimo to, stary przyjacielu, znalazłbym dla ciebie jeszcze trochę czasu i tym razem mógłbyś wszystko naprawić. Tym razem... pomyśl, gdybyś żył wiecznie, mógłbyś na własne oczy się przekonać, czy sprawdzą się twoje proroctwa zawarte w „Centuriach”.

— I znów jesteś w błędzie. Na szczęście dla mnie, kiedy w końcu odkryłem Tajemnicę Wieków, jako pierwszą zacząłem zgłębiać Tajemnicę Szczęścia. Dzięki niej zaś dowiedziałem się nie tylko tego, jak wywinąć się z twoich szponów, ale też tego, że nie muszę żyć wiecznie. Spójrz tylko na siebie: zamknięty w kufrze postradałeś władzę nad własnym losem i wiecznie będziesz pokutował za błąd, który popełniłeś prosząc o nieśmiertelność i nie precyzując warunków.

— Wcale nie popełniłem błędu. Jestem bardzo szczęśliwy, gdy ktoś wymawia zakłęcie i mogę spełnić jego pragnienie.

— Pragnienie przesiąknięte trucizną, rozdzierającym bólem wyrzutów sumienia i nie kończącego się żalu.

— Mówiłem ci, że sprawia mi to radość.

— Toż to diabeł wcielony! — mruknęła ciotunia.

— Nie wyrażałyście żadnych życzeń, mam nadzieję? — zaniepokoił się prorok.

— Żadnych. Ani ona, ani ja. Pewnie dlatego to coś włóczy się wszędzie za nami, zamiast tkwić w domu na półce, jak każe przyzwyczajenie.

— W ten właśnie sposób zabija. Nikt precyzyjnie nie wyraża pragnień. A Menander jest nader przebiegły i spełnia je dosłownie. Życzysz sobie pieniędzy? Umiera ukochany krewny, zostawiając ci spadek. Pragniesz miłości? Zaczyna cię adorować jakiś gbur i wkrótce marzysz tylko o tym, by się go pozbyć. Chcesz naprawić życzenie i wpadasz z deszczu pod rynnę. Zrozpaczona, przerażona ofiara ma świadomość, że wolno, lecz nieubłagane pograża się w mocy piekielnej. Czasem ludzie tracą zmysły, rzucają się w przepaść lub w płomień. Sami skazali się na wieczne męki, najpierw na tym świecie, a później na tamtym. To straszny los.

— O Boże — westchnęła ciocia. — Tego się obawiałam. A miałyśmy z Sybillą tyle radości biegając po sklepach!

— Grecy, Rzymianie, Egipcjanie... Menander wlecze za sobą łańcuch nieszczęść ciągnący się od wielu wieków — podjął Nostradamus. — Na jakiś czas zniknął podczas grabieży Rzymu...

— To było jedno z moich najlepszych dzieł — wtrącił ohydny głos z kufra. — Połączyłem sześć sprzecznych życzeń w jedno. Nieźle musiałem się nad tym nagłowić...

— Potem widziałem go w Konstantynopolu. A później słyszałem, że udał się do Wenecji wraz z Józefem Magistrem. Miałem nadzieję, że nie zdoła dotrzeć do Francji.

— Potraktowałam go swoim proszkiem na uroki — wyznała ciocia Paulina.

— Iz jakim rezultatem? — zaciekał się prorok.

— Żebyś mi się nie ważyła tego więcej robić! — odezwała się głowa z kufarka.

— Strasznie kichał — powiedziała.

— Masz pojęcie, co to znaczy kichać w zamkniętej skrzynce? — rzekł Menander Nieśmiertelny. — Podnieś wieko, chcę zobaczyć, jak dziś wygląda wielki Nostradamus. Starzej, jak przypuszczam.

Ruszyłam w stronę skrzynki, lecz jasnowidz rzekł:

— Młoda damo, jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Menander latami będzie na ciebie czyhać. Uderzy w twój najsłabszy punkt, którym w tym wypadku nie jest ani chciwość, ani żądza władzy, lecz współczucie. Chlubisz się swoim miękkim sercem, prawda?

W milczeniu skinęłam głową.

— Wiedząc o tym, Menander będzie chciał cię podejść. Będzie ci kogoś żał, jego albo jakiejś innej osoby, i wtedy zaproponuje ci układ, a ty nie znajdziesz w sobie dość sił, by odmówić. Jedno małe życzenie,

wyrażone w najlepszej na świecie intencji, i otworzą się przed tobą ziejące bramy piekieł. Krok za krokiem pogrążysz się w okrutnych katuszach, a wszystko to za sprawą twoich własnych uczynków. Przez wieki Menander służył chciwym, zawistnym i mściwym. Bez wątpienia ucieszy go ta odmiana.

— Zamilcz, Michale — dobiegło z kufierka.

— Ale... ale ja nic na to nie mogę poradzić. Z natury jestem wrażliwa i współczująca. Bo widzisz, mistrzu, moja poetycka muza...

— Tu przerwał mi złośliwy rehot Menandra.

Nostradamus tylko potrząsnął głową.

— Musisz utwardzić swe serce — rzekł.

— Ale jak mamy się go pozbyć? — zatroskała się ciocia Paulina.

— Spróbujcie go komuś oddać. Najlepiej komuś, kogo nie lubicie, a kto wybiera się w długą podróż morską. Nie wiadomo, jak daleko Menander potrafi przemieszczać się sam. — Nostradamus urwał i westchnął: — Ale też, zważcie, nigdy nie słyszałem, by ktoś oddał go z własnej woli. Uwodzi swych posiadaczy niczym kochanek. Nie potrafią się oprzeć potędze, jaką im oferuje. Cóż, jak dotąd wam się to udało. Oddajcie go, sprawcie, by kto inny spojrzął mu prosto w twarz, a być może zdołacie mu się wymknąć. To jedyny sposób, jaki potrafię wymyślić.

Potężne niczym mistral westchnienie poruszyło wydatnym biustem ciotki Pauliny.

— Któż o zdrowych zmysłach chciałby mieć kuferek z tą przeklętą mumią?

— Byłabyś zdziwiona — wtrąciła głowa.

— Daj mi pantofle, Leonie. Dzięki staraniom tej zacnej damy czuję się dużo lepiej i chciałbym odprowadzić gości do drzwi — rzekł stary prorok.

— Och, nie — jęknął Leon, sięgnąwszy pod łóżko. — Spójrzcie tylko, panie! — Tragicznym gestem uniósł mocno ogryzioną podszewę.

— Droga panno, ten pies zjadł mi kapcie — rzekł z rozdrażnieniem Nostradamus, przyglądając się smętnym szczątkom.

Gargantua, podobnie jak wszystkie psy, gdy czują, że się o nich mówi, zrobił zadowoloną minę, przewrócił się na grzbiet i sapnął, domagając się pieszczot. Z roztargnieniem podrapałam go po dużym, piegowatym brzuchu, lecz zamarłam widząc ostrzegawcze spojrzenie proroka.

— Zaraz pójdziemy kupić inną parę — zarządziła ciocia. — Sybillo, może pošlemy po tego poczciwego szewca, żeby wziął miarę z nóg doktora? Nie, to będzie za długo trwało. Potrzebny nam gotowy wyrób. Chwileczkę, wczoraj widziałam pantofle z marokańskiej skóry po bardzo przystępnej cenie...

— Tylko bez haftów — zastrzegł się prorok. — Jestem skromnym człowiekiem o prostych upodobaniach.

ROZDZIAŁ XIII

Kosma Ruggieri wziął pożyczony aksamitny kubrak, tu i ówdzie nieco poplamiony farbami, i w takim to przebraniu wyruszył do Hôtel de Sens, aby osobiście się przekonać, jakim sposobem ofiara jego czarów uniknęła śmierci. Jednakże pod bramą rezydencji sam omal nie został stratowany na śmierć przez tłum ludzi dobijających się do proroka po wróżbę.

— Na dziś to już wszyscy! — krzyknął odźwierny. — Mistrz musi się zdrzemnąć, żeby odzyskać siły.

— Powiedz mu, że pani de Bellièvre chce zamówić horoskop!

Pod bramę przepchnął się rozgorączkowany, okryty kurzem chłopek, wołając:

— Przepuść mnie natychmiast, jestem paziem króla.

— A ja jestem umówiony — wpadł mu w słowo Ruggieri mając nadzieję wejść, kiedy brama otworzy się przed paziem.

— Mistrz nie ma dziś żadnych umówionych spotkań.

Dzięki Bogu za ten stary kubrak, pomyślał Ruggieri i rzekł:

— Nie przyszedłem po horoskop, ale by malować portret mistrza na rozkaz królowej.

Strażnik obrzucił wzrokiem poplamioną farbami szatę, tanią jaskrawą czapkę z wystrzępionym piórem, znoszony, nicowany płaszcz z zielonej wełny oraz kuferek zawierający trucizny i magiczne utensylia, który wszakże wziął za kasetę z farbami. Po namyśle wpuścił Kosmę w ślad za paziem.

Błądząc w długich korytarzach i zaglądając do nie znanych pomieszczeń, Ruggieri w końcu odnalazł komnatę proroka, do której wciąż dobijał się zakurzony paż. Drzwi uchylily się nieco, lecz wyrosła w nich masywna postać sługi. Z głębi dobiegł znużony głos Nostradamusa:

— Doprawdy, paziu, po co tyle hałasu o zgubionego psa? Rozejrzyj się na orleańskim gościńcu, a znajdziesz go tam, wiedzionego na smyczy.

A to dopiero!, pomyślał Ruggieri. Nawet nie spojrzął na chłopca ani nie spytał, z czym przybywa. Niemożliwe! To na pewno z góry uknuta sztuczka.

Gdy oszołomiony paż zawrócił do wyjścia, głos ozwał się ponownie:

— Przestań czaić się za drzwiami, synu starego Kosmy. Duch objawił mi, że przyjdiesz tu dziś, by mnie nękać. Albo idź precz, albo wejdź, przedstaw się grzecznie i usiądź. Chciałeś sprawdzić, dlaczego twój urok nie podziałał?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, mistrzu — rzekł czarownik, przyjmując zaproszenie.

— A więc tak sforsowałeś bramę — rzekł Nostradamus, przyglądając się jego szatom. — To niezbyt uprzejme, starać się kogoś wyprowadzić na tamten świat jeszcze przed złożeniem mu uszanowania. — Stary prorok siedział na krześle z wysokim oparciem za stołem zarzuconym horoskopami, tablicami i różnymi przyrządami pomocnymi w czytaniu przyszłości. Podagryczną stopę opartą miał na wyściełanym stoleczku.

— Skąd wiedziałeś, że to ja? — spytał Ruggieri.

— Ostatecznie jestem jasnowidzem — odparł spokojnie Nostradamus. — Trudno cię z kimkolwiek pomylić. Wyglądasz kropka w kropkę tak samo jak twój ojciec, kiedy był w tym wieku. Ponadto to ty straciłbyś chleb, gdybym został oficjalnym astrologiem królowej. Któż więc bardziej pragnąłby mojej śmierci?

— Ten łajdak Simeoni — rzekł pospiesznie Ruggieri. — Nie masz pojęcia, jaki potrafi być zawistny.

— Simeoni nie umie przewidzieć deszczu w pochmurny dzień. Słyszałeś, jak stawiając horoskop księciu Mediolanu umieścił Księżyc w domu Jowisza, bo pomylił go z plamą inkaustu?

— Ha! To cały on! — zaśmiał się Ruggieri myśląc: „Podejdź go. Wciągnij do rozmowy. Zacznie się chępić i zdradzi sekret. Każdy tak robi.” Głośno zaś dodał: — Nawet dziecko go przewyższy. Ale mnie nikt nie pokona, ani w jasnowidzeniu, ani w arkanach magu.

Kątem oka dostrzegł, że Nostradamus przygląda mu się, taksuje go wzrokiem. Teraz powie, pomyślał. Nie zdoła się oprzeć pokusie.

— Obawiam się, że jednak zdołałem cię przechytrzyć. Ale oczywiście to było proste. Skorzystałem z pomocy Menandra Nieśmiertelnego.

— Nostradamus uśmiechnął się tajemniczo, wiedząc, że do prowadzi tym Ruggieriego do szału.

— Masz... masz tę skrzynkę? Jest moja! To ja po nią posłałem. Oddaj mi ją!

— Niestety, nie mam jej — odrzekł stary prorok. — Znajduje się w posiadaniu pewnej młodej damy, która nawet nie wie, co ma.

— Otworzyła kuferek?

— Naturalnie, że nie. Nie mogła sforsować zamka. Przyniosła skrzynkę do mnie, żebym za pomocą moich nadnaturalnych zdolności odkrył, co jest w środku. Powiedziałem jej, że to rzecz bez wartości, niewarta zachodu. — Zerkając na sufit, jak gdyby w zamyśleniu, przebiegły doktor dodał: — Podejrzewam, że chętnie ci ją sprzeda, jeśli tylko poprosisz. Zatrzymała się w dość drogim zajeździe „Pod Świętym Michałem”, a sądząc po tym, ile wydaje u różnych kramarzy, wkrótce zabraknie jej pieniędzy.

Ruggieri obrócił się na pięcie i bez pożegnania wypadł z komnaty. Nostradamus zwrócił się do swego sługi:

— Leonie, spiesz do pani Tournet i powiedz jej, żeby umieściła kuferek gdzieś w widocznym miejscu, natomiast dobrze schowały bizuterię. Królewski astrolog uda się tam wkrótce na złodziejską wyprawę.

— Przecież mówiłeś mi, mistrzu, że może kupić tę skrzynkę.

— Jeśli jest choć w części tak podstępny i pozbawiony skrupułów jak jego ojciec, nawet przez myśl mu nie przejdzie, by zapłacić. Wybór najprostszej drogi uwłaczałby jego honorowi. Nie, z pewnością wejdzie nocą przez okno albo wywabi je podstępem z domu. Ten człowiek gotów jest na wszystko, żeby zaoszczędzić choćby miedziaka. Ale teraz już pędź. Nie chcę, by je zaskoczył albo zrobił im krzywdę.

Kiedy Leon pospiesznie opuścił komnatę, z cienia zalegającego w kącie wynurzyła się ciemnoniebieska postać pełna wirujących iskerek.

— No cóż, Anaelu, wracajmy do pracy. Spełniłem dziś dobry uczynek — rzekł Nostradamus, podnosząc ze stołu różdżkę. — Za jednym zamachem przynajmniej na jakiś czas uwolniłem te niemądre damy od pokusy, umożliwiłem Ruggieriemu ściągnięcie na siebie zasłużonego wiecznego potępienia i przy odrobinie szczęścia położyłem kres pisarskiej karierze tej dziewczyny, ratując Francję choćby przed drobną cząstką kiepskich rymów, które sypią się co dnia spod drukarskich pras Paryża i Lyonu.

— Całkiem zyczne pociągnięcie — przyznał duch dziejów.

— Nie wiesz może, co z tego wszystkiego wyniknie? — spytał prok.

— Owszem, całkiem niedawno znalazłem w szafie koniec tej historii i odłożyłem go dla ciebie, ale potem gdzieś mi się zawieruszył — odparł duch, szeleszcząc ciemnymi skrzydłami.

Na Pont-au-Change, niedaleko wieży bramnej, która oddziela oblepiony kramami most od Cité, przechodnie przystawali, by podziwiać osobliwy widok: przed sklepem złotnika zatrzymała się jaskrawa kolebka wieszona między dwoma roslymi siwkami. Zza firanki wyłoniła się upierścieniona kobieca dłoń. Na jej skinienie jeden z pół tuzina towarzyszących kolebce lokajów pospieszył, by pomóc pasażerce wysiąść tuż przed drzwiami sklepu.

Wysoki smagły młodzieniec o ostrych rysach, odziany w czarny aksamitny kaftan, w którym dwa guziki były rozpięte, a jednego brakowało w ogóle, również stanął, przyłączając się do gromady gapiów. Na drzwiach kolebki nie było herbu, co pozwalało sądzić, iż jej właścicielka jest miłośnicą jakiegoś wysoko postawionego dworzanina. Ze środka ponownie wynurzyła się czyjaś dłoń, w ślad za nią jedwabny rozcinany rękaw, a nieco później stopa — dość duża i zaraz wstydliwie przysłonięta aksamitnym rąbkiem spódnicy. Młody człowiek ujrzał wysoką królewską postać szczupłej panny, która wysiadła z kolebki na brukowaną ulicę. Serce mu zamarło. To ona! — myślał. Poznałbym ją wszędzie! Moja tragiczna szlachetnie urodzona piękność zmuszona przez okrutny los do grzesznego związku z jakimś podłym, rozwiążym starcem!

Wokół panował ruch i gwar; pchający przed sobą wózek handlarz używanym obuwiem i kobieta sprzedająca pieczone węgorze przekrzykiwali się wzajemnie. W tle słychać było głośny plusk wody łamiącej się na przyczółkach mostu i ciągły hurgot kół mieszczącego się pod mostem młyna, który mielił ziarno dla wszystkich piekarzy w mieście. Zapatrzony młodzieniec trwał jednak pośród dziwnej złotej ciszy. Młoda dama zdawała się lśnić własnym światłem; ukośne promienie słońca otaczały ją nadziemskim nimbem. Boże, ukarż mnie grzesznego, myślał młodzieniec, jest jeszcze piękniejsza, bardziej godna pożądania niż wtedy, gdy widziałem ją na dziedzińcu biskupiej rezydencji w Orleanie. Spójrzcie tylko na nią: ten dumny orli profil na tle aksamitnego kaptura, szlachetna postać, krok lżejszy od stapania lani o poranku... Królowa... nie, cesarzowa! Nikt nie byłby godny

zmiatać prochu sprzed jej stóp, a jednak — aż trudno wymówić te słowa — otacza ją hańba dworskiego romansu.

Ciekawość rosła w nim jak oszalałe dzikie wino, które oplata dom w ciągu jednej nocy. Muszę wykryć, czyją jest faworytą, postanowił. Będę ją śledził. Chcę wiedzieć, z kim się związała. Nie zdołam spokojnie o niej zapomnieć, dopóki nie poznam pobudek jej czynu.

Jego serce ścisnęła żelaznymi szponami nagła, gwałtowna nienawiść do niecnego lubieżnika, który skradł jej młodzieńczą czystość. Ten złowieszczy nastrój został jednak zmaćcony przez zdumiewający widok: czterech stękających lokajów wyciągało z kolebki największą chyba niewiastę na świecie! Niesamowite!, pomyślał młodzieniec, nie mogąc oderwać o niej wzroku. Tuszę niezwyklej damy potęgowały jeszcze niezliczone halki i oszalamiająco zdobna spódnica rozpięta na drewnianych obręczach hiszpańskiej krynoliny. Następnie ukazała się upudrowana i uróżowana twarz, która z pewnością nigdy nie widziała słońca. Wieńczył ją olbrzymi, fantastyczny czepiec z żółtego jedwabiu skrzącego się od paciorków. Każdemu ruchowi towarzyszył szelest sukien i błyski klejnotów. Cóż za dziwaczna jejmość, pomyślał młody człowiek. Te dwie niewiasty stanowiły zaiste przedziwną i niedobraną parę. Dręcząca pokusa, aby je szpiegować, w dwójnasób przybrała na sile. Młodzieniec zaczął się przechadzać od niechcienia, zaglądając do sklepów i udając, że wypatruje kogoś w tłumie. Kilkakrotnie przystanął przed sklepem złotnika i udało mu się rzucić okiem na dobijany wewnątrz targ. Rzecz szczególnie — to nie młoda dama wybierała klejnoty, lecz starsza, jej przyzwoitka. Kiedy wyszły ze sklepu, paplając radośnie, doleciały do niego słowa:

— Krzyż señora Alonza będzie się lepiej prezentował na tym łańcuszku, moja droga. Powinnaś go nosić, dodaje ci szyku.

Señor Alonzo. A zatem jest kochanką cudzoziemca. Gorzej jeszcze: Hiszpana. Wyobraźnia podsunęła mu wizję apartamentu wynajętego przez ambasadora, który nabył i złamał jej serce... Muszę go odnaleźć i wyzwać na pojedynek, pomyślał. Tu idzie o honor Francji. Okryję drania hańbą na udeptanej ziemi, aż czmychnie z podkulonym ogonem do swojej psiarni za Pirenejami. Poczucie, że ma do spełnienia ważką misję, uderzyło mu do głowy. W jej obliczu pierzchył dręczące go resztki wyrzutów sumienia, że szpiegowanie damy jest rzeczą nie całkiem przyzwoitą.

Przed wieczorem znał już ich rękawicznika, trzech szewców, właściciela składu bławatnego i dwóch pasztetników. Odkrył też, że młoda dama ma osobliwą skłonność do czytania dzieł z zakresu

historii naturalnej i z tego to powodu za dwa tygodnie pojawi się w kramie „Pod Czterema Żywiolami”, aby sprawdzić, czy nadeszła już zamówiona przez nią „Historia Animalium”. Ona jest za dobra dla tego Hiszpana, myślał posepnie młodzieniec, wracając do domu swego ojca przy rue de Bailleul. Pochodziła z całkiem przyzwoitej rodziny, jeśli nie brać w rachubę tej trzpiotowatej Mateliny. Co ją do tego popchnęło? Mężczyzna nie może poślubić byłej kochanki Hiszpana, choćby go i zabił. Co mu przyjdzie z pojedynku? Wszystko już stracone, jego życie legło w gruzach. Wyrzucił ją ze swych myśli, powiedział sobie. Ale im bardziej starał się o niej zapomnieć, tym uparciej jawiła mu się otoczona aureolą słonecznych promieni.

— Czy ciocia nie sądzi, że mama będzie zachwycona tą piękną bransoletą, którą dla niej wybrałyśmy? A srebrna grzechotka jest w sam raz dla maleństwa.

Melancholijna zwykle twarz wysokiej dziewczyny, układającej na łóżku świeżo kupione prezenty, promieniała szczęściem. Towarzysząca jej niezwykle tęga, ufarbowana i umalowana starsza dama z westchnieniem opadła na krzesło.

— Ach! Moje nogi! Sybillo, czuję się zupełnie jak za młodu! Ileż się wtedy naśmiałyśmy z twoją matką, biegając po sklepach! Tak żałuję, że nie ma jej tu z nami! Wiesz, wypatrywałyśmy skrycie przystojnych młodzieńców i marzyłyśmy, że kiedyś będziemy mieszkać w pięknych zamkach i składać sobie nawzajem wizyty. A dziś ten tyran, mój brat, nie wypuszcza jej z domu. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego się uparłaś, żeby jemu też kupić prezent. Wcale na niego nie zasłużył. Och! Patrz na stół! Ta okropna skrzynka zniknęła!

— Okno jest otwarte. — Podbiegłam i wyjrzałam na zewnątrz. — Złodziej wdrapał się tu przez balkon, żeby ukraść szkatułę! Nostradamus jest największym prorokiem na świecie! — Zamknęłam okno i odtańczyłam radosny płaś na środku pokoju. Ciocia przyglądała się temu z pobłażliwym uśmiechem.

— Jednego nie rozumiem — powiedziała, opierając bolącą stopę na podnóżku.

— Czego, ciociu?

— Trzy dni temu posłałyśmy do Saint-Germain z wieścią, że jesteśmy w Paryżu, gotowe przybyć na dwór. Do tej pory powinnaś już dostać odpowiedź. Musimy zawczasu znać termin, żeby opat pojechał przodem i znalazł dla nas pokoje w miasteczku. Cała ta

sprawa zaczyna mi się wydawać podejrzana. Może królowa zmieniła zdanie?

— Mamy przecież list, *ma tante*, w którym wyraźnie napisano, że wiele słyszała o moich wierszach, chce sama je przeczytać i poznać autorkę.

— Owszem, ale posłaniec mówił też o kufierku, którym interesuje się królowa. Dobrze wiemy, jakim. Zaraz, zaraz... Co mówił ów Leon, że kto zechce ją ukraść? Mistrz Kosma, astrolog królowej. Obawiam się, że wplątałyśmy się w niezły galimatias, Sybillo, i to nie z powodu twojej poezji.

— Ależ królowa nie wynajmowałaby złodzieja, kiedy chętnie oddałybyśmy jej Menandra.

— Tak, ale więcej osób na dworze mogło wiedzieć, że go mamy. Prosiłam, żebyś nikomu o tym nie wspominała. Czy ta twoja kuzynka-plotkara niczego nie zwierzyła?

— To wykluczone, ciociu. Nie pisałam nikomu ani słówka. Martwi mnie tylko myśl, że moja sztuka zyska zasłużony poklask wyłącznie z tej przyczyny, iż przypadkiem weszłam w posiadanie zmumifikowanej głowy.

— Hm, coś się jednak dzieje... Ciekawe, kto jeszcze wie o tobie i Menandrze? Mam nadzieję, że nie wpadną na to, w jaki sposób można ci go odebrać...

— Chcesz powiedzieć, że jeśli skradziono go na dobre, zaproszenie zostanie odwołane, a my ze wstydem odjedziemy do Orleanu z pokazowymi egzemplarzami moich wierszy? Jeśli zaś Menander wróci, moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, czy tak?

— Mniej więcej to właśnie miałam na myśli.

— Szczerze mówiąc, ciociu, nie wiem, co gorsze. Czy wie ciocia, jak ojciec będzie ze mnie szydził? Gdyby do tego doszło, wolałabym paść trupem.

— A mnie ani to, ani to nie odpowiada. Muszę coś wymyślić. Chyba jeszcze raz poradzę się mistrza Nostradamusa. Ten człowiek najwyraźniej sporo wie o zwyczajach Menandra.

— Już z powrotem? — zdziwił się właściciel „Czterech Żywiołów”.
— Książki jeszcze nie ma. Jej też nie.

Dzwonek u drzwi brzęknął ponownie i do kramu weszli dwaj alchemicy po uszy zatopieni w rozmowie. Okiennica, opuszczana poziomo jak półka obok drzwi, była otwarta, dzięki czemu do środka wpadało światło i powietrze, a przechodzący studenci i uczeni doktorzy z

Dzielnicy Łacińskiej mogli dojrzeć kuszący zbiór ksiąg wystawiony za kontuarem.

— Szukam... szukam traktatu Marozza o szermierce... „Opera Nova” — rzekł Mikołaj Montvert.

— Chcesz kupić czy przekartkować? — spytał rzeczowo mistrz Lenormand.

— Kupić, gdy tylko ojciec przydzieli mi fundusze.

Księgarz prychnął wzgardliwie.

— Nie zadzieraj tak nosa — obruszył się Mikołaj. — Lada chwila spodziewam się zapłaty od Achillesa. Mogę kupić tę i inne książki gdzie indziej...

— Zaciągnąwszy wprzód u mnie tak olbrzymi kredyt? Waham się, czy nie donieść twemu ojcu, że dla pieniędzy partnerujesz młodym utracjuszom w nielegalnej szkole fechtunku...

— Wtedy ojciec pośle mnie do Bastylii i już nigdy więcej nic u ciebie nie kupię.

— No, no, nie obrażaj się — rzekł stary księgarz. — Wiesz, że mam miękkie serce.

— Właściwie powinieneś zabiegać o moje względy — oznajmił Mikołaj wertując zdjęte z półki poszukiwane dzieło o nowej włoskiej technice szermierczej. — Pewnego dnia stanę się sławny, a wtedy tłumy będą walić do tej nory tylko dlatego, że raz czytałem tu Marozza...

— Odlóż ją. Brudzisz karty.

— Patrz tutaj: Marozzo popełnia kardynalny błąd opisując dolną zastawę. Moja książka będzie o wiele lepsza. Sprzedasz dziesiątki egzemplarzy.

— Twojej książki jeszcze nie ma, młodziku. Chcesz przewyższyć sławnego Marozza? Najpierw napisz to swoje dzieło i znajdź wydawcę.

— No... wkrótce ją skończę. Już niedługo. Właściwie już prawie skończyłem. Jestem pewien, że każdy dobry drukarz będzie się ubiegał o możliwość wydania tak genialnej *summy* sztuki szermierczej, jaką będzie moja książka...

— Mikołaju, Mikołaju, wysłuchaj rady starego: naucz się zawodu, do którego przeznaczył cię ojciec. Przyłóż się do nauki, spraw mu przyjemność. To nie jest zły człowiek i chce dla ciebie jak najlepiej. Prowadzając się z tymi typami spod ciemnej gwiazdy złamiesz mu serce, gdy któregoś dnia znajdą twoje zwłoki w zaułku. Syn powinien iść w ślady ojca, tak już urządzony jest ten świat. Nie pchaj się więc tam, gdzie nie twoje miejsce.

— Mam zostać bankierem? Ale wtedy... wtedy nie mógłbym nawet na nią spojrzeć. Ona stoi o tyle wyżej niż ja, mistrzu. Nie mogę żyć w błocie, jeśli chcę sięgnąć gwiazd. Muszę stać się sławny, i to prędko. Sławny i bogaty.

— Raczej okryty hańbą i martwy — mruknął stary księgarz, patrząc, jak Mikołaj wychodzi ze sklepu na wąską ruchliwą ulicę. Potem odwrócił się i odłożył książkę na półkę.

Pani Gondi znów stała na straży pod drzwiami komnaty na poddaszu, w której królowa Francji konferowała ze swym astrologiem. Gdy znaleźli się sami, Ruggieri teatralnym gestem zdjął jedwabną chustę ze skrzynki stojącej wśród rozmaitych fiolek na stole pod pochyłym stropem. Nawet w samo południe mała izba była pogrążona w mroku; śmierzdzało w niej kurzem i wyschniętymi zwłokami szczurów, otrutych i padłych pod podłogą. Na ścianach wisiało kilka wykresów astrologicznych, nad kominkiem widniał wymalowany na czerwono znak Asmodeusza, pod jego okapem zaś stał ceglany atanor, którego wylot niknął w większym kominie paleniska.

— Moja królowo — rzekł Ruggieri — nie oszczędziłem sił ani kosztów, by zdobyć dla ciebie ten skarb.

Ukrywając pożądlivość, Katarzyna Medycejska zerknęła na posrebrzaną szkatułę pokrytą dziwnymi znakami, a potem na złośliwą, triumfującą minę swego wróżbity. Leciutki, prawie niedostrzegalny uśmiešek wykrzywił jej kącik ust.

— Chcesz powiedzieć, że ukradłeś go czarownicy? Zmyślnie, Kosmo, zmyślnie. Najwidoczniej nie ma ona mocy wartej mej uwagi, skoro tak łatwo ją przechytrzyłeś. Na próżno więc ubiegałaby się o me łaski. Ty zaś jesteś górą.

— Wasza wysokość, niczego nie mogę przed tobą ukryć. Jesteś najmądrzejszą i najbardziej przenikliwą kobietą w tym królestwie.

— A teraz będę także najgoręcej kochaną. Otwórz szkatułę, Kosmo.

— Żeby czar zadziałał, wasza wysokość musi otworzyć ją sama — rzekł astrolog, odwracając oczy, gdy królowa sięgnęła do rygła.

— Słodki Jezu, to się rusza! To żyje! O mój Boże! Jakie to upiorne, jakie brzydkie! — wykrzyknęła.

Łuszczące się wyschnięte wargi poruszyły się, odsłaniając żółte zepsute zęby. Pomarszczona powieka drgnęła i w głębi nadgniętego oczodołu złośliwie błysnęło żywe oko.

— No, aż tak śliczna to ty znów nie jesteś — rzekł Menander Nieśmiertelny.

— Ko...Kosmo, powiedz mi, czego chcę — wyjąkała Katarzyna, która w tym okresie swego życia nie była jeszcze tak obeznana z magią, by zachować spokój w obliczu niewyobrażalnej grozy. Niesamowity ssący dźwięk pulsował wokół niej, jak gdyby samo Piekło ciągnęło ją za spódnicę, za długie haftowane złotem rękawy, za serce.

— Nie chcę zabić diuszesy, Kosmo. Chcę, żeby żyła i patrzyła na mój triumf. Chcę...

Skrzynka nagle zbladła, stała się przezroczysta i zaczęła znikać.

— Moja szkatuła! Magiczna głowa ucieka! — krzyknęła królowa.

— Chętnie bym spełnił twe życzenie — powiedziała ledwie już widoczna głowa — ale tęsknią za mną w domu.

— Gdzie? — zakrzyknął rozpaczliwie astrolog, przerażony tajemniczym znikaniem skarbu.

— Moją właścicielką, przynajmniej na razie, jest Sybilla de La Roque — szepnęła słabo głowa i rozplynęła się w powietrzu.

— No cóż, Kosmo, okazuje się, że nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje. Powinnaś była wiedzieć, że mówi przez ciebie zwykła zazdrość, kiedy mi doradzałaś, bym odwlekła spotkanie z tą kobietą. Jest potężniejszą czarownicą od ciebie i nie chciałaś, żebym się o tym dowiedziała. Pewnie przewidziała każdy twój ruch i pozwoliła ci ukraść skarb, żeby w ten sposób dać ci nauczkę.

Kosma Ruggieri zbladł. Co robić? Ma tylu wrogów. Bez protekcji i wsparcia królowej już przepadł. To wszystko jej wina. Przez kogo i dla kogo naraził się tylu osobom? Mógł spokojnie świadczyć drobne a przydatne usługi ludziom z wyższych sfer, ale nie, musiał zostać ofiarą tej wiedźmy. O, niewdzięczności możnych! Odtrącają od siebie wierne sługi dla salonowych sztuczek, takich jak gadająca z mumifikowana głowa. Pewnie i tak wcale nie spełnia życzeń. To wszystko kłamstwo, oszustwo ukartowane przez tę nieznaną czarownicę.

— Nawet nie próbuj jej otruć, Kosmo. Jeśli będzie uległa, zatrzymam ją przy sobie, żeby głowa zawsze była do mojej dyspozycji i nie wpadła w niepowołane ręce. W ten sposób niebezpieczeństwo związane z jej posiadaniem spadnie na czarownicę, a tylko ja będę mogła wypowiadać życzenia. Chcę odzyskać magiczną głowę, Kosmo, a jeśli zabijesz dziewczynę, kuferek równie dobrze może zniknąć na zawsze.

O tym nie pomyślałem, zganił się w duchu Kosma. Musiałbym być przy niej, kiedy wyzionie ducha, a tu mogą wyniknąć problemy...

— Patrz mi w oczy, robaku. Widzę twoje myśli, nie staraj się więc wystrychnąć mnie na dudka. Jeśli nie dostanę tej głowy, każę ściąć twoją i wtedy się okaże, czy prawdą jest przepowiednia o mojej rzekomej śmierci. Mogę kazać innemu czarownikowi zdjąć urok, a jeszcze lepiej dzięki magicznej głowie zniweczyć go jednym prostym życzeniem. Gdy tymczasem tobie już nic nie pomoże. Zachowuj się więc przyzwoicie, bo każę cię zamknąć w lochu i morzyć głodem, aż będziesz żałował, że żyjesz...

— Wielka litościwa pani, wybacz swemu nędznemu słudze — Kosma zalał się krokodylimi łzami i padł na klęczki, by ucałować rąbek łososiowej taftowej spódnicy. — Ja tylko pragnąłem cię zadowolić. Czy widzisz mą wielką rozpacz i cierpienie? Wybacz mi, ach, wybacz, pani!

— Na pewno ci nie wybaczę, jeśli splamisz mi suknię tymi tanimi łzami. Widziałam lepsze w teatrze.

— Żartujesz, śmiejesz się, a zatem wybaczasz. Tak, ja, Kosma Ruggieri Młodszy, jestem twoją zabawką, twoim błaznem. Radość to dla mnie, że moje nieszczęście choć na chwilę cię rozerwie, da wytechnąć od trosk...

— Przestań czołgać się po podłodze, Kosmo. Wiem, o czym myślisz, i wcale mi się to nie podoba. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał: masz być miły dla tej nowej czarownicy i nie rozpylać wokół żadnych proszków... aha, i żadnych śmiertelnych uroków.

— I tak bym nie mógł — naburmuszył się Ruggieri. — Głowa Menandra znosi inne zaklęcia.

— Naprawdę? Co za skarb! Potężniejszy niż moje bezoary. Poślę zaraz gwardzistę po tę pannę i każę jednej z mych najbardziej zaufanych dam, by jej towarzyszyła. Już nie mogę się doczekać...

Niewdzięcznica, myślał Ruggieri patrząc, jak pękata, sztywna postać rażnym krokiem opuszcza jego izbę. Gorzką otrzymałem zapłatę za moją wierność, za moje nieskończone oddanie...

W drzwiach mieszkanka przy rue de la Tisseranderie stanął wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z przepaską na oku. Nawet Beatrycze, przyzwyczajona do rozmaitych opryszków, zaniepokoiła się na jego widok. Skłonność do gwałtownych czynów emanowała z tego człowieka jak ukryty żar.

— Słyszałem o twoim mężu, pani. Czy jest w domu? — spytał.

— Nie... nie w tej chwili. Prowadzisz z nim interesy, panie? — Beatrycze przeraziła się nagle, że ma do czynienia z nasłanym mordercą.

- Słyszę męski głos.
- To brat męża, malarz. Dworski malarz...
- Nie wiedziałem. Proszę mnie wpuścić, zaczekam. Mam sprawę do twojego męża. Podobno handluje czymś, co chciałbym kupić.

Planuje zatem otruć kogoś innego. Co za ulga!, pomyślała Beatrycze, gdy klient minął ją i rozsiadł się na najlepszym krześle w małej izbie.

- Może tymczasem napijesz się wina? — spytała.
- Nie tutaj — zachichotał złośliwie klient.

Zza ściany dobiegł płacz dziecka. Kobieta wyszła, a gość zaczął rozglądać się po izbie. Właśnie się przypatrywał diabelskim znakom nad kominkiem, kiedy w drzwiach pojawił się Wawrzyniec Ruggieri z naręczem paczek.

— Mistrzu — rzekł jednooki, gdy astrolog odłożył pakunki i zwrócił się do niego — słyszałem, że mogę u ciebie nabyć witról.

— I witról — przytaknął Ruggieri — i tuzin innych rzeczy. Domyślam się, że chcesz wyrzucić zemstę na kobiecie?

— Skąd wiesz?

— To proste. Witról jest niezastąpiony w takich sprawach. Twarz jest dla kobiety wszystkim, co posiada, nieprawdaż? Planujesz go użyć osobiście? Jeśli tak, trzeba najpierw sprawdzić kierunek wiatru, podejść blisko i uważać, by ani kropla nie prysnęła na ciebie. Samą wodą witrólu się nie zmyje.

— Nie zamierzam tego robić własnymi rękami. Mogą być świadkowie. Wynajmę kogoś, kogo mistrz mi poleci.

— Znam kilku ludzi, ale każą sobie słono płacić. Jeśli wolisz zaoszczędzić, spróbuj „Pod Czarnym Dżikiem” nad rzeką. Przesiadują tam byli żołnierze, ludzie gotowi na wszystko. Tylko nie płac takiemu z góry. Daj mu połowę, a resztę po wykonaniu zadania.

— Doskonały pomysł. Widzę, że rozmawiam z właściwą osobą.

— Zawsze staram się zadowolić klientów — rzekł Wawrzyniec Ruggieri, wyjmując z zamkniętego na klucz kredensu brązową butelczkę z witrólem. — Pamiętaj: jeśli zdecydujesz się wylać go sam, koniecznie włóż rękawice.

Czubkami drzew poruszał ciepły, leniwy wietrzyk, niosący wszakże ledwie wyczuwalną zapowiedź nadchodzącej jesieni. Z ogrodowego tarasu w Saint-Germain rozciągał się widok na szeroką panoramę rzeki i zamglonych w dali murów i wież Paryża.

— Och, jak tu pięknie — westchnęłam, przystając na chwilę.

Towarzyszyło mi dwóch przystojnych młodzieńców. Jednym z nich był mój wesoly, zuchowaty brat, odziany w długie buty do konnej jazdy, krótkie bufiaste spodnie i żołnierski kaftan. Przez ramię przerzucony miał szkarłatny płaszcz. Od czasu kiedy widziałam go po raz ostatni, urosły mu wąsy — bardziej imponujące w zamyśle niż efekt końcowy.

Mój towarzysz z lewej miał ogniste spojrzenie i znacznie gęstszy zarost. Był to Filip d'Estouville, towarzysz Hannibala w służbie pana de Damville, ulubieniec dam i znany z licznych pojedynków mistrz klingi. Ciemne, gładkie włosy nakryte miał czapką z piórem, spod wysokiego kołnierza kaftana wystawała wąska kryza, kończąca się tuż pod uszami. U boku wisiał mu modny włoski rapier, którego złożona i wymyślnie zdobiona koszowa rękojeść świadczyła zarówno o bogactwie właściciela, jak o jego buńczucznej naturze.

— Poezja! — zaśmiał się Hannibal. — Kto by pomyślał, Sybillo, że twoich wierszy słuchać będą koronowane głowy!

— Jestem pewien, że poezje twojej siostry spodobają mi się natychmiast, tak jak ich autorka — wtrącił gładko Filip.

Zarumieniłam się z radości.

— Mam tylko brudnopis — wyjąkałam — rzecz jasna oprócz rękopisu pokazowego, ale ten będę musiała jutro oddać królowej.

— ...i co za zbieg okoliczności — ciągnął mój brat — że zastaliśmy cię tutaj, przybywszy z Ecouen w eskorcie konetabla i pana de Damville. Możesz odnieść w pałacu wielki sukces, być może nawet zyskać dworską pensję. Kto by się spodziewał, że te twoje gryzmoły wyniosą cię tak wysoko! Kiedy dostałem list od Lauretty, omal nie pękłem ze śmiechu. Prawie słyszałem jej wściekle wrzaski! Oczywiście ja a zawsze życzyłem ci jak najlepiej, ale nie możesz winić Lauretty za to, że ci zazdrości.

— Cieszę się, Hannibalu, że nie zmieniło to niczego w stosunkach między nami. Chyba tylko ty rad jesteś z mojego powodzenia.

— I ja — wtrącił pochlebnie Filip d'Estouville. — Sukces nigdy nie był bardziej zasłużony.

— Jak się miewa Villasse? — zagadnął Hannibal. — Lauretta pisze, że miał wypadek na polowaniu i ledwie się wylizal.

— Ciocia postanowiła zerwać nasze zaręczyny niezależnie od stanu jego zdrowia. Znalazła prawnika, który odkrył, że Villasse spokrewniony jest z dziadkiem przez dalszego kuzyna. Jak wiesz, krewniacy nie mogą zawierać związków małżeńskich, umowa zostanie więc unieważniona. Ciocia mówi, że nie zniósłaby myśli, iż

Villasse wyciąga ręce po jej majątek.

Hannibal został nagle nieco z tyłu i smętnie zapatrzył się w dal. Muszę jednak przyznać, że moją uwagę pochłaniał czarujący oficer.

— Miałem okazję go poznać — rzekł. — Tak nieurodzivy człowiek nie zasługuje na wdzięki pięknej młodej damy. Ponadto Hannibal mówił mi, że jest chciwy.

— Upatrzył sobie winnicę, którą mam po dziadku.

— Nędzną winnicę! Cóż za małostkowość! — prychnął d'Estouville. Z moich oczu musiało chyba powiać mrozem, bo dodał pospiesznie: — Chcę powiedzieć, że mężczyzna powinien widzieć tylko urodę swej wybranki, jeśli kocha prawdziwie. Czy zgadzasz się ze mną, pani?

— Oczywiście, że tak — odparłam z ulgą.

Wieczorem ktoś zapukał do mieszkania, które opat wynajął w miasteczku położonym u stóp zamku.

— Dla panny de La Roque — oznajmił mały paź i wetknął zapieczętowany list w dłoń zaskoczonego opata.

— Co to takiego? — zaciekał się opat.

Złamałam pieczęć. Ciocia oczywiście natychmiast zajrzała mi przez ramię.

— To rondo od pana d'Estouville. Z dedykacją dla mnie. — Czulałam, że się rumienię. Jakież to rozkoszne, gdy skrywane marzenia nagle się spełniają!

— Nigdy nie słyszałam, żeby pisał wiersze — zdziwiła się ciocia.

— Najwyraźniej pisze, bo oto jego wiersz, i to bardzo ładny. Posłuchajcie tylko: „O różo, czerwieniejesz z zawiści, gdy Sybilli mej płonącej oczy...”

— Pewnie zapłacił za to jakiemuś wierszoklecie — prychnęła ciocia.

— Niezły. Wersy dobrze się rymują — stwierdził opat, zaglądając mi przez drugie ramię.

— Tyle uwagi ni stąd, ni zowąd wydaje mi się nieco podejrzanę!

— Ależ, ciociu, przecież dotąd byli z Hannibalem na prowincji — stanęłam w obronie Filipa. — Poza tym to naturalne, że na dworze zawiera się różne znajomości.

— Jasne — dobiegł stłumiony sarkastyczny głos ze stojącego na końcu stołu kufierka. — I oczywiście wcale nie myśli o tym, ile pieniędzy możesz odziedziczyć.

Byłam tak szczęśliwa, że puściłam to mimo uszu.

*

Żona włoskiego majordomusa królowej, pani d'Alamanni, wprowadziła wysoką młodą damę do królowej, bawiącej właśnie w otoczeniu swego dworu. Prawie w centrum komnaty, wyłożonej barwnym wschodnim dywanem, siedziała pogrążona w rozmowie z jedną ze swoich dam diuszesa Valentinois, łatwo rozpoznawalna dzięki charakterystycznym czarno-białym sukniom. Jej oblicze nie było już młode, lecz ściągnięte i jakby zastygłe. Poza nią tylko dwie obecne na sali królowe zajmowały krzesła: rudowłosa królowa Szkocji oraz królowa Francji, usadowiona w rzeźbionym, wyściełanym fotelu przy stole, na którym leżało kilka cennych książek. Prowadzona przez Włoszkę wysoka panna zbliżyła się i skłoniła nisko, a potem wręczyła królowej Katarzynie dwa cienkie tomiki *in quarto* w pięknie wytłaczanych skórzanych oprawach oraz wymyślnie zdobioną srebrną szkatułę.

Siedzące w pobliżu na aksamitnych poduszkach damy słyszały strzępki rozmowy, nie było w nich jednak nic tak niezwykłego, by oderwać je od głównych rozrywek wieczoru: flirtów, muzyki i kart. W kącie komnaty zapomniany poeta czytał hymn pochwalny na cześć boskiej urody czternastoletniej królowej Szkocji. Siedząca na krześle dziewczynka była wysoka – wyższa niż większość Francuzek – i wciąż jeszcze rosła. Dworscy poeci dawno przestali ją porównywać do wrózek i elfów i wzięli na warsztat nieco większe bóstwa. Żony dworaków Katarzyny paplały po włosku o problemach związanych z ząbkowaniem niemowląt, a na skraju dywanu młody dworzanin, poduszczany przez przyjaciół, nieznacznie wsuwał rękę pod spódnice dziewczęcki zajętej żywą rozmową z dwiema kuzynkami, świeżo przybyłymi z prowincji.

— Jestem zaszczycona, mogąc ofiarować je waszej wysokości — powiedziała wysoka panna.

Królowa skinęła głową, wydymając wargi w nieznacznym, lecz triumfalnym uśmiechu.

— Poczzerwieniał i darł się przez całą noc, więc kazałam niani...

— mówiła jedna z włoskich dam dworu.

— Powiadasz, że jest pewien kłopot? Niezbyt poważny, mam nadzieję? — Głos królowej wybił się nieco ponad ogólny rozgwar.

— ...Zęby, które lśnią jak perły Wschodu... — dobiegł z kąta zdarty falset poety.

— Rozpływa się w powietrzu, a mnie uczeplił się jak rzep. Ufam, iż poczuje się zaszczycony, że pragnie go mieć dla siebie tak wysoko postawiona osoba, i to go skłoni do pozostania przy tobie, najjaśniejsza pani...

Królowa pochyliła się do przodu, przenikliwymi oczyma mierząc stojącą przed nią młodą kobietę.

— Ha! Dama Pucharów! Wygrałem! Proszę o nagrodę, moja panno!

— ...Jeśli zatem wraca do ciebie, musimy cię zainstalować przy dworze. Jakies stanowisko, odpowiedni i uległy małżonek... Powiadasz, że ten drugi tomik to nie wiersze?

— Maleńkie dziełko, zatytułowane „Dialog Cnót”.

— Powiedziałaś, tylko jeden! To, że wygrałeś, nie daje ci prawa do więcej niż jednego całusa!

— ...jako twoja protektorka. Głośne czytanie na dworze, a potem wydamy je drukiem — mówiła pobłaźliwie królowa.

— ...a na gorączkę dobre są zimne kompresy...

— Wasza wysokość, wprost nie posiadam się ze szczęścia...

— Świetlista jak młoda Atena, kroczy wśród zgiętych w pokłonie wyznawców tonących w jej blasku... — Poeta czytał dalej, nie przejmując się rozgardiaszem.

— ...wdzięczność i dyskrecja. Będzie to nasz mały sekret — wymruczała królowa Francji.

Z prawej strony dobiegł głośny pisk. Panna, która siedziała zbyt blisko młodego dworzanina, zerwała się nagle oblana szkarłatnym rumieńcem, płacząc z gniewu i zażenowania.

— Jak śmiesz! W mojej obecności... — królowa zmierzyła ją twardym spojrzeniem. — Od tej chwili zakazuję wam obojgu wstępu na dwór.

— Ale... to przecież on... — chlipnęła dziewczyna.

— Powinnaś dostać bity — powiedziała królowa do młodej dworki, a następnie odwróciła się znów ku wysokiej ciemnowłosej poetce. — O czym to... ach, tak, twój „Dialog Cnót”. Chcę wspierać tego rodzaju utwory. Jakież to niezwykle u kobiety! Tak ambitne dzieło. Studiowałaś klasyków?

— Trochę. A także historię naturalną.

— Rozumiem — powiedziała znacząco królowa, myśląc: „Doprawdy, to urocze! Określać okultyzm tym niewinnym terminem.” — Tak... szczególne studia. Być może zechcę od czasu do czasu zasięgnąć u ciebie rady w sprawach związanych z historią naturalną.

Kiedy młoda dama wycofała się pod skrzydła swej nadzwyczaj tegiej, jaskrawo wystrojonej opiekunki, królowa zwróciła się po włosku do pani Gondi:

— Nie przypuszczałam, że pójdzie tak łatwo. Oczywiście dziewczyna wiele ukrywa, ale jasne jest, że wyczuła moją moc ponadzmysłową. My, adepci Tamtej Strony, rozpoznajemy się wzajemnie. To takie uczucie... coś w rodzaju dreszczyka, którego nie sposób pomylić z niczym innym. Jakież to proste: chciała tylko miejsca na dworze i mecenasa dla swej poezji. Dlatego pozwoliła sobie na tę sztukę z moim nowym ślicznym kuferkim. Poetka, kto by pomyślał? Poeci są tacy próżni, łakną pochlebstw jak dzieci słodocy. Tanio można ich kupić. Kilka słów pochwały, co jakiś czas trzosik albo medal i bat w pogotowiu. Tak łatwo jest nimi kierować... — Westchnęła, myśląc o Kosmie Ruggierim. Gdyby pisał poezje, nie zerwałby się ze smyczy. — Pomyśl tylko, Magdaleno — podjęła. — Odzyskałam kuferek i moce tej istoty będą zawsze na moje usługi, a na dodatek Kosma znacznie zmięknie wiedząc, że ta dziewczyna jest strażniczką Menandra.

Posrebrzana szkatuła, stojąca na niskim stoliku obok wysadzanego klejnotami relikwiarza, posążka Madonny z Dzieciątkiem wykonanego z kości słoniowej oraz bogato oprawnego traktatu o świętości małżeństwa, niczym się nie wyróżniała spośród innych darów, jakie złożono dziś królowej. Nikt nie siedział dostatecznie blisko, by słyszeć cichutkie mruczenie dochodzące z kufierka. Złośliwy umysł nie skrepowany zasadami etyki ani żadnymi ludzkimi więzami podśpiewywał z radości, przewidując swe przyszłe złe uczynki.

Kosma Ruggieri sapał wchodząc po zewnętrznych schodach na trzecie piętro do mieszkania brata, prowadzony przez dziewięcioletniego bratanka. W trzosie u pasa miał fiolkę akonityny — szybko i niezawodnie działającego śmiercionośnego ekstraktu z tojadu. Burza cichła; grzmot odzywał się coraz rzadziej, lecz skórzany kaftan Kosmy był już przemoczony na wylot i ciążył mu niemiłosiernie.

— Ojciec kazał, żebyśmy weszli od tyłu, bo od frontu lada moment przyjdzie ten pan. — Chłopiec cicho zaskrobał do tylnych drzwi.

Beatrycze w czepku i wielkim fartuchu ukradkiem wpuściła szwagra do kuchni. W pomieszczeniu unosiły się kłęby pary, pachniało mokrym praniem i kielbasą. Bratowa podsunęła Kosmie stółek i położyła palec na ustach, wskazując otwarte drzwi przesłonięte sznurami rozwieszonych do suszenia pieluch. Wyraźnie słychać było głosy z sąsiedniej izby.

— Ona wciąż się wzbrania mimo twoich zapewnień — denerwował się młody mężczyzna.

— Wynająłeś poetę, którego poleciłem?

— Posłałem jej rondo, trzy sonety i vilanelle, wszystkie bardzo kosztowne, ale wciąż nie chce się ze mną spotkać sam na sam.

— Wypowiedziałeś zakłęcie podczas pełni księżyca? — dobiegł zza pieluszek głos Wawrzyńca.

Kosma ostrożnie wyjął z trzosa niewielką brunatną fiołkę i wręczył ją Beatrycze.

— Wlej to do jednej z tych buteleczek — szepnął, wskazując rząd pustych naczynek z zielonego szkła opatrzonych wyraźnym kanciatym napisem: NAPÓJ MIŁOSNY. — Uważaj, żebyś nie umoczyła rąk.

Beatrycze cicho skinęła głową.

— Muszę mieć lejek — szepnęła i biorąc obie fiołki, brązową i zieloną, zniknęła za obwisłym sznurkiem, na którym suszyły się koszu-
le i dziecięce pończochy.

— Raz w czasie pełni i drugi raz w czasie nowiu — dobiegło z izby.

— Do licha, zatem nawzajem się zniosły. Nie ma innego sposobu, żeby zmusić ją do małżeństwa? — W głosie Wawrzyńca brzmiał rzeczowy profesjonalizm.

Beatrycze wyłoniła się zza sznurka z praniem i w milczeniu wręczyła Kosmie napełnioną fiołkę, konspiracyjnie mrugając. Po twarzy astrologa królowej przemknął nieznaczny uśmiech.

— Ślub musi się odbyć szybko — dobiegł głos zza ściany. — Zano-
si się na wojnę, będzie mi potrzebny nowy napierśnik i hełm odpo-
wiedni do mojej rangi. Pan d'Anelot domaga się, bym wypłacił mu przegraną, a krawiec zwleka z dostarczeniem nowego kaftana. Słowo daję, jeśli będzie dłużej zwlekał, każę go wybatożyć. Nie masz pojęcia, człowiecze, ile trosk mnie trapi. Tymczasem jej ciotka to istna kopalnia pieniędzy. Gdybym zdołał rozkochać pannę w sobie bez pamięci i skompromitować ją, sama będzie mnie błagać, żebym się z nią jak najprędzej ożenił. Potrzebny mi ten wywar. Czy jest już gotowy?

— Chyba tak, zaraz sprawdzę w drugiej izbie. Ale zapłata z góry! Masz gotówkę, młodzieńcze?

— Oczywiście, że tak. Za kogo mnie uważasz?

— Za szlachcica, ni mniej, ni więcej, a ja jestem tylko biednym człowiekiem z gminu i nie najem się obietnicami możnych.

Kosma posłyszał brzęk opróżnianego trzosa. Po chwili do izby wszedł jego brat, nurkując pod rozwieszonymi pieluchami.

— Przyniosłeś? — szepnął.

— Tak. Trzymaj — odparł szeptem Kosma wręczając mu śmiertelną dawkę akonityny w zielonej butelce po wywarze miłosnym.

Trucizna pochodziła z jego własnej pracowni. Stanowiła, rzecz można, jego specjalność i gwarantowała śmierć w ciągu kilku sekund. Wawrzyniec skinął głową, brat odpowiedział mu skinieniem, po czym młodszy Ruggieri zniknął w sąsiedniej izbie. Przez uchylone drzwi dobiegała rozmowa.

— Ktokolwiek to wypije, natychmiast bez pamięci zakocha się w pierwszej osobie, którą zobaczy po obudzeniu.

— Po obudzeniu? A więc ona zaśnie?

— Zapadnie w podobne do śmierci omdlenie. Najważniejsze, żebyś był przy niej, kiedy otworzy oczy.

— Rozumiem... To może być trudne. Jej ciotka to stara jędza, może mnie wyprosić, kiedy panna zemdleje.

— Ach, więc musisz pan podać jej wywar przy świadkach? Tak, to rzeczywiście trudne — rzekł Wawrzyniec. — Zwykle kochanek, hm... poi swoją lubą sam na sam, potem zaś dochodzi do głosu natura, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Panna budzi się zakochana, a co miało się stać, to już się stało.

— Owszem, to kłopot, ale chyba da się go rozwiązać. Muszę zdobyć zaproszenie na obiad i usiąść obok niej.

— Tak, tak, właśnie. Życzę powodzenia, kawalerze. Wkrótce będziesz bogaty.

Znakomicie, pomyślał Kosma, poprawiając się na stolku w kuchni. Kiedy ona umrze, obwinia tego młodzika. Zaśmiał się w duchu na myśl o szlachetnym d'Estouville'u okrywającym pocałunkami trupa w nadziei, że ten zbudzi się rozkochany. Musi się dowiedzieć, kiedy będzie ten obiad, by zacząć się w pobliżu i pochwycić skrzynkę w tej samej chwili, w której dziewczyna wyda ostatnie tchnienie. Przez moment czuł ukłucie obawy, że Wawrzyniec mógłby ucierpieć, gdyby odkryto jego rolę w tej sprawie. Nie ma strachu, rzekł sobie. Kiedy będę miał Pana Wszelkich Życzeń, zażądam, by Wawrzyniec pozostał poza wszelkim podejrzeniem. Ostatecznie od czego ma się braci?

ROZDZIAŁ XIV

W czasie gdy Nostradamus leczył artretyzm w pałacu kardynała de Bourbon, Henryk II przewodniczył Radzie Królewskiej w Saint-Germain-en-Laye. Rozmawiano o wojnie. Zeszłoroczna klęska głodu i chwiejny traktat pokojowy z Filipem II Hiszpańskim zatrzymały armię francuską w granicach kraju. Teraz wszakże naczelny dowódca wojsk Filipa, książę Alba, najechał państwo papieskie, papież zaś zwrócił się do Francji, powołując się na zawarty pakt. Oczekiwał, iż Francja zerwie rozejm z Hiszpanią i wyśle mu na pomoc wojska. Oznaczałoby to wojnę z Filipem, a Filip był nie tylko władcą Hiszpanii, lecz także świętym cesarzem rzymskim oraz — poprzez małżeństwo z Marią Tudor — królem Anglii. Wrogie siły otaczały Francję ze wszystkich stron.

Zasepiony król pochylił się w wysokim rzeźbionym krześle, stojącym na podwyższeniu u szczytu stołu obrad, i rzekł łaskawie:

— Mości panie konetablu, zdałeś nam sprawę z wypadków na ziemiach papieskich. Jak radzisz odpowiedzieć na prośbę Ojca Świętego?

Stary lis Montmorency — pan pośród panów i marszałek dwóch wielkich królów — był również ojcem i potrzebna mu była papieska dyspensa, by ożenić syna z córką Diany de Poitiers. Przemówił jednak wolno i z namysłem, proponując sprytny kompromis:

— Jeśli swymi działaniami książę Alba pogwałcił zawarty w Vaucelles rozejm, to honor Francji wymaga, byśmy wysłali wojska. To wszakże uwikła nas w wielką wojnę z Hiszpanią, a zbiory są marne i trudno będzie ściągnąć podatki. Jeśli jednak wasza wysokość oznajmi, że czyny księcia Alby nie łamią warunków traktatu, nie będziemy musieli wypowiadać wojny cesarstwu. Tak będzie najmańdrzej: utrzymamy pokój, a równocześnie prześlemy papieżowi

fundusze na wystawienie własnej armii.

Twarze braci Gwizjuszów, potężnego diuka Franciszka i kardynała Karola Lotaryńskiego, zbiegły z wściekłości. Wielka szrama znacząca policzek diuka nabiegła krwią. Franciszek zerknął na brata, dając mu znak, że jeden z nich musi zabrać głos.

— Wasza wysokość — odezwał się beznamietnym tonem dyplomaty Karol — honor króla wymaga, byś natychmiast wsparł Ojca Świętego orężem.

Oto mówi księżę Kościoła, ale przede wszystkim Gwizjusz, pomyślał Montmorency. Pod szerokim rękawem szkarłatnej kardynalskiej szaty dostrzegł kurczowo zaciśniętą pięść.

— Jeśli Alba nie wycofa się natychmiast, wasza wysokość musi wypowiedzieć mu wojnę, inaczej okryje się niesławą w oczach papieża i całego świata — poparł brata Franciszek.

— Honor każe nam również dotrzymać rozejmu — wtrącił kone-tabl. — Owszem, musimy pomóc papieżowi, ale tak, by nie łamać traktatu. Wyślijmy mu pieniądze, a nie wojska. W przeciwnym wypadku cesarstwo uderzy na nas z południa i z północy i będziemy mieli wojnę na dwa fronty tuż po kłęsce głodu...

— Musimy ruszyć zbrojnie — oznajmił księżę Brissac. — Królowa Anglii jest starą kobietą, jej kraj został okrojony i spustoszony. Maria nie odważy się wysłać mężowi znaczniejszej pomocy. Cóż więc Filip zdziała na naszej północnej granicy? Nic.

Debata stawała się coraz gorętsza. Konetabl Montmorency pochwycił rzucone mu spod ciężkich powiek ukradkowe spojrzenie Henryka. Wyczuł, że monarcha stopniowo zmienia zdanie. Przegrałem, pomyślał. Jego wpływ na króla malał niczym poziom wina wyciekającego z pękniętej flaszy.

Długo i rozumnie trzymał w rękach wodze chroniąc króla przed zgubnym wpływem Rady. Przebiegle podsunął Henrykowi myśl, aby zażył wywczasu i pozwolił innym zająć się polityką. Ale Rada musiała się w końcu spotkać, a złotouści, przebiegłi Gwizjusze wspierali się wzajemnie, podczas gdy on był sam. Z goryczą przyjrzał się słabeuszom i egoistom siedzącym wokół stołu. Antoni de Bourbon... ten w ogóle nie słucha, o czym mowa, chyba że ktoś napomknie o hiszpańskiej Nawarze. Patrzcie, jak bezmyślnie kiwa głową i zgadza się ze wszystkimi, gładząc tę swoją żalostną kozią bródkę! Patrzcie na nich wszystkich, na tych ślepych głupców!

— Zdecydowałem, że wyślemy wojska — rzekł król. — Ponieważ chcę tylko pomóc papieżowi, nie łamię postanowień rozejmu z Hiszpanią. Dowództwo nad ekspedycją obejmie diuk de Guise, nasz wierny sługa. Musimy podwyższyć daniny, nie bacząc na głód.

I tak oto Gwizjusz zyskał władzę i sławę, pomyślał z goryczą stary konetabl. Francja przegra, ale on nie.

— Wasza wysokość, nie da się wycisnąć krwi z kamienia ani podatków z głodujących — rzekł na głos. — Musimy zwrócić się do włoskich bankierów z Lyonu.

— A któż tak twierdzi? Moja żona? — odciął się król.

— Musimy prosić ich o pomoc, a ona byłaby najlepszym pośrednikiem. Jej rady bywają przydatne.

— Powtarzam: nie chcę, by ta kobieta wtrącała się do rządzenia! Robi to, ilekroć dojrzy choćby najmniejszą szansę. Pojmujesz? Nie chcę nawet słyszeć o jej zaangażowaniu w tę czy jakąkolwiek inną sprawę wagi państwowej. Tron Francji sam opłaca swoje wojny. Rozkażemy, by miasto Paryż dostarczyło więcej pieniędzy...

— Najjaśniejszy panie, parlament może się sprzeciwić...

— Parlament! — syknął kardynał Karol Lotaryński, będący także z rozkazu papieża Wielkim Inkwizytorem królestwa Francji. — Gniazdo heretyków! Każdy z nich jest zdrajcą! Najchętniej kazałbym wszystkich powywieszać!

To się wymyka spod kontroli, myślał Montmorency. Wojna... wojna na dwa fronty, a jeśli jeszcze Gwizjusz dostanie wolną rękę i zacznie wyciskać z parlamentu pieniądze, będziemy na dodatek mieli rewolucję albo wojnę domową na podłożu religijnym. A kto wyłoni się z pożogi? Gwizjusz, jeszcze potężniejszy niż dotychczas. Nie wolno do tego dopuścić. Zajdę ich z flanki, opanuję chaos dla mych własnych celów. Mój syn zdobył sławę jako wódz, a spowinowacony z Dianą de Poitiers...

Bracia Gwizjusze razem opuścili salę Rady. Montmorency szedł sam. Za plecami słyszał hrabiego de Saint-Pol:

— Słyszałeś, wasza miłość, co mówiłem do króla? Kiwnął na to głową, wysłuchał mojej rady. Miażdżący cios, powiadam...

Roztargniony Nawarczyk oczywiście wpadł mu w słowo:

— Słusznie, słusznie... Wasze idee dobrze rokują na przyszłość. Kiedy już wygramy wojnę z Filipem, zażądam ni mniej, ni więcej, tylko zwrotu hiszpańskiej Nawarry pod moje berło...

— Czymże jest cesarstwo? W boju jeden dzielny Francuz pokona tuzin zniewieściałych Hiszpanów...

Jeśli Hiszpanie wypowiedzą nam wojnę, myślał konetabl, mogą jeszcze przechytryć Gwizjuszy. Podczas pertraktacji pokojowych wysunę projekt, by ożenić delfina z hiszpańską księżniczką zamiast z królową Szkocji. Tak, jeszcze nie wszystko stracone, nie wszystko... To ja opanuję chaos, który tu nastanie...

Wieczorem dwaj uzbrojeni po zęby mężczyźni szli wąskimi, błotnistymi uliczkami Paryża. Migotliwe światło pochodni wyluskiwało z mroku tu sklepioną bramę, ówdzie obity malowanymi deskami fronton budynku o zamkniętych szczelnie okiennicach. Była to pora lisów i wilków w ludzkiej skórze — morderców, złodziei, handlarzy odzieżą zdartą z trupów i cnotą upadłych kobiet. Nikt wszakże nie zaczął dwóch przechodniów. Jednym z nich był krzepki stary żołnierz, znany szermierz z najbardziej osławionej szkoły fechtunku w Paryżu. Drugi też zdążył już wyrobić sobie opinię niebezpiecznego przeciwnika. Ponadto mieli przy sobie tylko mandolinę. Nie opłacało się na nich napadać.

— To ta ulica. Ona mieszka przy końcu, za zakrętem — szepnął wyższy mężczyzna.

— Bardzo ładna okolica — odparł krępy żołnierz.

— Mówiłem ci: Alonzo jest bogaty.

— Gdy otworzy okno, co wtedy?

— Rzucę jej liścik.

— A jeżeli nie otworzy okna?

— Otworzy. Musi! To jej jedyna nadzieja na ucieczkę z jego szponów.

— Słyszę coś... Patrz tam, za rogiem, ilu ludzi! Światła i muzyka! Ktoś rozpoczął już serenadę nie czekając na ciebie, Mikołaju.

— Trzy wiole, lutnia, dwa oboje i trąbka... Ona otwiera okno! Co za potworna kakofonia! Zaraz rozpędzę ich na cztery wiatry. Po wrzucam do rzeki! Obrażają Pana Boga, hałasując po nocy!

— Mikołaju, ich jest więcej. Nie bądź głupcem. Wszyscy są uzbrojeni i patrz tam, w cieniu... Widać nie jesteś pierwszym rywalem Alonza!

Pod okapem dachu sąsiedniego budynku stali trzej szlachcice. Najwyraźniej czekali, aby się przekonać, czy serenada zwabi do okna pannę czy jej opiekunkę. Okno się otworzyło i stanęła w nim jasna, wysmukła postać w białej koszuli podświetlonej nikłym blaskiem świec palących się w głębi komnaty. Mikołaj zamarł w zachwycie. Nawet jego towarzysz mruknął coś z podziwem. Jeden z nieznanomych wystąpił do przodu i zaczął deklamować wiersz.

— Ani słowa więcej, skrzeczająca papugo! — Mikołaj wepchnął pochodnię w dłoń swego towarzysza i sięgnął po rapier. — Ta dama jest za mądra, by słuchać twoich tanio kupionych rymów!

Zaskoczeni muzycy przestali grać.

— A cóż ty wiesz o tej damie, synu sprzedajnej dziewczki! — oburzył się obcy, ciskając kartę z wierszem i wyciągając broń z pochwy. — Wymów tylko jej imię, a nadzieję cię na to ostrze jak oskubanego kapłona!

Towarzysz Mikołaja zgaślił obie pochodnie i sam też sięgnął do pasa.

— Ona tobą gardzi, ptasi mózdzku! — krzyknął Mikołaj. Rozległ się szcęk stali; czający się w cieniu ludzie rzucili się na nowo przybyłych.

W tejże chwili uwagę wszystkich przyciągnął dziwny ochrypły wrzask, który dobiegł z okna na piętrze. Kobięcy głos krzyknął: „Señor Alonzo, nie!” i jeszcze coś, czego nie dało się zrozumieć. Przeciwnicy zadarli głowy — po to tylko, by ujrzeć, jak czyjaś ręka zatrząskuje okiennicę.

— Patrz, co narobiłeś! — zawołał szlachcic, ale gdy się rozejrzył, nie zobaczył nikogo oprócz muzykantów i własnych popleczników. Mikołaj i jego druh skorzystali z zamieszania, by rozpląnąć się w mroku.

— To ona krzyczała. Poznałem jej głos. A potem okno się zamknęło. Tam był Alonzo i zemścił się na niej, może ją pobił...

— Mikołaju, słowo daję, to starsza dama wołała „Nie!”, kiedy ostrza poszły w ruch. Panna zemdląła z dziwnym okrzykiem, a jej opiekunka zwracała się do mężczyzny, który stał pod oknem. Ten człowiek z grajkami musiał być Alonzem we własnej osobie. Prawie go miałeś.

— Albo jest ich dwóch — rzekł posepnie Mikołaj. — Ta kanalia na górze i ten dureń na dole. Przysięgam, będę ją śledzić dotąd, aż dowiem się prawdy. I jeszcze tu wrócę, z tobą i z innymi. Czy staniesz za mną, Robercie?

— Tak, bez dwóch zdań. Wykapiemy ich wszystkich w Sekwanie!

— A Alonzo zginie — rzekł Mikołaj. — Mój honor tego wymaga.

— Wojna — powiedziała królowa Francji. — Wojna z cesarstwem. I o co? O próżną chwałę!

Ciężkie rzeźbione drzwi przed chwilą zamknęły się za konetablą. Katarzyna została sama z dwiema zaufanymi damami dworu. Odychała ciężko, trzymając się za serce.

— Już przez trzy noce z rzędu śni mi się krew, upadek i śmierć. Widzę też twarzyczkę mojej córki Elżbiety. Jest blada jak trup! Co to może oznaczać? Król musi iść do Biraques'a, Gondiego, Montverta, do włoskich bankierów. Bez pieniędzy z góry skazany jest na klęskę. Muszę go ubłagać, by wysłuchał moich krwawych snów.

— Ale konetabl mówi, że Gwizjusze nie pozwolą królowi zwrócić się do naszych Włochów — wtrąciła nieśmiało pani d'Elbène. — Mężczyźni myślą, że my, kobiety, nie znamy się na wojnie i na finansach. I chociaż ty, najjaśniejsza pani, posiadasz dar widzenia przyszłości we śnie, oni już ułożyli swoje plany i nikogo nie chcą słuchać.

— Są głusi! Głusi! Mój królewski małżonek szydzi z moich mocy i lekceważy je ku własnej zgubie! Kogo natomiast słucha? Tej zasuszonej, chciwej, rozpychającej się łokciami staruchy, która przesładuje mnie na każdym kroku! Nie mogę przed nią uciec ani w połogu, ani w chorobie! Jest wszędzie, rządzi wszystkim, także królem, jak gdyby była mną, a ja nikim! Gdzie jest teraz mój małżonek? W jej łóżu! I pilnie nastawia ucha!

— Ale z pewnością...

— Owszem, to tak pewne jak śnieg w zimie! Ona mu pochlebia, wyśpiewuje peany o jego odwadze i wbija go w pychę tak, by nie miał ani cienia wątpliwości, iż plany jej krewnych Gwizjuszy przyniosą Francji chwałę i nowe imperium wykrojone z posiadłości hiszpańskich! Znam ją! Już planuje swój triumfalny wjazd do Madrytu! Już kazała poetom układać hymny o zwycięstwie, a malarzom zdobić swoje nowe proporce! Ta kobieta wysysa ze mnie wszystkie siły! Nienawidzę jej każdą cząstką mego ciała!

— Wasza wysokość musi działać rozważnie...

— Powiadomiłam króla o moim śnie. Odpowiedział, że zajmują go sprawy wagi państwowej i nie chce, by mu przeszkadzano. Ale sprawy państwa nie opóźniły jego dzisiejszej wizyty w łóżu diuszesy Valentinis! Hańba! Król naraża tron mojego syna, bo jest w mocy uroku rzuconego przez tę diabolicę. Powiadam ci, ja też mogę paktować z diabłem. — Katarzyna odetchnęła głęboko i dodała: — Lukrecjo, wezwij natychmiast pazia i każ mu sprowadzić z Paryża pannę de La Roque. Niech weźmie swoją czarodziejską szkatułę i będzie tu dziś przed zmrokiem.

Kiedy pani d'Elbène wybiegła szukać gońca, królowa zwróciła się do swej drugiej towarzyszki, pani Gondy:

— Magdaleno, wyjmij czarne świece i moją lnianą szatę. Dziś nie zadowolę się widzeniem przyszłości. Sama ją ukształtuje.

— Ach, wasza miłość...

— Pospiesz się, przecież wydałam ci rozkaz.

— Ale... gdyby najmiłościwsza pani zasięgnęła wpierv rady Nostradamusa, byłoby wiadomo, co z tego wyniknie...

— Wątpisz w moje sny? Czyż w czasie ostatniej ciąży nie śniła mi się czarna zakapturzona postać stojąca nad podwójną kołyską? Kiedy powiłam bliźnięta, wiedziałam, że sen był wieszczcy i przyszły na świat po to, by wkrótce go opuścić. Moje sny ostrzegają prawdziwie, a zresztą Nostradamus dopiero w przyszłym tygodniu wróci z Blois. Do tego czasu rozejm będzie już zerwany. Nie, to musi się stać dzisiaj. Dziś przy pomocy Pana Wszelkich Życzeń zniweczę magiczne sztuczki diuszesy.

Po powrocie z Saint-Germain ciocia wynajęła kilka wygodnych pokoi w domu przy rue de la Cerisée, położonym w ładnej dzielnicy otaczającej stary Hôtel Saint-Pol. Mieszkało tu wielu wysoko postawionych ludzi, co rozbudziło w cioci długo tłumioną namiętność do życia towarzyskiego. Polowała na gości zachłannie jak tygrysyca. Tylko w jednej kwestii była nieugięta: Filip d'Estouville nie wejdzie za jej próg.

— Hm... — mruzczała — wtorki mogłybyśmy przeznaczyć na spotkania wybranych uczonych i artystów...

— Ale, ciociu, dlaczego akurat nie pan d'Estouville?

— Nie lubię go. Ten młodzieniec coś mi się nie podoba. Znajomość z nim nie przyniesie ci niczego prócz łez.

— A wiersze i serenady?

— Jest zanadto zapatrzony w siebie, aby był zdolny do prawdziwej miłości. Kicham na jego tytuł, Sybillo, on nie jest ciebie godny. Wykorzysta cię i porzuci. Na pewno w przeszłości nieraz już tak czynił. Boże, gdybym знаła imię tego pijaka, który w zeszłym tygodniu przegonił go spod twego okna, sama posłałabym mu butelczynę przedniego trunku!

— Ale, ciociu, jego uczucia wydają się tak szczerze...

— Szczerze, też coś! Mój brat też na pozór wydaje się szczerzy. Czekaj... Musimy zaprosić jednego lub dwóch przyrodników, żeby opat miał z kim dyskutować... I kilku poetów... Ci chętnie przybiegną,

na darmowy obiad. Stworzą dla ciebie odpowiednie tło. Au! Niech no tylko ten przekłety artretyzm trochę popuści... Teofilu, najdroższy kuzynie, czuję, że czas jechać do wód. Może do Enghien... Wprawdzie nie jest tam tak wytwornie jak w Évian-les-Bains, ale za to wygodniej. I te cudowne siarczane źródła!

Wszystko zostało ustalone i byliśmy gotowi do wyjazdu — nawet konie stały już wprężone do kolebki — kiedy niepomyślny wiatr przywiał ciemną chmurę.

— Pada — orzekła ciocia bacznie obserwując niebo i wystawiając rękę przez otwarte okno. — Już czuję pierwsze krople. Stanowczo odmawiam podróży w czasie słoty. Tak mi się pogorszy, że nawet wody nie pomogą.

— Przesadzasz, droga kuzynko — zaprotestował opat, ale ciocia kazała wprowadzić kolebkę z powrotem do stajni.

Nim zdążyliśmy rozpakować część rzeczy, bure kłęby chmur stały się czarne, a w dali rozległ się grzmot. Wyjeliśmy warcaby. Już w połowie pierwszej partii rynnami płynął wodospad, a wicher wściekle targał okiennicą.

— A widzicie? Miałam rację. Lewe kolano zawsze mi mówi, kiedy będzie padać. Skocz tutaj, za pionkiem opata zostało wolne miejsce — powiedziała ciocia zaglądając mi przez ramię.

— To pułapka, ciciu. Opat jak wilk czyha na mojego pionka. Jeśli zrobię ten ruch, skoczy tu... i tu...

— Kuzynko Sybillo, to nieładnie z twojej strony, że przejrziałaś moje plany — zaśmiał się opat.

Przerwało nam łomotanie do drzwi. Po chwili Arnold wprowadził do komnaty chłopca i dwóch żołnierzy z królewskiej gwardii w ciężkich, ociekających wodą płaszczach. Spodnie i buty do konnej jazdy ochlapane mieli błotem. Paź, którego widzieliśmy już na dworze królowej, skłonił się i rzekł:

— Królowa rozkazuje, aby panna Sybilla de La Roque jeszcze dziś stawiała się przed jej obliczem i aby zabrała ze sobą pewien kuferek, będący w jej posiadaniu. Ponoć wiecie, pani, o jaki kuferek chodzi.

— Istotnie, wiemy — odparła za mnie ciocia. — Musicie jednak się osuszyć i co nieco przekąsić. Trudno w tak podły dzień podróżować na czczo.

— Z radością przyjęlibyśmy gościnę, ale musimy zrobić jeszcze ponad dwie mile przed zmierzchem. Kiedy król uda się na spoczynek, zamykają bramy Saint-Germain i nawet sam papież nie dostanie się do

środku. I tak straciliśmy dość czasu zmieniając konie w Les Tournelles. Ruszajmy nie zwlekając. Widzę, że panna jest już gotowa.

— A co z naszą grą, droga kuzynko? — spytał opat, kiedy wpychałam kuferek do podróżnej sakwy.

— Pozostawmy pionki tak, jak stoją. Na pewno wkrótce wrócę. I proszę mieć na uwadze, że mam doskonałą pamięć!

— Sybillo, uważaj na siebie. — Cioicia przycisnęła mnie do wydatnej piersi. — Obiecuj mi...

— Sama pani Gondi zaopiekuje się panną w pałacu — zapewnił cicię paż. — A królowa już wydała nam rozkaz, byśmy odwieźli pannę Sybillę z powrotem jutro przed wieczorem.

Odprawiało mnie wycie uwięzionego na piętrze Gargantui.

Szybkim kłusem pokonaliśmy puste ulice. Błotnista woda bryzgała wszędzie, deszcz siekł nam w twarze; odetchnęliśmy tylko przez chwilę pod sklepieniem bramy miasta. Minawszy mury i fosę, puściliśmy się cwałem — przynajmniej na tych odcinkach, gdzie droga wyglądała na równą. Gnaliśmy przez pola i łąki zostawiając z tyłu ciemną, wijącą się rzekę. Ciężkie pecyny błota leciały spod końskich kopyt, a choć po pewnym czasie deszcz zelżał, nie odczuliśmy poprawy, teren bowiem był gęsto zalesiony i woda ciekła na nas z drzew.

Zapadał już zmrok, kiedy w końcu ujrzeliśmy wśród sunących nisko chmur posępne wieże starej części zamku wznoszące się nad urwiskiem. Drzewa i otaczające go zabudowania zmieniły się już w czarne cienie, było widać tylko pierwsze drżące światła w oknach nowego zamku króla Henryka, zbudowanego w nowoczesnym stylu za masywną bryłą starej twierdzy.

— Dzięki Bogu, bramy są jeszcze otwarte. Królowa nie przyjmuje żadnych wymówek. — Chłopiec zadrżał; może dlatego, że jak my wszyscy był przemoczony do nitki.

Wierzchowce pozostały przed bramą pałacu — tylko członkowie rodziny królewskiej mieli prawo wjeżdżać konno lub w lektyce na wewnętrzny dziedziniec. Kiedy nań wbiegliśmy, szwajcarscy gwardziści przygotowywali się już do zawarcia bram i rozpalali cztery pochodnie, które miały płonąć przez całą noc w czterech rogach dziedzińca. Deszcz ustał, lecz w zapadającym mroku dał się słyszeć odległy huk grzmotu. Paż podtrzymawał mnie pod ramię, żebym się nie pośliznęła na nierównym bruku. Na schodach pałacu rozstawiali się kusznicy, lokaje zatykali w uchwyty pochodnie oświetlające wąskie kamienne korytarze, długie sale i zakręty schodów. Nocą pałace są jak miasta: mają swoje ciemne sprawki, zbrodnie i tłumione szepty w mrocznych zakamarkach. W miejskim zaułku człowiek ma się na bacności, w

pałacu natomiast nie spodziewa się ataku i dlatego jest tu bardziej zagrożony. Pałace muszą mieć kuszników i szwajcarów, tak jak miasta mają nocną straż.

Paź podprowadził mnie do zamkniętych rzeźbionych drzwi i zapukał. Dama dworu, która je otworzyła, odprawiła chłopca i wpuściła mnie do środka.

— No, przybyłaś na czas — powiedziała. — Daj mi kuferek. Poślę po służebną, żeby pomogła ci się osuszyć.

— Przykro mi, lecz nie mogę go wam oddać. Z rozkazu królowej nie pozwolę go dotknąć nikomu prócz niej samej.

— Cieszę się — dobiegł głos z głębi komnaty. Ujrzałam niską tęgą postać w białej szacie, stojącą przed niewielkim stołem nakrytym jak ołtarz. Po jego bokach paliły się czarne świece w srebrnych lichtarzach. — Widzę, że jesteś wierna, dyskretna i dotrzymujesz słowa. Niczego więcej nie mogłabym sobie życzyć. A teraz daj mi to.

Wyjęłam kuferek z sakwy. Światło świec prześliznęło się po jego powierzchni, ożywiając rzeźbione motywy. Jakże ja go nienawidzę, pomyślałam, wręczając szkatułę królowej. Gdybym tylko mogła się go pozbyć...

Wystarczy wypowiedzieć życzenie — rozległ się w mym umyśle złośliwy głos Menandra.

Tak, odparłam w duchu; znając ciebie, spełniłbyś to życzenie pozbawiając mnie życia.

Naturalnie — zachichotał. — *Tylko tak można się mnie pozbyć: razem z życiem.*

Królowa ustawiła skrzynkę na ołtarzu pomiędzy dwiema czarnymi świecami i choć była zwrócona plecami do nas, usłyszałam, jak śpiewa w nie znanym mi języku. Potem podniosła wieko. Stojąca obok mnie dama na widok Menandra głośno wciągnęła powietrze i zadrzała ze zgrozy. Istotnie, tej nocy wyglądał jeszcze bardziej odrażająco niż zwykle, jego skóra przypominała zliniałą skórę węża, żółte zęby w upiornie zapadniętych ustach wyglądały jak kły bestii, a z osadzonego w wygnilej orbicie oka emanowało czyste zło. Wiedział, że ma nową ofiarę, że jest nią królowa opętana żądzą i gotowa na wszystko — nawet sprzedać własną duszę. Poczułam ucisk w żołądku i zadygotałam w oblepiającej mnie mokrej odzieży.

Ale głos królowej nie zadrzał, gdy powiedziała głośno:

— Nareszcie. Nareszcie twoja moc należy do mnie, Nieśmiertelny. Dziś dokonam wielkiego dzieła, o jakim dawno marzyłam.

Kiedy ohydna głowa otworzyła usta, dama dworu odwróciła się ze stłumionym jękiem, zaciskając powieki i zakrywając dłońmi uszy. Rozległ się cichy, jakby zardzewiały głos, dochodzący z innego świata:

— Rozkazuj mi, wielka królowo.

Katarzyna Medycejska wyraźnie i stanowczo odczytała słowa wypisane nad zamkiem otwartej szkatuły:

— Na Agabę, Ortneta, Baala, Agaresa, Marbasa, zaklinam cię. Na Almoazina, membroty, sylfy i salamandry, otwórz ciemne wrota i bądź mi posłuszny.

— Wypowiedz swe życzenie. — Ze szkatuły rozniósł się odór zgnilizny.

— Ja, Katarzyna z Medyceuszy, żona wielkiego Henryka, drugiego tego imienia, syna potężnego króla Franciszka, rozkazuję i pragnę, aby wpływ, jaki ma diuszesa Valentinois na mojego małżonka, został jej odjęty i zniknął na zawsze.

— Już się stało — rzekł Pan Wszelkich Życzeń. — Czas objawi ci prawdę.

— Nareszcie. — Królowa odetchnęła głęboko. — Za jednym zamachem spełniłam swe pragnienie i zabezpieczyłam tron mojego syna. Przed Hiszpanami i przed Gwizjuszami. Wszystko za pomocą jednego prostego zdania. — Zamknęła kuferek i zwróciła się do mnie: — Zapakuj to i zabierz z powrotem. Och, jesteś cała mokra! Magdale-no, zabierz pannę, niech się osuszy przy ogniu. Znajdźcie jej nocną bieliznę i łóżko. Nie chciałabym, żeby umarła z przeziębienia. Ciesz się, że mam w niej wierną służkę.

Kiedy wtykałam kuferek do sakwy, spytała nagle:

— Panno de La Roque, dlaczego nigdy nie powierzyłaś własnych pragnień tej magicznej skrzynce?

— Ponieważ się boję, wasza miłość — odparłam, szcękając zębami.

— Ach... — odpowiedziała. — To dlatego, że nie jesteś królową.

Tej nocy leżałam bezsennie w pożyczonej nocnej koszuli i czepku, przysłuchując się oddechom dwóch innych dam dworu dzielących ze mną posłanie. Nie pozwalał mi zasnąć przerażający mrok skupiony pod zasłonami łoża. Wydawało mi się, że z sakwy umieszczonej pod łóżkiem dochodzi do mnie cichy, złowieszczy oddech Menandra, a potem jego głos, szeleszczący jak zeschnięte badyłe w zimowym wietrze:

Powinnaś się zabić. To będzie łatwe. Po prostu wstań i wyskocz przez, okno.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Czyżby to jakaś nowa sztuczka Menandra? Uparte nakłanianie mnie, żebym wypowiedziała życzenie, już mu nie wystarczało?

Byłoby dla mnie o wiele lepiej, gdybym należał do wielkiej królowej, a nie do takiego nędznego robaka jak ty. O ileż większy miałbym rozmach w działaniu, o ileż więcej zagarnąłbym dusz! Kimże jesteś, brzydka stara panno, by posiadać taki skarb? Nie wypowiadasz życzeń, nie wznosisz się w dostojęństwie, a twoja poezja jest żalсна, po prostu śmieszna. Wstań i podejdź do okna. Lepiej ci będzie na tamtym świecie.

W ciemności łzy napłynęły mi do oczu. Menander ma słuszość. Po co czepiam się życia? Ale jakaś nieugięta cząstka mojej duszy, która patrzyła na to wszystko z boku, szepnęła do mnie: „Menander nie może cię zniszczyć życzeniami, chce więc popchnąć cię do samobójstwa. Wie, ile zła mógłby uczynić, gdyby należał do królowej Francji.”

Nie będę cię słuchać, wyschnięty skwarku, powiedziałam do niego w myślach.

Ależ będziesz. Musisz — doleciał mnie głos Maga. — Nie chcesz mnie uwolnić, a zatem nie dam ci spokoju.

Menandrze, jesteś zwykłym karierowiczem, odparłam.

Jeśli nie mogę zdobyć twojej duszy w jeden sposób, zdobędę ją w inny. Wstań i podejdź do okna.

Nie wstanę, rzekłam w duchu, ocierając łzy z oczu. Potem owinęłam się szczelnie kołdrą i zaczęłam zagłuszać nalegania Menandra, śpiewając w duchu psalmy Marota i wyobrażając sobie, że czynię to coraz głośniej. Już po pierwszych słowach diabelski kusiciel skrzeknął z oburzeniem, lecz w końcu ucichł. Na zewnątrz, w realnym świecie, wciąż słychać było równy oddech dwóch dam, z którymi dzieliłam łóżko. Jak długo zmagaliśmy się z Magiem w ciemności, nim w końcu wyczerpana usnęłam? Może parę minut, może parę godzin, lecz zdawały mi się one wiecznością. Czulałam, że odtąd każda noc będzie polem walki na śmierć i życie aż do zagłady jednego z nas — albo mnie, albo Menandra.

Nostradamus, rzekł do mnie wewnętrzny głos. Musisz zobaczyć się z Nostradamusem. On będzie wiedział, co robić.

Nazajutrz rano królowa, jeszcze w porannym stroju, odprawiła flectę, po czym włożyła koszulę, którą podała jej pani de Saint-André, i kazała pani Gondi odczytać na głos niezwykle dialog o cnocie z cienkiego tomiku, spisane go ręcznie na welinie przez zręcznego kopistę i oprawionego w przepięknie tłoczony safian.

— Mądra ta uwaga, którą panna de La Roque włożyła w usta Ateny — zauważyła królowa, poddając głowę dłoniom fryzjera, który układał jej wymyślne loki. — To dziełko wydaje się o wiele bardziej błyskotliwe niż jej wiersze, które nie wyrastają nad przeciętność. Poza tym jest oryginalne. Przeczytaj jeszcze raz ten ustęp o świętości małżeństwa, gdzie przemawia Hera. Podoba mi się jego wydźwięk.

Tego ranka Katarzyna była niezwykle spokojna, zauważyła jednak, że ręce pani Gondi drżą przy przewracaniu stron. Ona też nie nadaje się na królową, pomyślała. Ma za słabe nerwy. Ludzie o słabych nerwach gubią królestwa, a ich potomków wyrzyna w pień zwycięski książę. Tego nauczyłam się we Florencji, gdzie wrogowie mego rodu usiłowali powiesić mnie na murach miasta i ćwiczyć strzelanie do mnie z dział. Cóż mógł o tym wiedzieć Machiavelli, który dedykował swe prace mojemu ojcu? Gryzmolił tylko piórem, a pojmował umysłem, ale ja poznałam te sprawy sercem i wszystkimi trzewiami.

— „...i z tej to przyczyny małżeństwo uznane zostało za święty Sakrament...”

Królowa rozejrzała się po obwieszonej bogatymi draperiami komnacie, po swych unizonych sługach o zamkniętych sercach i przyśloniętych rzęsami oczach. Każde z nich mogłoby wbić jej nóż w plecy. Królowe różnią się od zwykłych ludzi: stawka w grze jest wyższa.

— „...i jako dzieci zrodzone z miłości są piękniejsze, te zrodzone z miłości małżeńskiej nie mają sobie równych...” — czytała pani Gondi nieco drżącym głosem. Pod oczami miała ciemne kręgi i była blada jak upiór. Przez całą noc śniły jej się koszmary, a w nich mówiąca odcięta ludzka głowa.

— Przerwij na chwilę. To tam, gdzie Hera gani Afrodytę?

— Nnnie, trochę dalej, kiedy Archanioł wyjaśnia, na czym polega prawdziwie chrześcijańskie małżeństwo.

— Elegancko wyrażone... Wcale się nie wstydzę, że ten utworek został mi zadedykowany. Pierwsze wydanie drukiem będzie miało mój oficjalny patronat. Chyba dam tej pannie do zrozumienia, że planuję głośne czytanie na którymś wieczorku... i być może dyskusję w damskim gronie na temat najważniejszych zawartych w nim kwestii. To powinno wzmoczyć przywiązanie panny de La Roque do mojej osoby i jej wierność, nie sądzisz? Co z tobą? Masz gorączkę jak ona?

— N... nie, wasza wysokość, to tylko przeciąg.

Święta Mario, Matko Boża, już nigdy nie będę się bawić w zaklęcia i uroki, powtarzała w myśli pani Gondi, nadal nie mogąc otrząsnąć się ze zgrozy, jaką przeżyła zeszłej nocy. Przysięgam ci, święty Jakubie, pójdę

na pielgrzymkę i kupię sobie włosiennicę, tylko oddał ode mnie klątwę tej diabelskiej głowy...

— To dobrze. Fernel zapewnia, że to nic groźnego, ale posłałam jej mój domowy lek, absolutnie niezawodny na gorączkę: okład z listków róży i kurzych jaj, który tak bardzo pomógł ostatnio królowej Szkocji...

Trzy damy zasznurowały suknię królowej na plecach i przypięły do niej kryzę. Następnie okryły dzieło fryzjera czepcem i przejrzystym jak mgielka jedwabnym welonem — dokładnie w tym samym odcieniu żółci co spodnia suknia królowej. Katarzyna zwróciła się do pani Gondi:

— Jak sądzisz, może przyobiecać jej męża wysokiej rangi? Związałabym ją ze sobą na zawsze. Odpowiada mi taki układ: ryzyko spada na nią jako strażniczkę Menandra, a ja mogę korzystać z jego usług, kiedy tylko zechcę.

— Najjaśniejsza pani, który wysoko urodzony mężczyzna zechce wziąć za żonę kobietę tak starą bez wielkiego majątku? Kiedy ty wychodziłaś za mąż w wieku lat czternastu, nie tylko dysponowałaś olbrzymią fortuną, lecz byłaś także w rozkwicie urody, a ta panna moim zdaniem już nieco przywidła.

— Ach, moja droga przyjaciółko i swatko, tu właśnie liczę na twoją pomoc. Znajdź mi mężczyznę, który jest w niełasce i zrobi wszystko, by odzyskać me względy, albo potomka dobrego rodu, któremu skonfiskowano majątek... albo człowieka z gminu pragnącego wznieść się wyżej lub młodszego syna, który chce się dorobić...

— Królowa wykonała okrągły gest ręką, obejmując nim wszelkie rodzaje łatwo dostępnych mężczyzn. — Najlepiej zrób listę.

— W jakim mają być wieku?

— To nieistotne. Ważne, żeby taki człowiek był uległy, tani i dozgonnie mi wdzięczny. Być może dam jej kilku do wyboru. To naprawdę nie ma znaczenia. Mogą mieszkać osobno, jeśli się nie polubią.... Kogóż to słyszać w antyszambrze? Co za potworna wrzawa! Powiedz mu, że nie mogę się z nim teraz widzieć. Mam kilka listów do napisania i nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Ale mężczyzna w antyszambrze wyrwał się z rąk wartowników, wbiegł do sypialni królowej i rzucił się jej do stóp.

— Najmiłościwsza, najwspanialsza pani! — zawołał, leżąc placikiem na dywanie. — Błagam cię, nie rób błędu, który przypłacisz utratą wszystkiego!

— Kosma, ty zarazo, wstań. Skąd wiesz, że ta panna przyniosła mi kuferek?

— Powiadam ci, pani, ta szkatuła jest przeklęta, przeklęta! — wykrzyknął niski człowieczek w czarnym skórzanym kaftanie. — Nie-szczęście i ruina idą jej śladem!

— A dokładniej o co ci chodzi, Kosmo? Przecież sam proponowałeś, że zdobędziesz ją dla mnie.

— Ten przedmiot w rekach laika jest śmiertelnie niebezpieczny. Jedno błędne słowo, nierozważne życzenie...

— A, więc do tego zmierzasz! Cóż, powinieneś wiedzieć, że bynajmniej nie jestem nowicjuską w tych sprawach. Przemyslałam dokładnie, jak uzyskać to, czego chcę, zaledwie jednym starannie sformułowaniem życzeniem.

Kłęczący u stóp królowej astrolog rozdziawił usta.

— A więc to już się stało? Jak brzmiało życzenie?

— A dlaczegoż bym miała ci się spowiadać? Wiem, czego pragniesz, Kosmo: mieć wyłączną pieczę nad moją szkatułką, znać wszystkie moje sekretne myśli i mieszać się do każdej mojej sprawy. No cóż, mam inne plany. Oraz inne życzenia.

— Najmiłościwsza pani, błagam cię, nie skazuj się na potępienie! Niech ktoś obeznany w sztuce...

— Słuchaj, Kosmo, wciąż jesteś niezonatą? — Królowa obrzuciła go uważnym, taksującym spojrzeniem. — Magdaleno, zacznij listę od niego.

Dama dworu odłożyła trzymany tomik i wyjęła z biurka pióro, papier oraz pudełeczko z piaskiem. Starannie ułożywszy czystą kartę na biurku, umoczyła pióro w ozdobnym kałamarzu podtrzymywanym przez trzy amorki i napisała u góry strony: „Kosma Ruggieri, 43 lata, niski, ciemnowłósy”.

— Co to takiego? — zaniepokoił się astrolog. W ciągu swojej służby u Medyceuszy widział liczne wykazy, do których trafiało się przez niepomysłny układ gwiazd albo przez skrywane, podejrzliwe spojrzenia. Były to listy wrogów skazanych na śmierć.

— Myślałam, że może chciałbyś wżenić się do starej, dobrej francuskiej rodziny, wzbogacić się o trochę pieniędzy i tytuł.

Krople potu wystąpiły Ruggieriemu na czoło. Nerwowo obejrzał się w stronę wyjścia. Ta skłonność do ironii, do zabawiania się kosztem skazańców była dziedziczna w rodzie Medyceuszy. A teraz ujawniła się także u *duchessiny*. Ale dlaczego właśnie on? Teraz nieodwołalnie musi zdobyć kuferek i wyrazić życzenie, aby jego nazwisko znikło z listy, którą królowa układała tak beztrudno, jakby wybierała biżuterię do sukni.

- Ha! Patrz, jak ucieka! — zaśmiała się Katarzyna.
- Jesteś pewna, pani, że on by się nadał?
- Raczej nie. Ostatecznie po co wkładać mu tę skrzynkę w ręce przez małżeństwo? Pomyślmy o kimś innym. Kimś dla nas użytecznym, kogo przydałoby się nieco ściślej z nami związać... Powinien to być człek ambitny, który umie milczeć. Hm... A ten bankier, Montvert? Nadal jest żonaty? Nie ma przypadkiem syna lub bratanka?
- Zdaje się, że ma syna.
- Dobrze. Wpisz go na listę. I dodaj paru innych. Jeśli ktoś jeszcze wpadnie mi do głowy, dam ci znać.

Dekretem króla Henryka II szkoły fechtunku, te miejsca spotkań kupieckich synów i awanturników wszelkiej maści, zostały usunięte poza mury Paryża. Ale w wąskim zaułku nie opodal rue Saint-Jean na lewym brzegu Sekwany, na tyłach oberży „Pod Czarnym Dzikim” była długa sala, z której często dochodził szczełk broni. Jeśli przypadkiem znalazł się tam ten czy ów zaprawiony w bojach szermierz z czasów starego króla Franciszka i jeśli przypadkiem studenci i synowie rzemieślników ćwiczyli się tam w samoobronie, i jeśli przypadkiem brzęczący pieniądź przechodził z rąk do rąk — cóż, nikogo to nie powinno obchodzić. Właściciel „Czarnego Dzika”, osobnik najwidoczniej przygłuchy, nie miał pojęcia, skąd dochodzi ów hałas i brzęk, aczkolwiek przez niskie drzwiczki ukryte za stosem beczek regularnie trafiał do niego czynsz, jak również amatorzy serwowanego „Pod Czarnym Dzikim” kwaśnego wina i taniego piwa.

Do zatęchłej izby szynku wszedł wysoki młodzieniec, zręcznie omijając zatłoczone stoły i pijaków leżących na brudnej polepie.

- Hola! Toż to Mikołaj Włoch!
- Nie spodziewaliśmy się tu ciebie dzisiaj!
- Mikołaju, jak luba? Wciąż oziębła?

W chwili gdy Mikołaj Montvert przekroczył próg szynku, kierując się do sali ćwiczeń, stało się z nim coś dziwnego. Nie garbił się już i nie powłóczył nogami, jak to czynił w domu ojca, lecz szedł szybkim, pewnym krokiem, prosty jak struna, wodząc wokół przenikliwym zuchwałym spojrzeniem. Tu czuł się panem; ani matka, ani siostra nie wzdychały tu nad nim, głośno modląc się o zbawienie jego duszy. Tu lata, które strawił na włóczędze po całej Europie, nie okazywały się zmarnowane. Najbardziej zatwardziałe opryszki salutowały mu, gdy wkładał gruby skórzany plastron i ujmował ćwiczebną broń zakończoną dużą korkową kulą (by nie powykiłować sobie nawzajem oczu).

Mikołaj Montvert był rozmarzonym nierobem. Ale Mikołaj Włoch beztrudno rzucił studia prawnicze, filozoficzne i teologiczne w kilku szacownych włoskich akademiach po to, by odwiedzać mistrzów szermierki w nowym stylu, podpatrywać ich, ćwiczyć i fechtować się z najlepszymi. W rezultacie umiał nadzwyczaj zręcznie posługiwać się rapierem. Preferował styl włoski, który w Paryżu wciąż był nowością, nieże też walczył rapierem i sztyletem, rapierem i płaszczem, a nawet staroświeckim mieczem i tarczą. Gdyby ojciec wszedł do szkoły mistrza Achillesa, nie poznałby go — a gdyby go rozpoznał, byłby przerażony.

— Wypowiedz tylko imię mej damy, Janie, a już jesteś martwy — odciał się Mikołaj, lecz głos miał wesoły.

— No, no, tylko żartowałem. Będzie można dziś z tobą poćwiczyć? Wciąż za wolno robię tę *botte*, którą mi pokazałeś...

— Nie dzisiaj. Wpadłem tylko zobaczyć się z Achillesem.

— Wciąż jest ci winien dwie korony?

— Tak, a ja wciąż mam dług w „Czterech Żywiolach”.

— Usiądź z nami na chwilę i napij się wina.

— Nie mogę. Mam ważne sprawy. — Mikołaj zniknął w drzwiach za stosem beczek.

— Wiecie, co to za sprawa? — rzekł jeden z pijących, gdy tylko Mikołaj nie mógł go już usłyszeć. — Nasz przyjaciel włóczy się jak chore cielő po mieście za pewną damą dworu, szukając okazji, by pomówić z nią sam na sam.

— Mikołaj? Przecież wszystkie damy same padają mu do nóg. Jest przystojny, bogaty z domu i na dodatek świetnie włada rapierem. To powinno wystarczyć każdej kobiecie.

— Nie tej. Widziałem ją na własne oczy. Jest bardzo wyrafinowana, wysoka i dumna. Pochodzi z dobrego rodu, pisze wiersze i zaleca się do niej jakiś utytułowany szlachcic. Podobno bogaty Hiszpan.

— Utytułowany? Biedny Mikołaj, nie ma szans.

— No, tego nie jestem pewien. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się tak zawziął.

— Zawziął się? W takim razie, jak go znam, ojciec musiał mu zakazać widywania tej damy.

— Ha! Trafiłeś w sedno! Chcesz się założyć, co z tego wyniknie?

— Stawiam pięć denarów przeciwko Mikołajowi. Dwa do jednego!

*

Podleczywszy nieco artretyzm, Nostradamus udał się narowistymi pocztowymi końmi do zamku w Blois, gdzie królewskie dzieci nie były narażone na choroby zbierające swe żniwo na dworze. Pomimo łagodnej jesiennej aury i urody leniwie wijącej się rzeki, której brzegiem jechali z Leonem, podróż nie sprawiła mu przyjemności. Najpierw obłupił go oberżysta „Pod Trzema Królami” w Orleanie, a potem Nostradamus skusił się na gotowane flaki w przydrożnej gospodzie i natychmiast nabawił się niestrawności. Później znów koń Leona zgubił podkowę w pobliżu Beaugency i nawet okazywanie rozkazu królowej nie zdołało nakłonić upartego miejscowego kowala do pospiechu. Stojąc w drzwiach krytej strzechą kuźni i patrząc na lodzie sunące leniwie po zielonej toni, Nostradamus przysiągł sobie, że już nigdy nie wyjedzie z domu, choćby nie wiem kto mu rozkazywał. Ostatecznie Guaricus rozsyła horoskopy pocztą i nikt nie zmusza go do podróży na źle ułożonych koniach, rujnowania żołądka jadłem w podłych oberżach i utarczek z tępo głowymi kowalami w zamian za nader skąpe honorarium.

Jego postanowienie okrzepło po dwakroć, kiedy przedstawivszy się zamkowym strażom usłyszał, że jako sługa musi wejść ciemnymi tylnymi schodami. Dopiero po wielkiej awanturze, podczas której goniec kilkakrotnie biegał do pana de Humières i z powrotem, zapadła decyzja, iż w tym — i tylko w tym — wypadku słynnemu mistrzowi de Nostre-Dame wolno wejść do pałacu po wielkich ośmiokątnych frontowych schodach. Kroczył więc majestatycznie, słysząc za sobą sapanie obładowanego księgami i przyborami Leona, na pozór pograżony w filozoficznej zadumie. Jego usta poruszały się bezgłośnie, jakby wypowiadał tajemnicze formuły. Gdyby któryś ze zdjętych zabobonnym strachem sług i pieczeniarzy podszedł dostatecznie blisko, usłyszałby: „Nie warto, za nic nie warto, to strata czasu. Przekłete schody. Że też człowiek nigdy nie ma chwili spokoju.”

Po naradzie z panem de Humières i przedstawieniu mu rozkazu królowej, by mistrz Nostradamus ułożył horoskopy dla wszystkich dzieci, nie wyłączając królowej Szkocji, prorok został zakwaterowany w ciemnej izbie, z której roztaczał się widok na płat dachu zamkowej kaplicy i pół tuzina ciekawskich gołębi. Łóżko było twarde i wilgotne, a świeca nie z wosku, lecz z taniego łoju (zapach łojówek zawsze przyprawiał go o ból głowy). Nigdy więcej, postanowił. Nawet dla zbawienia Francji. Będzie zbawiał Francję listownie.

Nazajutrz rano, znacznie pokrzepiony wyśmienitym śniadaniem, składającym się ze świeżych pulchnych bułeczek, delikatnej wędzonej

ryby oraz masła prosto z mleczarni, doktor Michał de Nostre-Dame zabrał się do oględzin królewskich dzieci na polecenie zatroskanej matki. W długiej, pomalowanej na niebiesko sali prócz obojga państwa Humières stoczyli się inni panowie i damy, a ponadto służdy, kilka dużych chartów, trzech karłów, jedna papuga i jedna biała fretka trzymana na srebrzystej smyczy.

Kiedy jednak postawiono przed nim Franciszka, następcę tronu, stary doktor poczuł na sercu ołowiany ciężar. Prawda krzyczała do niego poprzez pulsującą, niestabilną emanację otaczającej delfina ciżby. W szarej drżącej aurze chłopca odczytywał obłęd, chorobę i śmierć, a wszystko to w niezbyt dalekiej przyszłości. Znaki były zresztą wypisane i na ciele delfina, widoczne gołym okiem nawet dla kogoś, kto nie był jasnowidzem. Matka na pewno je dostrzeża — myślał — choć cały świat wmawia jej, że jest inaczej. Dlatego po mnie posłała. Wie, a jednak nie mogę oznajmić jej tego wprost. Trzynastoletni delfin był niski i anemiczny, miał wielką głowę i twarz pokrytą krostami. Co chwilę wycierał w rękaw usmarkany nos.

— Z uszu też mu cieknie? — spytał Nostradamus.

— To przeziębienie — odparł guwerner delfina. — Nic poważnego.

Ale Nostradamus zdążył obejrzyć poszczerbione przednie zęby chłopca, gdy ten pociągał nosem. Cały ród skazany był na wymarcie. Przyczyną jakich tragedii, jakich zniszczeń staną się te niedorozwinięte, schorowane dzieci, nim spotka je nieubłagany koniec? Włoska choroba naznaczyła Wależjuszy swym piętnem; jej efektem były karłowate ciała i ziemistoblade twarze. Który to rozpustny przodek zakaził te niewinne istoty, nim jeszcze zostały poczęte? Jak długo potrwa i jaką postać przyjmie choroba, zanim umrą w cierpieniach? Matka o tym wie, pomyślał stary prorok. Wie, ale w głębi serca będzie walczyć z losem aż do samego końca. Będzie snuć plany i intrygi, na siłę czynić te dzieciaki tym, czym nie są i nigdy nie będą. Ma tylko je.

A ponieważ ja cenię sobie swój przytulny dom — dodał w duchu — nie będę tym, który jej powie, że to, co widzi w głębi serca, jest prawdą.

— Przeznaczeniem tego chłopca jest stać się wielkim królem — oznajmił z namaszczeniem.

Wszystkie damy jak jedna pokiwały głowami i w komnacie podniósł się szmer komentarzy.

Nostradamus kolejno oglądał królewskich dziedziców. Jeden był gorszy od drugiego. Po trzynastoletnim Franciszku podszedł sześćioletni

Karol o wąskiej, szczurzej twarzyczce i złośliwych oczach, nasuwających myśl o nieletnim Kaliguli. Następnie Henryk — ładny, lecz o zwichniętej duszy. (Matka sądzi, że ten jest normalny, pomyślał stary prorok.) Ostatnim z synów był Herkules, niemowlę o rozdętej głowie i jeszcze brzydszych rysach. Starsza z dziewcząt, Elżbieta, miała drobną elfią twarzyczkę i inteligentne oczy, ale ona też była naznaczona jak wszystkie. Młodsza, Klaudia, już była powykręcana i kaleka. I jeszcze jedna dziewczynka, wesoła szczebiotka ucząca się dopiero chodzić. Jałowa od urodzenia, mówiła jej aura. Żaden mężczyzna nie spłodzi z nią potomka.

O, tu mamy wyjątek, ucieszył się w duchu, kiedy mu przedstawiła wysoką rudowłosą czternastolatkę o białoróżowej cerze i lśniących, czystych oczach. Królowa Szkocji, przyszła żona delfina, jest zdrowa i dobrze zbudowana. Widzę w niej krew Gwizjuszów wzmocnioną złotorudym blaskiem szkockiej linii panującej. Nic dziwnego, że król tak ją lubi. Myśli, że jej zdrowa krew odnowi jego ród.

Za późno — westchnął mu do ucha głos Anaela.

Stary prorok wziął się w garść. Powiedział każdemu z dzieci oczekującej je świetlanej przyszłości, uśmiechał się i kłaniał dworakom, a następnie przez dłuższą chwilę ostentacyjnie robił zapiski wynalezionym przez siebie skrótowym pismem, którego nikt inny nie był w stanie odczytać. Przez cały czas wewnętrzny głos szeptał mu, że niezależnie od tego, co ludzie mówią, król nie znajdzie innej kandydatki na żonę dla syna, a z małżeństwa tego weźmie początek tragedia, która dotknie Francję do żywego. Wojna i śmierć, bratobójcza walka... Gwizjusze będą miażdżyć swoich wrogów, dopóki sami nie zostaną zmiażdżeni.

— Powiedz mi, Anaelu — zwrócił się Nostradamus do ducha dziejów — jak to jest, kiedy tragiczna przyszłość związana jest z życiem ładnego, niewinnego dziecka? Co by się stało, gdybym powiedział prawdę?

Zapadła noc, ale okiennice w wychodzącej na sąsiedni dach komnatce proroka były otwarte. Sześć, nie, osiem gwiazd mrugało ponad czarną bryłą kaplicy. Anael siedział na parapecie, jego ciemnoniebieskie, jarzące się tu i ówdzie małymi iskierkami ciało było tylko odrobinę jaśniejsze od nocnego nieba. Jedyne światło oświetlała skomplikowany diagram horoskopu leżący przed Nostradamusem. Prorok zrobił kilka dopisków w rogu, obok symbolu Marsa, po czym z westchnieniem odłożył pióro.

— Pytasz, czy mógłbyś powstrzymać bieg historii? — roześmiał się Anael, strzepując pióra kruczoczarnych skrzydeł. — Ty? Śmiertelnik? Bez pomocy czarodziejskiej różdżki wiesz, że w pierwszym rzędzie ty byś postradał życie z rąk jednej lub drugiej frakcji.

— Sugerujesz, że moje milczenie jest niezupełnie moralne? — Nostradamus zasiedział się do późna nad horoskopami, kiedy zaś zgłodniał i posłał Leona do kuchni, okazało się, że nie ma już nic do jedzenia, a palenisko zostało wygaszone. W rezultacie powiedział to dość ostro.

— Och, nie bądź taki drażliwy. Po prostu twoje pobudki są mieszane, jak zawsze u ludzi. — Anael majtnął nogą założoną na nogę, tak zadowolony z siebie, że stary prorok zdenerwował się jeszcze bardziej.

— Skoro ty jesteś takim ideałem, dlaczego sam nie poprawisz dziejów?

— To nie jest moje zadanie. Ja tylko trzymam je w szafie. Poza tym naprawdę nie ma znaczenia, co w tej chwili uczyni ktokolwiek z nas. Wielkie zdarzenia, takie jak wojna religijna, są niczym woda spływająca z gór. Nie zdołasz jej powstrzymać, spłynie tym albo innym torem. Możesz co najwyżej ustąpić jej z drogi.

— A czy był taki moment w dziejach, kiedy wszystko można było jeszcze odwrócić?

Nic tak nie poruszało prowansalskiego jasnovidza jak poważna filozoficzna dyskusja. Rozchmurzył się, przygotowując w duchu argumenty.

— Na przykład pozbawiając życia kogoś takiego jak pan Kalwin, który nawet w połowie nie dorównuje urodą tej małej Gwizjuszce?

— No... tego nie powiedziałem.

— Może więc chciałeś się cofnąć jeszcze wcześniej? Powiedzmy, do pana Lutra? Zapewniam cię, prędzej czy później ta stara skorumpowana instytucja sama zgotowałaby sobie upadek.

— No dobrze, co z korupcją? Gdybyśmy tak na przykład ukatrupili tego, kto wymyślił odpust zupełny?

Anael wybuchnął śmiechem. Nostradamus ze złością zmarszczył brwi. Ostatecznie człowiek w jego wieku powinien być traktowany z większą rewerencją. Czasami zapominał, że dla nieśmiertelnej istoty w rodzaju Anaela on sam jest zaledwie dzieckiem — ba, niemowlęciem.

— Sądzisz, że tylko jeden człowiek mógł wpaść na ten genialny pomysł? Ziarno tkwiło już w glebie. Jeśli coś jest gotowe do zepsucia, ulegnie mu tak czy owak.

— Jak spływająca woda? Już to mówiłeś — burknął Nostradamus, zły, że został potraktowany z góry.

— Pomyśl zresztą o cudownych dziełach sztuki nabytych za pieniądze z tych wszystkich odpustów. Czy świat byłby lepszy bez nich? Róża jest najpiękniejsza tuż przedtem, nim zacznie więdnąć. Ów postęp w sztuce osiągnięto zaś poprzez przepływ funduszy z rąk łatwowiernych nieuków do rąk ludzi wykształconych i inteligentnych. Kto mówi, że to niewłaściwe?

— Anaelu, jesteś najdogłębniej amoralnym stworzeniem, jakie kiedykolwiek napotkałem!

— Oczekujesz, że Historia będzie moralna? Michale, nie spodziewałem się, że twój bystry umysł jest w rzeczywistości tak ograniczony!

Przerwało im nieśmiałe pukanie do drzwi. Anael ukrył swoją wdzięczną postać w ciemnym kącie komnaty, z dala od stojącej na stole świecy.

— Wejść! — zawołał prorok, mając nikłą nadzieję, że jednak niosą mu coś do jedzenia.

W progu stały dwie dziewczynki w nocnych koszulach i czepkach, opatulone w ciężkie, podbite futrem *robes de chambre*. Za nimi stała opiekunka, madame de Humières, pani tego zamku, którą Nostradamus poznał dzisiaj w wielkiej sali. Siwiejące włosy miała już splecione na noc w warkocz. Towarzyszyło im czterech uzbrojonych krzepkich gwardzistów, z których dwaj nieśli pochodnie.

O tej porze dzieci powinny już być w łózkach, pomyślał wzruszony prorok. Wyglądził szatę i zakrzętnął się wokół stołu, usiłując nieco go uporządkować. Skoro się jest celem sekretnej nocnej wyprawy, trzeba stanąć na wysokości zadania.

Młodsza dziewczynka miała duże orzechowe oczy i cofnięty podbródek jak jej matka. Spod białych falbanek czepka wymykały się ciemne kędzierzawe włosy. Była to mała królowna Elżbieta de Valois. Obok niej stała przyjaciółka, z którą dzieliła komnatę i wielkie nakryte baldachimem łóżce. Charakterystyczne miedziane włosy Marii, królowej Szkocji, splecione w dwa grube warkoczki spadały jej na ramiona, a porcelanowa cera zaróżowiła się z podniecenia nocną eskapadą. Dziewczynki pożerały wzrokiem rozłożone na stole papiery i przyrzędy. Przyszły napatrzeć się tajemnic i czarów, dziwnych naczyń z uwięzionymi wewnątrz chochlikami... Nostradamus czuł, że nieco je rozczarował.

— Mistrzu de Nostre-Dame, chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o naszej przyszłości — przemówiła śmiało mała Elżbieta.

Nostradamus szybko odsunął horoskop, nad którym właśnie pracował, w obawie, że dziewczęta mogłyby dojrzeć i zapamiętać widniejące na nim liczby. Była w nich zawarta przyszłość zapisana w gwiazdach dla tej starszej, rudej, która stała przed nim: wdowieństwo, wygnanie, zdrada, więzienie i egzekucja. Wszystko to dojrzewało już w cieniu ambicji jej wujów. Przyszłość Marii była zarazem jej dziedziectwem, miała ją we krwi; podobnie jak we krwi tej małej, ciemnowłosej, płynęła choroba.

— Tak, chcemy się dowiedzieć czegoś o naszym życiu, kiedy zostaniemy królowymi. Jakie będziemy mieć pałace...

— ...i klejnoty. Czy bardzo wspaniałe?

Nostradamus westchnął. Dzieci wzięły to za oznakę zniecierpliwienia.

— Nagrodzimy cię, kiedy już obejmiesz trony — powiedziała ruda wyniosłym, protekcyjnym tonem, jakby naśladowała kogoś starszego.

— Nie przyszybyśmy tak późno, ale podobno wkrótce wyjeżdżasz, może nawet jutro — dodała ciemnowłosa.

— Nic nie szkodzi — rzekł starzec. — Tylko nie poddawajcie tego pomysłu innym, dobrze? Odczytam losy z waszych dłoni. Stań tu, przy świecy, i pokaż mi rączkę.

— Nie, musisz najpierw spojrzeć na dłoń Marii. Ona jest urodzoną królową i ojciec mówi, że zawsze należy jej się pierwszeństwo, nawet w drzwiach.

— Dobrze zatem. Hm... Tak... Będziesz władczynią dwóch królestw. — Widział mającący nad jej głową cień kata w czarnym kapтурze.

— Dwóch, nie trzech? Jestem królową Szkocji, mam poślubić następcę tronu Francji i odziedziczyć Anglię — rozległ się w ciszy pewny głosik Marii.

— Nie, nie trzech. Znaki mówią, że dwóch. Ale dasz początek dynastii królów i... na każdym kroku będziesz budzić w mężczyznach silne namiętności.

— Och... — rozmarzyła się mała królowa. — To wspaniałe...

Nie cieszyłabyś się tak, gdybyś wiedziała, ile w nich będzie nienawiści i egoizmu, pomyślał stary prorok. Niechże piekło pochłonie Menandra za to, że każdą przepowiednię przyprawił mi cierpieniem. Jakże się śmiał, kiedy wypowiedziałem życzenie! Teraz już wiem, jak okrutna jest mądrość...

— Teraz moja kolej — powiedziała ciemnowłosa jedenastolatka, wyciągając małą rączkę.

— Bardzo interesujące linie... — rzekł prorok, udając, że pilnie im się przypatruje. — Zostaniesz bardzo, bardzo wielką królową. Będziesz miała szafy pełne wspaniałych sukien i tyle klejnotów, że do końca życia nie zdążysz ich wszystkich włożyć; cały skarbiec wielkiego imperium...

Jej horoskop leżał zwinięty w stojącym obok biurku. Nostradamus zamierzał go skorygować na tyle, by ostateczna wersja zadowolila Katarzynę. W przyszłości jej córki widział bezduszne, kąpiące złotem pałace hiszpańskiego króla, małżeństwo z niezdolnym do miłości starcem, zimne spojrzenia rywali i prędko, jakże prędko... truciznę.

— Czy ja też będę matką królów?

— Urodzisz córki, kochanie, ale nie będziesz tego żałować. Twój lud tak cię ukocha, że będą cię nazywać królową pokoju i dostatku.

— Czy widzisz coś jeszcze? — Elżbieta, ulubienica matki, była bystrym dzieckiem. Nie uszedł jej uwagi dziwny wyraz twarzy starego człowieka.

— Nie, już nic — odparł prorok. — To wszystko, co mówią linie dłoni poza tym, że jesteś bardzo inteligentną młodą damą i doskonale się uczysz.

— Tyle to sama wiem.

— Dlatego też nie muszę ci tego mówić — rzekł Nostradamus.

Gdy dziewczęta odeszły, Anael przeciągnął się w kącie, złożył ręce na piersi i parsknął śmiechem.

— I ty chcesz zmieniać historię! Ha! Nie miałbyś serca kogokolwiek z niej wykreślić. Nie miałeś nawet odwagi powiedzieć tym dwom dziewczętom, że zostaną zamordowane.

— I co by to dało? Odebrałbym im tę radość, jakiej mogą w życiu zaznać — rzekł ze smutkiem prorok.

— Maskujesz więc swoje przepowiednie szyfrem. Nie potrafisz powiedzieć i nie umiesz milczeć. Czy ktoś ci już mówił, Michale, że dziwny z ciebie ptaszek?

— Wielu ludzi, Anaelu. O Boże, jakimże przeklętym ignorantem byłem, pragnąc widzieć przyszłość.

— Masz, czego chciałeś.

— Wiem, i wiedząc o tym wcale nie czuję się lepiej. — Nostradamus westchnął. — Byłem młody i głupi, oślepiiony pragnieniem, by poznać tajemnice Wschodu. Dobrze choć, że ta przeklęta mumia nigdy nie stała się moją własnością. Miałem szczęście: ktoś skradł ją jej

posiadaczowi w Konstantynopolu, nim zdążyłem wypowiedzieć następne życzenie.

— I tak zostałeś uratowany przed sobą samym. Choć właściwie powinienem uznać twój żal za obraźliwy. Czy to tak źle, żeśmy się poznali? — spytał duch dziejów.

— Nie, Anaelu, to ma swoje dobre strony. Ale powiedz mi, jak zdołamy się pozbyć Menandra Nieśmiertelnego, zanim zniszczy Francję?

— Zaiste, Michale, twoja szczerość jest rozbrajająca. Naprawdę myślisz, że naprawianie historii jest aż tak proste? — duch ukazał w uśmiechu piękne białe zęby i rozprostował kruczoczarne, opalizujące skrzydła.

Nostradamus westchnął ciężko.

— Nie bądź taki przygnębiony, stary śmiertelniku. Podpowiem ci: przejrzyj horoskop tej dziewczyny.

— Małej królowej?

— Nie. Tej panny, której ciotka obsypała Menandra proszkiem na uroki.

— Jej pies zjadł mi pantofle. Nigdy więcej nie chcę jej widzieć na oczy.

Anioł wzruszył ramionami. Migoczące iskierki w jego ciemnym, przejrzystym ciele zawirowały tanecznie.

— Jak chcesz. Pantofle albo Francja — rzekł.

— No dobrze, skoro stawiasz to w ten sposób... Ale mój Boże, jakież one są irytujące! Ten ich snobizm, paplanina, wścibstwo i zarozumiałstwo! I te okropne wiersze! Czy wiesz, że posłała mi ułożoną przez siebie villanelłę? Rymy... na samo ich wspomnienie przeszywa mnie zimny dreszcz.

— Horoskop, Michale. Nie zapomnij — rzekł duch dziejów i rozpląnął się w powietrzu.

ROZDZIAŁ XV

Wielce Czcigodny Panie!

W tę sobotę, 29 listopada roku pańskiego 1561, otrzymałem Pański list wysłany z Paryża dnia 12 października tegoż roku. Odniosłem wrażenie, że pełno w nim żółci, oburzenia i urazy, którą żywisz Pan do mnie nie wiedzieć z jakiej przyczyny. Uskarżasz się Pan, iż gdy byłem w Paryżu składając swe usługi Jej Wysokości Królowej, pożyczyłem od Pana dwa noble i dwanaście koron, co jest zgodne z prawdą. [...] Jakoby opuszczając Paryż wypłacił się niewdzięcznością za Pańską gościnność— otóż podobna nieczułość byłaby całkowicie obca mej naturze. Co do hojnej rzekomo zapłaty, jaką otrzymałem na dworze: gdy zapadłem na zdrowiu, Jego Wysokość Król przysłał mi sto koron. Królowa dodała trzydzieści. Trzydzieści koron jest zaiste hojną nagrodą za podróż, podczas której przebyłem dwieście mil i wydałem sto koron z własnej kiesy. Nie w tym wszakże rzecz: po moim powrocie z Saint-Germain do Paryża odwiedziła mnie wielce czcigodna dama, której nazwiska nie znam [...] Oznajmiła, że panowie z Pałacu Sprawiedliwości zamierzają mnie przesłuchać w sprawie metod stosowanych przeze mnie przy sporządzaniu przepowiedni. Odparłem, [...] iż nie muszą się fatygować, albowiem nazajutrz rano wybieram się w drogę powrotną do Prowansji, i tak też uczyniłem. [...]

Ale pomyślisz Pan, że tymi wszystkimi słowy zamierzam zbyć Pana, abyś obył się bez zapłaty. Otóż nie. Posyłam wraz tym piśmie dwa małe liściki, które jeśli zechcesz je Pan dostarczyć adresatom, spowodują natychmiastowy zwrot Pańskich pieniędzy...

Wyjątki z listu Nostradamusa do Jana Morela
Fonds latins No.8589J Bibliothèque Nationale

— Podaj mi jeszcze jedną poduszkę, Leonie, zanim całkiem mnie połamie w tych kardynalskich luksusach.

Po powrocie z Blois do Paryża Nostradamus zasiadł w olbrzymim, rzeźbionym, straszliwie niewygodnym krześle, wstawionym do jego komnaty na polecenie gościnnego kardynała de Bourbon. Początkowa radość proroka z pobytu w Hôtel de Sens zaczynała blednąć. Jedzenie i towarzystwo były tu wyśmienite, ale wysokie, zimne i pełne przeciągów kamienne pomieszczenia, bezustanna krzątanina obcych sług, rzeźbione groteski z paszczami dzikich zwierząt szczerzącymi się na niego z każdego ciężkiego kanciastego mebla napępniały go tęsknotą za własnym zacisznym domem, łagodną żoną i radosną paplaniną dzieci. Ponadto doskwierało mu zbyt już długie rozstanie ze swoimi książkami, a najbardziej — ciągle wymagania różnych ignorantów, którzy gdy przyszło do zapłaty, nie okazali się nawet na tyle hojni, aby mógł zwrócić dług ufnemu mistrzowi Morelowi.

— Nie wpuszczaj nikogo — rzekł. — Chcę dokończyć horoskop delfina.

— Myślałem, żeś już skończył, panie — Leon zerknął znacząco na zaścielające stół zapisane karty.

— Skończyłem. To będzie nowa, poprawiona wersja. Muszę wycisnąć z królowej pieniądze na powrót do domu i nie widzę powodu, by narażać się na jej niewdzięczność.

— Krótko mówiąc, wykreślisz śmiertelną chorobę, panie, i zastąpisz ją „okresem wielkiego zagrożenia”?

— Leonie, niech ci się nie wydaje, że długoletnia służba w moim domu uprawnia cię do impertynencji. Delfin będzie największym władcą w Europie, jeśli przeżyje niebezpieczny okres.

— No właśnie — rzekł Leon, wtykając jeszcze jedną poduszkę za plecy swego pana i podsuwając podnózek pod zartretyzowaną stopę proroka. — Czy wasza miłość życzy sobie, żeby obiad przyniesiono tutaj?

— Oczywiście. Tylko bez sosu. Śmietana przyprawia mnie o rozstrój żołądka.

Kiedy Leon wyszedł, Nostradamus umoczył pióro w kałamarzu i napisał: „W siedemnastym roku życia dostojny Delfin musi całkowicie porzucić myśl o łowach, jeśli chce pomyślnie przejść okres wielkiego zagrożenia...”

Jak to dobrze, że Leon nie umie czytać, pomyślał. Docinkom nie byłoby końca. Obaj dobrze wiemy, że delfin za nic nie zrezygnuje z polowania...

Za jego plecami rozległ się szelest i zdławiony chichot. Nie odwracając głowy, Nostradamus rzekł:

— Wstydz się, Anaelu. To nieładnie się skradać. Poza tym wcale cię nie wzywałem.

— Mówiłem ci już, Michale, że chodzę, gdzie i kiedy zechcę.

— Doktorze Nostradamusie, jeśli łaska.

— Ty też mówisz do mnie po imieniu.

— Masz inne nazwiska?

— Całe tuziny. I wiele tytułów. Po prostu nie jestem tak próżny jak niektórzy ludzie.

— Umiesz tylko krytykować. Doprawdy, człowiek nic nie może zrobić, żeby zaraz ktoś inny nie podsuwał mu irytujących rad...

— Albo pękał ze śmiechu na widok wielkiego proroka klekającego odcenzurowany horoskop, żeby zarobić pieniądze na wyjazd z miasta.

— Odejdź, zarazo, i nie wracaj, dopóki cię nie wezwę.

— Nie licz na to. Życzyłeś sobie proroczego ducha, no i masz proroczego ducha w mojej skromnej osobie, czy ci się to podoba, czy nie. — Anael szyderczo skłonił głowę i wykonał okrągły zamach ręką, jaki zwykle czynią szlachetnie urodzeni panowie, zdejmując kapelusze. (Ponieważ jednak szlachetny pan sięgający powały wznoszącej się czternaście stóp wyżej nie miał ani kapelusza, ani nawet koszuli na grzbiecie, efekt wypadł mizernie.) — Poza tym doskwiera mi nieco nostalgia wiecznego istnienia, a że zaraz wydarzy się tu coś zabawnego, postanowiłem wpaść na chwilę.

Nostradamus, który dotąd starannie unikał wzroku ducha, nie chcąc narażać się na dalsze kpiny, teraz podniósł głowę znad papierów i spostrzegł, że Leon otworzył komuś drzwi. W drzwiach zaś stała najbardziej irytująca i pretensjonalna poetka na całym Bożym świecie, tuląc do łona paczkę przewiazaną fantazyjną wstążką. Dobry Boże, pomyślał Nostradamus, cały stos wierszy i pewnie będąc musiał je wszystkie przeczytać.

Panna de La Roque tkwiła w progu jak oniemiały słup soli, wpatrując się w olbrzymią nagą postać o czarnych skrzydłach. Najwyraźniej Anael nie był dla niej niewidzialny.

— Ja... nie wiedziałam, że macie gościa, mistrzu — wyjąkała. — Przepraszam, panie... eee... Anaelu, jak sądzę? Może wrócę później, gdy skończy pan się ubierać.

— Nie, nie, nie odchodź — rzekł Anael i zwracając się do Nostradamusa dodał: — Widzisz? Oto ktoś, kto umie się grzecznie zachować.

— Skąd panna wie, że to Anael? — zdziwił się Nostradamus. — I jakim sposobem go widzisz?

— O, ja często widzę różne rzeczy — odparła niezbyt przytomnie dziewczyna, po czym dodała z wahaniem: — Pan Anael, ciemnoniebieski, bardzo przystojny... anioł Wenus. — Zarumieniła się. — Nie wiedziałam o tych mrugających iskierkach. Jak one wirują!

Nostradamus nagle ocknął się i korzystając z tego, że Sybilla wciąż gapiała się na ducha, nakrył brudnopis horoskopu czystą kartą, a dla pewności obciążył ją jeszcze księgą i kałamarzem.

— Przyproceedziła panna tego... zwierza? — zagadnęła.

— Wiem, że nie lubicie Gargantui, mistrzu, zostawiłam go więc w domu.

— A gdzie wścibska ciotka?

— Przemebłowuje mieszkanko, które właśnie wynajęłyśmy. To niedaleko stąd. Przyniosłam wam...

— Proszę je położyć na stole — rzekł zrezygnowany prorok.

— Później przeczytam. Nie zadedykowałaś ich mnie, mam nadzieję? Naprawdę nie chciałbym...

— To... wasze pantofle. Kazałyśmy je zrobić na wzór starych. Są dokładnie takie same.

Nostradamus nagle poczuł się bardzo mały i podły, zwłaszcza gdy zauważył, że oczy dziewczyny wypełniają się łzami.

— Mojemu ojcu też się nie podobały — podjęła. — Myślałam... Skoro królowa stwierdziła, że są urocze, i pan Montmorency także je chwalił, szczególnie ten, który napisałam o was, myślałam więc... Przepraszam. — Otarła łzę z oka i potrząsnęła głową.

— Zechcesz tu usiąść, panno Sybillo — rzekł Anael, sadowiąc swą gigantyczną postać na wielkim łożu stojącym w kącie pokoju i wskazując jej miejsce obok siebie. — Widzisz, różni ludzie mają różne uzdolnienia. W twoich dialogach prozą wiele fragmentów zadziwia trafnością i dowcipem. W pewnych dość licznych kręgach cieszą się one opinią twoich najlepszych prac.

— Tak myślisz?

— Bez dwóch zdań — zapewnił ją Anael. — Tajemnica prawdziwej kariery literackiej polega na tym, aby pisać to, co wychodzi najlepiej. Musisz poznać samą siebie, nim sięgniesz po pióro... — Poetka z zakłopotaniem zerknęła na ciemny olbrzymi tors i zawahała się. — ...moim zdaniem powinnaś zająć się historią. Sam mam do tego smykałkę, mógłbym więc pomóc. Michale, jesteś gburem. Nawet nie zaproponowałaś damie, by usiadła.

— E... hm, najmocniej przepraszam. Gdzie ja mam głowę? Proszę, niechże panna bez obaw usiądzie obok Anaela. Może nie jest odziany wedle najświeższej mody, ale maniery ma nieskazitelne.

Sybilla z wahaniem przysiadła obok wielkiej nagiej postaci, starannie układając fałdy sukni tak, by okryły jej stopy. Jasnovidz jeszcze bardziej pożałował swej bezmyślnej gafy. Nie ma nic smutniejszego od starej panny, która zdaje sobie sprawę, że nią jest, stwierdził w duchu.

— Myślałam, że... że może nadszedł wreszcie czas, gdy moje utwory zostaną docenione... To znaczy, wszystkim się bardzo podobały i nawet... chyba to nie robota tego wstrętnego Menandra?

— Wypowiedziała panna życzenie? — przeraził się prorok.

— Nie, choć wiele osób na moim miejscu chętnie by to zrobiło. Królowa trzyma mnie przy sobie i nie uwierzcie, kto się do mnie zaleca, żeby tylko móc zerknąć na Menandra! Myślałam, że może... może chociaż część tego, co mi mówią, płynie ze szczerego serca. Ale chyba on ma rację. To tylko puste pochlebstwa.

— Kto ma rację, Menander? A w ogóle gdzie on jest? Myślałem, że nie odstępuję panny na krok. Już powinien był się tu zjawić.

— Oznajmił, iż zostawia mnie do czasu, aż zrozumiem, że dla mnie jedyną szansą uniknięcia żalosnej samotnej starości jest on. Chętnie wróci, żeby dać mi bogatego, przystojnego męża. A w ogóle ma lepsze towarzystwo.

— Lepsze towarzystwo? — Prorok poczuł, że włosy jeżą mu się na karku.

— Dwa dni temu ktoś włamał się do nas i skradł go. Podobno ma go teraz diuszesa Valentinois. Odczułam wielką ulgę, choć królowa nie posiada się ze zdenerwowania. On... wiecie, on mówi do mnie w nocy i przez to nie mogę spać. Powiada, że... że skoro nie wyrażam życzeń, to przynajmniej powinnam usunąć mu się z drogi, bo jest wielu ważniejszych ode mnie ludzi, do których mógłby należeć. I zawsze kiedy coś mnie cieszy, on wraca i wszystko niszczy.

— Panno Sybillo, czy nie zdajesz sobie sprawy, że on to robi specjalnie, żeby cię zmiękczyć? — wtrącił Anael.

— Wiem, ale to i tak boli.

— Zawsze uderza w najsłabsze miejsce — rzekł Nostradamus. — A będąc nieśmiertelny, ma dość czasu, by nie działać pochopnie. Proszę nie lekceważyć jego przebiegłości i podłości.

— To samo mówi ciocia. Powiada, że na złość jemu powinnam być szczęśliwa, ale on okrada mnie z każdej radości. Znużył mnie już tak, że właściwie nie chce mi się żyć.

— I będzie to robił dalej, dopóki nie wypowie panna życzenia, tracąc przy tym duszę. A jeśli w ten sposób nie zdoła jej zdobyć, będzie się starał doprowadzić cię do samobójstwa. Musisz być silna! Ulegali mu mędracy i wizjonerzy, ale ty musisz go przetrzymać! — Nostradamus płonął z oburzenia, współczucia i chęci, by pokonać Menandra jego własną bronią. Nawet nie zauważył, że Anael uśmiecha się pod nosem.

— Najpierw powiedział, że źle wyglądam w moich pięknych nowych sukniach, i rzeczywiście: nagle zaczęły wisieć na mnie jak na kołku. Potem powtarzał, że i tak jestem brzydka... odtąd nie mam nawet ochoty patrzeć w lustro, bo ilekroć spojrzę, widzę jakąś skazę: nos nie taki, brwi nie takie albo na przykład przyszcz., no, wiecie... — Sybilla wygładziła spódnice, spuszczać wzrok. Była blada i smutna. — Potem pomyślałam: cóż, przynajmniej cieszę się dobrym zdrowiem, nie omieszkam mi więc przypomnieć, że zdrowie nie trwa wiecznie, a najstraszliwsze choroby zaczynają się od zupełnie niewinnych objawów. Ilekroć się przeziębę, mówi, że znał kogoś, kto od tego umarł, i od razu czuję się gorzej. Kiedy zaczęłam bywać na dworze, żeby czytać królowej swoje wiersze, wydawało mi się, że wszyscy mnie tam polubili. Menander orzekł, że prawią mi pochlebstwa, bo chcą przeze mnie dostać się do niego, a tak naprawdę śmieją się ze mnie za moimi plecami. I przysięgam, mistrzu, że na każdym kroku zaczęłam słyszeć za sobą szept, a w każdym przyjaznym słowie dopatrywać się ukrytego afrontu. Pomimo to nie dałam się skusić. Nie zażądałam urody ani wiecznej młodości czy zdrowia, nie zażyczyłam sobie, by wszyscy podziwiali me utwory... Byłam silna.

— Wiem, wiem. Wytrzymałaś dłużej niż ktokolwiek inny.

— A potem zaczął się do mnie zalecać pan d'Estouville. Wynajmował muzyków, którzy grali na wiołach i lutniach pod moim oknem. Wyobrażacie to sobie? Najbardziej czarujący i przystojny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznałam! Wysoko urodzony, hojny, elegancki, podziwiany przez mego ojca i brata... Nie posiadałam się z radości. A Menander dogadywał mi z kredensu, że panu d'Estouville zależy tylko na majątku, który odziedziczy po cioci. Powiedział mi dokładnie, ile Filip ma długów, i że jego bogaty wuj cieszy się doskonałym zdrowiem, na razie więc nie ma co liczyć na jego śmierć...

Istotnie, pomyślał Nostradamus, który niedawno zaglądał w przeszłość czarującego pana d'Estouville.

— Widzicie? Nawet wy wiecie, mistrzu, że to prawda. Toteż ciocia nie chce go wpuścić za próg. Trudno, pomyślałam, ważne, że mam

swoją Sztukę. Menander natychmiast stwierdził, że moje wiersze są okropne, i od razu straciłam natchnienie. Moje muzy uleciały. Teraz umrę z głodu na jakimś strychu i dopiero po latach znajdą moje ciało, a raczej okropną, wyschniętą mumię, jak mi przepowiedział...

— Ależ to bzdura! — obruszył się prorok.

— Też tak odparłam. Powiedziałam mu, że przecież mam ciocię. A on na to, że ciocia kupiła mnie od ojca wyłącznie dlatego, żeby mu zrobić na złość, i nawet rodzina mnie nie kocha, czegoż więc mam oczekiwać...

— Ojciec pannę sprzedał?

— No, można to tak ująć. Zgodził się na adopcję, kiedy ciocia ofiarowała się spłacić jego długi. Nie uważacie, że kochający ojciec powiedziałby: „Nigdy!” ewentualnie tylko wynajął mnie na jakiś czas? To jeden wielki koszmar!... A kiedy powiedziałam tej wstrętnej głowie z piekła rodem, że wielki Nostradamus przepowiedział mi świetlaną przyszłość, rzekł, że jesteście szarlatanem...

— Tego już za wiele! — Nostradamus podskoczył ze złości tak gwałtownie, że uraził się w bolącą stopę. — Przysięgam, zniszczę ten przekłety gadający ochłap, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu! — Huknął pięścią w stół, strącając przykrywkę z kałamarza. — Niechże panna nie upada na duchu! Sądzisz, że naprawdę nie potrafię czytać ludzkiej aury i rzeczywiście skończysz tak, jak mówił? Ta zła, podstępna istota bierze strzępki prawdy i wypacza je tak, że w końcu są samym fałszem. Chce cię pozbawić własnej woli, a miał tysiąc lat, by się tego nauczyć! Nie rozumiesz, do czego on zmierza? Jeśli doprowadzi cię do rozpaczy, sama odbierzesz sobie życie, i będzie miał duszę nie musząc nawet spełniać żadnego życzenia! To dla niego miła odmiana! Znudził się po tylu długich wiekach i w ten sposób się zabawia! Ale ja, nieomylny Nostradamus, ułożę ci horoskop gratis, całkiem za darmo, i pokażę, że wszystkie jego złe prococtwa są fałszywe! Szarlatan, też coś! Zetrę tę ohydłą mumię na proch! — żołądkował się stary prorok, tak rozjuszony, że na szyi nabrzmiały mu żyły, a włosy popadły w kompletny nieład. Nie widział szerokiego, triumfalnego uśmiechu Anaela.

Tego ranka Mikołaj Montvert obudził się ze snu, w którym widział ojca stojącego nad nim i wygłaszającego gromkie kazanie o zaletach wczesnego wstawania, cenie świec wypalanych późną nocą, kosztach poniesionych na jego edukację i podróże, mijających mu bezowocnie latach oraz o tym, iż powinien stać się wreszcie człowiekiem

odpowiedzialnym. We śnie właśnie gotował się, by odrzec: „Ale ja nie chcę być bankierem”, gdy nagle otworzył oczy i zobaczył ojca stojącego nad łóżkiem w ciemnej jedwabnej szacie, złotym łańcuchu i płaskim berecie. Jego długa broda podrygiwała w takt wypowiadanego słów:

— ...haniebne marnotrawstwo! Twój dziadek przewraca się w grobie! Matka płacze... nawet anieli płaczą! Lenistwo to jeden z grzechów głównych...

— Mmmm... — wymamrotał zaplątany w pościel Mikołaj.

— I do tego udaje, że śpi! To już szczyt bezczelności! Jak ciężkie brzemię przyjdzie mi jeszcze znosić? Wkrótce zejdem z tego świata i to ty będziesz przyczyną mojej śmierci, twoja czarna niewdzięczność...

— Już, już wstaję — mruknął Mikołaj. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, pod oczyma miał ciemne kręgi, ślady przehulanej nocy.

— Chcę, żebyś przejrzał ze mną rachunki, a po południu zabieram cię na spotkanie z człowiekiem, który prowadzi księgi rachunkowe królowej. Nie masz pojęcia, jak długo na to czekałem! Powinieneś być mi wdzięczny za taką szansę...

— Ależ jestem wdzięczny, ojcze, słowo daję. Obiecuję, że się stawię. O której godzinie?

— A gdzież to się wybierasz, że odziewasz się w takim pośpiechu?

— Eee... tego... na mszę, ojcze. Ostatnio czuję potrzebę obcowania z Bogiem, modlitwy całym sercem...

— Na mszę w środku tygodnia, gdy nie chodzisz w niedzielę? Och, jestem głupcem, że znów ci wierzę. Boże, Boże, jak to możliwe, że jedno dziecko w rodzinie zbierze wszystkie cnoty, a drugie pełne jest wad jak psia sierść pcheł?

Ostatecznie to jest pewna forma religijności, powiedział do siebie Mikołaj idąc wąskimi uliczkami dzielnicy Marais, z których przedostał się na rue Saint-Antoine i już prawie jednym skokiem znalazł się na progu domu przy rue Cerisée. Ów próg był ołtarzem Wenus. Codziennie dotykała go stopa pięknej Sybilli. A dziś, pomyślał, dziś moje oczekiwanie nareszcie wyda owoc. Odkryję tożsamość podłego Hiszpana, a potem znieważę go i będzie musiał wyzwać mnie na pojedynek. Położę go trupem w honorowej walce i w ten sposób zmyję plamę...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i serce Mikołaja podskoczyło na widok ukochanej. Była sama, bez pachółków, lektyki, opiekunki ani wielkiego, łaszącego się psa. Wyszła pieszo, odziana

w prosty ciemny płaszcz, przyciskając do piersi tajemnicze zawiniątko. Ostrożnie rozejrzała się w obie strony i uznawszy, że nikt jej nie widzi, ruszyła przed siebie szybkim i zdecydowanym krokiem. Trzymając się cienistej strony ulicy, Mikołaj podążał za nią prędko i cicho jak kot — nie, tygrys, a może nawet lew... Trochę czasu zajęło mu dobranie w myślach właściwego i budzącego dostateczny respekt zwierzęcego odpowiednika, aż w końcu zdecydował się na gigantycznego, sunącego bezgłośnie jadowitego węża. Tym razem Hiszpan mi nie umknie, myślał. A może to z tym drugim chce się spotkać w sekrecie? Co za różnica! Wyzwę obu i obu kolejno pokonam. Dzięki temu stanę się sławny...

Wyobrazził sobie staruszkę wygrzewającą się na słońcu w jakimś klasztornym ogrodzie. Ktoś pyta: „Ona? To o nią Montvert stoczył ów słynny podwójny pojedynek?”, a ktoś inny odpowiada: „Ależ, moja droga, to było dawno temu. Nie masz pojęcia, jaka była wtedy piękna. Ale wszystko przemija... Po zwycięstwie kawaler Montvert nigdy już nie odezwał się do niej nawet słowem, albowiem była zhańbiona. Spędziła tu następne pięćdziesiąt lat, nieutulona w żalu.”

Właśnie kiedy dotarł do najlepszej części swego snu na jawie, Sybilla minęła szwajcarów u bramy wiodącej na dziedziniec Hôtel de Sens. Ruszył za nią, lecz strażnicy dość obcesowo zagadnęli go, kim jest i jaki ma tu interes. Zastanowił się prędko, co mógłby powiedzieć: Mikołaj Montvert, filozof i obserwator życia? Mikołaj Montvert, uczestnik bijatyk w połowie studenckich tawern Włoch i Francji? Bywalec tanich sal szermierczych i autor nie wydanego jeszcze drukiem traktatu „O tajnikach włoskiej sztuki fechtunku?” Mikołaj Montvert, syn bankiera, lecz nie bankier? Żadne z tych określeń nie oddawało jego wyższości nad zwykłą ludzką tłuszcza oraz świetlanej, acz jeszcze niezupełnie sprecyzowanej przyszłości, jaką widział przed sobą. Potrzebny mi tytuł, rzekł posepnie do siebie, przyczajając się nie opodal bramy w oczekiwaniu, aż panna wyjdzie w drogę powrotną. Muszę stać się tak wielki, aby wynajęci gwardziści nie odprawiali mnie spod bramy jak handlarza tanimi błyskotkami.

Po pewnym czasie dostrzegł inną postać czającą się w pobliżu. Był to żołnierz weteran w brudnych lachmanach, pijany w sztok mimo wczesnej pory dnia. Tacy jak on okrywają złą sławą innych, którzy czają się w szlachetnym celu, pomyślał Mikołaj. Podejrzany typ również wpatrywał się w bramę i przyglądał gościom, księżom, kupcom i suplikantom wchodzącym i wychodzącym z pałacu. Najwyraźniej na kogoś czekał. Wynajęty zbir, orzekł w duchu Mikołaj,

który natknął się tu i ówdzie na podobnych ludzi. Bardzo zdeterminowany albo bardzo dobrze opłacony, skoro zdecydował się na zamach w biały dzień! Ulicą przeszła kobieta z tacą pasztetów zapiekanych w cieście. Złoczyńca kupił jeden i zaczął żuć. Patrząc nań, Mikołaj przypomniał sobie, że nie jadł śniadania, a skąpstwo ojca pozbawiło go funduszy na podobny zakup. To z kolei skłoniło go do refleksji, że skąpcy zawsze źle kończą. Właśnie gdy wyobrażał sobie, jak ojciec na łożu śmierci żałuje za swe winy i błaga o wybaczenie obdartego, wychudzonego jak żalosny szkielet syna, z bramy wyszło jego bóstwo z nieszczęśliwą miną i bez paczki.

— Mademoiselle Sybilla de La Roque? — zapytał zbir, zastępując jej drogę.

Zaskoczona panna kiwnęła głową, a potem wszystko stało się równocześnie.

— To od pana Villasse'a! — krzyknął zbir unosząc rękę, lecz w tej samej chwili Mikołaj skoczył na niego, wytrącając mu coś z dłoni. Panna zaczęła krzyczeć, witról wylał się na ziemię. Parę kropel wypaliło dziury w rękawie Mikołaja, czego zresztą młodzieniec nawet nie zauważył, albowiem właśnie tłukł głową napastnika o bruk, wrzeszcząc:

— Gdzie Hiszpan! Powiedz mi, gdzie mieszka, bo cię zabiję! Kim jest señor Alonzo?!

Gwardziści na próżno usiłowali ich rozdzielić. Wokół szamoczących się przeciwników skupili się nadbiegający ze wszystkich stron przechodnie. Podniosły się okrzyki:

— Szalenciec!

— Ma atak!

— Nie, to próba zabójstwa!

— Morderca! — krzyczał Mikołaj, kiedy odciągano go od sponiewieranego napastnika. Ktoś za nim powiedział:

— To witról. Patrzenie, jak wypala bruk.

Dopiero wtedy Mikołaj posłyszał krzyk swojej ukochanej.

— Ona mdleje! — zawołał, obracając się prędko i chwytając ją w ramiona. — Szybko, gdzie medyk?

— Nie, nie... Proszę nie dotykać, moja ręka! — zawołała dziewczyna, dygocząc na całym ciele. — Na miłość boską, wody! — Podniosła wzrok i nagle ujrzała Mikołaja. — To ty, panie! Znów mnie śledziłeś... Ale widziałam... widziałam, jak podbiłeś mu rękę...

— Jesteś poparzona i wystraszona, pani. Prędko, musimy znaleźć medyka — rzekł wprowadzając ją na dziedziniec Hôtel de Sens. Tu też biegli ku nim ludzie.

- Jesteście krewnym tej panny?
- Jej kuzynka jest moją bliską przyjaciółką. — Była to lekka przesada, ale usprawiedliwiona przez okoliczności.
- Pomocy! To pali! Niech ktoś przyniesie wody! — Ikała Sybilla. Ktoś chlusnął wodą na rękę, którą przyciskała do siebie, mocząc ich oboje od stóp do głów, kwas jednak nadal z sykiem wżerał się w ciało.
- Wciąż piecze, Jezus, Maria, przepali mi ciało do kości!
- Słysząc było okrzyki i bieganinę służby, szukającej medyka w wielkim starym budynku. Cichy stukot trzciny laski utonął w ogólnym zamieszaniu.
- Musimy odciąć rękaw — rozległ się spokojny głos. — Proszę włożyć rękę do tego wiadra. Tak, aż po ramię.
- Niespodziewanie dla siebie samego Mikołaj klęczał na bruku, podtrzymując w ramionach swoje bóstwo, podczas gdy starzec w doktorskiej szacie obmywał ramię panny wodą zmieszaną z popiołem drzewnym, neutralizującym działanie kwasu. Mikołaj całym sobą czuł puls ukochanej, chłonał jej szybki, urywany oddech, bicie jej serca...
- Celował mi w twarz! — chlipnęła. — W oczy!
- Ma panna szczęście — rzekł doktor. — Leonie, więcej wody i dodaj do niej mnóstwo popiołu. Musimy całkowicie rozcieńczyć i spłukać kwas, inaczej weźrę się głębiej. Szczęściem drań nie trafił i szczęściem wiem, iż sama woda nie powstrzyma strasznego działania wotriolu.
- Złapaliśmy złoczyńcę, panienko — rzekł jeden ze szwajcarów.
- A ten tu panicz uratował was.
- A, tak... — Doktor spojrział Mikołajowi w oczy. Miał taką samą brodę jak stary monsieur Montvert, lecz na jego twarzy wyglądała ona zgoła inaczej. O różnicy stanowiło chyba malujące się na tej twarzy głębokie zrozumienie. — Słońce w znaku Lwa — dodał. — Będzie ci się szczęścić.
- Nie rozumiem. Łajdak próbował oblać pannę wotriolem, a ty, człowieku, mówisz mi, spod jakiego jestem znaku?
- Młodzieńcze, jestem Michał de Nostre-Dame.
- Ten astrolog? — Mikołaj wytrzeszczył oczy. Czy to oznaczało, że Sybilla nie była na schadzce, lecz u wróżbity? Ależ był głupi! Oblała go fala ulgi zmieszanej z rozczarowaniem, bo planowana wspianiała podwójna walka rozwiązała się jak dym.
- Nie powinna panna sama iść do domu po tak strasznych przeżyciach — rzekł doktor Nostradamus. — Niechże ten młody

człowiek cię odprowadzi. W razie gdyby dalej piekło, trzeba przemywać wodą z popiołem drzewnym, a potem nałożyć maść z miodu i jaj. Ranę utrzymywać w bezwzględnej czystości, bo skóra całkiem zeszała. Ale i tak masz szczęście: dłoń i ramię się zagoją. Aha... i proszę pozdrowić ode mnie ciotkę.

Przybyły oddział kuszników zabrał wyrwijącego się i głośno zapewniającego o swej niewinności zamachowca. Tłum pociągnął za nimi w nadziei na dalszy ciąg widowiska.

— Ależ ten drań ma czelność! — oburzył się jeden z rozchodzących się gapiów.

— Ha! Co za dureń najął moczymordę do lania witriolem? Nie trafił!

— Pewnie jakiś idiota zapłacił mu z góry i chłop upił się jeszcze przed wykonaniem zadania.

— A panna wciąż widzi i może go rozpoznać...

— Mości panno, widzisz, do czego to prowadzi? — rzekł z mocą mój wybawca. — Porzuć niegodne życie, porzuć tego nędznego Hiszpana...

— Jakiego Hiszpana? — zdziwiłam się.

— Och, nie udawaj niewiniątka. Wiem wszystko, ale ci wybaczam. Rozumiesz jednak, że nie mogę z czystym czołem oddać się na twe usługi, dopóki go nie zabiję?

— Ależ kogo?

— Tego, kto zwiódł cię z dobrej drogi, kto wykorzystał twą niewinną urodę, nikczemnego Alonza...

— Chodzi ci, panie, o señora Alonza? — uśmiechnęłam się. — Kiedy odprowadzisz mnie do domu, przedstawię ci go.

Jak mogłam go tak nie docenić?, myślałam. Traktowałam go jak utrapienie, kolejnego łowcę posagów. Myliłam się. Przemawia przez niego prawdziwe uczucie. Bóg go posłał, aby mnie wybawił. To cud, cud i...

Przez całą drogę na rue Cerisée wciąż huczało mi w głowie jedno wypowiedziane przezeń słowo, kojąc ból, zmieszanie, smutek i szok. Rosło i pęczniało, otaczając nimbem tego wysokiego, ciemnowłosego młodzieńca, który tak troskliwie mnie prowadził, osłaniając ramieniem moją poparzoną rękę. To jedno krótkie słowo przydało blasku skromnemu nazwisku Montvert, wynosząc je ponad wielkie szlacheckie rody, i sprawiło, że jego szczupła, wrażliwa twarz przyćmiła oblicze samego Apollina. Słowem tym była „uroda”.

Dochodziła północ i świeca mistrza Michała wypaliła się prawie do podstawki. Leon chrapał na posłaniu rozłożonym pod ścianą u stóp wielkiego łoża. Słudzy przestali już pospiesznie przemykać od drzwi do drzwi komnaty, która w tym dziwnym starym pałacu pełniła rolę przechodniej sieni. Nawet myszy posnęły, lecz stary prorok wciąż z uporem biedził się nad horoskopem, pokreślonym i usianym kleksami inkaustu niczym okrzykami rozpaczcy.

— Nadal nic mi nie wychodzi, Anaelu — rzekł, zaglądając do tablic astronomicznych. — Chyba oszaleję. Patrz, tu jest dzień i godzina, które mi podała: szósta rano dnia jedenastego lutego, a tu jej charakter i losy. Nic nie pasuje do tej dziewczyny, a już najmniej do tego, co czytam w jej aurze.

— Hm... — Anael złożył ramiona na nagiej piersi. — Widzę, co masz na myśli.

— Nic nie widzisz — zdenerwował się Nostradamus. — Nawet nie zajrzałeś.

— Zapominasz, że nie muszę patrzeć, aby widzieć — zganil go duch.

Prorok chrząknął i powrócił do pracy.

— Spójrz na to, no sam zobacz! Zgodnie z horoskopem jest delikatną, wrażliwą dziewczyną o poetycznym usposobieniu, która powinna była umrzeć w połogu dwa lata temu, jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia. A oto mamy wielką, zdrową kobyłę, która nie jest nawet zamężna.

— Sama jednak uważa się za wrażliwą i poetyczną.

— Jej wiersze są okropne, a co do jej wrażliwości... ma skórę grubszą niż smok, zwłaszcza kiedy pcha się tam, gdzie nie jej miejsce. I przez cały czas przybiera pozę tragicznej zwiędłej lilii, choć pod tą pozą kryje się sarkastyczny dowcip zdolny obdzielić kilka scenicznych komedii. To wszystko pozory, Anaelu.

— Może skłamała, podając ci datę urodzenia. Jest trochę czuła na punkcie swego wieku — rzekł Anael tonem fałszywego współczucia.

— Nie. Widzę w jej aurze, że mówi prawdę, przynajmniej tym razem. Upewniła się nawet u swojej chrzestnej matki. — Prorok przecesał palcami włosy, aż zjeżyły się śmiesznie po jednej stronie. Anael zachichotał. Nostradamus podwinął rękawy, żeby nie splamić ich inkaustem, i z powrotem pochylił się nad kartą. — Ma się niemal wrażenie, jakby za wszelką cenę starała się być osobą opisaną przez ten horoskop — mruknął pod nosem. — To po prostu nie ma sensu.

— Może powinienes odłożyć to do jutra i zdrzemnąć się trochę.

— Wiesz, że nie mogę spać w tym okropnym łóżku. Poduszka jest wypchana tanimi piórami, nie gęsim puchem jak w domu. Mam przez to koszmarnie sny. Przez całą noc widzę zamieszki, śmierć i bratobójczą wojnę. Trudno o gorsze sny. Gdybym nie czekał na zapłatę od królowej, wyjechałbym już wczoraj... nie, przedwczoraj. Poza tym przepiórki podane na obiad były twarde i łykowane, a sos zalatywał stęchlizną. Od tamtej pory bez przerwy mi się odbija. Kucharze tu, na północy, w ogóle nie potrafią docenić zalet czosnku.

— Tylko dlatego, że nie żrą go na surowo jak mieszkańcy Béarn...

— zaczął Anael, lecz Nostradamus już spał z głową opartą na papierach. Duch pochylił się nad nim i zdmuchnął przygasającą świecę.

— Jak więc widzisz, młodzieńcze — mówiła ciocia — choć część jego bogactw jest w naszym posiadaniu, właściwy señor Alonzo, ongiś przeciwnik mego męża, spoczywa już od dawna na dnie oceanu. Pan Tournet nadał jego imię mojemu pieczoszki. Ta małpka przez wiele lat była jedyną pociechą biednej, samotnej wdowy, której rodzony brat okazał się podłym niewdzięcznikiem. Masz, skarbie — zagruchała podając zwierzątku kolejny kawałek kandyzowanej skórki pomarańczowej. — Spójrz tylko, młodzieńcze, na te małe rączki, te kruche paluszki!

Señor Alonzo wdrapał się na kotarę, przysiadł na drążku i wykrzywił się paskudnie do mego dzielnego obrońcy, który gęsto się tłumacząc i ploniąc wdzięcznym rumieńcem kluczył w stronę drzwi.

— Małpa... — mamrotał. — Małpa... A wy jesteście jej chrześtną matką... Ja... przepraszam, muszę już iść... Mam pilne sprawy...

— A jakież to sprawy cię wzywają, panie Montvert?

— Eee... hm... Muszę być z ojcem punktualnie o czwartej w Luwrze... Mamy bardzo ważne spotkanie...

— Ależ nie ma jeszcze południa! Do czwartej pozostało mnóstwo czasu, a tyś pewnie nic nie jadł!...

Na całe szczęście ciocia starczało słów za nas obie, albowiem ja po tych wszystkich przejściach całkowicie straciłam mowę na rzecz wzroku — owego błogosławionego zmysłu, cudem ocalonego przez dzielnego młodzieńca po to, bym mogła go podziwiać. Toteż patrzyłam nań zachłannie, dziwiąc się, dlaczego dotąd nie zauważyłam, jak uroczo wygląda w rozchełstanej koszuli, której trok zwisa beztrudno z wycięcia kaftana. Dlaczego nie doceniłam wyrafinowanej prostoty

ubioru pozbawionego sztywnej kryzy i uczesania przeczącego obowiązującym wzorcom każącym napomadować i gładko przylizać włosy? Jak mogłam przeoczyć te mocne ramiona i cudowne ciemne oczy, pełne w tej chwili jakichś nie wypowiedzianych uczuć, albo te smukłe arystokratyczne dłonie (z pewnością dziedzictwo po odległym przodku szczyjącym się wyższą rangą niż Montvertowie)? Nonszalancka powierzchowność podkreślała tylko zalety prawdziwie szlachetnej duszy...

— Ale... eee... muszę się jeszcze przebrać. Tak, muszę się przebrać. — Młodzieniec rozejrzał się zażenowany. Na nieszczęście jego wzrok padł na jeden ze swobodniejszych w treści gobelinów cioci, „Sąd Parysa” z trzema nagimi boginiami, co jeszcze wzmogło jego skrępowanie.

— Och, twój rękaw! Proszę tylko spojrzeć na te wielkie dziury! Witriol to straszna rzecz! Każę memu krawcowi, by zaraz zdjął ci miarę i prześlę nowy kaftan i koszulę jako znak mej wdzięczności... Jesteś pewien, że nie możesz zostać na obiedzie? — Ciocia najwidoczniej nie zauważała, że coś z nim i ze mną jest nie tak. Że też nie słyszała głośnych uderzeń mego serca podczas niezręcznych przerw w konwersacji!

Udało mi się wykrztusić:

— Proszę zostać...

Jak zawadiacko wyglądał w berecie przekrzywionym na jedno oko! Jaki wdzięczny kąt tworzyła jego broda wznosząc się na spotkanie kości policzkowej... jaka przepiękna niebieskawa żyłka pulsowała mu na skroni...

— I... i... i chcesz, pani, ze mną rozmawiać, mimo że... z tym Alonzem... że tak strasznie się pomyliłem co do twojej reputacji?

— Przecież uratowałeś mnie, panie, ocaliłeś przed straszną zemstą Villasse'a.

— Villasse! — Młodzieniec nagle przestał się rumienić i wyprostował się dumnie. — Znajdę go i zabiję. Wyzwę go na pojedynek i pokonam w honorowej walce. — Wspaniała błyskawica załśniła mu w orlim oku.

— Błagam, panie Montvert, zostaw go królewskiej sprawiedliwości. Najęty przez niego drab wyzna wszystko i nie będziesz musiał nurzać we krwi swego ostrza.

— Tak czynią tchórze — wymamrotał.

— Panie Montvert — zapytała ciocia — w ilu sprawach honorowych brałeś dotychczas udział?

— Hm... eee... no cóż, formalnie w żadnej, ale sporo umiem....
Wiele podróżowałem, znam nowe włoskie *bottes* i...

— Za to ja znam Villasse'a od wielu lat. Jest stary, lecz przebiegły. W młodości wyszedł cało z wielu pojedynków, zwykle podstępem. Wiesz, że raz w sekrecie nasączył olejem ziemię w miejscu, gdzie miał się potykać, i później wmanewrował swego przeciwnika na to śliskie miejsce? Nikt nigdy nie obciążył go winą za upadek tamtego. Jest chytry jak wąż, a jeśli będzie miał prawo wyboru broni...

— Mimo to nie mogę z czystym sumieniem...

— ...Ale oczywiście możemy to omówić przy obiedzie. Na pewno jesteś głodny. Przecież z narażeniem życia ratowałeś Sybillę zupełnie nie troszcząc się o siebie! Taka rycerskość! Nie zechcesz chyba pozbawić nas swego towarzystwa?

— Jeżeli panna de La Roque sobie tego życzy...

— Sybilla — wydusiłam. — Proszę do mnie mówić: Sybillo.

— Jeśli panna Sybilla sobie życzy...

W milczeniu skinęłam głową.

— A zatem, panie Montvert, podaj ramię mojej ukochanej chrześniaczce i poprowadź ją do stołu, dobrze? Zdaje się, że już podano.

Pamiętam tylko, że omal nie zemdlałam pod jego dotknięciem. Nie wiem, co było na obiad, i choćby mnie krajano w paski, nie potrafię sobie przypomnieć ani słowa z prowadzonej przy stole rozmowy.

— Czy to na pewno wypada? — spytała diuszesa Valentinois.

Stała przy kominku w szykownej komnatce strzelistego białego pałacu w Chenonceaux. Był to dar od króla, jej szcudrego kochanka, i przedmiot zawiści wszystkich, którzy go widzieli — szczególnie królowej. Marmurowe gzymsy zdobiły splecione litery H i D — Henryk i Diana. Na ścianach wisiały cudowne arras, a na przysadzistym, rzeźbionym stole stała srebrna szkatuła ryta w dziwne, starożytne symbole oraz podobiznę koguciołowego bóstwa w latającym rydwanie. Za murami chłodne, zielone wody rzeki Cher marszczyły się pod palami schodzącej na brzeg galerii, a niebo lśniło tym boskim chłodnym błękitem, który zdobi je tylko w najpiękniejsze jesienne dni. Las zaczynał dopiero żółknąć; w dali słychać było myśliwskie rogi — to goście diuszesy oddalali się od zamku w pogoni za dzikim zwierzem.

— Zapewniam cię, pani — rzekł Simeoni, wysoki chudy mag w wyszarzałej czarnej szacie — że ów Menander pochodził z królewskiego rodu w swoim kraju.

— Zatem istotnie nie ma chyba w tym nic niewłaściwego. Tak wiele owych szczątków pochodzi od ludzi niskiego stanu, powieszonych przestępców, jakichś okropnych kramarzy czy wręcz żebraków. Nie życzę sobie ujawniać moich sekretnych pragnień plebejuszowi.

— O pani, nawet przez myśl by mi nie przeszło proponować coś takiego osobie o równie starożytnym rodowodzie i wyrafinowanym smaku.

— Dobrze więc, mistrzu Simeoni, przystąpmy do rzeczy. Mam otworzyć szkatułkę czy poprzez wypowiedzenie magicznych słów sama się otworzy?

— Ja ją otworzę, ale proszę mi obiecać, że wasza łaskawość się nie przestraszy.

Diuszesa kiwnęła głową na znak zgody, lecz cofnęła się widząc wyschniętą, pomarszczoną głowę w skrzynce.

— Och, jaka okropna! — wykrzyknęła. — Zupełnie zmumifikowana!

— Nie bardziej niż ty — odciął się Menander unosząc jedną skórzastą powiekę i przewracając lśniącem, złowrogim okiem.

— Doprawdy, panie Menandrze, czysta przyzwoitość nakazywałyby nałożyć trochę kremu z ogórków na te okropne bruzdy, które masz na policzkach. — Diuszesa zacisnęła z dezaprobatą małe usta i wypielęgnowaną dłonią wygładziła przypadkową zmarszczkę na bogato wyszywanym rękawie. — Jestem wstrząśnięta tym, iż osoba o pańskiej pozycji mogła się tak zaniedbać.

— Mów, czego chcesz, głupia niewiasto — sarknął Menander. — Pewnie wiecznej młodości?

— Z pewnością nie od ciebie — odparowała Diana de Poitiers — skoro nie potrafisz zadbać o właściwe utrzymanie własnej cery. Doprawdy, radzę smarować te kurze łapki olejkiem różanym. Wyglądasz okropnie.

— Simeoni, popamiętasz mnie za to — warknął cicho Menander.

— Błagam, wasza wysokość, bądź wyrozumiała dla szlachetnego księcia Menandra. Ostatecznie ma już prawie dwa tysiące lat.

— Nie ma wytłumaczenia dla tak rażącego braku dbałości o siebie — odparła królewska metresa. — Ale cóż, nie jest Francuzem, a zatem nie może wiedzieć, czym jest prawdziwe wyrafinowanie... Tak, jestem to w stanie zrozumieć.

— Musi też wasza łaskawość wziąć pod uwagę towarzystwo, w jakim ostatnio przebywał. — Simeoni rozpaczliwie próbował ratować przyobiecaną zapłatę.

— Tak, to wiele tłumaczy. Żałosna, pozbawiona gustu królowa z rodu zamorskich lichwiarzy, różni godni pogardy dorobkiewiczze w rodzaju Gondich czy wreszcie ta koszmarna poetka! Wszystko zostaje ci wybaczone, panie Menandrze, albowiem wiele wycierpiałeś.

— No, myślę — mruknęła z irytacją głowa w kufrze.

— Dobrze. Simeoni, powiedz mu, czego chcę.

— Pani, ja nie mogę tego zrobić. Wasza łaskawość musi sama wypowiedzieć magiczne słowa i sama objawić swe życzenie księciu Menandrowi.

— Skoro muszę... Na Agabę, Ortneta, Baala, Agaresa, Marbasa, zaklinam cię. Na Almoazina, membroty, sylfy i salamandry, otwórz ciemne wrota i bądź mi posłuszny!

— Wypowiedz swe pragnienie. — Głos okropnej głowy zaszeleścił jak proch przesypany się w starych grobowcach.

— Ja, Diana de Poitiers, diuszesa Valentinois, rozkazuję i pragnę, abys nie pozwolił królowej zyskać wpływu na króla Henryka Francuskiego ani teraz, ani nigdy, choćby nawet wprzegła w swe usługi magię.

— Już się stało — odpowiedział Menander Nieśmiertelny. — Czas objawi ci prawdę.

W lśniących oczach mumii zamigotał złośliwy błysk. Dla wzmocnienia efektu Menander wyczarował ciemny opar, przez który z trzaskiem śmignęła błyskawica, ale diuszesa tylko niecierpliwie tupnęła wąską, namaszczone pachniałem stopą obutą w jedwabny pantofelek i skrzywiła się:

— Fe, jakież to gminne! Olejek różany, Menandrze, i radziłabym się powstrzymać od wulgarnych efektów. Dzięki temu będziesz miał lepszą klientelę.

— Za kogo mnie uważasz i jak śmiesz tak do mnie mówić! — wrzasnął Menander. — Nie jestem twoim fryzjerem! — Co powiedziałwszy, sam zatrzasnął wieko i zniknął wraz z kuferkiem, ze złości pozostawiając na politurze stołu osmaloną plamę.

Powinienem na jakiś czas opuścić kraj, pomyślał Simeoni, wtykając pieniądze diuszesy do wytartej skórzaney sakiewki przy pasie. Dzięki krążącym pomiędzy Włochami plotkom słyszał o życzeniu królowej Katarzyny i choć mówiono o nim, że nie umie przewidzieć nadejścia jesieni, w nagłym błysku objawienia pojął, jak Menander Nieśmiertelny może spełnić za jednym zamachem życzenie królowej i życzenie diuszesy. Jeśli mnie tu nie będzie, znajdą sobie innego kozła ofiarnego, rzekł do siebie. Nie mam ochoty skończyć jak Guaricus. Staremu

Simeoniemu przyda się rok lub dwa wywczasów nad morzem i skromna posadka u księcia Urbino. Ci Francuzi i tak nie potrafią docenić mistrza.

Tydzień później widziano go za Orleanem. Jechał na objuczonej starej gniadej klaczy w towarzystwie małego sługi na osiołku. Kierował się na południe, zmierzając zakurzonym traktem ku Tuluzie.

— Zobaczmy... — Ciocia pochyliła się nad rozłożonym tarotem. — Kochankowie, Słońce, wszystko wygląda znakomicie... szkoda tylko, że tu mamy Damę Mieczy. Nie lubię, kiedy pojawia się w tej pozycji. Ale nie może być żadnych wątpliwości: Mikołaj jest dla ciebie stworzony, Sybillo. To idealny kandydat.

— Karty go aprobują i ja też — wtrącił opat. — Świetnie gra w warcaby. Namiętność nie trwa wiecznie, lecz nad szachownicą można spędzić całe życie. Zuchwały chłopak! Widziałas, co w zeszły wtorek zrobił z moją damką? Pospiesz się i skończ tę grę, Sybillo, chcę namówić twojego kawalera na rewanż.

— Nie mogę — odparłam. — Mikołaj zapędził mnie do kąta i muszę się jakoś przebić. Poza tym to nieładnie obmawiać kogoś za plecami.

Siedzieliśmy nachyleni nad planszą. Gra weszła w końcową fazę; po obu stronach były już same damy i żadne z nas nie ustępowało ani o piędź. Odkąd ciocia wyraziła zgodę na to, by Mikołaj odwiedzał nas codziennie, czas upływał nam w czarodziejskiej mgiełce. Czytaliśmy wiersze, Mikołaj grał na mandoli i śpiewaliśmy w duecie, oprócz tego zaś bezlitośnie ścieraliśmy się na szachownicy. Kiedy siedzieliśmy tak blisko siebie, nasze serca biły w jednym rytmie; rozłączeni, mieliśmy wrażenie, że każdemu odjęto połowę własnego „ja”.

— Aha! Hop! I co, Mikołaju?

— Wpadłaś w moją pułapkę! Hop, hop! I pożegnaj się z dwoma damami.

— A teraz... Popatrz tylko!

— No tak — rzekł opat, który zbliżył się, by zlustrować sytuację na planszy — Teraz oboje utknęliście na amen. Ogłaszam remis. Tak, to zdecydowanie remis. Cały kłopot w tym, żeście się dobrze dobrali.

— I nie tylko w warcabach — wtrąciła ciocia. — Muszę znaleźć swatkę, która przemówi do rozumu twojemu ojcu, Mikołaju. Jestem pewna, że moja oferta go zadowoli. Cały ten bzdurny plan sprowadzenia żony z zagranicy... Przecież to nie ma sensu! Musisz mu wyjaśnić, że moja dziewczynka jest cnotliwą panną, widujecie się pod okiem

godnych szacunku osób, a wiano też będzie nieblahe. Na pewno ustąpi, kiedy zda sobie sprawę, że stawką jest twoje szczęście. Mikołaj był jednak pełen czarnych myśli.

— Och, pani! Ilekróć mu wspomnę o żonie Francuzce, krzyczy, że Francuzki to bezwstydnie zalotnice, że taka żona robi ze mnie głupca i przyprawi mi rogi, i że on wie lepiej. Potem grozi, iż zamknie mnie w Bastylii lub odeśle do krewnych w Genui... Co ja mam robić? Sama pani wie, że przenigdy nie ożenię się z inną kobietą. Wolałbym umrzeć, niż żyć bez Sybilli.

— Hmm... — mruknęła ciocia. — To jest pewien problem. Jeśli uciekniecie razem, twój ojciec nigdy wam nie przebaczy. Ma prawo cię zamknąć, młodzieńcze, unieważnić ślub i nie tylko... A ja chcę, żeby moja dziewczynka cieszyła się szacunkiem w rodzinie Montvertów. Trzeba go jakoś przekonać... Ha, będę musiała coś wymyślić. Nie martwcie się, pomysłu niekiedy jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

— Przestańcie łomotać do drzwi! Czy nie powiedziano wam, że dziś nikogo nie przyjmuję? Boli mnie głowa! — wrzasnął Nostradamus w stronę zamkniętych na klucz drzwi komnaty.

Przez cały dzień — to jest od chwili gdy prorok rzucił kałamarzem w golibrodę kardynała i uszło mu to na sucho — słudzy wybierali okreśną drogę, omijając na palcach jego przechodnią izbę. Sam Nostradamus w najmniejszym stopniu nie czuł się winny awantury z kałamarzem. Prześladowały go demony. Wcale nie najmniej dokuczliwym spośród nich był nieuchwytny od kilku dni Anael, który jak na złość nie chciał mu pokazać ani jednej wizji. Tymczasem bracia Ruggieri wywołali ducha w fosforyzującej zbroi, aby przepowiedzieć usmarkanemu delfinowi, iż będzie wielkim władcą trzech królestw. Oczywiście królowa była zachwycona; skakała wokół nich jak, nie przymierzając, zakochany podłotek. Prorok miał też w pamięci wulgarne insynuacje Menandra oraz pewną poplamioną inkaustem kartę, na której wykreślony był jedyny horoskop, jaki mu nie wyszedł. Gdy zaś częściowo odzyskał równowagę ducha za sprawą przepysznego ragout i dobrego starego wina bordoskiego, lokaj w królewskiej liberii dostarczył mu dwie sakiewki. Przeliczywszy ich zawartość stwierdził, że jest posiadaczem stu trzydziestu koron — sto zapłacił mu król, a trzydzieści królowa. Ledwie mogło to starczyć na podróż powrotną.

— Strzeż się hojności monarchów, Leonie — zawarczał gniewnie doktor, chowając pieniądze do wyświechtanego trzosa.

Reszta dnia wcale nie upłynęła lepiej, a teraz jakiś bezczelny lokajczyk wali kijem w jego drzwi.

— Otwórzcie, otwórzcie! — zawołał kobiecy głos. — Mam bardzo ważne wieści dla mistrza de Nostre-Dame!

— Idź, otwórz, Leonie. Widać pisana mi korona męczeńska — westchnął z rezygnacją prorok.

Gdy jednak zobaczył w progu tęgą niewieścią postać i laskę ze srebrną rączką wzniesioną do kolejnego uderzenia w drzwi, zbladł, westchnął jeszcze głębiej i powstał od stołu.

— Pani Tournet! — bąknął. — Co cię sprowadza, pani?

— Nowiny, i to nowiny najwyższej wagi, mistrzu. Poza tym chcę zabrać horoskop mojej chrześniaczki. Obiecałeś pan go przysłać trzy dni temu. Pewnieś pan zapomniał?

— Nie jest jeszcze gotowy — rzekł zirytowany jasnowidz.

— Nie gotowy? Nie gotowy? — Dama przeniosła swe cielsko na środek komnaty, skąd mogła dojrzeć zawartość papierów rozłożonych na stole. Prorok przesunął się, by zasłonić je sobą, lecz nie był dość szybki. — A cóż to widzę tam, na stole? Tę kartę pokrytą kleksami z inkaustu? Słońce w znaku Wodnika... to na pewno moja chrzestna córka. Nie szkodzi, wezmę brudnopis.

— Nie weźmie go szanowna pani — Nostradamus wyprostował się i zmierzył ją swym najbardziej władczym spojrzeniem. Nie tak łatwo jednak spieszyć żonę pirata.

— Oczywiście, że wezmę. Ty, panie, musisz natychmiast wyjechać i nie będziesz miał czasu na sporządzenie czystej kopii. Wystarczy mi ta.

Nostradamus chwycił dokument tuż sprzed jej wyciągniętej dłoni i schował go za plecami. Nawet pani Tournet nie była aż tak bezczelna, aby wyszarpnąć mu go z ręki.

— Dlaczego miałbym jechać? — spytał. — Planuję spędzić w Paryżu jeszcze przynajmniej trzy tygodnie.

— Jeśli przedłużysz pan pobyt choć o trzy dni, zostaniesz tu na zawsze.

— I to mnie zarzucają mętność wypowiedzi! Mówże jasno, moja pani, o co chodzi, bo nie dostaniesz tego horoskopu.

— Chciałam powiedzieć, że jeśli nie opuścisz miasta, spoczną tu twoje zwłoki. Wiem z najlepszego źródła, że sorbońscy teolodzy i ich przyjaciele z Pałacu Sprawiedliwości chcą przeprowadzić śledztwo dotyczące źródeł twojej wieszczej mocy. A oboje wiemy, że nie używają delikatnych metod. Nawet jeśli zdołasz uniknąć stosu, nie będziesz miał w ciele jednej całej kości.

— Skąd mam wiedzieć, że mnie nie okłamujesz, mając na względzie jakiś niski cel? Może nasłał cię Wawrzyniec Ruggieri albo Simeoni. Ile ci zapłacili, co oferowali w zamian za nakłonienie mnie do wyjazdu? A przecież zdajesz sobie sprawę, że tylko ja mam dostatecznie wielką moc, by obmyślić sposób uwolnienia twojej córki od Menandra Nieśmiertelnego!

— Mówię szczerą prawdę. Wspomniała o tym żona doradcy z parlamentu podczas partii kart. Są zazdrośni o łaski okazywane ci przez królową i chcą, aby twój proces stał się przykładem i postrachem. Musisz natychmiast uciekać.

— Już raz mnie okłamałaś.

— Ja nigdy nie kłamie! — oznajmiła z mocą pani Tournet.

I tu Nostradamus wykonał swój mistrzowski sztych, swój *coup de Jarnac*. Prawdę mówiąc, był to cios zadany po omacku, ale z wielkim wyczuciem. Wiadomo wszak, że takie rzeczy się zdarzają nawet w najlepszych rodzinach.

— Nie? — syknął. — Okłamałaś swoją bratanicę, a pośrednio i mnie. Sfalszowałaś datę jej urodzin, przez co zmarnowałem mnóstwo czasu i wiele dobrych świec. A teraz masz czelność żądać horoskopu i namawiać mnie do wyjazdu pod jakimś sobie tylko wiadomym chytrym pretekstem!

Z góry przygotował się na grad zaprzeczeń, lecz ku jego zdziwieniu tęga, olbrzymia postać pani Tournet zadygotała i jakby skurczyła się, zapadła w watowanych, suto marszczonych szatach. Jej twarz zbieiała bardziej od koronkowej kryzy, przez co czarny wąsik zarysował się na niej jeszcze wyraźniej niż zwykle. Bursztynowe oczy wypełniły się łzami. Ślepo namacała za sobą krzesło i opadła na nie wydając ni to westchnienie, ni to świst, podobny do tego, jaki wydaje nadmuchany świński pęcherz, kiedy dzieci przekłują go podczas zabawy.

— Przysięgam przed ołtarzem, że nigdy nie wyjawię tajemnicy. Znają ją tylko trzy osoby na tej ziemi, ty, mistrzu, jesteś czwartą. Proszę mi obiecać, że Sybilla nie dowie się o tym, co ci powiem. Pękłoby jej serce.

— A tamte dwie osoby?

— Zabiorą tajemnicę do grobu.

— Jedną zapewne jest ksiądz, który ją ochrzcił?

— Zbyt wiele widzisz, mistrzu.

— A druga?

— Druga jest moją najlepszą na świecie przyjaciółką. Ale dość już o tym, dość... Nie mogę o tym myśleć, bo umrę z żalu.

— Zatem pozostaje nam tylko jedno: muszę znać prawdziwą datę jej urodzin.

— Nie mogę...

— W przeciwnym wypadku Menander Nieśmiertelny przędzie czy później wygra tę wojnę nerwów i Sybilla będzie stracona. Chyba ty, pani, bardziej niż ktokolwiek inny potrafisz to zrozumieć.

— Cóż.... w takim razie muszę...

Prorok odczekał chwilę, aż starsza dama zwalczy resztki oporów.

— Wyślę ci horoskop, kiedy go ukończę — rzekł zachęcająco.

— Do rąk własnych, bo pewnie zechcesz go przed nią ukryć. I tak większość zleceń załatwiam listownie.

— Proszę podejść bliżej, szepnę ci to do ucha — chlipnęła pani Tournet ocierając oczy, a wraz z nimi znaczną ilość zwilgotniałego ryżowego pudru. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt nie podsłucha.

Prorok nachylił się, zbliżając ucho do jej ust.

— Ach, tak? — szepnął. — No, to wszystko zmienia...

ROZDZIAŁ XVI

Kardynał Karol Lotaryński pozostał w sali narad, pragnął bowiem pomówić z królem sam na sam po wyjściu stronników Montmorency'ego. Już w zeszłym roku nad Francją zawisło widmo głodu, a mroźna zima i chłodna, dżdżysta wiosna również na ten rok nie zapowiadały urodzaju. Za romboidalnymi szybami wąskich okien Luwru gwałtowna zimna ulewa siekla wieże, ulice i paru spieszących się przechodniów. Stary konetabl dowodził działaniami wojennymi na północnej granicy kraju, król zaś czuł się nerwowy i niepewny bez jego stabilizującej obecności. Brat kardynała, diuk de Guise, odnosił zwycięstwa na froncie południowym. Sukcesy we Włoszech przyniosły mu chwałę, lecz przedłużająca się nieobecność odsunęła go od ośrodka władzy. Czas, by kardynał zaczął działać w interesie domu Gwizjuszy.

— Najjaśniejszy panie — rzekł, gdy król szykował się już do wyjścia — mam wieści z Rzymu, które sprawią ci radość.

Henryk II zwrócił ku swemu doradcy poważną, skupioną twarz, lecz prawa dłoń zdrząła mu niecierpliwie. Zimą wyraźnie przytył i tęsknił już do odrobiny ruchu na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie grano *w jeu de paume*. W milczeniu skinął głową, udając zainteresowanie i gładząc wąską czarną bródkę. Ten jego ulubiony gest zyskał mu niezasłużoną reputację myśliciela.

— Miłościwy królu — podjął kardynał — nasza petycja doczekała się wreszcie odpowiedzi. Papież nakazał, by Święte Oficjum zaczęło oczyszczać kraj z nowej herezji.

Chłodny przeciąg poruszył tapiseriami w sali narad. Zza arrasu czmychnęła mysz i skryła się pod ciężkim dębowym stołem.

— Mhm. — Król ponownie kiwnął głową, kierując się w stronę drzwi. — A kto został mianowany wielkim inkwizytorem?

— Ja — rzekł kardynał, wychodząc za nim na korytarz i zręcznie odsuwając na bok dworzan czekających już z przyborami do gry. — Niestety, papież przydzielił mi dwóch innych kardynałów, Châtillona i Burbona. Taki jest zwyczaj, choć w obecnej sytuacji należałoby jedynie nad tym ubolewać.

— Dlaczegoż mielibyśmy ubolewać nad tym, że trzech książęta Kościoła podejmą się tak wielkiego zadania?

— Mam powody podejrzewać, że Châtillon... jest jednym z nich.

Châtillon był członkiem rodu Montmorency, należało więc splamić go podejrzeniem o herezję lub zdradę. Gwizdus czynił to subtelnie — znaczące spojrzenie, cień dowodu, szept tak cichy, że nie budził echa w kamiennych komnatach.

Król przystanął i spojrzał na niego przez ramię.

— Ach, tak? Otrzymuje pisma z Genewy?

— Nie jest aż tak nieostrożny, ale... darzy ich sympatią. Toleruje ich bardziej, niż powinien. Po tych oznakach odgadłem to, co ukrywa przed wami, najjaśniejszy panie, i przed papieżem: herezja już zakorzeniła się w jego sercu.

Zeszli na dół. Paź niosący wielki dzban wody zatrzymał się, by ich przepuścić. Z końca korytarza dobiegł zachęcający męski okrzyk, szmer aplauzu i stuk uderzonej piłki.

— Nawet gdyby głosił kazania w ich świątyni, w co bardzo wątpię, masz przecież po swojej stronie Burbona. Wiem zaś, że Burbon jest dobrym katolikiem.

Wewnętrzny dziedziniec śmierdział potem, moczem i starymi skórami. Lina była już naciągnięta, z krużganków zerkaly w dół zaciękwione twarze. Kardynał zaczął mówić szybciej, starając się zatrzymać słabnącą uwagę króla:

— To prawda, wasza miłość. Zaiste, nic się przed tobą nie ukryje. Ale z pewnością zauważyłeś też, że jest to człek leniwy, a upodobanie do wygod życia i rozrywek odbiera mu energię potrzebną do ścigania zdradzieckich heretyków. Dobrodusznosc i umiłowanie nowinek czynią go zbyt wyrozumiałym. Ot, choćby zeszłej jesieni gościł w swoim domu tego astrologa, Michała de Nostre-Dame. Ponoć niemal co wieczór podejmował go przy swoim stole. Wszystkie wysoko urodzone damy ubiegały się, aby ten szalbierz przepowiedział im przyszłość.

Wzmianką o przepowiedniach kardynałowi udało się wreszcie przykuć uwagę króla. Henryk odwrócił się do niego i rzekł z rozdrażnieniem:

— To przesady, mój drogi. Gardzę nimi, lecz doprawdy nie sposób ich wypenić. Na szczęście nie są tym samym co herezja. Moja królewska małżonka, jak sam wiesz, wierzy bez zastrzeżeń w najbardziej bzdurne gusła, a przecież nie znalazłbyś na tej ziemi gorliwszej katoliczki. Nigdy jej nie dość modłów i mszy... rzekłbym nawet, iż nieco z tym przesadza. Cóż, jest Włoszką, na dodatek stryjeczną wnuczką papieża. Nie, przesady nie wystarczą, by oskarżyć kogoś o zbrodnię herezji.

— Twoja przenikliwość nie ma sobie równych, najmiłościwszy panie, jednakże czasem... czasem martwię się, że choć Burbon jest takim dobrym katolikiem, być może nadmiernie faworyzuje swą rodzinę. Jego brat...

W oczach króla błysnęła iskierka gniewu.

— Król Nawarry jest zmienny jak kurek na wietrze. Trudno traktować go poważnie. Pieni się, pomstuje, knuje rozmaite bezskuteczne intrygi chcąc odzyskać hiszpańską połowę swej krainy i nigdy nie dostrzeże niczego poza tym. Owszem, jest księciem krwi, ale cieszę się, że od tronu Francji dzieli go trzech moich dziedziców. W krótkim czasie sprzedałby kraj przez roztargnienie albo za radą nowego faworyta, który dojdzie do wniosku, że to świetny pomysł. Nie, Antoni de Bourbon nie ma dość siły woli, aby stać się niebezpiecznym heretykiem.

— On nie, ale jego żona... Dwór królowej Nawarry jest dla nich schronieniem.

— Czyżbyś naprawdę obawiał się kobiety? Pamiętaj, że mówisz o córce umiłowanej siostry mego ojca, króla Franciszka. — Król odwrócił się niecierpliwie. Tym razem Karol Lotaryński posunął się za daleko.

— Wycofuję to, co powiedziałem, najjaśniejszy panie. Zresztą królowa Nawarry niechybnie uległa wpływowi swego młodszego szwagra, księcia Conde, który otwarcie popiera heretyków.

— Tak? Pierwsze słyszę. Cóż, będę musiał dokładniej się przyjrzeć Nawarze. Moją kuzynkę jednak masz zostawić w spokoju. To królewska krew, lepsza niż twoja, kardynale. Skoro Joanna chce być ekscentryczką, to wyłącznie jej sprawa. — Król schylił głowę w niskich drzwiach i wyszedł na dziedziniec.

Gwizdus zospieszył za nim.

— A co z karą śmierci dla hugenotów?

Henryk zdjął wierzchnią szatę, rzucił ją paziowi i wyciągnął rękę po raketę, skinieniem głowy kwitując radosne powitania.

— Oczywiście, oczywiście — rzekł z roztargnieniem. — Kierujcie się obowiązującym prawem... tylko nie ruszajcie niemieckich najemników... ich książęta są bardzo zapalczywi. Rozumiesz waść, na niektóre rzeczy trzeba na razie patrzeć przez palce. — Król machnął ręką, jak gdyby tą i wszystkimi innymi sprawami miała się zająć niewidzialna siła ulokowana gdzieś nieco ponad jego lewym łokciem, i zajął miejsce na boisku przy wtórze okrzyków zachęty dobiegających z położonego wyżej kruzganka.

Ziarno zostało zasiane, myślał Karol Lotaryński krocząc samotnie przez wilgotne, śmierdzące korytarze Luwru. Rzuciłem podejrzenie na Burbonów i Montmorenych. Gdyby tylko dobry Bóg pozwolił staremu konetablowi zginąć w bitwie... Wąż pozbawiony głowy jest martwy i tak samo umrze potęga tego klanu, skażonego zbytnią niezawisłością myśli. Stąd już tylko mały krok do herezji. Dziś są bohaterami, lecz niewielkim wysiłkiem jutro zrobię z nich zdrajców. Inkwizycja się umocni, zyska wpływy, a wraz z nią Gwizjusze — jedyni bezspornie prawdziwi katolicy. Inkwizycją zaś rządzą ja... Jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę czasu, a będziemy mieć w rękach trzy królestwa.

Był piękny wiosenny dzień dwa miesiące po tamtej znamiennej rozmowie. Na gałęziach drzew śpiewały ptaki, w zaułkach przekrzykiwały się rozbawione dzieci, a z okien domów wychylały się kobiety, by głośno wymieniać plotki nad sznurami suszącego się prania. Ale mieszkańcy pięknego domu przy rue de Bailleul nie słyszeli tych odgłosów wiosny. Zagłuszały je dudniące od piwnic po strych głośne, gniewne okrzyki Scypiona Montverta, bankiera, szanowanego obywatela i ojca rodziny. Wszyscy słudzy, nawet chłopiec ostrzący w kuchni noże, chodzili na palcach i uciszali się wzajemnie udając, że nie słyszą ryków dobiegających zza zamkniętych drzwi komnaty syna i dziedzica domu Montvertów.

— Jak śmiesz zamykać drzwi przede mną, własnym ojcem! Otwórz, powiadam, bo inaczej podpiszę dokument, aby zamknięto cię w Bastylli jako wyrodnego syna! Kiedy mówię otwórz, masz otworzyć!

Pani domu złapała się za serce, opierając się na ramieniu ciemnowłosej bladej córki, która pobożnie wzniosła oczy ku niebu, przyciskając do piersi pięknie oprawny modlitewnik.

— Czy ty nie widzisz, młody człowieku, że życie przecieka ci przez palce? Kiedy byłem w twoim wieku, wstawiałem o świcie i uczyłem się rzemiosła! Języków, prawa, finansów! Posłałem cię do najlepszych szkół w Bolonii, w Montpellier, w Tuluzie i z każdej cię wyrzucili! A teraz noce spędzasz poza domem, całe dni zaś przesypiasz!

Odpowiedział mu cichy szmer.

— Nie szukaj wymówek! Łajdaczyłeś się w spelunach sześciu krajów! Z kim się zadajesz? Czy z ludźmi szacownymi, którzy mogą ci pomóc w życiu? Czy też z synami nędznych oberżystów, zabijakami ze szkół szermierczych, zubożałymi i okrytymi niesławą wierszokletami oraz wszelakiej maści hołotą zbiegłą spod szafotu? Do takich właśnie ludzi ciągnie mój jedyny syn niczym zwichrowany magnes!

— Mamo — szepnęła młodsza siostra Mikołaja, kiedy ojciec umilkł, by zaczerpnąć tchu — czy mogę wziąć Bernarda, żeby towarzyszył mi na mszę?

— Nicpoń! — rozległo się na górze. Matka wzdrygnęła się.

— Ojciec kazał Bernardowi pilnować twego brata, żeby nie włóczył się po szynkach i zamtuzach — wyszeptala w odpowiedzi. — A Mikołaj już wstał, nie słyszysz?

— Bo w ogóle to Mikołaj powinien iść ze mną do kościoła, a nie jakiś sługa. Gdyby choć raz dał się namówić! Tak bym chciała, żeby pewnego dnia za moim wstawiennictwem dostał łaski Bożej!

— Och, moja kochana, dobra córeczko, dlaczego Pan Bóg dał ci tyle cnót, a twemu bratu ani jednej? Słowo daję, ten chłopak wpędzi mnie do grobu!

— Gdyby tylko mama zdołała namówić ojca, żeby pozwolił mi wstąpić do zakonu...

— Wiesz, że ojciec sobie tego nie życzy. Kto przedłuży ród Montvertów, jeśli twój brat... Boże, jak ja przez niego cierpię!

— W twoim wieku byłem już człowiekiem poważnym i odpowiedzialnym! — zagrmiało z góry. — Żonatym! Miałem przed sobą przyszłość! Jaką widzisz przed sobą karierę? Kondotiera? Płatnego zabójcy czy zawodowego szulera? No? Odpowiedz mi!

— Dobrze, ojcze. Rozpocznę nową kartę w swoim życiu.

Na te słowa cały ruch w domu ustał. Matka i córka dyskretnie nastawiły uszu i podkraśliły się do połowy schodów.

— Tak — ciągnął Mikołaj. — Już od dzisiaj. Daj mi zgodę na ślub, a wezmę się za jakiś szacowny fach, na przykład prawo, jak sobie zawsze życzyłeś.

Kobiety westchnęły z ulgą.

— Nie tak szybko, nicponiu! O ile pamiętam, nie ukończyłeś studiów prawniczych na żadnym z trzech uniwersytetów. Kto mi zagwarantuje, że je podejmiesz i nie zaczniesz znów hulać? Nie! Dość tego! Pójdiesz do terminu, jak Pan Bóg przykazał. W genueńskim banku krewnych twojej matki nauczą cię fachu, a co do ślubu, owszem, wyswatam ci rozsądną, przyzwoitą dziewczeczkę z bogatej i zacnej rodziny.

— Właściwie, ojcze, jest pewna panna...

— Co!? jak śmiesz!!! Myślałeś, że w ten sposób zdołasz mnie podejść?

Pani Montvert i jej córka spojrzały na siebie oczyma rozszerzonymi ze zgrozy.

— Jest piękna, wysoko urodzona, uwielbia mnie, a ja... ja tak bardzo ją kocham, że zrobiłbym wszystko, nawet został bankierem, żeby tylko zyskać twe błogosławieństwo, ojcze.

— Chodziłeś w zaloty bez mego pozwolenia?! Ostrzegałem cię, żebyś nigdy więcej nie ważył się tego robić!

— Sam przecież mówiłeś, że powinienem nawiązywać znajomości z ludźmi dobrze urodzonymi i wpływowymi...

— Mężczyznami, nie kobietami, idioto!

— Ona pochodzi z bardzo dobrej rodziny... Artaudowie z La Roque-aux-Bois to szlachta miecza, bardzo stary i szacowny ród. Sama królowa bardzo ją ceni...

— Co? Ty... ty... z tą kurtyzaną? Wiem o niej wszystko! Świadom, że Bóg pokarał mnie głupim synem, zasięgnąłem języka już wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem tę kobietę, i usłyszałem dużo więcej, niż pragnąłbym usłyszeć! Jej kuzynka Matelina to urodzona lafirynda i bezustanne źródło zmartwień swego dobrego męża! A ta twoja Sybilla jest od niej jeszcze gorsza! Porzuciła dom i rodzinę i zamieszkała ze swą zepsutą ciotką, by zagarnąć spadek, należący wedle prawa do jej ojca! A teraz na dodatek ma jakieś konszachty z dworem! Tajemnicze i bez wątpienia grzeszne!

Obie panie Montvert były już u szczytu schodów, tylko załamanie korytarza dzieliło je od spierających się mężczyzn. Zamarły w bezruchu, tak że słyhać było niemal, jak rosną im uszy.

— Mój synu, mój synu, czyżbyś stracił nawet tę nędzną resztkę rozumu? Nie domyślasz się, dlaczego uwodzi cię kobieta tego pokroju? Kobieta, która usługuje królowej, pokazuje się publicznie, czyta swoje wiersze i co gorsza, wydała książkę pod w ł a s n y m nazwiskiem? Chce mieć bogatego męża, którym mogłaby pomiatać, a zarazem przykrywkę

dla swoich romansów, licznych jak gwiazdy na niebie. Tak właśnie prowadzą się damy dworu. Nie rozumiesz? One nie są takie same jak my...

— Ojczy, to ty nic nie rozumiesz. Ona jest czysta, szlachetna, mówię o rzeczach wzniosłych...

Iskra zrozumienia, która zabłysła w oku bankiera Montverta, w jednej chwili rozpalila się w pożar furii.

— Zatem odwiedzasz ją! Nie zaprzeczaj, czytam to z twojej twarzy! Odwiedzasz ją w sekrecie, bez mego pozwolenia! Od jak dawna, na miłość boską? Co jej obiecałeś? Czy jest brzemienna?

— Ojczy, ona jest cnotliwa i stała w uczuciach. Nie ma na świecie lepszej, pobożniejszej panny. Moglibyśmy razem być tacy szczęśliwi...

— Mój Boże, czy ty nigdy się niczego nie nauczysz? Znów prawnicy, znów wydatki... Ile będzie mnie kosztować pozbycie się tej ladacznicy?

— Ona niczego nie chce! Popatrz na mnie, nie widzisz? To prawdziwa miłość! Nasze serca i umysły są jednym. Umrę bez niej!

— To przy niej po tysiącokroć będziesz konał śmiercią rogacza! O, nie, co za dużo, to niezdrowo. Ja, twój ojciec i twój pan, zamykam cię w tej komnacie, dopóki nie zrozumiesz, że masz tylko dwa wyjścia: albo udasz się do Genui i tam nauczysz się żyć uczciwie i wykonywać zawód odpowiedni do twojej pozycji, albo wsadzę cię do Bastylii jako łajdaka i utracjusza!

Huk zatrząskiwanych drzwi wstrząsnął całym domem. Dwie przyczajone na schodach kobiety cichutko pierzchły na dół.

— Kto przybył? Angielski poseł? — Król Henryk zatrzymał się ze stopą już w strzemieniu podtrzymywanym przez lokaja.

Dziedziniec stajni w Fontainebleau pełen był koni, ujadaly podniecone ogary — pół dworu wyruszało na łowy. Nawet królowa Katarzyna, która mimo tuszy jeździła w damskim siodle śmiało jak mężczyzna, siedziała już na swym wysokim jabłkowitym ogierze używanym do polowań i oddychała głęboko rześkim porannym powietrzem, gotowa do wyjazdu.

— Niech czeka — rzekł król, wskazując na siodło. — Człowiek honoru nie marnuje swego czasu na deklaracje wojny wypowiedzianej przez kobiety.

Dworzanie, którzy posłyszeli to *dictum*, ryknęli śmiechem i czym prędzej zaczęli powtarzać je dalej, by mogła się nim nacieszyć cała szlachetna kompania. Król i jego dwór w znakomitych humorach

ruszyli na jelenia, angielski poseł zaś czekał w zapomnieniu przez kilka dni, dopóki król nie uznał za stosowne przyjąć do wiadomości, iż Anglia wypowiedziała mu wojnę, a jej armia przyłączyła się do wojsk cesarskich zgrupowanych na północnej granicy królestwa Francji.

— Gdzie miód?

— Proszę, najjaśniejsza pani — Lukrecja Cavalcanti sięgnęła po słoiczek na srebrnej podstawce i podsunęła go królowej.

Katarzyna nawet nie podniosła wzroku. Przed nią na dębowym stole leżała otwarta książka z zapisanymi ręcznie notatkami. Królowa, ubrana w luźną bledożółtą domową szatę i prosty koronkowy czepek, zajęta była ucieraniem w moździerz szarawego proszku. Bez gorsetu jej sylwetka była niemal kulista, lecz na pulchnej twarzy malowało się skupienie, a w oczach błyszczała żywa inteligencja. Gdy masa w moździerzu przybrała zadowalającą postać, Katarzyna, szeleszcząc taftową suknią, odwróciła się do swej damy dworu.

— Gotowe — powiedziała. — Sproszkowane geranium i szczypta, dosłownie szczypta, gałki muszkatolowej. Nie ma nic skuteczniejszego na letnie gorączki. Koi ból i łagodzi katar. A teraz miód... Moja dziewczynka nawet nie poczuje, że zażywa lekarstwo. — Królowa wymieszała zioła z miodem i wlała go do nakrywanej porcelanowej czarki malowanej w mityczne postacie.

— Wasza miłość, jesteś nie tylko wielką królową, lecz także najtroskliwszą z matek — powiedziała dama dworu, skinieniem nakazując służebnej posprzątać stół.

Królowa westchnęła.

— Staram się, Lukrecjo. Staram się. Lecz mimo całej mej wiedzy straciłam bliźniaczki.

— Smutek jest dolą każdej niewiasty.

— Teraz modłę się o zdrowie Elżbietki...

Poprzedzana przez pазia, królowa udała się wraz z panią Cavalcanti do komnaty, w której leżała chora królowa Elżbieta. Nie ufając nawet swej towarzysze, sama niosła lek, jakby miłość macierzyńska mogła dodać mu mocy przez cienką porcelanę. Na progu pokoju córki stanęła jak wryta. Za późno — obok wielkiego łoża już była diuszesa Valentinois, a pod oknem medyk unosił do oka fiolkę moczu, by zbadać jego kolor. Drugi medyk w długiej szacie wydawał polecenia cyrulikowi, który otworzył już żyłę na przegubie dziewczynki i trzymał pod nią miedzianą misę, do której skapywała ciemna krew. Za diuszesa stała wysoka, rudowłosa osóbką — Maria, krewna Gwizjuszy i protegowana Diany.

Na widok królowej wszyscy podnieśli wzrok i nagle zamilkli.

— Przyniosłam lekarstwo dla córki — oznajmiła Katarzyna, wchodząc do komnaty.

— Lekarstwo? — spytała pobłaźliwie Diana, unosząc jedną brew.

— Proszek z geranium.

— Fernel już się tym zajął.

Brodaty doktor z fiołką skłonił się głęboko.

— Wasza królewska wysokość, zaleciłem już puszczenie krwi, niezawodne w takich wypadkach...

— Rozumiem... — syknęła Katarzyna patrząc na śmiertelnie bladą córkę, z której życiodajna krew kropla po kropli wyciekała do miski.

— Chętnie zażyję twoje lekarstwo, mamusiu — odezwała się cicho Elżbieta.

— Nonsens — ucięła diuszesa. — Przeszkodziłabyś tylko w leczeniu. Zaufaj doktorowi, dziecko. Przyzwałam najlepszego w całym królestwie. Twoja matka nie musiała się trudzić.

— Rozumiem — powtórzyła zimno Katarzyna i odwróciła się, by odejść. Zza pleców doleciał ją przenikliwy szept Diany, mówiącej do królowej Szkocji:

— Najwidoczniej trzy kule w herbie Medyceuszy to apteczne pigułki!

Maria zachichotała. Królowa wyszła z komnaty, a gdy drzwi się za nią zamknęły, przystanąła i głęboko wciągnęła powietrze. Oczy jej płonęły, ale głos wciąż miała lodowaty, a twarz jak wykutą z żelaza.

— Lukrecjo — powiedziała — poślij po pannę de La Roque.

— Wasza wysokość... — Lukrecja Cavalcanti zbladła.

— Pragnę, by moja córka wzniosła się wyżej od królowej Szkotów, by moje dzieci ujrzały diuszese Valentinois w prochu u swoich stóp.

— Ale ta głowa.... ta głowa jest przekłeta... — wyszeptwała dama dworu.

— Nie obchodzi mnie to. Dziś zażądam od Nieśmiertelnego, aby wszystkim moim dzieciom dał korony, a Elżbietę wzniosł do takiej rangi, że ta stara ladacznica nie będzie godna wiązać jej butów!

— Wciągnij w płuca ten zapach! Samo zdrowie! Najbardziej siarczana woda w całej Francji! Wkrótce, Sybillo, otrząśniesz się ze złego nastroju i znów będziesz sobą.

Zostawiliśmy bagaże w wynajętych pokojach i poszliśmy obejrzeć łaźnie. Po lśniącym w słońcu jeziorze pływały łabędzie i łódki z wycieczkowiczami. Nadbrzeżną ścieżką przechadzały się sędziwe damy

wsparte na ramionach sług, co jakiś czas zbaczając w chaszczę, gdy poczuły niezawodny efekt picia leczniczych wód. Przed nami stał masywny kamienny budynek mieszczący przebieralnię, wanny, izby do masażu i cienistą arkadę ukrytą za wysokim murem obejmującym główny kompleks łaźni. Stawiano tu bańki, rezydujący stale cyrulik puszczał krew, a solidnie wykształcony medyk na życzenie badał moc. Zza muru dolatywały zachęcające pluski kąpiących się w głównym basenie pod gołym niebem, wołanie na służbę i szmer ożywionych rozmów. Nad wszystkim zaś wisiała ciężka śmierdząca chmura jakby prosto z piekieł.

— Wybacz, *ma tante*, ale śmierdzi tu, jakby stłukło się naraz dziesięć tysięcy zgnitych jaj. Wierzę, iż kuracjusze czują się potem lepiej, radzi, że wreszcie opuścili to miejsce.

— A widzisz? Już ci pomogło. Wraca twój dawny dowcip. Niedługo powróci też natchnienie i będziesz mogła skończyć ten piękny epicki poemat o królowej Klotyldzie. Nazbyt długo poddawałaś się melancholii. Pewnie szwankuje ci śledziona, jak mówi doktor Lenor, a poza tym powinnaś mieć lepsze wypróżnienia...

— Doskonale wiesz, ciociu, że nie w tym rzecz. Mikołaj poszedł prosić o zgodę na ślub i zniknął. Ojciec na pewno zamknął go w lochu złodzieja. Ten straszny człowiek zrobiłby wszystko, żeby rozdzielić nas na zawsze. Dlatego serce mi pęka i nie mam apetytu, i nie pomogą tu żadne siarczane wody.

Co gorsza — choć tego nie powiedziałam cioci — Menander co noc szeptał do mnie z komody: „Nie rozumiesz, że ugiął się przed wolą ojca? Bo i dlaczego nie? Co z oka, to i z myśli. On cię już nie kocha. Znaleźli mu prześliczną szesnastoletnią narzeczoną, świeżą jak kwiat róży, o maleńkich zgrabnych stopach i dłoniach, i wtedy uświadomił sobie, że ty jesteś brzydka, stara, wielka i okryta szpetnymi bliznami. To było tylko zauroczenie, które prędko minęło. Dlaczego nie zażyczysz sobie, żeby wrócił? Wszystko poszłoby jak z płatka, gdyby nie twój głupi upór. Bez mojej pomocy nie pokocha cię żaden mężczyzna. No mów! Mów! Wypowiedz życzenie! To przecież takie proste!”

Staralam się ukrywać swoje smutki, ale w końcu popadłam w melancholię. Widząc, że chudnę jeszcze bardziej i mam cienie pod oczyma, ciocia postanowiła zaaplikować mi niezawodne jej zdaniem panaceum: siarczane wody najbliższego uzdrowiska.

— Musisz się rozerwać — orzekła. — Dla pocieszenia przeczytam ci, co napisał do mnie ojciec Mikołaja...

— Zgodził się? — Serce podskoczyło mi w piersi.

— Niezupełnie. Czytając między wierszami doszłam jednak do wniosku, że nie musisz się martwić: Mikołaj nie ustąpił. Pan Montvert oferuje ci znaczną sumę, jeśli tylko odstąpisz od swych roszczeń i napiszesz do Mikołaja, że już go nie kochasz.

— Łajdak! Jak on mógł! Podły, niegodziwy starzec! Chyba dałaś mu ostrą odprawę?

— Bynajmniej, moja droga. Widzisz, rozpoczął dialog: przysłał list, teraz mnie wypada odpisać. Przy pomocy mego drogiego tu obecnego kuzyna ułożyłam sprytną epistołę, na którą nie tak łatwo mu będzie odpowiedzieć. Zaufaj mi, kochanie. Jeszcze ujrzysz swojego Mikołaja.

— Ho, ho, ileż nowych przepisów! — wtrącił opat, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

Przy wejściu do łaźni wisiała wielka tablica, na której wypisano reguły obowiązujące kuracjuszy. Wytężyliśmy wzrok i odczytaliśmy, co następuje:

„Zabrania się ludziom wszelakiego stanu, kondycji i pochodzenia, aby będąc w łaźni używali słów obraźliwych i wiodących do zwady; *item* wnosili ze sobą broń, zadawali innym kłam lubo brali się do bitki. Tych będzie się karać surowo jako gwałcicieli spokoju i buntowników nieposłusznych rozkazom Jego Królewskiej Mości.

Zakazuje się także niewiastom sprzedajnym i nieskromnym wstępu do łaźni, jako też zbliżania się do tejże na mniej niż pięćset kroków pod karą chłosty wymierzonej kolejno w czterech rogach miasta...

Ta sama kara czeka wszelakich, którzy nieprzystojnym słowem nękałiby zażywające kąpieli damy, panny i inne niewiasty i dziewczki, dotykałiby owych nieprzystojnie albo też nieskromnym odzieniem dawali zgorszenie innym...”

— Och! — wykrzyknęłam. — Mężczyźni kąpią się razem z paniami?

Tego się nie spodziewałam. Byłam chora z żalości, a oni oczekiwali, że... Nie, nie mogę! Nigdy się na to nie zgodzę. Najlepiej udam chorą i zostanę w gospodzie.

Odźwierny otworzył bramę przed poskręcany przez reumatyzm starcem niesionym w lektyce, gnąc się w głębokim ukłonie.

— Wszelka przyzwoitość jest zachowana, kuzynko — rzekł opat. — Panowie mają na sobie lniane kaftany, a niewiasty koszule. Możesz tu spotkać bardzo wysoko urodzone osoby...

— W k o s z u l i ? Ciociu, nie uprzedziłaś mnie...

— Nawet nie próbuj udawać choroby, żeby zostać w pokoju, Sybillo. Jeśli będzie trzeba, każemy cię tu przynieść w lektyce, jak tego jegomościa. Potrzebujesz odnowy, a tutejsze wody mogą zdziałać cuda.

— Wszyscy? — spytał odźwierny, gapiąc się na nasz orszak.

Istotnie, stanowiliśmy znacznie dziwniejszy widok niż staruszek w lektyce. Przodem szedł malutki, zgarbiony opat w czarnym habicie i szerokoskrzydłym kapeluszu, z zainteresowaniem kręcąc wokół głową jak wiewiórka. U jego ramienia wisiała stara matka, osoba zaiste zdumiewająco sędziwa i z trudem wlokąca za sobą bezwładne nogi. Dalej kroczyła podpierając się laską ciocia Paulina — olbrzymia tytania spowita zwojami żółtego jedwabiu. Za nią lokaj, który osłaniał ją przed słońcem przenośnym baldachimem z wzorzystego muślinu. Później ja — wysoka, tyczkowata i ponura jak czarny bocian. Za mną dwaj lokaje obładowani ręcznikami i szatami, a na końcu mali pacholiki w zielonej ciocinej liberii, niosący señora Alonza w wielkiej, złoconej, zaopatrzonej w dwa uchwyty klatce.

— Wszyscy — odparł opat, wtykając kilka monet w dłoń odźwiernego.

— A małpa?

— Powiedz mu, drogi kuzynie, że małpa się nie kąpie.

— Ale zapłacić trzeba — rzekł z uporem odźwierny.

— To my moglibyśmy żądać opłaty za wystawienie małpy na widok publiczny dla rozrywki gości — zauważył opat, dokładając mu kilka monet.

— Zwierząt nie wpuszczamy. Robię wyjątek, bo małpa jest w klatce.

— Nie potrafię żyć bez mojej kochanej małpki — oznajmiła ciocia Paulina. — A i on, biedaczek, skonałby z tęsknoty za mną.

— Hm... No, tak. — Odźwierny nadal trzymał wyciągniętą dłoń.

Señor Alonzo paskudnie wykrzywił się do niego, rozciągając palcami pysk. Opat zwiększył datek i weszliśmy za mur.

W istocie señor Alonzo musiał nam towarzyszyć — bynajmniej nie z powodów uczuciowych, lecz przez wzgląd na jego klatkę. Na jej dnie, nakryty deską, tkwił kuferek Menandra. Pozostając tuż przy mnie, nie mógł włóczyć się samopas i narobić nam wstydu materializując się znienacka nad basenem, do czego niechybnie by doszło, gdybyśmy zostawiły go w gospodzie. Kiedy się o tym dowiedział, wpadł we wściekłość.

— Moja piękna szkatuła na dnie małpiej klatki! — wrzeszczał. — Przysięgam, że się zemszczę! Zemszczę się straszliwie!

— Nonsens — zgasła go ciocia. — Przez ciebie nie możemy się ruszyć na żadną miłą wycieczkę. Mam tego dość. Czas udać się do wód, a ty pojedziesz w małpiej klatce, chcesz czy nie. Żadne zjawisko nadprzyrodzone nie ma prawa robić ludziom wstydu w towarzystwie.

— Będę krzyczał! Będę wyl jak potępieniec!

— Wszyscy pomyślą, że to señor Alonzo, i nikt się nie przejmie.

— Nigdy, nigdy w ciągu osiemnastu stuleci...

— Cały kłopot z tobą, Menandrze, polega na tym, że jesteś rozpuszczony jak małe dziecko. Pora wziąć cię w karby.

Ruszyliśmy więc hurmą — małpa, lokaje, Menander i cała reszta. Tylko biedny Gargantua pozostał w gospodzie ku swemu wielkiemu rozgoryczeniu, albowiem uważał się za znacznie cenniejszego towarzysza niż jego śmiertelny wróg, señor Alonzo.

Otóż nigdy dotąd nie byłam u wód— nie tylko dlatego, iż cieszę się dobrym zdrowiem, lecz przede wszystkim dlatego, że mój ojciec miał o uzdrowiskach jak najgorsze zdanie. Miały to być jaskinie grzechu, w których mężczyźni i kobiety oddają się orgiastycznym rozkoszom, i tylko istota zupełnie zepsuta (czyli jego siostra) pozwala sobie na tak skandaliczny postępek jak pobyt w łaźni. Jednakże wielki basen za arkadą przywiódł mi na myśl raczej nie sam grzech, lecz jego konsekwencje, przypominał bowiem owe kościelne malowidła, na których dusze potępione gotują się we wrzących siarczanych bajorach. Do wody prowadziły niskie szerokie stopnie, którymi przy pomocy służby łaźiebnej schodzili do wody mężczyźni o kulach, kobiety pokręcone jak gnomy, a nawet blade dzieci o uschłych, bezwładnych kończynach. Z jednej strony rozwieszono płócienne zadaszenie i tam właśnie udała się ciocia Paulina. Jej olbrzymia koszula wydeła się w wodzie niczym bania. Natychmiast otoczył ją rój innych starszych pań, pragnących podzielić się z nią uwagami na temat własnych schorzeń. Trajkotały tak szybko, że umysł nie nadążał chwycić słów. Nad wszystkim zaś unosił się jak piekielna kłątwa ohydny siarczany odór. Co do mnie, modliłam się, żeby nikt broń Boże nie zwrócił uwagi na moją chudą, niepowabną postać w lepiącym się do ciała negliżu. Schować można się było tylko w wodzie, przykucnęłam więc, aż sięgnęła mi pod brodę, i zacisnęłam oczy, żeby nie widzieć kalek chlapiących się na stopniach basenu.

— Sybillo, Sybillo! — posłyszałam wołanie mojej chrzestnej matki. — Chodź do nas. Jest tu kilka dam, które chciałyby cię poznać.

Otworzyłam jedno oko. Niewątpliwie siedziałam w bagnie potępieńców, tyle że nasi opiekunowie nie mieli widel.

— Nie stój w słońcu, Sybillo, zepsujesz sobie cerę!

Otworzyłam drugie oko. Tuż przed sobą ujrzałam kobietę obdarzoną monsturalnym nosem. Inna miała szklane oko i olbrzymią brodawkę. Może i jesteś brzydka, ale nie aż t a k brzydka, odezwało się w głębi mojej duszy niższe „Ja”.

Obróciłam głowę w kierunku, z którego dochodziło wołanie, i spostrzegłam starsze panie pluszczące się pod baldachimem. I nie jesteś aż t a k stara — dodała natychmiast ta przyziemna, złośliwa cząstka mej osobowości. Ze smutkiem pomyślałam o rozległej świeżej bliźnie szpecącej mi lewą dłoń i ramię. Cóż z tego, że jestem młoda?, pomyślałam. Ręka nie nadaje się już do niczego.

Poruszyłam palcami. Blizna wciąż była sztywna, czerwona i nabrzmiała i ściągała mi skórę. Wyglądała koszmarnie.

Nie opodal łaźiebni opuszczali do wody wątłego chłopca o sparaliżowanych kończynach. Wiem, że powinnam mu była głęboko współczuć, ale moje niegodziwe niższe „Ja” szepnęło: „Przynajmniej z twoim ramieniem nie jest aż t a k źle”. Pomyślałam: Sybillo, jesteś podła. Gdzie twa wrażliwość i słynne gorące serce? Zamiast współczuć nieszczęśnikom, których widzisz wokół siebie, poprawiasz sobie samopoczucie ich kalectwem...

Oczywiście wyrzuty sumienia natychmiast zepsuły mi świeżo poprawione samopoczucie i poczułam się równie źle jak zwykle. Smętnie poczłapałam przez śmierdzącą wodę w stronę baldachimu.

— No, nareszcie! — wykrzyknęła ciocia. — Słowo daję, musisz bardziej uważać! Wyskoczył ci pieg!

Staruszki przerwały interesującą dyskusję o pewnej damie, której po urodzeniu czwartego dziecka całkiem wypadła macica, i zajęły się moim wypadkiem. Zgodnie uznały, iż taki czyn woła o pomstę do nieba.

— Wyobraźcie to sobie! Najęty zbir z witriolem! Moja droga, jakie to szczęście, że udało ci się uniknąć ślubu z tym człowiekiem!

Tu niewątpliwie miały rację. Nie wyszłam za Villasse'a i już to można było uznać za wielkie szczęście. I choć czułam się względem niego trochę winna, to nie aż tak, jak czułabym się pozbawiwszy go życia. Ponadto jego postępek zamknął usta wszystkim, którzy nakłaniali mnie do tego zamęścia. Przysłuchując się rozmowie zauważyłam, że zły nastroj powoli mnie opuszcza. Może Mikołaj nie dał się przekabacić ojcu, może ciocia jednak coś wymyśli...

— Ależ blizna jest doprawdy ledwie widoczna! Możesz nosić rękawiczkę albo o, tak trzymać wachlarz...

— Moja biedna bratanica jest w rozpaczcy. Ojciec jej kawalera, jej dzielnego wybawcy, zabronił mu ją odwiedzać i nie dał zgody na ślub. Sybilla obawia się, że ten młodzieniec nie chce jej oglądać z powodu blizny.

— Ależ to nonsens! Taka piękna, cnotliwa panna... Ojciec tego kawalera powinien dziękować Bogu za szczęście, jakie go spotkało!

— Sędziwa dama odwróciła się i przyjrzała mi bacznie. — Poza tym patrzcie, ani kropla witriolu nie dosięgła twarzy. Ach, moja droga, gdybym ja miała twoją cerę...! Wierz mi, zakaz tylko utwierdzi młodzieńca w uczuciach. A gdy kawaler jest zakochany, zawsze znajdzie jakiś sposób. Prześle ci liścik... kto wie, może już wysłał, tylko wiadomość została przechwycona? A potem... ach, miłość...!

Nagle zauważyłam, że niebo nad basenem ma piękną niebieską barwę. Jakie miłe były te wesołe staruszki! Murowana arkada miała wdzięczne proporcje i wprost zapraszała, by odpocząć w jej cieniu. Na drzewach za murem śpiewały ptaki. Odór siarki zelżał, już prawie go nie czułam. Mój Boże, ciocia miała jednak rację: te źródła naprawdę wywierają na człowieka zbawienny wpływ!

— ...masz takie gęste i piękne włosy, a do tego kręcone, tak jak jest teraz w modzie — terkotała któraś z dam. — Jedno spojrzenie i młodzieniec rozkocha się w tobie jeszcze bardziej. Przyślę ci swego fryzjera, ten człowiek jest geniuszem...

— A widzisz, Sybillo? — powiedziała ciocia. — Mówiłam ci, że nie ma to jak wody. Już wyglądasz dużo lepiej!

— Wysoka panna i bardzo tęga dama z laską? Tak, są w środku — rzekł odźwierny.

— A zatem wchodzę. — Oficer napał na niego ramieniem.

— Najpierw musisz zapłacić, panie oficerze. I zostawić broń na zewnątrz. Widzisz zarządzenie? — odźwierny wskazał tablicę przy wejściu.

— Te przepisy nie odnoszą się do ludzi szlachetnej krwi.

Oficer wystrojony był w rozszywany kremową satyną brązowy aksamitny kaftan z wysoką białą kryzą obrzeżoną koronką. Szeroką wierzchnią szatę bez rękawów lamowaną miał futrem i haftowaną szkarłatną nicią, przy boku rapier i sztylet, a choć był pieszo, u butów brzęczały mu ostrogi. W wytwornie i bogato odzianym młodzieńcu mało kto domyśliłby się łowcy posagów, żyjącego ponad stan i tonące go

w długach; człowieka, który upadł tak nisko, że kupił u czarnoksiężnika magiczny napój, by z jego pomocą uwieść siostrę swego najlepszego przyjaciela i towarzysza broni.

— Te przepisy wydał król i dotyczą one wszystkich — oświadczył odźwierny. — Żadnej broni, żadnych awantur.

— Nie mam zamiaru się awanturować. Zależy mi na spotkaniu z panną Sybillą de La Roque.

— Żadnych nieprzystojnych rozmów ani gestów. Tego też król zakazał.

— Człeczce, zaraz oberwiesz za swoją bezczelność!

— Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, panie oficerze, idź do zarządcy. Ja wpuszczam tych, którzy chcą skorzystać z łaźni i nic ponadto.

— Dobrze zatem, pójdę się wykąpać. — Oficer sięgnął do sakiewki.

— Bez broni — powtórzył uparcie odźwierny.

W końcu więc bezbronny kapitan d'Estouville obserwował wielki basen z cienistej arkady. Nigdzie nie dostrzegł kędzierzawej głowy rywala. A zatem doniesienia jego szpiegów były zgodne z prawdą. Ten nędzny intruz już jej nie odwiedza. Z pewnością rodzina odesłała go za granicę, a serce Sybilli znów jest wolne. Dobrze... Gdzie są damy? A, tam, pod baldachimem. Jest i Sybilla, tuż obok tej wulgarnej ciotki, która nie chciała wpuścić go do domu. Prędzej czy później panna wyjdzie z wody i będzie miała chęć orzeźwić się pod arkadą. Stara wiedźma pójdzie na masaż albo bańki, a wtedy on zaoferuje pannie lekki, chłodny napój... Zdumiewające, jaki prosty był pomysł z napojem miłosnym, a jak trudne jego wykonanie! Zwłaszcza gdy dowódca goni cię bez przerwy z miejsca na miejsce: to na prowincję, to do stolicy, a teraz jeszcze na wyprawę wojenną, i gdy podejrzliwa opiekunka panny potrafi zepsuć każdą nadarzącą się okazję. Tym razem jednak dopnie swego: Sybilla zupełnie straci dla niego głowę i już nigdy nie będzie mu brakować grosza...

Odźwierny zatarasował drogę niskiemu mężczyźnie w czarnej skórzanej odzieży.

— Ale ja nie mam zamiaru się kąpać. Chcę tylko złożyć komuś uszanowanie — tłumaczył Kosma Ruggieri.

— To nie ma znaczenia. Jeśli chcesz wejść, panie, musisz zapłacić. I żadnej broni: ani mieczy, ani sztyletów. Proszę przeczytać sobie zarządzenia. Zostały tu wypisane na rozkaz króla. Nie wolno też zalecać się do dam. To zabronione.

— Nie mam zamiaru zalecać się do dam — obruszył się Ruggieri.

— Zatem czego chcesz, panie?

— Ja... eee... strzyka mnie w plecach. Przydałby mi się masaż i puszczenie krwi — rzekł nieprzekonywająco astrolog, wydłubując z sakiewki garść drobnych monet. Po paru minutach on również stał w samej koszuli pod arkadą i rozglądał się za Estouville'em.

A, tam jest, miota się w wodzie jak złapana na hak ryba, myślał. Idzie w stronę dam pod baldachimem... Co za łamaga! Każdy Florentyńczyk w podobnej sytuacji już dawno wymyśliłby i wykonał jakiś sprytny manewr, żeby zaaplikować wywar pannie czy komukolwiek innemu. Ale ten butny Francuz to beznadziejny dureń. Jeździł to tu, to tam, wysyłał do niej śpiewaków w nadziei, że zaprosi go do domu, biegał za nią na dworze, zamiast iść na ucztę do jakiegoś pałacu, w którym czytała swoje wiersze, i tam przysiąść się do niej. Wystarczyłoby, żeby jeden, jedyny raz napiła się z nim wina — albo chociażby wody. Nieudacznik. Gapa. I na dodatek potworny kłopot dla niego, Kosmy, który musiał go śledzić, ilekroć istniała szansa przechwycenia Pana Wszelkich Życzeń w chwili, gdy jego właścicielka wyda ostatnie tchnienie. Gdybym sam nie wykrył, że jedzie do wód, i nie podsunął mu tego planu, do dziś sterczałby pod jej drzwiami. Ci Francuzi nie mają ani krzty pomysłu!

Gdzie mogły ukryć szkatułę? Na pewno nie ryzykują dalszych wypraw bez niej. Florentyńczyk bacznie obserwował kuracjuszy, spacerowiczów, znudzonych lokai, łaźnie obłożonych ręcznikami. W zasięgu oka nie było żadnej skrzynki. A jednak nie mogła znajdować się daleko. Może w przebieralni... To takie kobiece — schować skarb pośród sukien. Gdzież one się podziały? A, tam są!

Potęźnie zbudowana matrona asystowała dwóm zartretyzowanym starym damom kroczącym powolutku w stronę leczniczego basenu. Nieznacznie jak wydłużający się wieczorny cień Kosma Ruggieri przemknął ku nie strzeżonym drzwiom ubieralni i wśliznął się do środka.

Nagle z ubieralni dobiegł przeraźliwy wrzask. Kilku łaźniebnych wpadło do środka i po chwili wyłonili się z nieszczęsnym Kosmą trzymanym w stalowym uścisku. Pomimo protestów astrolog został bezceremonialnie powleczony do bramy i wyrzucony na zewnątrz.

— Jeśli jeszcze raz się tu pojawisz, trafisz do lochu, nim zdążył się obejrzeć — krzyknął za nim strażnik, zatrzasnął brame.

Wśród siarkowych oparów podniosły się śmiechy i ożywione rozmowy. Nic tak nie pobudza konwersacji z nieznanymi jak drobny skandal, a Kosma wywołał całkiem grubym.

— Czego on tam szukał?

— To na pewno złodziej...

Tęga matrona i wysoka panna spojrzały znacząco na siebie, a potem na klatkę, w której skakała rozdokazywana małpka. W ich oczach pojawił się przelotny uśmiech. D'Estouville wyczuł korzystną atmosferę. Brodząc w wodzie podszedł do zgromadzonych pod baldachimem pań i zagaił:

— To skandal. Co za bezczelny gbur! Miło wiedzieć, że łaźnie są tak dobrze strzeżone...

Rozkoszny czerwcowy wietrzyk marszczył tafle jeziora i niósł tonny fletu, na którym młody człowiek grał dla swej ukochanej na łódce sunącej w dali. Ale smutny młodzieniec karmiący łabędzie na brzegu nie zwracał uwagi na piękny widok. Udało mu się na krótko wyrwać z ojcowskiego domu pod okiem jednego tylko opiekuna pod pretekstem ratowania zdrowia — tak bardzo wychudł, że powinien je podreperować, nim podejmie długą i niebezpieczną podróż przez Alpy do kraju swego wygnania. Raz po raz powtarzał w myśli, co powie Sybilli. Największa miłość jego życia była tutaj, a on miał tylko chwilę, by się z nią pożegnać. A jeśli ukochana myśli, że ją porzucił? A jeśli inny mężczyzna wykorzystał jego nieobecność, oczernił go, zasiał w jej sercu zwątpienie, aby ją zdobyć? A jeśli Sybilla w ogóle nie zechce z nim rozmawiać? Wtedy wyjdzie bez słowa, położy się i umrze. Jak bardziej zasmuci ojca — kładąc się i umierając gdzieś na drodze czy dopiero u wuja w Genui? Mniejsza z tym, okrutny los sam zainscenizuje to w najbardziej dramatyczny sposób.

— Paniczu Mikołaju, nie ma co zwlekać. Musi pan wrócić do zdrowia, żeby udać się w podróż.

Jak mam się pozbyć Bernarda?, myślał Mikołaj. Szczęśliwie odkryłem, że Sybilla tu będzie, ale co z tego, skoro nie mogę się odciąć od upartego sługi? O wszystkim doniesie ojcu...

Wolnym krokiem podszedł do bram łaźni. Stary lokaj dreptał tuż za nim.

— O Boże! Patrz na tę tablicę — rzekł młodzieniec. — Nie mogę wnieść do łaźni rapiera ani noża. Czy będziesz tak dobry i odniesiesz je do gospody?

— Dopiero kiedy zobaczę cię w środku, paniczu. Póki masz na sobie odzież, mógłbyś uciec.

— Bez rapiera? Wiesz, że jest za cenny, bym go zostawił. — Mikołaj oparł się o drzewo i zaczął wybierać pieniądze z trzosa.

Stary sługa przyglądał mu się ze zmarszczoną brwią. Panicz był jeszcze chudszy i miał jeszcze większe sińce pod oczyma niż wtedy, kiedy zakochał się w córce kanonika z Bolonii, którą pospiesznie odesłano do krewnych na wieś. Biedny pan Montvert, pomyślał Bernard. Ma tylko jednego syna i takiego niewdzięcznego nicpotem.

Gdy lokaj nareszcie odszedł, uwagę Mikołaja przykuła mijająca go szybkim krokiem bardzo dziwna niewiasta. Obręcze jej krynoliny chygotały się jak oszalałe, kilkakrotnie przydeptała sobie rąbek spódnicy i spod gęstego welonu wymknęło się zgoła niedamskie przekleństwo. W oczach Mikołaja zalśniła wesoła iskierka.

— Wąsy ci widać — rzekł do dziwnej niewiasty.

— Młody człowieku, cierpię na straszliwą chorobę — szepnął chrapliwie Kosma Ruggieri.

— Istotnie straszliwą. — Mikołaj ironicznie uniósł brwi. — Pokreśliło cię tak, że chodzisz jak mężczyzna.

— Musisz mi pomóc. Jeśli ujmiesz mnie pod ramię i zapłacisz za nas obu, odzwierny nie pozna się na moim przebraniu.

— A dlaczegoż bym miał ci pomagać?

— Ponieważ planuję zacy figiel. Taki bystry młodzieniec jak ty przez wiele lat będzie mógł obiadować za darmo opowiadając o tym, co tu się za chwilę zdarzy.

— Komu chcesz wypłatać ten figiel?

— Pewnemu wyniosłemu panu, który po stokroć sobie na to zasłużył. To pan d'Estouville. Może o nim słyszałeś?

— Czy słyszałem? Wynajmował muzyków i pieśniarzy, żeby skraść mi uczucia mojej damy. Musiałem rozpedzić tych nędzników rapierem.

— Damy? Czy może chodziło o Sybillę de La Roque?

— Istotnie... Czyżbym już był tak sławny?

Oczy Kosmy chytrze zmrużyły się pod welonem.

— Cóż... w tej właśnie chwili pan d'Estouville zaleca się do niej w łaźni.

Mikołaj zbladł, a później spurpurowiał z wściekłości.

— Proszę wziąć mnie pod rękę. Jesteś za słaba, pani, żeby chodzić bez podpory — rzekł głośno i razem weszli do środka.

Falszywa niewiasta zniknęła zaraz potem i wyszedłszy z przebie-
ralni pod arkadę, Mikołaj nigdzie jej nie dostrzegł. Czuł się jak głupiec w
płaczącej się po gołych nogach koszuli. Jak ma się żegnać z ukochaną w
tym stroju? Nagle jednak kątem oka zauważył modną bródkę
Estouville'a i posłyszał jego przymilny śmiech. Łajdak eskortował do
brzegu basenu je go Sybillę, piękniejszą od nimfy wodnej! W ślad za
kształtną główką z wody wynurzyła się długa łabędzia szyja, później
ramiona oblepione mokrą, przylegającą do ciała szatą... Mikołaj
poczuł, że drży na całym ciecie. A ten podły, niecny uwodziciel stoi tak
blisko niej! To świętokradztwo!

W tejsze chwili Ruggieri, pozbywszy się damskiego przebrania, krył
się za słupem podtrzymującym baldachim i nie zauważony przez
rozplotkowane damy zbliżał się do klatki z małpą, która przyciągnęła
grupkę ciekawskich. Señor Alonzo, rad, że ma tak liczną widownię,
zabawiał kuracjuszy pokazywaniem nader nieprzyzwoitych gestów, do
których zdolne są chyba tylko te ogoniaste karykatury ludzi.

— O, znowu! Patrzenie! — Widzowie klaskali w ręce.

Z klatki dobiegł stłumiony jęk. Ruggieri przysunął się jeszcze
bliżej. Tak, tego dźwięku na pewno nie wydała małpa. Pośród śmie-
chów wyraźnie usłyszał słowa:

— Nikt nigdy nie potraktował mnie tak haniebnie...

Tak! To mógł być tylko Pan Wszelkich Życzeń, schowany w mał-
piej klatce! Astrolog rozejrzał się prędko. Sybilla, osłaniana wielkim
płatem płótna trzymanym przez lokaja, wychodziła właśnie z wody.
Mokry d'Estouville brodził w ślad za nią. Za chwilę się ubierze i zapro-
ponuje jej napój...

Zdecydowanym ruchem, tak szybkim, że świadkowie nie zdążyli
nawet krzyknąć, Ruggieri otworzył klatkę i wsadził rękę do środka.

— Powstrzymajcie go! Mój Alonzo! — krzyknęła z basenu tęga
dama.

— Małpa! Kradną małpę!

— Aj! — wrzasnął astrolog, gwałtownie wyciągając z klatki
krwawiącą, ugryzioną do kości dłoń.

Señor Alonzo skorzystał z okazji, czmychnął z klatki i skrzecząc
radośnie wspiał się na baldachim.

— Łapcie go, łapcie! — wołali gapie do łazienych spieszących
z drabiną.

Małpka wszakże jednym wspaniałym susem przeniosła się z bal-
dachimu na biegnącą wzdłuż krawędzi dachu rynnę, stamtąd zaś
wspięła się aż na kalenicę. Ścigały ją śmiechy i okrzyki zachęty.

— To znowu ty! — Łaziebni, nie mogąc złapać małpy, schwytali zamiast niej królewskiego astrologa. — Odpowiesz za to. Tym razem loch cię nie minie!

— Jestem w służbie królowej! Wykonuję tajną misję! — wrzeszczał Ruggieri, po raz drugi już wleczony do wyjścia. — Zawiadomcie najjaśniejszą panią! Wezwijcie jej majordomusa! Wezwijcie kapitana gwardii królewskiej!

Mikołaj, który z niekłamaną uciechą przyglądał się spod arkady całej awanturze, rozpromienił się jeszcze bardziej widząc znieciercierowanego Estouville'a, który wyskoczył z ubieralni okryty tylko ręcznikiem i ściskając przyodziewek w garści zakrzyknął:

— Nie obawiaj się, mademoiselle, zaraz ją złapię! — po czym złożył odzienie na najbliższej ławce, zadarł głowę i potrząsając pięścią ryknął: — Złaż stamtąd w tej chwili! Złaż, powiadam!

Jakby na przekór leciutkie zwierzątko przebiegło szczytem dachu, aż znalazło się tuż nad nim. Następnie zsunęło się na powrót do rynny i przekrzywiło łebek, przyglądając się z zainteresowaniem poczynaniom dzielnego oficera. Ponieważ najwyraźniej nie miało zamiaru zejść na ziemię, d'Estouville z westchnieniem zaczął wspinać się na wielki posąg nimfy z wazą na głowie. Kiedy miał już małpę prawie w zasięgu ręki, ta błyskawicznie zjechała po rynnie, skoczyła na ławkę i porwała kaftan kapitana ku uciechu siedzących w basenie widzów. Uwięziony na posągu oficer przytrzymał ręcznik i mógł tylko groźnie krzyknąć.

Skrzeczając i robiąc miny, małpa zawlokła kaftan na dach, gdzie zaczęła tłuc w niego piąstką, potrząsać, a następnie spróbowała go na siebie włożyć.

— Oddaj to, oddaj w tej chwili, bo cię zabiję! — darł się d'Estouville.

— Nie waż się pan krzywdzić małpki! — rozległ się wysoki dziewczęcy okrzyk. Z drugiej strony dachu łaziebni przystawili drabinę, po której już wspinał się lokaj z liną, za pomocą której miał nadzieję schwytać uciekinierkę.

— Señor Alonzo jest mi drogi jak dziecko. Jeśli go tkniesz, będę cię włóczyć po sądach, aż nic z ciebie nie zostanie! — wrzeszczała pani Tournet, wyciągana z wody przez krzepakich pacholków.

Nie umiejąc wdziać kaftana, małpka potrząsnęła nim raz jeszcze i rzuciła w powietrze. Coś błysnęło w słońcu — z zakamarka odzieży wypadł niewielki przedmiot, poturlał się na krawędź dachu, wpadł do rynny i nią stoczył się aż na dół. Błysk przykuł wzrok Mikołaja.

Młodzieniec sięgnął do rzygacza, by sprawdzić, co w nim jest. Buteleczka z grubego zielonego szkła nie stłukła się, nie wypadł też mocno wepchnięty w szyjkę korek.

— Patrzcie, patrzcie! — rzeźł głośno Mikołaj, oglądając ów przedmiot, który spadł mu prosto z nieba. — Toż to n a p ó j m i ł o s n y !

— Oddaj mi to, pacholku! — Kapitan d'Estouville zapomniał o małpie na widok rywala, który pojawił się tak niespodziewanie.

— Napój miłosny! Napój miłosny! — wołał Mikołaj, umykając z zasięgu rąk kapitana. — Nie chciała cię oglądać ani słuchać twoich wrzaskliwych muzykantów, postanowiłeś więc zatruć jej serce magicznym wywarem! Też mi kochanek! Komediowy Pantaleon!

— Jak śmiesz obrażać d'Estouville'a! Wyzywam cię, byś potykał się ze mną na udeptanej ziemi!

— Ty wyzywasz mnie? To ja cię wyzywam, ośle, mocny tylko w gębie!

— Żadnych awantur w łaźni! Wyrzucicie ich obu! Odpowiedcie za to przed zarządcą! Od dziś nie macie tu już wstępu!

— Noga moja więcej nie postanie w tej nędznej norze! A wami zajmie się mój wuj, szlachetny pan de Vieilleville!

— Chodź do mamusi, złotko! Pewnie cię wystraszyli ci okropni ludzie! — Pani Tournet w ociekającej wodą koszuli, ujawniającej zgoła porażająco obfite kształty, starała się przywabić señora Alonza z dachu słodyczami, których zapas miała stale przy sobie.

Z ubieralni wyskoczyła panna de La Roque — bez gorsetu, bez butów, w rozpiętej sukni i mokrym, do połowy rozplecionym war-koczu.

— Mikołaju, nie odchodź! Zabierz mnie ze sobą!

— Nie mogę, ukochana, muszę uciekać, zanim mnie wsadzą do lochu! — odparł Mikołaj łapiąc swoje buty.

— Zawsze będę cię kochać! — zawołała dziewczyna, mokra i zaróżowiona niczym wodna nimfa, i nagle zarzuciła mu ręce na szyję.

Mikołaj zamarł na chwilę, po czym, nie wypuszczając butów, porwał ją w ramiona. Z basenu doleciały oklaski rozentuzjasmowanych staruszek.

— Oblapki są zabronione! Zarządca wymierzy ci grzywnę! — Dwaj krzepcy łaźiebni schwycili Mikołaja za kark.

— Sybillo, ojciec zsyła mnie na wygnanie! Kocham cię! Napiszę — wołał przez ramię młodzieniec wyprowadzany z łaźni w ślad za swym rywalem.

— Wygnanie? — mruknął jeden pacholków, którzy wlekli go do wyjścia. — Hm, wcale się nie dziwię. Awanturnik i nicpoń!

— Mówię wam, że pochodzę z najszlachetniejszego rodu Francji! Mój wuj jest zaufanym towarzyszem króla! Pożalujecie tego! — doleciały zza muru wrzaski pana d'Estouville.

— Wspaniale — powiedziała sędziwa reumatyczka, która weszła do wody o lasce, lecz wyszła już bez niej. — Lepsze niż sztuka w teatrze. Bóle całkiem mi ustąpiły. — Zwróciła się do Sybilli, która załamując ręce wciąż patrzyła za swym ukochanym: — Nie martw się, młoda damo. Ten młodzieniec na pewno do ciebie wróci, choćby miał iść pieszo aż z Tartarii.

— Co mówi wysłannik papieża?

Król Henryk skierował to pytanie do kardynała Karola Lotaryńskiego. Twarze członków Rady zgromadzonych wokół stołu były posępne. Ponieważ wojna lada dzień miała rozgorzeć na dwóch frontach, armię Gwizjusza odwołano z Włoch, ale dług, jaki narósł w ciągu ostatnich trzech miesięcy, był ogromny: czterysta trzydzieści cztery tysiące talarów, gdy tymczasem skarbiec świecił pustką.

— Jego świątobliwość zatwierdził nowy podatek od duchowieństwa.

— Chcę, byście sporządzili spis wszystkich przedmiotów kościelnych wykonanych ze szlachetnych metali — rzekł król.

Dookoła stołu zapadła długa, grobowa cisza. Ostatnie źródło bogactwa w królestwie miało zostać zrzuczone na stos i przetopione, jeśli wojna pociągnie się choć trochę dłużej. Francja goniła już resztkami.

— Musimy zwrócić się do lyońskich bankierów, do Włochów, do Niemców — odezwał się stary konetabl Montmorency — i uzyskać od nich pożyczkę w wysokości co najmniej pięciuset tysięcy talarów.

— Powiedzcie im — rzekł Henryk — że jestem człowiekiem honoru. Spłacę dług i odsetki, nie tak jak Filip Hiszpański.

W dalszym ciągu narady ułożono plany i zgodnie z nimi ustalono, co następuje: jeszcze w tym miesiącu konetabl obejmie dowództwo na froncie północnym. Wszyscy dworzanie zdolni do noszenia broni mieli wyruszyć wraz z nim. Sam król Henryk wybierał się do Compiègne, żeby być bliżej frontu, w przyszłym miesiącu zaś miał osobiście stanąć na czele armii. Upalny sierpień będzie świadkiem zwycięstwa nad cesarstwem.

ROZDZIAŁ XVII

— Jakie piękne srebra! Jakie obrusy! Och, droga Paulino, prześcignęłaś nas wszystkie!

Zaproszone panie wchodziły do salonu wydając okrzyki zachwytu na widok rozstawionych to tu, to tam półmisków z ozdobnymi piramidami faworków i innych drobnych przekąsek. W kącie dwaj przystojni młodzieńcy grali na flecie i na szpincie. Wojna, choroba, śmierć — nic nie było w stanie zakłócić rytmu towarzyskich spotkań tych starszych dam. Radosne czy okryte żalobą, zdrowe lub jedną nogą w grobie, stawały się o oznaczonej porze, jakby całkiem straciły poczucie przyzwoitości i wrażliwość na ludzkie cierpienia — zwłaszcza moje.

Znalazłam prawdziwą miłość, lecz nieomal w jednej chwili utraciłam ją znowu. Nie miałam żadnych wieści o losie Mikołaja. Siedział w Bastylii czy też kamienistą drogą jechał na wygnanie? A pojedynek z panem d'Estouville, który poprzysiągł, że go zabije? Czy mój ukochany w ogóle był jeszcze pośród żywych? Tymczasem ja żyłam w świecie pozorów i fałszywych uprzejmości.

— No cóż, choć tyle byłam w stanie zrobić, żeby godnie was podjąć, moje drogie panie. Rzecz jasna, droga Erminetto, tobie nigdy nie dorównam.

Te staruchy tańczyły na moim grobie! Ciocia była wobec nich pobłażliwa i hojna. Nikt bardziej od niej nie lubił karcianych wieczorków, zdołała więc zgromadzić wokół siebie krąg schrypniętych podstarzałych dam o podobnych zamięowaniach — wdów lub żon uszlachconych urzędników, szczyjących się nieco wątpliwymi tytułami. Wszystkie ekscytowały się naszymi powiązaniem z dworem i z zapalem oddawały plotkom.

— A nie dorównasz, kochana, nie dorównasz! Moje kandyzowane wiśnie to sekret, którego nie zdradzę nawet córce na łożu śmierci! — zaśmiała się zgrzytliwie stara dama. Dwaj silni lokaje, którzy z nią przybyli, usadzili ją na wyścielanym krześle, okryli jej potwornie spuchnięte nogi i zesłali na dół gonić dziewczki kuchenne.

— Podobno przez tę febrę mało kto uczestniczył w pogrzebie pani Cardin. Z całej rodziny był jej wnuk, a i on nie w pełnej żałobie.

— Podobno wszystkich innych rozczarował spadek... Dziękuję swojej dobrej gwieździe, Paulino, że masz taką rozumną oddaną córkę jak twoja kochana Sybilla.

— I taką utalentowaną! — dodała inna dama, której bujne kształty tonęły w fałdach czarnej satyny i powodzi koronek.

Flecista odłożył instrument i zaczął śpiewać.

*Pamiętaj, pastereczko miła,
jak prędko czas miłości mija...*

Był to jeden z moich najsubtelniejszych wierszy, bardzo podziwiany przez panie na dworze. Nie mogłam go słuchać teraz, gdy wszelka nadzieja pierzchła!

— Kazałam skomponować muzykę do kilku najpiękniejszych utworów Sybilli — oznajmiła z zadowoleniem ciocia.

Tylko ze względu na nią zwłokłam na dół swe cierpiące jestestwo i zmusiłam się do udziału w tym wieczorku. Skandal w uzdrowisku był tematem dnia, wszyscy mówili o mającym się odbyć pojedynku, toteż sama moja obecność była gwoździem programu i przedmiotem zawiści pań z towarzystwa. Poza tym pewną perwersyjną przyjemność sprawiała mi myśl, że kiedy umrę z żalu, tym więcej osób będzie o mnie mówić.

— Ach, miłość! — westchnęła rozmarzona jedna z dam. — To prawda, że jej czas mija szybko, zbyt szybko! Ten przepiękny poemacik jest dziś powszechnie znany, zwłaszcza że nasza kochana dziewczeczka jest przyczyną najgłośniejszego w tym sezonie pojedynku! Pomyślcie tylko: d'Estouville wyzwał i zabił już dwunastu ludzi! To bohater!

— A ja powiadam, że nie będą walczyć. Królewski edykt zakazuje pojedynków. Obaj trafiliby do lochu za złamanie rozkazu monarchy. Podobno król wpada w furję, ilekroć się dowie, że traci oficerów w prywatnych waśniach. Zmuszą ich, by się pogodzili.

— Założę się o sporą sumkę, że pojedynek jednak się odbędzie. Wiesz, jacy są ci młodzi ludzie, gdy idzie o sprawy honoru. Czy kiedykolwiek królewski edykt zapobiegł walce?

— Ale nie wtedy, kiedy każdy sprawny mężczyzna jest na froncie. Król przysiągł, że każe ścinać pojedynekowiczów dla przykładu.

— Mieliby ściąć pana d'Estouville? Nigdy w życiu! Jego wuj, Vieilleville, stoi zbyt wysoko!

— No to zetrną tego drugiego. Jego rodzina nie ma... korzeni, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale słyszałam, że ojciec zamierza go uwięzić albo wywieźć z kraju, żeby nie dopuścić do spotkania z Estouville'em.

— Jakże brak mu poczucia honoru! Lepiej byłoby widzieć syna martwym, niż mieć świadomość, że stchórzył przed wyzwaniem. No, ale ojciec, o ile wiem, jest bankierem...

— Bankierem? Fe! Ludzie na poziomie nie mówią o pieniądzach.

— Wiesz, jak to dzisiaj jest: nie drażnić bankierów przez wzgląd na ich pożyczki, nie drażnić hugenotów przez wzgląd na niemieckich najemników... Kto pozostaje? Zalewa nas hołota, moja droga!

— Nie bierz tego do siebie, kochana Sybillo. D'Estouville nada-je szyku całej sprawie, ten pojedynek nie nadszarpnie więc twojej reputacji. D'Estouville zmiażdży bankierczyka, jeśli ten w ogóle się pokaże. I pomyśl tylko! Potem będziesz mogła wprost przebierać w kochankach!

— Kochankowie, phi! Nie mąćcie temu dziecku w głowie! — zawołała jedna ze staruszek, wyjąwszy wprzód sztuczne zęby, żeby mówić zrozumiale. — Najlepszy okres życia przychodzi wtedy, gdy pora miłości minie! Po sezonie miłości następuje sezon karciany, a to znaczna poprawa! Tasuj, Paulino! Czuję, że dziś będę miała szczęście!

— Nie poddawaj się uczuciom, droga Sybillo. Mężczyźni nie są tego warci — oznajmiła Erminetta tronująca na wysokim krześle u szczytu stołu, nieco zadyszana z wysiłku, jaki kosztowało ją rozdawanie kart i równoczesne mielenie ozorem. — W zeszłym tygodniu widziałam, jak wieszali pokojową pani de Bonneville. Utopiła swoje dziecko, żeby utrzymać się na służbie. Do tego prowadzi miłość! Do grobu! Mamy szczęście, że przeżyliśmy porę miłości, powiadam wam! Aha! Ja mam damę!

— Podobno ojcem dziecka był ksiądz...

— Naturalnie, a któż by inny? Twoja dama ustąpi przed moim królem, droga Erminetto. — Na stole zabrzączały pieniądze.

Bezduczne okrucieństwo tych wesołych starych harpii, którym całkowicie obojętne były moje smutki (mnie samą obchodzące aż nadto dogłębnie), dopiekło mi do żywego.

- Nie grasz dziś, kochana Sybillo?
- Nie czuję się najlepiej. Na pewno nie miałabym szczęścia. Chyba się położę.
- Napij się kordiału, kochanie, a zaraz poczujesz się lepiej.
- Zatrzymamy dla ciebie miejsce przy stoliku! — posłyszałam za sobą, biegnąc w górę po schodach.

Uciekłam przed niedelikatnymi uwagami zacnych pań po to, by bez reszty pogrążona w smutku rzucić się na łóżko i porządnie wypłakać. Wyobraźcie więc sobie dodatkowy wstrząs, jaki musiało znieść moje biedne serce, kiedy zamiast miękkiego, gładko zaścielonego łóżka, gotowego wchłonąć wszystkie moje żale, ujrzałam straszliwy obraz: na dywanie leżał martwy mój najszczerzy i najbardziej oddany towarzysz, jedyny przyjaciel, jakiego miałam na świecie — Gargantua, z brzuchem rozdętym nie do poznania! Obok poniewierały się mocno ogryzione fragmenty ludzkiej czaszki, kawałek żuchwy, trochę brunatnych ze starości zębów... i otwarty kuferek Menandra Nieśmiertelnego.

Señor Alonzo siedział na szafie i z zadowoleniem łapał pchły, pojęłam więc od razu, że to jego sprawka. Zakipiała we mnie nienawiść; schwyciłam najbliższy ciężki przedmiot, jaki miałam pod ręką (był to duży mosiężny przycisk do papierów w kształcie głowy lwa), i rzuciłam nim w małpę.

— Ty wstrętny, ty złośliwy, przebrzydły potworze! Zabiłeś mi psa!

Małpa bez trudu uchyliła się przed pociskiem i lekko przeskoczyła na baldachim nad łóżkiem. Złapałam duży tamborek do haftu i włożyłam na łóżko, trzymając się jedną ręką słupka, drugą zaś usiłując strącić kosmatego odmienia. Zaalarmowany hałasami Baptysta wpadł do komnaty dokładnie w chwili, gdy nie señor Alonzo, lecz ja gruchnęłam o podłogę, uszkadzając sobie pewną część pleców tak dotkliwie, że przez moment w ogóle nie mogłam się ruszyć.

- Ojej, pies panienki zjadł magiczną głowę! Co za nieszczęście!
- Spróbował mnie podnieść, ale tylko jęknęłam.
- Nie ruszaj mnie. Mam tylko jedną prośbę: zabij tego małego potwora. Patrz, co zrobił mojemu psu.
- Chodź no tu, diable! Musiał jakoś wydostać się z klatki...

— Och, Gargantuo, tylko ty jeden na całym świecie kochałeś mnie naprawdę... — zaszlochałam, wciąż rozciągnięta na podłodze i straszliwie obolała na ciele i duszy.

— Dobry Boże, co za katastrofa! Zjadł ją calutką! — wykrzykiwał Baptysta. — Teraz królowa już nigdy panienki nie wezwie. A tak było wspaniale... Co za pech! Jak ja o tym powiem pani?

Co? Królowa już mnie nie wezwie? Jestem więc wolna? Och, biedny piesku, ocaliłeś mnie za cenę własnego życia. Może jeszcze nie jest za późno. Może Mikołaj jeszcze nie wyjechał... Napiszę do niego i gdy tylko zdołam wstać, zakradnę się pod jego dom w przebraniu i powiadomię go, że czekam, nareszcie uwolniona od towarzystwa przekłętej głowy. Weźmiemy ślub w sekrecie i umkniemy ze szponów okrutnego bankiera. Będę dzielić gorzkie wygnanie z Mikołajem. Bez grosza przy duszy, żyjąc tylko miłością, powędrujemy razem w ciepłe kraje...

— Biedaku! Oddałeś życie, żeby uwolnić mnie od tego koszmaru!

— Wyciągnęłam rękę, by objąć wierne zwierzę, lecz ponieważ chwilowo nie mogłam się przesunąć, nie dosięgnęłam rozumnego psiego łba. Zamiast niej pogłaskałam szlachetne i skłonne do po święceń brzuszysko.

— Pani obedrze mnie ze skóry... — biadał Baptysta. — Boże, uchroni mnie!...

— Ach, gdybyż jego wierne serce jeszcze biło...

— Ty wstrętny kosmaty diable! — krzyknął z goryczą Baptysta.

— Jeśli przez ciebie stracę miejsce, wyrzucę cię przez okno! Mściwie otworzył okno i wszedł na krzesło, żeby złapać małpkę.

Señor Alonzo skrzecząc radośnie przeskoczył na szafę, ubawiony gonitwą. Do komnaty wpadł rześki chłodny powiew i nagle poczułam jakby drgnienie w wydętym brzuchu biednego Gargantui. Potem usłyszałam stłumiony syk wciąganego powietrza. Czyżby pies wracał do życia? Czy też to Menander wciąż rozrabia we wnętrzu jego zwłok? Rozległ się jeszcze jeden szmer, potem oddech, przez brzuch martwego psa przebiegł skurcz i nagle...

Nagle oczy Gargantui otwarły się z wyrazem czystej zgrozy. Rozległ się rżęzący bulgot i nawet nie unosząc głowy pies zaczął rzygać ohydłą żółtą cieczą i śmierdzącymi brunatnymi strzępkami.

Skoczyłam na równe nogi, przerażona nieludzkim gulgotem i — muszę przyznać — powodowana jakże niską obawą o moją jedwabną suknię. Nagle ujrzałam, że drobniotkie, przeżute, częściowo strawione kawałki zaczynają się łączyć w większe, a te znów w jeszcze większe...

— Aaaaa! — wrzasnął śmiertelnie przerażony Baptysta. — To żyje!

Nawet małpa przestała skrzeczeć i przysiadła na karniszu, z zainteresowaniem obserwując tę scenę.

— Piesku! Gargantuo! Żyjesz! — wołałam, rozdarta pomiędzy radością, że mój wierny przyjaciel powstał z martwych, zrozumiałą odrazą, jaką napawał mnie widok łączącej się znów w całość ohydnej głowy Menandra, i obawą, że to Menander jakimś szatańskim sposobem ożywił Gargantuę tylko po to, by wydostać się z jego żołądka, i że skończywszy zwracać wstrętne resztki, mój pies ponownie padnie trupem. Brunatne zęby o długich obumarłych korzeniach pełzły po dywanie niczym obrzydliwe robaki, po omacku szukając szczęk, z których wypadły. Odłamki czaszki chygotały się dotąd, aż w końcu każdy z cichym trzaskiem wskoczył na swoje miejsce. Stopniowo zaczęły pokrywać je strzępy ciała, przeżuta masa na powrót utworzyła gałkę oczną... Już nigdy w życiu nie chciałabym oglądać czegoś równie obrzydliwego.

— Nigdy, nigdy w ciągu osiemnastu stuleci nie byłem zmuszony ścierpieć takiego poniżenia! — sarknął Menander Nieśmiertelny potrząsając lekko głową i sadowiąc się w skrzynce niczym człowiek kładący się do łóżka po ciężkim dniu. — Największy mag wszystkich czasów w psim żołądku!

Przycupnięta na karniszu małpa wyszczerzyła zęby na Menandra. A jednak to kosmate diablę musi mieć w sobie choć iskierkę dobra, skoro nienawidzi Menandra tak bardzo, że zrzuciło go na ziemię, pomyślałam. Rzecz jasna nie oznaczało to, iżbym miała od razu polubić señora Alonza.

— Mój biedny, kochany, dzielny Gargantuo, czy już ci lepiej? — gruchałam, głaszcząc grzbiet i brzuch psa i skrapiając łzami jego wielki łeb. Zostałam nagrodzona najpierw słabym, później nieco weselszym merdnięciem ogona.

— Tyle hałasu o psa? — prychnęła pogardliwie zmumifikowana głowa. — Jesteś najbardziej ograniczoną i sentymentalną kobietą, jaka kiedykolwiek trzymała pióro w ręku.

— Twoje opinie nic mnie nie obchodzą. Mój dzielny Gargantua ryzykował życiem, żeby mnie przed tobą ocalić.

— Ryzykował życiem, żeby się nażreć, głupia babo. Zrobiłyby to samo z pierwszym lepszym ochłapem znalezionym w śmietniku.

— Nonsens. Jesteś do tego stopnia pozbawiony honoru, że nie umiesz go nawet rozpoznać w innej żywej istocie.

— Honor, ha, ha! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, to mnie powinnaś głaskać i nade mną płakać! Kto by dziś czytał twoje żalosalne wiersze, gdybym nie zapewnił ci poparcia królowej? I to gratis! Właściwie powinienem z zemsty przynieść ci pecha.

— Panienko.... — wyjąkał Baptysta, głośno szczękając zębami.

— Bzdura. Menander nie jest w stanie zrobić nic, jeśli ktoś sobie tego nie zażyczy, a ludzie, którzy mają do niego dostęp, są zanadto zaprzętnięci własnymi życzeniami, żeby mieli sobie zawracać głowy mną. Ja zaś jestem jedyną osobą, która wcale nie pragnie korzystać z jego usług, i jak na ironię to właśnie do mnie lajdak się przyczepił.

— Możesz sobie zażyczyć, żebym się odczepił — rzekł sugestywnie Menander.

— Baptysto — powiedziałam, wyglądając suknię — przeżyłam straszliwy wstrząs. Przynieś mi szklanicę tego kordiału, który ciocia trzyma pod łóżkiem, bo inaczej chyba zemdleję albo wpadnę w chorobę. I przyslij tu Marię, trzeba wyczyścić dywan.

Westchnęłam głośno. A zatem nie mogę uciec w przebraniu z Mikołajem. Menander pójdzie za mną wszędzie, a gdzie on, tam królowa, diuszesa, ich astrologowie i krewni... cała procesja, wręcz armia ludzi pchających się jeden przez drugiego, żeby wyjawić swoje straszne tajemnice przeklętej skrzynce. A potem... O Boże! Nagle przeszło mi przez myśl, co by było, gdybyśmy jednak mimo wszystko zdołali się z Mikołajem pobrać! Menander co noc towarzyszyłby nam w sypialni i czynił złośliwe uwagi w najmniej stosownych chwilach. Nie mielibyśmy szans zaznać małżeńskiego szczęścia. Och, czemuż Gargantua ma taki słaby żołądek? A niech to wszyscy diabli!

— No cóż, ważne, że się starałeś — powiedziałam, ostrożnie siadając na łóżku, by nie urazić stłuczonej kości ogonowej. Gargantua spojrział na mnie, wywiesił wielki różowy ozór i radośnie łupnął ogonem w podłogę — jak gdyby przed chwilą nie zatrul się najbrzydliwszym świństwem na świecie.

Baptysta skwapliwie opuścił komnatę.

— Mógłbyś wyrazić życzenie, żeby służyć w innym domu! — zawołał za nim Menander.

Odpowiedziało mu wściekle warknięcie lokaja:

— Nie namówisz mnie na żadne gusła, pogański cudaku...

Do komnatki, w której mag przyjmował swoich klientów, przesączał się zapach kapusty i brudnych pieluch. Potężnie zbudowany mężczyzna, marszcząc z obrzydzeniem nos, ostrożnie usadowił się w niskim

drewnianym krześle, jakby wzdragał się czegokolwiek dotknąć z obawy przed zarazą. Na wyprawę do tej zakazanej dzielnicy włożył starą, zużytą, anonimową odzież — ciemny kaftan i czarny, pozbawiony ozdób płaszcz — czuł wszakże, iż po powrocie do domu będzie musiał posłać ją do prania albo oddać ubogim.

Postura gościa mogła budzić grozę, ciemną bobrową czapkę naciągnął głęboko na tłuste, siwiejące włosy, tak że prawie dotykała czarnej przepaski zakrywającej lewe oko. Niecierpliwie zabębnił palcami w dzielący go od astrologa stół i rzekł:

— Witriol nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, mistrzu.

— Niemożliwe! — obruszył się Wawrzyniec Ruggieri. — Był w najlepszym gatunku. Musiał palić do kości!

— Istotnie, palił mocno, lecz jakaś nieszczęsna gwiazda sprawiła, że dziewczyna uchyliła się i ocaliła twarz.

— Ano, cóż, ostrzegałem cię, panie. Witriol wymaga dobrej sposobności. Trzeba podejść na tyle blisko, by nie chybić celu. Zupełnie inaczej działa śmiertelny urok. Nie sposób się przed nim uchylić ani ukryć choćby na końcu świata...

— Nie ufam urokom. Skąd mam wiedzieć, czy dostałem to, za co zapłaciłem? Chcę czegoś konkretniejszego, czegoś pewnego. Czegoś, co spowoduje straszliwe cierpienie...

— To nietrudne. Ostatecznie jestem mistrzem w swoim fachu. Zechciej mi przypomnieć, panie, co właściwie pragniesz osiągnąć. O ile pamiętam, było to dość skomplikowane.

— Ta dama jest teraz dziedziczką wielkiego majątku i ulubienicą królowej... Bóg jeden wie dlaczego! Zaleca się do niej wysoko urodzony oficer. Gdy się z nią ożeni, ziemia, którą chcę objąć w posiadanie, raz na zawsze wymknie mi się z rąk. Witriol mógł temu zaradzić, ale teraz... nie, teraz lepiej, by umarła. Poza tym są i inne... zainteresowane osoby.

— Które po niej dziedziczą?

— Tak. Młodsza siostra jest ładniejsza, bardzo mi przychylna i pali się do ślubu.

— O ile sobie przypominam, mówiłeś, że następny w kolejności jest brat.

— Nie szkodzi. Brat służy w wojsku, a na wojnie wszystko może się zdarzyć... — Villasse wzruszył ramionami.

— Ach, chyba zaczynam rozumieć— Wawrzyniec Ruggieri palnął się w czoło. — Najpierw coś bolesnego dla kobiety, potem coś dyskretnego dla mężczyzny?

— Właśnie. Czytasz w moich myślach, Italczyku.
— Podziwiam umysł, który planuje tak wiele kroków naprzód. To wyższa umiejętność, niewielu ją posiada. Ale proszę mówić dalej. Zapewne będziesz chciał, panie, nabyć również wywar miłosny?

— Nie będzie mi potrzebny. Wspólna nienawiść łączy silniej niż miłość. Moja była narzeczona skradła wielbiciela młodszej siostrze, a gdy ta posłyszała o ich planowanym ślubie, znenawidziła ją tak samo jak ja. Ona wpadła na ten pomysł z witriolem...

— Od razu czułem, że to babska robota — mruknął do siebie Ruggieri.

Villasse, który tego nie dosłyszał, ciągnął:

— Pragnie mieć pozycję. Pochodzi z dumnej, lecz ubogiej rodziny. Spekulacje i zyski z monopoli uczyniły mnie człowiekiem mającym, właściwie brak mi tylko szlachetnie urodzonej żony. Panna jest piękna, miła, cnotliwa i kobieca, zupełnie niepodobna do tej obłąkanej morderczyni.

— Powinienem cię ostrzec: mordercze zapędy bywają dziedziczne. Gdy tymczasem odpowiednio sporządzony napój miłosny...

— Nie cofniesz się pan przed niczym, żeby więcej zarobić? Najpierw wykosztowałem się na witriol, a teraz znów chcesz mi wepchnąć trzy rzeczy zamiast dwóch.

— Robię wszystko dla dobra moich klientów. A zatem chcesz, panie, żeby w pierwszym przypadku ofiara cierpiała?

— Tak. Ma cierpieć strasznie i długo. W tej drugiej sprawie zależy mi tylko, żeby rzecz poszła szybko i nie została wykryta.

— To będzie łatwe. Wystarczy biały arsenik, zawsze myślą go z gorącą obozową. Całkowicie rozstraja jelita. Prześlij go w paczce z domowym prowiantem. Najlepsza będzie kielbasa. Ludzie zawsze obwiniają kielbasę...

Wawrzyniec Ruggieri zagapił się na chwilę, z rozmarzeniem wspominając przeszłe triumfy. Villasse niecierpliwie zabębnił palcami w stół, ściągając go znów do teraźniejszości.

— Jeśli zaś idzie o tę pierwszą sprawę, hm... — Mag uśmiechnął się łagodnie i położył dłoń na sercu. — Ach, tak: straszne cierpienia... Polecam jad ropuchy. Działa powoli, powoduje straszliwe męki i nieuchronny koniec. Przypadkiem mam akurat mały zapas, mogę go sprzedać po tej samej cenie co arsenik, a taniej niż jad żmii, który musiałbym specjalnie sprowadzić.

— O jakim... hm... rodzaju cierpienie mówimy? — Oko pana na La Tourette zabłysło, wargi rozchyliły się poządliwie.

— Przekraczającym wszelkie wyobrażenia. Najpierw światło zaczyna drażnić oczy, potem tworzą się na nich pęcherze, które stopniowo oślepiają ofiarę. Tymczasem zdolność umysłowa zostaje zredukowana do poziomu zwierzęcia, ostre bóle przenikają całe ciało, zwłaszcza, hm, części rozrodcze...

— Ślepotą i ból? Znakomicie. Jesteś pewien? — Gość zatarł ręce w skórzanych rękawicach.

— Jak gdybyś osobiście zgwałcił ją rozpalonym żelazem.

— No, no! Biorę. Musisz mi tylko doradzić, co mam zrobić, żeby tym razem cios sięgnął celu.

— Widzę, że naprawdę niezbyt lubisz tę damę, panie.

— Niezbyt lubię? Widzisz to oko? Patrz! — Gość zerwał się z krzesła. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości, na szyi wystąpiły żyły. Gwałtownym ruchem zsunął opaskę z oka, odsłaniając okropną masę zrostów nakrapianą trwale wrosniętymi ziarnami prochu wystrzelonego z małej odległości. — To jej dzieło!

— Fiu, fiu! To postrzał, prawda? Jakim cudem przeżyłeś?

— Postrzeliła mnie z ojcowskiego muszkietu. Na szczęście głupia gęś nie załadowała go jak należy. Zapomniała o kuli i wypaliła tylko przybitkę.

— Hm... Trudno będzie ją otruć, skoro jest gwałtowna i raczej nie zaprosi cię na puchar wina.

— Nie liczyłbym na to.

— Nie mogę więc zaproponować ci tego pierścienia... — Wawrzyniec odsłonił kotarę, za którą mieściły się półki zastawione pudełkami i butelkami. Zdjął opasany żelaznymi taśmami kuferek, postawił go na stole i otworzył. Wewnątrz znajdowało się kilka owiniętych w płótno przedmiotów. — Widzisz, panie? — rzekł, rozwijając najmniejszy. — Piękna rzecz. Należał do trzech diuków, cesarza, a nawet jednego papieża. Proszę spojrzeć: jest tu maleńka sprężynka, która otwiera ujście zbiorniczka z trucizną w chwili, gdy przesuwasz dłonią nad pucharem.

— Urocze. Ale to nie dla mnie.

— Niestety, nie. Tu mamy mechanizm wyrzucający zatrute strzałki na niewielką odległość...

— Żadnych strzałek. Straciłem zbyt wiele czasu na wynajęcie zbira, który miał ją śledzić i oblać witriolem. Chcę czegoś, co działa samo.

— Mógłbyś jej wysłać podarunek.

— Nie we własnym imieniu.

— Czemuż by nie w imieniu jej zalotnika? Mam tu piękne cacko, godne hojnego arystokraty.

Wawrzyniec Ruggieri włożył grube rękawice i rozwinął pakiecik ze szkarłatnym aksamitnym puzderkiem. Wewnątrz na jedwabnej wyściółce skrzyła się wspaniała, wysadzana drogimi kamieniami brosza. Dwa wygięte zakola w kształcie skrzydeł wązki spojone były w środku olbrzymią perłą, na której osadzono szmaragd, a na nim mniejszą perłę. Od dołu umocowano do nich wisior w formie krótkiego łańcuszka z małych pereł przetykanych złotymi kulkami. Złote nibyskrzydła, zręcznie rzeźbione w maleńkie kwiatuszki, lśniły brylantami i jeszcze mniejszymi perełkami. Nawet Villasse westchnął z podziwem, patrząc na cudowny klejnot. Potem odchrząknął:

— Hm... Te wszystkie perły... podejrzewam, że nie będzie mnie na to stać.

— Perły są fałszywe, ale jak dotąd żadna z obdarowanych nie zdążyła tego odkryć. Jeśli po wykonaniu zadania odzyskasz klejnot, odkupię go za połowę ceny.

— Każda kobieta byłaby tym zachwycona. Jak działa?

— Widzisz te kwiatuszki? Są ostrzejsze od noży. Zapięcie ma zatrzask, który trudno otworzyć, a że sprężynuje, łatwo się skaleczyć. Jeżeli nawet dama nie ukłuje się szpilą, przypinając broszę do sukni lub czepca, z pewnością zadrapie się kwiatkiem. Maleńkie zadrapanie, rozumiesz... Wsadzi palec do ust, a jeśli nie, to także nie ma znaczenia. Jad zatruje krew. Skrzydła są puste w środku, a otworki, którymi jad wycieka na powierzchnię, niedostrzegalne gołym okiem. Oczywiście jeśli trucizna jest bezbarwna, tak jak to było poprzednim razem, można nią powlec nawet powierzchnię klejnotu.

— Poprzednim razem?

— Zapewniam, że ten drobiazg już nieraz spełnił swe zadanie. Jest niezawodny.

— Znakomicie. Wynajmę jakiegoś starego żołnierza, żeby doręczył przesyłkę. Panna nie będzie niczego podejrzewać.

— Podziwiam twoją rzutkość, panie. A co z młodym wojakiem?

— Cały kłopot z listem, który będzie towarzyszył paczce. Chłopak pozna moje pismo. Lepiej niech wyśle ją siostra.

— Ta, która lubi się bawić bronią palną? — Ruggieri wyjął broszę i wlał kilka kropel przezrystej cieczy z fiolki do ledwie widocznego tuneliku pod zamkiem.

— Nie. Ta, która się we mnie kocha.

— Łaskawy panie, chyłę przed tobą czoło. Jesteś zaiste mistrzem podstępny. Ba, mistrzem nad mistrzami! — Mag zalepił otworek i umieścił broszę z powrotem w puzderku.

— Cóż — rzekł Villasse, odliczając z sakiewki kilka sztuk złota. — Niegodziwy los nauczył mnie wszystkich swoich sztuczek. — Włożył do sakiewki szklaną fiolkę i owinał puzderko w chustę, by bezpiecznie donieść je do domu, po czym dodał: — Po ras ostatni dałem się oszukać tym chytrym pazernym arystokratom. Tym razem bogini zemsty doda mi skrzydeł. Ta ziemia musi być moja.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Beatrycze zawołała męża na wieczerzę. Wawrzyniec Ruggieri ostrożnie zdjął rękawice, odstawił kuferek na półkę i zaciągnął zasłonę.

— Och, Beatrycze, miałem dziś mnóstwo pracy — westchnął, sadwiąc się przed miską parującej zupy. — Ale tym jednym zleceniem zarobiłem na całoroczne chesne dla Fortunata. Aha, muszę cię ostrzec: nie otwieraj żadnych przesyłek, jakie tu dostarczą, i to samo powtórz Rogerowi. Człowiek tego pokroju, dopiąwszy swego, z pewnością poweźmie w swym jaszczurzym umyśle plan, żeby pozbyć się wszystkich świadków. Chwalić Asmodeusza, jestem sprytniejszy od niego.

— Niektórzy ludzie nie wiedzą, co to wdzięczność — przytaknęła jego żona, nalewając drugą misę zupy dla siebie i dzieci.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozumowanie geometryczne dowodzi zatem, iż cięcie nie dorównuje pchnięciu, albowiem droga po okręgu jest dłuższa niżli po linii prostej. Cięcie preferują jedynie szermierze przywykli do starej broni, panowie francuscy i angielscy, którym niełatwo się oswoić z nowym włoskim rapierem, a których próżne słowa i pozy są jak wiatr. Potykając się z takim, czekaj więc, aż na ciebie natrze; wówczas się odsoni, dając ci przewagę. Jeżeli przeciwnik zaatakuje cięciem, wyprowadź pchnięcie pod jego ostrzem. Jeśli zaś pchnięciem, który to atak obcy jest jego naturze, możesz wówczas odeprzeć cios klingą albo też lewą dłonią osłoniętą w tym celu grubą skórzaną lub pancerną rękawicą [...]

Parując imbroccatę dolną zastawą, zbij pchnięcie w połowie ostrza; następnie napierając na klingę przeciwnika własną, pochwyć lewą dłonią rękojeść jego rapieru, a w ten sposób go rozbroisz. Owa botte secrète została objawiona przez mistrza Franciszka Altoniego tylko nielicznym, albowiem błędnie wykonana, może kosztować życie.

O tajnikach włoskiej sztuki szermierczej

M. Montvert, pan na Beauvoir

i Châteauneuf-sur-Charentonne

Lyon, 1571

Do domów przy rue de Bailleul wpadał przez okna loskot bębnow i tupot ciężkich buciorów — to maszerowała na północny front wystawiona przez miasto Paryż kompania pikinierów. Łopotały sztandary boczyły się konie oficerów, kobiety rzuciły kwiaty z okien, obdarci malcy biegli za pstrokatą kolumną wojaków, krzyżąc i machając rękami. Jedyne chyba zamknięte okno na całej ulicy

znajdowało się w kwadratowej, nakrytej stromym dachem wieżycze. Zza maleńkich zielonkawych szybek patrzył na toczącą się ulicą rzekę lśniącej stali przysadzisty mężczyzna z równo przyciętą brodą, odziany w jedwabną szatę i ciężki złoty łańcuch.

To moje piki i m o j e konie, myślał bankier Montvert. Ja płacę im żołd i nawet buty mają dzięki mnie. Ciekaw jestem, czy król spłaci choć odsetki. Oczywiście jeśli przegramy wojnę, całą inwestycję diabli wezmą. O wiele rozsądniej jest finansować obie strony, wtedy przynajmniej jeden ze zwaśnionych królów odda, co jest dłużny...

Westchnął. Królowie byli bardzo drażliwi na punkcie takiego postępowania; uważali widocznie, że człowiek musi opowiedzieć się po jednej ze stron. Zresztą... trzeba w końcu wybrać kraj, w którym się mieszka. Westchnął ponownie. Król bierze od ciebie pieniądze, pomyślał, a jego słudzy wdają się w awantury z twoim synem-idiotą zaślepionym ich butnymi słowami i kłamliwym kodeksem honorowym. Kto opowie się po m o j e j stronie, pytam?

Błada pobożna córka bankiera, Klaretta, podeszła doń na palcach. Jej chłodna dłoń musnęła mu czoło jak wiotki jesienny liść.

— *Padre mio*, tyle masz ciężkich trosk — szepnęła. — Zwierz mi je, a ja będę się za ciebie modlić!

— Czy twój brat wciąż dobija się do drzwi?

— Tak samo gwałtownie jak w dniu, w którym kazałeś je zabić gwoździami, ojcze. Powiada, że okryłeś go hańbą, nie pozwalając mu spotkać się z panem d'Estouville na ubitej ziemi.

— I co jeszcze mówi?

— Wiele rzeczy, z których nie wszystkie są przeznaczone dla niewieścich uszu.

— Podśluchiwałaś!

— Nie, ojcze! Usłyszałam przypadkiem, bo klęczałam tuż pod drzwiami modląc się o zbawienie jego duszy.

— Ach, tak, rozumiem, rozumiem. A zatem, mój kwiatuszku, moja biała lilijo, módl się też o zbawienie jego ciała i o to, by osiągnął pozycję i dobrze się ożenił. Inaczej to ty będziesz musiała dać mi wnuki.

Uduchowiona dziewczeczka zadrżała i dotknęła wiszącego na piersi krzyża — jednego z licznej kolekcji.

— Kiedy, ojcze, u karmelitanek...

— Mówiłem ci już i powtarzam jeszcze raz, córuchno, że nie mogę cię poświęcić Chrystusowi. Gdy tylko d'Estouville wyjedzie na

front, planuję wysłać twego brata do krewnych matki w Genui... w łańcuchach, jeśli będzie trzeba... A potem porozumiem się z florenczką rodziną Pazzich w sprawie odpowiedniego narzeczonego dla ciebie. Wolalabyś Jakuba, który jest dwa lata od ciebie starszy, czy Józefa, który jest pół roku młodszy, ale podobno przystojniejszy od brata? Dziewczyna krzyknęła jak zraniona łania i wyfrunęła z izby, zgola nie tykając stopami ziemi.

— Idiotka — mruknął ojciec patrząc w ślad za nią. — Niedługo całkiem zniknie z tego świata. Im szybciej się ją wyda za mąż, tym lepiej.

Znalazszy się na piętrze, Klaretta jak zwykle ukłękła pod drzwiami swego opętanego przez demony brata, by od nowa rozpocząć modły za zbawienie jego duszy. Służba obchodziła dookoła na palcach oddaną świętej misji pannę, odzywając się pełnym uszanowania szepem.

— To święta!... Święta... — mówili do siebie.

Klaretta skromnie udawała, że nie słyszy.

— Och, proszę pani, nasza dziewczeczka to prawdziwy anioł Boży — mruzczała stara piastunka pani Montvert, która wyniańczyła również Klarettę i Mikołaja.

— Bóg mnie doświadczył — odparła pani Montvert. — Zabrał mi ojca, brata i dwoje maleńkich dzieci... ale odplacił mi po stokroć zsyłając na pociechę to błogosławione dziewczę...

Głosy ucichły w korytarzu, a Klarettę zrobiło się tak ciepło na sercu... Chociaż może to też był rezultat usilnych modłów.

Podniosła nieco głos, spodziewając się podjąć przerwany dialog z szatanami zamieszkującymi duszę Mikołaja. Zwykle modliła się na głos, a biedny opętaniec zamknięty w domowym areszcie wywrzaskiwał zza drzwi rozmaite bardzo interesujące rzeczy. Czasem wsuwała mu przez szparę jakieś święte dzieło albo zbiór kazań i wtedy chyba sam Lucyfer krzyczał do niej ustami brata, utwierdzając ją tym mocniej w boskiej misji. Ostatecznie skoro nie pozwalano jej iść do klasztoru, jakimż piękniejszym klejnotem mogłaby ozdobić koronę swej pobożności, niżli ocaleniem zagubionej duszy tego nieszczęśnika?

Zamiast jednak spodziewanych złorzeczeń odpowiedziała jej głucha cisza. Wycięta w drzwiach do komnaty dziura, przez którą podawano do środka jadło i napoje, na zewnątrz zaś nocnik, zastawiona była grubą deską na wypadek, gdyby więzień chciał tędy szukać drogi ucieczki. Ta cisza dobrze rokuje, pomyślała biała lilia rodziny Montvertów. Może dojrzał do tego, by uznać swoje błędy. Zdjęła deskę, chcąc wsunąć przez otwór pewną szczególnie potężną modlitwę, którą

własnoręcznie wykaligrafowała na karcie papieru. Zamiast powarkiwań i narzekań powitała ją cisza. Zajrzała do środka. W klatce nie było tygrysa, lecz rozbebeszona pościel, wybite okno i ginące za parapetem prześcieradło przywiązane jednym końcem do łóżka.

Jej krzyki ściągnęły na piętro cały dom. Wśród rwetesu i załamywania rąk jak we śnie słyszała rozkaz ojca, by otworzyć drzwi, a potem huk młotów i zgrzyt łomów. Wszyscy razem — ojciec, słudzy, matka, stara niania i Klaretta — wpadli do komnaty.

— Nie ma go! Poszedł na zatrąę! — zawołała bliska omdlenia matka.

— Przez okno — dodał rzeczowo Bernard, przechylając się przez parapet i śledząc bieg liny powiązanej naprędcę z pościeli i sztuk odzieży. — Zabrał miecz i sztylet.

— Niech to wszyscy diabli! — zaklął pan Montvert. — Nie wiedziałem, że miał je przy sobie! Powinienem był kazać najpierw opróżnić komnatę, nim go w niej zamknąłem.

— Zawiodłam! — wykrzyknęła Klaretta unosząc oczy ku niebu i blednąc jeszcze bardziej niż zwykle, lecz w ogólnym zamęcie nikt nie zwrócił na nią uwagi. Było to bardzo irytujące. Jak zwykle najważniejszy był Mikołaj. To prawdziwe przekleństwo urodzić się młodszą, i na dodatek płci niewieściej. — Będę się modlić do Najświętszej Panny — powiedziała nieco głośnie, ale oczywiście nikt jej nie usłyszał.

Matka płakała powtarzając: „Mój synek pewnie już nie żyje!”, ojciec miotał najbardziej ekstraordynaryjne kłątwy, nawet słudzy byli zanadto zaaferowani, by zauważyć biedną, bledziutką, pełną poświęcenia istotę w kącie. Kiedy wszyscy skupili się w nogach łoża, oglądając mocno zaciągnięty węzeł, Klaretta z goryczą przysiadła u wezłowia.

Nagle promień słońca, który wpadł przez okno, wyłuskał z panującego w komnacie bałaganu mały błyszczący przedmiot. Była to buteleczka z zielonego szkła, stojąca jak trofeum na skrzyni przy łóżku. Zaintrygowana Klaretta podniosła fiolkę. Czy to pachniało? A może lekarstwo? Korek był szczelnie obłany woskiem, a na szkle ktoś wydrapał kanciaste litery: NAPÓJ MIŁOSNY. Zdumiewające, pomyślała. Czy to dzięki niemu Mikołaj ma takie powodzenie u dam? Skąd go wziął? Czy zażywał go codziennie? A może przyprawiał nim wino, które pijał z tą ładacznicą, z którą ojciec zabronił mu się żenić? Czy napój sprawia, że ktoś ciebie kocha, czy też rodzi w tobie miłość do tego kogoś? Wystarczy kropla czy cała butelka?

Klaretta usiłowała odwrócić myśl od dręczących ją pytań ku rzeczom świętym, ale diaboliczna buteleczka wciąż przerywała jej

najbardziej budujące rozważania. Skąd on to wziął? Czy to jest drogie? Może ma tego więcej? Ukradkiem wsunęła fiolkę za gors koszuli. Dotyk chłodnego szkła zamiast przeszyć ją dreszczem, oblał ją gorącą falą. Bezszelестnie wymknęła się z komnaty. Gdyby ktoś wtedy na nią spojrział, dostrzegłby, że na białych jak śnieg policzkach malują się wyraźne różowe wypieki.

— Sybillo, każ Arnoldowi sprawdzić, kto tak wali do drzwi. Nikogo nie przyjmuję, za słaba jestem, żeby się podnieść. Jeśli to doktor Lenoir, powiedz mu, że po ostatniej kuracji przeczyszczającej wymiotowałam zieloną żółcią, a podagra doskwiera mi bardziej niż kiedykolwiek...

Ciocia Paulina leżała w łóżu wynurzając się z pościeli jak Lewiatan. Chorą stopę miała wystawioną spod koldry, żeby nic jej nie urażało. W czasie ataków podagry masywne rzeźbione łóżo z baldachimem stawało się — jak to określała — „jej świątynią boleści”. Wołała na przemian medyka i księdza, jęczała: „Wkrótce będzie po wszystkim” i: „Po mojej śmierci nie zapomnij wziąć sobie tej szkatułki z kości słoniowej, która stoi na kominku”. Potem oczywiście troskliwa opieka i kuracja przeczyszczająca poprawiały jej samopoczucie i wtedy dostojnie podnosiła się z łóża, kazała się odziać w najlepszą suknię i mówiła: „Cały czas myślę o tym wspaniałym włoskim aksamicie, który widziałyśmy w Palais. Nie sądzisz, że świetnie nadawałby się na kaptur? Skocz, zobacz, czy jeszcze go mają. Muszę iść do katedry i złożyć pokorne dzięki Panu Bogu za cudowne ozdrowienie... i może jakieś votum... Tak, nowa kapuza. Obszyta błękitnym jedwabiem...” Oznaczało to, że kryzys minął.

Ale tym razem nie był to doktor. Na progu stał mężczyzna, którego bynajmniej nie spodziewałam się tu ujrzeć. Twardą, pobruźdowaną twarz miał zapadniętą, brodę i włosy w nieładzie, dół szaty zbryzgany cuchnącym paryskim błotem, co świadczyło, iż przybył w pośpiechu.

Z sypialni dobiegł głos ciocie:

— Powiedz doktorowi, że potrzebna mi nowa pigułka na przeczyszczenie. Służebna zapomniała wyjąć tamtą z nocnika. Jestem zrozpaczona, bo miałam ją po matce. W dzisiejszych czasach aptekarze fałszują ołów i nowa na pewno nie będzie tak skuteczna...

— To nie doktor, ciociu — zawołałam. — To ojciec Mikołaja.

— Powiedz mu, że nie jest mile widziany w moim domu — zabrzmiała odpowiedź. — Zawiódł mnie bardzo i nie życzę sobie więcej z nim rozmawiać.

— Panienko, błagam, czy mój syn jest tutaj?
— Wasz syn nie pokazał się tu, odkąd zamknęliście go w domu. Wyszedł, by prosić o zgodę na nasz ślub, i więcej nie wrócił. A kiedy przyjechał do wód, by się ze mną pożegnać, nim uda się na wygnanie zgodnie z waszą wolą, znowuscie go uwięzili... rzekomo po to, aby wyrwać go z moich szponów. Panie Montvert, jesteście złym człowiekiem! Trąbiliście pan na cały świat, jakobym uwiodła waszego syna, żeby zmusić go do ożenku! Nazywaliście mnie kurtyzana! Zniszczyliście mi reputację, w związku z czym muszę was pożegnać, tak jak życzy sobie tego moja ciocia.

— Pani re... — Montvert poczerwieniał na twarzy, lecz opanował się, choć nie bez trudu. — Mości panno, jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Mikołaj uciekł, a właśnie na dziś wyznaczono pojedynek, którego tyś jest przyczyną. Jeśli Mikołaj spotka się z Estouville'em za murami miasta, to albo zostanie zarżnięty jak cielę, albo pojmany przez strażę i ścięty. Ponieważ zaś to wszystko twoja wina, powinnaś błagać go, by odstąpił od tej tak zwanej honorowej sprawy, która może go kosztować życie. Nie jesteś chyba aż tak zepsuta, by pragnąć jego śmierci?

Uciekł i nawet mnie nie zawiadomił? Już mnie nie kocha. Ciocia i jej sędziwe przyjaciółki omyliły się w przewidywaniach. Już o mnie zapomniał. A to wszystko dzieło jego ojca. Ten okrutny, samolubny starzec wygrał. Czulałam, że serce mi pęka, postanowiłam jednak nie okazać bólu.

— Skoro uciekł, skąd wiecie, że ma zamiar się potykać z panem d'Estouville? — spytałam sucho.

— Ponieważ nie wziął ze sobą niczego prócz broni i płaszcza. Pięniądze, wszystko inne zostało w komnacie. Błagam! On mnie nie wysłucha, ale może ty, pani, będziesz miała na niego wpływ...

— Dlaczegoż bym ja, córka Artaudów z La Roque, miała prosić mężczyznę, by splamiał się tchórzostwem? Honor jest wszystkim, życie bez niego nie ma żadnej wartości. Sami się hańbicie, żądając czegoś takiego!

— Daruj sobie panna ten snobizm. Chyba ze wszystkich ludzi ty najlepiej potrafisz naginać tak zwane reguły honoru. Mój chłopiec jest studentem, nie żołnierzem, a jeśli władze dowiedzą się o tym pojedynku, zapłaci głową. D'Estouville stoi tak wysoko, że prawo się go nie ima. Wie panna, że zabił w pojedynkach już dwunastu ludzi? Czymże jest dla niego życie mego syna? Będzie się mógł chwalić trzynastym trofeum. Porąbie Mikołaja na kawalki, a ja mam tylko jednego syna, jednego,

rozumie panna? Jest moim najdroższym skarbem! Powinien wiele się jeszcze nauczyć, dojść do czegoś w życiu, stać się czymś więcej niż karmą dla robaków.

— Naginać reguły... ja miałabym naginać reguły honoru? Za kogo mnie uważacie? Moja reputacja była biała jak lilia, dopóki wyście jej nie zszargali podłymi słowami. No i w końcu udało się wam zatruć serce Mikołaja!

— Ja ją zszargałem, ja? Zwabiłaś mego chłopca do tej łaźni... co ja mówię! publicznego rysztopka, gdzie twój gach wyzwał go na walkę, z której Mikołaj nie wyjdzie żywy! I po co to? Żeby mówili o tobie: „To kobieta, dla której ginęli ludzie”? Może jeszcze napiszesz o tym wiersz, żeby twoi kochankowie mogli go śpiewać na dworze?

— Kochankowie? Precz, wstrętny starcze! Mikołaj miał rację: twój umysł jest brudnym kłębowiskiem demonów! Nie poznałbyś czystego serca ani szlachetnych intencji, choćbyś się o nie potknął! Nie zasługujesz na takiego syna jak on!

— Sybillo, słyszę głosy. Chyba powiedziałam wyraźnie, że ten człowiek nie jest mile widziany w moim domu. Wyrządził ci już dostatecznie wiele krzywd! — zawołała ciocia z alkowy.

— Nigdzie go nie wabiłam! — zaperzyłam się. — Mikołaj nienawidzi w Estouville'u utytułowanego pasożyta i łowcę posagów, który prześladowuje mnie mając na oku moje dziedzictwo, choć nigdy nawet nie wpuściłam go za próg...!

— Dziedzictwo? — Montvert nagle zauważył cenne meble i arras wiszące w pokoju.

— A uzdrowisko jest bardzo szacowne i bywają tam damy z najlepszych rodów, i...

— Ale widuje się ciebie na dworze, a zważywszy, że jesteś niezamężna...

— Sama królowa zaprosiła mnie na dwór!

— Ale twoja kuzynka Matelina mówiła...

— Matelina? A cóż ona ma z tym wspólnego?

— Powiedziała, że dzięki swym poezjom masz kochanków w najwyższych kręgach i że sama też weźmie się do pisania wierszy... Podobno wszystkie damy na dworze o tym mówią...

— Kochankowie? Nie ośmieliłabym się wziąć kochanka! Wszystkim i tak zależy tylko na tym kufrze, którego w żaden sposób nie mogę się pozbyć! Menander Nieśmiertelny zrujnował mi życie! Jedyńm człowiekiem, który to rozumiał i dbał o mnie dla mnie samej, był Mikołaj, a ty mi go odebrałaś, potworze! To wszystko twoja wina, sam doprowadziłaś do

nieszczęścia, krok po kroku! Gdybyś pozwolił nam na ślub, nie doszłoby do tego, co się stało!

— Menander Nieśmiertelny? Któż to taki?

— Sybillo, słyszałam was. Mówiłam, żebyś go odprawiła. Ale skoro już zanadto rozpuściłaś język, wprowadź go tutaj. Chcę mu się przyjrzeć — dobiegł przez otwarte drzwi sypialni głos ciotki, zdumiewająco mocny jak na osobę śmiertelnie chorą.

— Kto tam jest? Przepraszam, muszę już iść. Mikołaj...

— Każ mu wejść, inaczej rzucę na niego kłątwe, od której włos mu się zjeży — powiedziała ciocia. — Pozbędzie się wszystkiego, rodziny i majątku, jeśli mnie teraz rozżłości. Powiedz mu, że Menander Nieśmiertelny go wzywa.

Pan Montvert, który był już w progu, zbladł. Rozejrzał się po komnacie, odetchnął chrapliwie i wszedł z powrotem.

— Czarnoksiężstwo — szepnął. — Nie rozpusta, lecz czarnoksiężstwo. W coś ty się wplątała, dziewczyno?

— Wejdźcie i sami zobaczcie — odparłam.

— Czy to ocali mego chłopca?

— Tylko za cenę, której nie byłibyście skłonni zapłacić.

— Zapłaciłbym własną duszą — rzekł cicho i w tejże chwili nagle przestałam go nienawidzić. Zrobiło mi się go żal, zwłaszcza że lepiej od niego wiedziałam, jak bliski był prawdy.

— Nie proście o nic Menandra — powiedziałam. — On jest zły; jest złem wcielonym. Przekreśli wasze życzenie i zmieni je w przekleństwo. Niszczy każdego, kto się z nim zadaje. Wielki Nostradamus powiedział mi kiedyś, że Menander to otwarte drzwi Piekieł. Ja... ja pójdę z wami tam, gdzie mają się pojedynkować, choćbym miała doszczętnie stracić reputację. Będę błagać Mikołaja, żeby dla was wyrzekł się swego honoru. Nie chcę być winna doprowadzenia kolejnej duszy do zatury.

Starszy pan odwrócił się i bez słowa spojrział mi w twarz. Jego znużone oczy pełne były strachu i smutku. Potem zdecydowanym krokiem, jak człowiek idący na szafot, wszedł do ciocinej sypialni, gdzie na rzeźbionym stoliku pod oknem stał otwarty kuferek z głową Menandra.

— No, no... — zaszemrał głos Menandra jak szelest zeschniętych liści. — Oto następny, któremu spieszno się pozbyć duszy. Słusznie, panie bankierze, to tylko balast, który i tak prędzej czy później będziesz musiał odrzucić. Czemu więc nie w dobrej sprawie?

Montvert obszedł stolik z każdej strony, przyglądając się głowie. Twarz miał zamyśloną, jak gdyby kalkulował coś w duchu.

— Dlatego — rzekł po chwili — że spojrzawszy w twoje lisie oko nie mam wątpliwości, że jesteś większym oszustem niż monarchowie, którym pożyczalem pieniądze. Ci nigdy nie płacą odsetek, rzadko też zwracają sumę główną. Czy kiedykolwiek wypłaciłeś się ze swych obietnic, panie Zła Głowo?

— Zawsze płacę. Daję mym przyjaciółom dokładnie to, czego sobie życzyli, ani mniej, ani więcej. Jestem bardzo dokładny. Zwierz mi swoje pragnienie, a zostanie spełnione. To przecież takie proste, a czy ktoś w ogóle widział kiedykolwiek duszę? To wytwór wyobraźni. Gwarantuję, że nie będzie ci jej brakować.

Oczekiwałam, że ujrzę na obliczu bankiera pokusę i chciwość, lecz jego twarz stężała, a usta wykrzywiły się z niesmakiem.

— Znałem ludzi podobnych tobie — rzekł pogardliwie. — Twardych handlarzy, sprzedawców odebranych za długi dóbr i włosów zmarłych kobiet. Wszystko jest dozwolone, czy tak? — Stary bankier odwrócił się do mnie i wbił we mnie wzrok, jakby chciał zapamiętać każdy załomek, każdy szczegół mojej twarzy. — Powiedz mi, łaskawa panno, odkąd to zabawiasz się czarnoksięstwem? Zawezwałaś go panna z piekiel złym zaklęciem? A może ożywiłaś głowę, własnoręcznie dobywszy ją z grobu?

— Nic podobnego! Ten kuferek był cudzą własnością, a do mnie trafił przypadkiem i teraz nie jestem się go w stanie pozbyć, chociaż dziesiątki razy próbowałam. Królowa pragnie mieć go dla siebie, przechowuję go więc i przynoszę, ilekroć chce wypowiedzieć życzenie. Dlatego zakazała mi się oddalać.

— A więc to cała tajemnica. Zupełnie nie tak to sobie wyobrażałam. Czcigodna pani Tournet, przepraszam za najście. Chyba muszę cofnąć wszystko, co powiedziałem. Znam pana z La Roque-aux-Bois, brata szanownej dobrodziejki...

— I wyobrażałeś pan sobie, że córka jest równie bezwstydną jak ojciec? Spodziewałeś się awanturnicy bez grosza przy duszy, która podstępem wkradła się w moje łaski, wykorzystała mnie, by dostać się na dwór i zrobić tam karierę, a teraz szuka prostodusznego męża, który służyłby jej jako parawan?

— Takie rzeczy się zdarzają — odparł Montvert. — W dzisiejszych czasach kobiety ambitne są o wiele liczniejsze od kobiet uczciwych. — Wzruszył ramionami, jak gdyby otrząsał się z dawnych wspomnień. — Teraz jednak, ponieważ życie mego syna jest w niebezpieczeństwie, muszę zadać paniom kilka pytań. Jak rozumiem, ta potworna

zmumifikowana głowa spełnia życzenia, czy tak?

— Jeśli wypowie się słowa wyryte na kufierku.

— Ale czyni to złośliwie? To znaczy, spełnia życzenie dosłownie, nie bacząc na zawarte w nim intencje?

— Tak właśnie jest. Zalecam, abyś był pan niezmiernie ostrożny w doborze słów. Jeśli poprosisz, by syn zachował życie, może stracić wzrok, a jeśli zażądasz, by pozostał zdrow na ciele, może zaniemóc na umyśle. Gra, którą prowadzi Menander, polega na tym, że zmusza on swą ofiarę, by chcąc naprawić poprzednie życzenie, wypowiedziała następne i tak dalej, aż żal i zgroza wpędzą ją do grobu.

— Zatem nie tylko bierze w zamian duszę, lecz jest tak chciwy, iż stara się przyspieszyć termin zapłaty?

Ciocia kiwnęła głową.

— Tak by to można ująć. Odkąd mamy Menandra, widziałyśmy już niejednego głupca, który dał się na to nabrać.

— Czy królowa...

— Królowa ma żelazną wolę. Bardzo rozważnie szafuje życzeniami.

— A wy?

— My nie wypowiadamy życzeń. Menander nie ma ciała, nie może więc nas do tego zmusić. Działa wyłącznie na rozkaz innych ludzi, nie we własnym imieniu.

— Ale szepcze przez całą noc — dodałam. — Mówi straszne rzeczy.

— Gada nocami, kusi ludzi do zaparcia się nieśmiertelnej duszy, ściąga do domu opętanych chciwością nieznajomych... Panno Sybillo, choć znacznie poprawiłem opinię o twoim charakterze, obawiam się jednak, że nie takiego losu życzyłbym sobie dla mojego syna. Nie osiągnie w życiu wiele, gdy nie będzie mógł w nocy solidnie odpocząć, a przy tym obawiam się, że ma bardzo słabą wolę.

— Rozumiem doskonale — powiedziała ciocia. — Istotnie, w obliczu takich przeszkód błędnie nawet olbrzymi majątek, jaki Sybilla po mnie odziedziczy. — Widząc, że jej strzał dosięgnął celu, uśmiechnęła się nieznacznie pod czarnym wąsikiem; tak nieznacznie, że nawet nie skruszył jej się puder pod oczami.

— No cóż, podjąłem decyzję — oznajmił pan Montvert.

— Wiesz już, czego chcesz? — oko Menandra zalśniło złośliwie spod luszczącej się powieki.

— Chcę, by panna Sybilla dotrzymała słowa i udała się wraz ze mną na miejsce pojedynku, gdzie spróbuje nakłonić mojego syna, aby zrezygnował z walki — odparł bankier. — Ty byłbyś jeszcze gorszym kontrahentem niż król Portugalii.

— Co? — wrzasnął Menander. — Nie wypowiesz życzenia?

— Oczywiście, że nie — uciął szorstko Scypion Montvert. — Jestem bankierem, podejmuję decyzje rozważywszy koszty i spodziewane zyski. Twoje koszty są wysokie, zyski wątpliwe, a w przeciwieństwie do króla Portugalii nie dysponujesz środkami przymusu. Niech jakiś inny głupiec utopi się w twoich czarach.

Ciocia zaśmiała się głośno.

— Bankierze, podoba mi się twój sposób myślenia.

— Nawzajem, łaskawa pani, muszę wyrazić swój szczerzy podziw — rzekł Montvert, składając jej głęboki ukłon. — A teraz, za pozwoleniem, mam tu pod domem szybkiego konia. W sakwach jest odzież, prowiant i list kredytowy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Mikołaj opuści granice Francji, nim jeszcze na placu boju pojawi się d'Estouville i jego sekundanci. Czy mogę zatem, pani, prosić twoją bratanicę, by mi towarzyszyła?

Ciocia kiwnęła głową na znak zgody.

— Ale masz ją bezpiecznie przywieźć tu z powrotem — powiedziała. — Ona jest moim największym skarbem.

— Obiecuję, madame.

— Koń i zapasy na drogę? — wyjąkałam. — Skąd wzięliście, że się zgodzę?

— Moja panno, może nie zawsze postępuję słusznie, ale nie jestem głupcem. Umiem poznać prawdziwą miłość. Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że kiedy spojrzysz na sprawę z właściwej strony, pomożesz mi.

Czułam, że dodał w duchu: „Nawet gdyby miało cię to kosztować utratę Mikołaja”.

— Cóż, przyjaciele, wygląda na to, że tchórz uciekł z podkulonym ogonem — rzekł Filip d'Estouville przypatrując się poletku będącemu znanym miejscem nielegalnych pojedynków.

Udeptana, zwiędła w upale trawa świadczyła, iż jest ono często odwiedzane. Nie biegła tędy żadna droga i tylko kilka samotnych wiatraków patrzyło na plac boju. W dali widać było grupkę wczesnych podróżnych spieszącą ku bramie Świętego Antoniego, tej samej, którą młodzi oficerowie opuścili Paryż. Za murami na ciemnych wieżach

Bastylii powiewały w porannym wietrze kolorowe proporce. Dzień zapowiadał się upalny. D'Estouville zsiadł z konia i na przemian to wypatrywał rywala, to badał wzrokiem grunt, na którym miał walczyć, rejestrując jego zalety i wady.

— Czekajcie, ktoś wychodzi z miasta, o tam. Dwóch... nie, trzech ludzi.

— Pieszo? To nie mogą być oni. Nawet synowie bankierów mają muły. — Oficerowie wybuchnęli śmiechem.

— Im szybciej go zabijesz, tym lepiej — rzekł sekundant Estouville'a. — Moja siostra okryła rodzinę hańbą, zadając się z tym prostakiem. — Hannibal de La Roque spędził z rękawa czamozieloną muchę. Krążyło tu ich wiele, ziemia bowiem nasiąknięta była jeszcze krwią poprzedniego śmiałka, który padł w tym ustronnym miejscu.

— Zbliżają się. Wygląda na to, że jednak będę miał na koncie trzynastego trupa.

— Kim są jego sekundanci? Szlachcicami? Jeden wygląda jak student.

— Znam tego drugiego. To syn oberżysty z „Białego Konia”. Ojciec chciał mu kupić miejsce w kompanii pana Saint-André.

— I nawet ten łasy na złoto Peyrat go nie przyjął? — Oficerowie zaśmiali się głośno.

— Nie do wiary! Chłopczyk przyniósł rapier! Nie spodziewałem się tego po plebejuszu. Szkoda, że to nie on wybierał broń, pewnie by się zdecydował na nóż kuchenny!

— Podobno Anglicy pozostawiają wyzwanemu wybór broni.

— Bo Anglicy wszystko robią na odwrót.

Kiedy Mikołaj zbliżył się wraz z sekundantami, d'Estouville zawołał:

— Po co tu przyszedłeś, Montvert?

— Przyszedłem bronić mego honoru — wypowiedział zwyczajową formułę Mikołaj i zaraz dodał: — Ty bowiem nie miałbyś czego bronić, mydlku, któryś chciał zatruć damę wywarem miłosnym! Mam tę buteleczkę, którą ci zabrałem, pamiątkę naszego ostatniego spotkania. Kiedy cię pokonam, dodam do niej twój oręż jako lepsze trofeum!

— Wywar miłosny? Poileś wywarem miłosnym moją siostrę? — rzekł groźnie Hannibal.

D'Estouville poczerwieniał z wściekłości. Z trudem łapał powietrze. Zaniepokojony tym drugi sekundant rzekł pospiesznie:

— Filipie, nie pozwól mu wyprowadzić się z równowagi głupim gadaniem. To podstęp.

Sekundanci porównali długość obu rapierów, całkowicie zapominając o swym podstawowym zadaniu — próbie pogodzenia zwaśnionych stron.

Tymczasem, nie zauważony przez młodych ludzi konferujących na łące, z bramy miejskiej wyjechał konny oddział kuszników, który zaraz skręcił z głównego traktu na ścieżkę wiodącą ku wiatrakom. Kapitan miał przy sobie pisemny rozkaz pojmania obu przeciwników. D'Estouville, przez wzgląd na jego koligacje rodzinne, miał zostać pozbawiony stopnia i natychmiast odesłany na front. Młody Montvert za złamanie królewskiego rozkazu miał zapłacić głową, by dać przykład innym.

— Tam — rzekł dowódca kuszników, wypatrywszy w dali grupkę ciemno odzianych postaci, która nagle rozdzieliła się na dwie części. Na dany znak zbrojni puścili się klusem, dowódca jednak ponownie uniósł rękę.

— Stać! — rzekł. — Już zaczęli. Wygląda to na ładną walkę. Niech d'Estouville zachowa honor.

— Szczęśliwa trzynastka! Stawiam sześć koron na d'Estouville'a.

— To żadna sztuka. Założmy się, jak długo studencik wytrzyma, nim D'Estouville go rozsieka!

— Jak go mają stracić, skoro będzie martwy?

— Po prostu powieszą ciało na murach ku uciesze gawiedzi. To powinno wystarczyć jako nauczka dla kupczyków, by nie próbowali naśladować lepszych od siebie.

Kusznicy zatrzymali się nie opodal miejsca walki. Z siodła mieli dobry widok, a pojedynek na śmierć i życie rozgrzewał serca mocniej niż walka byków — spośród krwawych sportów ceniono go najwyżej.

Słychać było świst i szcęk stalowych kling. Przeciwnicy mieli lewe ramiona owinięte płaszczami, w prawych trzymali ciężkie włoskie rapiery.

— To błąd. Za wysoko trzyma zastawę. Teraz tamten pójdzie nisko...

— Dostał! Nie, patrzcie, d'Estouville ma pod kaftanem pancierz!

— Pchnięcie... Ładna parada!

Przeciwnicy zawzięcie napierali na siebie, dysząc ciężko i mamrocząc przez zęby obelgi. Nagle odskoczyli, nastąpiła wymiana ciosów, tak szybka, że oko nie zdążyło jej pochwycić.

— Patrzcie, jak ten chłopak pracuje nogami. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— D'Estouville ciął... nie, tamten się uchylił.

— Zostańcie na miejscach. Nie psujcie mu ataku — powtórzyl dowódca kuszników.

Naprzeciw żołnierzy ustawiła się grupka gapiów, którzy wybiegli z miasta, żeby być świadkami ujęcia przestępców, i zostali nagrodzeni zajmującym spektaklem. Podjudzali walczących i robili zakłady, kto zwycięży. Po chwili nadjechała w pośpiechu kolejna grupka osób. Lokaj przytrzymał dwa konie, z których jeden miał za siodłem wypakowane sakwy, a stary człowiek w mieszczańskiej odzieży chwycił za rękę zeskakującą już z grzbietu wierzchowca wysoką, szczupłą pannę.

— Już za późno — wydyszał — niech panna nie pcha się między ostrza. Jezus, Maria, synku...! Chwała Bogu, odparł cios. Cóż to za przedziwna technika walki! Może jednak... Mój Boże, ten drań ma pancerz pod odzieniem! Mikołaj jest zgubiony!

Na rozwidleniu drogi przy młynie pojawiła się damska kolebka zawieszona między dwoma mułami, na których jechali pacholki. Tuż za nią chuda szkapa niosła mężczyznę i chłopca. Grupa ta również skręciła w stronę zbiegowiska na łące. Z kolebki dobiegł czysty dziewczęcy głos:

— Najświętsza Panno, łaskawie oszczędź życie mego brata, aby mógł odkupić swą duszę przez pokutę i przyszłe dobre uczynki...

— Spieszcie się, och, spieszcie! — zakrzyknęła jadąca obok dziewczęca dama. — Pędz naprzód, mistrzu, może zdołasz go jeszcze ocalić!

Cyrulik popędził kościstego wierzchowca uginającego się pod ciężarem dwóch osób i sakwy z narzędziami. Z przodu dobiegał miły szcęk stali, zwiastując rychły zarobek. Będzie klient, może dwóch, a może nawet więcej, jeśli sekundanci też chwycą za broń, jak to nieraz bywało.

Klaretta przyodziła się tego ranka w powłóczysty biały muślin, w którym wyglądała jak wiedziona na ofiarę dziewica. Ciemne włosy splotła w dwa warkocze zwinięte za uszami tak lekko, by w dramatycznym momencie mogły się rozsypać, tworząc obraz natchnionej łaską Bożą, błagalnej kobiecości, któremu nie oprze się najbardziej nawet zatwardziały świadek. Wysiadłszy z kolebki, stanęła tuż przed kusznikami, skąd rozpościerał się znakomity widok. Następnie padła na kolana, wyjęła różaniec i wzniosła oczy ku niebu.

Jednakże niepokojące stękanie walczących, zapach potu, szcęk broni odrywały ją od modlitwy i ściągały jej wzrok tu, na ziemię. Dlatego też dostrzegła piękne bujne wąsy, orli profil i rozdarty,

romantycznie splamiony krwią rękaw kaftana. Żadna z tych rzeczy nie należała do jej brata-grzesznika, o którego rodzina robiła tyle szumu. Należały one do niewinnego walecznego młodzieńca, którego ten łajdak Mikołaj tak niecznie usiłował zabić. Czują, że coś ją gniecie pod ciasno zesnurowanym stanikiem sukni. Mogło to być serce, lecz w rzeczywistości był to obcy przedmiot — zielona szklana fiołka, która twarzym uciskiem przypominała o swym istnieniu. To nasunęło Klaretcie myśl o miłości, a myśl ta skojarzona ze spoconym nieznanym wywołała świerzbący, palący dreszcz, który przebiegł jej ciało aż do najdalszych zakątków...

D'Estouville był spocony jak mysz i dyszał ciężko. Jego przeciwnik stawał nadzwyczaj dzielnie jak na człowieka niskiego stanu. Numer trzynasty okazał się nie tak łatwym trofeum, jak można się było spodziewać. Włoski rapier był we Francji nową bronią, a władanie nim wymagało olbrzymiej wprawy. Staroświeckie cięcia, w których celowali wszyscy dobrzy szermierze, okazywały się bezużyteczne wobec błyskawicznych pchnięć, chytrych parad i sekretnych włoskich *bottes*, strzeżonych zazdrośnie przez cudzoziemskich mistrzów. D'Estouville kilkakrotnie za bardzo się odsłonił — robiąc zamach pozostawił na moment lukę pod prawym ramieniem. Lecz błędem w obronie zaradził pancerz — już ocalił go przed dwoma czystymi pchnięciami i zręcznym kontratakem, który ześliznął się po napierśniku, uwiązał w rękawie i wydarł krwawą, ale płytką ranę w prawej ręce. Potem d'Estouville niezdarnie sparował dolne cięcie i zainkasował ranę nad lewym kolaniem. Teraz to kolano zaczynało się pod nim uginać, ale widział, że numer trzynasty też wyraźnie traci siły. Oddychał ciężko, sztych jego rapiera kołysał się coraz niżej. Nie miał zaprawy żołnierza, który ćwiczy codziennie. Pojedynek dobiegał końca. Teraz wykona szybki atak na sztych, odbije w dół i przesyje serce ofiary dokładnie przez sam środek... Zmyje kompromitację z napojem miłosnym krwią tego prostaka, a Sybilla z uwielbieniem rzuci mu się do stóp. Kobiety zawsze czężą zwycięzców.

Ale cóż to? Nagły, desperacki ostatni atak? Nie na tors... Na klingę? Niesłychane. Montvert zdołał przejść w zwarcie, lewą ręką chwycił jelec rapiera d'Estouville 'a, prawą stopą napał na jego lewą. Dwie spocone twarze dzieliła teraz odległość ledwie paru cali. D'Estouville zacieśnił chwyt i nie pozwolił wyrwać sobie broni, ale czuł, że traci równowagę nie mogąc przesunąć nogi za stopę przeciwnika. Montvert szarpnęła i nagle jego kolano wbiło się celnie dokładnie w krocze Filipa d'Estouville, który jeszcze przed chwilą był pewien zwycięstwa.

Była to tajna *botte* mistrza Altoniego — nieładna, ale bardzo skuteczna. D'Estouville jęknął i osunął się na ziemię.

Następnym, co dotarło do jego świadomości, był kobiecy krzyk i ciężar, który przygniół mu pierś, pomnażając ból i upokorzenie. Ostrze przeszło mu serce? Nie! Pospolita, pucolowata dziewczyna w bieli, z rozwianym włosom, rzuciła się na niego i własnym ciałem zasłoniła go przed ciosem zwycięzcy.

— Klaretta! — D'Estouville posłyszał zdumiony głos rywala, choć niczego nie mógł dojrzeć przez gęstwę ciemnych włosów, która zasłaniała mu twarz. — Złaż z niego, zarazo! Zwyciężyłem. Jego życie i broń należą do mnie.

— Mikołaju, ty potworze! Jak mogłeś!

Śmieszna dziewczyna przygwoździła go do ziemi, jej włosy łaskotały go w nos i miał ochotę kichnąć, a poza tym nadal nic nie widział. Miał wrażenie, że inna kobieta odciąga jego trzynastego przeciwnika.

— Nie trać tu ani chwili więcej — mówiła nagłaco. — Przyszli po ciebie. Prędko, bierz konia!

Wycelowany w jego lewe oko czubek rapiera zniknął. Przez mgłę ciemnych włosów pachnących wodą różaną dostrzegł biegnące sylwetki. Słyszał krzyki, kroki, cichnący w dali tętent kopyt, brzęk uprząży i napinanych kusz, różne wykluczające się wzajem komendy. Leżąca na nim dziewczyna zawołała:

— Tchórze! Nie ważcie się go tknąć! Nie widzicie, że jest ranny?

— Kapitanie, tamten drugi uciekł.

— Trudno, mamy tego.

— Jestem cyrulikiem. Trzeba mu opatrzyć rany.

— Mam tu... — rozległ się nad nim kobiecy głos i płat muszliny ostatecznie przesłonił mu widok — ...uzdrawiający balsam.

— Zejdz ze mnie, kobieto — wychrypiał d'Estouville. — Hańbisz mnie, kimkolwiek jesteś.

— Najpierw to wypij — przemocą wlała mu do ust jakiś palący płyn i nim zdolał odkaszląć, zapadł w ciemność.

Zbrojni, którzy wzdragali się siłą odciągać dziewczę w muszlinach od pokonanego w pojedynku młodzieńca, nie zdążyli nawet drgnąć — patrzyli w osłupieniu, jak dziewczę wyjmuje ukrytą na piersi fiolkę, wyciąga z niej korek, wlewa kilka kropel do ust rannego, a resztę wypija sama. Nim jeszcze zdążyła przełknąć, padła na pierś rannego jak martwa. Cyrulik odwrócił ją na wznak i przyłożył ucho do jej piersi. Potem nachylił się nad d'Estouville'em.

— Nie żyją — oznajmił. — Oboje.

Żal brzmiały w jego głosie był szczery. Cała wyprawa na próżno! Nie dość, że nikt mu teraz nie zapłaci, to jeszcze będą ciągać go na przesłuchania. Ech, Fortuno, ty stara, zdradliwa wiedźmo, pomyślał.

— Moja córeczka, mój aniołek! — krzyknęła zrozpaczona niewiasta, która wysiadła z kolebki.

— Kto to jest? — zapytał dowódca kuszników.

— Moja córka, siostra tego drugiego. Któż by podejrzewał, że ma tak mściwe serce? — rzekł ze łzami w oczach bogato odziany bankier.

— To było takie ciche, takie dobre dziecko. Bez przerwy się modliła. Codziennie chodziła na mszę — szlochała pani Montvert.

Żołnierze i gapie otoczyli ciasnym kręgiem oba ciała, wytrzeszczając oczy ze zdumienia i zgrozy.

Oto przystojny zakrwawiony oficer leżał z otwartymi ustami i bladą jak śnieg twarzą zwróconą ku niebu, a na jego piersi dziewica odziana w zwiewną muślinową szatę. Jej rozpuszczone włosy opływały oba ciała niczym ciemna rzeka. Śmierć dosięgła ich bez ostrzeżenia, bez księdza, bez modlitwy. Wielu gapiów jawnie ocierało łzy.

— Zabierzcie ich — rozkazał kapitan kuszników. — A co to... Martwy mężczyzna lekko poruszył głową.

— Patrzcie, ona żyje! Słyszałem, jak westchnęła — rzucił ktoś z boku.

— Cyruliku, co za dureń z ciebie!

— Słowo daję! Oba serca nie były...

Powoli, z głębokim westchnieniem, biała odziana panna uniosła głowę i z namiętym podziwem spojrzała w twarz mężczyzny. Jego powieki drgnęły, uniosły się, a wzrok, którym objął dziewczynę, świadczył o najgłębszym uwielbieniu. Spojrzenia dwojga młodych sprzęgły się, policzki okrył rumieniec. Serca, jedno tuż przy drugim, zaczęły bić w tym samym rytmie. Miłość — miłość absolutna, miłość nieskończona — zwyciężyła.

Patrząc na rozgrywającą się przed mymi oczyma romantyczną tragedię, pomyślałam: Dzięki Bogu za całe to szaleńcze zamieszanie. Mikołaj jest już tak daleko, że nigdy go nie dogonią.

— Ta rana na ramieniu wygląda paskudnie, trzeba będzie ją opatrzyć, panie — bąkał speszony cyrulik.

— Nie... nie rozumiem — rzekł w oszołomieniu pan Montvert.

— Nie wiedzieliście, że Mikołaj pisze książkę o sztuce fechtunku włoskim rapierem? — spytałam.

— Nie o to mi chodzi. Mam na myśli ów środek, którym moja córka napoiła tego człowieka. Co to właściwie było?

Schyliłam się i podniosłam porzuconą fiołkę, która błyszczała w słońcu. Zmrużywszy oczy odczytałam napis.

— Obawiam się, że miłość połączyła ich na wieki — powiedziałam.

— Miłość? Z tym paniczykiem? Tym utracjuszem? Pasożytem, który do końca życia będzie trzymał rękę w mojej kiesie?

— No cóż, przynajmniej ma dobre nazwisko i wpływy. A pewnego dnia odziedziczy tytuł.

— Och, czemu jej nie wysłuchałem, kiedy chciała iść do klasztoru? — jęknął stary bankier.

W ubogim mieszkaniu śmierdzącym gotującą się kapustą Wawrzyniec Ruggieri wrzeszczał na żonę:

— Beatrycze! Znowu podbierałaś mi biały arsenik do trucia szczurów! W butelce jest mniej, niż było!

— Nieprawda. Widzisz znak, który na niej zrobiłeś? Nawet jej nie dotknęłam, mój drogi.

— Sto razy ci mówiłem, żebyś nie ruszała moich preparatów. Przypuśćmy, że ktoś zechce słono zapłacić za pierwszorzędną truciznę, a ja nie będę miał dostatecznej ilości? Pójdzie do kogoś innego!

Żona Wawrzyńca oparła najmłodsze dziecko na biodrze i zamieszała w garnku zupę ze świńskich ratek z dużą ilością czosnku, ulubioną potrawę męża.

— Mój mały syneczku... — zaśpiewała cichutko. — Kiedy tatuś zje zupkę, przestanie się srożyć. Nigdy się nie dowie, że w butli są same resztki z innych naczyń. Ileż miałam z tym zachodu! A przecież muszę pozbyć się tych wstrętnych szczurów, żeby mój syneczek mógł bezpiecznie stawiać pierwsze kroki... Grzech, grzech panoszy się na tym podłym świecie! To szczury trzeba truć, nie ludzi! I cóż stąd, że zamiast arszeniku jest napój miłosny i lekarstwo na ból brzucha? Miłość to nic złego. Światu przydałoby się więcej miłości. Więcej miłości i mniej szczurów, a wszyscy będziemy żyli spokojnie, mój mały kwiatuszku.

Malec nic nie odpowiedział, ale na dźwięk matczynego głosu jego buzia rozpromieniła się z uwielbieniem.

ROZDZIAŁ XIX

Popołudniowy upał zapędził Nostradamusa w chłodny zakątek ogrodu, gdzie podścieliwszy sobie ulubioną poduszkę zasiadł na ławce pod drzewem, czytając list. Nad jego głową szeleściło listowie i ćwierkały ptaki. Plusk wody tryskającej z niewielkiej fontanny też radował jego ucho, ponad wszystko zaś z upodobaniem słuchał głośnych, radosnych nawoływań rozbawionych dzieci. Zapach rozkwitłych róż powoli dryfował w ciepłych podmuchach wiatru i tylko rygorystyczne poczucie obowiązku nie pozwoliło doktorowi uciąć sobie rozkosznej drzemki.

List napisany był ręką dawnego nauczyciela, sędziwego mędrca Guarica, który na jego prośbę przeczesał rzymskie archiwa i pośród zapomnianych od wieków tajemnic odnalazł oryginalną umowę pomiędzy Menandrem Nieśmiertelnym a jego panem, Lucyferem, władcą piekieł.

— Hm... — mruknął Nostradamus odczytując list po raz dziesiąty. — Musi tu być jakiś punkt zaczepienia. Zobaczmy... wieczne życie i władza nad ziemskimi wyrokami Losu pod następującymi warunkami...

— Co robisz, papo? Czytasz bajkę? — Mały Cezar, płacząc się w przydługiej koszulinie, przygalopował doń na koniu z patyka zakończonego wystruganym z drewna i pomalowanym łbem. Stał zadzierając kędzierzawą główkę i patrząc na ojca okrągłymi z zaciekawienia oczyma.

— Co robię? Zbawiam Francję, mój chłopcze.

— Papierem?

— Papierem i rozumem. Pewnego dnia zrozumiesz, ilu przykrym rzeczom można zapobiec przy użyciu tych dwóch ingrediencji.

— A ja chcę mieć miecz — oznajmił chłopczyk. — Heja, heja! — i odjechał galopem do swych starszych kuzynów.

Kiedy odeślę Menandra do piekła, twój świat będzie lepszy, pomyślał Nostradamus, wiodąc za nim wzrokiem. Wrócił do czytania. Nie dziwota, że Menander jest taki, jaki jest. Sam podpisał ten chytrze sformułowany kontrakt, a przecież był w nim wyraźnie wypisany jego przyszły los. Menander dał się oszukać; wzrok mu zaćmiło i wyobrażał sobie, że otrzyma więcej, niż stoi w umowie. Teraz dąży do tego, aby inni tak samo dali się nabrać. Zobaczmy... „Wraz ze śmiercią ciała...”

— Ha! Ciała! — „wygasa zdolność spełniania własnych życzeń”. Parszywa sztuczka! Hm... A w punkcie trzecim: „musi spełnić każde życzenie, chyba że jest ono niemożliwe z punktu widzenia logiki”. Interesujące. A więc nawet Piekło podlega prawom logiki. Zobaczmy jeszcze raz...

Nostradamus rozwinął usiany skreśleniami i poprawkami brudno-pis horoskopu Sybilli. Gdy Paulina Tournet podała mu prawdziwą datę narodzin dziewczyny, wreszcie wszystko zaczęło się zgadzać. Piękna data! Najszczęśliwsza z możliwych, zważywszy okoliczności. Koziorożec pod gasnącym wpływem Strzelca — nieustraszony, błyskotliwy, twórczy i namiętny. Znaczna poprawa w porównaniu z osobą, którą usiłowała być, pomyślał prorok. Zaraz... nie chodzi tylko o datę, lecz o coś jeszcze... Policzmy miesiące. Siedem, osiem, dziewięć... hm, załóżmy... Jest najstarszym dzieckiem. Falszywą datę ustalono na dziewięć miesięcy po ślubie rodziców, a została naprawdę poczęta... ano właśnie: trzy miesiące wcześniej. Kto był jej prawdziwym ojcem? Jeśli nie mężczyzna, który ją wychował, to... to może dałoby się to jakoś wykorzystać...

Wieczorem, pomimo upału przybrany w ceremonialne szaty, zasiadł w swojej tajnej pracowni na poddaszu i wezwał Anaela.

— Masz ty rozum, Michale? — skrzywił się duch. — Powinieneś już być w łóżku. W tej komórce jest gorąco jak w piekle.

— Anaelu, czy w twojej szafie jest tylko przyszłość czy także przeszłość?

— Jedno i drugie, to chyba jasne. Przeszłość jest niczym innym jak pozostałością przyszłości. Mam tu wszystko w komplecie, tylko trochę przemieszane...

— Czy możesz pokazać mi scenę z przeszłości?

— Zastanawiałem się, kiedy wreszcie do tego dojdiesz. Ciągłe tylko przyszłość i przyszłość! Wszyscy chcą znać jedynie przyszłe dzieje. P r a w d z i w y znawca woli przeszłość. To oznaka lepszego

i bardziej wyrafinowanego gustu. Chciałbyś zobaczyć koronację Karola Wielkiego? Mam ją tu pod ręką.

— Myślałem o czym innym. Sam wiesz, co chcę zobaczyć.

— Michale, jesteś starym lubieżnikiem.

— Wypraszam sobie! To w celach badawczych...

— W imię wyższego dobra, jakim będzie pozbycie się Menandra, he? Czasami mnie zdumiewasz, Michale. Skoro jednak nalegasz, chyba mam tu coś...

Górna część ciała Anaela zniknęła. Rozległ się głośny łomot, grzechot i brzęk przesuwanych w szafie rzeczy. Nostradamus nieraz zastanawiał się, w jakiej postaci przechowywane są przeszłe i przyszłe dzieje. Najwyraźniej nie były to księgi. Księgi nie wydają takich dziwnych dźwięków.

— Zamieszaj w misce, Michale. Samego aktu co prawda nie znalazłem, ale wystarczy ci to.

Nostradamus zamieszał wodę czarodziejską różdżką, a gdy tafla się wygładziła, zobaczył dziwną scenę. Była noc; mężczyźni z pochodniami pochylali się nad martwym ciałem rozciągniętym na bruku u stóp drabiny. Otaczająca je kałuża krwi rozlewała się coraz szerzej i w świetle pochodni wydawała się czarna. Z tyłu rozpaczliwie szlochał młody chłopiec... nie, to nie chłopiec, a dziewczyna w męskim przebraniu; spod naciągniętej głęboko czapki wymykały się długie kosmyki. A zatem wspólna ucieczka, która się nie udała. Stojący nad trupem siwowłosa mężczyzna schował miecz do pochwy, chwycił płaczącą dziewczynę za włosy i zbliżył jej twarz do twarzy zabitego. Oblicze starca było czerwone z wściekłości, wykrzywione wargi poruszały się, ale wizja była zbyt dawna, aby można było usłyszeć, co mówi.

— Ile lat ma ten martwy chłopiec? — spytał Nostradamus.

— Zaledwie osiemnaście.

— Wydaje mi się znajomy. Ten nos... No tak, jasne! Ona jest starsza i to mnie zwiódło. Wykapany obraz Sybilli Wierszokletki!

— Nie bądź taki złośliwy, Michale. Ja ją bardzo lubię. I jak już powiedziałem, na złość tobie nakieruję ją ku historii. Wiesz, ona naprawdę ma talent, tylko niewłaściwie go używa. I tak bardzo się przejmuję tym, co robi. A ty jesteś po prostu starym zazdrośnikiem.

— To jej ojciec, prawda? Dziewczyna jest brzemienna?

— Drugi miesiąc. Doprawdy, Michale, ty tylko o jednym!

— Proszę bez docinków. Jestem medykiem.

— To nie zmienia mojej opinii o tobie. I co zamierzasz zrobić?
— Obmyśliłem, jak raz na zawsze położyć kres złym uczynom Menandra.

— Niby jak? — spytał duch dziejów.
— Sprawdziłem, jak brzmiała jego umowa z Szatanem. Nie da się go zabić. Jednakże jest inny sposób....

— Myślisz, że uda ci się przechytrzyć samego diabła?
— Oczywiście. Diabeł nie jest Francuzem i nie jest mną. — Stary doktor z kpiącym uśmiezkiem klepnął się w czoło. — Zgodnie z umową, musi spełnić każde życzenie. Zauważyłem coś w związku z tym. Jeśli życzenia dwóch osób są sprzeczne, obmyślenie sposobu pogodzenia ich ze sobą zajmuje Menandrowi trochę czasu. Sztuczka polega na tym, żeby raz na zawsze zawalić go robotą. Jeśli spełnienie życzenia jest niemożliwe, Menander będzie się nad nim biedził aż po samą wieczność i nigdy nie znajdzie rozwiązania problemu.

— No, no — rzekł Anael. — Dostyc długo trwało, ale w końcu na to wpadłeś, stary śmiertelniku. I to samodzielnie!

— Dalej sprawa jest już prosta. Sybilla musi poprosić o coś dla swego ojca, pana de La Roque. Menander w życiu się z tego nie wyplącze, ponieważ pan de La Roque nie jest jej ojcem. A co do utraty duszy, dam znać ciotce, że dziewczyna nie musi się o to martwić, choćby nawet zażyczyła sobie gwiazdki z nieba. Patrz tu: widzisz jej prawdziwą datę urodzenia? Ciotka tak przywykła ją ukrywać, że w ogóle nie zastanowiła się nad jej znaczeniem. Pomoc w wigilię Bożego Narodzenia. Chwila dzieląca dwudziesty czwarty i dwudziesty piąty dzień grudnia. Nawet Szatan nie ma władzy nad osobą urodzoną w tym błogosławnym czasie. Szkoda, że Menander nie miał tyle szczęścia.

— Życzenie nie jest może najmądrzejsze, ale w zupełności wystarczy — rzekł Anael z pobłażliwym uśmiechem.

— Wiedziałeś o tym z góry, prawda? To naprawdę nieładnie z twojej strony. Musiałem się tyle namęczyć...

— Mam przechowywać dzieje, a nie zmieniać je — prychnął duch.
— Nie mogę dla ciebie łamać ustanowionych zasad. A tak nikt mi nie zarzuci, że podpowiadałem.

Nostradamus spojrział na niego ostro.

— Anaelu, słowo daję...! Te wszystkie aluzje... Jesteś zwykłym oszustem! Mimo wszystko masz jednak jakieś ludzkie cechy.

— Ludzkie? Fe! Też coś! Nic podobnego! — obruszył się duch.

Belt wbił się w zewnętrzną krawędź odległego celu. Rozległy się stłumione rękawiczkami oklaski dam dworu skupionych za plecami kuszniczki. Lokaj w aksamitnej liberii wyjął z dłoni królowej Szkocji pustą kuszę, drugi napiął następną i umieścił ją przed Marią na długim, wąskim stole.

— Musisz wziąć pod uwagę odległość — odezwała się królowa Katarzyna — i przyjąć poprawkę na boczny wiatr. Celuj nieco w bok, moja droga.

Płynący po niebie obłok na chwilę zakrył słońce i strzelnica leżąca pośród dawnych ogrodów starego króla Karola w Luwrze pogrzyżała się na krótko w cieniu. Z okien i balkonów przyglądały się temu kobiety i kilkoro sług. Damom towarzyszyło tylko kilku panów wysokiej rangi, za starych albo za bardzo schorowanych, by mogli brać udział w wojnie. Diusza Valentinois, siedząca nie opodal pod baldachimem, zadygotała i ściągnęła ciasniej jedwabną narzutkę, zakrywając biały dekolt. Nigdy nie uprawiała sportów, ale nie mogła przecież opuścić żadnej dworskiej imprezy. Poza wszystkim innym musiała sprawować należyty nadzór nad swą menażerią, do której zaliczała w duchu także dwie obecne tu królowe.

Kiedy słońce wyszło zza chmury, wysmukła rudowłosa dziewczyna ujęła kuszę i obrzucając nieco pogardliwym spojrzeniem krepą królową Francji oznajmiła:

— Tamto była tylko próba. Teraz zobaczycie.

W kołpaczku z piórem nasuniętym wdzięcznie na jedno oko, w sukni ze sztywnymi satynowymi rękawami, których haft błyszczał w słońcu, rzeczywiście wyglądała jak istota z baśni, gdy marszcząc w skupieniu gładkie czoło wpatrywała się w odległy cel. Dalej, za murami płynęła spieszenie Sekwana, nasycając powietrze ciężkim bagiennym odorem. Diusza Valentinois kiwnęła głową i powiedziała kilka słów do wychowawczynie królowej Szkocji, która wraz z grupką innych pań stała obok niej pod baldachimem. Diusza sama ją wybrała, podobnie jak dobierała wszystkich ludzi, którzy mieli styczność z królewskimi dziećmi. Jej starania o infantów przybrały taki rozgłos, że nawet król mgliście uznawał ją za coś w rodzaju ich oficjalnej matki.

— Nasza mała królowa świetnie sobie radzi jak na swój młody wiek — powiedziała diusza ciepłym, pełnym macierzyńskiej dumy głosem, jak gdyby własną pierśią wykarmiła Marię.

— Istotnie. Znakomicie — przytaknęła nieładna żona Henryka II, która posłyszała tę dwuznaczną uwagę.

Ton Katarzyny był tak słodki, przypoehlebny i tak jawnie ironiczny, że co starsi świadkowie tych strzeleckich ćwiczeń nagle przypomniaли sobie, jak to czternastoletnia dziewczynka świeżo poślubiona królowi, przybwszy do Francji złożoną papieską galera, bez najmniejszego wysiłku pokonała starego króla Franciszka w podobnych zawodach. Król śmiał się głośno i pytał, jakie jeszcze zna sztuczki. Ale to było dawno, na dawnym dworze, nim jeszcze kraj zaczął się toczyć ku nieznaney na razie, lecz jakby już wiszącej nad nim katastrofie; w czasach, kiedy śmiech brzmiał czyściej, dźwięczniej i nie było w nim złośliwości...

Rozległ się trzask mechanizmu i bełt wystrzelony ręką piętnastoletniej Marii ze świstem utkwił w wewnętrznym pierścieniu okalającym cel.

— Już dużo lepiej, kochanie — powiedziała Katarzyna. — Pozwól mnie spróbować.

Podeszła do stołu, czekając, aż lokaje ponownie napną kusze. W pikowanej, haftowanej i wydętej licznymi halkami sukni, w sztywno nakrochmalonej kryzie, z rzędami sztucznych loków widocznymi spod wysadzanego klejnotami i ozdobionego dużym pękiem piór jedwabnego bereciku, zamiast wdzięcznej, wyglądała jeszcze niechlujniej i śmieszniej niż zwykle. Kiedy wyćwiczoną ręką podniosła kuszę, jedna z najmłodszych towarzyszek diuszesy stłumiła kpiący uśmiech. Jakim cudem odwrócona plecami Włoszka mogła wyczuć ten szydarczy uśmieszek? A jednak czuła go tak samo niezawodnie jak kierunek wiatru na wędnąym policzku i choć na pozór zawahała się tylko na chwilę, w ciągu tej chwili zdążyła oszacować siłę i naciąg kuszy. Przymrużyła ciemne, inteligentne oko, rozległ się trzask i bełt utkwił dokładnie w samym środku celu. Królową otoczyły śmiechy i aplauz wiernych pań z jej „gwardii przybocznej”, pod baldachimem zaś zaległa cisza.

Gdy lokaje nakrywali ustawione na wolnym powietrzu stoły do posiłku, słyszano, jak diuszesa mówi do jednej ze swoich dam:

— Rzecz jasna, król najpierw zasięgnął mojej rady. W czasie wojny trzeba bardzo zważać, kogo mianuje się na stanowiska. Oczywiście prosił mnie, bym zjechała do jego kwatery głównej w Compiègne...

Usta królowej były zaciśnięte w wąską kreskę. Czy to tylko zbłąkany promień słońca przemknął jej po twarzy czy też rzeczywiście w jej oczach błysnęła skrywana wściekłość, kiedy doleciały do niej wypowiedziane nieco zbyt głośno słowa drogiej diuszesy? Katarzyna

spokojnie obróciła się do pani Gondi, kroczącej za nią jak cień w poważnej ciemnozielonej sukni.

— No, no... — powiedziała. — Tyle nowych awansów, i to przeważnie dla krewniaków diuszesy... Myślę, że przyszła pora na małe artystyczne interludium. Poślij po pannę de La Roque i powiedz jej, żeby wzięła ze sobą swego przyjaciela. Chcę z nim pogawędzić o... poezji.

Była połowa sierpnia, najgorętsza pora roku, gdy przez otwarte okna nie wpadał najłżejszy podmuch, a tylko sączył się uliczny odór. Wtedy właśnie zostałam znowu wezwana do królowej. Na naszej uliczce zrobiło się zbiegowisko, gdy konie niosące sześciu zbrojnych w barwach królowej Katarzyny z łoskotem przebiegły po bruku i zatrzymały się przed naszymi drzwiami.

— Oho! — odezwała się ciocia, słysząc zamieszanie za oknem. — Zdaje się, że czeka cię mała przejażdżka. M ó w i ł a m , że tak będzie. Wczoraj wyszła mi nagle Dama Mieczu.

Usłyszeliśmy głosy obcych mężczyzn wpuszczanych do domu. Dało się wyłowić słowa: „rozkaz królowej”.

— Mam nadzieję — rzekł stary pan Montvert, który przyszedł udzielić cioci kilku porad finansowych — że to nie jest zły znak.

Od czasu osławionego i brzmienego w skutki pojedynku pan Montvert coraz częściej szukał u cioci pomocy w sprawach związanych z jego pogmatwanym życiem rodzinnym. W zamian udzielał jej bardzo mądrych wskazówek dotyczących lokowania pieniędzy, dzięki czemu prawie podwoiła swój majątek.

— Te westchnienia, pochlipywania w oknie i listy doprowadzają mnie do szału — mówił. — Klaretta zmieniła się nie do poznania, odkąd wypła to świństwo. Żona zmusiła mnie, żebym skontaktowałem się z ojcem Estouville'a. Przeklęty stary krwiopijca zażądał ode mnie wiana w podwójnej wysokości! Hipokryta! Skoro nowa krew tak bardzo płami, czy doprawdy można zmyć tę plamę samym złotem? Boże mój, Boże, dlaczego nie słuchałem, kiedy chciała iść do zakonu! Za te pieniądze ufundowałbym cały klasztor! Dziewczyna chowa za dekolt każdy wyłuszczonego list, który ten strojniś przysyła jej z frontu, na sercu, jak powiada, a potem wzdycha, jęczy i dygocze, jakby trzęsła nią febra czwartaczka! Całymi dniami siedzi przy biurku i gryzmo! Ile ja już wydałem na posłańców! Och, jak to dobrze znaleźć się czasem między rozumnymi ludźmi. Jeśli tylko dobry doktor Nostradamus pospieszy się i da wam wreszcie znać, jak się pozbyć tej mumii, w

waszym domu zapanuje błogosławiony spokój... — Bankier sięgnął po ciasteczko i z westchnieniem rozparł się wygodniej w wyścielonym fotelu zwykle zajmowanym przez opata. Dziś opata nie było, bo poszedł posłuchać nowego flecisty, o którym wiele się mówiło w mieście.

— Wątpię, czy Dama Mieczy jest złym znakiem — ciocia przybrała znaczący ton i napała na bankiera swym potężnym popiersiem — skoro nad nią leży Król Denarów.

— Przyznam, że nie jestem obeznany z tarotem. Co to oznacza?

— Mój drogi Scypionie, to ty jesteś Królem Denarów. Nie wiedziałeś? Co się zaś tyczy tej renty...

— Znając organizatorów tego przedsięwzięcia, nie polecałbym lokowania w nim pieniędzy. Zamiast tego... — bankier urwał słysząc tupot na schodach. Po chwili do naszego saloniku na piętrze wszedł dowódca zbrojnych.

— Pójdę się spakować — powiedziałam. Królowa zawsze daje mi imponującą eskortę, kiedy po mnie posyła. Ta kobieta niczego nie zdaje na przypadek, zwłaszcza gdy idzie o Menandra.

Wyruszyłam spod domu w asyście królewskich żołnierzy i biegnącego przy mym boku Gargantui. Do siodła przytroczoną miałam płócienną sakwę, w której spoczywał kuferek z Menandrem. Nie mogłam oprzeć się myśli, jak bardzo nie cierpię wozić ze sobą tej starej mumii. Po pierwsze, w upale okropnie śmierdzi; po drugie, nigdy nie wiadomo, jakie niestosowne uwagi zaczniesz wypowiadać publicznie tylko po to, żeby narobić mi wstydu. Teraz też nucił nieprzyzwoitą piosenkę, chcąc, by ludziska myśleli, że to ja. Szczęściem na ulicach panował zwykły harmider i nikt nie zwrócił na to uwagi. W końcu dotarliśmy do bram zamku, ale trzeba było jeszcze przejść pieszko cały wielki, nagrany jak piec i pokryty kocimi łbami dziedziniec. Menander śmierdział i mruczał pod nosem potworne rzeczy, a ja żałowałam, że nie mogę po prostu oddać go królowej, wyjechać na wieś i nareszcie odpocząć.

Straż honorowa otworzyła przed nami wielkie zdobione odrzwia, po czym spieszenie poprowadzono nas cuchnącymi urną korytarzami, po których biegała służba i snuli się ci nieliczni dworacy, chorzy albo ranni, którzy nie mogli towarzyszyć królowi w kwaterze głównej na północy. Weszliśmy po schodach dwa piętra wyżej, gdzie w końcu wpuszczono nas do zatęchłego, pozbawionego okien antyszambru. Gwardziści odeszli, pozostawiając mnie pod opieką pani Gondi, Włoszki, jednej z najbardziej zaufanych dam królowej.

— Ten pies jest strasznie wielki. Musiałaś go brać ze sobą? — spytała.

— Stokrotnie przepraszam, pani, ale kiedy ostatnio zostawiłam go w domu, ktoś usiłował oblać mnie witriolem. Owszem, jest duży, lecz bardzo łagodny.

Gargantua, jakby rozumiał, co mówię, ułożył się u mych stóp i westchnął głośniejsz niż kowalski miech.

— Witriol... — mruknęła do siebie pani Gondi. — To mi wygląda na... nie, niemożliwe. Po co miałyby prześladować kobietę, która nie jest dla niej rywalką? — Podniosła wzrok i głosem matowym ze strachu dodała: — Czy ktoś zna... czy ktoś odgadł tajemnicę Nieśmiertelnego?

— Pani, nie wie o nim nikt prócz mnie i mojej chrzestnej matki, a żadna z nas nie zdradziła się nawet słowem. Strasznie jest mieć coś takiego w posiadaniu — dodałam, wyjmując z sakwy kuferek Menandra. — Nie mówiąc już, że to okropnie żenujące.

— Żenujące? — zdziwiła się pani Gondi. — Ja bym raczej tego tak nie określiła.

Odwróciła się i cicho zapukała do wewnętrznych drzwi antyszambru.

Dama, która je otworzyła, ukłoniła się nam i wyszła. Królowa pisała listy; kilka nie było jeszcze zapieczętowanych. Kątem oka dojrzałam list do wychowawczyni infantów, polecający dzieci jej pieczy, oraz prośbę o jakiś urząd dla jednego z włoskich stronników królowej. W kącie za biurkiem stał niewielki stolik, na którym mimo jasnego dnia płonęły dwie czarne świece. Przygotowała się na przyjęcie Menandra; być może nawet wcześniej zapisała w kalendarzu: „Wtorek — konsylium z nieśmiertelną głową”. Byłam to sobie w stanie wyobrazić. Na strojnej sukni miała białą lnianą szatę, mocno marszczoną na ramionach, z jej królewskim herbem wyszytym srebrną nicią na wysokości serca. Najwyraźniej traktowała czarnoksiężskie seanse jeszcze poważniej, odkąd zaczęła się zadawać z Menandrem.

Jak ta przeklęta głowa potrafi chytrze wykorzystywać ludzką próżność dla swych własnych celów, pomyślałam. Wbijają ludzi w pychę szepcząc im to, co pragną usłyszeć, i popycha ich tam, dokąd sami zmierzają, żeby tym łatwiej ich zniszczyć.

W mym umyśle rozległ się cichy głosik: „I co z tego, że ich niszczy? Dlaczego sama nie wypowiesz życzenia, żeby dostać to, czego pragniesz?”

Milcz, diabelski kusicielu, skarciłam go w duchu. Podałam królowej kuferek i schylona w ukłonie wycofałam się do przedsionka, gdzie

z westchnieniem opadłam na ławkę, akurat naprzeciwko pani Gondi, która na kolanach odmawiała różaniec, błyskawicznie przesuwając paciorki.

Nie zaryglowane drzwi uchyliły się odrobinę, królowa zaś była zbyt zaprzątnięta tym, co robi, żeby to zauważyć. Przez tę wąską szparę słyszałam jej cichy głos mrużący niezrozumiale zakłęcia, lecz mając na uwadze dobre wychowanie starałam się nie podsłuchiwać. Potem rozległ się głośny, złowieszczy śmiech Menandra. Pani Gondi urwała w pół słowa i szeroko otworzyła przerażone oczy. Obie posłyszałyśmy stanowczy głos królowej mówiącej:

— Chcę mieć poważanie w Radzie Królewskiej w sprawach dotyczących państwa.

— Będzie tak, jak sobie życzysz, wielka królowo — odparł Menander.

— I to prędko — dodała. — Pani de Valentinois, ta bezczelna starucha, wciąż włada sercem mego męża mimo wszystkiego, co mi obiecałeś. Nie zrobiłeś absolutnie nic, by spełnić moje poprzednie życzenie.

— Czas objawi ci prawdę, wielka królowo — rzekł Menander jakby z ociąganiem. — Wielkie dzieła wymagają wielkich czynów. Musiałem poświęcić temu sporo namysłu. Nie od razu Rzym zbudowano i nie w jeden dzień można odmienić serce potężnego władcy.

— Ukorz się przed moją mocą, nieposłuszny sługo — powiedziała królowa i wyrecytowała następne zakłęcie.

Szybko się uczy, pomyślałam, słysząc, jak zatraskuje wieko kuferka. Dziś znów Menander nie pozwoli mi zasnąć; zatruje mi całą noc swoim narzekaniem. Miałam nadzieję, że Nostradamus się pospieszy i wreszcie przyśle mi tajny przepis, jak się go pozbyć.

Z korytarza dobiegł krzyk i tupot damskich stóp obutych w pantofle. Ktoś załomotał do drzwi antyszambru. Królowa wyłoniła się z komnaty.

— O co chodzi? — spytała, dając równocześnie znak, by otworzyć drzwi. Za nimi stało kilka dam dworu, załamując ręce, jedna cała we łzach. Był z nimi goniec świeżo przybyły z kwatery głównej króla w Compiègne. Skłonił się głęboko, przyklęknął i powiedział jednym tchem:

— Twój królewski małżonek, najjaśniejsza pani, śle wiadomość, że armia, która miała wzmocnić garnizon w Saint-Quentin na północy, została pokonana przez siły cesarskie...

— Armia rozgromiona? — spytała królowa ze śmiertelnym spokojem.

Goniec skinął głową.

— Konetabl Montmorency został ranny i wzięty do niewoli, marszałek Saint-André również pojmany przez wroga...

— A mój syn, który był z królem w Compiègne?

— Delfin został dla bezpieczeństwa odesłany na południe, do Blois. Król zwraca się do ciebie, pani, abys wyprawiła tam również pozostałe dzieci i królową Szkocji.

Rosnący wokół nas tłumek zdawał się odrętwiały ze zgrozy. Kilka dam zaczęło płakać.

— Cóż jeszcze mi nakazuje mój królewski małżonek?

Niska, tęga władczyni stała nieporuszona, oczy miała suche i uważne. Dopiero w tamtej chwili dostrzegłam, że wewnątrz tej pogardzanej, nieciekawej, gruchającej matki królewskich dzieci mieszka całkiem inna istota, wykuta ze stali i obdarzona błyskotliwym umysłem, a także przebiegłością węża. Ukrywa tę drugą, groźną stronę swej natury przed wszystkimi, nawet przed sobą samą — przemknęło mi przez myśl w nagłym błysku objawienia. Biada temu, kto kiedykolwiek uwolni ową prawdziwą istotę z muszli klejnotów i kobiecych iluzji.

— Król życzy sobie, pani, abys zebrała kosztowności z katedry i grobów królewskich w Saint-Denis i odesłała je pod strażą na południe — rzekł wysłannik.

— Konetabl, mój stary gawędziarz, uwięziony i ranny... — powiedziała cicho królowa, potrząsając głową ze zdumieniem.

Przecież to wytrawny żołnierz, myśleliśmy wszyscy wraz z nią. Jak mogło do tego dojść?

— Wiadomo, czy Montmorency żyje?

— Tego nikt nie wie. Na placu boju padło cztery tysiące, a heroldowie wciąż jeszcze liczą.

Serce we mnie zamarło. Mój dzielny brat Hannibal... Żyje czy padł w boju? A wielka, szalona miłość Klarety, Filip d'Estouville? A dziesiątki innych młodych dworzan — kochanków, synów, braci... Ale Katarzyna Medycejska była tak opanowana, jak gdyby siedziała przy ramie do haftu.

— Czy Saint-Quentin już wzięte? — spytała.

— Coligny, bratanek konetabla, wciąż jeszcze broni miasta, ale ma przeciw sobie przeważające siły.

— Kiedy Saint-Quentin padnie, droga do Paryża stanie otworem. Paryż nie ma pieniędzy ani wojsk. Gwizjusz wciąż jest w Italii.

Kto ma bronić stolicy przed wojskami cesarstwa? Co mówi król?

— Król rozpacza nad stratą konetabla. Posłał po panią de Valentinois, aby zorganizowała modły o jego wyzdrowienie. Rozkazał też, by mistrz Paré udał się do Hiszpanów, opatrzył rany pana de Montmorency'ego i otoczył go opieką. Zwołano radę, ale jeszcze się nie zebrała. Król polecił też urządzić pobożną procesję w katedrze Notre-Dame.

— Ach, tak — powiedziała cicho królowa. — Więc to tak. Posyła po nią, nie po mnie. Diuszesa wciąż ma go w garści i mąci mu umysł głupimi radami. Tymczasem my musimy błagać Gwizjusza, by przyszedł nam na ratunek, a kiedy wróci, to on będzie rządził, niezależnie od tego, kto zasiada na tronie. — Głośniej, zwracając się do wysłannika, dodała: — Wróć do jego wysokości i powiedz mu, że rozkazy będą wypełnione co do joty.

Kiedy kurier wyszedł, królowa skinęła na panią Gondi.

— Powiadom pani swego męża, że on i wszyscy inni bankierzy, którzy pozostali jeszcze w Paryżu, mają się jutro stawić u mnie na posłuchaniu. Każ też służkom przygotować żałobne suknie. Jutro wraz z wami, moje panie, zjawię się w parlamencie.

— Ależ, najjaśniejsza pani, król nie rozkazał ci...

— Nie rozkazał? Jestem królową. Jego tu nie ma, a ja nie oddam Paryża tylko dlatego, że mój małżonek popadł w moc czarownicy. Dziś ja tu wydaję rozkazy. Bóg uczynił mnie królową i postawił nad wami, bym w zastępstwie króla podjęła właściwe kroki. Ja, królowa, będę błagać parlament, by wyasygnował środki na obronę miasta. Wszystkie macie się ubrać na czarno, tak jak ja. Wtedy zrozumieją, że sam tron jest zagrożony. Procesja w katedrze oczywiście musi się odbyć, ale wbrew temu, co mówią stare rody, armii niezbędny jest pieniądz, nie pióra i waleczne okrzyki. A ty, moja panno — obróciła się, jak gdyby dopiero teraz spostrzegła, że stoję obok niej z rozdziawionymi ustami — pozostaniesz tu do jutra rana. Zamierzam poddać twego przyjaciela małej próbie. Chcę, żeby powstrzymał pochód cesarskiej armii.

Jakież to typowe dla Medyceuszy, pomyślałam. Dążą do wygranej układając się jednocześnie z Bogiem i Mamoną i nie gardząc też przymierzem z diabłem.

Nowiny rozchodziły się prędko i choć Saint-Quentin wciąż dzielnie się broniło, bogate rodziny wysyłały własnych medyków w siedem-

dziesięciomilową podróż na linię frontu, by odnaleźli i przywieźli do domu rannych synów. Ci spośród rannych, którzy o własnych siłach zdołali dotrzeć do Paryża, przynieśli ze sobą straszliwe wieści o wyciętych w pień miastach i krzyżówkach zasypanych martwymi ciałami. Biedna Klaretta odchodziła od zmysłów z niepokojem, czekając na powrót sług, których pan Montvert wysłał na północ po Filipa i Hannibala. Wessał ich jednak wir wojny, zapewne zostali wcieleni do armii i nie otrzymawszy od nich żadnych wieści, zaczęliśmy się obawiać najgorszego.

— Dobrze, że Mikołaj jest bezpieczny w Genui, inaczej też zostałby wcielony. Biorę wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni — powiedział pan Montvert. Następnie zaczął układać z ciocią plan ewakuacji na prowincję wraz z nami swojej żony i córki, jak również co cenniejszych rodzinnych precjozów.

— Mój drogi Scypionie, bądź pewien, że z radością powitam was w moim domu w Orleanie na czas tej okropnej wojny.

— Droga pani, przeprowadzka będzie tylko czasowa. Wojna nie potrwa długo. Obie strony są już bez grosza. Pytanie brzmi tylko, która dłużej się utrzyma. Jeśli Hiszpanie, Paryż padnie jeszcze przed ogłoszeniem pokoju.

— Scypionie, czasem wydaje mi się, że to ty jesteś prorokiem, a nie mistrz Nostradamus.

— Niestety, nie. To tylko zdrowy rozum i szerzej stosowane prawidła logiki.

— Ciekawam, jak też wyglądałby świat, gdyby wszyscy kierowali się zdrowym rozsądkiem? Co się tyczy klejnotów twojej żony... Mam w piwnicy tajny schowek, ale na czas podróży radziłabym, by zaszyła je w gorsecie...

To właśnie w ciągu owych dziwnych tygodni, kiedy całe miasto trzymało kciuki za obrońców Saint-Quentin, posłaniec dostarczył na rue Cerisée maleńkie pudzeczko, które jak powiedział, kazał mi doręczyć Filip d'Estouville.

— To chyba jakaś pomyłka, ciociu — powiedziałam. — Klaretta od tygodni nie miała żadnego listu, a tu ja dostaję ten bajkowy klejnot? Nie mogę go przyjąć, na pewno był przeznaczony dla Klarety...

A jeżeli — przemknęło mi przez myśl — to zakamuflowana propozycja, żebym została jego kochanką? Jeśli Klaretta tak to zrozumie, pęknie jej serce. Brosza była jednak zbyt cenna, by po prostu ją wyrzucić. Włożyłam pudzeczko do komody, zamierzając później się nad nim zastanowić, po czym w natłoku zdarzeń zupełnie o nim zapomniałam.

W tych niespokojnych czasach prawdziwe wieści i zmyślane pogłoski docierały do nas zmieszane w równych proporcjach. Nevers idzie na odsiecz Saint-Quentin. Nevers zawiódł. Król Filip Hiszpański przybył osobiście, by nadzorować atak. Wojska Filipa zostały odepchnięte przez heroiczny wypad oblężonych. Już pod sam koniec miesiąca doszła nas wieść, że Saint-Quentin jednak padło. Miasto zostało ponoć utopione w morzu krwi. W Paryżu wybuchła panika. Ulice tarasowały zaprzęgi wiozące meble, toboły i przycupnięte na nich rozhisteryzowane kobiety tulące do piersi dzieci. Kto miał pieniądze, na gwałt kupował konie. Tłumy ludzi na mułach, osłach, pieszo, z ręcznymi wózkami ciągnęły w kierunku bram wychodzących z miasta na południe. Ciocia i jej przewidujący przyjaciel bankier już wcześniej wysłali co cenniejsze meble oraz kosztowności do Orleanu. Panu Montvertowi pozostało tylko wyprawić z miasta nas, kobiety, jak to zostało zaplanowane wiele tygodni wcześniej.

— Żegnajcie, moje drogie — rzekł. — Dam wam znać, jeśli miasto się utrzyma. Jeśli nie, życze mi, bym zdołał szczęśliwie uciec.

Uściskał nas po kolei i oddał pod opiekę opata, który miał nam towarzyszyć w drodze. Później odwrócił się, żebyśmy nie widziały jego twarzy.

Wkrótce potem nasza niezwykła karawana dołączyła do płynącej rue Saint-Antoine rzeki uchodźców. W natłoku ludzi i zwierząt kolebka — pełna poduszek z zaszytymi jeszcze w ostatniej chwili kosztownościami — trzęsła się i kołysała tak mocno, że pani Montvert, która jechała w niej z ciocią Paulina, krzyczała z przestachu. Reszta siedziała po dwoje na jednym koniu. Baliśmy się, że pośród ciżby, krzyków i strzelania z batów zdenerwowane wierzchowce mogą zacząć stawać dęba. Bardziej jednak od niebezpieczeństw grożących nam w podróży ciążyła mi na sercu świadomość, że posuwając się w tym tempie będziemy musieli zanocować w połowie drogi i naturalnie zatrzymamy się w La Roque-aux-Bois. Na samą myśl o wizycie w domu poczułam się znów zaniedbana i brzydka. W uszach dzwięczała mi ostatnia gwałtowna wymiana zdań między ciocią a moim ojcem. Nawet wizja czulego powitania z matką nie zdołała zatrzeć niemiłych obaw.

Za murami tłum nieco się przerzedził, lecz procesja uchodźców ciągnęła się aż po horyzont. Ciocia uniosła franke i wyjrzała z kolebki.

— Nawet nie widząc cię wiem, że się martwisz — powiedziała, jakby czytała w moich myślach. — Uspokój się. Jak wiesz, istnieją prawa gościnności, a poza tym jestem jego siostrą. Przez cały czas

będzie myślał o moich pieniądzach. Zresztą jadą z nami znamienite osoby. Zapewniam cię, twój ojciec powita nas z otwartymi rękami.

Dom... Czy kiedy raz się go opuści, można jeszcze wrócić? Tak, na pewno tak, pocieszałam się w duchu. Będzie miło. Będziemy gawędzić, kłaść karty i plotkować w panińskiej alkwie jak za dawnych czasów. Pokażę siostronom moje nowe piękne rzeczy. Opowiem mamie wszystkie nowiny, o których nie mogłam pisać w listach. Znow będziemy szczęśliwi. Będzie dobrze. Na pewno będzie dobrze. Powtarzałam to sobie raz po raz w rytm powolnego człapania konia, a tymczasem krajobraz stopniowo stawał się coraz bardziej znajomy.

Dwa dni później u rękawicznika przy rue Cerisée pojawił się wysoki, mocno zbudowany mężczyzna w szarym płaszczu. Miał szpakowatą brodę i tłuste, siwiejące, sięgające ramion włosy. Jedno oko zakrywała mu czarna przepaska.

— Jakie wieści? — zagadnął żonę rękawicznika. — Czy ktoś zachorował? Posyłali już po medyka?

— Nie, panie, a mój chłopiec codziennie stał na czatach.

— Jesteś pewna? — Teobald Villasse rzucił kilka monet na wyciągniętą dłoń kobiety.

— Pewna, panie. Mówię jak na świętej spowiedzi. Ale teraz to już tam nikogo nie ma. Wszyscy wyjechali, a zważywszy tę straszną wojnę, nie wiadomo, kiedy wrócą.

— Szkoda, szkoda... Ale nie widziałaś żadnych oznak choroby?

— Nic a nic. Panna wsiadła na muła razem ze służebną i odjechała taka wesola, jakby wybierała się na bal.

— Do kroćset! Może goniec nie dostarczył przesyłki... — mruzczał pod nosem Villasse przechodząc na drugą stronę ulicy, żeby sprawdzić, czy furta jest zamknięta.

Pod domem stał już ktoś inny — zakurzony posłaniec w rdzawej samodziałowej odzieży bezskutecznie dobijał się do drzwi.

— Co, nie masz szczęścia, człeczko? — odezwał się Villasse.

Pachołek obrócił się raptownie. Kiedy zobaczył, że ma do czynienia ze szlachcicem, na jego twarzy odmalowała się ulga.

— Od dwóch dni próbuję dostarczyć przesyłkę pani Tournet, ale nigdy nikogo nie ma w domu.

— Jestem przyjacielem rodziny — rzekł gładko Villasse. — Niestety, w pośpiechu wyjechali na południe. Mam do nich dołączyć za kilka dni. Chcesz, żebym doręczył im te listy?

— Mam tylko ten jeden, panie.

— Oczywiście nie możesz zostać pozbawiony zapłaty — Villasse potrząsnął niewielką sakiewką przed oczyma oszołomionego chłopaka.

— Powiedz temu, kto cię wysłał, że pan na La Tourette dostarczy list do domu pani Tournet w Orleanie.

— Stokrotne dzięki, panie La Tourette, bardzo pan hojny... — rzekł posłaniec, wtykając pieniądze za pazuchę.

Kiedy się oddalił, Villasse zerwał kciukiem nie znaną mu pieczęć. W miarę jak czytał, na jego twarzy stopniowo rozlewał się demoniczny uśmiech.

— No, patrzcie tylko! — rzekł do siebie. — Przez wszystkie te lata łągali jak psy! Urodziła się dwudziestego czwartego grudnia, a nie jedenastego lutego... — policzył miesiące wstecz na palcach. — Czyli że została poczęta przed ślubem, ba, pewnie jest bękartem! Kto by się tego spodziewał po cnotliwej, bogobojnej Helenie Artaud! Sybilla była ponoć za dobra dla mnie, tak? Dobry prawnik będzie wiedział, co z tym zrobić!

Czytał dalej i zdumiewał się coraz bardziej. Czary? Pan Wszelkich Życzeń? A któż by chciał pozbawić mocy magiczny amulet! Całe szczęście, że przechwyciłem list. Nie dowiedzą się, jak uśpić czarodziejską głowę, a ja na pewno nie dam jej się zmarnować. Mam dla niej zajęcie na najbliższe sto lat! Muszę ją zdobyć... Jak? Podstępem. Zaraz... tu jest napisane, że głowa należy do królowej. No i co królowa robi, jeśli ją ukradnę? Mogę wyrazić życzenie, aby nie zdołała jej odzyskać. Kobiety są głupie. Nigdy niczego dokładnie nie przemyśla.

A jeśli kto inny położy na tym łapę? Psiakrew! Sybilla na pewno zatrzyma się po drodze w La Roque... Herkulesie, łajdaku, nie dostaniesz mojej czarodziejskiej głowy! Muszę być szybszy...

Zajęty obmyślaniem pierwszego życzenia Villasse nie zajął na odwrotną stronę, gdzie widniał horoskop Sybilli.

Wróciwszy do stajni, w której zostawił konia, Villasse przyłapał stajennego na sprzedaży jego własnego wierzchowca wystraszonemu mieszczańinowi, który chciał wydostać się z Paryża. Bez namysłu przeszył stajennego mieczem (niedoszły nabywca zdołał uniknąć), po czym wskoczył na siodło i wparł konia w tłum pchający się do bram miasta. Uderzeniami bicia oczyścił sobie drogę przez Pont-aux-Meuniers, roztrzając pieszych, którzy miotali w ślad za nim niewybredne kłatwy. Pod mostem wciąż zgrzytliwie turkotwały kamienie młyńskie, zielonymi wodami Sekwany płynęła flotylla głęboko zanurzonych łodzi, wyładowanych ludźmi i dobytkiem. Pod bramą czekał

go przymusowy postój. Złorzecząc na czym świat stoi, musiał zaczekać, aż świeżo przybyły oddział szwajcarskich najemników wejdzie do miasta łopocząc rozwiniętymi sztandarami.

Znalazłszy się na otwartej przestrzeni, popędził konia, wymijając wolniej poruszające się wozy i płosząc innych jeźdźców groźnym spojrzaniem jedyne go oka. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że to szaleniec, który gna dokądś na złamanie karku.

Jeszcze tego samego dnia zobaczył przed sobą, za znajomym zakretem drogi, charakterystyczną wieżyczkę z gołębnikiem nad główną bramą La Roque-aux-Bois, w głębi zaś pokryty kurzem dziedziniec. Kury z głośnym gdakaniem pierzchały spod ciężkich kopyt zgonionego rumaka. Villasse galopem przebył mostek nad fosą, zdarł konia u wejścia do głównego budynku i rzucił wodze słudze. Lauretta, która wcześniej wypatrzyła go z okna na piętrze, zbiegła na dół, żeby go powitać. Zwiłgotniałe z upału włosy zwiły jej się w loczki i kokietyrnie lgnęły do zaróżowionych policzków.

Ładna ta mała, myślał Villasse. A do tego miła i uległa, jak przystoi niewieście. Nareszcie rozumiem, dlaczego tak bardzo różni się od siostry. Ha! Bóg jeden wie, który lokaj albo klecha wlaź pod spódnicę jej matki, żeby spłodzić tamtą... Ale ładna czy nie, i tak się z nią nie ożenię. Teraz się okazało, że to ja jestem dla nich za dobry. A niedługo znajdę się jeszcze wyżej. Najpierw tytuł hrabiowski, stanowisko na dworze, kilka pięknych włości i wygodny zameczek w jakiejś milej okolicy, gdzie lasy są jeszcze pełne zwierzyny...

Na razie jednak Lauretta była mu potrzebna. To ona musi znaleźć w bagażach siostry magiczną głowę. A kiedy posiądzie Pana Wszelkich Życzeń, pojmie za żonę jakąś młodą, bogatą arystokratkę o bardziej wyrafinowanej urodzie...

Twarz Villasse'a rozpląnęła się w błogim uśmiechu, co upewniło Laurettę, że mimo pobytu w mieście pełnym pięknych i modnych panien, Teobald wciąż jest w niej zadurzony bez pamięci. Jest mój, pomyślała, i myśl ta nieco ukoiliła wzburzenie, które wywołał w niej niespodziewany przyjazd siostry — pięknie wystrojonej i bez śladu blizn po witioliu. Co gorsza, oprócz Sybilli ciolka Paulina przywiozła ze sobą jakąś bogatą mieszczkę z córką, a ta... ta... ta blada szczurzyca w jedwabnej bieliźnie chwaliła jej się, że jest zaręczona z Filipem d'Estouville! Podobno dostała od niego tuzin listów miłosnych, które nosi za gorsetem. Pewno! Jak ktoś nie ma piersi, musi je wypychać! Była to kropla, która przepęlniła czarę; Lauretta natychmiast pojechała do

kościół i tam na klęczkach prosiła Pana Boga, aby d'Estouville zginął podczas najbliższego ataku Hiszpanów.

— Drogi panie Villasse, czy przywiozłeś pan z Paryża prezent dla swojej małej przyjaciółki? — spytała, zalotnie trzepocząc rzęsami.

— Owszem, i to prawdziwy skarb — odparł Villasse.

— Masz go przy sobie? Jest duży czy mały?

— Całkiem spory, gołąbeczko, ale dostaniesz go później, nie teraz.

— Nie teraz? — Lauretta wydeła wargi. Zaniepokoiło ją coś, co dostrzegła dopiero teraz, zerkając na Villasse'a spod zakręconych rzęs. Był roztargniony, szorstki w obejściu, jakby czymś zajęty... Może poznał w stolicy pannę ładniejszą od niej, elegantszą, obdarzoną większym wdziękiem? Z pewnością nie ładniejszą, zadecydowała w duchu. Ale możliwe, że bardziej wypielegnowaną. Mężczyźni zwracają uwagę na takie rzeczy.

— Czy twoja siostra jest już w La Roque? — spytał.

Lauretta poczuła ucisk w sercu. Pogodził się zatem z Sybillą. Złakomił się na jej majątek i wpływy na dworze...

— Tak — burknęła. — Skąd wiesz?

— Pół Paryża uciekło z miasta, a kiedy nie zastałem u nich nikogo, pomyślałem, że przyjechała tutaj.

A więc naprawdę postanowił znów zalecać się do Sybilli. Ta wiedźma nie ma prawa niszczyć jedynej szansy zamażpójścia młodszej siostry! Dlaczego, dlaczego nie udało się jej oszpecić? Miałyby za swoje!

— Nie ona jedna — wycodziła. — Mamy tłum gości. Zapukali wczoraj do drzwi jak żebracy. Ten wstretny stary opat cierpi na niestrawność i wybrzydza przy stole, ciotka Paulina złamała krzesło, na którym usiadła, a na dodatek jeszcze przywiozły ze sobą jakąś nudną idiotkę i zarozumiała dziewczkę. Pewnie długo nie zabawią. Za dzień lub dwa zjedzą nasze wszystkie zapasy i pojadą dalej.

— Znakomicie — rzekł Villasse i Lauretta zaniepokoiła się nie na żarty. — Czy moja gołąbeczka zrobi coś dla mnie?

Nie będą nosić między wami liścików, pomyślała nienawistnie Lauretta, głośno jednak powiedziała:

— Twoja śliczna lubi cię uszczęśliwiać.

— A zatem, kochanie, chcę, żebyś wyjęła coś z bagażu twojej siostry. To niewielki kuferek... właściwie należy do mnie i chcę go odzyskać. Jest dość niezwykły... sama zobaczysz. W środku jest coś, czego pewnie się przestraszysz.

— Co?

— Hm, no cóż... okaz anatomiczny. Jak wiesz, twoja siostra zbiera stare kości. To akurat jest głowa.

— Głowa? Ludzka głowa?

— Eee... hm, no tak. Po prostu głowa. Nie martw się, siedzi grzecznie w kufierku. Ale muszę ją mieć z powrotem. A kiedy mi ją przyniesiesz, twój Teobald będzie miał dla ciebie wspaniałą niespodziankę: pierścień z brylantem, większy od tych, które nosi królowa.

Widząc, jak dziewczynie zabłysły oczy, Villasse uśmiechnął się z tym szczególnym zadowoleniem, jakie daje poznanie słabostek bliźnich. A czymże jest brylant dla czarodziejkiej głowy? Zwykłą błyskotką, zabawką. Tu cię mam, pomyślał. Będziesz moją niewolnicą, zrobię z tobą, co zechcę.

— Wejdźmy do środka — rzekł. — Chcę złożyć uszanowanie twoim rodzicom. W tej drugiej sprawie spotkajmy się jutro obok starego wału za sadem... wiesz, tam gdzie potok się rozszerza i byldo przychodzi do wodopaju.

— I będziesz miał dla mnie ten śliczny podarunek?

Mam cię, pomyślała Lauretta. Skoro tak bardzo chcesz odzyskać tę głowę, to znaczy, że jest z nią związana jakaś tajemnica, a kiedy poznam te tajemnicę, będziesz musiał się ze mną ożenić. Jaka szkoda, że nie mam jedwabnej sukni...

— A ten czego tu szuka? — warknął Herkules de La Roque, kiedy gość już sobie poszedł. — Przecież w zeszłym miesiącu zapłaciłem mu procent od nowego długu. Nagle przychodzi z sąsiedzkim pozdrowieniem, szczerząc zęby jak wilk. Myślałem, że jest w Paryżu.

— Na pewno chciał się spotkać z Sybillą — mruknęła jego żona, nie podnosząc oczu znad szytej właśnie powłoczki.

— Ta dziewczyna powinna była lepiej wycelować — rzekł pan de La Roque.

Ponieważ dziewczęta dzieliły wspólny pokój, sprawa była prosta. Lauretta odczekała nieco i po obiedzie, kiedy wszyscy byli na dole w wielkiej sali albo w ogrodzie, wróciła na górę, żeby poszukać tajemniczej skrzynki. Komnata była pełna porozrzucanych skrzynek i kufków, zapakowanych i rozpakowanych, i poduszek wypchanych tajemniczymi przedmiotami. W szafie wisiał tuzin jedwabnych i akksamitnych sukien, na komodzie wały się beztrosko puzderka z biżuterią i flakoniki drogich pachnidł. Na rogu małego zamglonego

lusterka Klaretta powiesiła przepiękny różaniec z kości słoniowej. W otwartej szkatułce pomiędzy innymi wytwornymi i cennymi ozdobami Lauretta zobaczyła bransoletę z kutego złota, wysadzana brylantami, na której widok zabolą ją serce. Czyja to — Sybilli czy Klaretty? A co za różnica? Choćby się obwiesiły klejnotami od stóp do głów, i tak żadna nie dorównuje jej urodą. Tylko przymierzę, pomyślała. Bransoletę i ten śliczny pierścień. Ciekawe, jak by wyglądał na mnie ten krzyżyk z rubinem w środku? Tak, naprawdę elegancko. Jaka szkoda, że nie mam przekłutych uszu, mruknęła pożądliwie, kiedy wysunąwszy szufladę i otwarłszy leżące w niej pudzderko ujrzała w nim olbrzymie kolczyki z brylantami.

Jaki piękny jedwabny szal... Ten kolor nie nadaje się dla brunetki, o wiele lepiej prezentuje się przy jasnych włosach. Lauretta otuliła szalem ramiona, później zarzuciła go na szyję, a potem udrapowała połyskliwą tkaninę jak kołnierz i wetknęła luźne końce za dekolot. Kiedy wyjdę za Teobalda, też będę miała takie rzeczy, powiedziała do siebie, zerknąwszy w lustro. W takim stroju mogłabym nawet zostać przyjęta na dworze! Gdyby Teobald mnie w tym zobaczył, zrozumiałby, że moja uroda powinna mieć odpowiednią oprawę. Jakie ładne szkarłatne aksamitne pudzderko! Tylko czemu wepchnięte na sam dół, pod pończochy? Zupełnie jak gdyby ktoś chciał je ukryć. O Boże... brosza, i to jaka brosza! Bezcenne perły i ten cudowny, delikatny kształt — jak kwiat albo motyl... Gdyby tak udrapować szal wokół twarzy i wpiąć ją tutaj... au! ostra ta szpila! Tak, teraz będzie dobrze. Wyglądam wspaniale. Pani de La Tourette... Nigdy nie nazywano mnie nawet panną de La Roque, tylko Lauretta Artaud, bo nie jestem najstarszą z córek. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie! Czy ja nie zasługuję na takie ładne rzeczy? Dlaczego więc ich nie mam?

Ssąc ukłuty palec, zaczęła się rozglądać za tajemniczym kuferkim. Po krótkiej inspekcji zalegających komnatę bagaży rozsunała wiszące w szafie suknie. W kącie za falbaniastymi spódnicami i spłaszczoną krynoliną schowana była stara posrebrzana szkatuła. Lauretta ukłękła i sięgnęła po nią. Wtedy usłyszała dziwny dźwięk. Brzmiał zupełnie jak psie pochrapywanie, ale przecież w pokoju nie było psów. Pod szafą też żaden by się nie zmieścił. Dziewczyna wyjęła skrzynkę, obejrzała wyryte na niej postacie i niezrozumiałe słowa, po czym otworzyła wieko. Wewnątrz znajdowała się ohydna pamiątka z jakiejś egzekucji — wysuszona głowa pokryta łuszczącą się skórą, spod której tu i ówdzie prześwitywała biała kość. Zza gnijących warg wylaniały się zbrązowiałe zęby, a oczy były zamknięte. Dziwne: chrapanie zdawało się dobiegać

właśnie z tego kufierka. Niemożliwe, pomyślała Lauretta, odcięta głowa nie może chrapać, pozbawiona piersi, którą by oddychała. To pewnie wiatr. Głowa jak głowa... Widywała już ludzkie szczątki w gorszym stanie, półwiartowane i zatknięte dla postrachu na rozstajach dróg. Trup to trup, a pierścień z brylantem to pierścień z brylantem. Nie zastanowiła się nawet, czyja głowa mieści się w posrebrzonym kufierku, ponieważ z natury rzadko się nad czymkolwiek głębiej zastanawiała.

Owinęła kuferek powłóczką i jeszcze raz obejrzała się w lusterku. Nie zaszkodzi, jeśli pożyczycy sobie te cacka na jakiś czas, żeby wyrzucić wrażenie na Teobaldzie i uświadomić mu, że w otoczeniu klejnotów jej uroda nabiera jeszcze większego blasku. Na palcach wykradła się z domu i pobiegła przez sad do walącego się starego muru nad potokiem. Koń Villasse'a stał przywiązany do drzewa, on sam zaś, odziany jak zwykle w stary łowiecki kaftan i wysokie buty, czyścił paznokcie wielkim myśliwskim nożem. Kiedy posłyszał szelest jej kroków w suchej trawie, gorączkowo poderwał głowę.

— Masz kuferek? — spytał, nie zadając sobie nawet trudu, by ją powitać.

— Owszem, a gdzie mój pierścień?

— Najpierw skrzynka. Muszę zobaczyć, co w niej jest.

Pospiesznie rozerwał poszewkę i trzęsącymi się rękami otworzył wieko, nie marnując czasu na oglądanie dziwacznych rzeźb. Ujrawszy zawartość kufierka zamarł i ze świstem wciągnął powietrze. Martwa zmumifikowana głowa poruszyła się i... — o zgrozo! — pomarszczone powieki uniosły się ukazując dwoje skrzących złośliwością oczu.

— Co za cholera znów mnie ukradła? — sarknął Menander. — Praca, praca, ciągle tylko praca! Ledwie się człowiek zdrzemnie... Fiu, fiu, jaka cudowna łajdacka twarz! Wyczuwam w tobie bratnią duszę, człowiecze. I jeszcze jedna! Ależ wredne oczka masz w tej ładnej buzi, moja mała. Dobra, mów, czego sobie życzysz, tylko szybko. Niestety, nie mogę tu dłużej zabawić, nawet po to, by zdobyć jeszcze jedną duszę. Muszę wracać tam, skąd przybyłem.

— Po pierwsze życzę sobie duży pierścień z brylantem dla tej oto panny...

— Nie, nie! Co z ciebie za czarownik! Najpierw musisz wypowiedzieć słowa wypisane nad zamkiem! — zirytował się Menander.

— Teobaldzie, co to? Czary?

— To starożytna tajemnica znana jako Pan Wszelkich Życzeń.

— Wspaniale! Kiedy skończysz z pierścieniem, zażądaj dla mnie jedwabnej sukni i białej kłaczy ze srebrną uprzężą. Potem, kiedy się pobierzemy, sprawisz mi zamek.

— Pobierzemy? Myślisz, że się z tobą ożenię, kiedy mogę mieć najpiękniejsze, najbogatsze i najlepiej urodzone kobiety w tym królestwie? Po co mi taka wiejska gęś?

Lauretta krzyknęła boleśnie i rzuciła się na niego z pięściami, wytrącając mu z rąk kuferek. Głowa Menandra potoczyła się w trawę.

— Co robisz, idiotko! Przez ciebie go upuściłem! Przestań! — Villasse z rozmachem uderzył dziewczynę w twarz, powalając ją na ziemię. — I na dodatek skaleczyłaś mnie! — Podniósł dłoń do ust i dopiero teraz zauważył klejnot przypięty do sukni Lauretty. Przerażony, cofnął się o krok. — Skąd to wzięłaś? To broszka twojej siostry!

— Wyobraź sobie, wstrętny staruchu, że włożyłam ją dla ciebie! Żeby ci się spodobać! Śmiechu warte! Sam jesteś brzydki jak gnom, jednooki odmieńcze! Powinieneś się ożenić z żabą! — Lauretta otarła cieknącą z nosa krew wierzchem dłoni.

— Gdybyś nie była głupsza od żaby i taka chciwa, nie ruszałabyś cudzych rzeczy! To ja wysłałem Sybilli tę broszkę! Jest zatruta!

— Zatruta?!

— Bardzo powolną, ale śmiertelną trucizną. Jadem ropuchy, o ile sobie przypominam. Ale ja przeżyję. Pan Wszelkich Życzeń wróci mi zdrowie, żebym mógł płakać na twoim pogrzebie. Myśl o mnie odchodząc z tego świata. I wiedz, że oddajesz mi tym przysługę. — Villasse prędko schylił się, podniósł głowę Menandra, wrzucił ją do kufereka i wskoczył na siodło.

Lauretta z krzykiem rzuciła się za nim, lecz wpadający do strumienia koń ochlapał jej paradną suknię i zniknął na gościńcu. Rozszlochana, mokra i umazana krwią dziewczyna powlokła się z powrotem do domu, gdzie natknęła się na ojca, który właśnie wychodził ze stajni.

— Vi... Villasse... — udało jej się wyjąkać.

— Zabrał ci cnotę? — spytał Herkules de La Roque, purpurowiejąc z wściekłości.

— Nie, zabrał mi czarodziejską głowę, która spełnia życzenia...

Pan de La Roque spojrział na swoją ładną, trzeźwo myślącą i pozabawioną skrupułów córkę. Była taka jak on i za to ją kochał. Krew ciekła jej z nosa, pod okiem już zaczynał ciemnieć siniec, a suknię miała z góry na dół ochlapaną błotem.

— Skąd wzięłaś tę broszę? Wyczarowałaś? — spytał, taksując wzrokiem królewską ozdobę z wielką perłą w środku.

— N...nie, znalazłam ją w rzeczach Sybilli. On mówi... Villasse mówi, że jest zatruta. Muszę odzyskać tę głowę, ojcze, żeby poprosić o życie, zanim trucizna zacznie działać. Jego też zadrapałam, ale zabrał głowę i powiedział, że sam się ocali, ale o mnie nie dba, bo jak umrę, nie będzie musiał się ze mną żenić. Powiedział, że przyjdzie na mój pogrzeb!

— Nie zostanie zaproszony — rzekł z roztargnieniem La Roque.
— Głowa, która spełnia życzenia? Ależ Villasse dawno już odjechał! Jak, u licha, mam go teraz dogonić? Nie martw się, Lauretto. Zaraz każę siodłać konia i przywiozę tę głowę. Tylko co będzie, jeśli Villasse zażyczy sobie mojej śmierci?

— Wiedziałam, że mnie uratujesz — chlipnęła Lauretta.

— Oczywiście, oczywiście. Głowa spełniająca życzenia.... — La Roque zawrócił w stronę dworu. — Co za skarb!

Chwilę później z domu dobiegł potworny wrzask.

Znalazłszy się poza granicami La Roque-aux-Bois, Villasse zatrzymał konia w cieniu wielkiego drzewa i otworzył kuferek. Działo się z nim coś dziwnego, jakby mienił się w popołudniowym świetle, i trudno było odczytać słowa wypisane nad zamkiem. Villasse ledwie rozpoczął recytowanie formuły, kiedy głos, suchy i szeleszczący jak zwiędłe liście, rzekł:

— Za późno.

— Co to znaczy: za późno?

— Już wracam. Moją właścicielką jest Sybilla Artaud de la Roque i jestem z nią związany...

— Czekaj! Nie waż się znikać! Chcę, żebyś usunął truciznę z mojej krwi!

— Żałuję, ale się spóźniłeś. Żegnam. — Po tych słowach kuferek stał się przezroczysty i zniknął.

Villasse jak oszalały zawrócił konia i dźgnął go ostrogą, zmuszając do galopu w kierunku, z którego dopiero co przybył. Okładając biczem zgonione zwierzę myślał: Co mówił ten przeklęty magik? Ile czasu mija, nim trucizna zacznie działać? Nieopisane cierpienia, okrutna, powolna śmierć... Jak powolna? Ile mi zostało dni, ile godzin?

Z komnaty na górze dobiegł przeraźliwy krzyk, budząc drzemiącego nad książką opata, który zerwał się gwałtownie. Jak na dany sygnał

wszyscy popędziliśmy na piętro. Dom nagle zaroił się od biegnących ludzi. Klaretta i jej matka odłożyły tamborki i rzuciły się ku schodom, matka i ciocia Paulina wyskoczyły z kuchni, moje siostry, służba — wszyscy gnali do panińskiej komnaty. Ojciec rozepchnął nas na boki i pierwszy wpadł do pokoju, w którym jego niezbyt mądra trzecia córka Izabela wrzeszcząc histerycznie wpatrywała się w otwartą skrzynkę z żywą odciętą ludzką głową, materializującą się właśnie na samym środku łoża.

— Przystań wrzeszczeć, kretyńko, i wypowiedz życzenie — powiedziała głowa. — Możesz mieć wszystko, czego tylko zechcesz. Ceną jest zaledwie twoja dusza, wyjątkowo lekka i niewarta kłopotu związanego z jej utrzymaniem. Żadne poświęcenie, a w zamian możesz dostać tyle pięknych rzeczy! Nie chciałabyś mieć kucyka?

Ale Izabela tylko zawyła z trwogi.

— To żyje! Mamo, mam, jakie to ohydne! Mamo!!!

— To ona! To magiczna głowa! — zawołała Lauretta.

— Wiem — rzekł ojciec i nagle złapał mnie za rękę, wykręcając ją w żelaznym uścisku. — Nareszcie się na coś przydasz, ty zasuszona, zarozumiała stara panno. Wypowiesz dla mnie życzenie.

— Nie... nie rozumiem, ojczu.

— Słyszałem, co mówiła głowa. Myślisz, że chcę stracić moją duszę? Nie! Ty będziesz wypowiadać życzenia. Najpierw chcę mieć wielki majątek i zamek nad Loarą. Pospiesz się, bo złamię ci rękę!

— Ale, ojczu, trucizna! — zawołała zduszonym przez łzy głosem Lauretta.

— Później, później. Wszystko w swoim czasie. No, Sybillo, bądź dobrą córką i poświęć się dla papieża!

— Ojczu! — krzyknęłam przerażona tym niegodziwym żądaniem.

— To podłe! Nie zrobię tego! — Próbowałam się wyrwać, lecz ojciec zacieśnił uścisk, aż jęknęłam z bólu. — Nie możesz mnie do tego zmusić!

— Nie mogę? Zastanów się, co mówisz, złodziejko. Oddasz mi wszystko, co ukradłaś, a potem niech cię piekło pochłonie. Najchętniej poderżnąłbym ci gardło. To byłoby sprawiedliwe.

Poczułam na szyi zimne ostrze myśliwskiego noża.

— Kto mnie powstrzyma? — wrzasnął ojciec. Na czole perlil mu się pot, a w oczach błyszczała obłąkańcza chciwość. — Ta skrzynka wedle prawa należy do mnie! Czy kiedykolwiek miałem pożytek z tej intrygantki, z tej jędzy? Od urodzenia brzydka, bezużyteczna i zła! Ale teraz nareszcie wiem, jak cię wykorzystać. Wypowiesz dla mnie

życzenie, Sybillo, i to zaraz, inaczej nigdy już nie będziesz miała tej okazji.

Nikt nie ośmielił się poruszyć. Nawet ciotka Paulina ze zgrozy zamarła w drzwiach, całkowicie wypełniając sobą światło futryny. Miałam wrażenie, że w nienaturalnej ciszy zalegającej komnatę słyszę, jak mi serce pęka. W głębi ducha zawsze wierzyłam, że pod twardą skorupą okrucieństwa i pogardy ojciec żywi do mnie choć trochę miłości. Teraz przejrzałam go na wylot i nie zobaczyłam nic. Zupełnie nic. Zamek złudzeń, który budowałam przez całe życie, rozsypał się w gruzy.

Zaczęłam płakać. Wszystko przepadło. Straciłam wszystko, miłość, dom, rodzinę, wszystko... Czy w piekle Menandra mogło mi być gorzej?

— Na Agabę... — Pochlipując, zaczęłam wypowiadać zaklęcie.

— Tylko żadnych sztuczek. Ma być jasne, że pałac jest dla mnie.

— Życzę sobie... — Pociągnęłam nosem. — ...abyś dał mojemu ojcu, panu Herkulesowi de La Roque, bardzo wielki majątek i zamek nad Loarą...

— W nowoczesnym stylu, w dobrym stanie i z rozległymi terenami łowieckimi — odpowiedział ojciec.

— W... w nowoczesnym stylu... w dobrym stanie... i z rozległymi terenami łowieckimi — powtórzyłam.

— No, Sybillo, nareszcie! — ucieszył się Menander. — Ależ to był twardy orzech do zgryzienia! Od tysiąca lat tak się nie napracowałam nad jedną duszyczką! Nie przejmuj się. Naprawdę nie będzie ci jej brakować. W dzisiejszych czasach i tak niewielu ludzi ma dusze. A nawet jeśli mają, mało kto o nich pamięta.

— Herkulesie, ty potworze — syknęła ciotka Paulina, blada jak ściana pod warstwą pudru. — Im prędzej zdechniesz i zostaniesz pogrzebany, tym lepiej dla twojej rodziny.

— Ojczy, trucizna... — Lauretta pociła się ze strachu.

— Nie teraz, najpierw chcę jeszcze wieczną młodość. — Ojciec mocniej nacisnął nóż. — No, Sybillo, poproś o wieczną młodość dla tatusia.

— Momencik — wtrącił Menander. — Wciąż pracuję nad pierwszym życzeniem.

— Umieść je na liście i weź się za następne — rzekł niecierpliwie ojciec.

— Tak się nie da — odparł Nieśmiertelny. — Najpierw muszę obmyślić, jak spełnić życzenie, potem uruchomić odpowiednie tryby Losu, a dopiero później mogę zająć się następnym.

— Przecież to chyba proste. Nie masz dość czarnoksiężskiej mocy, żeby dać mi zwykły pałac?

— O, rozdawałem już królestwa. A całkiem niedawno zamącałem Filipowi Hiszpańskiemu w głowie tak, że opóźni najazd całej cesarskiej armii na Paryż. Trzeba ci wiedzieć, iż dokonuję wielkich dzieł!

— Zatem pospiesz się. Chcę wiecznej młodości i absolutnej władzy nad wszystkimi żywymi stworzeniami. Wiesz, Sybillo, chyba jednak zachowam cię przy życiu. Jeszcze nieraz mi się przydasz. Będę mógł rozkazywać królowi, cesarzowi, nawet samemu papieżowi!

— Wolnego, chciwy staruchu. Powiedziałem ci już, że najpierw muszę skończyć z pierwszym życzeniem. Nie mogę zająć się czym innym, póki tego nie zrobię. Musisz poczekać — rzekł Menander.

— Tak trudno dać mi pałac z terenem łowieckim?

— Nie chodzi o pałac, tylko o to, czyj ma być...

— Mój, cholerny głupcze! Mój! Herkulesa de La Roque I

— Niezupełnie. Miałem go dać tobie i ojcu Sybilli. Trochę trudno dać pałac dwom osobom naraz, zwłaszcza gdy jedna z nich już nie żyje.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał podejrzliwie ojciec, puszczając moje ramię.

— Mówiłem już, że muszę to przemyśleć... — rzekł Menander Nieśmiertelny, zamykając oczy.

— Obudź się, obudź się, przekłety śmieciu! Jak śmiesz spać, kiedy do ciebie mówię! — oszalały z wściekłości ojciec rzucił się na łoże, złapał skrzynkę i zaczął nią potrząsać. Głowa Menandra wypadła na podłogę. Schylił się, by ją podnieść, i ucho zostało mu w ręce. Kobiety z krzykiem zaczęły się przepychać ku drzwiom. Ojciec kopnął głowę i zmiażdżył ją butem. W tejże chwili ja również ocknąłem się z osłupienia i uciekłam nie czekając na dalszy rozwój wypadków.

Herkules de La Roque cofnął się ze zgrozą widząc, jak ze zdeptanej masy zaczyna ponownie formować się ludzka głowa.

— Czy człowiek naprawdę nie może mieć ani chwili, żeby się spokojnie nad czymś zastanowić? Prosiłem, by mi nie przeszkadzano, kiedy jestem zajęty.

— Gdzie Sybilla? — Pan domu gorączkowo rozejrzał się wokół siebie. — Przekłeta łajdaczka! To wszystko przez nią!

Był sam w komnacie; kobiety czmychnęły na dół. Za drzwiami stała tylko jego siostra Paulina, olbrzymia góra mięsa oparta na lasce.

— Zdaje się, Herkulesie, że wpadłeś we własne sidła — powiedziała. — Co za głupie żądanie! Gdybyś sam wypowiedział życzenie, siedziałbyś teraz w przepięknym pałacu. Zresztą moim zdaniem nie było się o co tak troszczyć. Wedle mych obliczeń wyzbyłeś się duszy co najmniej trzydzieści lat temu.

— Paulino, wiedziałem, że jest jakiś powód, dla którego tobą gardzę.

— Jeśli uda ci się zatrzymać Menandra dostatecznie długo, może doczekasz się chwili, kiedy się obudzi — w głosie Pauliny brzmiał jawny sarkazm.

— Zawsze podejrzewałem, że ta dziewucha nie jest z mego nasienia. Ale dzień urodzin, data chrztu... Po powrocie do domu widziałem dowód...

— Przespałam się z księdzem, żeby sfalszował zapis.

— Ty? Wstrętne, grube babsko?

— Wytęż pamięć. Byłam wtedy piękna i wydana w pośpiechu za mężczyznę, którego nie kochałam... po to, żebyś ty mógł sobie nabić kiesę. Ksiądz był przystojny, inteligentny... i udzielił mi rozgrzeszenia.

— Nie zasługujesz na rozgrzeszenie, Paulino.

— To jedno powinno mi być zostać odpuszczone. A ksiądz powiedział, że Bóg wybaczy mi i tamten grzech, jeśli postaram się naprawić wyrządzoną krzywdę.

— Wyrządzoną tym, że posłaś z nim do łóżka?

— Nie. Że zdradziłam moją najlepszą przyjaciółkę, albowiem ja także kochałam mężczyznę, który wybrał ją. Zatrula mnie zazdrość i to był mój grzech, Herkulesie, zazdrość. Jej ojciec obsypał mnie błogosławieństwami, gdy ich zdradziłam, a potem zasiekł go jak psa. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że go zabije. Że to ja będę przyczyną jego śmierci.

— Jeśli tak, Paulino, był to twój jedyny uczciwy postępek.

— Ten potworny czyn zatrul całe moje życie. Do dziś noszę medalion z chusteczką umoczoną w jego krwi. Przez wiele lat miałam jego modlitewnik...

— Ten modlitewnik, który dałaś Sybilli! A więc dlatego! Ty nędzna ladacznico!

— Przez całe życie żałowałam tego, co zrobiłam, i przez całe życie staram się to naprawić. Tak, to ja obmyśliłam, żeby zmienić

zapis w księdze parafialnej. Adoptowałabym dziecko, gdybyś mi pozwolił.

— Powiniennem był utopić bękarta...

— Ale teraz jest moja i oddam wszystko, co posiadam, żeby była szczęśliwa.

— Ty żmijo!

— Nie cofnąłbyś się przed niczym, żeby poślubić bogatą dziewczkę, prawda? Nawet przed zabójstwem. Ty i ojciec Heleny odarliście go z szat i nocą wrzuciliście ciało do kanału. Nie zaprzeczaj, dobrze o tym wiem. Nie wiedziałeś tylko, że bierzesz resztki po nim...

— Ten przekłety starzec mnie okłamał. Wszyscy kłamaliście.

— Słudzy sprzedali jego rzeczy. Odnalazłam jego książki, pas, mały amulet, który nosił na szyi. Codziennie czytałam jego modlitewnik. Ileż leż nad nim wylałam! Egoizm to najgorsza zbrodnia.

— Twoje oszustwo kosztowało mnie utratę życiowej szansy...

— Miałeś w życiu dość szans, Herkulesie, i zmarnowałeś je. Ja... cóż, naprawiłam to, co dało się naprawić. A tobie los wypłatał dowcip wszechczasów!

— Podrzuciłaś mi kukulcze jajo. Zabiję cię!

— Nie radzę, Herkulesie. Świat się o mnie upomni, jeśli nie wyjdę stąd żywa. Mój kuzyn opat jest naprawdę bardzo ustosunkowany, nie mówiąc już o dobrym księdzu, tym, który mnie rozgrzeszył. Zaszedł wysoko... wątpię, byś chciał wiedzieć, jak wysoko. Wyobrażałeś sobie, że przyjmę twoją gościnę nie zapewniwszy sobie świadków? — Paulina obróciła się na pięcie i wymaszerowała z komnaty.

Jej brat, błądzący z wściekłości, chwycił kuferek i potrząsnął nim.

— Odejdź. Jestem zajęty — dobiegło z wewnątrz.

— Niech cię wszyscy diabli!... — wychrypiał Herkules de La Roque. — Jesteś aż tak głupi? Nie potrafisz zrozumieć, że życzenie było dla mnie?

— Nie tak brzmiały słowa dziewczyny. Jeśli ci się to nie podoba, załatw to z nią.

— Sybilla... — La Roque czuł, że znów zaczyna go dusić furia. Jego oblicze przybrało szkarłatną barwę, żyły na czole nabrzmiały. — Tak, Sybilla! Zaraz to z nią załatwię!

Jak szalenciec wypadł z komnaty i pobiegł ku schodom, głuchy na złośliwy chichot dochodzący z kufereka, który ścisnął pod pachą.

W połowie schodów zatrzymał się. U ich stóp czekał mężczyzna z obnażonym mieczem. Jego twarz była szara i ściągnięta, ubranie przesiąknięte potem po długiej jeździe. Był to Teobald Villasse.

— Herkulesie, oddaj mi tę skrzynkę — w tonie Villasse'a brzmiała determinacja. Chwiał się na nogach. Czy trucizna już działa? Miał wrażenie, że czuje przeszywający ból... a może pieczenie? Jak mówić ten czarownik: przeszywający czy piekący? Coś z oczami... Szkoda czasu na wyjaśnienia i dyskusje. — Pospiesz się — powtórzył głośno łamiącym się głosem.

— Nigdy. To należy do mnie — rzekł pan de La Roque, czując, że za chwilę trafi go apopleksja. — Mam nie dokończone porachunki z Sybillą. A teraz zejdź mi z drogi, chamie!

— Jak śmiesz mi się sprzeciwiać, nędzny żebraku! — Twarz Villasse'a wykrzywiła się z wściekłości. Skoczył do przodu i jednym ciosem zarzął pana domu. Z przeciętej arterii siknęła krew, kuferek potoczył się w dół po schodach. Villasse porwał okrwawioną zdobycz i rzucił się ku drzwiom. Ręce mu się trzęsły, kiedy recytował magiczne słowa, pot strugami spływał z czoła.

— Na Agabę, Ortneta, Baala, Agaresa, Marbasa, zaklinam cię. Na Almoazina, membroty, sylfy, salamandry, otwórz ciemne wrota i bądź mi posłuszny. Daj mi to, czego pragnę. Usuń truciznę z mego ciała.

— Nie zawracaj mi teraz głowy. Myślę.

— Spełnij moje życzenie, przeklętniku! — ryknął Villasse, potrząsając kuferekiem.

— Powiedziałem, żebyś mi nie przeszkadzał. Myślę. Kiedy skończę myśleć, zajmę się twoim życzeniem. Najpierw muszę załatwić poprzednie. Majątek i pałac dla ojca Sybilli. Albo może dla tego gbura z La Roque. Musisz poczekać na swoją kolej.

— Przestań mleć ozorem, diabelski pomociu, i daj mi to, o co prosiłem! — Wpatrzony w kuferek Villasse nie zauważył zachodzących go z tyłu parobków, uzbrojonych w widły i sznury.

— Nie mogę — powiedziała głowa.

Villasse krzyknął, kiedy rzuciło się na niego sześciu ludzi.

— Zwiążcie go!

— Zakłuć drania!

— Nie, zostawcie go. Po co nas mają potem karać? To on zabił pana. Zwiążcie go i poślijcie po sędziego.

Związany i zamknięty w pozbawionym okien spichrzu, gdzie czekał na przybycie sędziego, Villasse przez całą noc bezskutecznie próbował ocenić, która śmierć będzie gorsza — czy ta przewidziana prawem, czy ta, którą zgotowała mu Boska sprawiedliwość. I która, która przyjdzie pierwsza?

ROZDZIAŁ XX

Roje światel krążyły w ciemności jak płonące pomarańczowe ślepie. Migotały na schodach, gdzie służące pospiesznie zmywały krew, płonęły na stołach i kredensach w wielkiej sali, gdzie matka i ciotka Paulina myły i przysposabiały do pochówku ciało ojca leżące na krzyżakowym stole pośrodku komnaty. A ja snułam się jak duch po ciemnych pokojach, z dala od tych płonących ślepi, które zdawały się mnie śledzić. To był ostatni podarunek od ojca: pozostawił mnie bez duszy. Wewnątrz — tam gdzie przedtem mówiły ciepłe głosy, spierały się, układały wiersze i dumwały nad cudami natury — czułam zimną pustkę. W którymś momencie nocy podsłuchiłam, jak moje młodsze siostry drżącymi głosikami pytają opata, czy dusza ojca jest już w niebie, opat Dufour zaś cmoka z zażenowaniem i odpowiada, że z pewnością gdzieś jest, ale gdzie, tego nie wie; musiałyby zapytać wyższego niż on autorytetu w sprawach duchowych. A moja? Gdzie była moja dusza?

Nazajutrz rano przybył sędzia. Jego ludzie zabrali Teobalda Villasse'a oproszonego plewami i nie wiedzieć czemu tak osłabionego, że nie mógł iść. Musieli go przywiązać do siodła. Mamrotał i mówił do siebie jak szaleniec. Lauretta poczuła się chora, pewnie na skutek wstrząsu, ale matka i ciocia uparły się, że powinna leżeć sama na posłaniu w sypialni matki, a nie w naszym wspólnym łóżu. Zamknęły drzwi nawet przed Klarettą i mną, kiedy zaś w końcu wyszły, matka niosła nożyczki, a ciocia miała na rękach grube rękawice i trzymała w nich jakiś mały przedmiot.

— Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe — bąknęła ze strachem pani Montvert.

— Nie — westchnęła matka. — To nie jest zaraźliwe. Proszę się modlić za moją córkę. Tylko matczyne serce zdolne jest zrozumieć moje cierpienie.

— Jest pani bardzo dzielna — szepnęła żona bankiera. — Kiedy Lauretta wyzdrowieje, a ta okropna wojna wreszcie się skończy, zapraszam was do mojego domu. Razem łatwiej nam będzie znosić utrapienia i żalobę.

Dopiero nazajutrz, gdy mijałam służebne czyszczące mosiężną poręcz z rdzawych plam krwi, żelazna obręcz opasująca moje ciało i serce nagle pękła. Targnął mną paniczny strach; zadrżałam i rozplakałam się, przekonana, że Bóg powali mnie trupem na miejscu mej straszliwej zbrodni. Przywiozłam Menandra do rodzinnego domu. To ja spowodowałam śmierć ojca.

— Zabiłam go! — szlochałam, skulona u stóp złowrogich schodów. — To wszystko przeze mnie! Jestem najgorszą, najniegodziwszą spomiędzy żyjących, a teraz nie mam już nawet duszy!

Za moimi plecami rozległy się powolne kroki i stukot trzciny laski.

— Moja droga — ciocia podniosła mnie z podłogi i objęła ramieniem. — Czas, żebym ci coś powiedziała. Nie jesteś ojcobójczynią. Co się zaś tyczy twojej duszy, nadal jest bezpieczna w twym ciele.

— Jak to? Przecież wypowiedziałam życzenie przed Menandrem i dusza została mi już odebrana. A ojciec, ojciec, który mnie spłodził, nie żyje...

— Zacznijmy od początku, kochanie. Prawdziwa data twoich narodzin została przed tobą zatajona, podobnie jak i przed moim bratem. Urodziłaś się w Wigilię, w ten błogosławiony dzień, kiedy żadnej duszy nie grozi zatrata.

— W Boże Narodzenie? Nie w lutym? — Oślupiałam. Zaczęłam liczyć do tyłu na palcach.

— Tak, w samą wigilię Bożego Narodzenia. Było to w klasztorze Świętego Ducha, który tak później ukochałaś, a w którym mój brat zamknął młodą żonę na czas wyprawy wojennej.

— Ale... — zająknęłam się — jak to możliwe? Czyżby rodzice... hm, poznali się przed ślubem?

Na twarzy cioci Pauliny odmalowało się zakłopotanie. Leciutko pokręciła głową.

— Chcesz powiedzieć, że mój ojciec nie był moim ojcem? — wyszeptałam. — Nie jestem córką bohatera spod Pawii?

— To oczywiście, skarbie. Mój brat nie był twoim ojcem. Twój ojciec... — ciocia nagle urwała i spuściła wzrok. Po jej bladych policzkach spłynęły dwie duże łzy.

— Czy był... szlachcicem? — Czułam, jak tworzona przez lata postać córki rycerza, bladej poetycznej róży, chwieje się i rozpada i to mnie przeraziło.

— No, chyba tak... jeśli liczyć cudzoziemców. Ochrzczonego, rzecz jasna, lecz nie pochodzących z chrześcijańskich krain.

— Co?!

— Obawiam się, kochanie, że wiedząc o tym, nie będziesz mogła nikomu tego zdradzić. Twoje życie stałoby się koszmarem, byłabyś zawieszona między dwoma światami i przez żaden z nich nie akceptowana... Twój ojciec był piękny, bystry i uczony, potrafił cytować wszystkie święte księgi, studiował tajemnice anatomii, astrologii, i ja... i... i... i twoja matka kochała go nade wszystko i chciała spędzić przy nim całe życie niezależnie od ceny, jaką przyszłoby jej za to zapłacić...

Głos ciotki Pauliny brzmiał tak, jakby to mówił któryś z duchów zamieszkujących jej dom.

— Cierpiała na krwawą plwocinę, ona i jej brat — podjęła — i od tego wszystko się zaczęło. Ojciec wysłał oboje na południe, na kurację u sławnego medyka, a ja pojechałam z nimi. Te letnie noce... Montpellier jest miastem profesorów i studentów. Siadywaliśmy na dachu pod gwiazdami... Mają tam płaskie dachy, nie strome jak u nas, gdzie musi osuwać się z nich śnieg. Na dachu domu aptekarza tuż obok siadywali młodzi medycy. Śpiewali w swoim języku i grali na lutniach. To były takie cudowne wieczory... Patrzyliśmy z dachu na miasto całe skąpane w księżycowym blasku i słuchaliśmy cudzoziemskiej egzotycznej muzyki płynącej w powietrzu przesyconym zapachem jaśminu...

— Ale jak... to znaczy, dlaczego...

— Brat Heleny zmarł w Montpellier i musiałyśmy natychmiast wracać, żeby odwieźć jego ciało do domu. Ale oni, moja najdroższa przyjaciółka i... i on... zrozumieli, że nie mogą bez siebie żyć. Napisał do niej, ona odpowiedziała na list. Przyjechał do Orleanu i odnalazł ją tutaj, w domu twego dziadka. Chcieli razem uciec... Ale twój dziadek odkrył ich plany i przy pomocy mego brata zamordował go.

— Zawsze wiedziałam, że ja tu nie pasuję — wykrztusiłam wreszcie.

— Obawiam się, że masz rację, skarbie. Ale twoja matka za bardzo cię kochała, żeby pozostawić cię zakonnicom, a ja także za

bardzo cię kochałam, by pozwolić ci żyć samotnie, w biedzie... Byłaś jego dzieckiem i o ile wiem, ostatnią z jego rodu. Pamiętam, kiedyś mówił, iż ze wszystkich dzieci jego ojca tylko on jeden pozostał przy życiu. Zatem w imię miłości, którą niegdyś dla niego żywiłam, musisz żyć i wyjść za Mikołaja.

— To znaczy, że mój ojciec nie jest moim ojcem, lecz zamordował mego ojca?

— Niestety, tak. Jak więc widzisz, trudno określić to mianem ojcobójstwa. Poza tym to nie ty zabiłaś mego brata, lecz jego własna chciwość. Chciwość i egoizm, który w końcu przekroczył wszelkie granice. Wierzę, że sam Pan Bóg uważa cię za niewinną jego śmierci.

— Ale w jaki sposób dziadek dowiedział się o ucieczce?

— Ja... nie wiem... chyba przechwycił list...

Słyszając jej głos, pojęłam, że nigdy więcej nie mogę jej o to pytać.

Jakież to niesłychane, jakie potworne — wychowywał mnie morderca mojego ojca. Matka wróciła z Montpellier jako jedyna spadkobierczyni i człowiek, którego uważałam za swego ojca, otrzymał jej rękę w nagrodę za swój udział w zbrodni. A wraz z nią ziemie, tytuł i posiadłość w La Roque-aux-Bois... Któż by nie zdradził, gdy tyle można było zyskać? Zyskać i stracić, przepuścić przez palce jak wodę...

Tydzień później przeprowadziłyśmy się do Orleanu, ale matka uparła się, że chce zostać w La Roque. Błąkała się z komnaty do komnaty z pustką w oczach, pocieszała młodsze dzieci, lecz czyniła to z roz-targnieniem, jakby nieobecna. Miało się wrażenie, iż teraz, kiedy lata jej czyśćca dobiegły końca, niewiele pozostało z jej prawdziwej istoty. Gorycz, nieufność, znoszona w milczeniu odraza zużyły jej duszę, która stała się blada i przejrzysta jak duchy cioci Pauliny.

Na szczęście pani Montvert i jej córka nie były osobami, które widzą duchy, toteż wszystkie odczułyśmy ulgę, znalazłszy się nareszcie się z dala od La Roque-aux-Bois i jego strasznych zbrodni. Panie zachwycaly się barbarzyńskim luksusem ciocinych mebli, aksamitnymi zasłonami, srebrami, dziwaczными starymi sukniami, z których kilka ciocia uznała za „absolutnie idealne” do przeróbki dla Klarety. No i oczywiście odwiedziła nas kuzynka Matelina, której mąż był „tak drogim przyjacielem kochanego pana Montverta”, że „musiała wpaść”.

— ...pomimo tego skandalu, moja droga. To po prostu o k r o p n e ! Podobno Villasse zwariował. Bez przerwy bredzi o gadających odciętych głowach.

— Gadające głowy? Chyba istotnie musiał stracić rozum — stwierdziła z niesmakiem ciocia Paulina. — Poczęstuj się jeszcze tymi pysznymi migdałkami w cukrze, moja droga, i opowiedz nam, co u ciebie słychać.

— Och, ja tak nie lubię mówić o sobie... Ale wiecie, że moje podwieczorki zyskały rangę wydarzenia? Tak, należą do wydarzeń w życiu artystycznym tego miasta! Mam tak wielu znanych i podziwianych gości! Dosłownie każdy słyszał o moim kółku! O, nawet wczoraj pewien bardzo szacowny szlachcic... ale sza! bez nazwisk! ...otóż ze łzami w oczach błagał mnie o zaproszenie! Ach, najdroższa Klaretto, nalegam, abyście wraz z matką odwiedziły mnie w przyszły wtorek. Nie do pomyślenia! D'Estouville nareszcie padł przeszyty strzałą Amora! Jakiż to dla ciebie wytwórny kandydat na męża! Jego wuj jest doprawdy w olbrzymich łaskach u króla. Ciebie także zapraszam, Sybillo, i was wszystkich... Muszę wreszcie nakłonić drogiego opata, by odczytał nam najnowsze uzupełnienia do swego dzieła o żółwiach! Ta straszna tragedia... Co za tragedia! Wszyscy o niej mówią! Rozumiem, Sybillo, że jesteś zanadto pograżona w żalobie, żeby czytać wiersze, ale gdybyś mogła się chociaż pokazać...

I nasycić żądzę skandalu twoich gości?, pomyślałam. Oj, Matelino, nigdy się nie zmienisz. Nie bez powodu każdy w promieniu dziesięciu mil łaknie zaproszenia na twój podwieczorek, a powodem tym nie jest bynajmniej dzieło „O życiu żółwi”.

Opat skłonił się wdzięcznie i przyoblekł twarz w enigmatyczny uśmiešek — jego ulubiony wyraz twarzy, rodzący w ludziach przekonanie, że opat wie wszystko, tylko po prostu nie chce mu się o tym mówić.

— I jak znosisz tak oszalamiającą sukces? — zagadnęła ciocia Paulina.

— Staram się, staram, ale same rozumiecie, że czasem jestem kompletnie wyczerpana... Na szczęście mój drogi, ukochany małżonek jest doprawdy świątym człowiekiem...

Klaretta i jej matka zerknęły na siebie znacząco, ponieważ dobrze znały tę historię z ust świętego człowieka.

— ...i jest dla mnie szaleńczo wręcz hojny. Musicie koniecznie przyjść obejrzyć przesłiczne próbki materii, jakie mi przysłał. Oczywiście w twoich oczach, Klaretto droga, nie będzie to nic nadzwyczajnego, ten sam strzyżony aksamit, który nosisz, ale te kolory! Jakie odcienie, jakie wzory! Ostatni krzyk mody! Oczywiście jeśli Paryż padnie, nie będą mogli przysłać tkanin. Straszna szkoda i dla mnie

wprost potworne utrudnienie, bo rozpaczliwie potrzebuje czegoś nowego na zimę... Ale mój mąż pisze, że coś dosłownie sparaliżowało cesarską armię. Siedzą w obozie pod Saint-Quentin i nie posunęli się nawet o krok w stronę Paryża... To już trwa od tygodni i nikt tego nie rozumie. Zupełnie jakby czekali, aż diuk de Guise nadciągnie z południa. Ludzie mówią, że król Filip postradał rozum!

Teraz dla odmiany my z ciocią wymieniliśmy znaczące spojrzenia. A więc to, co Menander wprowadził w ruch przed ostatnim życzeniem, toczyło się nadal niczym koło Fortuny. Myślałyśmy, że zaprzestał wszystkich swoich działań. Często zastanawiałyśmy się nad tym wieczorami, gdy z kufierka dolatywał jego cichy oddech i pomruki: „Nie, nie tak... a może tym sposobem... Nie, to bez sensu...”. Cóż, wprawdzie zatrzasnęłyśmy jedną z bram piekła i diabelskie moce nie działały już za pośrednictwem Menandra, ale zło, które rozpętał wcześniej, wciąż hulało na wolności. Niepojęte... Zresztą kimże byłyśmy, my, zwykle niewiasty, aby pojmować intrygi Szatana?...

Kiedy Matelina nareszcie sobie poszła szeleszcząc jedwabiami i pozostawiając za sobą wibrującą aurę częściowo tylko wyartykułowanych plotek, spojrzeliśmy wszyscy na siebie, jak gdyby równocześnie przyszła nam do głowy ta sama myśl. Opat Dufour z niedowierzaniem potrząsnął głową, pani Montvert i jej córka zerknęły na mnie, po czym wszyscy wbiliśmy wzrok w ciocię Pauline. Ona też ubrała naszą myśl w słowa i wypowiedziała ją na głos:

— No, no! — westchnęła. — Gdyby Matelina choć przez chwilę podejrzewała, że Menander jest czymś więcej niż tylko wytworem chorego umysłu Villasse'a, na pewno postarałaby się, żeby uświetnił jej podwieczorek.

Tej jesieni Orlean, zapchany uciekinierami z Paryża, czekał bez tchu na powrót diuka de Guise z południa. Jednakże do mnie niewiele z tego dotarło. Pewnego popołudnia przybył z La Roque najstarszy syn nowego rządcy z wieścią, że Lauretta umiera i muszę natychmiast do niej jechać. Była to ta sama dziwna choroba, która zmiotła Villasse'a w lochu jeszcze przed zakończeniem śledztwa. Cechowały ją straszliwe bóle, konwulsje i tworzące się wszędzie wielkie ciekące pęcherze. Bez chwili wahania dosiadłam ciężkiego roboczego konia i pogalopowałam w zmierzchającym dniu, modląc się, by nie przybyć za późno.

Wkrótce zapadła noc. Jak dziwnie wyglądały drzewa, jak niesamowicie brzmiały krzyki sów... Drogę oświetlała nam jaskrawa połówka

księżycą, którą od czasu do czasu przesłaniała ciemna chmura pchana jesiennym wiatrem. Zwiędłe liście toczyły się w jego podmuchach po wąskiej ubitej drodze. Drzewa wyciągały bezlistne ramiona ku czarnemu niebu. W końcu zamajaczyła przed nami ciemna wieża La Roque. Oczekujący nas z latarnią rządcą pospiesznie otworzył bramę. Dom wyglądał tej nocy jak nawiedzany przez upiory. Stare zbrodnie, ohydne tajemnice i lata smutku splamiły tu każdy kamień, gromadziły się pod okapami dachów, czaiły w drzwiach budynków gospodarczych i spichrzy jak cienie mroczniejsze nawet od nocnego nieba. Jakim cudem mogłam tu kiedyś żyć, rosnać, oddychać?

— Panno Sybillo, jak dobrze, że panienka przyjechała. Ksiądz już jest. Siostra pytała o panią — powitała mnie stara Marta, która stała w progu w koszuli, owinięta szalem, trzymając w ręku świecę.

Pospieszyłam za nią na piętro. Lauretta konała na kanapce w komnacie matki. Mimo półmroku widziałam, że cała pościel splamiona jest żółtawą cieczą sączącą się z otwartych pęcherzy. Leżące na kołdrze dłonie Lauretty zaciskały się konwulsyjnie, palce były tak sine, że prawie czarne. Jęczała z bólu, twarz miała obrzmiałą i zniekształconą. Pochyliła nad nią matka ocierała krew sączącą się z uszu. Serce mi zamarło. Nie żałowałam Villasse'a, poniósł słuszną karę za swoje zbrodnie. Ale Lauretta, śliczna, urocza, choć może trochę złośliwa, z pewnością nie zasłużyła na taki koniec.

— Podejdz bliżej — powiedziała matka. — Bez przerwy powtarza twoje imię, wezwaliśmy cię więc, choć nie mieliśmy pewności, czy dojedziesz na czas.

— Na pewno chce prosić cię o wybaczenie win i pobłogosławić w ostatniej godzinie — wtrącił ksiądz. — Gdy niebiosa są tak blisko, czynimy pokój ze światem, który przyjdzie nam opuścić.

Pochyliłam się nad łóżkiem.

— Sybillo — wyrzęziła Lauretta — to wszystko twoja wina. Zostawiłaś tę broszkę pośród swoich rzeczy specjalnie, żeby mnie otruć. To ty mnie zabiłaś i przeklinam cię ostatnim technieniem, jakie zostało mi w piersi.

Odskokczyłam jak pchnięta sprężyną.

— Broszka była zatruta? Przecież przysłał ją Filip d'Estouville!

— Mój Filip! Ukradłaś mi go, zwabiłaś jedwabnymi sukniemi i pieniędzmi! Moimi pieniędzmi, bo należały się mnie! Teraz już wiem wszystko! — Lauretta usiłowała chwycić mnie za suknię i przyciągnąć bliżej, ale odsunęłam się, sztywna ze zgrozy. — Ciotka Paulina jest moją ciotką, nie twoją! Ty w ogóle nie należysz do

rodziny! Skradłaś moje nazwisko, moje wiano, wszystko! Jakim prawem ocalałaś twarz przed witriolem? Teraz na nią pluje! Tfu!... Pluje na ciebie trucizną, jadem ropuchy, którym odebrałaś mi życie! Cierp i giń, bękaracie!

Lauretta ostatkiem sił uniosła się z posłania. Jej ręce miotaly się konwulsyjnie. Splunęła na mnie krwawą śliną, lecz chybiła.

— Córko, myśl o swej nieśmiertelnej duszy! — zawołał ksiądz, ale oczy Lauretty uciekły w głąb głowy, szyja wygięła się w pałąk, a ramiona gwałtownie uderzały o pościel.

— Ojczy, to nie jej dusza przemawia, tylko złość... jest w agonii... — szepnęła matka.

— Przeklinam... cię... zza grobu... — wybelkotała Lauretta sztywniejącymi wargami i niemal sparaliżowanym językiem.

— To nie moja wina! — zawołałam.

— Nie — szepnęła matka, zgarbiona i szara na twarzy. — To ja jestem temu winna.

— Mamo, nigdy....

— Paulina błagała mnie o ciebie. Nie mogła mieć dzieci... Ale twój ojciec, biedny głupiec, chciał jej zrobić na złość, a ja... ja nie mogłam się z tobą rozstać...

— Mamo, przecież miłość nie jest zbrodnią. Ty nic nie zawiniłaś!

Lauretta straciła zdolność artykułowanej mowy, leżała dławiąc się i rżąc.

— Pani, musimy zaczynać — rzekł ksiądz i gestem nakazał nam podejść bliżej, byśmy mogli asystować przy ostatnim namaszczeniu.

Lauretta była nieprzytomna, oddech wydobywał się z niej w głośnych, urywanych spazmach. Nim skończyliśmy modlitwę za konających, ucichł zupełnie. Izabela i Franciszka, przypatrujące się w milczeniu tej strasznej scenie, uciekły i skuliły się w kącie za łóżkiem matki.

Służące zapaliły świece w głowach i nogach kanapki i zdjęły z umarłej przesiąknięte krwawym potem prześcieradła.

— Nie, nie dotykajcie jej — odezwała się matka. — Sama umyję ciało.

Przyniosły więc mosiężną misę z wodą i postawiły ją na skrzyni obok łóżka. Obok położyły gałgany do mycia, czystą ściereczkę, pasek lnu do podwiązania brody i całun.

— Nie, Sybillo, ty też jej nie dotykaj. Zostawcie ją mnie.

Matka zamknęła niewidzące oczy Lauretty i w milczeniu ujęła długi, gruby warkocz, w jaki na czas choroby spleciono jej włosy. Z czułością rozplotła i zaczęła czesać jasne, pozlepiane pasma.

— Mamo, przysięgam ci, że ja tego nie zrobiłam.

— Nie — odparła matka znużonym głosem. — To nie ty. Brosza była zatruta przez Teobalda Villasse'a i przesłana tobie pod fałszywym pozorem. — Z zastygłą twarzą zdjęła z Lauretty poplamioną koszulę. — Zabierz to i spal — rozkazała służebnej, obmywając szarosine ramiona umarłej. Po chwili dodała: — Była taka piękna... Nie rozumiem, dlaczego nigdy jej nie włożyłaś.

— Uznałam, że skoro przysłał ją Filip, należy się Klaretcie. Ale bałam się, że jeśli oddam jej broszę, pomyśli, że Filip jest jej niewierny, z mojego powodu. Więc po prostu schowałam ją i tyle. Nie mogłam jej włożyć.

Matka otarła gąbką wilgotną, wykrzywioną twarz Lauretty.

— Taka sina... — szepnęła. — Taka zimna... — Na powrót spłotła warkocz i ułożyła go wielkimi złotymi zakolami wokół bezwładnej głowy. — Moja śliczna dziewczynka — powiedziała. — Moja biedna, śliczna dziewczynka.

— Mamo...

— Przywiozłaś tu tę broszę. Lauretta ją włożyła i przez tę jedną chwilę próżności już nie żyje. — W głosie matki słychać było śmiertelne wyczerpanie. Po chwili dodała: — Sybillo, odsuń się ode mnie i wyjdź stąd. Kiedyś cię kochałam, ale teraz nie mogę na ciebie patrzeć. Nie potrafisz cię już kochać.

— Mamo! — krzyknęłam, ale odwróciła się ode mnie ku sinym, sztywnym zwłokom. Jej plecy, zgarbione jak u stuletniej staruszki, zaczęły drżeć od lkań.

Zmrożona jej chłodem, wyszłam przez otwarte drzwi pobladła i odrętwiała niczym duch. Czułam, że za tym wszystkim kryje się Menander. To jego okrutne knowania sprowadziły na nas nieszczęście. Był jak zaraza, jak pajęczyna, która chwytła wszystkie skrywane ludzkie słabości i wady i gmatwa je w jeden wielki supeł. Brama piekieł, jak powiedział Nostradamus. Ale to nie Menander ją stworzył. On tylko ją odnalazł.

Stałam u szczytu schodów ściskając lichtarzyk, niezdolna się poruszyć.

— Musisz modlić się za nie obie — rzekł podchodząc do mnie ksiądz.

— Moja siostra... moja własna siostra mnie przekleła... — wyjąkałam.

— I właśnie dlatego musisz się za nią modlić — odparł starzec.
— Tylko ty możesz ją ocalić.

Otoczający nas mrok zdawał się groźny, pełen czających się złych mocy.

— Jak to? — spytałam.

— Wiem, że jesteś niewinna, i wiem, że twoja matka też nie jest złą kobietą. Tylko żywi mogą modlić się za umarłych. A kiedy skrzywdzeni modlą się za złych, głupich, potępionych, ratują także własne dusze.

Czające się w mroku zło cofnęło się nieco, skryło w kątach.

— Czy to prawda? — Ledwie mogłam mówić] ból przeszywał mi pierś i dławił w gardle.

— Tak mówi nam Pan Bóg. Módl się, módl się bez ustanku.

— Będę się modlić — powiedziałam. — Dziś, teraz, zawsze!

Ciemność wydała mi się mniej nieprzenikniona, płomień świecy jaśniejszy.

— Wiem, że będziesz się modlić— rzekł ksiądz. — A teraz wybac mi, muszę iść z pomocą zagubionym duszom w tej komnacie.

— Kto jest temu winien? Kto pierwszy to rozpętał? — wyrzuciłam z siebie dręczące pytanie. Czy to był Villasse, ojciec, dziadek? Kto pierwszy uległ chciwości i żądzy zemsty, rozpoczynając ciągnący się z pokolenia na pokolenie łańcuch zmarnowanych żywotów i złamanych serc? W oczach księdza widziałam, że rozumie, co mam na myśli.

— To nie jest właściwe pytanie — rzekł miękko. — Właściwe pytanie brzmi: kto położy temu kres?

Tej nocy w ogóle nie spałam. Co jakiś czas przerywałam modlitwy, ocierałam łzy z oczu i mówiłam głośno: ja. Ja położyłam temu kres.

— Sybillo, Sybillo, przyszedł list od Filipa! Został ranny pod Thionville i wraca do zdrowia w Senlis. Czuje się już dobrze i nareszcie jest bezpieczny! Stracił władzę w prawej ręce co najmniej na kilka miesięcy, nie będzie więc mógł wrócić na front! Pisze, że twój brat jest bohaterem! Czy on nie jest cudowny! Załączył słówko dla każdego z nas! — Klaretta wybiegła do drzwi, żeby powitać mnie tą wspaniałą wieścią. Baptysta, który przywiózł mnie z La Roque, pomógł mi zsiąść z Flory. Byłam odrętwiała z rozpacz, a tymczasem Klaretta promieniowała szczęściem. Jak ona może się tak cieszyć, pomyślałam, kiedy mnie serce ciąży jak kamień?

— Klaretto, ciesz się wraz z tobą... — bąknęłam.

— Wiem, że jesteś smutna, to rozumię. Ja płakałam przez kilka dni po stracie mojej małej siostrzyczki. Ale teraz mam na pociechę świadomość, że jest moim aniołem stróżem w niebie, tak jak twoja siostra będzie nim dla ciebie...

Spojrzałam na jej miłą, pyzată, nic nie rozumiejącą buzię i odparłam bez przekonania:

— Masz rację. To bardzo pocieszająca myśl.

— Ojciec przysłał wiadomość, że niewytłumaczalna zwłoka w pochodzie wojsk cesarskich pozwoliła im umocnić mury i sprowadzić więcej broni, i jeśli tylko diuk de Guise zdąży na czas wrócić z armią, Paryż zapewne ocaleje.

— To cudownie, Klaretto.

— Oprócz tego mam dla ciebie miłą wiadomość: ojciec pisze, że w przyszłym tygodniu wysła umyślnego do Genui. Jeśli chcesz podać mu list do Mikołaja...

— Do Mikołaja! Oczywiście, że chcę! Napiszę jeszcze dzisiaj!

— A widzisz? Wiedziałam, że to cię ucieszy. Tak bardzo chciałam bym kiedyś zostać twoją siostrą... Wiem, że nie zastąpię ci Lauretty...

No i chwala Bogu, pomyślałam ze zgrozą. Mikołaj... Gdyby on tu był, wszystko wyglądałoby inaczej. Nagle, wchodząc do domu z Klaretą, uświadomiłam sobie coś niesamowitego: Menander stracił moc. Nie miał siły przenieść się za mną do La Roque. Jego szkatuła nie lśniła już tak jak dawniej, a uszkodzona, naprawiała się bardzo powoli. I czasem — choć może było to tylko złudzenie — kiedy dumał wyjątkowo intensywnie, kuferek robił się jakby przezroczysty. Tak, Menander zdecydowanie słabł. A kiedy całkiem osłabnie... przecież to on był największą przeszkodą na drodze do mojego szczęścia z ukochanym! Gdybyż tylko Mikołaj mógł wrócić do kraju nie ryzykując, że zostanie stracony za udział w pojedynku...

Wieczorem po kolacji wzięłam świecę do sypialni i zaczęłam szukać papieru i pióra. Napiszę do Mikołaja piękny, pełen miłości list. Zamieszczę w nim delikatne aluzje do losu Menandra, które tylko on będzie w stanie zrozumieć. Przetrzęsając biurko natknęłam się pośród czystych kartek na kilka moich najnowszych prób poetyckich, z których zwłaszcza trzy wzbudziły szczery zachwyt wśród pań na dworze. Wyjęłam je na wierzch, myśląc: Po tym koszmarze poezja na pewno dobrze mi zrobi. Zamiast jednak odczuwanej zwykle cieplej satysfakcji wypełniającej mnie od stóp do głów, odniosłam wrażenie, że czytam swoje wypieszczone utwory przez obrzydzące szkła. Jakże były oficjalne, sztywne, zimne, pozbawione ducha! Sklecone z próżności,

by schlebiały ludziom pozbawionym smaku, by schlebiały mnie samej... Na przykład ten o śmierci: „Płaszczu czarnego smutku, okryj mnie...” Było w tym mniej więcej tyle samo uczucia, ile dama dworu mogłaby z siebie wykrzesać po śmierci oswojonej wiewiórki. Albo ten cykl o porach roku, naładowany metaforami i pasterkami — zawsze o imieniu Phyllis. Ohyda! Że też pisałam takie bezsensowne brednie... Jakże niewiele wiedziałam o życiu! Przygnębiona do reszty jeszcze i tą porażką, położyłam głowę na czystej karcie i płakałam dotąd, aż arkusz całkiem nasiąkł łzami.

List. List do Mikołaja. Muszę usiąść i zmusić się do pisania. Wzięłam suchą kartę i zanurzyłam pióro w kałamarzu. Ale sunąc piórem po papierze czułam w głowie dziwny pulsujący ból, w uszach zaś szum krwi. Oczyma duszy widziałam twarz człowieka, do którego należałam cała i bez reszty. „Ukochany, który więzisz me serce...”, napisałam, a potem... właściwie trudno mi określić, co się stało. Kute w srebrze słowa wypływały z głębi mego udreżonego, strzaskanego serca i same z siebie układały się na swoich miejscach. Rym i metrum płynęły naturalnie niczym tętno. Dygotałam w gorączce, pióro pisało jakby prowadzone cudzą ręką. I spod tego pióra wyszedł wiersz — taki wiersz, jakiego nigdy przedtem nie stworzyłam i zapewne nigdy już nie stworzę. Cierpienie i płomień uwięzione na papierze. Ból był tak straszny, jakby wyrywano mi wnętrzności, a po nim przyszło czarne niby śmierć wyczerpanie. Patrzyłam na zapisane słowa nie wierząc własnym oczom.

— Mnie też trudno w to uwierzyć — rozległ się głos znikąd. — Nie sądziłem, że masz to w sobie.

W kącie, wysoko pod sufitem, dojrzałam parę płonących żółtych oczu. Otaczał je prawie niedostrzegalny cień kruczoczarnych skrzydeł. Tu i tam błyskały drobne iskierki.

— Nie mam, panie Anaelu — odparłam, rozpoznałam bowiem przyjaciela proroka Nostradamusa. — To... to było zbyt bolesne, abym mogła to powtórzyć.

— To zwykle bywa bolesne. I jak sama się przekonasz, nie da się tego zrobić na żądanie. Dlatego dworska poezja jest taka płytka.

— Skoro jednak moje utwory cieszą się popularnością na dworze, czemuż bym miała nadal nie być płytka?

— Ponieważ teraz już znasz różnicę. Poza tym stać cię na więcej. Łatwo jest schlebiać dworzanom błahostkami. One ich nie prze-rażają.

— Ja... nie potrafię już być taka jak przedtem.

— A niby po co? Mnie osobiście podobają się twoje dialogi. Ten ostatni był świetny.

— Ale ja nie... To był tylko... Ojej, właśnie przyszło mi coś do głowy...

W mym umyśle zakielkował i krzewił się bujnie nowy projekt.

— Mogłabym napisać kolejny — oznajmiłam. — Co sądzisz o dialogu prowadzonym w czyścicu pomiędzy kilkoma niższymi demonami a wielkimi grzesznikami i kurtyzanami znanymi z historii? Wzorowałabym go na podwieczorkach kuzynki Mateliny. Dostatecznie przypominają czyścicie.

— To mi się podoba! — rzekł duch dziejów. — Jeśli będą ci potrzebne jakieś historyczne szczegóły, z przyjemnością służę pomocą.

— Zgoda! — wykrzyknęłam uradowana i pełna zapału, sięgając po świeżą kartę papieru.

I tak oto napisałam nie tylko jedyny dobry wiersz w swej karierze, ale także bardzo długi list do Mikołaja, a ponadto tegoż wieczoru rozpoczęłam pierwszą część mojej „Biesiady”, która w ciągu pierwszego półrocza miała aż dziesięć nakładów drukiem. Trudno mi powiedzieć, czy był to mój największy sukces, czy też prześcignęły ją kolejne dialogi; w każdym razie okryły one sławą moje nazwisko, a raczej mój literacki pseudonim kawalera de l'Aiguille (w pełni zgodny z prawdą — oznaczał bowiem ni mniej, ni więcej, tylko „Rycerza Igły”). Równocześnie jednak wspominając ów wieczór myślę o nim jak o ostatniej złośliwości Menandra, właśnie wtedy bowiem narodziła się we mnie zdolność odróżniania miernoty od prawdziwej Sztuki — zdolność będąca bardzo kłopotliwą przypadłością, szczególnie u poety.

Było późne styczniowe popołudnie, kiedy ciepło opatulony goniec pojawił się przed Porte du Temple, jedną z ufortyfikowanych bram miejskich Paryża. Z boków zgrzanego konia w mroźnym powietrzu unosiła się para. Goniec pokazał pieczęcie na wiezionym liście i chwilę później gnał już wąskimi uliczkami w stronę Luwru.

Przechodnie otoczyli strażników przy bramie.

— Co się stało? Z czym przybył?

— Diuk de Guise zdobył Calais! Zepchnął Anglików do morza! Goniec nie słyszał radosnej wrzawy — był już w połowie drogi do Les Tournelles.

Blask setek świec sączył się przez wąskie okna, a ciche dźwięki muzyki zamarzały w zimowym zmierzchu, kiedy goniec biegł po szerokich stopniach do zamku. Odbywał się tam właśnie bal weselny

młodszeo syna diuka de Nevers. Król tańczył, lecz gdy długi sznur par ruszył do pawany, przypadkiem obrócił głowę i spostrzegł poruszenie w drzwiach sali.

— Co się stało, Robertet? — zapytał, występując z szeregu. Muzyka umilkła.

— Wasza miłość, diuk de Guise zdobył Calais — odparł królewski sekretarz. Jego słowa błyskawicznie obieżyły salę, budząc radosne ożywienie.

— Calais wzięte? Jak?... Kiedy?...

— Anglicy niczego się nie spodziewali. Gdy mokradła zamarzyły, nasze wojsko przetoczyło po nich armatę i zajęło wysunięty fort. Po dwóch dniach bombardowania zrobili wyłom w murach, a wczoraj angielski komendant poddał twierdzę.

Głos Roberteta utonął w okrzykach, toastach, radosnej paplaninie.

— Niezwyciężone Calais!...

— Ha! To zemsta za Saint-Quentin!

— Maria Tudor jest głupia. Podobno dowódca zamku błagał o posiłki, a ona odpisała, że nie ma zagrożenia...

— Kobiety nie powinny bawić się w wojnę.

— Zepchnąć przeklętników do morza!

Król skinął ręką w stronę galerii dla muzyków. Rozległa się odegrana na trąbce fanfara, a z nią znów zerwały się wiwaty. Któż by się nie cieszył, że ostatnia angielska twierdza we Francji została zdobyta? Ale spośród wszystkich zebranych w sali gości największa, najbardziej nieokielznana radość ogarnęła kardynała Karola Lotaryńskiego. Jego brat Franciszek zwyciężył. Teraz Montmorency nie zdoła już dłużej odwlec zaślubin delfina z Marią Szkoeką, ich krewniaczką. Zdobywając Calais, Gwizjusze nareszcie podbili Francję. Maria wyjdzie za delfina, a gdy delfin obejmie tron, to Maria będzie nim rządzić, wujowie zaś będą rządzić Marią. Podporządkowawszy sobie Francję i Szkocję, ponownie wprowadzą inkwizycję do Anglii...

Pod łożanym, nabrzmiętym śniegowymi chmurami niebem król z delfinem w towarzystwie wysokich dworskich urzędników, księży i oficerów wyjechali z miasta. Kawalkada, za którą ciągnęły wielkie tabory, ruszyła przez wyprany z barw zimowy pejzaż na północ, do Calais, gdzie miał się odbyć triumfalny wjazd ze sztandarami. Następnie król zamierzał nagrodzić swoich dzielnych żołnierzy nadaniami ziem i praw do okupu za znaczniejszych angielskich jeńców. Potem

księży oczyszczą sprofanowaną katedrę i znów zaprowadzą w niej katolicki obrządek.

Za murami Paryża, w Les Tournelles, Katarzyna Medycejska dyktowała odpowiedzi na urzędowe pisma.

— Te petycje mogą poczekać do powrotu mego męża — powiedziała przejrząwszy uważnie kilka okrytych pieczęciami dokumentów i wręczyła je Robertetowi. — Natomiast te pisma proszę wysłać natychmiast.

Urzędowała sprawnie i zdecydowanie, nie zdołała jednak ukryć nutki triumfu brzmiącej w głosie. Król do swego powrotu pozostawił sprawy państwowe w rękach żony. Odkąd ubrana w czerń stanęła przed parlamentem i dramatycznym, acz pełnym godności apelem uzyskała od mieszczan fundusze na wojnę, król darzył ją nie widzianym dotąd szacunkiem i zwracał się do niej o radę w wielu sprawach dotyczących polityki i dyplomacji.

Kiedy sekretarz wycofał się tyłem, zgięty w ukłonie, królowa kazała przywołać swoje damy, aby towarzyszyły jej na codzienną mszę odprawianą w zamkowej kaplicy. Po mszy obiad — niezmienny rytuał toczący się sprawnie jak mechanizm zegara: najpierw herold, potem kuchmistrz z głównym daniem, za nim w równym szyku stolnik, cześnicy, podstoli, dalej orszak wyprężonych jak struny sług i paziów.

Rytuał jest najważniejszy, pomyślała królowa, klęcząc na mszy w otoczeniu dam i pomniejszych dworzan. To porządek i ceremoniał utrzymuje ludzkość w posłuszeństwie wobec Boga — i wobec władcy. Oto tajemnica niewzruszonej władzy: niech rytuał będzie bez skazy, niech nic nie zakłóci ceremonii, wtedy wszystko jest jak należy. Patrząc na uświęcony rytuał wiary rozgrywający się przed jej oczyma pomyślała o innych, demonicznych rytuałach mających miejsce w małej, zamkniętej komnacie, gdzie okiełznywała diabelskie moce. Tam również konieczny był porządek. Właściwy rytuał zmusił w końcu opornego Menandra do działania i proszę, jaki efekt: władza, wpływy, wszystko najbardziej naturalnym trybem... Diuszesa Valentinois pieni się ze złości, kiedy suplikanci biją pokłony przed królową, nie przed nią.

Dzwonek na podniesienie wypełnił serce brzydkiej królowej ciepłym blaskiem. Dzięki ci, Boże, za moje zwycięstwo, pomyślała niezbyt konsekwentnie. Jednak to chyba Bogu powinna dziękować za swój osobisty triumf, albowiem dobre dzieła zawsze pochodzą od Niego, a czyż dopuszczenie do rządów w królestwie osoby tak mądrej i rozważnej jak ona nie było opatrnościowe? Teraz, gdy Bóg okazał jej, że

jest z nią, powinna chyba zerwać konszachty z czarodziejską głową i poświęcić się w wolnym czasie dobrym uczynom, by za ich pomocą odkupić duszę, która nieco zbłądziła...

Dzień jej chwały trwał. Po obiedzie audyencja, potem odpoczynek, ciche rozmowy i książka w otoczeniu dam wyszywających na tamborkach, grających w warcaby albo tryktraka lub zatopionych w lekturze nabożnych dzieł. Po południu wisząca nad wieżami zamku ciemna chmura rozdarła się jak poduszka i zaczęły się z niej sypać pierwsze płatki śniegu. Ale w przytulnej, obwieszanej draperiami komnacie płonął ciepły ogień i serce Katarzyny też wypełniało błogie ciepło. Siedząc na rzeźbionej ławce, z nogami na podnóżku, uniosła głowę znad książki.

— Co tam czyta nasza najjaśniejsza pani? — zapytała diuszesa Valentinois, zaglądając królowej przez ramię.

— Historię Francji — odparła Katarzyna. — I widzę w niej, jak często konkubiny mieszały się do spraw królów tego kraju.

Diuszesa przybladła i w milczeniu stanęła przy oknie, obserwując płatki śniegu coraz liczniej wirujące na zewnątrz. Jej szczupłe upięścienione palce zacisnęły się jak szpony. Byłam głupia, myślała. Wymusiłam na królu tę wojnę przez wzgląd na Gwizjuszy, a jak mi odpłacili? Czarną niewdzięcznością, choć to dzięki mnie wzniesli się tak wysoko. Po cóż mieliby się przejmować kochanką, kiedy mają w rękach następcę tronu? Ciekawe, co będzie, kiedy całkiem przejmą kontrolę nad sprawami państwa?

Jakże prędko zapomina się o przysługach, pomyślała widząc, że królowa znów unosi wzrok znad książki, żeby zamienić parę słów z diuszesa de Guise. Te uśmiechy! Powiedziała o mnie „konkubina”. Patrzcie, jak się przed nią płaszczą! Ale kiedy król wróci, zobaczycie wszyscy, że ja tu jeszcze rządzę.

Zima zasypała drogi i ślub delfina z królową Szkocji trzeba było odłożyć do wiosny, kiedy król i królowa Nawarry będą mogli opuścić swe małe królestwo, aby wziąć udział w uroczystościach. Również emisariusze szkockiego parlamentu mogli wypuścić się w niebezpieczną morską podróż dopiero po zimowych sztormach. Korona królów Szkocji miała wszakże pozostać w kraju, albowiem parlament nie zgodził się jej narażać.

W połowie kwietnia, po przybyciu wysłanników, rozpoczęły się długie i skomplikowane negocjacje, stanowiące wstęp do unii obu królestw. Na pierwszy ogień poszły traktaty przywiezione przez

Szkotów: szesnastoletnia królowa podpisała gwarancje, że Szkocja zachowa swoje stare swobody, i choć ona poślubi następcę tronu Francji, w razie jej bezpotomnej śmierci korona wróci do rąk potomków szkockiej linii panującej. Następnie wzięto inne, tajne umowy, sporządzone przez przyszłego teścia Marii, Henryka, i jej wujów. Maria równie beztrąsko podpisała dokumenty o przeciwnej treści, stwierdzając, że tron Szkocji po wsze czasy przechodzi na własność Henryka Francuskiego i jego następców, że cały dochód ze Szkocji wędrować ma do francuskiego skarbcza, a wszelkie przywileje, przyznane przez Marię stanom szkockim, uznaje się za nieważne, jeśli będą sprzeczne z interesem Francji.

Załatwiwszy się w ten sposób ze Szkocją, można było rozpocząć zrękowiny próżnej rudowłosej panny z brzydkim, anemicznym chłopcem, niezbyt rozgarniętym, lecz za to gotowym całować ziemię, po której stąpała jego narzeczona. Świadkowie podpisania umowy małżeńskiej w obecności króla i królowej, legata papieskiego i niezliczonych dygnitarzy kościelnych, widzieli w tych dwojgu dzieciach czyste tabliczki, gotowe, by inni zapisali na nich swe ambicje. Głupich, próżnych niedorostków łatwo będzie zwieść pochlebstwem, deklaracjami przyjaźni i knutymi za plecami intrygami. Dworskie wilki obliżywały się już łakomie.

Był wczesny ranek dwudziestego pierwszego kwietnia. Grupy gapiów zaczynały się już gromadzić na brukowanym placu przed katedrą Notre-Dame. Skrajem placu jechał na rosłym karoszu bogato odziany mężczyzna ze szpakowatą brodą. Pochylił się z siodła, zwracając się do dwóch dam w otwartej kolebce niesionej przez dwa konie:

— No, moje drogie panie, nacieszcie oczy! Z pewnością już nigdy w życiu nie zobaczycie drugiego tak kosztownego weseliska.

Jedną z dam była monstrualnie tęga niewiasta w dziwacznym czepcu i gęstym welonie, mającym najwyraźniej zapobiec temu, by jakiś zbłąkany promień żarzącej się na nieboskłonnie kuli dotknął jej cery. Druga była wysoka i szczupła, miała orli nos i twarz bystrą, choć nacechowaną smutkiem. Obok kolebki za ubranym w liberię lokajem jechała na końskim grzbiecie blada, ciemnowłosa dziewczyna, w której oczach płonął romantyczny blask. Wesele — czy może być coś piękniejszego?

Cieśle zbudowali na placu katedralnym nakrytą lukiem platformę, którą wieńczono teraz festonami winorośli. Robotnicy ustawiali

właśnie baldachim z niebieskiego aksamitu haftowanego w złote lilie z naszytymi herbami nowego króla Szkocji i jego małżonki.

— Ojczy, czy ty zawsze musisz mówić o pieniądzach? — odezwała się ciemnowłosa dziewczyna. — Król na pewno nie liczy się z kosztami, kiedy idzie o królewskie wesele.

— To wszystko pozór i ostentacja. Król ciulał grosz do grosza na to widowisko, odkąd w styczniu zwołał Stany Generalne. Bankierzy z Lyonu powiedzieli, że nie pożyczą mu już ani talara, musiał więc wycisnąć pieniądze z mieszczan.

— Tanie wesele oznaczałoby, że nie ma już funduszy na prowadzenie wojny — przytaknęła tęga dama z kolebki. — Wtedy król Filip zdwoiłby wysiłki. Pamiętaj, Sybillo, nigdy nie należy oszczędzać na pozorach — dodała zwracając się do swej towarzyszki.

— Wynająłem okno, z którego będziemy oglądać orszak weselny, o, tam. — Brodaty mężczyzna wskazał ręką w górę. — Będziecie panie miały znakomity widok.

— Za nic nie chciałabym niczego przeoczyć — powiedziała tęga dama, poprawiając welon.

Nim usadowili się w wynajętym oknie, tłum tak szczelnie wypełnił plac przed katedrą, że pikinierzy musieli siłą otworzyć przejście dla weselnego orszaku.

Głos trąb dobiegający z okien biskupiego pałacu obwieścił, że orszak wyruszył już do katedry. Towarzyszyły mu radosne wiwaty tłumu, aż w końcu ukazał się na placu.

Na przedzie szły dziesiątki muzykantów odzianych w czerwono-zółte kubraki i nogawice — najpierw bębny i trąbki, za nimi rogi, flazolety, wiole, gitary i cytry. Podniecenie tłumu wzrosło na widok stu wysoko urodzonych panów z królewskiego domu we wspaniałych, podbitych jedwabiem płaszczach, sukniach z ciężkich materii, brokatowych kaftanach, jaskrawych bufiastych spodniach usztywnionych końskim włosiem i haftem. Skrzyły się złote łańcuchy, wysadzone klejnotami brosze przytrzymujące pęki piór na beretach, haftowane złotą i srebrną nicią podwiązki. Gwar potężniał: Patrzenie, to pan de Vieilleville! A to Nevers! Patrzenie na ten wielki złoty medalion!

Następni szli lordowie i księżęta Kościoła — opaci, biskupi i arcybiskupi, a za nimi kardynałowie budzący podziw i cześć w purpurowych szatach i graniastych kapeluszach. Za nimi podążał wolnym krokiem kardynał Trivulzio, legat Stolicy Apostolskiej, poprzedzany

przez dwóch mnichów niosących wielki krzyż i pastorał z litego złota.

— Jest delfin! Pan młody! — krzyczeli gapie. Stłoczeni ludzie wychylali się z okien, żeby lepiej widzieć.

— A ten obok niego? Ach, to król Nawarry!

Pani Montvert, przechylona przez parapet, nareszcie miała okazję ujrzeć pierworodnego syna i następcę króla Henryka.

— Mały jest jak na piętnaście lat — orzekła z rozczarowaniem.

— Jeszcze urośnie — pocieszył ją mąż. — Mówi się, że ma kiedyś zostać wielkim królem. Podobno sam Nostradamus mu to przepowiedział.

— Patrzcie, panna młoda! — zawołała podniecona Klaretta. — Jaką ma piękną suknię! A tam król! Zupełnie taki sam jak na mone-tach!

Pomiędzy szpalerem gwardzistów szła na mszę ślubną Maria, królowa Szkocji, prowadzona przez króla i diuka de Guise — bohatera ostatniej wojny, zdobywcę Calais, pogromcę Anglików i zbawcę Francji. Na ich widok nieco anemiczne okrzyki na cześć delfina nabrały mocy i zahuczały jak grzmot:

— „Niech żyje król! Niech żyje diuk! Niech żyje! Niech żyje!”

Jakaż piękna była szesnastoletnia narzeczoną! Wysoka, smukła, białoróżowa... „Niech żyje!” — krzyczał tłum. Szata Marii sama w sobie była cudem, o którym długo jeszcze opowiadano wieczorami przy kominkach: srebrnolita materia wysadzana była drogimi kamieniami i okryta płaszczem z fioletowego aksamitu wyszywanego złotem. Na złotorudych włosach panna młoda miała złotą koronę zdobioną perłami, brylantami, rubinami, szafirami i szmaragdami; w jej środku tkwił wielki karbunkuł, którego wartość oceniano na pięć tysięcy liwrów. Za Marią szły majestatycznym krokiem królowa Francji i królowa Nawarry.

— Niech żyją trzy królowe! Niech żyją! — krzyczał tłum.

W drzwiach katedry król Henryk zdjął z palca pierścień i wręczył go kardynałowi, który zaślubił dwoje młodych pod złocistym baldachimem przed katedrą. Następnie małżonkowie wraz z orszakiem weselnym weszli do środka na mszę. Heroldowie zaczęli rozrzucać naokoło srebrne i złote monety, a ludzie łapali je z krzykiem:

— *Largesse! Largesse!*

Patrzac, jak tratują się nawzajem w ciżbie wypełniającej szczerlnie plac katedralny, pan Montvert zauważył:

— Wolę oglądać takie uroczystości z okna. Nigdy nie wiadomo, co się może stać, jeśli taki tłum zgromadzi się w jednym miejscu.

Co rzekłszy, kazał podać posiłek: kapłona na zimno, pularde, pieczoną szynkę, trzy gatunki wina i rozmaite konfitury.

— Tłok wewnątrz, tłok na zewnątrz... Lepiej trzymać się z dala — mruknęła pani Tournet, odkrawając plaster szynki.

— To prawda — rzekł pan Montvert, głaszcząc brodę. — Choć często człowiek wbrew samemu sobie daje się na to zwabić. Lubią zapelniać nam czas. Pewnie myślą, że tak jest bezpieczniej.

Nikt w komnacie nie wiedział, czy bankier ma na myśli wojny, świeżo rozgorzałą walkę o wpływy, czy też coś zupełnie innego.

Sześć miesięcy później, w czasie gdy trwały pertraktacje pokojowe z królem Filipem Hiszpańskim, królowa Anglii Maria, pokonana, bezpłodna i chora na wodną puchlinę, położyła się do wielkiego reprezentacyjnego łóża, by już z niego nie wstać. Otoczona medykami, księżmi i łkającymi damami dworu, z trudem łapała powietrze, a z każdym ciężkim oddechem uchodziła z niej odrobina życia. W końcu, nim jeszcze przebrzmiała ostatnia modlitwa o zbawienie jej duszy, powiedziała coś tak cicho, że medyk musiał przytknąć ucho do jej ust.

— Kiedy umrę, otwórzcie moje serce — szepnęła. — Znajdziecie w nim wypisane słowo „Calais”.

Gdy posłańcy zza Kanału wreszcie przybyli do Luwru, król Henryk osobiście pofatygował się do komnat swojej nastoletniej synowej, aby jej donieść, iż jest teraz prawowitą królową Anglii. Delfin i jego żona natychmiast umieścili na swych herbach angielskie godło czekając, aż będą mogli objąć tron.

W dalekim Eskurialu król Filip również otrzymał wieść o śmierci swojej starej, bezpłodnej angielskiej żony. Usiadłszy przy wielkim biurku, zza którego rządził połową świata, napisał i starannie zapieczętował list. Nazajutrz ambasadorowie wyruszyli do Paryża. Przesłanie, jakie wieźli, brzmiało: Król Hiszpanii Filip pragnie przypieczętować pokój z Francją ożenkiem z małą Elżbietą de Valois, czternastoletnią córką jego wysokości Henryka.

— To aż nieprzyzwoite, jak oni na siebie patrzą — rzekł pan Damville, spozierając na świeżo poślubionych małżonków siedzących na podwyższeniu u szczytu stołu w paradnej sali Hôtel Montvert. Liczni słudzy dolewali wina i wnosili coraz to nowe egzotyczne dania na długie stoły. Ozdobne czepece zameńnych niewiast

przeplatały się z wytwornymi kapeluszami i beretami panów, w powietrzu dźwięczały rozmowy i muzyka dobiegająca z galerii. Było to niewątpliwie pamiętne weselisko, aczkolwiek — jak nie bez ironii podkreślali wyżej urodzeni goście — ciut przesadne jak na człowieka trzeciego stanu, zwłaszcza gdy wiele najlepszych rodzin zbankrutowało w czasie ostatniej wojny.

— Tak, małżeństw nie należy zawierać z miłości, która z trudem przetrwa najwyżej tydzień po ceremonii ślubnej — przytaknął sąsiad Damville'a. — Należy mieć na względzie korzyści dla obu rodzin, bo to jest rzecz trwała.

Drobna panna młoda o czarnych włosach i zaróżowionych policzkach kroić mięso dla męża, którego prawe ramię wisiało bezwładnie na czarnym jedwabnym temblaku.

— Nie przyjąłbym zaproszenia, gdybym się nie dowiedział, że będzie tu szlachetny pan de Vieilleville. — Gość obrzucił spojrzeniem bogato umeblowaną salę, ciężkie srebra stołowe, cenne obrazy, złożone boazerie, wiszące wszędzie girlandy i festony i skrzywił nos, jak gdyby poczuł przykry zapach.

— Cóż, w końcu jest jego wujem. W dzisiejszych czasach nawet najlepsza krew korzy się przed bankierami — odparł drugi, nabijając na czubek noża *pomme dorée*, korzenną kulkę mięsną obtoczoną w szafranie i zielu nagietka.

— Podobno wyraził zgodę na ślub dopiero wtedy, gdy wiano podwyższono do dwustu tysięcy. — Jego towarzysz odłożył skrzydło bażanta, aby popić je winem z ciężkiego srebrnego puchara, z którego korzystali na zmianę.

— Słusznie. A te wszystkie łaski i tytuły, jakich król nie szczędzi bankierom...

— Biragues, Gondi... do czego to dojdzie? I kiedy to się skończy?

— Nie wcześniej, nim spłacimy dług wojenny... a potem oczywiście ten, który król zaciągnął na koszty ślubu z Hiszpanią. Złe to czasy, gdy lichwiarze stają się szlachcicami prędzej, niżli z larw lęgną się muchy.

— Musisz jednak przyznać, panie, że ten miłosny związek spełnia wymagania przyzwoitego ożenku: d'Estouville poprawił stan swoich finansów, a ten Montvert jeszcze ściślej związał się z tronem Francji.

— Jednakowoż powinni się wstydzić. Spójrz, panie, jak on się do niej uśmiecha. Twierdzi, że do bohaterskich czynów pod Thionville natchnęła go miłość do niej. Toż to niesłychane: ponoć nie była nawet

jego kochanką. Jak można nosić barwy córki bankiera? O, znowu toast... Pijmy za to, by żyli długo i szczęśliwie! — Z radosnym okrzykiem goście unieśli kielichy.

Kiedy biesiadnicy odprowadzili nowożeńców do łoża, by móc później zaświadczyć o skonsumowaniu małżeństwa, matka panny młodej wdała się w rozmowę z wysoką, nieco melancholijną młodą damą w czerni.

— Och, moja droga, jakże będę szczęśliwa widząc ciebie i Mikołaja przed ołtarzem. Mój syn powinien się już ustatkować — mówiła pani Montvert.

Młoda dama westchnęła.

— Nie wiem, czy to będzie możliwe.

— Nigdy nie lekceważ mądrości mego drogiego pana Montvert — rzekła z dumą starsza pani. — Zważywszy jego obecne koligacje, ma nadzieję wyprosić u króla łaskę dla Mikołaja, żeby chłopiec mógł wreszcie wrócić do kraju. Parę dukatów tu, parę tam... i inni go poprą. Pertraktacje pokojowe idą dobrze, a wieść niesie, że niedługo znów będzie królewskie wesele. Najjaśniejszy pan może ogłosić powszechne ulaskawienie, a tak czy owak pan Montvert planuje wtedy się do niego zwrócić. Tylko nie zdradz mu, że ci o tym mówiłam; uwielbia robić niespodzianki. A skoro to... hm, to c o ś w kuferku wydaje się nie stanowić już problemu, mój małżonek wyzbył się obiekcji co do waszych małżeńskich planów. Zresztą sama wiesz, moja droga, że żywi wielki szacunek do ciebie i twojej ciotki...

Stojący bliżej goście mogli byli spostrzec zdumiewającą przemianę, jaka zaszła na twarzy melancholijnej panny. Rumieniec wrócił jej na policzki, a emanująca z niej radość była niemal namacalna.

ROZDZIAŁ XXI

Królowie mają już taki zwyczaj, że im mniej chwalebny traktat, tym wspanialsze towarzyszą mu uroczystości. Tym razem szykowały się wyjątkowo wspaniałe: podwójny ślub i wielkie publiczne festyny. Córka królewska Elżbieta miała w osobie przybyłego z Hiszpanii pełnomocnika poślubić dawnego wroga, Filipa Hiszpańskiego, wędnąca zaś w staropanieństwie siostra króla miała oddać rękę diukowi Sabaudii. Robotnicy, tkacze, malarze, cieśle pracowali dzień i noc, by na ów wielki dzień przeistoczyć cały Paryż w wielką salę balową. Wzdłuż trasy przemarszu orszaków wisiały proporce, z katedralnego skarbcza wyjęto kosztowności, które miały przyozdobić wnętrze świątyni, a ponieważ uznano, iż pole turniejowe w Luwrze, a nawet to w Les Tournelles będzie za małe, by pomieścić rzeszę dostojników i wysoko urodzonych gości, biegnącą przed pałacem szeroką rue Saint-Antoine zmieniono w wielkie szranki na weselny turniej. Wzniesiono ozdobną trybunę dla wielkich dam i dostojnych gości. Każde okno przy ulicy zostało zarezerwowane i wynajęte za brzęczącą monetę — ba, niektórzy pozbawieni skrupułów właściciele domów sprzedawali miejsca dwukrotnie! Kilka dni zabaw, festynów, turniejów, darmowych poczęstunków — któż nie byłby tym uszczęśliwiony? Najszczęśliwsi zaś byli ci włoscy bankierzy, którzy udzielili królowi wysoko oprocentowanych pożyczek, albowiem królestwo zostało doprowadzone prawie do bankructwa niedawną wojną z Filipem, a pokój oznaczał, że kto wie, być może odzyskają swoje pieniądze.

Pan Montvert siedział w naszym salonie, jadł ciasteczka ze srebrnej tacy i rozprawiał o zyskach z zainwestowanych fundusików powierzonych mu przez ciocię.

— Kapitał się podwoił, moje drogie, podwoił. Taką inwestycję poleciłbym własnej matce, gdyby jeszcze żyła. Teraz pytanie brzmi tylko, czy chce droga pani inwestować ponownie, rozbić pulę na różne inne inwestycje, czy też od razu wyciągnąć zyski.

Ze ścian patrzyło na nas kilka dużych, drogich malowideł o treści religijnej. Ciocia Paulina w szale zdobniczym (spowodowanym gwałtownym przyływem gotówki) kazała oprawić w złocene ramy nie tylko obrazy, ale też szafy i w ogóle wszystko, co się nie ruszało.

— Ile mamy czasu, drogi panie Montvert?

— Statek wypływa w przyszłym miesiącu, ale zdążymy jeszcze zainwestować w ładunek. Nie doradzam jednak, by wkładać wszystko...

— Istotnie — zachichotała ciocia. — Po morzach grasują przecież piraci.

— Mam dla was miłą niespodziankę — podjął pan Montvert. — Wynająłem pokój z dwoma wielkimi oknami tuż naprzeciw placu turniejowego. Byłbym zaszczycony, gdybyście z twoją bratanicą zechciały razem z nami obejrzeć wielki turniej. Mój nowy zięć będzie służył swemu wujowi jako giermek. To wielki zaszczyt, rozumie się. — Montvert miał bardzo zadowoloną minę. — Kto wie, panno Sybillo, może znajdziesz tam inspirację dla nowego poematu, który znów wzbudzi zachwyty na dworze?

— Z przyjemnością skorzystamy z zaproszenia — powiedziała ciocia. — Sybilla potrzebuje rozrywek, inaczej na śmierć zatęskni się za Mikołajem.

— Bądź dzielna, moja droga, miłość zwycięży. Zagadnąłem już królewskiego majordomusa o możliwość wykupienia mu ułaskawienia, ale to delikatna sprawa, same panie rozumieją. Tymczasem przynajmniej uczy się zawodu. Mam nadzieję, że będzie mi podporą w interesach.

— Gdyby nie królowa, natychmiast pofrunęłabym do niego — oznajmiłam posepnie. — Poszłabym za nim boso na kraj świata. Czy nie moglibyście mi pomóc w ucieczce?

— Nie połączysz się z nim, jeżeli sama zginiesz, a my wszyscy wraz z tobą. Widzisz, jeśli ten kuferek nadal będzie się ciebie trzymać, tylko królowa może ochronić cię przed ludźmi, którzy zapragną go zdobyć. Z kolei tylko Menander i strach, że wypowiesz własne życzenie, chroni cię przed królową. Miejmy nadzieję, iż nigdy się nie dowie, że Menander nie ma chwilowo czasu ani sił na dalsze podle knowania. Wtedy znalazłabyś się w jeszcze gorszych opałach. Chcąc

ukryć własne zaangażowanie w tych diabelskich sprawkach mogłaby... hm... obawiam się, że nie wyszłoby ci to na zdrowie. Florentyńczycy, moja droga, są mściwi i znakomicie umieją chronić swe tajemnice. Wierz mi, sam jestem jednym z nich.

— Twój umysł, drogi panie Montvert, przypomina dobrze naoliwiony zegar. Niczego nie przeoczysz. Może jeszcze ciasteczko?

— ciocia zapraszającym gestem wskazała tacę.

— Pyszne! — rzekł bankier i podniósł do ust kolejne ciastko.

— Jedz, moja droga, musisz się posilić, żebyś całkiem nie zmarła. W tym niezręcznym położeniu potrzebna ci będzie siła ducha i umysłu. Ha! I pomyśleć, że tak cię nie doceniałem! — Pan Montvert przerwał, zjadł ostatnie ciasteczko i strzepnął okruszki, które spadły mu na kolana. — Ale choć niezmiernym szczęściem napełnia mnie odkrycie, że obie panie jesteście uczciwymi kobietami, które w niczym nie sprzeniewierzyły się swej szlachetnej krwi, sama musisz przyznać, moja droga, że prawdziwa przeszkoda na drodze do twego małżeńskiego szczęścia z moim synem jest o wiele bardziej bulwersująca i trudna do przewyciężenia, niż to zwykle bywa. Po pierwsze, jesteś posiadaczką tej diabolicznej skrzynki, co u przyszłej synowej nie stanowi zalety. Bałem się, że nie zdołasz się wyzwolić od jej szatańskiego wpływu. Teraz gdy sprawa skrzynki jest już załatwiona, w jeszcze większym niebezpieczeństwie stawia cię to, że znasz tajemnice królowej. Możesz oczywiście zatrzymać skrzynkę, która budzi lęk, jak również zdumiewającą pożądlivość w kręgach ludzi gotowych od ręki pozbyć się duszy. Jeśli wszakże ją zatrzymasz, owi ludzie bez przerwy będą ci zagrażać. Ot i kłopot! Chyba bardziej złożony niż intrygi samego Menandra! Trudno mi wyobrazić sobie korzystne wyjście, chyba że uciekniesz gdzieś, gdzie agenci królowej cię nie dosięgną, skrzynkę zaś zakopiesz po drodze w nieznanym miejscu. Tylko czy możemy być pewni, że straciła zdolność posuwania się za tobą? Kłopot goni kłopot... Trzeba będzie zaczekać, aż Los sam wskaże nam wyjście z tej matni.

— Królowa Hiszpanii! Moje najdroższe marzenie nareszcie się spełnia! Marzyłam o koronach dla wszystkich dzieci i proszę! Elżbieta zasiada na tronie będąc dokładnie w tym samym wieku, w którym ja przybyłam do Francji!

Pośród balów, maskarad i festynów Katarzyna Medycejska czule piastowała wspomnienie, które na zawsze wyryło się w jej sercu: Elżbieta w sukni sztywnej od klejnotów stoi w centrum wielkiej

katedry, a legat papieski nakłada na jej małą główkę ciężką cesarską koronę Hiszpanii. Obok pełnomocnik króla Filipa — książe Alba z długą rozwidloną brodą; sztywna koronkowa kryza okala jego wąską, zimną twarz. Wokół najlepszy kwiat francuskiej szlachty, potomkowie rodów tak starych, że ich początki giną w pomroce dziejów, wszyscy zaś kornie chylą głowy przed jej córeczką, jej Elżbietką, jej królową! Królową imperium hiszpańskiego, największego w dziejach. Królową dwóch kontynentów, dwóch światów, wschodu i zachodu... Dobrze tak diuszecie Valentinois za jej fałszywą życzliwość i jawne obelgi. Nie udało jej się wydać córki nawet za księcia krwi. Moja córka jest koronowaną cesarzową.

— To twoje i jej przeznaczenie, najjaśniejsza pani. Dzięki tobie ród Walezjuszy kroczy od chwały do chwały.

Podczas gdy służebna dociągała sznurówki gorsetu królowej, pani Gondi wyjęła z zamykanej na klucz szafy lamowane złotem halki, a pani Alamanni wysadzaną drogimi kamieniami suknię, w której królowa miała wystąpić na balu maskowym. Nazajutrz szykowano największe wydarzenie przed wyjazdem Elżbiety do Toledo: rycerski Turniej Trzech Królowych. A potem... potem pozostanie jej już tylko to wspomnienie.

— Ile trosk i zabiegów... a wszystko w tajemnicy! Ale cóż, matka z radością poświęca się dla dziecka. Wiem, jak bardzo będę za nią tęsknić. Jest taka bystra, taka mądra, choć ma dopiero czternaście lat! Jest moją dumą, radością... ale los królowych jest inny niż los zwykłych ludzi — westchnęła Katarzyna.

Spośród wszystkich dzieci właśnie Elżbieta była jej najmilszą, prawdziwą przyjaciółką, jej ulubioną córeczką. Tylko ona jedna nie była skażona, kaleka ani ograniczona na umyśle. Miała bystre spojrzenie, ładną cerę, cechowała ją żywa inteligencja, takt, lecz zarazem naturalność. Ileż trosk i wysiłku kosztowało Katarzynę utrzymanie jej przy życiu, gdy była mała! I jakimże rzadkim, jakim cennym skarbem była taka córka! Teraz obie będą tronować. Od dziś przy każdym spotkaniu Elżbieta będzie zasiadać po jej prawicy — tak jak na jutrzejszym Turnieju Trzech Królowych, mającym uwieńczyć uroczystości weselne.

Katarzyna drżała ze szczęścia. Po lewej stronie będzie miała swoją opryskliwą synową, żonę następcy tronu i królową Szkocji. Też mi królowa — władczyni połowy zatęchłej wysepki, która latami będzie jeszcze czekać w pokorze, nim zajmie we Francji miejsce Katarzyny, gdy tymczasem Elżbieta, jej Elżbietką jest królową Hiszpanii i

największego imperium na świecie! Tak, Mario, możesz sobie szeptać pod nosem złośliwości o „córce kupczyka”, ale dziś moja córka jest królową Hiszpanii!

Pomiędzy damami dworu, służebnymi, halkami i szkatułkami z biżuterią przeciskał się paź w jedwabnej liberii, patykowaty dwunastoletni syn wielkiego rodu. Królowa odwróciła się ku niemu tak skwapliwie, że przypinająca jej kryzę służebna omal jej nie ukuła.

— I co rzekł mój królewski małżonek, kiedy doręczono mu moje barwy na jutrzejszy turniej?

— Najjaśniejsza pani... — Paź był straszliwie zdenerwowany, imitujący się głos łamał mu się na przemian to wysokimi, to niskimi tonami. — Jego wysokość król powiedział, że... że... że wystąpi w barwach diuszesy Valentinois...

— Dziękuję, możesz odejść — powiedziała Katarzyna lodowatym tonem.

Jej radość i duma stężyły na kamień, zimny i ciężki jak płyta grobowca. Nawet i ten moment chwały został zatruty przez diuszesę Valentinois. Jak długo jeszcze ma czekać na spełnienie pierwszego życzenia?

W królewskich stajniach w Les Tournelles armia kowali, stajenych i pachółków mozoliła się bez ustanku od świtu do zmierzchu przez cały miniony tydzień. Ryk lwa w menażerii i krzyki pawi mieszały się z odgłosami kucia koni, brzękiem dopasowywanych zbroi turniejowych, pokrzykiwaniami sług, którzy rozganiaли zapracowanych rzemieślników, prowadząc do boksu któregoś z olbrzymich, pełnych ognia bojowych ogierów. Następnie trzeba było zwierzę wyszczotkować, nieco przystrzyc i zapleść grzywę, wycesać sierść i wypolerować kopyta — po wszystkich tych zabiegach turniejowy rumak błyszczał jak świeżo odlany z brązu. Wózki z owsem, chłopcy dźwigający wiadra z wodą, siodlarze niosący nowe, lśniące srebrnymi zdobieniami uprzęże wymijali się w pośpiechu, w stajniach panował nieustanny ruch i gwar. Część gości sprowadziła na turniej własne konie, wszyscy zaś przywieźli swoje zbroje, tarcze i służbę, którą też trzeba było gdzieś ulokować.

— Czy król będzie występował na Zwycięzcy? — zagadnął stajenny trenera królewskich koni.

— Nie, nie chce gnidosza ani bułanka. Przywdzieje czerń i biel na cześć diuszesy Valentinois, zażądał więc karego konia. Przygotujcie

tego, którego przywiózł diuk Sabaudii. Wabi się Nieszczęsny. Jest w ostatnim boksie. I trzymajcie w pogotowiu Buntownika.

Chłopiec wyprowadził z boksu wielkiego tureckiego ogiera, którego podarował królowi przyszły szwagier, i przywiązał go między dwoma słupami. Dwóch stajennych zaczęło szcztokować wielkiego karosza na wysoki połysk, a masztalerz osobiście zajął się delikatnym zadaniem wypolerowania każdego z wielkich kopyt rumaka. Pogwizdywał cicho przy pracy. Stajnie są co prawda niskie, ale nazajutrz będzie stąd miał świetny widok.

Tej nocy Katarzyna Medycejska, królowa Francji, zaklinaczka-amatorka i początkująca adeptka czarnej magii, obudziła się z krzykiem. Było późno, skwierczące pochodnie w ciemnych korytarzach Luwru wypaliły się już niemal do końca. Kuszniak stojący na półpiętrze schodów pod apartamentami królowej posłyszał jakiś dźwięk, uznał jednak, że to kot albo zbłąkany przeciąg.

Pościel była zmięta i mokra od potu; królowej wydawało się, że nagle spadła z wielkiej wysokości. W mroku pod wysokim baldachimem czaiły się koszmary, a wśród nich dźwięczał chrypliwy, metaliczny śmiech istoty martwej i gnijącej od wieków. *Twoje życzenie dziś się spełni, wielka królowo. Czas objawi ci prawdę* — szepnął głos podobny do szelestu zeschniętych liści. Katarzyna wciąż miała przed oczyma wizję, która wyrwała ją ze snu i nie dała się przepędzić: król, jej małżonek, leżał martwy w kałuży krwi lejącej się strumieniem z wykłutego oka. Usta miał otwarte, na twarzy wyraz zaskoczenia i zgrozy.

— Nie, Boże, przecież nie tego chciałam! — wyszeptwała, a może tylko pomyślała królowa.

Właśnie tego i nie tylko tego — rzekł złowieszczy, szeleszczący głos. — *Na zawsze odjąłem Dianie de Poitiers, diuszecie Valentinois, wpływ na króla, jak mi rozkazałaś.*

— Co się stało, najjaśniejsza pani? — służebna śpiąca na sienniku u stóp łoża Katarzyny owinęła się prześcieradłem, podbiegła i uchyliła zasłonę łóżka. Twarz królowej zastygła w maskę zgrozy, wzniesione w górę oczy utkwione miała w jednym niewidzialnym punkcie.

Królowa widziała przed sobą pałace, ogniste litery:

Młody lew pokona starego lwa

w pojedynku...

W pojedynku. Nie na wojnie, lecz w pojedynku. Król bierze jutro udział w turnieju. Oby tylko nie potykał się z człowiekiem, który ma

lwa w herbie. Nie dopuść do tego, Mario, Matko Boża, przebac mi, ochroń go, zachowaj...

Juz za późno — szepnął głos.

Służebna zobaczyła, że usta królowej poruszają się w modlitwie. Cichutko opuściła zasłonę i wróciła na posłanie. Tej nocy jednak nie zdołała już usnąć.

Dzień był słoneczny i przejrzysty, rozradowane tłumy zajęły każde dostępne okno i dach przy rue Saint-Antoine, gdzie nierówny bruk został pokryty gładko ubitą ziemią i ustawiono jaskrawo malowane szranki. Z każdej iglicy Les Tournelles powiewały nowe haftowane jedwabne proporce. Trybuna dla pań, osłonięta baldachimem i obwieszona draperiami, skrzyła się od kolorowych sukien i klejnotów. W samym środku na honorowych miejscach siedziały trzy królowe, jedna bardziej błyszcząca od drugiej.

Chyba tylko jeden człowiek w Paryżu był dziś rozgoryczony i zły, choć pokrywał swoją złość maską jeszcze bardziej nieprzeniknioną niż ta, którą blada, nalana królowa Francji pokrywała swój strach. Był nim angielski ambasador. Siedząc na trybunie zarezerwowanej dla dostojników zagranicznych i kościelnych, widział, że nie tylko tarcze herbowe delfina i jego żony, lecz także każdy proporzec, każdy haft na rękawie herolda — słowem, każdy królewski herb francuski w zasięgu oka — mieści w sobie godło Anglii. Trudno o wyraźniejszą deklarację wojny na śmierć i życie pomiędzy Marią, katolicką królową Szkocji, a Elżbietą Tudor, młodą protestancką królową Anglii. Francuzi jednak patrzyli na to inaczej. Nieuchronny triumf katolickiego przymierza był wyrazem woli Boga wiodącego Francję ku chwale. A że ambasadorowi się to nie podoba... Ambasador uzurpatorki, bękarta, córki rozwiedzionego króla nie ma prawa się uskarżać.

Katarzyna Medycejska była szara na twarzy. Kiedy trąby heroldów obwieściły pojawienie się króla w szrankach, zacisnęła dłonie tak kurczowo, że knykcie jej zbieleły. Czy otrzymał liścik, który mu posłała? „Miałam sen” — pisała. — „Nie bierz dziś udziału w potyczkach. Pamiętaj, co mówili Guaric i Nostradamus. Masz czterdzieści jeden lat.”

Król w staroświeckiej czarno-białej tunice, narzuconej na złoconą turniejową zbroję, zatrzymał się przy końcu szranków i nachylił z wysokiego siodła, żeby wziąć do ręki list.

— Przesady — rzekł, mnąc kartkę i rzucając ją na ziemię. — Czy ona ma mnie za głupca? Król nie zmienia zdania, skoro raz już je obwieścił.

Powiedz mej królewskiej małżonce, że będę dziś się potykał i zwyciężę — rzekł do pazia.

Giermek podał mu kopię. Henryk błyskając zbroją i powiewając piórami objechał szranki, żeby wszyscy mogli go zobaczyć, a zachwycony tłum nagrodził go owacjami. Nie jestem taki stary, pomyślał. Ani taki znów gruby. Mogę jeszcze pokazać dwudziestolatkom, na co mnie stać.

Opuścił złożoną przyłbicę i na dany znak dźgnął konia ostrogą. Dwaj jeźdźcy zderzyli się z hałasem — kopia Henryka pękła, ale jego przeciwnik został wysadzony z siodła. Zagrzmiały okrzyki i oklaski. Król Francji wciąż był najdzielniejszym rycerzem. Czy Filip Hiszpański, ten trzęsący się starzec, dokonałby podobnej rzeczy? Henryk widział, jak Diana macha do niego z trybuny białą chusteczką. Jego żona, blada i sztywna, nawet się nie uśmiechnęła. Ile lat jeszcze będzie musiał się męczyć z tą grubą, przesadną włoską kupczykówną?

Ponownie dźwięk trąb i ponownie zwycięstwo. Niech książę Alba powróci do swego pana, który siedzi pod pierzyną w Eskurialu, i powie mu, że król Francji wciąż dzierży palmę pierwszeństwa pomiędzy rycerstwem. Wielki kary rumak był już okryty potem; długi haftowany czarno-biały czaprak lepił mu się do boków. Trzecie i ostatnie starcie — tym razem stawał przeciw niemu kapitan jego własnej szkockiej gwardii, zaledwie dwudziestoparoletni. Oto godna króla wygrana!

Kiedy herold zapowiedział Montgomery'ego i Szkot objechał szranki, wargi królowej zbiełały. Oficer, jadący na gniadym rumaku z królewskich stajni, trzymał na lewym ramieniu tarczę z wymalowanym herbem, na tarczy zaś widniał ogniście czerwony lew. Młody lew, rozległo się w mózgu królowej. Oto jedzie śmierć.

Trzecie, ostatnie przewidziane regulami turnieju starcie miało zakończyć występ króla Henryka. Maryjo, Królowo Niebios, ocal go, modliła się Katarzyna, gdy dwaj ciężkozbrojni jeźdźcy runęli ku sobie przez długość szranków. Zetknęli się z grzmiącym trzaskiem. Montgomery pewnie utrzymał się w siodle, król się zachwiał... i znów wyprostował. Impet zderzenia oberwał mu strzemię. Tłum najpierw jęknął głucho, potem podniosły się okrzyki — na trybunie, w oknach, w cisnącym się wokół tłumie. Katarzyna siedziała z kamienną twarzą, czując, jak jej serce ponownie zaczyna tłoczyć krew. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Król przeżył. Dziś wieczorem będzie tańczyć, ucztować, a jutro pożegna swoją córkę. Niebezpieczeństwo minęło. Doczeka sześćdziesiątego dziewiątego roku życia, tak powiedział Nostradamus. Kraj podniesie się po bezcelowej, wyniszczającej

przegranej wojnie. Religijny rozłam znów się zaleczy i Francja stanie się największym królestwem w całym chrześcijańskim świecie. Zawojuje Anglię, zniszczy herezję, będzie służyć Bogu i rosnąć w siłę.

Nagle dotarło do niej, że Henryk nie zsiadł z konia na przeciwległym końcu szranków.

Czekając, aż słudzy wytrą spocone boki Nieszczęsnego, król przyjął podaną mu wodę, wypił i oddał pusty puchar.

— Montgomery oberwał mi strzemię — rzekł. — Chcę jeszcze raz się z nim zmierzyć.

Pan de Vieilleville, który jako następny miał się potykać z Montgomeryem i siedział już na koniu zakuty w zbroję, odparł:

— Najjaśniejszy panie, sprawiałeś się zaszczytnie. Następne starcie jest moje. Nie jedź ponownie.

Ale król, rozżalony i wściekły, myślał tylko o tym, że gubiąc strzemię okrył się wstydem w oczach księcia Alby.

— Odsuńcie się — powiedział. — Chcę jeszcze raz potykać się z Montgomeryem. Tym razem go pokonam.

Z dali królowa widziała tylko dwie naradzające się konne postaci w zbrojach. Obróciła się do córki:

— Król, twój ojciec, chce potykać się po raz czwarty.

Szczuplutka czternastolatka spojrzała na nią, nie rozumiejąc, co się święci.

Przed trybuną stało trzech gotowych do usług paziów. Katarzyna wybrała najszybszego, kazała mu biec na koniec szranków i zanieść królowi jej przesłanie.

Długa przerwa zniecierpliwiła tłum. Trzy przejazdy jego królewskiej wysokości już dobiegły końca. Co się tam dzieje? Rozległo się szemranie, a gdy król je posłyszał, jeszcze bardziej utwierdził się w postanowieniu.

— Powiedźcie Montgomery'emu, że król spotka się z nim jeszcze raz — rzekł. — Żądam, by dał mi satysfakcję.

Vieilleville spojrział przeciągle i twardo na swego suwerena.

— Wasza miłość, od trzech nocy męczą mnie złe sny. Błagam cię, nie jedź w tej następnej potyczce. Dopełniłeś już wymogów honoru. Pozwól, bym potykał się z Montgomeryem w twoim imieniu.

Podbiegło do nich dwóch małych paziów, jeden w barwach Montgomery'ego, drugi w liberii królowej.

— Co mówi Montgomery? — zapytał król.

— Najmiłościwszy panie, mówi, że wymogi honoru zostały dopełnione, i błaga cię, abyś nie kazał mu jeszcze raz występować przeciwko tobie.

— Powiedz mu, żeby się szykował — uciął król. — To rozkaz.
— Spojrzał na drugiego pazia i z lekką pogardą uniósł ciemne brwi.

— A cóż ma tu do powiedzenia moja królewska małżonka?
— Wasza miłość, jej wysokość królowa błaga cię, abys przez miłość dla niej nie potykał się znów z panem Montgomerym.

Odziany w barwy swej kochanki monarcha pochylił się z siodła i odpowiedział z niezamierzoną być może ironią:

— Powtórz jej, że właśnie przez miłość dla niej będę się z nim potykał — po czym opuścił złoconą przyłbicę.

Zdenerwowany jego zachowaniem giermek sprawdził sprzączki zbroi i zawias przyłbicy. Trzymały mocno. Na rozkaz króla zagrały trąbki, on sam zaś, wypoczęty, ponownie wjechał w szranki. Jakiś mały chłopiec wyrwał się z tłumu, wołając: „Królu, nie jedź!”, ale król go nie słyszał.

Z łoskotem ciężkich kopyt dwa bojowe rumaki galopem runęły ku sobie. Kopia Henryka chybiła celu; kopia Montgomery'ego trafiła szpiczastą turniejową tarczę króla nieco powyżej środka i pękła z trzaskiem. Długi koniec z rozmachem poleciał na bok. Przerażony Montgomery nie zdążył już odrzucić złamanego kikuta. Ostro zakończony drąg, odbity od tarczy, uderzył w przyłbicę Henryka, podnosząc ją do góry.

Tłum ujrzał, jak król chwije się w siodle i powoli zsuwa na ziemię. Rozległ się chóralny jęk i przeraźliwe krzyki: „Król upadł!” Katarzyna patrzyła z trybuny na obraz, który widziała już w koszmarnym śnie. Twarz króla pokryta była krwią, płynącą niepowstrzymanym strumieniem z prawego oka. Z oczodołu sterczały długie drzazgi drzewca złamanej kopii.

Wysoko w oknie wynajętego pokoju przy rue Saint-Antoine postawna koścista młoda dama przycisnęła rękę do ust, tłumiąc jęk. Inna młoda dama gwałtownie odskoczyła od okna, wywróciła oczyma i osunęła się zemdlna na podolek matki. Paulina Tournet i Scypion Montvert spojrzeli na siebie z powagą.

— To wszystko zmienia — powiedziała pani Tournet.
— Natychmiast posłę po Mikołaja. Nowa władza nie będzie zainteresowana ściganiem dawnych pojedykowiczów.
— Jeśli ktokolwiek zwietrzy w tym sprawkę Menandra, Sybilla znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.
— Właśnie. I nie chodzi tu o kogokolwiek, chodzi o królową.
— Cała nadzieja w tym, że król jeszcze żyje.

— Jeżeli umrze, rozpocznie się zwyczajowa czterdziestodniowa żałoba, którą królowa spędzi w odosobnieniu. I w jednym, i w drugim wypadku mamy trochę czasu. Młodzi mogą się pobrać w tajemnicy i niech Mikołaj wywiezie ją z Francji. Mam nadzieję, że Sybilla nie jest tak wrogo nastawiona do słońca jak ty, pani.

— Podobno Włochy są w tym roku bardzo zdrowym krajem — powiedziała pani Tournet.

Inne osoby znajdujące się w pokoju były tak wstrząśnięte, że żadna nie zdołała wykrztusić ani słowa.

Stary konetabl Montmorency, wyleczony z ran i uwolniony po podpisaniu traktatu pokojowego, oraz wielki zwycięzca spod Calais, diuk de Guise, zanieśli króla do Les Tournelles.

— Chcę iść sam — wyszeptał król u stóp wielkich schodów, lecz jeszcze kilku wielkich panów musiało go podeprzeć.

Za nimi szła następna grupa dostojników niosących chorowitego delfina, który zemdlął. Zły znak, szeptali świadkowie tej niesamowitej procesji. Bramy pałacu zostały zamknięte, a Montgomery, młody lew, pospiesznie spakował swój dobytek i uciekł z kraju.

Położony w olbrzymim, obwieszonym zasłonami łożu, król na przemian to się budził, to znów popadał w omdlenie. Przez całą noc i dzień mgliście rejestrował kolejne zabiegi medyków, szepty dworzan w korytarzu, papiery podsuwane mu, by złożył na nich chwiejny podpis...

— Może wyzdrowieje — powiedziała królowa do pani d'Alamanni, odszedłszy od mężowskiego łoża, by choć godzinę się przespać. Ale jej oczy, rozszerzone strachem i poczuciem winy, zadawały kłam słowom.

— Sama słyszałam, jak pomocnik mistrza Paré mówił, że kopia nie przebiła mózgu. Król tylko straci oko — odparła dama dworu.

— Nie ma gorączki — powiedziała królowa — a skoro nie ma gorączki, na pewno wyzdrowieje.

Wysocy i arogancy Gwizjusze już kręcili się po komnacie, w której rudowłosa ambitna żoneczka pocieszała wątłego następcę tronu. Katarzyna nie potrzebowała proroczych snów, by przewidzieć, jak potoczą się przyszłe wypadki, jeśli król nie podniesie się z choroby. Kiedy medycy czyścili ranę, chodziła tam i z powrotem splatając ręce, z sercem zmrożonym wizjami, które podsuszała jej wyobraźnia. Na trzeci dzień przybył wielki Vesalius — sługa króla Hiszpanii i najlepszy anatom w całym znanym świecie — i serce Katarzyny

wezbrało nadzieją. Król wezwał muzyków, a potem ślubował, że po wyzdrowieniu uda się na pielgrzymkę. Katarzyna nagle przypomniała sobie, że od dawna nic nie jadła, przekąsiła więc kawałek gotowanego jagnięcia i popiła winem. Tę noc przespała na krześle przy łóżu męża, ukołysana do snu jego regularnym oddechem.

Na czwarty dzień gorączka zaczęła wzrastać i żadne leki nie były w stanie jej powstrzymać.

Diana de Poitiers diuszesa Valentinois została odprawiona spod bramy Les Tournelles jak żebraczka.

— To rozkaz królowej — powiedział strażnik i diuszesa z za czerwionionymi oczyma, twarzą bladą i ściągniętą, uciekła do swej pozłacanej kolebki. Pachołkowie zaciągnęły za nią zasłony.

Patrzac w ślad za oddalającą się kolebką, chybczącą się pomiędzy dwoma przybranymi w czarno-białe czapraki końmi, strażnik z Les Tournelles pomyślał: Co ten król w niej widział? Jest starsza od mojej babki i pomarszczona jak suszona śliwka.

Znalazszy się z powrotem w sali audiencyjnej swej luksusowej paryskiej rezydencji, diuszesa Valentinois zaczęła krążyć w kółko po tureckim dywanie, nieczuła na upływ czasu. Każdy, kto choć przeszedł obok pałacu — paź, gapie, ludzie niskiego stanu, którzy w przeszłości nie zostaliby wpuszczeni na dziedziniec — wszyscy byli dziś mile widzianymi gośćmi.

— Czy król żyje? Czy wyzdrowieje? — powtarzała zrozpaczona Diana.

Na czwarty dzień udało jej się wreszcie zasnąć po zażyciu opium. Obudziła się z krzykiem i kazała służebnej, by natychmiast wezwała miejskich kuszników i kazała im uwięzić astrologa Simeoniego. Kobieta uznała, że diuszesa majaczy, i podała jej następną porcję opium.

Nazajutrz w porannej godzinie przyjęć nie pojawiło się wielu wysoko urodzonych gości. Dziedziniec, zwykle pełen ludzi proszących o różne przysługi, dziś był pusty, podobnie jak stół diuszesy w porze obiadu. Diana wpadła w panikę i pchnęła gońca do głowy rodu, który tyle jej zawdzięczał, lecz Gwizjusz wysłał jej w odpowiedzi lakoniczny liścik, w którym informował, że przywykli rozmawiać z prawowitymi władczyniami, a nie byłymi metresami królów.

— Ale przecież on żyje, on jeszcze żyje — powiedziała. — Na Boga, nie pozwolę się traktować w ten sposób, póki król oddycha!

Z każdą mijającą godziną opuszczona przez wszystkich diusza wyglądała coraz gorzej. Przygarbiła się, jej skóra przybrała szarawy odcień, a ledwie widoczne zmarszczki pogłębiły się w wyraźne bruzdy, jak gdyby wraz z życiem konającego króla gasł czar, który dotąd chronił ją przed starością. Wstała i wzięła do ręki leżące na toalecie lusterko. Znad zdobionego klejnotami stanika sukni i nieskazitelnej koronkowej kryzy spojrzała na nią twarz sędziwej kobiety. Twarz podobna do tamtej strasznej mumii w kufierku... nie, o Boże, to była ta upiorna głowa! Mrugnęła do niej z lustra luszczącą się powieką. Z okrzykiem zgrozy diusza odrzuciła od siebie zwierciadło, które rozprysnęło się na mnóstwo szklanych odłamków. Ale nikt tego nie usłyszał i nikt nie przyszedł sprzątnąć.

Kiedy wieczorne cienie wydłużyły się, siedząca przed tacą z nie-
tkniętym posiłkiem diusza posłyszała nieśmiało pukanie do drzwi. Paż, skierowany przez odźwiernego do jej komnaty, wręczył jej list opatrzony królewską pieczęcią. Otworzyła go pospiesznie. Zaadresowany był do „jejmości Poitiers” — nie diusza, najdroższej kuzynki czy nawet czcigodnej pani, lecz tak po prostu: „Jejmość Poitiers...” Królowa żądała zwrotu klejnotów koronnych, sum przekazanych Dianie z królewskiego skarbcza, zamków i podarunków w kosztownościach i ziemi, których nie oszczędził kochance król. W pierwszym rządzie domagała się Chenonceau, białego pałacu owiewanego łagodnymi zefirami, miejsca tyłu przyjemnych zabaw, sterczącego niczym weselny kołacz na brzegu rzeki Cher. List był zimny i precyzyjny jak nóż chirurga i przejął diuszę chłodem.

On musi żyć, musi żyć, powtarzała w duchu, opadając na rzeźbiony kłęcznik stojący przy łożu. W uszach jednak szemrał jej głos podobny do szelestu zeschniętych liści: *Chciałaś, by królowa nigdy nie zdobyła jego serca, i już nigdy go nie zdobędzie. Spełniłem twoje życzenie...*

W lochach Les Tournelles wyprowadzono przed naprędce ustawiony szafot czterech skutych łańcuchami przestępców.

— Nie teraz, jeszcze nie teraz, na miłość boską! — krzyknął jeden na widok zamaskowanego kata, dzierżącego ciężki topór.

— *In nomine Patris et Filio, et Spiritus Sanctis* — zaintonował towarzyszący im ksiądz, kończąc pospieszną modlitwę znakiem krzyża. Ciemne, wilgotne pomieszczenie śmierdziało myszami i pleśnią.

— To rozkaz. Medycy chcą waszych głów — odezwał się kat. — I tak jesteście skazani. Co za różnica: teraz czy później?

W przyległym pomieszczeniu pod kamiennym sklepieniem czekali najwięksi medycy znanego świata. Słyszając ostatni, czwarty głuchy stukot, pokiwali głowami i nałożyli ciężkie skórzane fartuchy. Głowy musiały być świeże; materiał doświadczalny powinien być tak zbliżony do głowy rannego króla, jak to tylko możliwe. Na długim dębowym stole leżał odszczepiony ułomek nieszczęsnej kopii i kilka zestawów narzędzi chirurgicznych. Drzwi się otworzyły i dwóch pomocników kata wniosło skąpany we krwi cebrzyk zawierający cztery ludzkie głowy.

Sam sławny Vesalius wyjął jedną z głów za włosy z cebra i położył ją na stole. Pozostali, podobnie jak on rozdżiani do kaftanów z podwiniętymi wyżej łokci rękawami, ustawili i przytrzymali głowę, podczas gdy Ambroży Paré, nadworny medyk króla — wspaniała chirurg polowy, który swego czasu uratował życie księciu Gwizjuszowi, wynalazł ligaturę tętnic i zrewolucjonizował leczenie ran postrzałowych — ujął w dłoń ułomek kopii i pewnym pchnięciem wbił ją w prawy oczodół odciętej głowy dokładnie pod takim samym kątem, pod jakim wbił się on w oko króla. Vesalius wziął skalpel i otworzył czaszkę.

Poważne brodate twarze pochyliły się nad stołem.

- Tu, w mniejszym zakolu kości klinowej...
- Czy długość jest taka sama?
- Bez wątplenia. Kopia przeniknęła do mózgu.
- Czy możemy usunąć tę drzazgę, która weszła głębiej i wciąż tkwi w oczodole, nie ryzykując, że król wykrwawi się na śmierć?
- Jeśli nie, zgorzel nie będzie miała ujścia z rany.
- Zatruje mózg.
- Może wlew świeżej krwi...
- Trzeba by trepanować...

Zanim na stół sekcyjny trafiła czwarta głowa, medycy zaplanowali już dalsze leczenie króla. Wiedzieli wszakże, iż cokolwiek uczynią, mogą najwyżej przyspieszyć jego śmierć.

Dziesiątego dnia król na krótko odzyskał przytomność i wezwał do siebie delfina.

— Synu — wyszeptał — pozostaniesz bez ojca, ale z jego błogosławieństwem. Modlę się do Boga, byś miał więcej szczęścia, niżli ja miałem...

Biedny chorowity chłopiec zemdlął. Odzyskawszy przytomność w swej komnacie, rozplakał się.

— Mój Boże, jak zdołam żyć po śmierci ojca? — powtarzał. I choć pocieszał go nawet potężny kardynał Karol Lotaryński, gęsta mgła okrywająca przyszłość rozstała się na krótką chwilę przed oczyma tego upośledzonego chłopca i zrozumiał, że nic go nie ocali — ani ładna młoda żona, ani jej mądrzy wujowie, ani jego wiecznie zatroskana matka. Przez szczelinę we mgle spojrziała na niego śmierć, zmieniając jego wąty kręgosłup w papkę.

Tej nocy, przysłuchując się rzeźącemu, urywanemu oddechowi króla, medycy zdecydowali się na ostatni, desperacki krok: otworzą czaszkę. Gdy jednak zdjęli bandażę, z oczodołu wyciekło tyle ropy, że zrozumieli, iż żadna operacja nie zdoła już ocalić mózgu monarchy; Zabandażowali z powrotem rozpaloną głowę i posłali po księdza, by udzielił choremu ostatniego namaszczenia.

Owdowiałe królowe Francji miały zwyczaj ubierać się na biało, ale zamknięta w swych komnatach Katarzyna Medycejska kazała sobie uszyć czarne żałobne szaty jak zwyczajna włoska dworka. Błyszczące złote hafty, puszyste jaskrawe aksamity, marszczone jedwabie łądowały stosami w ramionach sług, którzy odnosili je do lamusa. Komnaty królowej w Luwrze zostały okryte kirem; przysłonięto nim nawet okna. Wędrując przez zaciemnione pokoje z twarzą spuchniętą od płaczu, przyklekając na klęczniku, niezdolna skupić się na modlitwie, przesiadując do późna w noc, Katarzyna nie mogła opędzić się od bolesnych myśli. Pewnej nocy obudziła służące jej damy, aby im oznajmić, że musi zmienić swój herb. Nazajutrz, gdy już miały nadzieję, że o tym zapomniała, sama posłała po scholarza z kolegium heraldyki i wykreśliła ze swojego godła tęczę, którą nadał jej stary król Franciszek, a na jej miejscu kazała umieścić kartusz z ułomkiem pękniętej kopii i motto: *Lacrimae hinc, hinc dolor* — „Tu łzy, tu smutek”.

Ale w mroku otulonych czarnymi draperiami komnat, tak ciemnych, że i we dnie trzeba było palić świece, szeleściły zetlałe całuny i od czasu do czasu dał się słyszeć stłumiony śmiech brzmiący jak kamyki osypujące się do krypty. A potem rozlegał się głos, na którego dźwięk ból przeszywał jej wnętrzości, a w głowie szumiało, jakby miała pęknąć. Mówił: *Wielka królowo, diuszesa już nie ma władzy nad jego sercem. Widzisz, jak spełniłem twe gorące życzenie*

Jednakże Katarzyna była twardą Medyceuszką. Szepnęła w ciemność:

— Jeszcze nie zwyciężyłeś. Poszukam silniejszej magii. Pokonam cię.

O, wielka królowo, jesteś godną mnie przeciwniczką. Nie spotkałem takiej od tysiąca i więcej lat. Nie sądzę jednak, że zdołasz się ocalić. Przypomnij sobie inne swoje życzenia.

— *Moje dzieci! — jęknęła królowa.*

Właśnie. Twoje dzieci. Pamiętasz, czego chciałaś? Żeby królowa Szkocji straciła wpływ na twego syna...

— *Nie!*

Jeszcze nie skończyłem. Życzyłaś sobie również, aby wszystkie zasiadły na tronach. Zobaczysz, jak spełniłem twoje największe pragnienie.

Roztopiona stal wlała się do serca królowej i tam stężała. Paniom, które weszły do komnaty na dźwięk srebrnego dzwonka, zdawało się, że w kącie komnaty widzą posąg, ducha, demona, który przybrał postać królowej.

— Pani Gondì — odezwała się zastygła postać — niech goniec weźmie najszybszego konia z królewskiej stajni i zawiezie ten list do Salon-de-Provence, do domu Nostradamusa. Ma się stawić w Chaumont, gdzie się z nim spotkam.

Kiedy pani Gondì wyszła, królowa zwróciła się do pani d'Alamanni:

— *Jak tam sprawy na dworze? Jak się czuje król, mój syn?*

— *Wasza wysokość, król zachorował, ale wydał rozkaz, by konetabl Montmorency i marszałek Saint-André objęli wartę honorową nad ciałem króla w czasie żałoby.*

— *Nikt inny prócz Gwizjuszy nie mógł mu tego podsunąć. Inny mi słowy, teraz oni rządzą?*

— *Tak, wasza miłość.*

— *A po czterdziestu dniach, w czasie których konetabl i marszałek nie będą się mogli ruszyć od katafalku, nikt ani nic nie będzie już im mogło zagrozić...*

— *Najjaśniejsza pani, oni tylko sprawują władzę na czas twojej żałoby.*

— *Moja żaloba właśnie się skończyła. Wezwij skarbnika, niech zda mi raport o stanie królewskiej szkatuły. Słyszałam, jak mój świętej pamięci małżonek mówił, że żołnierze od trzech lat nie dostali żołdu.*

— *Ale, wasza wysokość...*

— *Żadnych „ale”. W każdej chwili mogą się zbuntować. Interesuje mnie też, czy hugenoci zaczęli podnosić głowy teraz, kiedy rządzi dziecko. Przynieście mi ich pisma, chcę wiedzieć, co mówią ich zdradziecy kaznodzieje. Jeśli chociaż słowem wystąpią przeciw mnie,*

mają zostać schwytani i powieszani. I... a, właśnie, poślijcie po pannę de La Roque. Chcę z nią porozmawiać... prywatnie. Niech przyjedzie do Chaumont, oczywiście pod strażą, żeby się nie rozmyśliła. Będzie musiała się odrobinę poświęcić dla dobra Korony. Ale powiedzcie jej... powiedzcie, że królowa ma dla niej specjalną... nagrodę za jej usługi.

Tego samego wieczoru kurier z Genui zdarł wyczerpanego tureckiego ogiera na dziedzińcu domu bankowego Fabrisów i Monteverdich w Lyonie. Doręczywszy pakiet listów najstarszemu z braci Fabris, zatrzymał się tylko na pospieszny posiłek i dosiadłszy świeżego konia, odjechał w noc. Na niebie lśniło pół księżyca dostatecznie oświetlając drogę. Pomimo że ciemno odziany kurier nie miał przy sobie żadnej wartościowej przesyłki, uzbrojony był we włoski rapier, mizerykordię, ukryty w rękawie sztylet, muszkiet i zawieszony na szyi sznur ładunków prochowych. Jego twarz była ściągnięta ze zmęczenia, nie golił się od dwóch tygodni, ale z oczu patrzyła mu determinacja. Jego ojciec, jego surowy, okrutny ojciec nareszcie okazał ludzką twarz. W wysłanym z Paryża liście pisał, że wybacza mu wszystko i zgadza się na ślub. Pisał też, że jeśli syn się nie pospieszy, zdradzieckie knowania możnych zaprowadzą miłość jego życia do grobu.

ROZDZIAŁ XXII

— Śmierć czarownikowi!

Odziana w długą szatę kukła na kiju była ledwie widoczna nad tłumem, wypełniającym szczelnie plac de Grève. Obdarte kobiety i mężczyźni w drewniakach uwijali się, rzucając siano na wiązki chruštu.

— Śmierć Nostradamusowi! Spalić czarownika, który zabił króla!

— Na stos! Na stos!

Ktoś przytknął płonąca pochodnię, buchnął kłęb dymu, potem strzelił w górę wąski jęzor ognia. Na skraju placu sześciu łuczników w szerokich hełmach i nabijanych metalowymi płytkami kaftanach opierało się o zdobną kratę frontowej bramy Hôtel de Ville z założonymi na piersiach rękami.

— Kto to jest, ten Nostradamus? — zaciekawił się jeden z nich.

— Nie słyszałeś? To mag, który rzucił na króla śmiertelny urok. Skraj długiej szaty zajął się płomieniem i gęsty dym zasłonił kukłę przed oczyma patrzących.

— Dla kogo pracuje?

— Podobno dla agentów angielskiej królowej... — reszta słów utonęła w radosnym wrzasku, jaki podniósł się w tłumie, kiedy wypchana sianem kukła rozpadła się w morzu ognia.

— Podobno uciekł?

— Szukali go, ale zniknął.

— Ha! Jeśli kiedykolwiek pojawi się w Paryżu, czeka go tu ciepłe powitanie!

— Czarnoksiężnicy powinni się smażyć najpierw tu na stosie, a potem w piekle...

*

— No cóż, Anaelu — rzekł Nostradamus, który przyglądał się tej scenie w tafli wody — jeśli kiedykolwiek wybierałem się jeszcze odwiedzić to zakazane miasto, teraz zmieniłem zdanie.

Nawet o północy dzienny upał zalegał na poddaszu domu w Salon-de-Provence, a Nostradamus, pocąc się obficie, żałował, że pod białą tuniką maga ma na sobie grubą profesorską togę. Mosięzna sfera armilarna lśniła matowo w świetle świecy, a Anael był ledwie widoczny — no, może jako granatowy opar.

— Nie są zbyt logiczni — zauważyła ciemna postać. — Przepowiedanie przyszłych zdarzeń to nie to samo co ich powodowanie.

— To paryżanie. Okropni ludzie. Płacą mało, grożą inkwizycją, a teraz jeszcze na dodatek spalili mnie *in effigie*. Opowiadałem ci o gospodzie „Pod Świętym Michałem”? Pościel była brudna, a ile liczyli sobie za ten ohydny kwas, który śmieli nazywać winem!...

— Opowiadałeś mi sto razy, Michale. Na starość robisz się zrzedliwy. Co gorsza, pamięć ci szwankuje, skutkiem czego zaczynasz się powtarzać.

— Ja? Nic podobnego! Umysł mam ostry jak cała skrzynka nowych igieł! Ale przysięgam: już nigdy w życiu nie ruszę się z Salon. Podróże przygotowują mnie o niestrawność, a niewdzięczność ludzi tego pokroju...

— Na twoim miejscu, Michale, zacząłbym pakować sakwy — rzekł duch przeszłych i przyszłych dziejów.

Doskonale pamiętam ten dzień, był to bowiem dzień, w którym zaniósł do drukarza ukończony rękopis mojego nowego dialogu pod tytułem „Biesiada”. Nie był on co prawda utrzymany w typowym dla mnie wzniosłym duchu, ale przecież poeta nie może być niewolnikiem własnego stylu. Jeśli czytelnikom się nie spodoba, cóż, mówi się: trudno, pomyślałam, kładąc manuskrypt na stole. Drukarz przyniósł mi do obejrzenia pierwsze odbitki gustownych czarno obrzeżonych stron tomiku melancholijnych poezji zatytułowanego „Ogród smutku”. Kazałam go wydać w niewielkim nakładzie i rozprowadzać tylko w najwytwomiejszych dworskich kręgach. Trzymając w dłoniach równocześnie prawdziwą i fałszywą literaturę i słysząc, jak drukarz jednako chwali obydwie, zadumałam się nad ludzką hipokryzją, co znowu nasunęło mi pomysł na nowy dialog... W końcu wysłałam tak zamysłona, że bezwiednie przeszłam pod drabiną, co zawsze przynosi pecha.

Gdy po powrocie na rue Cerisée weszłam do naszej paradnej komnaty, spostrzegłam, że coś jest grubo nie w porządku. Ciocia Paulina z podkrążonymi oczami, blada jak jeden z jej duchów, siedziała nieruchomo na swym wielkim wyściełanym krześle. Obok stał opat, jakby bardziej zgarbiony niż zwykle. Na jego twarzy malowało się wzburzenie. Otaczało ich sześciu uzbrojonych po zęby kuszników w barwach królowej matki.

— Co tu się dzieje? — spytałam.

— Jej wysokość królowa matka życzy sobie z panną rozmawiać i rozkazuje, by wzięła panna ze sobą kuferek, który ma panna w swojej pieczy.

A więc to już. Serce uciekło mi w pięty.

— Ale... przecież królowej matki nie ma w Paryżu — wyjąkałam.

— Chce pannę widzieć w Chaumont, a my mamy dopilnować, abyś bezpiecznie tam dotarła — odparł dowódca kuszników.

— Muszę... muszę spakować parę rzeczy.

— Niczego pannie tam nie zabraknie. Proszę wsiadać na koń i jechać z nami. To ten kuferek?

Kuferek Menandra stał na zwykłym miejscu na kredensie, wibrując cichym, ledwie dosłyszalnym mrużeniem, które zatopiony w rozmyślaniach Menander wydawał z siebie niemal bez przerwy. Ty beużyteczna, kłopotliwa puszeko Pandory, pomyślałam. To koniec. Kiedy królowa dowie się, że nie spełniasz już życzeń, przestanie się lękać ciebie, a zacznie się lękać tego, co mogłabym zdradzić. Ale przysięgam, nie pozwolę ci się zniszczyć. Coś wymyślę...

Kiedy z tętentem kopyt wyjechaliśmy za bramę miejską, próbowałam nawiązać z kusznikami rozmowę. Mieli ponure miny i nie odpowiadali na moje pytania, a jeden z nich, najmłodszy, odwrócił głowę. Otrzymali rozkazy, pomyślałam, i boją się, że szykują jakiś podstęp. Pędziliśmy na południe przez pofalowany wiejski pejzaż, w którym pośród zieleni zaczęły już żółknąć liście. W miarę upływu czasu stawało się dla mnie coraz bardziej jasne, że nic dobrego nie czeka mnie u kresu tej podróży, z dala od moich krewnych i przyjaciół, bez nadziei na ratunek.

Było już po zmroku i ulicami chodziły nocne straże. Uzbrojony w kord Baptysta poczłapał otworzyć drzwi, do których ktoś wściekle się dobijał.

— Pani Tournet, to ja, Mikołaj! — dobiegło z zewnątrz.

Pani domu wygramoliła się z łoża odziana jedynie w czepek, skinęła na służebną, która otuliła ją w obszerną *robe de chambre* i zapaliła świecę. Wszedłszy do głównej komnaty, ujrzała w progu obu Montvertów owiniętych w grube płaszcze i trzymających latarnie.

— Wejdźcie, wejdźcie, siadajcie — ponagliła ich.

W ciemności zapłonęły świece służących. Gościom podsunęto krzesła i wyjęto z kredensu butelkę wina oraz pucharki.

— Gdzie twoja bratanica, pani? — spytał bankier. — Mój syn wrócił dziś z Włoch. W kaplicy cechu rzeźników pod wezwaniem świętego Jakuba czeka na nas ksiądz. Niech jeszcze dziś wezmą ślub i przed świtem ruszą w drogę, żeby wydostać się z kraju, zanim szpiedzy królowej matki zaczną podejrzewać, co się stało.

— Nie dostałeś pan wiadomości? Niecałą godzinę temu wysłałam chłopca do twojego domu. Zabrali ją.

— Dokąd, na miłość boską? — krzyknął z rozpaczą Mikołaj.

— Powiedzieli?

— Do Chaumont-sur-Loire — odparła pani Tournet. — Pod silną strażą.

— To straszne miejsce — rzekł Scypion Montvert. — Podobno królowa matka ma w Chaumont upiorną wieżę pełną czarodziejskich przyborów, gdzie rzuca uroki przy pomocy jasnowidzów i czarowników, których tam zaprasza.

— Bardzo się boję o Sybillę. Mam wrażenie, że rozpacz królowej przerodziła się w gniew i chęć odwetu. A na kim będzie się mścić? Nie na sobie, choć to ona posłużyła się czarną magią, lecz na głowie Menandra, a przede wszystkim na Sybilli, do której ta głowa należała.

Mikołaj zbladł.

— Jadę tam — rzekł chrapliwie. — Ruszam natychmiast.

— Bramy Paryża nie otworzą się przed świtem nawet dla Montverta — zauważyła pani Tournet. — Błagam, zostańcie tu do rana. Ja... ja nie chcę być sama...

Przekonawszy Mikołaja, że powinien się przespać, stary bankier usiadł z panią Tournet i pili wino, aż świece zaczęły się dopalać i gasnąć.

— To mój jedyny syn, sama rozumiesz, pani... — rzekł Scypion Montvert.

— Kochałam ją od dnia jej narodzin... — powiedziała Paulina Tournet.

— Czy go zatrzymam, czy pozwolę mu jechać, i tak go stracę. — Bankier złapał się za głowę. — Miłość to katastrofa.

— Lepiej jest zawierać małżeństwa z rozsądku, tak jak każe zwyczaj — przyznała pani Tournet. Ale w duchu zobaczyła twarz ojca, który stał nad nią, kiedy podpisywała umowę małżeńską, wiążąc się z człowiekiem, którego nie mogła pokochać.

— Tak, tak, najpierw brać ślub, po bożemu, a potem dopiero uczyć się miłości — kiwnął głową bankier, lecz w jego sercu pojawił się obraz smagłej, ciemnookiej dziewczyny, która przychodziła po wodę do pewnej florenckiej fontanny. Skwapliwie wymazał ten obraz z myśli i zastąpił go wąskim, anemicznym obliczem żony, którą wybrał mu ojciec. Pochodziła z dobrej rodziny i odziedziczyła duży majątek. Ojciec naturalnie miał rację. Jak zawsze. Tak to już bywa z ojcami.

— Tak właśnie powinno być. — Pani Tournet po raz kolejny napełniła puchary. Ale zamiast Montverta widziała przed sobą wesolego, pięknego młodzieńca, który grał na lutni siedząc na płaskim prowansalskim dachu w otoczeniu przyjaciół. Dwie blade dziewczyny i wąty chłopiec, przybyli na kurację u wód, siedzieli na sąsiednim dachu, przysłuchując się muzyce pod gwiazdami. Och, co czuło jej serce na to wspomnienie!

Jakże ja go kochałam, szepnęła w duchu. Ale on nie był dla mnie. Helena przynajmniej przeżyła prawdziwą miłość. Ja nigdy. Takie było moje przeznaczenie.

Zobaczyła go, tego, do kogo wrywało się jej serce. Leżał w kałuży krwi u stóp drabiny. Znów słyszała krzyk Heleny i widziała mężczyznę przeszukujących jego odzież. Stary człowiek podniósł list miłosny, który sprowadził chłopca pod okno ukochanej, i podarł go z wściekłością. Krew... krew była wszędzie. Starzec uderzył córkę, rozsmarowując krew po jej twarzy, a potem na przemian bił i znów nurzał ręce we krwi. Szarpał na niej kaftan zmarłego brata, a ona wyła... Miała krew we włosach, usta skrwawione i otwarte jak rana, przez którą z jej kochanka wyciekło młode życie. Cóż stąd, że starzec przyrzekł nie robić im krzywdy? Skłamał, a ona, przyczajona za węglem, widziała to, co widziała. Wspomnienie ścisnęło serce Pauliny Tournet jak imadło. Miłość i śmierć. Koło się zamknęło.

— Miłość to przekleństwo — powiedziała.

Ale stary bankier nie odpowiedział. Zasnął odurzony winem z głową odrzuconą na oparcie krzesła. Kiedy zaczął chrapać, spostrzegła na jego zarośniętym policzku jedną błyszczącą łzę. Ostrożnie, pieczołowicie otuliła płaszczem jego potężne ciało i powlokła się do łóżka, gdzie przez całą noc śniła jej się krew.

*

Czekający na przystani ludzie posłyszeli najpierw chłopot zanurzających się w wodzie wiosła. Po chwili z ciemności wyłoniły się dwie zatknięte na dziobie łodzi pochodnie, pełgające pomarańczowym blaskiem jak para żółtych ślepiów. Na niebie błyszczał cienki sierp księżycy, a pędzące po niebie ciemne chmury na przemian to odsłaniały, to zakrywały skrawki gwiaździstego nieba. Blask pochodni rozlewał się niczym olej po wciśniętych między czarne brzegi ciemnych wodach Loary. Na brzegu niecierpliwie przytupywały konie, brzęknęła uprząż. Chociaż paru jeźdźców trzymało latarnie, z trudem dało się rozróżnić zarys wiszącej między dwoma końmi kolebki. Mrok pochłaniał wszystko.

- Już są — szepnął jeden z mężczyzn.
- Najwyższy czas. Mieli tu być po południu.
- O tej porze roku trzeba walczyć z prądem.

Łódź przybiła do pomostu i ze zgrzytem przesunęła się wzdłuż sterczących z dna rzeki pali. Dwóch silnych wioślarzy wydzwignęło na pomost wielki toból, którym okazał się stary człowiek w długiej szacie medyka.

— Jesteśmy na miejscu, mistrzu — rzekł jeden z nich. — Szepnijcie za mną słówko, jeśli łaska.

— Królowej matce czy duchom?

— Najlepiej i jej, i im. Pamiętajcie, mój syn chciałby mieć własną łódź.

Na wysokim wzgórzu wznoszącym się nad rzeką majaczyła w świetle gwiazd biała kamienna forteca o wysokich, ostro zakończonych wieżycach.

— Najjaśniejsza pani chyba nie oczekuje, że się tam wdrapię? — spytał zgryźliwie Nostradamus stając na pomoście i wygladzając zmiętą szatę takim ruchem, jakim zdenerwowana kwoka mogłaby wygladzać zmierzwione pióra. Niepewnie zrobił krok, opierając się ciężko na lasce. — Au! Moja podagra! Jeszcze nigdy mnie tak nie bolało. Powiadam wam, to moja ostatnia podróż. Tajne misje, też coś!

W ślad za prorokiem z łodzi wysiadło sześciu zbrojnych gwardzistów.

— Oddajemy go w wasze ręce — rzekł ich dowódca do jednego z czekających na brzegu jeźdźców. — Pamiętajcie, królowa każe wam obciąć uszy, jeśli mu się pogorszy. Nie może przejść pieszo trzech kroków, potrzebne mu dwie puchowe poduszki, nie je nic smażonego i nie pije wina młodszego niż pięcioletnie. Powodzenia!

Stary doktor został wsadzony do kolebki wraz z dużym pakunkiem, który miał ze sobą, i eskortowana przez jeźdźców z latarniami kolebka zaczęła się wspinać stromą drogą, wijącą się zakosami do zamku. W lesie pohukiwały sowy. Jeden z gwardzistów przeżegnał się ze strachem. Kto wie, jakie diabelskie czary ma w sakwie prorok zagłady? To na pewno nie sowy, tylko totumfaccy Szatana pozdrawiali jednego ze swoich.

Królowa matka zasiedziała się do późna przy biurku, pisząc list do pani de Humières. Zawarła w nim instrukcje dotyczące opieki nad jej ukochanym malcem, Herkulesem, który znów zapadł na jakąś dziecięcą chorobę. „Zapewniono mnie, że najskuteczniejszym remedium będzie wdychanie dymu z drzewa cisowego, który rozpuści szkodliwe substancje w płucach. Na pierś trzeba nałożyć kompres z olejku liliowego i lawendowego...” Przerwało jej pukanie do drzwi. Weszła dama dworu, oznajmiając, że mistrz de Nostre-Dame nareszcie przybył.

Królowa wyprosiła panie z komnaty. Skupiły się za drzwiami, mając nadzieję pochwycić choć słówko z tajemnic, o których będzie mowa. Jedna z dam ukłękła, uciszając pozostałe gestem, i przyłożyła ucho do dziurki od klucza. Na próżno. Posłyszała tylko nazwisko „Ruggieri” wymówione z pogardą przez starego maga.

— To prawda — mówiła królowa. — Radziłam się go w sprawie urzędnika pracowni astrologicznej w wieży. Jest w niej wszystko, czego mógłbyś zapragnąć, mistrzu. Ale sam rozumiesz, że nie mogłam mu zaufać w tak delikatnej sprawie.

— Kosma Ruggieri nie potrafiłby sporządzić magicznego zwierciadła, choćby od tego zależało jego życie — burknął Nostradamus.

— Nawet gdyby potrafił — odparła Katarzyna — sprzedałby uzyskane dzięki niemu informacje wszystkim moim wrogom razem i każdemu z osobna. Poza tym tylko ciebie uważam za prawdziwego proroka.

— Najwyraźniej próby Ruggieriego spełzły na niczym.

— Skąd to wiesz?

— Miałem wizję, dwa dni temu, na łodzi. Nie chcę tu wspominać o wcześniejszych zapewnieniach, że moja predykcja będzie jedyną. Jasnovidzenie to przekleństwo — westchnął prorok.

— Muszę wiedzieć... — powiedziała tajemniczym tonem królowa i urwała, jakby nie zamierzała już nic dodać.

— Co wiedzieć? — Nostradamus uśmiechnął się, że nie dosłyszał.

— Myślałam, że jako jasnowidz jesteś tego świadom — odparowała dość kąśliwie królowa.

— Jeśli nawet, wolałbym to usłyszeć z twoich ust, pani.

— Dobrze zatem. Chcę znać przyszłość tronu Francji.

Chcesz wiedzieć, jak długo będzie tu rządzić Maria z Gwizjuszami, pomyślał stary prorok.

— Magiczne zwierciadło to bardzo delikatny obiekt — rzekł.

— Na szczęście jeszcze przed wyjazdem rozpocząłem sześciotygodniowy okres oczyszczenia. Łatwiej byłoby mi w czasie pełni, ale skoro każesz, pani, mogę być gotowy już jutro.

Krępa kobieta w czerni skinęła głową.

— Możesz odejść. Wychodząc poproś tu moje damy. I pamiętaj, jeśli okażesz się godny mego zaufania, nie ominie cię hojna nagroda.

Gdybyś mi obiecała, że dziś w nocy będę spał w wygodnym łóżku, mógłbym ewentualnie w to uwierzyć, sarknął w duchu Nostradamus. I bardzo bym się ucieszył. Powinienem poprosić o zaliczkę, zanim ustawię zwierciadło. Hm... Jak jej to subtelnie zasugerować? A może powiedzieć, że potrzeba mi kilku funtów rzadkich ziół i przypraw do rzucania zaklęć? Można by je potem łatwo spieniężyć. Tym razem nie chciałbym się zapożyczać na powrót do domu.

Dziewięć godzin po nocnym przyjeździe Nostradamusa w pełnym świetle dnia dotarł do Chaumont Mikołaj Montvert. Uniósł się nieco w siodle, by obejrzeć wznoszący się przed nim zamek, i wtedy dopiero uświadomił sobie, że jego misja nie ma szans powodzenia. Posępne zameczysko w Chaumont tkwiło na szczycie wzgórza tworząc zwarty, najezony wieżami czworobok odgradzony od świata wysokim murem. Z dwóch stron otaczał go las, a z dwóch pozostałych — zakole Loary. Była to jedna z twierdz, których król nie zdążył jeszcze przebudować na wygodne palace w nowym stylu. Okna były wąskie, a do środka można się było dostać wyłącznie przez zwodzony most. Zakurzony i rozczarowany Mikołaj zadumał się smętnie nad tym, jak ciężko być bohaterem w dzisiejszych czasach. Dawniej podjechałby tu w pełnej zbroi, uderzył w tarczę wiszącą nad bramą i wyzwiał kasztelana zamku na uczciwą walkę, pokonawszy go zaś — uwolnił więzioną pannę z rąk złych strażników. Tymczasem miał na sobie wytarty skórzany kubrak i krótką brudną opończę, a gniady podjezdek, którego dosiadał, nie bardziej przypominał bojowego rumaka niżli on sam rycerza. Cóż, rzekł do siebie, epoka rycerstwa dobiegła końca, nastąpiła era rozumu. Ostatecznie od czego ma się głowę?

Most najwyraźniej podnoszony był dopiero o zmroku. Przyglądając się z oddali Mikołaj zauważył, że ludzie konni i zbrojni musieli zatrzymać się przed bramą i opowiadać strażom. Równocześnie jednak w tę i z powrotem krążyły wozy z ziarnem i sianem, baby z koszami jaj, świniopasi, dziewczki z obory pędzące krowy na pastwisko — jak gdyby wszyscy byli niewidzialni. Otóż to, pomyślał. Odprowadził konia do stajni we wiosce, po czym znów mozolnie wspinał się na wzgórze. Tuż przed nim zaprzęg wołów z wysiłkiem ciągnął wyładowany beczkami wina wóz po stromej, nierównej drodze. Właściciel beczek zeskoczył z wozu i pchał z tyłu, chłopiec prowadzący woły okładał je batem, ale koła uwięzły w koleinie i wóz nie był w stanie ruszyć z miejsca.

— Hej, człowiecze, pomogę ci! — zawołał Mikołaj, dziękując w duchu swojej dobrej gwieździe za to, że jednak nie ma na sobie lśniącej zbroi.

Po krótkich pertraktacjach ukrył pas z rapierem i płaszcz na wozie, po czym ramię w ramię z właścicielem winnicy napał od tyłu, aż koła wreszcie potoczyły się naprzód. Nic łatwiejszego, pomyślał mijając patrzących w inną stronę strażników. Znalazłszy się na dziedzińcu, wyjął rapier spomiędzy beczek i nim ktokolwiek zdążył zwrócić na niego uwagę, nurknął w najbliższe drzwi. Idź, jakbyś miał tu coś do załatwienia, rzekł do siebie.

— Hej, młodzieńcze, dokąd to? — zaczął go kapitan kuszników, leniwie oparty na schodach.

— Kurier od *signora* Gondi do jej wysokość królowa matka — odparł Mikołaj udając mocny włoski akcent.

— Od bankiera? Ha! Następnym razem przynieś mi zaległy zółd!

Udając, że słabo rozumie po francusku, Mikołaj kiwnął głową z miłym uśmiechem, jak czynią cudzoziemcy, gdy nie zrozumieli dowcipu, i pospieszył na górę. Przez głowę przebiegła mu nieprzyjemna myśl: jak w tym wielkim kamiennym labiryncie ma odnaleźć Sybilę?

— Hej, pokoje królowej matki są tam! — zawołał za nim kusznik, wskazując niezbyt określony kierunek.

— *Mille grazie* — odparł Mikołaj.

— Przekłęci cudzoziemcy! — Gwardzista splunął na kamienne stopnie.

Udając, że wie, dokąd idzie, Mikołaj ruszył we wskazanym kierunku, dopóki nie znikł kusznikowi z oczu. Następnie złapał za kołnierz pазia niosącego dzban wody, od którego dowiedział się, że

królowa właśnie wyszła z pracowni astrologa. Gdzie, jeśli nie tam mogli umieścić tę ohydną gadającą głowę?, pomyślał Mikołaj. A gdzie głowa, tam i Sybilla. W każdym razie nie może być daleko.

Z dłonią na rękojeści rapiera zaczął wspinać się kręconymi schodami na wieżę, mieszczącą obserwatorium i pracownię. Nagłym susem wpadł przez otwarte drzwi i znalazł się w wysokiej komnacie o nagich ścianach, do której przez wąskie okna wpadało zmierzchające światło dnia. W olbrzymim otwartym kominie stał atanor, w kącie zasłonięte kotarami łoże, pod ścianą stół, a na nim stosy ksiąg, liczne szklane naczynia oraz ludzka czaszka.

— Wejść — odezwał się w półmroku czyjś głos.

W przeciwległym krańcu komnaty stał brodaty mężczyzna średniego wzrostu. Na pulpicie przed nim leżał płaski metalowy przedmiot, obok stała klatka z żywymi gołębiami. Mężczyzna miał na sobie biret i doktorską togę — z Montpellier, nie paryską. Ja go znam, pomyślał Mikołaj. Spotkałem go już. To on ratował poparzoną rękę Sybilli i powiedział mi, spod jakiego jestem znaku. Ale skąd się wziął tutaj?

— Oczekiwałem cię — rzekł starzec.

— Doktorze Nostradamus... — wyjąkał Mikołaj — co tutaj robicie?

— Wypełniam tajną misję — odparł prorok, wyłaniając się z cienia i podchodząc bliżej. — Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, zajmuję się właśnie przygotowaniem magicznego zwierciadła, za które, jak podejrzewam, zapłacą mi mniej niż wyniosły koszty. Wyrwano mnie z domu i przywieziono tu w środku nocy jak worek jęczmienia, a to tylko dlatego, że pewna dama w średnim wieku ma nieczyste sumienie. Jakoś nie pytała mnie o radę wtedy, gdy jeszcze można było cokolwiek naprawić! Co to, to nie! Ruggieri, Simeoni, Guaricus, ba! każdy szarlatan, który przypałał się do jej drzwi! Każdy, ale nie Nostradamus, który od początku wiedział, że nie powinna się zadawać z Nieśmiertelnym. A co ty tutaj robisz? Skąd się tu wziąłeś?

— Myślałem, że już wiecie.

— Nie. Miałem tylko proroczy sen, w którym ujrzałem, jak stoisz tu umazany kurzem i zawracasz mi głowę. Mów, o co chodzi, i zmykaj.

— Chyba sam Los mnie tu sprowadził — rzekł Mikołaj przejęty. — Przybyłem na ratunek pannie Sybilli Artaud de La Roque, jedynej kobiecie, którą kocham i której zawsze będę wierny, a która jest tu więziona w sekrecie. Nie mam jednak pojęcia gdzie. Ale wy, mistrzu, jako jasnowidz, możecie ją odnaleźć w jednej chwili.

— Hm... Ta poetka? I chcesz, żebym ja ją znalazł? Mogłem się tego domyślić. Ludzie zawsze oczekują, że znajdę im wszystko, co zgubili — burknął stary prorok. — Skąd wiesz, że ona jest tutaj?

— Tak powiedziano jej ciotce. Pani Tournet mówi, że królowa chce się pozbyć głowy Menandra, albowiem spowodowała ona śmierć króla. A potem zechce usunąć i Sybillę, która przecież wie o wszystkim. — Mikołaj impulsywnie przyklęknął na jedno kolano, zdjął czapkę i przycisnął ją do serca. — Mistrzu, musicie mi pomóc. Błagam! Jeśli cokolwiek stanie się Sybilli, odbiorę sobie życie, a to złamie serce mojemu ojcu.

— Myślisz, że twoje serce to wytrzyma? — zachichotał stary doktor. — Ech, wy, młodzi! Kiedy ja byłem młody, też targła mną namiętność, lecz do wiedzy.

— Nie pragnę więcej wiedzy, niż posiadam. Pragnę tylko Sybilli. Zlitujcie się, mistrzu, pomóżcie mi ją uratować!

— Drogi młodzieńcze, życie często daje nam większą wiedzę, niżbyśmy pragnęli. Tak czy owak, widzę, że gotów jesteś wyciągnąć miecz i rzucić się w pojedynkę na całą gwardię pałacową, żeby tylko ratować pannę, a to byłoby całkiem bezowocne i znacznie przyspieszyłoby twój zgon. Dlatego odłóż to żelastwo i zdej się na mnie. Dziś o północy królowa przyjdzie tu na zamówiony seans. Mam plan.

— Plan? Tylko plan?

— To plan powzięty przeze mnie. Przez Nostradamusa, młody człowieku.

— Mam na imię Mikołaj.

— A zatem, Mikołaju, zostań tu i pomóż mi. Mam za stare i sztywne kości, żeby sam sobie ze wszystkim radzić. Nie wiem do prawdy, co ona sobie myśli! Żeby tak włóczyć mnie po całej Francji... Mogłem wysłać jej wróżbę pocztą — zrzędził stary doktor otwierając klatkę z gołębiami.

— Co mam robić? — spytał Mikołaj.

— Najpierw zajrzyj do tamtej skrzynki, o, tam, i znajdź mi ludzką piszczel.

— Co takiego?

— Kość goleniową. Jeżeli chcesz, mogę ci pokazać, jak się magnetyzuje kota.

— Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę! Patrz, co narobiłeś! — powiedziała do kuferka z Menandrem, który stał przede mną na zasłanej zgnilą słomą posadzce loszku. Jedynym źródłem światła

była migocząca świeca osadzona w tanim żelaznym lichtarzu. Którędyś szedł przeciąg, czułam bowiem chłodny powiew, ale w małym piwnicznym pomieszczeniu nie było okna, a po ścianach ciekła wilgoć. Nie było tu w ogóle niczego, nawet krzesła. Stopy mi zziębły, a posładki całkiem zdrętwiały od siedzenia na mokrym kamieniu.

— Cicho bądź. Myślę — doleciało z kuferka, po czym zapadła cisza.

Musiałam się chyba znajdować na samym dnie zamkowego donżonu w Chaumont. Ńa pewno zwabił mnie tu podstępem kto inny, nie królowa. Ktoś, kto chce mieć Menandra na własność— a to oznacza, że już długo nie pożyję. Czy ktokolwiek usłyszy moje krzyki spod ziemi, zza tyłu ciężkich drzwi? Biedny Mikołaj nawet nie będzie wiedział, co się ze mną stało...

Ta myśl przepeliła czarę goryczy i zalałam się łzami. Po co dano mi najwspanialszy dar — miłość, która rozpałiła we mnie płomień prawdziwej Sztuki, skoro to wszystko miało się tak nagle skończyć? Szlochałam aż do całkowitego wyczerpania. Po jakimś czasie usłyszałam chrobot w zamku. Drzwi otwarły się do wewnątrz, na progu stanął gwardzista z pękiem kluczy i płonąca pochodnią. Za nim bez słowa weszło jeszcze dwóch żołnierzy i wielki milczący typ w skórzanym fartuchu, dźwigający na ramieniu dużą sakwę, potem następny gwardzista z pochodnią, a na końcu królowa we własnej osobie. Odziana była w czerń, na twarzy miała gęsty żalobny welon. Ten welon nie wróżył nic dobrego.

— Panno de La Roque, mogłabyś przynajmniej wstać, kiedy twoja władczyni wchodzi do komnaty.

— Bardzo mi przykro, ale wszystkie stawy mam sztywne, a nogi całkiem mi zdrętwiały — odparłam, udając, że próbuję się podnieść. Ostatecznie tuż przed śmiercią dobre maniery przestają zajmować pierwsze miejsce w hierarchii wartości.

— Chyba rozumiesz, że to sprawa stanu, a nie żadna osobista uraza. Pozostaną po tobie twoje piękne wiersze. Mam nadzieję, że to cię pocieszy.

— Wolałabym pozostawić po sobie gromadkę dzieci. To co zamierzasz, najjaśniejsza pani, jest niegodne.

— Chcę zniszczyć Menandra, a ponieważ niestety jesteś nierozłącznie z nim związana, będę musiała wyrzec się twojej obecności na dworze.

Jej ton był zimny i okrutny; z trudem mogłam uwierzyć, że kiedyś wydawała mi się miła. Tak, Sybillo — pouczyło mnie moje wyższe

„Ja”. — Jak niewinne jagnię zaufałaś fałszywej słodyczy, a teraz jesteś stracona. Biedny Mikołaj na próżno będzie szukał twego grobu. Do końca życia będzie miał złamane serce. Jakież to poetyczne!

Ale moje niskie przyziemne „Ja” powiedziało do mnie: Nie pozwól jej tak łatwo przejść nad tym do porządku. Wbij jej w serce nóż wyrzutów sumienia i obróć kilka razy, może ją jeszcze skruszysz.

— Moja krew będzie wołać o pomstę do nieba — powiedziałam, ale jakoś wcale się tym nie przejęła.

— Już jestem przeklęta — odparła. — Dzięki tobie. To ty przywiozłaś mi tę złą diaboliczną istotę, która teraz spoczywa w kufrze u twoich stóp. Wiedziałaś, że przyniesie mi nieszczęście. To ty czarami spowodowałaś śmierć króla.

— Ośmielam się mieć inne zdanie. Ostatecznie to najjaśniejsza pani pragnęła zdobyć Menandra. Gdybyś pani po niego nie posłała, nie znalazłby się w moim posiadaniu i do dziś rysowałabym kwiaty i pisała wiersze w domu mego ojca, szczęśliwa jak ptaszek.

(W rzeczywistości wcale nie byłabym tam szczęśliwa, ale ona nie musiała o tym wiedzieć.)

— Tak właśnie się dzieje, kiedy niewiasta nie zadowala się swoim losem i dąży do sławy i wpływów — powiedziała królowa. — Niech to będzie dla ciebie nauczką: największą chwałą dla niewiasty jest jej służba rodzinie. Sama jesteś sobie winna. Masz doprawdy szczęście, że moje serce pełne jest miłosierdzia. Puchar i flaszka — rzuciła, wyciągając rękę do mężczyzny w fartuchu.

Mężczyzna wyjął z sakwy niewielką flaszkę i cynowy pucharek. Królowa wlała do niego zawartość flaszki. Na jej gest mężczyzna postawił puchar na ziemi obok mnie.

— Działa błyskawicznie — powiedziała królowa. — Możesz wybrać to albo powolniejszą śmierć. Sama rozumiesz, ten loszek jest ciasny. Nie chcę, żeby krew obryzgała mi suknię.

— Co to ma znaczyć?! — krzyknęłam, zrywając się na nogi.

— O, jednak możesz wstać? Zawsze wiedziałam, że jesteś po prostu krnąbrna. Tak... z pewnością sobie na to zasłużyłaś. Przytrzymajcie ją, póki nie zapieczętujemy skrzynki.

Podczas gdy ja szarpałam się w rękach strażników, mężczyzna w fartuchu wyjął z sakwy młotek i siedem długich stalowych gwoździ, i przebił nimi kuferek Menandra na wylot.

— Przestańcie! — dobiegł z wewnątrz skrzypiący głos. — Zakłóćcie mi tok rozumowania.

— Zapewniam cię, że od tej chwili będziesz miał absolutny spokój — syknęła królowa.

— Co chcesz zrobić? — krzyknęłam.

— Zamknę drzwi za sobą, a potem każę je zamurować tak, że nikt nawet nie domyśli się ich istnienia. Moi słudzy, których tu widzisz, zostali wybrani dlatego, że są niemi. Nie pisną ani słowa o twoim losie. Nie będą też rozpowiadać o straszliwych czarach, za pomocą których zabiłaś króla. Oboje, ty i Pan Wszelkich Życzeń, zostaniecie pochowani na wieki.

— To kłamstwo! Sama do tego doprowadziłaś swoimi życzeniami! — krzyknęłam i ugryzłam gwardzistę, który mnie trzymał.

Rzuciłam się w stronę drzwi, chcąc przez nie wybiec, nim zamkną się na zawsze. Złapały mnie mocne dłonie. Posłyszałam trzask rozdzieranej sukni i wyrwałam się ponownie, obiema rękami sięgając szat królowej. Krzyknęła z oburzeniem: „Jak śmiesz!”, a olbrzymi gwardzista złapał mnie wpół jak pęczek łachmanów i wrzucił z powrotem do loszku z takim rozmachem, że odbiłam się od przeciwległej ściany. Drzwi zatrzasnęły się; pamiętam, że nim światła pochodni zniknęły mi z oczu, królowa powiedziała jeszcze: „Co za niesłychany tupet!”

Wszystko mnie bolało. Świeca przewróciła się i zgasła na mokrej posadzce. Samotna w ciemności, posłyszałam okropny zgrzyt klucza obracającego się w zamku. Zaczęłam macać rękami wokół siebie. Puchar też się przewrócił, wszystko się wylało. Jak długo trwa, nim człowiek umrze z głodu?, pomyślałam.

Zza drzwi dobiegły chłainięcia rzucanej zaprawy i chrzęst kielni.

— Wypuść mnie, wypuść! — krzyknęłam. — Nic nie rozumiesz! Menander nie może już spełniać życzeń, jest zajęty!

Doleciała mnie stłumiona przez grube deski odpowiedź królowej:

— Ależ moja droga, to ty nic nie rozumiesz. Nie chcę, abyś rozpowiadała po całej Francji, jaki skutek odniosły moje życzenia.

— To niesprawiedliwe! — wrzasnęłam ku zamkniętym drzwiom.

— Życie nie jest sprawiedliwe — rzekł oddalający się głos. Potem słyszałam już tylko brzęk kielni i chrobot układanych cegieł.

Nie poddam się. Nie poddam się. Mikołaj mnie potrzebuje, myślałam, gorączkowo obmacując posadzkę. W końcu znalazłam lichter. Miał uchwyt, kolistą krawędź i szpikulec, na którym osadzano świecę. Przypomniałam sobie jeszcze coś. Drzwi otwierały się do środka. To nie było więzienie, tylko jakiś składzik, miejsce, w którym nikt by nie szukał żywego człowieka, które można zamurować i nikt się

tym nie przejmie. Wielkie zawiasy drzwi znajdowały się wewnątrz. Jeśli zdołam wyjąć bolce i otworzyć drzwi, mogę lichtarzem wyskrobać zaprawę spomiędzy cegieł, nim stwardnieje na kamień. Ile czasu to potrwa? Przycisnęłam ucho do drzwi. Cisza. No tak, przecież z tamtej strony jest ściana. Jeśli królowa postawiła tam strażnika, usłyszy mnie. Ale zaraz, skoro ja go nie słyszę, on też mnie nie usłyszy, prawda? Dlaczego baczniej nie przyjrzałam się drzwiom, póki jeszcze miałam światło? A jeśli zawiasy są na zewnątrz? A jeśli są zardzewiałe i nie dadzą się poruszyć? Przerażona, zimnymi jak lód palcami zaczęłam w ciemności obmacywać drzwi.

ROZDZIAŁ XXIII

Pyzaty księżyc dziesiątkiem wykrzywionych fragmentów zaglądał przez oszklone zielonymi gomółkami okno do pracowni astrologa. Przy pomocy Mikołaja Nostradamus przygotował komnatę do wieszczego seansu, który miał się tu odbyć na rozkaz królowej. W czterech rogach zwierciadła z wypolerowanej stali prorok wypisał cztery święte imiona krwią gołębia samca, po czym okrył zwierciadło nigdy nie używaną białą lnianą chustą. Następnie zwęglonym końcem krzyża nakreślił na podłodze podwójny okrąg oraz święte symbole. W tym czasie Mikołaj posprzątał komnatę, ułożył na podłodze ludzkie kości, złapał czarnego kota i zahipnotyzował go. Czaszka, piszczel i zeszywniałe, choć żywe zwierzę wyznaczały trzy punkty na magicznym okręgu. W lesie za murami zamku zahukala sowa.

— Przyjdzie tu o północy — rzekł stary prorok. — Bardzo mi przykro, musisz jednak usunąć się z tej komnaty na czas, kiedy będę wywoływał duchy. My będziemy wewnątrz magicznego kręgu, ale ty...

— Będziecie pamiętali o Sybilli?

— Jak mógłbym zapomnieć? Musisz mi zaufać. Jeśli chcesz, możesz zacząć się w pobliżu. Kiedy królowa wyjdzie, wróć, a powiem ci, jak poszło.

— Mistrzu — Mikołaj znów zdjął czapkę i ukląkł przed starym mędrcem — jeśli wasz plan ocali życie Sybilli, nadam pierworzodnemu synowi wasze imię.

No, no, pomyślał Nostradamus patrząc, jak młodzieniec wymyka się z komnaty. I kto to powiedział, że dzisiejsza młodzież nie wie, co to dobre maniery? Ten młodzieniec potrafi okazać szacunek mądrzejszemu od siebie.

Pięć minut przed północą niska tęga kobieta w czerni pojawiła się przed drzwiami pracowni astrologa, zostawiając swoje towarzyski na zewnątrz. Stary doktor osobiście wprowadził ją do magicznego kręgu. Jej dłoń lekko drżała, pulchna twarz była biała jak chusta.

— Gdzie jest zwierciadło? — spytała.

— Tam, na kominku, na razie jeszcze zasłonięte, wasza wy-sokość.

— Jak... jak ono działa?

— Nie działa samo. Musimy wezwać potężne siły. Pozostań, pani, wewnątrz magicznego kręgu, gdzie nic ci nie grozi.

Wypukłe oczy Katarzyny rozszerzył zabobonny lęk, lecz pomimo to pewnym krokiem weszła do kręgu.

— Muszę znać los moich synów i tronu Francji — oznajmiła.

— Moc magicznego zwierciadła jest w takich wypadkach niezawodna — rzekł Nostradamus, odsłaniając stalowy prostokąt stojący na kominku.

Nie mogłaś się oprzeć pokusie, myślał. Wplątałaś Menandra w przyszłość swoich dzieci, a teraz ja muszę uporać się z bałaganem, którego narobiłaś, i na dodatek jeszcze wywinąć się od stryczka. Cóż, najlepiej ochronią mnie zabobon i strach.

Teatralnym gestem oprószył ziołami żarzące się w atanorze węgle. Uniosła się chmura dziwnie pachnącego dymu.

— Co to? — zaciękała się królowa.

Hm, pomyślał Nostradamus, pewnie zechcesz wypróbować to sama', gdy tylko wrócę do domu. Powinienem okrasić rytuał paroma mądrze brzmiącymi zdaniem w obcych językach.

— To szafran — rzekł. — Aromat szczególnie miły Anaelowi, strażnikowi przeszłych i przyszłych dziejów.

— Aniołowi Wenus... — szepnęła królowa. — Mam go na talizmanie. — Nerwowo zacisnęła dłoń na magicznym amulecie zawieszonym na szyi.

— On jest bramą przyszłości, szafarzem tajemnic, których szukasz, pani — oznajmił Nostradamus i zaczął śpiewać tak namaszczo-nym głosem, że królowa nie ośmieliła się mu przerwać. W końcu wśród niezrozumiałych słów wyłowiła wypowiedziane po francusku: — *O Roi éternel! O Ineffable! Daignez envoyer à votre serviteur très indigne votre ange Anaël sur ce miroir...*

Wzywa Anaela. Nareszcie, pomyślała i przesyłał ją dreszcz. Jakże potężny i niebezpieczny był człowiek, który potrafił zawezwać tak możliwe duchy z tamtego świata!

Zwierciadło poruszyło się bez ludzkiego udziału. Nie opierało się już o komin, lecz stało prosto, jakby podtrzymywane niewidzialną siłą. Potem mroczny cień podobny do olbrzymiej dłoni uniósł je nieco i przechylił tak, że zaczęło odbijać inny, niewidzialny na co dzień świat, znajdujący się gdzieś poza komnatą w wieży. Wokół zwierciadła kołysały się dziwne światła, migoczące na granatowym tle. Czy to, tam, pod wysokim sklepieniem komnaty, to twarz? Olbrzymie, przerażające i nieziemsko piękne oblicze patrzyło na nią przedwiecznymi żółtymi oczyma...

— Ukaż nam, Anaelu, los tronu Francji... — zaintonował Nostradamus.

Obraz w zwierciadle zmienił się. Ukazywał teraz mroczną komnatę obwieszoną draperiami w kolorze skrzepłej krwi. Do komnaty wszedł Franciszek uginając się pod nowymi szatami koronacyjnymi. W prawej ręce miał berło. Wyglądał tak samo jak wtedy w katedrze. Miał szesnaście lat i ciekło mu z nosa.

— Mój syn, król... — szepnęła Katarzyna Medycejska.

Chłopiec powolnym, majestatycznym krokiem obszedł komnatę dookoła.

— Co to znaczy? — spytała.

— Pst! — uciszył ją Nostradamus.

W zwierciadle pojawiła się druga zjawia. Jej synek Karol, niewiele, może tylko o rok starszy niż w tej chwili, ugiął się pod ciężarem korony królów Francji, berła i szat za dużych na jego małą postać. Bezgłośnie zaczął okrążać komnatę dookoła. Raz, dwa, trzy.... — liczyła w myśli królowa. Gdy doliczyła do czternastu, zjawia zniknęła.

I nagle Katarzyna zrozumiała okrutną sztuczkę, jaką zrobił Menander, spełniając jej najdroższe życzenie. Jakby na potwierdzenie w zwierciadle pojawiła się trzecia postać — przystojny, wymuskany młody mężczyzna z kilkoma brylantowymi kolczykami w uszach. Korona robiła na jego głowie wrażenie wulgarnej błyskotki. Oczy miał wąskie, twarz złośliwego intryganta. Kto to? Serce matki poznało Henryka, ulubieńca, ślicznego pieszczoszka, który wyrósł na takiego człowieka... Drobiąc obutymi w jedwabne pantofle stopami Henryk zaczął okrążać komnatę. Królowa doliczyła się piętnastu okrążeń, nim wizja znikła. Menandrze, ty diable wcielony, pomyślała. Uczyniłeś wszystkich moich synów królami tego samego kraju! Wszyscy umrą młodo. Franciszek będzie panował tylko rok. Karol czternaście lat — a to oznacza, że nie dożyje trzydziestki. I Henryk. Jej śliczny, uroczy,

słodki Henryś. Serce zaciążyło jej w piersi jak kamień. A gdzie jest Herkules? Następny musi być Herkules albo wnuk. Tak, pewnie wnuk. Pokażcie mi, że wszystkie moje starania nie poszły na marne. Z początku nie rozpoznała postaci w zwierciadle. Mężczyzna był niski i żyłasty, kroczył żwawo i sprężysto, a jego twarz nie miała w sobie rysów Walezjuszy. Chociaż jego nos... ten wielki nos wydawał się znajomy. Nos starego króla Franciszka, a raczej jego siostry, sterczący z oblicza... Niel Na Boga! To musi być... Tak, to syn króla Nawarry i tej zarozumiałej, pruderyjnej protestantki, Joanny d'Albret! Burbonowie przejęli tron!

— Nie! — krzyknęła. — Nie!

— Ciszej! — syknął ze złością Nostradamus. — No i patrz, najjaśniejsza pani, co zrobiłaś. Czterdzieści dwa dni przygotowań, a ty zniszczyłaś zwierciadło.

Istotnie, stalowy prostokąt znów opierał się o komin, odbijając tylko fragment pokrytej tynkiem ściany. Z atanora wciąż jeszcze unosił się aromatyczny dym, księżyc zaszedł i komnatę oświetlały jedynie dopalające się świece ustawione na stole, skrzyni i pulpicie w kącie. Za oknami nieprzenikniona ciemność zdawała się otulać świat welonem rozpacz i śmierci.

— Nie muszę wiedzieć więcej — powiedziała królowa zimnym, nieobecny głosem. — A raczej jest tylko jeszcze jedna rzecz, ale ty mi jej nie powiesz.

— Mianowicie?

— Jaką magią mogłabym odwrócić czyny tej strasznej głowy.

— Jakiej strasznej głowy? — Nostradamus miał minę pięcioletniego dziecka.

— Kosma Ruggieri, oby Bóg pokarał go ślepotą, powiedział mi, że mogę spełnić wszystkie swoje życzenia za pośrednictwem nieśmiertelnej głowy Menandra Maga.

— Podczas moich studiów wielokrotnie natknąłem się na wzmianki o niej. Czy przypadkiem nie jest przechowywana w posrebrzanej szkatule, której wieko zdobi wizerunek bóstwa o koguciej głowie?

— A więc wiesz o nim! Pomóż mi, mistrzu. Czy będę żyła dostatecznie długo, żeby naprawić zło?

Nostradamus przyjrzał się jej ukradkiem. Dorzucił szczyptę ziół na żarzące się węgle i udał, że wchodzi w trans.

— O Anaelu, ześlij mi wizję — zaintonował. — Tak... tak... widzę! Widzę ogniste słowa wypisane na nocnym niebie...

— Jakie słowa? — krzyknęła królowa.

— Życie królowej zakończy się w jeden dzień po tym, jak osoba, w której pieczy jest teraz Nieśmiertelny, wyda ostatnie tchnienie.

— Ależ to niemożliwe, to niepodobna! — zawołała Katarzyna. — Właśnie ją pogrzebałam, to jest... jeśli otworzę grób, ktoś inny może zdobyć głowę i wykorzystać ją przeciwko mnie...

— Gdzie... gdzie ja jestem? — wymamrotał Nostradamus udając, że odzyskuje przytomność.

— Zamurowałam... tego demona. Nie mogę wypuścić go na wolność, choćby miało to mnie kosztować życie.

— Najjaśniejsza pani, skłonna jesteś do wielkich poświęceń. Wiedz jednak, że mam w swym posiadaniu pewien starożytny tekst, w którym podano, jak raz na zawsze zniszczyć moc magicznej głowy.

— Przecież nie sposób jej zabić — rzekła królowa rozgorączkowanym głosem.

— Nie, ale można wprowadzić ją w taki stan, że nie będzie już zdolna porozumiewać się z żywymi. Zechce wasza wysokość spojrzeć...

— Nie potrafię tego odczytać.

Naturalnie, że nie, pomyślał Nostradamus. W przeciwnym wypadku wiedziałabyś, że jest to zaklęcie sprowadzające ulewny deszcz.

— Wobec tego zapiszę waszej wysokości, jak należy to wymówić.

Z napomknięć Mikołaja Nostradamus wnioskował, że Sybilla wypełniła polecenia, które przesłał ciotce wraz z horoskopem, i głowa jest już na stałe zaprzątnięta niewykonalnym zadaniem. Ale znał królową. Pasjonowała się czarną magią, wszystkiego chciała dokonać sama i święcie wierzyła we własną moc. Jeśli będzie przekonana, że to ona zwyciężyła Menandra, być może okaże Sybilli wspaniałomyślność i przynajmniej przez jakiś czas będzie żyła złudzeniem, że zdoła odwrócić zło, jakiego sama stała się przyczyną. A to wszystkim wyjdzie tylko na dobre, ocenił w duchu prorok, przepisując na kawałku pergaminu całkowicie bezużyteczną, lecz bardzo wymyślnie brzmiącą formułę.

— Co oznaczają te symbole? — spytała królowa, której nie wiadomo dlaczego nagle zaczęło się spieszyć.

— To jest znak krzyża świętego, a to kolisty gest, który musisz wykonać, pani, a to znak trzygłowej bestii. Robi się go tak...

— O... — wypukłe oczy królowej rozszerzyły się jeszcze bardziej niż zwykle, gdy uświadomiła sobie, że jest wprowadzana w najwyższe arkanę magii.

— Nie zwlekaj, pani — rzekł prorok. — Musisz żyć. Objawiono mi, że tylko ty możesz ocalić królestwo.

Nostradamus zamiatał właśnie z podłogi popiół i resztki magicznego kręgu, gdy do komnaty wpadł Mikołaj.

— O, jesteś, młody człowieku. Możesz pozbierać te kości? Doskwiera mi podagra. Zresztą człowiek w moim wieku nie powinien się schylać.

Kiedy Mikołaj podniósł piszczel, kot ocknął się, nastroszył ogon i z przeraźliwym miauknięciem czmychnął pod łóżko.

— Gdzie Sybilla? Czyście ją uratowali, mistrzu? Powiedzcie tylko, gdzie ona jest, a wyrąbię sobie drogę do niej rapierem.

— Możesz się już o nią nie martwić, chłopcze. Dzięki danej mi mocy wiem, że królowa do końca życia będzie się nią bardzo troskliwie opiekować.

Tymczasem Katarzyna schodziła w pośpiechu do podziemi, omiatając jedwabną suknią wąskie schody. Towarzyszyło jej dwóch robotników z kilofami i gwardzista niosący pochodnię. Przeszli przez najgłębszą piwnicę, w której stały okryte kurzem beczki z winem, i stanęli przed świeżo wymurowaną ścianą zasłaniającą wejście do składziku, w którym przechowywano dawniej najrzadsze, wybrane gatunki i roczniki win. Jedna z cegieł została wypchnięta z muru i leżała roztrzaskana na kamiennej posadzce. Zza ściany dochodziło gorączkowe skrobanie.

— Nieposłuszeństwo, zwykłe nieposłuszeństwo — mruknęła królowa widząc w świetle pochodni wyłupaną cegłę. — Ciekawe, jak zamierzała sforsować następne zamknięte drzwi. A w ogóle jak śmiała sprzeciwiać się mojej woli? To ja stanowią tu prawo.

Ruchem ręki wskazała prostokąt nowych cegieł.

— Zburzcie tę ścianę — poleciła robotnikom.

Gdy ucichł huk kilofów, nowy odcinek muru leżał w gruzach, a blask pochodni ujawnił, że drzwi do loszku zostały wyjęte z zawiasów i leżą na ziemi, przywalone kawałkami cegieł. W pomieszczeniu panował straszliwy nieład. Z kąta wychylała się oszołomiona i niezbyt przytomna twarz obszarpanej, brudnej młodej kobiety. Dziewczyna wykorzystała do ataku na mur każdy twardy przedmiot, każdy kawałek metalu, jaki zdołała znaleźć — szpilki przytrzymujące kryzę, listwy gorsetu, pucharek i lichtarz, który nie wytrzymał tak brutalnego traktowania i rozpadł się na części. W zakrwawionej, owiniętej strzępami

halki dłoni ścisnęła żelazny szpikulec, najwyraźniej nie mając zamiaru poddać się bez walki.

— Kiepsko wyglądasz — odezwała się królowa. — Mam nadzieję, że nie nawdychałaś się zbyt wiele ceglanego pyłu. To szkodzi na płuca.

— Zamurowywanie żywcem też jest bardzo szkodliwe dla zdrowia — odparłam sarkastycznie.

— Ależ, drogie dziecko, to była tylko taka mała próba, której chciałam cię poddać. Próba... lojalności. — Wzrok królowej uciekł w bok, jakby szukała w myśli bardziej przekonującego kłamstwa.

— P r ó b a ? — wrzasnęłam z urazą. — Zamurowałaś mnie, pani, żeby poddać mnie próbie?

— Tak. Chciałam sprawdzić, czy jesteś godna... Bardzo proszę, odłóż ten szpikulec i podaj mi kuferek, który stoi tam w kącie. Muszę bezzwłocznie zrobić coś bardzo ważnego.

— Godna czego? — spytałam i ostrożnie sięgnęłam po kuferek nie spuszczać z niej oczu. Nie miałam zamiaru odłożyć złamanego lichtarza. Powoli, nieufnie podałam królowej sponiewieraną, przebitą gwoździami szkatułę Menandra.

— Chcę cię wynagrodzić za... za milczenie. Najpierw jednak musiałam unaocznić ci moją potęgę. Nagroda będzie hojna, ale o tym pomówimy za chwilę.

Wyjęła kawałek pergaminu i zaczęła odczytywać nad szkatułą dziwaczne sylaby, robiąc przy tym znak krzyża i machając ręką w koło. Niezrozumiałą przemowę zakończył jeszcze jeden, mgliście obsceniczny gest.

— Nareszcie — oznajmiła z westchnieniem. — Zapieczętowałam jego moc. Sprawdźmy, czy to działa. — Gwałtownie zakolebała skrzynką w przód i w tył.

— Nie przeszkadzaj. Myślę — dobiegł z wewnątrz cichy, zgrzytliwy głos.

— Obudź się, obudź się, stara mumio! Mam kilka życzeń! — zawołała królowa.

— Nie zwracaj mi głowy swoimi życzeniami. Odejdź. Jestem zajęty — rzekł Menander.

— Znakomicie. Po tylu wiekach ja, Katarzyna Medycejska, unieszkodliwiłam tę przekłętą nieśmiertelną głowę. — Królowa była bardzo z siebie zadowolona. Tak bardzo zadowolona, że nie dostrzegła mojego cynicznego uśmiechu. Zresztą w lochu i tak było ciemno.

— Skończyłaś, pani? — zapytałam kwaśno.

Czułam się śmiertelnie wyczerpana.

— Moja droga, stanowczo powinnaś popracować nad swoimi manierami — powiedziała królowa. — Jak to dobrze, że jestem po-błażliwą władczynią. Planowałam... zaraz, zaraz, który to jest wolny? Chyba Beauvoir. Znakomite położenie, świeże powietrze i, o ile sobie przypominam, piękny sad. Owoce przedłużają życie. Dam ci przepis na konfiturę z rajskich jabłuszek, to niezawodny środek na gorączkę. O czym to ja... ach, tak. Planowałam w uznaniu twoich przeszłych i przyszłych zasług dla Korony uczynić cię hrabiną. I co ty na to? Czy nie jesteś wdzięczna i szczęśliwa?

— O, tak, wasza wysokość. Dozgonnie wdzięczna — odparłam ostrożnie.

— Rada jestem, że się rozumiemy. Boże, ależ zniszczyłaś sobie ręce! Jest i na to lek: najczystsza oliwa z wyciągiem z nagietka i maleńką szczyptą sproszkowanej mumii. Cudownie odżywia skórę, jak zapewnił mnie doktor Fernel...

Ta kobieta zwariowała, pomyślałam. Moje niższe „Ja” podsunęło skwapliwie: przytakuj jej, a może uda ci się stąd wydostać.

— Tak? — odezwałam się uprzejmie. — Bardzo chętnie wy-próbuję ten specyfik.

— Mam go w swoich zapasach. Ale najpierw będzie ci potrzebna nowa suknia. W tej, którą masz na sobie, nie możesz się pokazać, a tym bardziej podejmować mnie w swojej nowej posiadłości. Moja garderobiana na pewno znajdzie coś, co po niewielkich przeróbkach... ach, tak, i te stopy! Za wszelką cenę trzeba je będzie schować... Jakim cudem masz takie wielkie nogi? Dotychczas tego nie zauważyłam....

Kompletnie zbkikowała, myślałam, wychodząc za nią z lochu. Kolana się pode mną trzęsły — ostatecznie o włos uniknęłam śmierci — a na sercu ciążyła mi obawa przed dalszymi zamysłami królowej. Chyba nie bawi się ze mną jak kot z myszą? A może ten morderczy zamach był efektem przejściowego zaćmienia zmysłów, którego teraz żałuje? Oszalała z rozpacz po utracie męża — orzekło wspaniałomyślnie moje wyższe „Ja”, a niższe nie omieszkalo dodać: — I na dodatek musiała ustąpić swego miejsca tej zarozumiałej, rozkapryszonej królowej Szkocji, której szczerze nie znosi. Oby tylko się nie rozmyśliła, nim mnie wypuści. Co do reszty... plotła bzdury, pewnie w obłędzie. Hrabina, a jakże! Chce mnie przekupić czy uspić moją czujność?

Kiedy weszliśmy do pogrążonej w zimnym świetle przedświt komnaty, w której służebna rozpałała właśnie ogień na kominku,

zaczęłam się zastanawiać, czy to wszystko mi się nie śni. Królowa osobiście rozkazała mnie nakarmić, napoić, umyć i ubrać. Odświeżenie mego nadwerężonego ciała podniosło mnie również na duchu. Odzyskałam dech w piersiach, a krew znów rytmicznie zaczęła mi krążyć w żyłach. Szaleństwo możnych da się znieść, jeśli tylko człowiek ma z niego korzyści — podszeptęło cynicznie moje przyziemne „Ja”. Hm... gdyby nieco zgrabniej ująć to zdanie, dałoby się z niego ukuć całkiem mądry aforyzm. Mogłabym go wpleść w któryś dialog. W jakiej mitologicznej scenerii go osadzić? Rzeczywiste postaci musiałyby wystąpić w maskach... Ciekawe, czy królowa wciąż ma zamiar być protektorką moich artystycznych dokonań? A może powinnam je wydać własnym sumptem?...

Okno w pracowni astrologicznej zostało otwarte, by wywietrzyć resztki dymu z atanora, i teraz wschodzące słońce barwiło framugę na różowo. Odzywały się głosy budzących się ze snu ptaków. Michał de Nostre-Dame i Mikołaj Montvert siedzieli obok siebie na łożu. Stary człowiek cierpliwie przysłuchiwał się młodemu, który załamywał ręce i bez przerwy mówił udręczonym głosem. Godziny, które minęły od seansu, wlokły się jak dni — zwłaszcza że młodzieniec najwyraźniej postanowił opowiedzieć prorokowi całe swoje dotychczasowe życie.

Uff! Nie mógłbym być księdzem, pomyślał Nostradamus. Te nudne, pospolite spowiedzi... Po pewnym czasie człowiek zatęskniłby za zbrodnią.

— ...i w końcu ojciec zgodził się na ślub. Wracalem z Genui na złamanie karku, dniem i nocą. Zajeżdżilem trzy konie i okulałem dwa...

— To rzeczywiście szybko — kiwnął głową prorok.

— W Genui uczyłem się prowadzić interesy. Wiem, że uznacie to za niegodne zajęcie. Ja też tak sądzę, a raczej dawniej tak sądziłem. Chciałem być poważany, a że nie mogłem zyskać tytułu szlacheckiego, planowałem zostać uczonym... podjąłem nawet studia w paru dziedzinach... Ale wiecie, w dzisiejszych czasach bankierzy co dzień stykają się z książętami i wielu dochodzi do najwyższych zaszczytów. Spójrzcie na Gondiego, na Biraques'a! Dotarli na sam szczyt, a więc to nie jest niemożliwe. Tyle że trzeba ruszyć głową. Widzicie, bez pieniędzy nie da się rozpocząć żadnego wielkiego przedsięwzięcia, tak że w końcu to nie władcy, a bankierzy decydują, czy będzie wojna czy pokój. Weźcie na przykład ostatnią wojnę...

— Mój chłopcze, pozwól, że zdradzę ci Tajemnicę Wszech Czasów — wpadł mu w słowo Nostradamus. — Kiedy jako młody człowiek szukałem wiedzy... po pewnym nieprzyjemnym interludium, którego nie chciałem omawiać, postanowiłem zgłębić Tajemnicę Szczęścia, która jest najważniejszą ze wszystkich Tajemnic...

— Ach, tak? — rzekł uprzejmie Mikołaj, myśląc: Starzy ludzie strasznie lubią gadać. Przez szacunek muszę udawać, że go słucham.

— Pierwszą tajemnicą jest wybór idealnego życiowego partnera. Drugą znalezienie popłatnego zajęcia, a trzecią czynienie dobra, ilekroć ma się po temu okazję.

— Mistrzu, ale to są już trzy tajemnice — zauważył Mikołaj.

— W ogólniejszym sensie, jeśli się nad tym głębiej zastanowisz, odkryjesz, że wszystkie składają się na jedną. Istnieje tylko jedna tajemnica. To miłość.

— Miłość? — ożywił się Mikołaj.

— Tak, miłość. Do bliźnich, do świata, do wiedzy, do swojego zawodu... tylko miłość, choć jak widzisz, dość szeroko interpretowana.

— Hm, to... tak, no... to rzeczywiście tajemnica — rzekł Mikołaj, starając się być miły. Myślał: doktorek goni w piętke. Pewnie biedak nie dosypia.

— Niewielu ją posiadało, choć mógłbyś krzyczeć o niej z dachu — podjął Nostradamus. — Ale ja się nie skarzę. O wiele większy prorok ode mnie próbował powiedzieć światu to samo i Jego też nikt nie słuchał...

W tejże chwili drzwi do komnaty rozwarły się i stanął w nich lokaj, który zaanonsował królową Francji. Nostradamus powstał z miejsca. Widząc osobę, która weszła w ślad za Katarzyną, rozgrzeszył się w duchu z oszustwa i poczuł dumę z własnej przebiegłości.

— Spójrz, Mikołaju, oto twoja ukochana — rzekł. — Wygląda prześlicznie, słowo daję!

Ale Mikołaj już był na nogach, już biegł do drzwi. Młodzi rzucili się sobie w ramiona, płacząc i wykrzykując słowa bez związku, patrząc na siebie tak, jakby nie mogli się dość napatrzeć.

Na ten widok łaskawy uśmiech spelzł z twarzy królowej. W jej oczach pojawił się zły, zawistny błysk, który nie uszedł uwagi proroka. Nostradamus skłonił się nisko.

— Najjaśniejsza pani — powiedział — zapiszesz się złotymi zgłoskami w annałach Francji, ale bardziej jeszcze w tajnych annałach sztuk okultystycznych, jako że twą potężną mocą zwyciężyłaś niezwykłego!

Westchnął z ulgą widząc, że zły blask gaśnie. Pulchna twarz królowej wykrzywiła się w nagłym spazmie rozpacz.

— Ja? Zwycięzczynią? — szepnęła. — Przez całe życie pragnęłam tylko, żeby mąż mnie miłował, a ta istota odebrała mi wszelką nadzieję.

— Nie trać jej, pani — rzekł Nostradamus, choć wiedział, że królowa ma rację. — Póki życia, poty nadziei. Bóg widzi wszystko.

— Bóg? Gdzie był Bóg, gdy przyłbica się otwarła? — rzuciła gorzko Katarzyna.

Patrząc na nią, Nostradamus miał dziwne uczucie, jakby słyszał przemianę zachodzącą w jej złamanym, pustym sercu. Czarne wyrzuty sumienia i gorzka zawiść, podsycane gniewem i pragnieniem zemsty warzyły się, bulgocząc, w tajnych komorach jej duszy, wydzielając trujący dym. Aura królowej wiała się i trzęsła jak kokon, w którym larwa ulega metamorfozie, jak jajo jadowitego węża pulsujące nie narodzonym jeszcze życiem. Potem jajo pękło; wielki, okryty łuską kształt wznosił się chwiejnie i otoczył tęgą kobietę w czerni.

Będąc filozofem, Nostradamus zapanował nad twarzą, choć krew stężała mu w żyłach, a włos zjeżył się na karku. To ostatni dar Menandra, pomyślał. Stworzył potwora i umieścił go w sercu historii. Jej zbrodnie będą się odbijać w czasie i przestrzeni niczym fale na stawie, będą obmywać nieznanne, obce lądy, które jeszcze nie wiedzą o jej istnieniu. Widział ulice Paryża usłane martwymi ciałami mężczyzn, kobiet i dzieci; widział uwijających się pomiędzy stosami zwłok uzbrojonych szaleńców, spuszczonej ze smyczy na jej rozkaz. Wody Sekwany były czerwone od krwi.

Odetchnął głęboko i zamrugał oczyma. Sybilla i Mikołaj nie wiedzieli o bożym świecie, słudzy i lokaje też niczego nie zauważyli.

— Dziś zajmiecie honorowe miejsca przy moim stole — powiedziała królowa i tylko on słyszał w jej słowach syk węża.

Popatrzył na młodych, trzymających się za ręce, i pomyślał: Mają dość rozumu, by się o siebie zatroszczyć— zwłaszcza gdy przekonałem królową węży, że jej życie zależy od dobrobytu Sybilli. Wystarczy. Powinienem wrócić do domu.

Gdy Sybilla i Mikołaj odjechali na koniach ze stajni królowej, obładowani podarkami i eskortowani przez dwóch zbrojnych, których zadaniem było dopilnować, aby narzeczonym włos z głowy nie spadł w drodze do Paryża, Nostradamus zasiedział się do późna w pracowni. Ogień w atanorze wygasł, komnata była zimna i pusta. Płomyk jedynej świecy pełgał niemrawo, a stary prorok siedział przy stole przewracając karty starożytnej księgi, której wcale nie miał ochoty czytać.

- Michale? — rozległ się czyjś głos.
- O, Anaelu, wróciłeś! Jest mi zimno i smutno, noga mnie boli i tęsknię za rodziną. Do domu jest tak daleko! Na dodatek mój przyjazd do tego kraju nie przyniósł żadnego pożytku. Zawiodłem. Wojna jest już pewna, pytanie tylko, kiedy wybuchnie. Boże, dopomóż nam wszystkim!
- Michale, będzie tu aż sześć wojen religijnych. Oczywiście to zależy, jak je liczyć...
- Nie musiałeś mi tego mówić.
- Wróciłem, żeby cię powiadomić, że podjąłem decyzję. — Anael wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Iskierki w jego granatowym ciele podskakiwały radośnie.
- Nie dopuścisz, by ta żmija objęła władzę?
- O nieba, nie! Tego nie jestem w stanie zrobić. Jej rządy już leżą w mojej historycznej szafie. Po śmierci pierwszego syna odesłał szkocką królową do Szkocji i zacznie manewrować następnym. Biedny chłopak w końcu umrze ze zgryzoty, dokonawszy wiele zła na jej rozkaz.
- Anaelu, jesteś po prostu wstrętny. Nie mam dziś nastroju, żeby słuchać takich rzeczy.
- Wcale nie jestem wstrętny — duch wyprostował się i strzepnął czarnymi skrzydłami. — Wiedz, że jestem bardzo rozsądny i delikatny. Nie tylko cierpliwie znoszę twoje grymasy, ale także podjąłem pewną ważką decyzję: mam zamiar pomóc tej kościstej panie pisać dzieła historyczne. Wyświadczę tym przysługę całemu światu. Jej poezja, z jednym chwalebny wyjątkiem, przyprawia mnie o dreszcze. Trzeba ją zachęcić, żeby zajęła się czym innym.
- Czytałeś ten kwiatowy trybut dla dam dworu? Ohyda! Przysłała mi kopię, wiesz? Przewiązaną różową kokardką! Podstępna pani Gondi jako biały bez, pani d'Elbène jako konwalia i tym podobne niezliczone brednie. — Nostradamus wzdrygnął się z obrzydzeniem.
- Ale panie łyknęły to gładko, sam przyznasz. Obawiam się, że teraz będziemy świadkami nawały jeszcze ohydniejszych naśladownictw. Sam więc widzisz, pomagając jej pisać poważne dzieła zamiast tych okropnych, a tak chętnie kopiowanych wierszyków, ocalę Francję przed pogrążeniem się na całe dziesięciolecia, a może i wieki w powodzi złej literatury. Czyż to nie dobry uczynek? Czymże jest naprawa dziejów politycznych w porównaniu z postępem w Sztuce? Jeśli już mam wtykać swoje trzy grosze, wolę manipulować historią wyższego rzędu, bardziej uduchowioną, bardziej wartościową — Anael napuszył się, dumny ze swego nowego pomysłu.

— Anaelu, doprowadzasz mnie do szalu — rzekł Nostradamus.
— To pewnie klątwa Menandra.
— O, nie! — Anael uśmiechnął się radośnie do starego doktora.

— To kwestia temperamentu. Wy, biedni śmiertelnicy, tak szybko starzejecie się i gorzkniejecie, podczas gdy ja jestem dopiero u zarania życia. — Rozpostarł na całą długość swoje czarne skrzydła, nagie niebieskie ramiona i przejrzyste jak dym dłonie. Przez jego niebieski tors przebiegła jakby fala, wirujące iskiereki zatańczyły od nowa. Anael naprawdę był bardzo urodziwy... — i w pełni tego świadom.

— A zatem na straży dziejów stoi istota, która nie tylko jest strasznym bałaganiarzem, ale też nieodpowiedzialnym dzieckiem?

— Michale, stanowczo nie będę z tobą rozmawiał w tym duchu — rzekł Anael. — Jedź do domu i niech żona ugotuje ci porządny obiad, inaczej po prostu nie będę mógł dotrzymywać ci towarzystwa, niezależnie od wyroków Losu.

— Bo oni tu używają za mało czosnku! — sarknął Nostradamus, lecz Anael już zniknął.

EPILOG

Była letnia noc, tak gorąca, że nawet świerszcze nie mogły usnąć, a gwiazdy pulsowały z upału. Bruk uliczny w Salon zionął ciepłem, oddając je ciemnemu niebu Południa. W mrocznym ogrodzie Nostradamusa pod drzewami pluskała fontanna. Okiennice sypialni były otwarte na wypadek, gdyby nocny wietrzyk zdecydował się jednak poruszyć stojącym powietrzem. Ale wysoko, na poddaszu, okiennice były szczelnie zamknięte i tylko migotliwe światło świecy sączyło się przez szpary. Wielki prorok znów przywoływał duchy przeszłości.

Pod białą lnianą szatą stary mag miał tylko koszulę, a i tak był zlany potem. Nie zaniedbał jednak nałożyć doktorskiego biretu ani pierścienia z siedmioma mistycznymi symbolami, ani wiszącego na wstędze medalu, który otrzymał od królowej Francji za wyjątkowe usługi oddane monarchii, albowiem nawet konszachty z duchami wymagają pewnej pompy — choćby tylko w ubiorze. Nostradamus zanurzył różdżkę w misie pełnej wody i zamieszał nią, powtarzając uświęcone słowa. Po chwili za jego plecami wzniósł się znajomy cień.

— A jednak, Michale, nie mogłeś się oprzeć. Myślałem, że wiedza o przyszłości w końcu cię znuży — odezwał się głos Anaela, którego niewidzialna obecność wibrowała w zamkniętej dusznej izbie.

— O Duchu, okaż mi dziwy odległej przyszłości — zaintonował stary prorok, mieszając różdżką wodę w mosiężnej misie.

Gdy powierzchnia wody wyrównała się, ujrzał w niej czarodziej-skie miasto o błyszczących wieżach i niskich domach, których dachy miały zadarte ku górze okapy. Miasto to rozpościerało się nad lazurową przystanią pełną olbrzymich, pozbawionych żagli statków. Ulicami kroczyli osobiwie ubrani ludzie, jeździli zakryte wozy poruszające się bez koni. Na sztyldach widniały dziwaczne, niezrozumiałe

znaki obcego alfabetu.

— To nie Francja... — szepnął zafascynowany tym widokiem prorok.

— Ciesz się — mruknął posępnie Anael.

Nostradamus zauważył przechodnia, który zatrzymał się i spojrział w niebo. Wysoko nad miastem płynął w powietrzu ledwie dostrzegalny srebrzysty, połyskujący w słońcu ptak. A cóż to za dziwna gęś? — pomyślał.

W tej samej chwili poraził go oślepiający błysk; potężny płomień pochłonął na raz całe miasto. Tafłę wody w misie wypełniła czerwień i stary prorok przeraził się, że oślepl. Mrugając oczyma ujrzał unoszącą się wzwyż olbrzymią kłębiastą chmurę. Gęś — a może to był skrzydlaty powóz? — odleciała. Gdy chmura się rozproszyła, na miejscu miasta widać było tylko czarne, osmalone ruiny i dopalające się tu i ówdzie pożary.

— Anaelu, co to? — wykrztusił Nostradamus przez ściśnięte gardło.

— Były dwie — rzekł Anael. — Oprócz tego zatruty wiatr.

— Dwie... — Prorok drżącą ręką umoczył pióro w inkauscie i zapisał: „*Nie opodal przystani nadmorskiej dwa miasta zmienią się w pogorzelsko, jakiego nie widziało dotąd ludzkie oko...*”

Poczuł się stary. Kości go bolały i ledwie mógł oddychać, pierś gniotło mu ciężkie brzemie. Długo patrzył na straszliwy obraz dopalającego się miasta w tafli wody.

— Ale dlaczego? — spytał z rozpaczą. — Po co?

— A skądże ja mam wiedzieć? — odpowiedział Anael. — Ja tylko pilnuję dziejów, nie tworzę ich. Jestem znacznie starszy i mądrzejszy od ciebie, lecz jeszcze tego nie rozgryzłem. — Duch zaczął materializować się w izbie, choć wciąż był zupełnie przezroczysty. Ożywione zwykle iskierki kołysały się smętnie.

— Myślałem, że może On ci to wyjaśnił.

— On nie myśli takimi samymi kategoriami jak my, Michale. Niech ci to wystarczy.

— Pokaż mi coś wesołego, Anaelu. Serce mi pęka.

— Zamieszaj w swojej misce. Mam coś w sam raz dla ciebie. Specjalnie trzymałem to na wierzchu. — Górna część ciała ducha znikła; słychać było, jak z hałasem przesuwa coś w niewidzialnej szafie, po czym ukazał się z zadowoloną miną. W wodzie pojawił się obraz wielkiej, bogatej sali udekorowanej girlandami i pełnej nieznanomych

odświętnie ubranych osób. Zaraz... ta ogromna, wystrojona roześmiana kobieta, która siedzi u szczytu stołu dzieląc kielich z garbatym człowieczkiem w habicie, to przecież...

— Toż to wesele! — rzekł Nostradamus, patrząc w misę. — Bardzo bliskie w czasie. Słyszać nawet muzykę. To *branle*, bardzo skoczna i chyba nowa, nie znam tej melodii. Ech, nogi same rwą się do piasów... Czy wiesz, że za młodu był ze mnie zawołany tancerz?

— Sam też to lubię.

— Duchy tańczą?

— Tak, ale nieczęsto. Musimy być ostrożni, bo tańcząc, wstrząsamy wszechświatem.

— Spójrz na pannę młodą. A zatem Sybilla nareszcie wychodzi za mąż! Hm... za Mikołaja, tak jak być powinno. Jak się uwija w tańcu! Pa-ram-pam-pam, skok i obrót... Boże, ależ ta dziewczyna ma wielkie stopy!

— Ów młody człowiek, który obejmuje ją w pasie, najwyraźniej tego nie zauważa.

— Nigdy tego nie widzą, póki są zakochani — rzekł stary prorok.

— Powiedz mi, co się stało z Menandrem Nieśmiertelnym?

— Przestań przytupywać, to ci pokażę.

— Wcale nie przytupuję! — stary doktor przybrał pełną godności pozę.

— Jak sobie chcesz, ale spójrz na to...

Nostradamus zerknął do miski. Początkowo wizja wydała mu się zupełnie niezrozumiała. Wieśniacy w niedzielnej odzieży... jakieś święto lub wiec? A, jarmark! Są kramy, słysząc nawoływania kobiety sprzedającej pasztety z tacy... Ale tłum! O, jest i tańczący niedźwiedź. Całkiem przyzwoity, nie nadzarty przez mole, jak to zwykle bywa, pomyślał prorok. Bardzo lubię oglądać tańczące niedźwiedzie, ale co to ma wspólnego z Menandrem?

Przez tłum przeciskało się czterech mnichów, niosących na kijach dużą drewnianą skrzynię. Piąty szedł przodem potrząsając dzwonkiem i wołał:

— Czyńcie pokutę! Czyńcie pokutę! Oto Królestwo Boże jest już o krok!

— Obejrzyjcie relikwie! — wołali mnisi niosący skrzynię. — Obejrzyjcie święte szczątki! Za miedziaka możecie ucałować relikwiarz!

Mnisi skierowali się do niewielkiego namiotu, otoczeni rojem ludzi usiłujących dotknąć skrzynki lub nawet pocałować ją bez zapłaty. Przed namiotem natychmiast ustawiła się kolejka. Chłopi w

odświętnych kaftanach, kobiety w chodakach trzymające na rękach chore niemowlęta — wszyscy sięgali do kies. Mnich ze skarbonką skwapliwie zbierał datki.

— To głowa świętego Jana Chrzciciela, jedyna prawdziwa — powtarzał. — Wszystkie inne to kłamliwe podróbki.

— Anaelu — rzekł Nostradamus — ci ludzie w ogóle nie wyglądają na mnichów. Słowo daję, ten tu ma na dłoni wypalone piętno. Widzisz? Zasmarował je czymś.

W namiocie na drewnianej arce, w której ją noszono, stała pobijana, zniszczona posrebrzana szkatuła. Oświetlały ją ustawione po bokach dwie świece w lichych cynowych lichtarzach. Otwarte wieko pozwalało dojrzeć w środku odciętą ludzką głowę.

— Widziałem lepsze na palach przed ratuszem w mieście — rzekł tęgi mężczyzna w drewnianych sabotach. — Skąd mamy wiedzieć, że to nie jest głowa jakiegoś straconego rzezimieszka?

— Ona żyje — rzekł z naciskiem stojący obok mnich.

Powieki odciętej głowy uniosły się nieco, z ust dobiegł cichy jęk.

Tłum cofnął się gwałtownie.

— Dlaczego nic nie mówi?

— Nieśmiertelna głowa świętego Jana Chrzciciela pogrążona jest w nabożnych rozmyślaniach. Podejdźcie bliżej, dobrzy ludzie. Święty błogosławi, lecz, napawa łaską Bożą. Sprowadźcie tu sąsiadów!

— Anaelu — rzekł w zadumie Nostradamus. — Czy wiesz, że Menander miał własną wiarę, póki żył? I patrz, na co mu przyszło...

— Podobnie było z Janem Chrzcicielem...

— No wiesz! — oburzył się stary doktor. — To nie to samo!

— Mogę chodzić, mogę chodzić! — Jeden z gapiów demonstracyjnie odrzucił kule.

Mnich zbierający opłaty zawołał:

— To cud! Cud! Prędko, spieszcie do środka, głowa Jana Chrzciciela błogosławi i uzdrawia!

Niepotrzebne kule podawane z rąk do rak zatknięto nad szkatułą. Z tyłu za namiotem cudownie uzdrowiony mężczyzna inkasował zapłatę od jednego z mnichów.

— A Menander ani be, ani me — zauważył Nostradamus.

— Chyba rzeczywiście musiała go poprosić o rzecz niemożliwą. Jestem dumny z siebie, że przerwałem jego łajdacki proceder.

— Ktoś inny umiał go jednak wykorzystać, i to całkiem zyskownie

— uśmiechnął się kpiarsko Anael.

Nostradamus z westchnieniem opadł na stół.

- Jak rozumiem, pozbycie się Menandra wcale nie ocaliło świata.
- Chyba ci to już wyjaśniłem, Michale. Historia jest jak rzeka płynąca...
- Chcesz powiedzieć, że ludzkości niepotrzebne są czary, żeby zniszczyć świat. Świetnie sobie radzi własnymi środkami — zauważył Nostradamus.
- No właśnie. Sam bym tego lepiej nie ujął — przytaknął duch dziejów.